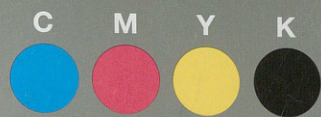
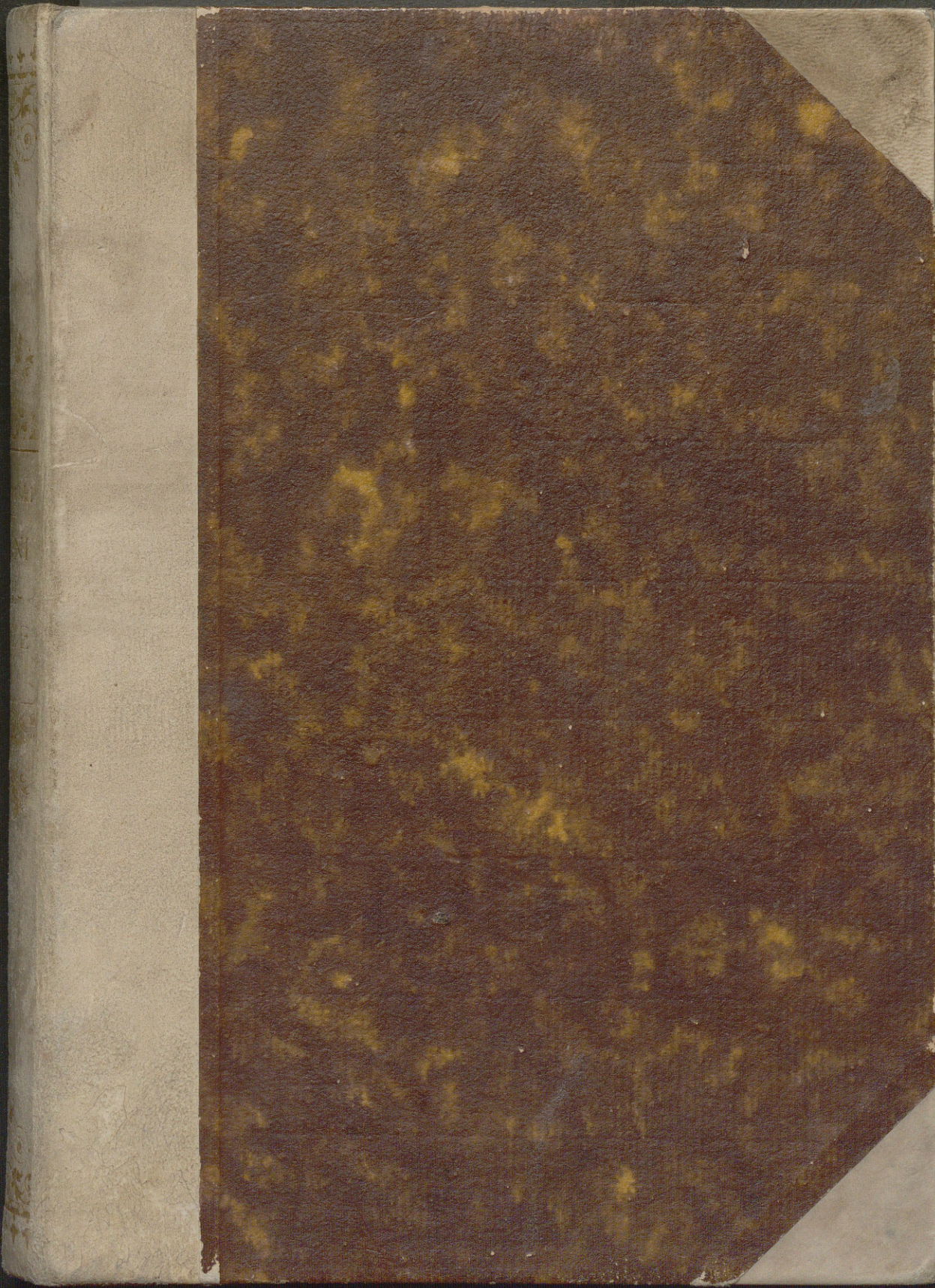
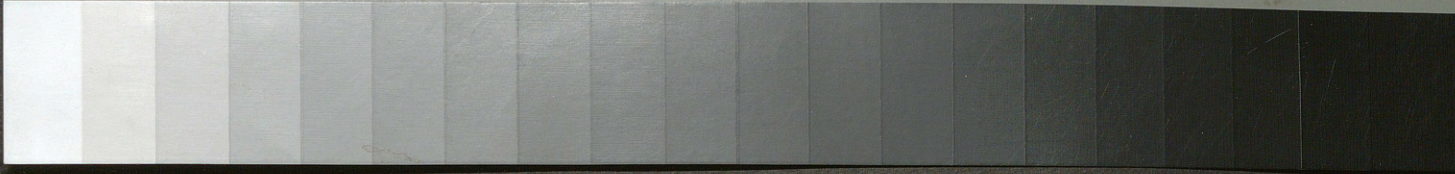


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

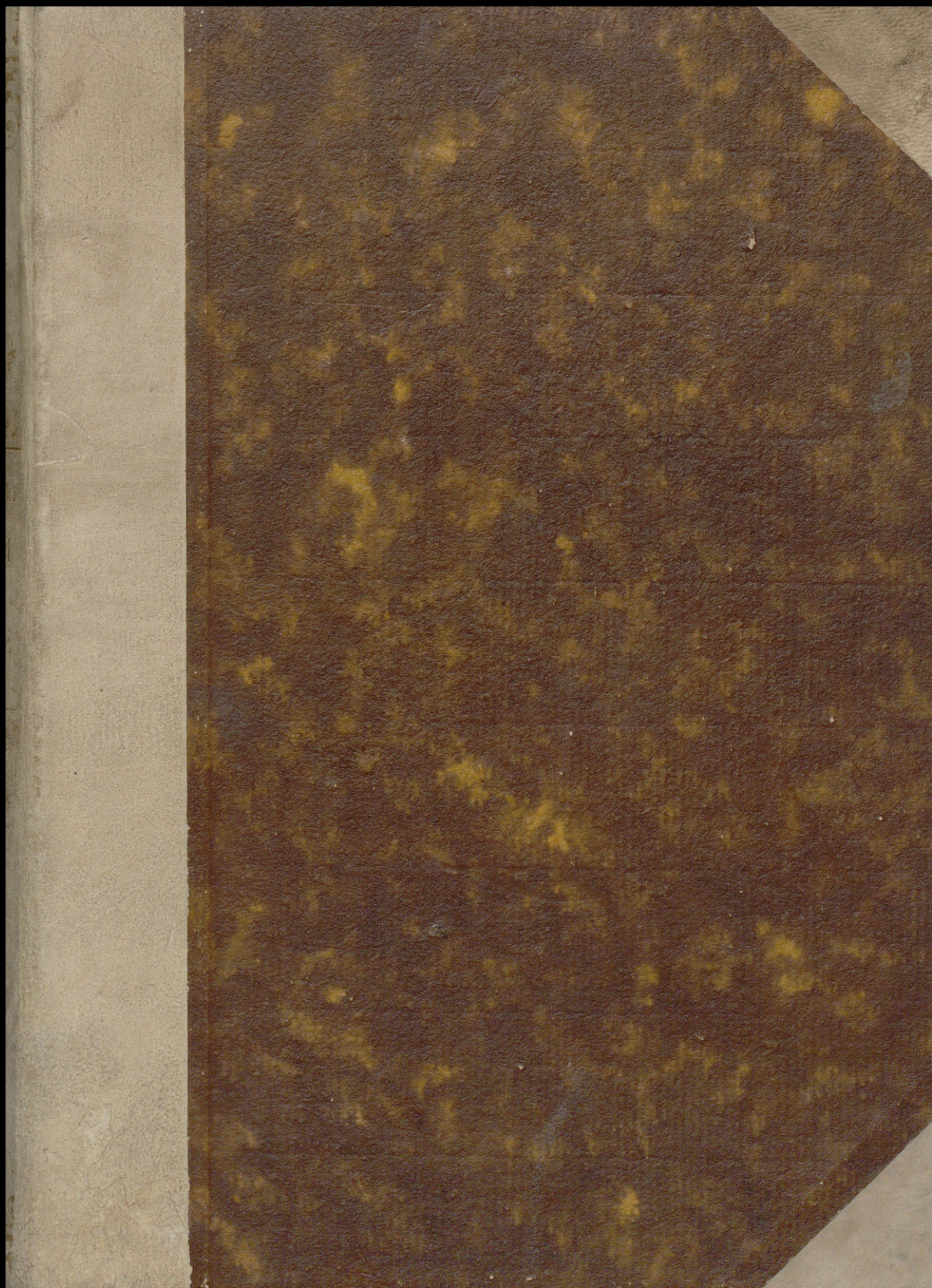


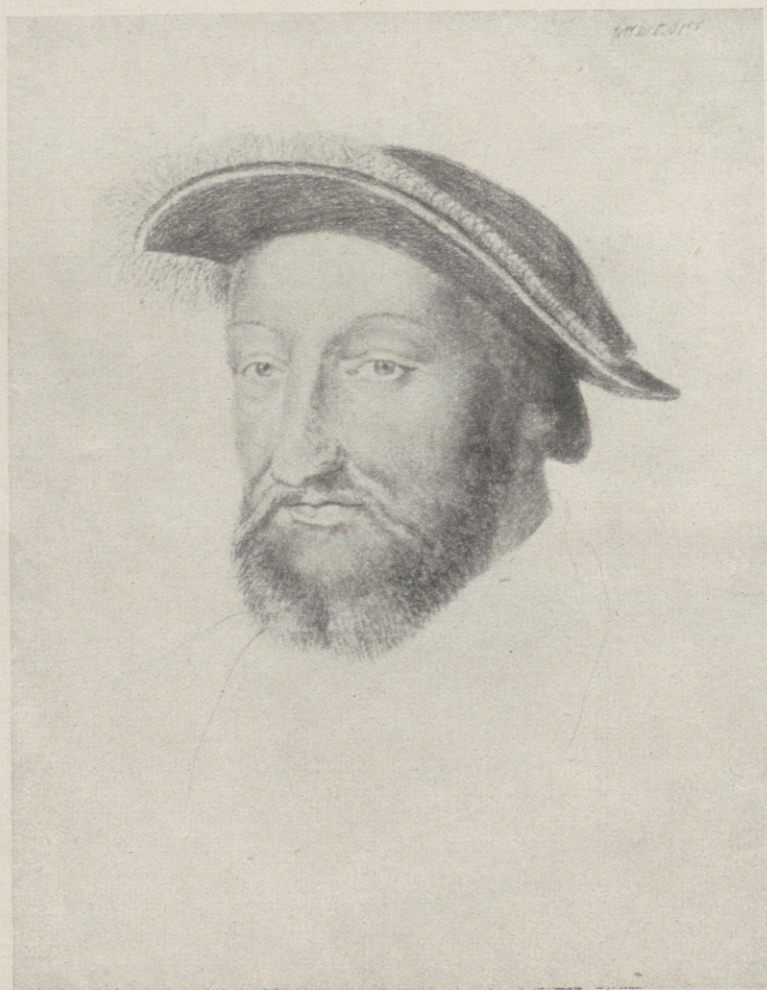
Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19







Franciszek I. w późniejszych latach.

Alchemie Tyssens
KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI

OSTATNI WALEZYUSZE

LA VIEILLE FRANCE
CZASY ODRODZENIA
WE FRANCYI



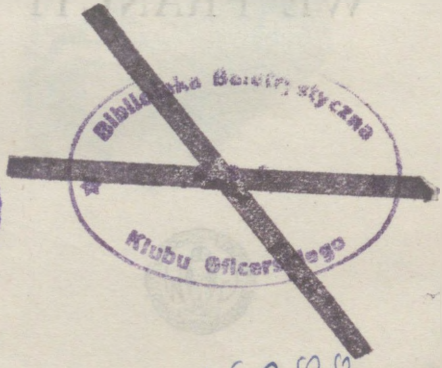
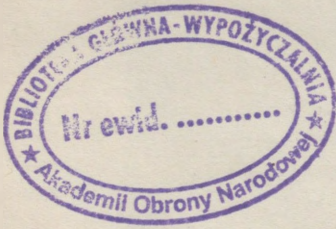
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Kazimierz Chęłkowski

KAZIMIERSZ CHĘŁKOWSKI

WALCZYKUSZE OSTATNI

CZASY ODOBODZENIA
W PARYŻY



93/99

B. 16388.

944

WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY I KSIĘGARNIA
WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
Druk w L. ANCYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

LA VIEILLE FRANCE.

I.

Chcąc określić stosunek francuskiego do włoskiego Odrodzenia, muszę się uciec do ogrodnictwa. Włoskie Odrodzenie wyrosło na własnym pniu, korzenie wspaniałej niegdyś rośliny tkwiły we włoskiej ziemi, ale to drzewo, przez długie wieki zaniedbane, owite chwastami, nie kwitło; gdy jednak w XIII. i XIV. stuleciu zaczęto je oczyszczać z pasorzytów, drzewo poczuło się znowu na siłach, i wydało takie owoce, jak Dante, Petrarca, Boccaccio, jak Michał Anioł, Leonardo da Vinci i wielu innych.

Francuska kultura średniowieczna doszła do wysokiego rozwoju w XII. i XIII. wieku. Była to jabłoń rozłożystą, wspaniałą, rosnącą na rodzimej glebie. Pod nią śpiewał bard epei Rolanda, obok niej wyrastały gotyckie tумы. Gdy jednak obce wpływy, obce chwasty zaczęły tłumić i zacieśniać wiekowe drzewo, jabłoń marniała. Obcięto ją prawie do korzeni i zaszczepiono na tym pniu nowe rzymsko-włoskie pręcice. Jabłoń wydawała znowu owoce, na pozór piękne, duże, ale nie mające już tego wonnego smaku, co dawniej. Powstał Ronsard, Plejada, która spaczyła do reszty ducha początkowej Francji i stworzyła nową poezję, nową sztukę, odbiegającą od zdrowych, silnych tradycji gallickich ludów.

Jedna architektura najdłużej się broniła, krnąbrnie się stawiając wobec włoskich renesansowych najazdów; ale nie-

szczęście chciało, że cudzoziemska krew w dynastyi Walezyuszów przeważyła, że i głazy gnachów francuskich musiały zczasem pozbyć się dawnych form, musiały się zaokrąglić, złagodzić.

Walezyusze spaczyli francuską kulturę, która po nich, za czasów Ludwików, przybierała coraz skrajniejsze i dziwniejsze kształty. Trudno się spierać o to, coby się było stało, gdyby włoski renesans nie był najechał Francyi; że jednak wpływy z poza Alp zupełnie zmieniły pierwotnego ducha literatury i sztuki we Francyi, tego zaprzeczyć nie podobna. Pierwotna Francya miała wszelkie warunki po temu, aby stworzyć oryginalną sztukę, oryginalną literaturę; wpływy narodu na naród nie zawsze są pożyteczne i szczęśliwe, na każdym kawałku ziemi powstają odrębne talenty, odrębne idee, które mają dla powszechnej kultury tę wielką wartość, że wprowadzają w nią świeże żywioły, świeże poglądy. Bałwochwalcza wiara w Greków i Rzymian nie miała już zaskodziła duchowemu postępowi ludzkości.

Narody francuski i włoski oddziaływały na siebie od wieków; z Lyonu, z Marsylii i Tulonu nie było daleko do Genuy, do Turynu, a nawet do Rzymu; odległość może bliższa, aniżeli pomiędzy usposobieniami i charakterami Francuzów i Włochów. Psyche tych ludów była inna.

Przedewszystkiem odróżniały je pojęcia religijne. Lud francuski był głęboko religijny, potrzebował wiary. Włoch zadawał się pozorami religii, w gruncie rzeczy był sceptykiem, interes górował nad uczuciem. Ze starożytności pozostało mu dążenie do piękna, zmysł artystyczny daleko więcej był rozwinięty, aniżeli u narodów północnych, do których we Włoszech liczone nawet Francuzów. Wszak Paryż, serce Francyi, leżał już w dziedzinie mgły i śniegu. Umysł Francuza pociągał go do głębszego badania zadań człowieka, Włoch żył teraźniejszością.

Stąd zaraz w początkach średniowiecza rozbieżne są kulturalne dążenia tych dwóch narodów. Francuzów podnosi wiara i rycerskość, Włochom chodzi o życie piękne i prakty-

czne. Francuzi gonią za ideałami, u Włochów panuje sacro egoismo. We Francyi powstaje architektura gotycka, kościoły, wyrażające całą potęgę wiary; we Włoszech odnawia się tradycja malarstwa, któremu słońce barw użycza.

Kultura chrześcijańska nie wydała nic wspanialszego, nic potężniejszego w budownictwie, jak architektura gotycka; wyraża ona z jednej strony fantastyczny prawie polot myśli ludzkiej, odrywający dzieło człowieka od ziemi, z drugiej zaś niesłychany realizm w wykonaniu, drobiazgową znajomość statyki, wytrzymałości materiału i tego rachunku, niespodziewanego w wiekach, w których wiele praw ścisłej nauki w teorii jeszcze nie znano. Była ona rzetelnym wyrazem francuskiego ducha, który potrafi się wznieść do nieznanych wyżyn, ale zawsze się kieruje zdrowym zmysłem. Jako trzeci czynnik, który dopomógł do rozwinięcia się tej architektury, była głęboka wiara w społeczeństwie francuskim i współdziałanie całego narodu, aby tworzyć wiekopomne dzieła na chwałę Bożą. Od czasów greckich nie było w sztuce nic podobnego, a dodać należy, że naród francuski u nikogo się w tej mierze nie zapożyczył, że wydał sam z siebie tę architekturę i że cudzoziemcy to rozumieli, nazywając budownictwo gotyckie »opus francigenum«.

Z kościołów, z przepysznych katedr przeszła owa architektura do świeckich budowli, do ratuszów, gmachów publicznych i rycerskich zamków, a następnie rozszerzyła się po innych krajach, po Niemczech, po Anglii i w zmienionych formach po Włoszech i Hiszpanii.

Architektura gotycka stała się jednym z głównych dokumentów kulturalnych francuskiego narodu.

Ale i na innym polu mieli Francuzi wielką przeszłość. Potrzeba tylko wspomnieć ową »Chanson de Roland«, poemat, z którym się łączy cały szereg »Chansons de geste«. Rycerskość stała się jedną z głównych cech charakteru Francuzów. Czy to tradycja Gallów, a może Franków i Saracenów, czy inne wpływy szczepowe i klimatyczne, rozstrzygnąć trudno. Poetycznym pomnikiem pozostanie na zawsze owa nieodścigniona, a w swej prostocie wspaniała, heroiczna historia o Rolandzie. Chanson de Roland sięga zapewne Ludwika, tak

zwanego »Le Débonnaire«, a w XI. wieku spisał ją już normandzki trubadur Turol. Pięć krótkich pieśni wystarcza, aby wyźłobić, jak z kamienia, ową patetyczną legendę o zdradzionym paladynie i jego tragicznej śmierci. Nic wspanialszego, jak ten bohater, który, gdy towarzysze już zginęli, stoi samotny na skale w Pireneach i żegna się z jedynym przyjacielem, który mu pozostał, z mieczem Durandalem. Uderza on nim o skałę, aby ochronić szlachetną stal, qui vaut plus que l'or fin, od dostania się w obce ręce. Skała się rozpada, a do dziś dnia nazywają górale w Pireneach ów olbrzymi wąż »La brèche de Roland«.

Pieśń o Rolandzie stała się może najpopularniejszym poematem średniowiecza w całej Europie: tak dalece odpowiadała duchowi ówczesnego rycerstwa. W Niemczech tłumaczył ją duchowny Conrad na łaciński, a następnie na niemiecki język w XII. w., w Anglii przełożono ją w trzynastym stuleciu, a tradycja bohaterskiego Rolanda posłużyła we Włoszech Pulciemu w r. 1485 do ułożenia »Morgante Maggiore«, a i Ariost skorzystał z niej w roku 1516, we wspaniałym »Orlando furioso«. Roland nawet w kościele stał się tak sławnym, że nazwisko jego figurowało w księgach męczenników za wiarę, a Bollandyści starali się go kanonizować.

Na portalu katedry w Weronie jakiś nieudolny rzeźbiarz wykonał w XII-ym wieku dwie główne postaci francuskiej epepei, Rolanda i Oliviera, a w katedrze w Chartres istnieje barwne okno z trzynastego stulecia, przedstawiające chwilę, kiedy Roland uderza w skałę swym mieczem. Francya uważała go przez długie wieki jako ideał ojczyznoznawcy, a naród stawiał go zawsze za przykład swym wodzom. W razie wojennych niepowodzeń powtarzano: »Ach, gdyby tutaj był Roland!«. Paryż osobliwie święcił pamięć Rolanda, przypisywał mu założenie kościoła Saint-Marceau, a w ulicach jaśniało jeszcze w XIV. i XV. wieku na napisach, na szyldach nazwisko lub postać bohatera narodowej epepei. Jonglerzy opiewali Ronceveaux w dniu świąteczne.

Dopiero prądy włoskiego Odrodzenia kazały zapomnieć Francuzom o Rolandzie i cztery dalsze wieki zerwały nić narodowej tradycyi. Eneida Wergiliusza przygłuszyła bohater-

skie dźwięki pierwotnej francuskiej poezji, wymazała z pamięci Chanson de geste, cykl epiczny o Arturze i o świętym Gralu.

Starożytne grecko-lacińskie legendy zaczynają już z końcem XII. i w XIII-tym wieku walczyć z rodzimymi francuskimi poematami, a trubadurzy, starając się poniżyć i wyprzedzić dawnych jonglerów, biorą za temat do swych opowieści tematy klasyczne o Uliksesie, o oblężeniu Troi, o Herkulesie, Aleksandrze Wielkim, oczywiście w bardzo niedokładnych i niehistorycznych legendach. Tematy są nowe dla publiczności francuskiej, więc trubadurzy zapowiadają niejako Odrodzenie, rozciekawiają słuchaczy, jacy byli bohaterowie za czasów Greków i Rzymian. Trubadurzy schodzą już nawet do Horacego.

Obok miłości Boga panowała miłość kobiety. »L'amour de Dieu et des dames«, to było hasło francuskiego rycerstwa. Pierwszej przestrzegał Kościół, drugiej pilnowały same kobiety. Istniał formalny kodeks miłości »L'art d'aimer«. Kształcenie w miłości zaczynało się wcześniej u mężczyzn. Młodego chłopca rycerskiej rodziny oddawano na służbę do jakiejś kasztelanki, która wszczepiała weń obowiązki względem płci pięknej i pouczała, co winien kobiecie. Musiał wykonywać jej zlecenia, czasem nawet nosić listy miłosne, głośno czytać jej rycerskie romanse, uczyć się dyskrecyi i grzeczności. Gdy taki uczeń wyrósł, służba zmieniała się często w miłosny stosunek, a młody rycerz musiał dawać dowody kultu dla starszej już nieraz od niego »nauczycielki w rzeczach miłości«. Wtedy nosił barwy swej pani i przy każdej sposobności walczył za jej piękność i cnotę. Czasami te dowody miłości bywały dość oryginalne. Gaston de Foix rzucił się na nieprzyjaciela w bitwie pod Rawenną bez zbroi z jednym obnażonym ramieniem, wzywając swych towarzyszy, aby patrzyli jak się będzie bił »pour l'amour de sa mye«, z miłości dla swej ukochanej.

W południowej Francji, w Champanii, a nawet we Flandryi powstały owe Cours d'amour, owe turnieje, na których panie i panowie, poetycznie usposobieni, stacjali formalne walki, deklamując wiersze na jakiś podany temat miłosny.

Panie z wyższego towarzystwa tworzyły trybunał rozstrzygający, kto wyszedł zwycięsko z tej poetycznej walki. Laura de Sade, ów ideał Petrarcki, i jej ciotka, madame Phonette, także staczały wierszowane dysputy w Cour d'amour, w Avignonie; osobiście pani Phonette była podobno poetką wielkiego talentu. A ów trybunał w Avignonie był sławnym na całą Prowancyę. Na sądy miłosne zjeżdżali poeci-rycerze z całej okolicy, bo awignońskie zebrania miały szczególny urok i rozgłos. Zdaje się, że zasady, dotyczące się miłości, były dość wolnomyślne, gdyż pomiędzy tematami, o które się spierano, było także pytanie, czy małżeństwo jest legalną przeszkodą prawdziwej miłości, oczywiście poza kościelnymi ślubami. Wogóle musiały często istnieć wątpliwości co do wiary małżeńskiej, skoro jednym z zapytań, poddanych pod dyskusję, była kwestja, czy wogóle prawdziwa miłość istnieje w legalnem małżeństwie.

Prowensalska poezja trubadurów miała wielki wpływ na poezję włoską i sycylijską; trubadurzy stali się osobistościami bardzo poważanymi na dworach włoskich, a nawet Dante spotyka słynnego trubadura Sordela u wejścia do czyścica, gdzie stał pełen powagi, jak lew, spoczywający spokojnie w poczuciu swej siły.

Ten lew śpiewu był tak dumny, że śmiał krytykować czyny monarchów, zarzucać im tchórzostwo, a krytyka uchodziła mu bezkarnie, bo się bano jego sarkastycznego talentu. Trubadurzy wyrobili sobie nawet osobny rodzaj wierszy sarkastyczno-politycznych, które zwano »sirvente«, a taki piewca, po większej części rycerz z urodzenia, umiał także mieczem popierać swój sarkazm, swój złośliwy dowcip.

Taki Charles d'Orléans, ojciec Ludwika XII. był jednym ze słynnych trubadurów; doprowadził on formę i okrągłość lirycznej poezji francuskiej owego czasu do wysokiej doskonałości, ale zapowiadał też upadek tej poezji, bo dla formy treść poświęcał. Jego poezjom brak namiętnej werwy, pozostaje tylko muzyka wiersza. Muzykę jego poezji przejęli późniejsi francuscy poeci, a w wierszach Ronsarda doszła ona do najwyższego rozkwitu.

II.

Nauka łacińska zamknęła się w klasztorach. Rozpoczęła się jeszcze za czasów Karolingów w szkołach biskupich, a później przeszła głównie do siedzib zakonnych. W tej mierze celowała Normandia. W Rouen, w Caen, w Fontenelle były podobne zakłady naukowe; na południu Francji liczone więcej Cours d'amour, aniżeli sławnych szkół, więcej trubadurów, aniżeli teologów.

Owe szkoły kształtowały się na wzór starożytnych triwiiów i quadriwiiów. Zakon Cystersów stał na czele ówczesnej naukowej oświaty; klasztory zakładały biblioteki, mówiono, że klasztor bez ksiązek to forteca, nie zaopatrzona w żywność. Teologia zajęła ważne miejsce w naukach; do niej przyłączyła się gramatyka, i z tego szkolnego małżeństwa wyłoniła się scholastyka, rodzaj filozofii, która się miała posługiwać wiarą pod kontrolą władz kościelnych. W XIII. wieku porzucono już we Francji studyowanie Biblii, a uczeni wyśmiewali się z tych, którzy jeszcze szukali nowych idei w Piśmie świętem i nazywali ich »Les théologiens à Bible«. Zamiast do Biblii zastosowywano subtelnosc dyalektyki i nauki Arystotelesa do powszechnych zasad katolicyzmu.

Wogóle wiek XIII. był epoką rewolucyjną w pojęciach religijnych. Ruch ten miał swoje źródło w Sycylii we Fryderyku II. i jego otoczeniu. We Francji przyczyniały się do tego ciężary, jakie papieństwo nakładało na ludność, owe »annaty«, »rezerwy«, sprzedawanie praw do następstwa na kościelnych beneficjach i t. d., tak dalece, że nawet już pod rządami świętego Ludwika rozpoczęła się walka przeciw Rzymowi, która doprowadziła do zawiązków protestantyzmu, do kościoła gallickiego, zwłaszcza że duchowieństwo francuskie sprzeciwiało się nadużyciom Kuryi rzymskiej i w spornych kwestjach pomiędzy Francją a Rzymem stało zawsze po stronie króla.

Na polu teologiczno-filozoficznem weszło duchowieństwo i tak zwani uczeni na drogę pełną manowców i drobiazgowych badań, skąd urosła scholastyka. Scholastyka zapuszczała się w takie subtelnosci w roztrząsaniu swych zasad i pytań, że często dochodziła do śmiesznych absurdów. I tak n. p. zasta-

nawiano się nad tem, czy wieprza, którego się prowadzi na targ, trzyma człowiek czy powróż. Pusta dyalektyka stała się miarą uczoności; kto zdołał dowieść rzeczy, sprzeciwiających się zdrowemu rozsądkowi, ten zwyciężał. W tej epoce dyalektycznych ćwiczeń na tle religijnem wyłoniły się dwie głośne osobistości: Piotr Abelard (1079—1142) i św. Bernard (1091—1153). Pierwszy do dziś dnia najwięcej znany z powodu swej nieszczęśliwej miłości do Heloizy, o pismach jego prawie zapomniano. A zasługuje on na większą uwagę, ponieważ w ruchu idei ku wolności we Francyi w wieku XIII., stał się jednym z najważniejszych jej popieraczy. Z rodu Francuz, bo się urodził w r. 1079, w miejscowości Palais, w niższej Bretanii, z usposobienia południowiec o bezgranicznej żądzy sławy i niepohamowanych wybuchach namiętności, został profesorem teologii w uniwersytecie paryskim. Umysł jego nie dał się tak łatwo ująć w odwieczne karby nauki; Abelard zanadto był wolnomyslnym, aby zostać takim zakonnikiem, jak wielu innych. Całem jego dążeniem naukowym było pogodzić Objawienie z zasadami Kościoła, z ówczesną scholastyczną filozofią. Na ten temat napisał dzieło, którego tytuł był »Tak i nie« (»Sic et non«), dzieło, oddalające się bardzo od objawienia, gdyż główną wypowiedzianą tam zasadą jest wyznanie, że nie można wierzyć w to, o czem się poprzednio nie przekonało; przez wątpliwość dochodzimy do badania prawdy, a wszystko, co ma być dowiedzone, musi być wątpliwem«. Abelard wywiesił więc sztandar skeptycyzmu i w tym kierunku nauczał, zostawszy profesorem Sorbony, a ponieważ był zakonnikiem w Clairvaux, więc narażał się znacznej części duchowieństwa. Wydał także książkę pod tytułem »Poznaj siebie samego (Scito te ipsum), rodzaj nauki moralności, w której się nie zaparł swych wolnomyslnych zasad. Wówczas jednak takie wyobrażenia mniej raziły, aniżeli później, bo nad wszystkim wolno było toczyć rozprawy.

Filozofia zaprowadziła go jednak na bezdroża, które mu więcej zaszkodziły, aniżeli naukowe teorye. Poznał się z piękną, uroczą Heloizą, także bardzo odczytaną w Biblii, i prowadził z nią dysputy na tematy Pisma świętego. Z dysput powstała namiętna miłość. Heloiza była wszakże szlachetną bohaterką;

nie chcąc, aby się stosunkiem Abelarda z nią gorszono, wstąpiła do klasztoru i pisała do kochanka te piękne listy, które dzisiaj jeszcze stanowią skarb średniowiecznej francuskiej literatury. Duchowienstwo wnięszalo się w tę sprawę, nieprzyjaciele Abelarda podnieśli zarzut, że profesor daje młodzieży zły przykład, że nie godzien nosić uniwersyteckiej togi. Złożono na niego sąd duchowny, wskutek którego uczony teolog zamknął się w klasztorze, w Cluny, i tam spokojnie umarł w roku 1142.

Głównym jego przeciwnikiem był Bernard z Clairvaux, ów św. Bernard, który założył sto czterdzieści klasztorów i pobudził cały szereg malarzy do prawdziwych arcydzieł. Kto raz był w Badii florenckiej, temu nie wyjdzie z pamięci obraz Filippina Lippi, przedstawiający wizję świętego, jak mu się ukazuje Madonna. Ale ten wychudły zakonnik nie był tak skromnym, tak cichym, jak go artyści pojęli. Należał on do najwymowniejszych ludzi swego czasu i z tego powodu nazwano go »Doctor mellifluus«, miodoustym doktorem. Jako znamię tej wymowności malują często obok niego pszczylny ul, pełen słodyczy.

Pomimo, że Bernard był obrońcą Kościoła i jego nauk, przecież walczył z papieżami, dalekim był od despotycznych zasad Innocentego IV. i wyrzucał Eugeniuszowi IV., że nadużywa swej potęgi i myli się, sądząc, że papież jest jedynym przedstawicielem apostolskiej władzy. Zadaniem papieża jest działać w pokoju, a każdy inny rodzaj walki, każdy gwałt jest dlań najniebezpieczniejszą trucizną.

Św. Bernard zgadzał się w tej mierze z Dantem, który także przestrzegał papieży przed łączeniem duchownej władzy ze świecką i mówił w swym Czystcu:

Ma oggimai che la chiesa di Roma
Per confondere in se due reggimenti,
Cade nel fango, e se brutta, e la soma.

(Purg. XVI., 127).

Spokojne dusze bolały nad tem rozdwojeniem w katolickim świecie, a z dumań ludzi, dalekich od teologicznych sporów, rodził się mistycyzm, którego najpotężniejszym dzie-

łem jest prozą pisany poemat »De imitatione Christi«. Książka ta, wielka w swej melancholii, ukazała się we Francji z końcem XIV. wieku. Jest to reakcja przeciw bezreligijności, temu utonięciu prawdziwej wiary w subtelnościach scholastycznych klótni teologów. Dzieło to wyszło bez nazwiska autora. »Da mihi nesciri«, »Niech będę nieznanym« napisał autor, a jego życzenie się spełniło, bo mimo poszukiwań uczonych do dziś nie wiadomo napewno, kto je napisał.

Trochę ożywczego ducha w scholastyczne manowce wprowadzili Arabowie swą znajomością przyrody i medycyny; Avicenna i Averroes pisali o fizyce i chemii pod nazwą alchemii; zasady ich dostały się do Francji z Hiszpanii, a paryski uniwersytet stał się jedną z głównych przystani nowych nauk. Już samo położenie geograficzne stolicy Francji było nadzwyczaj dogodnem, aby tam utworzyło się środowisko nauki, tem bardziej, że narody północne miały dążność do filozoficzno-teologicznych badań.

Początki paryskiego uniwersytetu były bardzo skromne; od biskupich i klasztornych szkół odłączył się głośny profesor dwunastego wieku, Guillaume de Champeaux, i pomimo zakazów władz kościelnych zaczął pod protekcją kanoników kościoła Saint-Geneviève, wyklądać nauki filozoficzno-teologiczne w lokalu na górze św. Genowefy. W ten sposób powstało słynne do dziś dnia Quartier Latin. Około Guillaume'a zaczęli się powoli gromadzić inni profesorowie, jak Pierre Abelard, jak uczoney Joscelin i wielu innych, tak, że z początkiem XIII. wieku ukonstytuowała się już najwyższa uczelnia Francji i wydawała dyplomy doktorskie. W r. 1250 rozszerzył Robert Sorbon ten uniwersytet i od niego nazwano instytut uczelnią Sorbona.

Sława tego uniwersytetu rosła szybko; jeden z uczniów Abelarda został papieżem, dwudziestu kardynałami, a pięćdziesięciu biskupami i arcybiskupami. Z całej Europy zaczęli się zjeżdżać uczniowie, niebawem uniwersytet mógł się chlubić takimi nazwiskami, jak Roger Bacon, jak Brunetto Latini. Ulica du Fouard mieściła wszystkie narodowości; studenci, po większej części ubodzy, ale burzliwi, mieszkali w powstających bursach albo szli w dzień od domu do domu pro-

sić o kawałek chleba, a w nocy obdzierali spokojnych »bourgeois'ów« po ulicach, albo wykradali im żony i córki. A że mieli za sobą solidarną armię uniwersytecką, więc nie bali się prévota. Gdy którego z nich chciano ukarać, uniwersytet zawieszal wykłady, a prewot musiał przeproszać studentów, bo miasto miało z nich niemało korzyści i kobiety stały po ich stronie.

Jeden ze współczesnych, Jean Antville, tak opisuje tych adeptów Arystotelesa w swym poemacie »La grande lamentation«:

Sur son front se hérissent une ample chevelure
Dont le peigne a longtemps négligé la culture;
Jamais un doigt coquet, une attentive main
Aux cheveux égarés ne montrent leur chemin,
Un soin plus important aiguillonne leur maître,
Il faut chasser la faim toujours prompte à renaître.
Le temps à son manteau suspend, d'un doigt railleur,
La frange qu'oublia l'aiguille du tailleur.

Student nie opływał w lukullowskie obiady, jak mógł, przyprawiał sobie głodową zupę:

Près du tison murmure un petit pot de terre
Où nagent des pois secs, un oignon solitaire,
Des fèves, un poireau, maigre espoir du diner:
Ici, cuire les mets, c'est les assaisonner;
Et quand l'esprit s'enivre aux sources d'Hypocrène,
La bouche ne connoit que les eaux de la Seine.

Ta burzliwa młodzież zapalała się jednak do nauk, a przede wszystkim do dysput religijno-filozoficznych. Jedną z najważniejszych chwil dla niej były w ciągu XIII. wieku rozprawy nad naukami Averroesa, naukami, sprzeciwiającemi się zasadom religii katolickiej. W r. 1269 zakazał biskup paryski Etienne Tempier dysput nad trzynastoma tematami, wynikającemi z nauk Averroesa. Pamiędzy innymi znajdowały się tam twierdzenia, uderzające swą wolnomyślnością na owe czasy; stronnicy filozofa dowodzili, że podanie o pierwszym człowieku jest fałszem, że dusza zamiera wraz z ciałem, że opatrność nie wpływa na czyny człowieka i t. p. Tak śmiało zasady wyznawali także niektórzy profesorowie Sorbony i prze-

ciw nim wystąpił Tomasz z Aquinu w swej rozprawie »Contra Averroistas«. Biskupi paryscy rzucali klątwy na wyznawców zasad Averroesa, ale mimo to jeszcze z początkiem XIV. wieku zarzucano zakonnikom, że ich kazania są na samych bajkach oparte. Walka biskupów przeciw nowym teoryom nie była łatwa, bo zakon franciszkanów w swych początkach »grzęznął« w liberalizmie, głównie z tego powodu, aby być popularniejszym, aniżeli dominikanie, idący z Tomaszem z Aquinu. W XIII. wieku podstawy wiary katolickiej na uniwersytecie paryskim były podkopane, Francya może dalej posunęła się w tej mierze, aniżeli Włochy. Gibellini uchodzili za materyalistów bez religii, a Dante zamyka żyjących jeszcze Epikurejczyków w osobnym oddziale »Piekle«. Guido Cavalcanti znanym był jako ateusz; Boccaccio opowiada, że gdy go widziano w zamyśleniu prawie nieprzytomnego na ulicach Florencyi, mówiono, że filozof szuka argumentów, aby dowieść, że Boga niema.

Oczywiście, że te tendencye paryskiego uniwersytetu obudziły gniew i obawy władz kościelnych, które stały na czele strasznej reakcyi przeciw bezbożnikom. Powoli więc Sorbona, a raczej jej kierownicy, popierani przez zakony dominikanów i franciszkanów, zaczęły przygłuszać wszelką wolną myśl, a kto się nie poddał fałszywie tłumaczonym zasadom Arystotelesa, tego czekała śmierć na płonącym stosie.

Z ograniczoną wolną myślą upadała Sorbona i taką ją widzimy za panowania ostatnich Walezyuszów.

Myśl wolna, wypędzona z uniwersytetu i z literatury, szukała sobie innych dróg, aby się przebić przez społeczeństwo, namiętność coraz bardziej umysły rozżarzała, a nietolerancya religijna doprowadziła do tych strasznych walk wewnętrznych we Francyi, które zapełniały panowanie Walezyuszów.

III.

Francya wcześniej miała ludzi, którzy spisywali jej dzieje i malowali jej społeczeństwo. Do takich kronikarzy o barwnem przedstawieniu rzeczy, które przeżył i które widział, należał



Medal z portretem Ludwika XI.
(Berlin, königl. Münz-Cabinet).

messire Jehan Froissart, kanonik kolegiaty w Chimay, urodzony w Valenciennes około r. 1337. Pozostawił on w swojej kronice przepyszny obraz czasów feudalnych, bitew, turniejów, oblężeń miast, rycerskich zgromadzeń, balów i strojów dworskich. Nazwano go też Walter-Scottem średnich wieków, tylko że Froissart nie czerpie nic z imaginacji, ale oddaje realne życie rycerstwa i z tego powodu ma nieocenioną wartość dla przyszłych pokoleń. Włączył on się po całej Francji, po Włoszech, nawet po Anglii i Szkocji, jechał konno z tobołkiem za siodłem i białym dużym chartem na linewce. Ciekawość była jego zaletą; uważał niejako za cel swego życia, wszystko widzieć, wszystko poznać, wstępował też do zamków rycerskich, do gospód na wsi i w miasteczkach. A gdy miał się układać do spoczynku, spisywał swoje wrażenia, czasem powierzchownie, czasem dokładnie, stosownie do sił i humoru. Ta bezpośredniość wrażeń stanowi wielką wartość jego kroniki.

Froissart maluje czasy rycerskie, Filip de Commines (1445—1509) epokę wzmaganą się władzy królewskiej we Francji, epokę Ludwika XI. i Karola VIII., zrastania się terytoriów francuskich w potężne królestwo. Były to czasy, kiedy fałsz, podstęp i zbrodnia kierowały polityką panujących; to też bohaterem »Pamiętników« Comminesa jest Ludwik XI., jeden z najbrzydszych charakterów, jacy zasiadali na tronie francuskim. Aby poróżnić swych nieprzyjaciół pomiędzy sobą, ukrywał posła jednego księcia za parawanem, a z drugim rozmawiał w ten sposób, że tamten dowiedział się o podstępem postępowaniu swego przeciwnika.

Powiadają, że on był wynalazcą tych żelaznych klatek, w których więźniów zamykano; pomiędzy innymi i Commines przesiedział się ośm miesięcy w takiej klatce.

Commines pisze nie dla przyjemności, ale chce dawać rady królom i książętom, jak mają rządzić, rady podobne do nauk Machiavella. Rady skutkowały; Francya rozszerzała swoje terytoria, ale do tych celów dążyło się podobnie, jak gdzie indziej, dyplomatyczną zręcznością i zbrodnią. We Włoszech rozpoczynały się czasy Borgiów, w Anglii epoka Ryszarda III., w Niemczech Fryderyka III. Commines z zimną krwią opisuje okrucieństwa, jakie popełniano w ówczesnych

wojnach. Kocha się w najbrzydszej intrydze, jeżeli podstęp prowadzi do celu; cieszy się, że z jego historii poznają ludzie zręczność panujących, według niego świat nie należy do lwów, ale do lisów.

Niesłuchanie ważnej pracy, rozjaśniającej początki francuskiego królestwa, dokonali zakonnicy opactwa w Saint-Denis; ich dziełem bowiem była wielka kronika »Chronique de France«, w której notowali nietylko własne spostrzeżenia, ale dołączali i to, co wydawano o rzeczach, odnoszących się do francuskich królów. Ciała monarchów leżały w katakombach opactwa, mnisi spisywali ich dzieje.

IV.

Podróżomania, a raczej włóczęgostwo było jedną z charakterystycznych cech ówczesnego społeczeństwa. Szlachcic i mieszczanin w ciągłym byli ruchu. Kupiec jeździł z jarmarku na jarmark, do Bordeaux, do Uzes, do Caen, Troyes, do Lyonu, gdzie się spotykał z handlarzem z Limoges, z Auvergne, z Prowancyi lub z Genuy. Architekt, malarz, rzeźbiarz, garncarz krążył pomiędzy miasteczkami a rycerskimi zamkami. A w tym ruchu studenci, często już czterdziestoletni, niepomierne zajmowali miejsce. Francya posyłała synów na dokończenie nauk, a raczej rozejrzenie się w świecie, nie tylko do Rzymu, do Pizy i Padwy, ale i do Niemiec, do Heidelbergu, Bazylei i Lipska; nawzajem uniwersytety w Paryżu, w Orleans, w Bourges, w Poitiers, w Montpellier i Tuluzie pełne były cudzoziemców. W Orleanie Niemcy stanowili osobną grupę, »une nation«, mieli swoją organizację, przywileje i własne sądownictwo. Uniwersytety francuskie utrzymywały rodzaj osobnych poczt celem przewożenia studentów i ich tobołków podróжных.

Główne drogi wyglądały też bardzo malowniczo; pełno rozmaitych wozów i uprzęży: koczki, lektyki, konni podróżni, muły, piechury, pielgrzymi z kijem w rękę, żołnierze z ciężkim mieczem na ramieniu; pobożne procesyje, monotonna powtarzające swe litanie, grupy ubogich studentów, zabawiających się wesołym śpiewem, a czasami jakiś dygnitarz w bu-

tach z olbrzymimi ostrogami, za nim jego »clerc« albo młode małżeństwo, on na siodle, ona »en croupe« ściska swego towarzysza, może więcej, jak potrzeba, aby się utrzymać na koniu. Wśród tego różnobarwnego tłumu pocztylon dmie w dużą trąbę, aby mu się ustępywano.

Mimo to drogi nie zawsze były bezpieczne, osobliwie obawiano się spotkania z niemieckimi rajtarami, skłonnyimi do rabunku. Wtedy, kto mógł, schodził z drogi i dalej szedł polami, lasami, dopóki niebezpieczeństwo nie minęło.

W bibliotece Narodowej w Paryżu istnieje słynny rękopis »Des grandes Chroniques« z cennymi miniaturami mistrza Jana Fouquet, który umarł w r. 1480. Pomiędzy innymi jest tam przepyszna miniatura, przedstawiająca wjazd kóła, może Ludwika XI., do Paryża, chwilę, kiedy orszak monarszy zbliża się do bramy miasta. Wejście do bramy wąskie, cztery wieżycy strzegą stolicy przed nieprzyjacielem: cała potęga i groza średnich wieków skamieniała w tych murach. Króla poprzedzają giermki z rozwiniętymi sztandarami i wspinała postać dygnitarza na dzielnym rumaku z gołym mieczem w rękę; sam król w gronostajach, koń przykryty kapą, ozdobioną liliami — wspinałość i barwa. Z za murów sterczą tylko wieże gotyckich kościołów i kilka dużych gmachów. Bo też Paryż XV-go wieku miał jeszcze dość mało wielkich budowli. Kręte, wąskie ulice, domy w znacznej części z drzewa i wapna. Do budowy publicznych gmachów używano zazwyczaj miękkiego kamienia, znajdującego się w pobliżu miasta, który miał jednak tę wyborną właściwość, że twardniał w zetknięciu z powietrzem. Okna tylko w zaniedbanych domach były jeszcze zasłonięte woskowym płótnem, aby przepuszczały światło. Na tych płótnach malowano najrozmaitsze ozdoby, herby, znaki rodzinne, groteski. Jeszcze w r. 1571, gdy Elżbieta Austryjaczka wjeżdżała do Paryża, okna biskupiego pałacu były zasłonięte takim płótnem z malowaniami. W uboższych domach używano papieru, a po deszczach i wiatrach całe strzępy rozdartych zasłon urozmaicały ulice. Erazm roterdamski chwali owe dziury w oknach, bo to jedyńy sposób przewietrzania mieszkań. Osobliwie w Anglii zachwycał się temi dziurami, bo tam często po lat dwadzieścia wsiąkają w podłogę rozmaite

nieczystości, plwociny, rozlane piwo i resztki ryb, wydające niemożliwe odory. Montaigne do końca życia nie mógł zapomnieć robactwa i zepsutych jaj w Kolegium Montaigu.

W zamożnych domach widać było okna z małych szyb szklanych, oprawnych w olów.

Paryż był już wówczas przystanią mnóstwa cudzoziemców. Anglicy, Niemcy, Szkoci, Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy i podróżni z północnych krajów tam się spotykali. Hoteli dla zamożniejszej publiczności było dużo, połączonych oczywiście ze stajniami, bo większa część rycerstwa podróżowała konno. Nie spotkałem się wprawdzie z szczegółowym opisem paryskiego hotelu z owych czasów, ale zapewne były tam i takie, jak Erazm roterdamski opisuje sympatyczną gospodę w Lyonie. Tak mu tam było dobrze, że nie mógł się rozstać z Syrenami w postaci właścicielki hotelu i jej córek. Zdawało mu się, że się znajduje pomiędzy dobrymi przyjaciółmi; taka miła była pogadanka z temi paniami. Stół był obficie zastawiony, a nasz uczony nie mógł zrozumieć, że za wszystko tak mało zapłacił. Wygodę mieli goście, o jakiej tylko zamarzyć można: osobne sale do rozbierania się, osobne do mycia, a nawet do odpoczynku. Córki gospodarstwa przychodziły się pytać, czy nie będzie bielizny do prania, i przynosiły czystą. Gdy gość odjeżdżał, całowały go, ścisnęły z taką czułością, jakby był bratem lub bliskim krewnym. Trzeba jednak dodać, że Erazm był wtedy jeszcze młodym i umiał się kobietom przypodobać.

Elegancki ruch uliczny skupiał się w Paryżu w okolicy tak zwanego Palais, na wyspie na Sekwanie (Ile de Palais). Pałac był pierwotną rezydencją królów francuskich i dopiero za Henryka II. odstąpiono go parlamentowi. Wokoło, w całej dzielnicy poumieszczały się najpiękniejsze sklepy; panie z arystokracji przybywały tam na zakupna w lektykach, obitych aksamitem, haftowanych złotem lub srebrem w rozmaite godła. Ulubionym wehikułem była dla pań lektyka, tak zwana roulette na trzech kółkach. Przodem, przed roulette, szedł galonowy służący, a dwóch z tyłu popychało ten wózek. Nawet panie z królewskiego rodu można było spotkać koło Palais, a młodzież dawała tam sobie rendez-vous, aby oglądać piękne Paryżanki. Poseł wenecki, Lippomano, nazwał ten pałac strę-

czyicielem zakochanych *«il ruffiano delli amanti»*. Mody męskie były pełne różnorodności, a Lippomano pisał, że się zmieniają z dnia na dzień, prawie z godziny na godzinę. Na krótkim *pourpoint*, przybranym haftami, zawieszala młodzież płaszcz przez ramię; jeden rękaw kaftana był otwarty, drugi zapięty, na kołpaku pióropusz i agrafy. Kobięce mody były stalsze. Szlachcianki w maskach nosiły czarny, aksamitny kapelusz i odznaczały się szerokimi rękawami u sukien; mieszczańki nie miały maski, a kapelusz nosiły z czarnego sukna i wąskie rękawy. Był to zwyczaj, którego nie przekraczano. Panie wyższego świata już wówczas nosiły peruki, upstrzone klejnotami, panny wychodziły na ulicę tylko z matką i kobiecą służbą. Francuskie kobiety miały jednak daleko więcej wolności, aniżeli panie we Włoszech; do tej swobody niemało się przyczyniały gry towarzyskie na świeżem powietrzu, a przede wszystkim gra w piłkę (*jeux de paume*), która się zczasem zmieniła w tennis. Towarzystw tenisowych w Paryżu liczone przeszło dwa tysiące, a właściwie zamiłowanie do tej gry przeszło z Francji do Anglii. Francuzki okazywały nadzwyczaj dużo zręczności i kokieterji w tych grach, a na placach tenisowych zawiązywało się, podobnie jak później, mnóstwo miłosnych stosunków.

Obok tenisa należał taniec do najulubieńszych zabaw Francuzek; jeden z Anglików wyśmiewał się z Paryżanek, że nawet stare kobiety, należące do wyższych i niższych stanów, mające nie więcej zębów, jak wielkich palców, wyskakują z siedzeń, jak klawisze klawicymbała, aby nie opuścić żadnego tańca. Złośliwy Anglik, Dallington, robi nawet uwagę, że Francuzki rzadko kiedy porzucają katolicyzm, bo namiętnie lubią tańczyć, a duchowni hugenoccy zakazują tańców swym wyznawcom.

V.

Włoskie Odrodzenie wchodziło do Francji, że się tak wyrażę, wszystkimi porami, i to bardzo wcześnie, a pomiedzy tymi, którzy nadzwyczaj dużo się przyczynili do rozszerzania nowych idei, byli tak zwani Lombardzi, kupcy i ban-

kierzy z Genuy, z Florencyi i Pizy, a nawet z południowych Włoch i Sycylii. Dowcipny kronikarz Salimbene powiada o nich, że to są ludzie nadzwyczaj obłeśni i zmienni, mówią inaczej, a inaczej robią, podobni do węgorzy: im bardziej ściszasz rękę, tem prędzej ci się wymkną. Już z początkiem XII. wieku było ich niemało we Francyi, a w wojnach krzyżowych odgrywali ważną rolę. Rycerze francuscy walczyli, a Lombardzi uważali wyprawę do ziemi świętej za wielki finansowy interes i zwozili do Włoch niesłychane bogactwa.

Genueńczycy dostarczyli świętemu Ludwikowi dziesięć tysięcy płatnego wojska i obowiązali się przewieźć cały kontyngent do Palestyny, a równocześnie przyjmowali z wielkimi honorami ambasadę sułtana z Egiptu, a nawet wypożyczali muzułmanom swoje okręty. A gdy św. Ludwik, chcąc się wykupić z niewoli, oddał muzułmanom miasto Damietę, Weneccyanie i Genueńczycy oburzali się i uważali rycerzy francuskich za największych wrogów, ponieważ przez oddanie Damietty pozbawili ich wielkich zysków kupieckich na Wschodzie. Bohaterowie chrześcijańscy szukali w wojnach krzyżowych tytułów i księstw, Lombardzi zadawali się złotem. W sprawach pieniężnych byli ci Włosi nieubłagani; dawna piosenka francuska powiada: »Litość Lombarda, praca Picarda, uległość Normanda, hojność Francuza, lojalność Anglika, pobożność Bourgignona — to wszystko nie warte zużytego korka«.

Pomiędzy Lombardami, osiadłymi we Francyi, byli ludzie bardzo wykształceni, a nawet jeden z Bardich, Roberto, przyrodnik, filozof, teolog, piastował przez lat czterdzieści godność kanclerza uniwersytetu paryskiego i umarł we Francyi około r. 1400. Petrarca pisał nawet wiersze na jego cześć. Boccaccio miał powody rodzinne, aby nienawidzić Lombardów, bo ojciec Boccaccia opuścił w Paryżu Francuzkę, jego matkę; daje więc bardzo niepoehlebny portret bogatego Lombarda, Franciszka Muschiat, który został we Francyi wielkim panem, u dworu miał wpływy, ale mimo to każdej chwili gotów był dać fałszywe świadectwo, oszukać bliźniego, a nawet okraść.

W Paryżu mieli Lombardzi kantory prawie na każdej ulicy. Głównym jednak ich zakładem był L'Hôtel de la Boiteaux-Lombards, w ulicy Saint-Denis. Tam mieściła się ich cen-

tralna kasa. Z końcem XIII. wieku uchodził za najbogatszego Lombarda niejaki Gandouffle d'Arcelles, który utrzymywał stosunki z najwybitniejszymi osobistościami w całej Europie i pożyczał znaczne sumy miastom francuskim. Lombardzi Biche et Mouche odgrywali także wielką rolę w Paryżu, a nawet jedna z wież starego Luwru nosiła nazwę Tour Biche-Mouche.

Handel francuski przeszedł w średnich wiekach w ręce Lombardów; francuscy kupcy nie byli zbyt przedsiębiorczymi, z wyjątkiem jedyne go Jacques Coeur, którego gotycki pałac w Bourges z XV. wieku do dziś dnia jest jednym z najpiękniejszych zabytków świeckiego budownictwa.

Bogaci Lombardzi zapowiadali Odrodzenie; ich pałace, domy w Paryżu i w Lyonie były urządzone często z wielkim przepychem. Przywozili ze sobą z Włoch obrazy, rzeźby, tkaniny, brokaty, a dzieci swoje wychowywali daleko lepiej, aniżeli francuskie rycerstwo.

W XI. i XII. wieku sztuka francuska przewyższała sztukę włoską. Włochy w tej epoce nie miały nic takiego, coby można porównać z francuskimi bazylikami stylu romańskiego, nie miały malowideł równych artystycznym dziełom w Saint-Savin, albo takiemu portretowi w Saint-Gilles, w pobliżu Arles. Nawet w XIII. stuleciu stoi Francya narówni z Włochami i dopiero w XIV. wieku Włochy ją wyprzedzają. Do Avignonu sprowadza się Szymon Martini i wielu innych malarzy mniejszej wartości. Duc de Berri, jeden z wykształconych amatorów sztuki, zakupuje włoskie obrazy. We Włoszech jednak już w średnich wiekach bardziej ceniono artystów, aniżeli we Francyi; tam znano powszechnie ich nazwiska, podczas gdy we Francyi najznakomitsi architekci katedr romańskich i gotyckich zostali anonimami.

VI.

Do rozbudzania ducha Odrodzenia we Francyi niemało się przyczyniła Walentyna Visconti, córka Jana Galeazza Viscontiego, którą nazwano »L'aurore de la Renaissance«. Tyran Medyolanu słynął z wielkich bogactw; więc Walentyna miała

już w dziecięcych latach mnóstwo ubiegających się o jej rękę. Zwyciężył bliski krewny, Ludwik książę Orleański, duc de Touraine, noszący tytuł hrabiego de Valois. Matka Walentyny była Francuzką, Izabella de France, z rodu Walezyuszów.

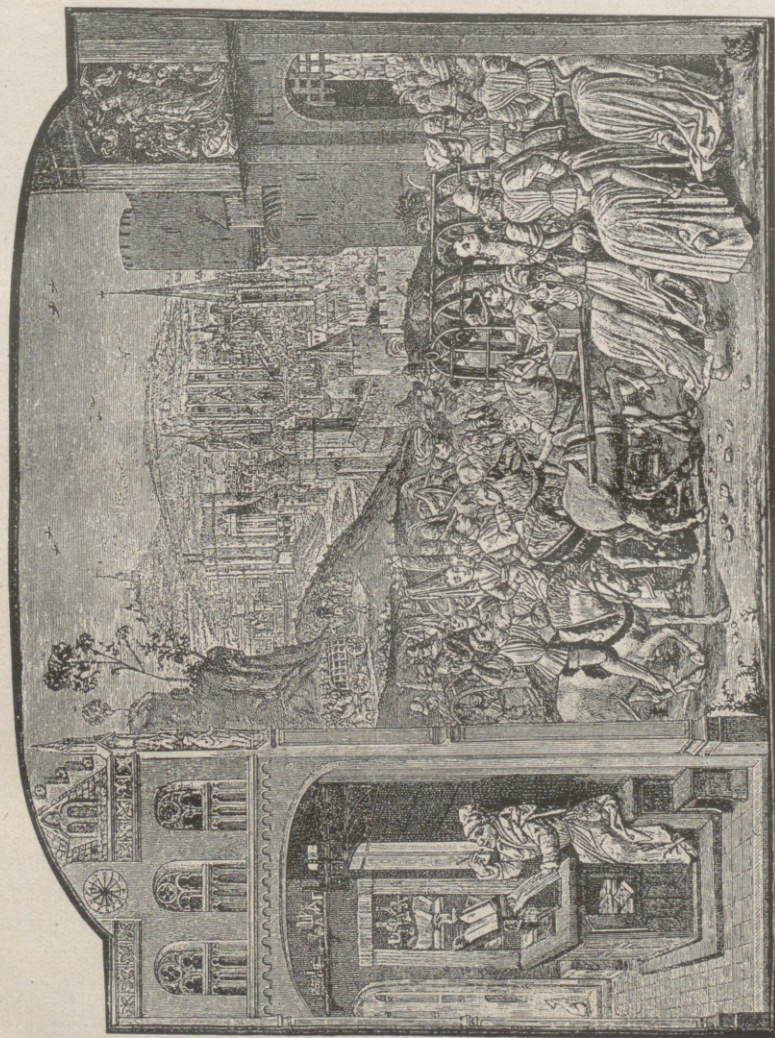
Wychowana w Pawii, w tym przepysznym zamku, gdzie turnieje, festyny, polowania z sokołami należały prawie do codziennych zabaw, młoda Walentyna, otoczona najznakomitszymi ludźmi północnych Włoch, mogła korzystać z ich towarzystwa i z jednego z najznakomitszych wówczas księgozbiorów. Obok Dantego, Petrarcki, Boccaccia były tam dzieła starożytnych pisarzy, Platona, Wergiliusza, Pliniusza i wielu innych. Niestety portretu księżniczki nie mamy; są tylko dwa rysunki, z których jeden przedstawia ją siedzącą, jak odbiera od duchownego Honoryusza Bousseta ofiarowaną jej księgę. Rysunek ten jednak zgadza się z licznymi opisami tej uroczej kobiety. Nie odznaczała się ona jakąś klasyczną pięknnością, ale była smukła, pełna gracyi, żywego umysłu, nadzwyczaj czarująca w obejściu. Jeden ze współczesnych podnosi dobroć jej serca i mówi, że wszyscy ją kochają, gdyż starała się każdemu dobrze czynić. Namiętnie lubiła sztukę i poezję, przysięgła górować czystością obyczajów nad zepsutym dworem Karola VI.

Ślawa jej zalet wyprzedziła ją w Paryżu; to też gdy po raz pierwszy, w sierpniu 1389, miała przybyć do stolicy Francji, witano ją z prawdziwym entuzjazmem. Miała wtedy lat osmnaście, a Ludwik de Touraine »prince charmant«, jak się wyrażają francuscy autorzy, wysoki, silny, bardzo zdolny, wymowny, był o rok młodszy od swej małżonki.

Dwudziestego drugiego sierpnia miał się odbyć wjazd Walentyny do Paryża wraz z królową Isabeau, małżonką Karola VI., z rodu Bawarką. Królowa, już od czterech lat zamężna, miała być dopiero teraz ukoronowaną; Walentyna przed czterema dniami została zaślubioną księciu Ludwikowi. Królowa miała dość powodów, aby nie lubić tej nowej intruzki w rodzinie. Po pierwsze Walentyna była od niej o wiele piękniejszą, o królowej mówiono:

Toy royne, dame Ysabeau

Enveloppée en laide peau.



Wjazd królowej Isabeau do Paryża i Froissard w swojej pracowni.
Froissarda rękopis we Wrocławiu.



Powtórę dynastia bawarska żywiła niechęć do Viscontich, ponieważ Bawarzy pragnęli przez małżeństwo jedynej córki księcia Medyolanu z księciem bawarskim opanować drogocenną spuściznę po Viscontich. Małżeństwo Walentyny z Ludwikiem francuskim udaremniało te projekty.

Wjazd królowej Isabeau i Walentyny do Paryża należał do najbardziej charakterystycznych uroczystości z końca czternastego wieku i zapowiadał niejako renesansowe festyny. Dwór królewski zebrał się 22. sierpnia 1389 w opactwie Saint-Denis i stamtąd wyruszył do stolicy. Isabeau spodziewała się wtedy potomka, co jej się bardzo często zdarzało, bo w ciągu swego małżeństwa z Karolem VI. miała dwanaścioro dzieci. Niesiono ją więc w lektyce, ubraną w płaszcz z niebieskiego aksamitu, zasianego liliami, haftowanymi złotem. Walentyna jechała konno, a im bardziej królewski orszak zbliżał się do bramy Saint-Denis, tem bardziej rosły tłumy ciekawej publiczności, tak, że jeden z kronikarzy sądzi, że sto dwadzieścia tysięcy konnych witało królową i Walentynę, co chyba było przesadą zwykłą u ówczesnych kronikarzy. Wąskie jednak i kręte ulice Paryża, okna i dachy domów były zapelnione ludem, tem bardziej, że oprócz orszaku królewskiego rozmaite inne niespodzianki czekały na Paryżan. Mieszczanstwo stolicy, bardzo wówczas zamożne, wystąpiło w tysiąc dwieście koni. Ubiory mężczyzn były prawie jednego koloru, barwa zielona ze złotem przeważała.

Szlachetny napój zapowiadał wesoly dzień. W ulicy Saint-Denis urządzono fontannę, bijącą winem, a najpiękniejsze dziewczęta w uroczych strojach, w złożonych kapeluszach, śpiewały jakąś wesolą pieśń i ofiarowały każdemu, kto się do nich zbliżył, pełne kielichy.

Dalej w ulicy rycerskie przedstawienie. W tych czasach w świeżej jeszcze pamięci były walki z niewiernymi. Więc na wysokiej trybunie Ryszard Lwie-serce naciera ze swymi rycerzami na Saracenów. Naturalnie muzułmanie zostają pobici, a publiczność cieszy się i wita zwycięzców zwykłym wówczas radosnym okrzykiem: »Noel! Noel!«

Jeszcze większa niespodzianka czekała królową i Walentynę w drugiej, wewnętrznej bramie St. Denis. Dostojne panie

wjeżdżały do raju. W niebie króluje Bóg-Ojciec z Synem i z Duchem świętym; dwaj aniołowie wychodzą z raju i wkładają koronę ze złota i drogich kamieni na głowę królowej Isabeau, śpiewając:

Dame enclose entre fleur de lys,
Reine estes vous de Paris
De France et de tous pays...
Nous en rallons en Paradis!

Powitawszy królową śpiewami, wracają aniołowie do nieba, a procesya ruszyła dalej, aby niebawem znowu się zatrzymać przy groźnym przybytku sprawiedliwości, przy Châtelet. Tam żywy obraz, znamionujący czasy. Na paradnem łożu sprawiedliwości spoczywa: Madame Saint-Anna. W pobliżu łoża las, w nim zające, króliki i latające ptaki. Z głębi wychodzi biały jelen; gonią go orzeł i lew; chcą go pożreć. Jeleń chroni się przed łożem sprawiedliwości, i nie napróżno. Dwanaście dziewic z mieczem w ręku rzuca się na drapieźników i ratuje jelenia. Przed niewinnością pierzcha zbrodnia.

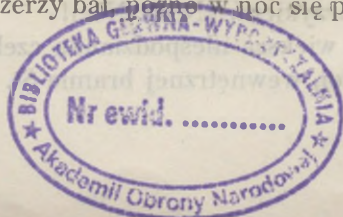
Nie na tem koniec.

Przed katedrą Notre-Dâme, gdzie się miała odbyć koronacja, przedstawienie, któreby dzisiaj nie bardzo się zgadzało z uroczystością chwili. Genueński linoskoczek wychodzi z wieży kościelnej na linę, przeciągniętą stamtąd do szczytów pobliskiego domu, trzymając w rękach dwie zapalone pochodnie, i wywołuje zdziwienie tłumów, a zapewne i królowej z otoczeniem.

Wreszcie ostatni akt tego pochodu. Arcybiskup paryski w otoczeniu kleru wprowadza królową do świątyni, wkłada jej z wszelkimi ceremoniami nową, wspanialszą koronę na głowę, a królowa każe oddać ową koronę, którą otrzymała w bramie Saint-Denis, do skarbcza katedry.

Znużone towarzystwo udaje się przy świetle pochodni do pałacu królewskiego, do dzisiejszego pałacu sprawiedliwości, gdzie już przygotowana wieczerza.

Ale ówcześni ludzie mogli znosić cały szereg nużących przyjemności. Po wieczerzy bal, późno w noc się przeciągający.



VII.

Karol VI. niedarmo czuł się królem; używał życia bez miary i bez zastanowienia, dopóki nie oszalał. Walentyna przybyła do Francji w chwili, kiedy dwór królewski wrzał od zabaw. Bale trwały prawie bezustannie; po wyuzdanych tańcach matrony opuszczały sale i wtedy rozpoczynały się orgie. Mężowie zamieniali żony, przebierano się, zrzucano suknie, ukrywano się za kotarami. Walentyna jednak umiała strzec swego honoru i zachowała wierność mężowi, którego całym sercem kochała. Toaletami swemi wyróżniała się od wielu Francuzek, które, idąc za przykładem królowej, posuwały mody do dziwactwa. Dość powiedzieć, że panie wielkiego świata kazały sobie na głowie urządzić tego rodzaju piramidę, że trzeba ją było podtrzymywać całym rusztowaniem podpór i poduszek. Do częstych ozdób należały rogi, jakby miały zapowiadać mężom, co ich czeka. Królowa Isabeau musiała rozszerzać odrzwia pałacu w Vincennes, aby zaproszone panie mogły się zmieścić, wchodząc do salonów. Lecz nie tylko na wysokość trzeba było odrzwia podnosić, ale i rozszerzać je, ponieważ suknie były o niesłychanej objętości, a do niesienia ogona z drogiej, ciężkiej materji trzeba było dwóch paziów. Taka eleganterka miała mimo to dużo do noszenia, bo już sam aksamit, brokat lub atlas, haftowany złotem lub srebrem, ważył niemało; ale to nie zadawało wielkich pań, nosiły bowiem na złotym łańcuchu cały zbiór rozmaitych bihelotów, relikwiarzy, kluczy i innych drobnostek, wysadzanych kosztownymi kamieniami. Wogóle klejnoty należały do najpowszechniejszych ozdób, noszono ich niesłychaną ilość, a niektórym kamieniom przypisywano moc czarodziejską.

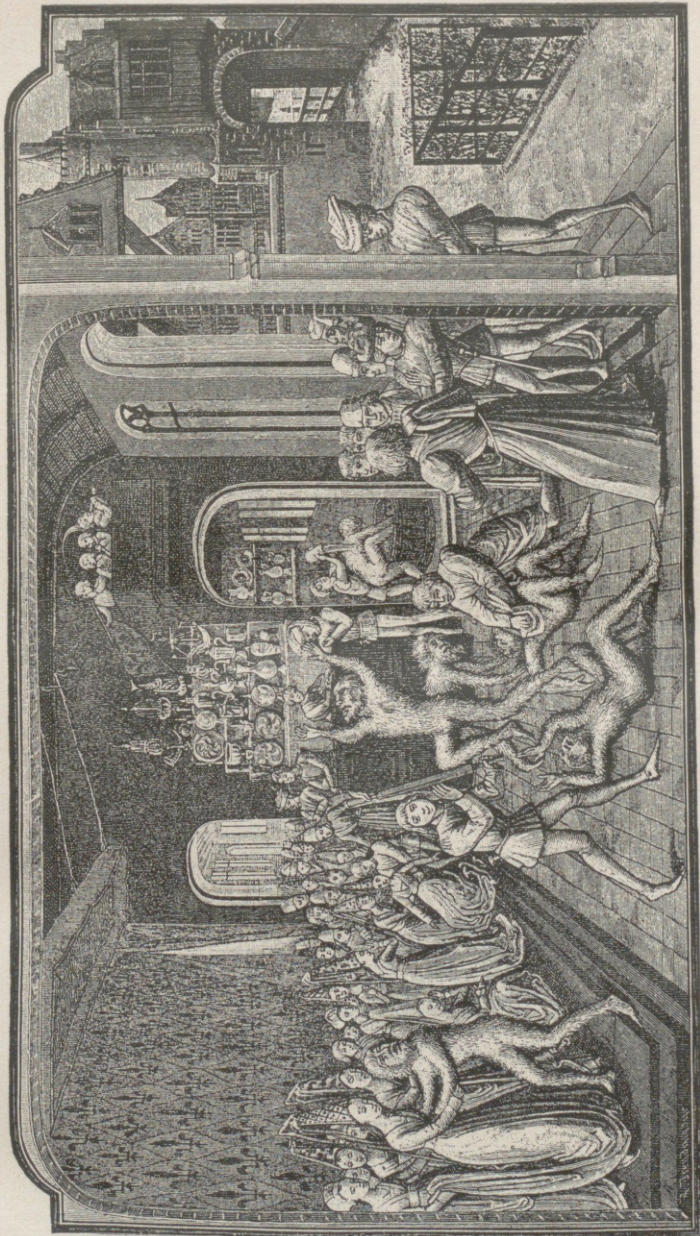
Klejnoty zresztą ozdobiąły szyję i gors, a nie zakrywały, jak koronki i materye, tych części ciała, które pokazać chciano. Jeden z kronikarzy powiada, że w towarzystwie dworskiem zdawało się, iż się znajdujemy wśród tych obnażonych bóstw, o których nam wspominają starożytni pisarze. Ponieważ wówczas podczas większych zjazdów mieszczono się po klasztorach, więc zdawałoby się, że w tych poświęconych murach

starano się o przyzwoite zachowanie się. Ale gdzie tam: i tu działy się takie orgie, jak w prywatnych domach.

Ludwik orleański i Walentyna mieszkali w gmachu, tak zwanym Saint Pol, ale na nieszczęście i królestwo mieli tam swoje apartamenty. Bliskie sąsiedztwo przyczyniało się do nieporozumień pomiędzy braterstwem, zwłaszcza że z królową niełatwo było utrzymać dobry stosunek. Isabeau, przewidując, że król może żyć niedługo, starała się wszelkimi sposobami oddalić Ludwika orleańskiego, a przede wszystkim jego rozumną żonę od tronu i były poszlaki, że królowa chciała otruć Walentynę, która miała większy wpływ na Karola VI., aniżeli ona.

Trucicielstwo i zabobon były wówczas ciężką plagą społeczeństwa. W lipcu r. 1390 aresztowano w Paryżu pustelnika, który na swoje mniemane ubóstwo za dużo wydawał pieniędzy. W jego torbie znaleziono jakieś ziele „jacia nigra“, które miało być trucizną dla ludzi, tudzież inne, mniej niebezpieczne liście, szkodliwe tylko dla pcheł. Z dochodzenia okazało się, że ów pustelnik miał zamiar otruć króla. Wogóle eremici byli bardzo niebezpiecznymi włóczęgami; przywdziawszy habit zakonny i wołając, zwłaszcza po ulicach Paryża: »Au pauvre Crist hermite aumone pour Dieu!« wyludzali nietylko jałmużnę, ale stali się wykonawcami rozmaitych zbrodni, zwłaszcza dostarczali trucizn, napadali podróżnych i okradali pielgrzymów, idących do miejsc słynnych cudami.

Eremitę powieszono, ale cel jego zamierzonych zbrodni nie został wyjaśniony; bądź co bądź, pozostało mniemanie, że ktoś czyha na życie królewskie. Równocześnie prawie zaczęto szeptać pomiędzy ludem, że choroba Karola VI. jest skutkiem czarów, że bratowa Włoszka ma jakiś tajemny, szkodliwy wpływ na niego. Publiczność francuska była niesłychanie w tej mierze łatwowierną i chwytiała każdą sposobność, aby podejrzewać o czary najznakomitsze nawet osobistości. Zdaje się, że źródłem tych plotek była królowa Isabeau, która coraz bardziej nienawidziła Walentynę, gdyż Karol VI. szczególnie przywiązywał się do bratowej i ona jedynie miała na niego wpływ kojący w chwilach melancholicznych napadów. Przeciwnie,



»Bal dzikich« na królewskim dworze w Paryżu za Karola VI.
Miniatura w rękopisie Froissarda. (Stadtbibliothek we Wrocławiu).



gdy tylko był chory, nie znosił przy sobie małżonki i wołał, aby się oddaliła.

Isabeau dokazała tego za pomocą mnichów i zaufanych intrygantów, że umyslową chorobę króla przypisywano wpływom Walentyny, która pragnęła jego śmierci, aby główną osobistością w państwie został jej mąż, książę Orleanu. Doszło do tego, że pobyt Walentyny w Paryżu stał się dla niej niebezpiecznym. Wzywano do monarchy najznakomitszych lekarzy, a gdy ci nic nie pomagali, udawano się do czarodziejów i magików. Jeden z tych »uczonych«, nie mogąc króla uzdrowić, utrzymywał, że jest ktoś, co przeszkadza skuteczności jego zaklęć; skutek był oczywiście taki, że padło podejrzenie na Walentynę, ulubienicę Karola VI.

Z końcem stycznia 1392 urządzono w pałacu królewskim słynny »Bal des sauvages« z powodu zaślubin pani de Hainceville. Tancerze, z królem na czele, pozaszywani w skóry dzikich zwierząt, w maskach, wpadli do sali, porywali panie do tańca, pozwalając sobie z niemi poufałości, do których tylko dzikość upoważniała. Wśród najzapamiętalszej zabawy wszedł książę orleański, mąż Walentyny, a chcąc się przypatrzeć jednemu z »dzikich«, zanadto zbliżył do niego pochodnię. Sierść futra się zapaliła; inni przybiegli zagasić niebezpieczny pożar, płomienie ogarnęły kilku tancerzy, powstała katastrofa. Prawie wszyscy, z wyjątkiem króla, strasznie się poparzyli; jeden tylko »dziki« miał tyle przytomności, że wskoczył do beczki z wodą, stojącej w kredensie, przeznaczonej do umywania naczyń.

Czy Walentyna była na tym balu, nie wiadomo; ale rozgorączkowana już przeciw niej opinia ludu paryskiego jeszcze się wzmogła, zwłaszcza że bezpośrednim powodem nieszczęścia, któremu mógł i król ulec, był Ludwik orleański. Oskarżono więc Walentynę o czary; gdyby nie była księżną, należąca do królewskiej rodziny, wytoczonoby jej proces i spalono na stosie. Królowa Isabeau i inni nieprzyjaciele Włoszki nie mogli się odważyć na taki krok, zwłaszcza że król nie byłby pozwolił na proces. Dopóty jednak przeciw niej intrygowano, aż zmuszono ją do wyjazdu (1396, na wiosnę) na prowincję, do zamku Asnières.

Było to wygnanie. Walentyna, wydalona z Paryża, oddała się wychowaniu dzieci; w zamkach, w których często mieszkała, w Asnieres, w Gouvieux, w Villers-Cotteret przyjmowała rody, do niej zbliżone, dużo budowała, skupywała książki i to były czasy, kiedy wielki wpływ w duchu Odrodzenia miała na francuską prowincję. Była bardzo hojna dla przyjaciół, rozdawała mnóstwo klejnotów pomiędzy sympatyczne jej osobistości, dawała bardzo artystycznie oprawić swe książki, najczęściej w Paryżu, u księgarza Jana d'Arras. Czytywała wszystko, co wówczas było w modzie, a więc historje o królu Artusie, »Guiron le Courtois«, Ojców Kościoła, nawet trochę rzymskich klasyków; kazała artystom ozdabiać miniaturami dzieła ze swej biblioteki i utrzymywała ciągłe stosunki z głośnymi wówczas autorami. Do nich należał przede wszystkim Eustachy Deschamps, któremu ofiarowała bardzo artystycznie wykonany, kosztowny relikwiarz.

Najulubieńszą książką była wówczas »Le livre des Cent ballades«, pełna wierszowanych rozpraw o miłości. Jedna z tych ballad, najbardziej pobudzających do salonowych dyskusyj, zajmowała się pytaniem, co właściwie lepiej: czy kochać wierne jedną kobietę przez całe życie, czy oddawać swe serce jak najczęściej. Sto ballad stara się przekonać czytelnika to w jednym, to w drugim kierunku, a wreszcie trzynastu rycerzy daje odpowiedź, zdążającą do moralnego rozwiązania kwestyi.

Mąż Walentyny także zamieścił tam moralną balladę, pomimo, że czynami dowiódł, że się tam wypowiedzianych zasad nie trzymał.

W wolnych chwilach grywała Walentyna »Un jeu de quatre sarrazines«, w karty, które przywiozła ze sobą jeszcze z Medyolanu, co dowodzi, że podanie, jakoby karty wynaleziono we Francyi, aby zabawiać chorego Karola VI., nie jest prawdziwe i należy je o tyle sprostować, że Walentyna nauczyła króla gry, znanej już we Włoszech.

Spokojne i stosunkowo szczęśliwe życie Walentyny na prowincyi nie długo trwało. Rywalizacja polityczna domu burgundzkiego z Orleanami doprowadziła do smutnej dla niej katastrofy. Jean sans Peur, człowiek gwałtowny, podstępny,

nie mogąc znieść swego rywala, Ludwika d'Orléans, kazał go zamordować pod pozorem, że Ludwik czyha na życie Karola VI., aby objąć panowanie po bracie. Lud paryski sprzyjał Janowi burgundzkiemu, ponieważ ten ksiązę obiecywał zmniejszyć gminne ciężary. Wobec tej popularności Jana burgundzkiego zdawało się, że nikt się nie odważy na wytoczenie mu procesu o morderstwo Orleana; ale Walentyna postanowiła pomścić śmierć męża. Jean sans Peur oddał swą obronę przed parlamentem franciszkaninowi Janowi Petit, doktorowi teologii, który w gwałtownej, kilka godzin trwającej obronie dowodził, że ksiązę burgundzki postąpił patriotycznie, polecając zamordowanie Orleana.

Według obrońcy jednym z głównych powodów, dla których Jean sans Peur powinien był zgładzić Orleana, był następujący. Orlean oddawna czyhał na życie Karola VI., chcąc po królu objąć panowanie. W tym celu po porozumieniu się z dyabłami, kazał sobie zrobić pierścień z drzewa dereniowego i ten pierścień zanurzył w krwi czarnego koguta i białej kury. Wskutek tej operacji miał ów amulet tę właściwość, że każda kobieta, której Orlean dotknął pierścieniem, musiała mu ulec; ale to dotknięcie mogło, stosownie do woli księcia, wywołać także śmiertelną chorobę. W tej myśli i w tym celu używał on pierścienia, aby króla pozbawić życia. Za pierwszym dotknięciem monarcha wyłysiał i po części stracił paznokcie, za następnymi dotknięciami rozwinęły się cięższe choroby, wskutek których mógł król umrzeć.

Podobnych niedorzeczności przytoczył doktor teologii jeszcze więcej, a zabobonna publiczność była przekonana, że zamordowanie Orleana zostało zupełnie usprawiedliwione.

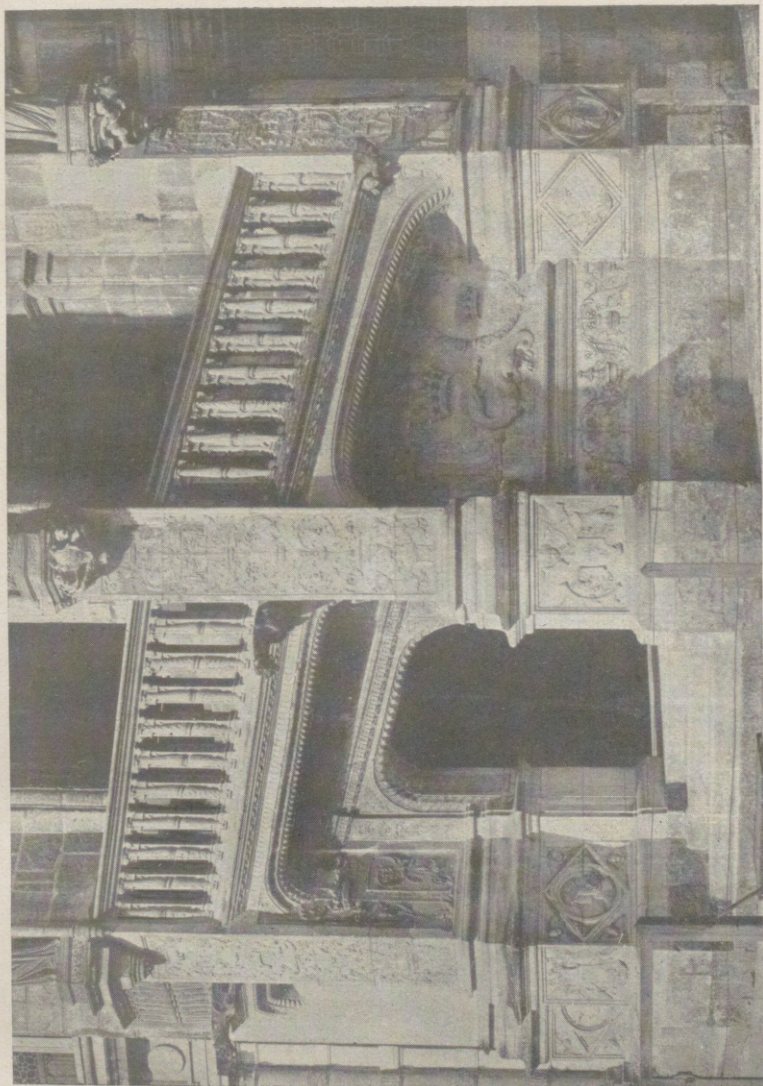
Walentyna starała się oczyścić pamięć męża; ale Jean sans Peur miał za silne stronnictwo, a król był niedołężny, więc opuszczona przez naród i cały dwór, zamknęła się w Blois, a na czarnych draperyach smutnych komnat kazała napisać często później powtarzaną dewizę: »Rien ne m'est plus, plus ne m'est rien«.

Zakończenie stuletnich wojen z Anglią stało się dla Francuzów nową pobudką, aby się zapoznawać z ruchem renesansowym we Włoszech, zwłaszcza że pretensye Karola VII. do tronu neapolitańskiego, a Ludwika XII. do panowania nad Medyolanem skłoniły tych królów do politycznie płonnych, ale artystycznie i kulturalnie ważnych wypraw na półwysep Apeniński. Młodzież rycerska we Francyi marzyła tylko o cudnej włoskiej ziemi i o pięknych tam kobietach. Przywożono z Włoch obrazy, rzeźby, sprowadzano artystów i rzemieślników. Francuscy kardynałowie, przebywający w Rzymie, nie mało się także przyczyniali do spopularyzowania renesansu w ojczywym kraju, a do nich należał przede wszystkim kardynał Guillaume d'Estouteville, który bawił pod sześcioma papieżami nad Tybrem, protegował artystów i wybudował w Gailon przepyszny zamek pod wpływem nowych artystycznych idei. Propaganda odrodzenia nie mało także zawdzięczała kardynałowi George d'Amboise, przyjacielowi i doradcy Ludwika XII., który taki miał wpływ we Francyi, a nawet w Rzymie, że gdy Juliusz II. dowiedział się o jego śmierci, wykrzyknął z radością: »Ah! nareszcie jestem jedynym papieżem!»

VIII.

Za znaczną część posagu Walentyny nabył Ludwik orleański odwieczny zamek feudalny Blois, będący w posiadaniu rycerskiego rodu de Châtillon. Ówczesny właściciel tej dużej posiadłości, Guy de Châtillon, zadłużywszy się u Lombardów, musiał ją sprzedać; wymówił sobie jednak dożywocie na zamku z przyległościami. Umarł już w r. 1397, tak, że Walentyna jeszcze przed śmiercią męża mogła się tam sprowadzić. Zamek o grubych, szarych murach leżał na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na równiny wzdłuż rzeki Sologne i na dolinę Loiry.

Mury były ponure, ale okolica przepyszna. Po zamordowaniu męża Walentyna schroniła się tam z dziećmi, obawiając się gdzie indziej napadu Burgundczyka, i odtąd zamek ten odgrywał ważną rolę w dziejach przedrenesansowych i w czasach Walezyuszów.



Wielkie wschody w zamku Blois.



Ta feudalna siedziba miała pewną literacką tradycję, tam bowiem za Guya II. przebywał często Jean Froissart, i pisał poezye, tudzież swoją tak zajmującą kronikę; tam Charles d'Orléans, syn Walentyny, sam poeta, gromadził najznakomitszych uczonych i artystów. Karol orleański, chcąc pomścić śmierć ojca, sprowadził Anglików do Francji; wzięty jednak do niewoli w r. 1415 w bitwie pod Azincourt, musiał błęd swój odpokutować dwudziestopięcioletniem więzieniem. Powróciwszy do Blois, oddał się literaturze i sztuce, i z tych czasów zdaje się pochodzić jego wiersz o budzącej się wiosnie, zapowiadający formą i tchnieniem renesansowego Ronsarda.

Charles był po trzy razy żonaty; z ostatniej małżonki, Maryi de Clèves, miał syna, który po śmierci Karola VIII. zasiadł na tronie francuskim jako Ludwik XII., Père du peuple.

W zamku w Blois, w tej wspaniałej sali, w której za Henryka III. odbywała się rada Stanów, zakończona podstępem morderstwem Guisa, ogłosił Ludwik XII. swe słynne »Ordonnances de Blois«, kodeks, będący na długie czasy podstawą siły i porządku francuskiego królestwa.

Zamek Blois nazwano trylogią francuskiej architektury: jedna część, do której się sprowadziła Walentyna, to średnie wieki rycerskie, druga, dzieło Ludwika XII. i jego budowniczych, zapowiada Odrodzenie, a trzecia, najwspanialsza, wybudowana za Franciszka I., to już zupełny francuski renesans. Architekci tych olbrzymich gmachów mają tę ogromną zasługę, że byli szczerymi Francuzami w sztuce, że ich budowle nie mają nic włoskiego, że się trzymali rodzimych tradycji, udoskonalając je coraz bardziej. Pod tym względem ma więc zamek Blois, tudzież późniejszy Chambord, wyższość nad gmachami w Fontainebleau i wielu innymi królewskimi siedzibami, które powstały we Francji w XV. i XVI. wieku.

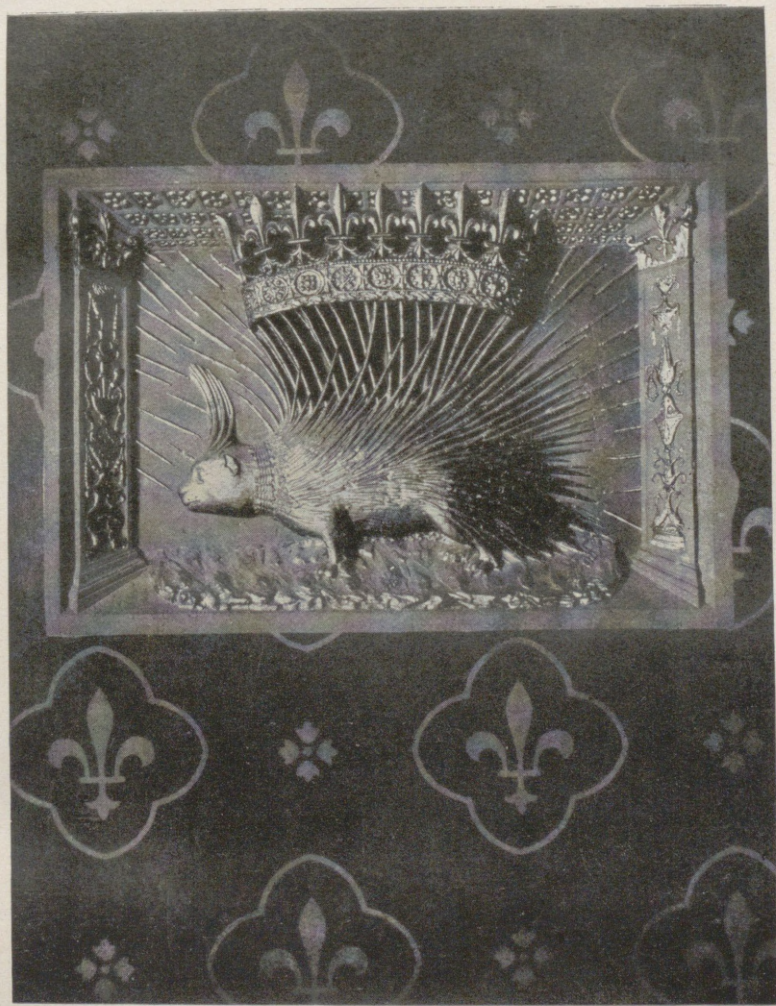
Froissart powiada, że w r. 1388 »le chastel étoit bel, grand, fort et plantureux, l'un de plus beaux de royaume de France«. Odtąd stał się zamek Blois niejako symbolem dawnego królestwa we Francji. Część zbudowana za Ludwika XII. jest dla nas najciekawsza, łączy bowiem tradycje średniowiecznego budownictwa z nowszymi ideami, które nie mają już na celu obrony przed wrogim sąsiadem, ale uprzyjemnienie, upiększe-

nie rodowej siedziby. Ornament ma tam niewyczerpane źródło w tradycjach właścicieli zamku, w godłach i herbach, w których się lubowali, zmieniając je według ważnych zdarzeń w życiu, według upodobania i fantazyi.

Mury skrzydła Ludwika XII. obfitują w te znaki, powszedni, heraldyczne, bo tak król, jak jego małżonka, Anna Bretonka, chętnie na nie spoglądali. To też, gdziekolwiek się zwrócimy, wszędzie napotykaemy owego jeża, trzymającego koronę na swych kolcach, emblemat Ludwika XII., bretońską łąsicę-gronostaja, kwiat lilii francuskiej, początkowe cyfry imion królewskiej pary L. A. w malowniczych zestawieniach, a nawet ten węzeł franciszkański (la cordelière), świadczący o ówczesnej popularności zakonu świętego Franciszka, węzeł, który zresztą nie bardzoby się nadawał do dekoracyjnych upiększeń.

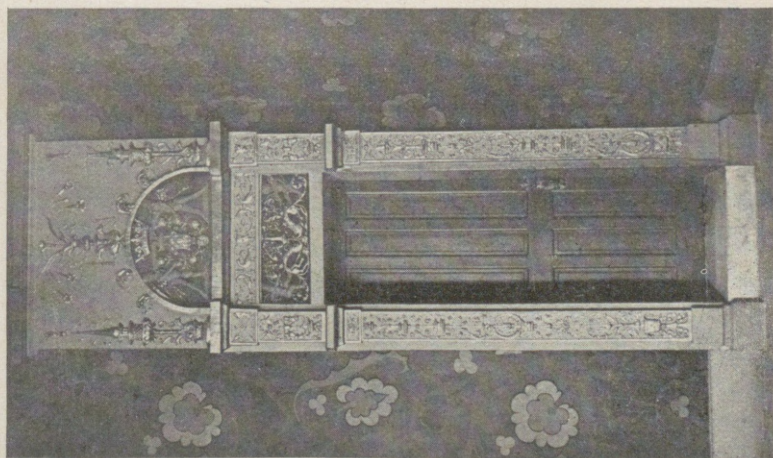
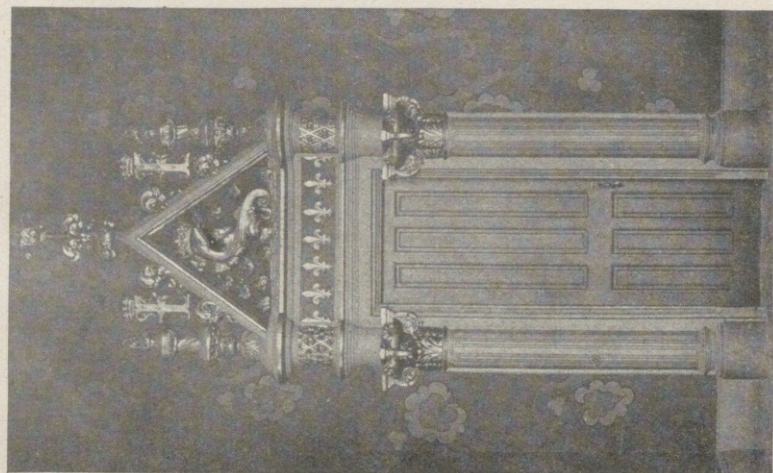
Monotonie murów przerywał materyał, użyty do ozdobienia fasady, a mianowicie czarne i czerwone cegły, od których odbijały kamienne obramowania okien, karniszy i balustrady. Przepyszne lukarny, oprawione w cienkie wieżyczki, wznosiły się nad balustradą, a wysoki dach, pokryty kolorowanymi dachówkami z ołowiu, gdzie niegdzie lśniący złotem, przyczyniał się do barwności całego obrazu. Nad bramą na lewo wznosiła się konna statua rycerza, w ciągu wieków zniszczona, ale w późniejszych czasach zastąpiona nową postacią dłuta p. Seurre, przewyższająca podobno swą pięknnością dawną rzeźbę. W architektonicznych ozdobach podziwiać trzeba geometryczne subtelności rysunku, tak charakterystyczne w budowlach owej epoki.

Wewnątrz sal zamkowych wielką ozdobą są kominki, z których osobiwie kominek z jeżem Orleanów należy do najpiękniejszych tego rodzaju zabytków. Pod tym heraldycznym znakiem braknie tylko owej dumnej dewizy Orleanów: »Qui s'y frotte, s'y pique«, któraby w wolnem tłumaczeniu mogła brzmieć: »Kto ze mną zadrze, pożałuje«. Do rozweselenia komnat przyczyniały się niemało kobierce, rozwieszane po ścianach, i powały, bogato malowane żywymi barwami, w których przeważały kolory niebieski lub czerwony, ze złotem. Do najpiękniejszych części budowy Ludwika XII. należy ka-



Jeźozwierz, znak rodu Orleanów w zamku Blois.





Odrzwia w »Salle des gardes« w zamku Blois.





Anna Bretonka.

Miniatura Jana Bourdichon w »Heures d'Anne de Bretagne«.

Anna Boletrys

4 5 3.

plica de Saint-Cadais z herbowemi znakami króla i Anny bretońskiej i dewizami: »A ma vie«, tudzież: »Cominus et eminus«.

Jean Bourdichon, malując swą prześliczną miniaturę w modlitewniku Anny Bretonki, może miał na myśli królową klęczącą w tej kaplicy. Wprawdzie za tło służyły mu skaliste pagórki i rycerskie zamki, ale królowa klęczy tam, jakby w kościele. Artysta chciał widocznie pochlebić królowej, bo oddał ją piękniejszą, aniżeli była, a trzy święte kobiety, które stoją poza nią, bynajmniej nie przyćmiewają uroku Bretonki¹⁾.

Historycznie najciekawszą częścią zamku Ludwika XII. jest sala, zwana Salle des États, której początki odnoszą się aż do XIII. wieku. Dwa rzędy kolumn rozdzielają ją na trzy nawy i tam odbywały się w średnich wiekach zebrania feudalnych baronów i rycerskie festyny. Tam zebrały się w r. 1588 posiedzenia stanów, zakończone strasznym dramatem, zamordowaniem Gwiza, o czem jeszcze mówić będziemy. Dzisiejszy stan tej sali tylko w części przypomina dawniejszą jej wspaniałość.

Smak renesansowy włoski wkradł się w Blois za Ludwika XII. tylko do ogrodów, które zamek otaczały. W swych wyprawach do Włoch zachwycał się monarcha tamtejszemi ogrodami we Florencyi i w Neapolu i sprowadził artystę Pasela z synem Adme'm, dał mu tytuł »de jardinier-concierge« i darował posiadłość Chateau-Gaillard. Jako jedyny czynsz z tych dóbr wymówił sobie król, aby mu stamtąd przywożono co roku bukiet z kwiatów pomarańczowych. Miało to być przypomnienie Włoch, które go wiązały z tradycjami babki Walentyny, a zarazem wyraz wdzięczności dla owego ogrodnika, który pierwszy sprowadził drzewo pomarańczowe do Tourainy. Z tych ogrodów już nic nie pozostało, ale słynny architekt Du Cerceau zachował nam ich plany, partery, pawilony, rozciągające się na dużej przestrzeni, łączącej niejako zamek z lasem, w którym się chowała zwierzyna²⁾.

¹⁾ Heures d'Anne de Bretagne w bibliotece nacyjonalnej w Paryżu (Latin 9474). Wydane z rękopisu w r. 1907, w fototypii (maison Berthaud), z sześćdziesięcioma trzema miniaturami.

²⁾ Du Cerceau. Les plus excellens bastimens de France.

Anna Bretonka umarła 9. stycznia 1514 w zamku Blois; król sprawił jej wspaniały pogrzeb, wyjechał z Blois i już tam więcej nie wrócił.

Córka Ludwika XII., królowa Claude, cicha małżonka ruchliwego Franciszka I., więcej, jak król, mieszkiała w Blois, który cieszył się wszakże, że do tego architektonicznego skarbu Francji dodał część najwspanialszą. Wolął jednak przebywać w Chambord.

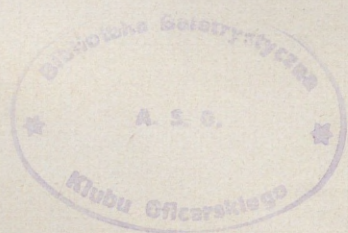
Skrzydło zamkowe, zbudowane za Franciszka I., przewyższa przepychem architektonicznym i dekoracyjnym budowę Ludwika XII.; jest już bliższem zupełnego rozkwitu Odrodzenia. Fasada wznosi się wspaniale w trzy piętra, zakończone poważną korniszą, okna przedzielone pilastrami, całość zadziwia bogactwem pomysłów. Franciszek I. trzyma się dawnej tradycji dekoracyjnej, w której cyfry i znaki rodowe stanowią najważniejsze motywy ornamentów. Wszędzie widać cyfry F. i C., tudzież salamandry.

Późniejsze czasy dodały jeszcze do zamku w Blois pałac tak zwany Gastona d'Orleans; ale ta budowa o zimnym klasycyzmie niknie wobec kipiących pomysłów architektów Odrodzenia.

?) Jeanes d'Anne de Bretagne w bibliotece narodowej w Paryżu (Lata 617). Wydane z kopiją w r. 1907 w kolekcji (mason Herband) z zachowaniem (wzrostu) minimalistycznym.
?) Du Cerceau. Les plus excellens bastimens de France.



Fasada zamku Blois na placu zamkowym.



ROZDZIAŁ DRUGI.

FRANCISZEK I.

I.

W r. 1488 zabawne małżeństwo zamieszkało w zamku Cognac, w południowej Francyi: dwudziestoosmioletni Karol hr. d'Orleans, który także nosił tytuł hrabiego d'Angoulême, z dwunastoletnią Ludwiką sabaudzką. Ludwika matka wcześniej umarła, zajmowała się nią i wyposażyla ją duchessa de Bourbon; ojciec, który dopiero później został księciem sabaudzkim, mało się troszczył o dziewczynkę.

Młodziutka Ludwika zastała już w zamku swego męża jego nieślubną towarzyszkę, Joannę de Polignac, którą hr. Karol przeznaczył pani młodej na pannę honorową, a raczej na ochmistrzynię. Równocześnie powierzył hr. d'Angoulême bratu swej kochanki, Janowi de Polignac, zarząd domu. Co więcej, w zamku wychowywały się już dwie małe dziewczynki, imieniem Souveraine i Madelaine, córki hr. Karola z niewiadomej matki.

Ludwika zachowała się wcale dyplomatycznie wśród tej nowej rodziny; w domu swej ciotki, gdzie była tylko przytuloną siostrzenicą, bez majątku, nauczyła się od dzieciństwa pozornej uległości i hipokryzyi. Była to osóbką bardzo sprytna, pojętna, dająca sobie radę w każdym położeniu. Mąż zresztą nie był obojętny na wdzięki Ludwiki, która mu powiła jedenastego kwietnia 1492 córkę, Margueritę d'Angoulême, a we

dwa lata później, dwunastego września 1494, syna, Franciszka d'Angoulême, późniejszego Franciszka I, króla Francji.

Karol d'Angoulême nie był człowiekiem o wybitnych zdolnościach, ale lubił otaczać się ludźmi uczonymi, poetami, starał się utrzymać tradycje duków Ludwika i Karola d'Orléans, tudzież poczciwego króla René. Zebrał nawet ładną bibliotekę, żył jednak za krótko, aby na charakter żony móc wywrzeć wpływ stanowczy. Umarł bowiem, zaziębiwszy się, pierwszego stycznia 1496, pozostawiając trzechletnią córeczkę i syna Franciszka, mającego zaledwie rok jeden. Wdowa zanotowała w swym pamiętniku krótko śmierć Karola: »Pierwszego dnia r. 1496 straciłam męża« i nic więcej.

Ośmnastoletnia Ludwika miała już dość doświadczenia, aby sobie dać radę w nowym położeniu. Miłość niewielką grała rolę w dotychczasowym jej życiu; za mąż wydano ją, kiedy jeszcze serce nie przemówiło, to też lata małżeństwa wkrótce się zatarły w jej pamięci. Doznała jednak tyle upokorzeń tak w domu ciotki, jak w pierwszych latach w Cognac, że nad wszystkie właściwości charakteru rozwinęła się w niej ambicja, chęć panowania. W synu Franciszku widziała przyszłość.

Ludwik XII. ożenił się z młodą wdową po swym poprzedniku na tronie francuskim, Karolu VIII., z Anną de Bretagne, i miał z nią czworo dzieci. Dwoje z nich wcześniej umarło, zostały przy życiu dwie córki, Claude de France (ur. 15. października 1499) i Renée de France, która później wyszła za mąż za księcia Ferrary.

Gdyby Ludwik XII. nie miał już syna, skończyłaby się na nim młodsza linia Walezyuszów, linia Valois-Orléans, a najbliższymi pretendencjami do korony francuskiej byłiby hrabiowie d'Angoulême, pochodzący od Ludwika d'Orléans, drugiego syna króla Karola V., którego zwano »Le Sage«.

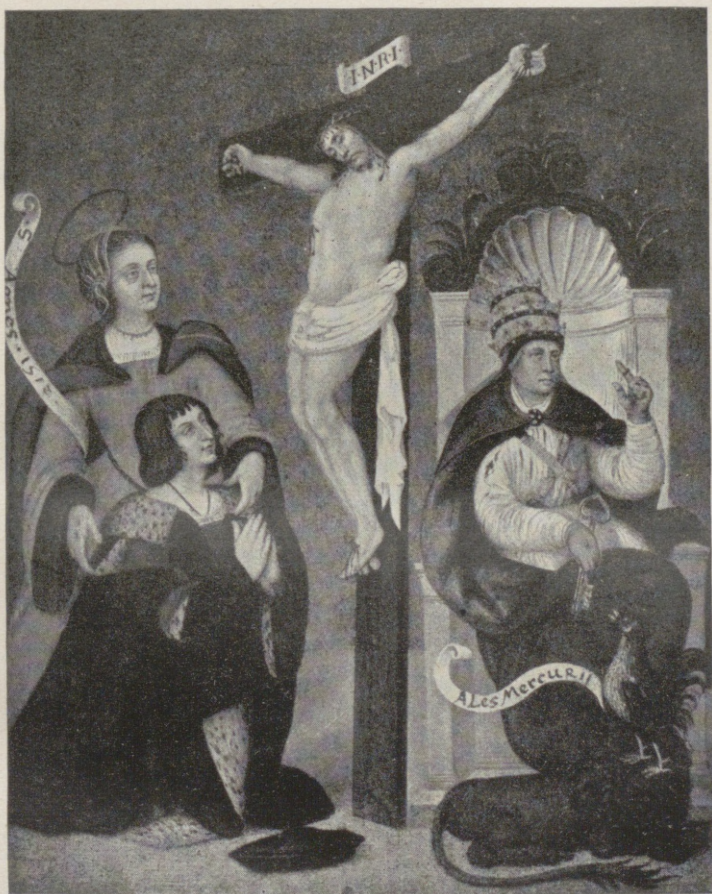
Dla Ludwika sabaudzkiej otwierały się perspektywy wielkich nadziei, ale i możliwych zawodów. Syn jej Franciszek mógł zostać królem, jeżeliby Anna Bretonka nie dała Francji następcy tronu. Ale Ludwik XII., nie był młody i gdy Franciszek d'Angoulême miał lat siedm, król zaczął go uważać za swego następcę. Troszczył się o jego wychowanie, które mu się, jak dotąd, nie podobało, zanadto było kobiece. Franciszek sy-

biał ciągle w pokoju ochmistrzyni, panny de Polignac, którą Ludwika polubiła, pomimo że była jej poprzedniczką w sercu Karola. Obydwie wdowy, nieślubna i ślubna, zgadzały się i prowadziły wojnę z ochmistrem, starym marszałkiem de Gié, Piotrem Rohanem, którego im król narzucił na wychowawcę Franciszka. Marszałek chciał małemu hrabi d'Angoulême dać za towarzysza swego syna, ale hrabina Ludwika się temu oparła, i orzekła, że jeżeli Franciszek nie ma być w nocy pod opieką panny de Polignac, to musi sypiać w jej komnacie.

Tak się narazie stało; ale Ludwika zaczęła prowadzić wojnę z marszałkiem, a do jej zwycięstwa przyczynił się wypadek, który mógł narazić życie Franciszka. Rohan powierzył naukę jazdy konnej chłopaka swemu koniuszemu. Dwudziestego piątego stycznia 1502 zapisała Ludwika w swoim pamiętniku tym razem rozpaczliwą notatkę: »Mojego króla, mojego pana i Cezara, mojego syna poniósł przez pola koń, którego mu dał marszałek de Gié. Niebezpieczeństwo było wielkie, a ci, co tę scenę widzieli, byli pewni strasznej katastrofy. Pan Bóg jednak, opiekun wdów i sierót, nie opuścił mnie«. W tych wyrazach czuć całą miłość do dziecka, całą wiarę w przyszłość zaniepokojonej matki. Syn jest już dla niej królem i Cezarem. Ludwika miała częste zmartwienia z powodu żywości chłopaka, który chętnie bujał po polach i lasach. Przyszły Cezar, szybko raz jadąc, zawadził o gałąź i nawet się zranił; innym razem spadł z konia i o mało się nie zabił. Wychowanie było pełne trosk i niepokoi. Gdy jednak mężczy opiekunowie wprawiali chłopaka w rycerskie rzemiosła, matka starała się zająć mu czas mniej niebezpiecznymi zabawami. Te rozrywki dały Rabelais'mu powód do wyliczenia całego szeregu gier, któremi się bawił Gargantua. Rabelais, kreśląc swego Gargantuę, miał gdzieś na oku króla Franciszka, przesadzając w niemożliwy sposób jego charakterystykę. I tak, pod wpływem matki dano ukochanemu »Cesarowi« starego muła, »który już służył dziewięciu królom«, aby pojechał przypatrzeć się, jak zastawiają się na króliki. Rabelais'mu zdawało się, że matka Gargantuy, czyli raczej Ludwika sabaudzka, zanadto dużo zajmuje syna religijnymi ćwiczeniami, bo chłopak zaczynał dzień »od ojczenaszków«, które »mamrotał« ustami, jadąc do królików«.

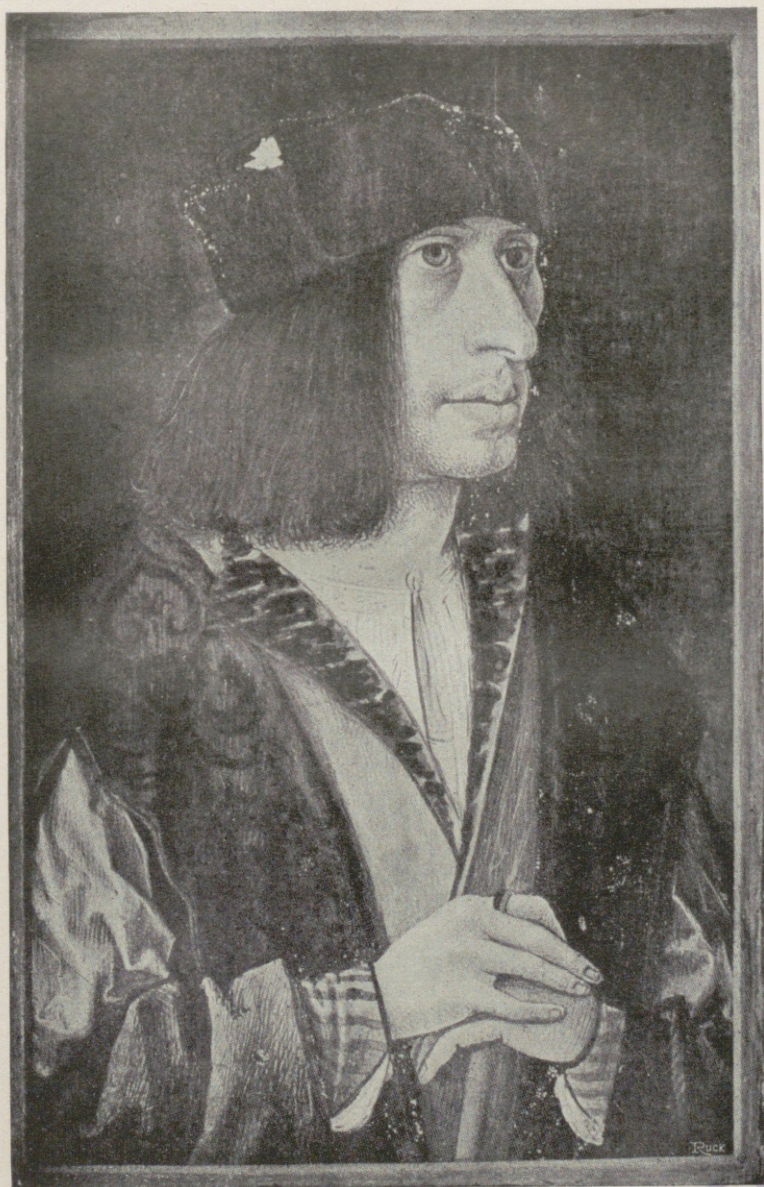
Nie dziw zresztą, bo Ludwika była bardzo religijna, a trudnoby było zliczyć wszystkie te pielgrzymki do miejsc świętych, które odbyła ze swemi dziećmi. Mimo tej religijności nienawidziła prałatów, księży i mnichów, co zresztą spotyka się często w ówczesnem społeczeństwie, bardzo skrajnie odróżniającem religię od jej przedstawicieli. Wyjątek od tej nienawiści stanowił Franciszek da Paula, rzetelny kapłan, pełen prostoty, żyjący w pustelni w Plessis-les-Tours. Zakonnik ten był osobliwie czczony przez kobiety, pragnące potomstwa, gdyż Anna de France przypisywała mu urodzenie córki Zuzanny, Anna de Bretagne urodzenie Klaudyi de France, a Klaudia powicie Franciszka II. Ludwika sabaudzka w rok po ślubie nie spodziewała się jeszcze potomka; udała się więc do owego słynnego zakonnika, który zapewnił ją, że będzie miała syna, który zostanie królem. Ludwika wierzyła święcie w tę przepowiednię, zwłaszcza gdy pierwsza jej część się spełniła, i w wielkiem poważaniu miała świętego pustelnika. Gdy go po śmierci ubogo pochowano w drewnianej trumnie, Ludwika, dowiedziawszy się o tem, kazała zwłoki wydobyć z ziemi, aby je umieścić w odwiecznym kamiennym sarkofagu. Po dwunastu dniach od śmierci pustelnika twarz jego była tak mienaruszoną, że słynny malarz Bourdichon mógł z niej zdjąć odlew gipsowy. Później zajęła się Ludwika bardzo gorąco przeprowadzeniem kanonizacyi cudownego mnicha.

Ludwika wyrobiła się na bardzo rozumną, przebiegłą, a przedewszystkiem dumną kobietę; pragnęła, aby przyszedł Cesarz posiadał odpowiednie wykształcenie swemu stanowisku. Ułatwiał jej to zadanie następca starego marszałka Gié, Artus Gouffier, sieur de Boissy, człowiek odczytany, którego Ludwik XII. przeznaczył na ochmistrza swego następcy. Nauczycielami byli prawie sami duchowni, co nie przeszkadzało, że ulubioną literaturą młodego Franciszka i jego siostry Marguerity były romanse »De la Table ronde«, książka Boccaccia »De claris mulieribus«, a nawet »Facecye« Poggia, dalej nieprzyzwoite miłostki powieści »Euryala i Lukrecyi«. Do ważnych zadań wykształcenia należała nauka pisania wierszy, bo wtedy wszyscy ludzie warstw wyższych układali poezye i musieli śpiewać lub przynajmniej wygrywać ballady, ronda i tak zwane



Franciszek I. w 18-tym roku życia z siostrą Margueritą.





Karol VIII.



chants royaux. Ludwika d'Angoulême czytywała i bardzo poważne książki, a na ścianie biblioteki kazała wypisać charakterystyczne słowa: »Libris et liberis«, »Książkom i dzieciom«.

II.

Zanim »Cezar« został rzeczywistym następcą tronu, musiała Ludwika sabaudzka przebywać jeszcze ciężkie chwile niepokojów i niepewności, czy przepowiednie mnicha Franciszka da Paula się ziszczą.

Stały wrogo naprzeciw siebie dwie kobiety, prawie w jednym wieku, bo tak królowa Anna Bretonka, jak i Ludwika d'Angoulême, miały mniej więcej po lat dwadzieścia trzy, obydwie dumne, żadne władzy.

Mianiatury współczesne przedstawiają Bretonkę piękniejszą, aniżeli była; niska, skłonna do tycia, utykająca na jedną nogę, o bardzo wybitnym jednak charakterze, w którym przeważał nieprzewyciężony upór, poza swoją Bretanią nie uznawała świata, wskutek czego miała w polityce bardzo ograniczony widnokrąg. Wysokie rozumienie o sobie z wrodzoną pychą wyrobiło z niej nieokiełzaną żądzę władzy. Kto jej stał w drodze, tego nienawidziła, nienawidziła przez całe życie. Jeden z ambasadorów weneckich powiada o niej, że co sobie raz wbila do głowy, to koniecznie chciała przeprowadzić, czy jej działanie wywoływało uśmiech, czy płacz. W przyjaźni była jednak stałą.

Jako dziedziczka największej prowincji we Francji miała starających się o jej rękę książąt prawie od kolebki. Po różnych jednak przejściach, w których okazała niemało energii i własnej woli, wybrała w piętnastu latach (6. grudnia 1492) króla Karola VIII., mającego wówczas lat dwadzieścia dwa. Karol przygotowywał właśnie swoją niefortunną neapolitańską wyprawę, z której powrócił sterany na zdrowiu wskutek miłosnych nadużyć. Wkrótce też umarł, a królowa marzyła już o powtórnych ślubach z jego następcą na francuskim tronie, Ludwikiem XII., z którym oddawna sympatyzowała.

Na znak jednak wielkiego smutku po Karolu VIII. przy-

wdziała Bretonka czarną żalobę, dotąd bowiem królewskie wdowy ubierały się zupełnie biało. Nazywano je też *«les reines blanches»*.

Narazie jednak jej marzenia nie mogły być spełnione, bo Ludwik XII. był żonaty z Joanną de France. Na szczęście jednak Bretonki na tronie papieskim zasiadał Aleksander VI., można się było o rozwód targować. Syn Aleksandra, Cezar Borgia, otrzymał od króla francuskiego księstwo Valentinois i papież na rozwód zezwolił.

Małżeństwo Bretonki z Ludwikiem XII. było szczęśliwe, Anna miała wielki wpływ na króla. Bardzo dbała o okazałość dworu, pierwsza powołała na dwór liczniejsze grono panien szlacheckich, mających odtąd składać orszak królowej, ale sama pobożna i dobrych obyczajów czuwała nad ich moralnością.

Zdarzyło się, że franciszkanin, kaznodzieja królowej, zakochał się w pannie de Bourdeille, a miłości swej tak dalece nie mógł ukryć, że w Wielki piątek miał kazanie wobec królewskiego dworu z aluzjami do swej ukochanej. Chrystus poniósł śmierć męczeńską dla ludzkości, on, franciszkanin, gotów także poświęcić życie dla miłości. Towarzyszki panny de Bourdeille i cały dwór zrozumiał, do kogo afekt kaznodziei się odnosi; to też po kazaniu zgorszona królowa kazała franciszkanina zamknąć do ciemnicy, obić różgami i wypędzić z królewskiego dworu.

Anna miała sześcioro dzieci, czworo z Karolem VIII., a dwoje z Ludwikiem XII.; z tych pozostały tylko dwie córki, Claude i Renée, reszta umarła w dziecięcych latach.

Pragnęła mieć jeszcze syna, ale nadzieja potomstwa już znikła; Ludwik XII. zestarzał się przedwcześnie. Miała wprawdzie syna w roku 1502, ale dziecko było bezsilne i żyć nie mogło.

Ludwika zwyciężyła. Jej syn miał ośm lat i był silnym, zdrowym chłopcem. W Amboise zapanowała radość, przzerwana tylko wielkiem domowem smutkiem, bo ulubiony pies Ludwika, Happegai, *«kochający swą panią i wobec niej lojalny»* żyć przestał. Hrabina poświęciła mu czulsze wspomnienie w pamiętniku, aniżeli swemu mężowi.

Gdy Franciszek miał lat dziesięć, kazała Ludwika jakie-



Anna Bretonka za młodu.

Według portretu na drzewie z XV wieku (Bibliothèque Nationale w Paryżu).

A. S. G.

muś artyście włoskiemu wybić na tę uroczystość medal, przedstawiający na jednej stronie syna w berecie, na drugiej salamandrę, z dewizą: »Notrisco al buono, stingo el reo«. Salamandra była herbowem zwierzęciem Ludwika; teraz zaczęto nad jaszczurem umieszczać F., początkową literę imienia hrabiego d'Angoulême, a na tle porzucane lilie Orleanów.

Królowa Anna Bretonka nie miała wprawdzie syna, następcy tronu, ale córka jej, księżniczka Claude de France, urodzona 13. października 1498 była odpowiednią partją dla Franciszka. Zaraz też po urodzeniu księżniczki powzięła Ludwika sabaudzka myśl, aby swego syna ożenić z Klaudyą, zwłaszcza, że córka królowej Anny mogła wnieść koronie francuskiej wielkie wiano, Bretanię. Królowa Anna sprzeciwiała się zrazu temu związkowi, ale Ludwika była przyzwyczajoną do przewycięzania trudności.

Ludwik XII. coraz bardziej uważał Franciszka za swego następcę; zmienił jego wychowanie na prawdziwie męskie, a ponieważ zamek w Cognac nie był już stosowny dla przyszłego króla, więc pozwolił Ludwice sabaudzkiej z dziećmi przenieść się do Amboise i ustanowił opiekunem Franciszka kardynała d'Amboise. Ponieważ wpływ Ludwika na syna uważał za zgubny, więc postanowił wydać ją za mąż za starego króla angielskiego, Henryka VII., który od kilku lat był wdowcem. Ale Ludwika przeczuwała, o co chodzi, i odmówiła ręki Anglikowi, utrzymując, że się nie może oddać od swego syna. Król angielski prosił wtedy o rękę córki Marguerity; ale młoda księżniczka miała swoją wolę, nie chciała być ofiarą polityki i stanowczo odpowiedziała, że nie pójdzie za niedołęznego starca. Było to coś niespodziewanego i niesłychanego, aby panna z królewskiego rodu nie poddała się takiemu rozkazowi; ale Marguerita wcześniej poznała świat, wykształcona, wolnomysłna, pragnęła miłości, słońca. Mówiono, że podobna do kwiatka, do margerity, która się zwraca zawsze do światła. Zwano ją też Marguerite des marguerites.

Pomiędzy królewskimi rezydencjami nad Loirą nie wyróżnia się wprawdzie zamek w Amboise swą architekturą, ale natomiast przywiązuje do siebie przepyszny widokiem, jaki się stamtąd rozciąga. Leży na skalistym wzgórzu pomiędzy

Loirą a ujściem rzeki L'Amasse i panuje nad szerokim horyzontem; ważny punkt strategiczny, który już Rzymianie opanowali, a Cezar miał tam wystawić fortecę, na której widniał posąg Marsa.

Później mieszkali w Amboise królowie francuscy, a osobliwie bywał tam Ludwik XI., ów monarcha dziwak, podejrzliwy, który w tym zamku więził swoją małżonkę Charlotte sabaudzką z synem, późniejszym Karolem VIII. Syna utrzymywał w zupełnej nieświadomości spraw państwa; niemale też zapanowało zdziwienie na zamku, gdy w pierwszych dniach sierpnia 1485 ujrzano starca, jak mozolnie wchodził na pagórek. Był to Ludwik XI., wychudły, zgarbiony, o wygasłym wzroku, w brudnym ubraniu i tylko na kapeluszu błyszcząły małe srebrne relikwiarze, obok przyszytych ołowianych medali poświęconych.

Kilka lat nie widział syna, a teraz, czując się bliskim śmierci, przybył, aby Karolowi dać instrukcje, jak ma rządzić tym krajem, do którego zespolenia w potężne państwo niemale się przyczynił, bo właśnie od niego datowało się złamanie potęgi samodzielnych baronów i założenie jednolitej monarchii. W kilka tygodni po tych odwiedzinach u królowej i u syna umarł Ludwik XI. Następca jego, Karol VIII., zamiast nienawidzić zamek, w którym go więził stary, surowy ojciec, upodobał sobie Amboise z powodu swych wspomnień z dzieciństwa i niemale się przyczynił do upiększania tej rezydencji, do której i jego małżonka, Anna Bretonka, się przywiązała i wracała tam, dopóki żył Karol VIII. Z epoki tego króla pochodzi przeszliczna kaplica zamkowa, w charakterze wczesnego odrodzenia.

W Amboise otoczyła się Ludwika sabaudzka prawie królewskim dworem, przybrała sobie na sekretarza młodego poetę, Franciszka Charbonnier, co gniewało królową Annę Bretonkę i stało się powodem ciągłych intryg. Na zamek spodziewanego następcy tronu zjeżdżała się młodzież najznakomitszych rodów francuskich, a kilku z tych towarzyszy Franciszka związało swe losy z późniejszym królem i grało wielką rolę podczas jego panowania. Do nich należał Gaston de Foix, słynny bohater z pod Ravenny, tudzież wesoly Bonnivet, który zginął w bitwie pod Pawią. Bywali tam Anne de Montmorency, człowiek

bez skazy, ale i bez litości, a wreszcie Karol de Bourbon, rozslawiony oblężeniem Rzymu za Klemensa VII., gdzie zginął.

Marguerita lubiła się bawić, kokietowała młodzież, a »Decameron« Bocciaccia zdawał się być jej biblią i brewiarzem. Zakochała się w Gastonie de Foix, którego wtedy nazywano gołębiem »la colombe«, taki był skromny i cichy; ale gdy go namiętności porwały, to stawał się tem, czem go później nazwano, »piorunem«, »La foudre d'Italie«. Kobiety przepadały za nim, a panny dworu w Amboise przepowiadały, że Gaston i Marguerita będą najpiękniejszą parą w chrześcijańskim świecie. Ale Marguerita stałą nie była; gdy na dwór w Amboise przybył dziesięcioletni zdobywca serc kobiecych, Guillaume Gouffier, seigneur de Bonnivet, serce pięknej panny d'Angoulême ku niemu się zwróciło. Guillaume miał przez chwilę nadzieję, że otrzyma rękę Marguerity; gdy mu jednak dano do poznania, że za wysoko spogląda, ożenił się w r. 1506 z bogatą panną. Serce Marguerity było zdraśnięte, zajęła się nim jeszcze bardziej, a Ludwika sabaudzka protegowała tę miłość, gdyż bardzo była wyrozumiałą na słabostki swych dzieci. Gdy później Ludwika rzuciła w objęcia żonatego już syna Franciszka piękną pannę d'Heilly, napisał Cornelius Agrippa, uczony astrolog, »że bywają matki, które się stały les proxenetes własnych synów«. Nadszedł jednak czas, kiedy Marguerita przyszła do przekonania, że trzeba zerwać z młodocianymi miłośkami i oddała swą rękę księciu d'Alençon, którego król protegował. Pomimo że nie cierpiała d'Alençona, ślub odbył się w r. 1509. Ludwice żal było jednak córki, że nie może zakosztować prawdziwej miłości; to też gdy nadarzyła się sposobność, tak rzeczy urządziła, że Bonnivet potrzebował tylko wejść do sypialni Marguerity, aby zaspokoić swe pragnienia. Marguerita podobno bronila się przed napadem kochanka i zawołała nawet matki na pomoc; ale Ludwika wyburczała dziwną córkę, pouczając, że jej wahania są śmieszne i że zdradzałoby brak konsekwencji w charakterze »chcieć nie nawidzić człowieka, którego kochała«. Ba, nawet tak była obrażona na córkę, że przez jakiś czas do niej nie mówiła; wszak Marguerita była już zamężną, księżną d'Alençon, więc »son honneur est couvert«. Zdarzyła się wszakże inna sposobność

zbliżenia się kochanków i wtedy Ludwika sabaudzka pogodziła się z córką.

Wogóle młodzież w Amboise nie próżnowała; maskarady, bale następowały po sobie. Nieraz zatrzymywano się w mieście przed domami, gdzie były ładne panny, zdejmowano maski i tańczono całą noc, do rana. Franciszkowi podobała się bardzo siostra żony jego służącego, mieszkającego w pobliskim dworku. Służący rad był ułatwić swemu panu stosunek z ładną dziewczyną, ale cnotliwa panna wymawiała się, utrzymując, że chce uczciwie wyjść za mąż i pozostać równie ząną, jak najpierwsze księżniczki w chrześcijaństwie. Ale Franciszek sądził, że zwycięży te humory, prześladował dziewczynę w kościele i na ulicy. Raz pojechał przed dom służącego, umyślnie zsunął się tam z konia, do błota; niby zraniony, dał się zanieść masztalerzowi do mieszkania kamerdynera i prosił, aby Franciszka, bo tak było na imię dziewczynie, przysłała go pielęgnować. Dziewczyna, zmuszona przez siostrę i szwagra, zbliżyła się do księcia, który udawał chorego, ale niebawem wyzdrowiał i w gorących słowach oświadczył Franciszce swą miłość; zapewniał, że nigdy innej kobiety kochać nie będzie. Wszelkie zapewnienia na nic się nie przydały; Franciszka odrzuciła książece amory. Był to pierwszy, a może i ostatni zawód romansowy późniejszego króla.

Mniej oporną była żona bardzo znakomitego adwokata w Paryżu, który popełnił tę nieroztropność, że owdowiawszy, ożenił się po raz wtóry, w pięćdziesiątym roku życia, z jedną z najpiękniejszych panien w stolicy, mającą zaledwie lat ośmnaście. Franciszek zapoznał się z tą panią, nazwiskiem Jeanne Le Coq, na jakimś balu; znajomość szybko postępowała, tak, że młoda adwokatowa dała mu rendez-vous w swym domu. Młodzieniec stawiał się na oznaczoną godzinę; jakież było jednak jego zdziwienie, gdy na schodach spotkał oczekującego go adwokata z zapalonemi świecami, który wyraził mu swe szczęście, że może przyjąć u siebie tak znakomitego gościa. Pani adwokatowa wystąpiła z wystawną kolacją, a gdy mąż poszedł do kredensu po jakieś nadzwyczajne wino, znalazła sposobność powiedzieć księciu, aby wychodząc, wstąpił do garderoby na prawo i tam ją oczekiwał. Po wieczerzy chciał

adwokat odprowadzić gościa, ale księżę się wymówił, oświadczając, że nie rad, aby go widziano, gdzie teraz pójdzie. Stało się według życzenia pani domu, która późno w nocy, gdy mąż już zasnął snem sprawiedliwych, znalazła się w garderobie. Rzecz się wybornie ułożyła, dom adwokata łączył się korytarem z klasztorem, gdzie Franciszek mógł niespostrzeżenie odwiedzać panią adwokatową.

Marguerita d'Angoulême, opowiadając o tym romansie swego brata, z naciskiem wspomniała, że mąż pięknej adwokatowej był bardziej szanowany, jak dziewięciu innych mężczyzn, »plus estimé que neuf hommes«. Jakiemś ciekawemu historykowi udało się, według tej zagadkowej wskazówki, dowieść, że łatwowierny adwokat nazywał się »Disome«, a tajemnica królewskiego romansu została w ten sposób zdradzona, ale w kilka wieków później, kiedy już wyjawienie schadzek w garderobie pani adwokatowej nikomu zaszkodzić nie mogło.

Współcześni jednak już wiedzieli o tym romansie. Złośliwy, a bardzo dowcipny komedyopisarz, monsignor Cruche, napisał na ten temat farsę, którą grano na otwartej ludowej scenie, na placu Maubert, w Paryżu. Otóż Mr. Cruche utrzymywał, że ma taką latarnię, z pomocą której widzi różne rzeczy, a pomiędzy innymi kurę, żyjącą pod salamandrą i noszącą na sobie coś, co może zabić »dix homes«. To »coś« ma romans z kobietą, córką radcy parlamentu, nazwiskiem Le Coq, żoną adwokata Disome, którego majątek został później skonfiskowany. Wkrótce po odegraniu tej farsy wysłał Franciszek d'Angoulême dziesięciu szlachty, którzy poszli na kolację do gospody du Chateau, gdzie pod jakimś pozorem zaproszono Crucha i zmuszono, aby im odgrał ową farsę. Ale przedstawienie smutnie się skończyło, gdyż z monsignora ściągnięto koszulę i obito do krwi. Gotowy już był wór, do którego chciano go włożyć, wyrzucić przez okno i zanieść do Sekwany; ale biedak pokazywał swoją tonzurę, co go ochroniło od śmierci.

Z kobiecego wychowania i gotowalni panny de Polignac wyniósł Franciszek d'Angoulême kobiecą próżność. Chciał uchodzić za bardzo pięknego młodzieńca i stroił się, jak pierwsza elegantka. Kochał się w drogich kamieniach i świecideł-

kach, na palcach nosił pierścienie z dyamentami i rubinami, guzy i agrafy ze złota i emalii nadawały blasku jego ubraniu, a ulubiona mulica, na której jeździł, pokryta była złotą siecią i kosztownie haftowanym czaprakiem. Wogóle przedmioty, które go otaczały, musiały świecić złotem, nawet do stołu przynoszono potrawy na złotych półmiskach, a naczynia kuchenne były ze srebra. W sypialni zaprowadził bieliznę z najcieńszego płótna holenderskiego, a łóżko i ubrania były skropione mocnymi perfumami. Ubrań miał bez liku, haftowanych na modę włoską, niemiecką, wykładanych sobolami lub skórami, wyzłacanymi w Medyolanie lub Hiszpanii.

Wogóle w Amboise panował wielki zbytek, a ponieważ Ludwika sabaudzka i jej syn mieli dużo artystycznego smaku, więc sprowadzano malarzy, hafciarzy i miniaturzystów, aby upiększali wszystko, co się w zamku znajdowało. Jeden z rękopisów, pochodzących z Amboise, zawiera bardzo piękną miniaturę¹⁾, pędzla podobno Bartłomieja Guety, zwanego Guyst'em, przedstawiającą ośmnastoletniego Franciszka, jak go matka pod postacią św. Agnieszki poleca Chrystusowi rozpiętemu na krzyżu. Jeżeli podobieństwo zgodne z prawdą, to Franciszek był wówczas rzeczywiście bardzo pięknym młodzieńcem, ale na tej wypieszczonej, łagodnej twarzy znać kobiece wychowanie. Mimo to był on dzielny, odważny, jak większa część francuskiej młodzieży, a opowiadają o nim dużo faktów ilustrujących tę zaletę charakteru. Razu pewnego było liczne zgromadzenie gości w zamku, w Amboise, a pomiędzy innymi rozrywkami kazał Franciszek wypuścić na podwórze otoczone galeryą, dzika, którego świeżo przywieziono z lasu. Dzikowi nie podobało się arystokratyczne otoczenie pań i panów, chciał się więc wydobyć z pod kontroli tysiąca spojrzeń ludzkich, a zobaczywszy jakieś drzwiczki w zamkniętej zresztą arenie, zwrócił się tam i o mało nie wpadł pomiędzy gości. Franciszek spostrzegł szybko niebezpieczeństwo i ku przerażeniu pań rzucił się z kordelasem na rozjuszony zwierzę i tak je mocno ranął, że dzik zatoczył się i padł.

W turniejach lubił się Franciszek popisywać, bo był

¹⁾ Biblioteka Narod. w Paryżu. Ms. lat. 8. 396.

silny i zręczny, a kilka razy w bitwach dał dowody niepospolitej odwagi. Mimo te zalety Ludwik XII. nie lubił go, zarzucał mu lekkomyślność i rozrzutność; raziło oszczędnego króla, że jego następcą zamłodu już robi długi. W jednym roku wydał Franciszek na swój dom przeszło 140.000 liwrow, około 3,600.000 franków, a oprócz tego bardzo się zapożyczył. Same złotolite i srebrzyste brokaty kosztowały niezmierne sumy, zazwyczaj ubierał się w srebrzysty brokat i biały aksamit. Otoczenie królewskie starało się jeszcze bardziej nozżarzyć tę antypatyę Ludwika XII., a gdy Anna Bretonka niespodziewanie umarła 9. stycznia 1514 na zamku w Blois, została usunięta ostatnia zaporą, aby ożenić Franciszka z Klaudyą, córką Anny Bretonki. Ludwika sabaudzka dołożyła też wszelkich starań, aby ślub odbył się jak najprędzej, zwłaszcza, że król sobie tego życzył. Ośmnastego maja 1514 stanęła też młoda para w Saint Germain przed ołtarzem. Z powodu niedawnej śmierci matki panny młodej nie było żadnych festynów. Franciszek przywiózł tylko łóżko, poduszkę i kołdrę, Klaudia dostarczyła firanek do łóżka z białego aksamitu. Księżę miał na sobie ubranie z czarnego adamaszku z aksamitnem obszyciem, Klaudia była w ciężkiej żałobie. Po ceremonii ślubnej obiad, poczem Ludwik XII. pojechał, jak zwykle, na polowanie. Gdyby Anna Bretonka była żyła, nie byłoby przyszło do tego małżeństwa, które na razie nie przeszkodziło Franciszkowi dalej utrzymywać stosunek z panią Disomme.

Klaudia była ułomna, utykała na nogę, ale miała ładną twarz i dużo wdzięku, tak, że Franciszek bardzo ją polubił i małżeństwo, przynajmniej na pozór, było szczęśliwe. W niespełna dziewięciu latach miała Klaudia siedmioro dzieci. Spokojna, pobożna, łatwa w pożyciu, modliła się i haftowała ornaty do kościołów, nie mieszała się do polityki i do dworskich intryg. Umarła 2. lipca 1524 podobno z winy niezręcznych lekarzy.

Pomimo, że Franciszek, zwłaszcza po ślubie z Klaudyą, uważał się już za następcę tronu, wpływano na króla, aby się znowu ożenił, gdyż może mieć jeszcze syna. Ludwik XII. liczył wprawdzie dopiero pięćdziesiąt trzy lat, ale wyczerpany życiem, wyglądał na starca, a artretyczne ataki były czasem tak

silne, że go trzeba było wynosić z łóżka na fotel, a w rękach tracił władzę prawie zupełnie. Ale nieprzyjaciele Franciszka, któremu król dodał do rodowego nazwiska Angoulême, tytuł duka de Valois, dowiedzieli tego, że król rozpoczął układy o ożenienie się z bardzo piękną Maryą, siostrą Henryka VIII., króla angielskiego, zwłaszcza że ze względów politycznych bardzo mu chodziło o zbliżenie się do Anglii. Układy przeprowadzono bardzo szybko, Franciszek dowiedział się o nich, a Ludwika sabaudzka wpadła z gniewu prawie w delirium, obawiała się, że »Cezarowi« może się w ostatniej chwili wymknąć z rąk korona.

Marya angielska miała zaledwie szesnaście lat; blondyna, pełna uroku, bardzo elegancka, lubująca się w toaletach, kokietka, kochała się w Karolu Brandon, duku de Suffolk, synu piastunki, dawniejszym pośredniku w miłostkach króla angielskiego, ale pięknym mężczyźnie. W bardzo świetnym otoczeniu wylądowała ósmego października koło Abbeville; w orszaku znajdował się i książę Suffolk.

Mówiono, że antypatya do Franciszka odmłodziła Ludwika XII.; przybył tam siódmego października na pysznym rumaku, z trzynastoma wielkimi kuframi ubrań, cugle konia spinał wielki guz złoty, wielkości jaja. Dworzanie mieli szkarłatne liberye i żółte kapelusze. Król jechał prawie aż do Abbeville bez płaszcza, jak młodzieniec, miał na sobie tylko zwykły pąsowy kaftan, z wysokim kołnierzem. Konia dano mu bardzo spokojnego Hiszpana, a król miał niemało trudu, aby poruszyć tego rumaka do wesołych skoków. Gdy Ludwik XII. spostrzegł przybywającą małżonkę, nie pozwolił jej zsiąść z konia, ale dawszy ostrogi powolnemu Hiszpanowi, zdołał ją z biedą pocałować.

Królowa jechała na białej klaczy, miała na sobie białą suknię, obszywaną złotem i drogiemi kamieniami. Czterech dygnitarzy trzymało nad nią biały baldachin, ozdobiony złotemi haftami, a u jej boku cwałował Franciszek, już duc de Valois, któremu się Angielka na pierwsze wejrzenie bardzo podobała. Monseigneur, bo tak zaczęto nazywać Franciszka, ubrany był również w biały płaszcz adamaszkowy, haftowany złotem i srebrem. Pięćdziesiąt panien towarzyszyło królowej,

częścią konno, częścią w powozach, a jedna osobliwie, ubrana na modę niemiecką, zwracała uwagę jako cudo natury.

Młodą parę pobłogosławił kardynał de Prie; wieczór wspaniały obiad, poczem król udał się do sypialni królowej. »Le diable m'emporte!« powtarzał król swe ulubione przysłowie i szedł dość pewny sukcesu, bo się wypowiedział z młodzieńczych grzechów. Kanclerz państwa, Etienne Poncher, biskup paryski, dodał mu otuchy, a przyboczny lekarz przyniósł monarsze jakieś lekarstwo, pobudzające do rycerskich czynów. Zresztą kapelan królewski pokropił łoże królowej święconą wodą. Spodziewano się na pewne, że po tych przygotowaniach Francya będzie miała następcę tronu, syna Ludwika XII. Królową rozebrały Madame Claude i księżniczki dworu, uspokajając młodą Angielkę, która bardziej, niż śmierci, obawiała się starego małżonka. Nazajutrz opowiadał Ludwik XII., że cudów dokazywał »qu'il avoit fait merveilles«; ale królowa jakoś nie bardzo wierzyła w te cuda, bo zaraz zaczęła bałamucić Franciszka. Nazywała go »Monsieur mon beau fils« i spodziewała się raczej z tym młodzieńcem, aniżeli z królem, mieć następcę na francuskim tronie. Franciszek, pociągnięty pięknnością królowej, łatwym był do zdobycia, pomimo że mogło mu zagrażać niebezpieczeństwo zostać poddanym swojego syna. Przyjaciele lekkomyślnego młodzieńca spostrzegli to niebezpieczeństwo; pani Klaudya nie rozłączała się prawie z Angielką i dała jej jako damę honorową, panią d'Aumont, która w nieobecności Ludwika XII. sypiała w pokoju królowej, a nawet w tem samym łóżku, aby się monarchini strachów nie bała. Gdy i te ostrożności nie zdawały się dostateczne, jeden z dworzan Franciszka, wesoły facecyonista, zwrócił uwagę Ludwika sabaudzkiej na grożące niebezpieczeństwo, zwłaszcza, że i książę Suffolk nie próżnował, ale czyhał tylko na to, aby się niepostrzeżenie zbliżyć do królowej. Zaniepokojona Ludwika bardzo energicznie przedstawiła swemu synowi grożące mu niebezpieczeństwo i to go uratowało, że nie został pozbawiony tronu przez możliwego własnego syna.

Franciszek zwrócił wtedy swe afekty do jednej z najbardziej zajmujących panien z otoczenia królowej, do Anny Boleyn. Anna miała być prawdziwym cudem wdzięku; zachwy-

cała swoją wiotką postacią, gracyą w każdym poruszeniu, oczyma więcej mówiącemi, aniżeli w słowach dało się wyrazić. Hr. de Chateaubriand, który, zdaje się, miał powody, aby ją nie lubić, zwraca na to uwagę w swym pamiętniku, że Anna miała sześć palców u lewej ręki, jeden wystający ząb, który ją szpecił, na piersiach brunatny znak, rude włosy, ale mimo to podbijała mężczyzn swym dowcipem, daleko posuniętą swobodą, swym tańcem, śpiewem i piękną grą na lutni. Umiała się ubierać, jak żadna kobieta królewskiego towarzystwa. Trzeba było zresztą wiedzieć o owych sześciu palcach u lewej ręki, aby je spostrzec, tak zręcznie ukrywała błąd natury, przeciwnie zaś znak na piersi służył jej na to, aby zwracać uwagę mężczyzn na śliczną płeć i powabne kształty.

Ludwik XII. zmienił się do niepoznania; chcąc się przypodobać Angielce, stał się prawie rozrzutnym, podarował jej nie tylko dyamenty koronne, ale i wszystkie klejnoty rodzinne, kładł się spać o północy zamiast, jak dawniej, o szóstej wieczór, siadał do śniadania w południe zamiast o ósmej z rana, a złośliwe języki mówiły, że król angielski podarował mu przepyszną klacz, aby czempredziej zajechał do piekła albo do raj.

Przestrogi lekarzy nic nie pomagały; król mizerniał, chudł, ale mimo to śmiało patrzył w oczy śmierci. Począwszy od ósmego października, całemi dniami musiał leżeć w łóżku; czuła małżonka brała do rąk gitarę i śpiewała mu piękne romance. Przynajmniej wesoło umarł o północy pierwszego stycznia 1515. Dzień nowego roku był szczęśliwym dla Franciszka, gdyż tego dnia się urodził i tego samego dnia stracił Ludwika XII.

Marya angielska dopiero nazajutrz dowiedziała się o śmierci męża i zaraz oświadczyła, że się czuje w odmiennym stanie, aby swemu możliwemu synowi zapewnić tron francuski. Tymczasem myślała jak najprędzej postarać się o to, aby jej zapewnienia stały się prawdą. Ale Ludwika sabaudzka przenikła jej zamiary, zażądała lekarskich oględzin i innych dowodów, niżeli słowa królowej. Dowodów tych wszakże nie było, lekarze oświadczyli, że po królu Ludwiku XII. nie może być następcy. Wtedy królowa udała, że się pomyliła, ale bądź co bądź nie wyszła źle na krótkotrwałem małżeństwie, bo otrzy-

mała od Francyi pięćdziesiąt pięć tysięcy liwrów wdowiej pensyi. Franciszek I. tak był nawet uprzejmym i dowcipnym zarazem, że dał Suffolkowi pozwolenie ożenienia się z Maryą, którą zapewnił, że spełniając swe dawne życzenia, nie straci swej francuskiej renty. Nie miał jednak dobrego wyobrażenia o Angielce, bo pod jej portretem podpisał: »Plus sale que reyne«.

Ludwika sabaudzka zobaczyła się u szczytu swych marzeń; syn był królem, mianował ją zaraz księżną d'Anjou, zaczęła najzupełniej rządzić Franciszkiem, a całe to szczęście przypisywała swej pokorze i wytrwałości. Pochlebcy pisali wiersze i panegiryki na jej cześć, pomiędzy innemi wydano broszurę pod tytułem »Triomphe des vertus« naturalnie tryumf cnoty Ludwika.

III.

Jak wspomniałem, wydano Margueritę d'Angoulême, siostrę Franciszka I., za mąż za duka d'Alençon, wprowadzie księcia krwi królewskiej, potomka Karola de Valois, ale młodzieńca bardzo słabych zdolności, gburowatego nieuka, a nadto skłonnego do dzikiej zazdrości.

Duc Charles d'Alençon wywiózł swą młodą małżonkę do Alençon, do ponurego zamku, otoczonego rozległym parkiem, gdzie śpiewały wprawdzie słowiki, ale towarzystwa nie było, z wyjątkiem bardzo przykrej teściowej, bigotki, żyjącej w otoczeniu księży i pochlebców. Mąż najczęściej bawił na królewskim dworze, albo polował, jak cała arystokratyczna młodzież. Do przyjaciół domu należał biskup z Séz, reformator klasztorów, świętoszek, ale prowadzący bardzo rozwiązły żywot, Pierwszą powiastkę »Heptameron« poświęciła później Marguerita temu zbyt świeckiemu prałatowi. Szczęściem, że jej gubernantka, czyli raczej ochmistrzyni, pani de Chatillon, bawiła dalej przy niej; obydwie panie, w braku innego zajęcia, kształciły się w języku łacińskim, a nawet czytały po grecku. Młoda Marguerita, widząc nudno-fałszywy świat około siebie, stała się mimo wesołego usposobienia zamkniętą w sobie, marzycielką

o czemś lepszym, nawet o jakiejś nieokreślonej poprawie społeczeństwa.

Niespodziewanie jednak życie Marguerity uległo zmianie; teściowa i Ludwik XII umarli, a brat Franciszek został królem Francji. Bratowa Klaudya nie umiała być królową, życie dworskie ją męczyło, a Franciszek był przekonany, że Marguerita potrafi ją świetnie zastąpić. Prosił więc siostrę, aby porzuciła Alençon i przeniosła się na dwór królewski. Marguerita więc naprawdę została królową, o męża, którego nie kochała, mało się troszczyła, wdzięczną zaś była bratu, że jej otworzył świat i dał stanowisko pierwszej kobiety we Francji. Pomiedzy bratem a nią był zawsze jak najlepszy stosunek, teraz się tem bardziej zacieśnił. Łączyły ich zresztą upodobania do literatury i sztuki. Franciszek, bardzo powierzchowny, zajęty romansami i polowaniem, nie miał czasu na głębsze studia; natomiast Marguerita starała się niejako uzupełnić to, czego jej brakowało w umysłowej kulturze, aby być dobrym doradcą. Każdą chwilę poza towarzyskimi obowiązkami poświęcała czytaniu klasycznych ksiąg, dawnych rycerskich romansów, wszystkiego, co rozszerzało jej umysłowy horyzont. Pomimo, że przystojna, o pięknych jasnych włosach, a nadto jako siostra króla, mogąca wybierać wielbicieli pomiędzy najdzielniejszą młodzieżą, stała — o ile możliwości — na straży swej cnoty. Dążenia jej były inne, chciała czynić dobrze na swem uprzywilejowanym stanowisku, pragnęła uświetnić panowanie brata. Wyrysowała sobie, jako herb, słońce zwrócone do słońca, z podpisem »Non inferiora secutus«. Słońcem jej był Franciszek, za niższym światłem iść nie chciała.

Sam Franciszek ogromną wagę przywiązywał do swego otoczenia, do »dworu«, tak dalece, że nawet szlachtę, nie należącą do tego najbliższego koła, uważał niejako za niższą klasę ludzi, chciał pewną aureolą otoczyć królewskość. Przy każdej sposobności kładł nacisk na »honor« rycerski, który uważał za jedyną podstawę publicznej moralności. Dawnym przywilejem szlachty było noszenie długich włosów, ludzie nie należący do uprzywilejowanych musieli się odznaczać krótszą czupryną. Franciszek pilnował tego zwyczaju; ale nieprzyjemny dlań wypadek zmusił go, aby zmienić w tej mierze swe zapatry-

wanie. W r. 1520 bawił dwór w Romorantin, gdzie się oddawano rycerskim zabawom. W dzień Trzech Króli ustawił hrabia de Saint-Paul w swem mieszkaniu »un roi de la fève« według dawnego zwyczaju i zaopatrzył się wraz z towarzyszami w rozmaite nieszkodliwe pociski, w kule ze świeżego śniegu, jaja, jabłka. Franciszek I. stał na czele oblegających fortecę Saint-Paula i dzielnie na nią nacierał. Ale wkrótce zabrakło obleżonym tej przygodnej amunicyi, a jeden z towarzyszy hrabiego tak się zawiązał do obrony, że chwycił z kominka żarzący się kawałek drzewa i rzucił przez okno na nieprzyjaciela. Nieszczęsnym wypadkiem drzewo uderzyło króla w głowę i opaliło włosy, pozostała niezarośnięta blizna i całą głowę trzeba było ostrzyć. Król bolał bardzo nad utratą tego znaku szlacheckiego pochodzenia, ale uprzejmi dworzanie ostrzygli sobie także włosy, aby uspokoić monarchę, i odtąd zaszczyt, a raczej przywilej noszenia długich włosów poszedł w zapomnienie.

Franciszek wyróżniał przy każdej sposobności swoje otoczenie; więc rycerstwo z prowincyi garnęło się na królewski dwór, zwłaszcza, że raz przyjęty dworzanin dostawał dwieście talarów rocznej renumeracyi. Szlacheckie zameczki pustoszały, w obronnych wieżach gnieździły się kruki. Erazm roterdamski wyśmiewał się z tego, mówiąc, że trzeba tylko sprawić sobie pierścień z herbowym kamieniem, nosić nisko obcięte paznokcie, głośno mówić, wyzywająco spoglądać, nie być skrupulatem w obyczajach, a przedewszystkiem pozyskać łaski jakiej wpływowej pani, a karyera skończona: otrzyma się kościelne beneficjum, zostanie się dowódcą oddziału w armii albo dworskim dygnitarzem.

Panowaniem na francuskim dworze dzieliła się familijna trójca: Ludwika sabaudzka głównie wpływała na rządy, otaczała się oddanymi jej dygnitarzami, a król chętnie powierzał jej rejencyę, Franciszek reprezentował w swych brokatach i dyamentach królestwo na zewnątrz, a Marguerita starała się łagodzić twardość matki i fantazyje brata lekkoducha. Dowcipny kardynał Bibbiena podobno pierwszy nazwał trójcą tę rządzącą francuską rodzinę, a później często spotyka się to określenie.

Dwudziestoletni monarcha rozpoczął swe panowanie od

robienia długów i projektowania wyprawy do Włoch celem odzyskania księstwa medyolańskiego, do którego rościł sobie prawa jako następcą Ludwika XII. i potomek Walentyny Visconti. To też, nim jeszcze został królem, kazał już dodać na swej tarczy żmiję Viscontich. Jednym z pierwszych aktów jego rządów było wręczenie miecza connetabla dowódcy wojsk, Karolowi Burbonowi, przyjacielowi lat młodzieńczych, który zresztą już zyskał sobie sławę w bitwie pod Rawenną. Tej nominacji nie była zresztą obca Luiza sabaudzka. Na jednym z turniejów Burbon odznaczał się taką dzielnością i piękną postacią, że pełna jeszcze życia Ludwika zapłonęła miłością ku Karolowi, młodszemu wprawdzie od niej, ale tem bardziej pożądanemu. Burbon nie miał, jak się zdaje, nic przeciw temu, aby zawiązać stosunek z księżną d'Angoulême, spodziewał się bowiem przez nią mieć wpływ na króla. Był zresztą wtedy za młody, aby głęboko zastanawiać się nad niebezpieczeństwami miłości. Ale Ludwika dążyła tam, gdzie Burbon zejść nie chciał: pragnęła pojąć go za małżonka. Młodzieniec miał może trochę ukrywanej antypatii do tej kobiety starszej od niego, która nie zyskiwała bynajmniej przy bliższem poznaniu, a nadto nie chciał wejść w fałszywe stanowisko do króla, zostawszy jego ojczymem.

Romans się więc przerwał, do czego miał Burbon dobrą sposobność, żeniąc się z Zuzanną de France, trochę ułomną i nie zachęcającą do wierności małżeńskiej. Pocieszał się więc, kokietując panią de Chateaubriand, która nie była obojętną na jego zaloty. To miał być powód nienawiści, jaką później Luiza prześladowała panią de Chateaubriand, gdy ta została kochanką Franciszka I.

Wyprawa francuska na Medyolan się powiodła. Bayard i La Palice pobili pod Marignan zastępy Szwajcarów, zostające na żołdzie Maksymiliana Sforzy, których uważano za niezwyciężonych, i uwięzili głównodowodzącego wojsk medyolańskich, Prospera Colonnę. Franciszek I. dał tym razem znowu dowody swej nierozważnej odwagi; bił się osobiście jak szalony, ale ochraniający przez przyjaciół, wyszedł zdrowo z tej walki i zaraz napisał list tryumfujący do matki (14. października 1515). Następującego dnia nastąpił wjazd do Medyolanu;

król i jego rumak przybrani byli w niebieski aksamit, haftowany w srebrne lilie. Franciszek miał tylko beret z czarnego aksamitu. Nastąpiło podpisanie traktatu ze Sforzami, oddające księstwo medyolańskie Franciszkowi, a następnie zjazd króla w Bolonii z papieżem Leonem X., gdzie król, biorący zawsze pozory za szczerą prawdę, był zachwycony uprzejmością papieża i starał się ją odwdziżyć; w kościele niósł ogon papiejskiej szaty pomiędzy dwoma kardynałami.

Z Bolonii wrócił Franciszek I. szybko do Lyonu, pozostawiając we Włoszech swym zastępcą connetabla Burbona. Śpieszyło mu się do matki, aby jej pokazać swoje laury.

Ludwika sabaudzka zapisała w swoim pamiętniku, że jej »Cezar okryty chwałą i tryumfujący pogromca Helwetów«. Poszła więc piechotą do Notre-Dame de Fontaines, aby polecić Madonnie tego, którego najbardziej kocha, Franciszka. W niedzielę 14. października 1515 Maksymilian, syn zmarłego Ludwika Sforzy, poddał się jej Cezarowi.

Trzech młodych panujących podzieliło się wtedy władzą nad Europą: najstarszy z nich Henry VIII., król angielski, mający lat dwadzieścia ośm, bardzo przystojny, wysoki blondyn, skłonny jednak do otyłości, zarozumiały, prawie arogancki, silny, lubujący się w sportach; najmłodszy dziewiętnastoletni Karol, król hiszpański, syn Ferdynanda i nieszczęśliwej, żyjącej jeszcze Joanny aragońskiej, ale pogrążonej w czarnej melancholii, wychowany u rozumnej stryjenki Małgorzaty austriackiej, gubernatorki Niderlandów, mimo swej młodości młodziutki, zamyślony, zimny, ale pełen energii; trzeci Franciszek de Valois. Właśnie w roku 1519 miał się odbyć wybór cesarza niemieckiego we Frankfurcie. Wszyscy trzej królowie zgłosili swą kandydaturę. Najmniej widoków miał Henryk angielski, nie lubiany, nie mający dostatecznego wpływu na kontynencie. Franciszek w swej zarozumiałości lekcewał Karola hiszpańskiego, który nie zdawał mu się niebezpiecznym współzawodnikiem. Mówił o nim: »Un quidam, certain petit Roy«; ale ten młody królik katolicki został wybrany cesarzem. Franciszek wydał, jak zwykle, olbrzymie sumy, aby sobie zapewnić wybór i nie spodziewał się przegranej. Całe życie nie

mógł tej klęski zapomnieć, a jednym z głównych zadań jego polityki było odtąd upokorzenie rywala.

Aby dojść do tego celu, starał się Franciszek zawrzeć jak najściślejszą przyjaźń z Anglią i ułożył zjazd z Henrykiem VIII. w r. 1520, w pobliżu Calais, w słynnym obozie »du Drap d'Or«.

Franciszek wybrał się tam w towarzystwie małżonki, królowej Klaudyi, matki, duchessy d'Angoulême, i siostry, duchessy d'Alençon. Francuska trójca była w komplecie, a kardynał Bibbiena pisał trochę złośliwie do księżnej d'Angoulême, że wyraża swą czolobitność dla tej trójcy, dla której prosi Boga o szczęście i dobre powodzenie. Z królem jechało na słynny zjazd czterech kardynałów, cała rodzina królewska, connetable de Bourbon, bez liku dygnitarzy i panów, o których Marcin de Bellay powiedział, że tak się rujnują, aby świetnie wystąpić, że wielu z nich posprzedawało lasy, młyny, łąki, aby je nieść na plecach.

W pobliżu miasteczka Ardres zbudowano przeszło trzyście pawilonów, obitych aksamitem i brokatami. Na każdym ze wspaniałych namiotów powiewały sztandary z herbami Francji albo książąt, a ku ozdobie sterczały złote kule. Na największym z pawilonów, na namiocie królewskim, widać było posąg świętego Michała ze szczerego złota, który zdala lśnił w promieniach słońca. Franciszek był mistrzem w urządzeniu festynów; już podczas ślubu Ludwika XII. z Maryą angielską okazał nadzwyczajny talent dekoracyjny, a teraz co do zbytku chciał prześcignąć Anglików. Król Henryk VIII. zamieszkał w obszernym domu, zbudowanym z drzewa i szkła.

W całym tym zjeździe widać było więcej chęci pokazania się, aniżeli zawarcia szczerego przymierza. W środę, siódmego czerwca 1520, miało nastąpić spotkanie obydwu królów. Franciszek ubrany był w złotolity brokat, król Henryk z srebrzystą materyę. Obydwaj królowie obsypani byli perłami, dyamentami, pomiędzy którymi odbijały swą barwą rubiny i szmaragdy. Na głowach mieli aksamitne berety z białymi pióropuszcami, przypiętymi zapomocą agraf z najdroższych klejnotów.

Każdy niemal krok w tem spotkaniu był ściśle przepisany. Obydwaj królowie ruszyli z miejsca o tej samej godzinie, a ich

wierzchowce dotrzymywały tego samego stępa. Connetable poprzedzali swych monarchów z mieczem w ręku, a inni dygnitarze we wspaniałych ubraniach na rumakach, nakrytych aksamitami i brokatami, postępowali za nimi. Pochody zamykało po czterystu łuczników.

Według programu spotkali się królowie w pięknej dolinie Valdore, gdzie zbudowano pawilon na ich przyjęcie. Tam obydwaj spięli swe rumaki, powitali się, podnosząc rękę ku kołpakowi, a następnie uściskali się z konia. Po tej ceremonii zsiędlili z koni, a z obawy, aby jeden z nich pierwszy nie przestąpił progu, wzięli się pod rękę i tak równocześnie weszli do drzwi pawilonu.

Rozpoczęły się zapewnienia przyjaźni, bardzo uprzedzające ze strony Franciszka, dość mdłe w ustach Henryka. Francya bardzo źle wyszła na tem spotkaniu; festyny bynajmniej nie osłabiły egoizmu i wyrachowania Anglików, król francuski był zanadto wielkim idealistą. Ceremonialność posuwano z obu stron, nawet w zabawach, do najwyższego stopnia, co więcej, podejrzliwość panowała wszędzie. Gdy Franciszek I. pojechał na obiad do królowej angielskiej w Guines, Henryk VIII. gościł u królowej Klaudy w Ardres. Raz się Franciszkowi sprzykrzyło; chciał przełamać te lody, wstał wcześniej z rana, zabrał ze sobą tylko dwóch szlachty i jednego pazia i zamierzył królowi angielskiemu zrobić niespodziankę, odwiedził go. Henryka pilnowało dwustu łuczników z gubernatorem zamku w Guines. Gdy król francuski, prawie bez otoczenia, zbliżył się do zwozzonego mostu, Anglicy nie wiedzieli, co począć, brak francuskiej ostrożności zdawał się podstępem; ale uśmiech Franciszka i bezceremonialne powitanie rozbroiło straż. Gubernator zaprowadził króla do Henryka VIII., który jeszcze leżał w łóżku i był niesłychanie zdziwiony tą ranną wizytą. Bez względu na zaufanie Franciszka w rycerskość i dobrą wiarę angielską tak zdziwiło Henryka, że zdjął z szyi piękny łańcuch i prosił gościa, aby go nosił tego dnia, jako znak, że król angielski chce być więźniem Francyi. Franciszek I. odwdzieczył się za uprzejmość w ten sposób, że swój naramiennik daleko większej wartości, aniżeli angielski łańcuch, założył na ramię Henryka VIII., oświadczając, że chce być sługą swego więźnia. Za-

czął też swoje zajęcie od tego, że podał koszulę ubierającemu się królowi angielskiemu.

Przez ośm dni następnych trwały turnieje, w których brali udział najznakomitsi rycerze obydwu narodów. Górą jednak w tych zapasach byli Anglicy, a dumny tem powodzeniem Henryk VIII., znany z siły i zręczności, chciał ukoronować swój tryumf i niespodziewanie zbliżył się do Franciszka z wezwaniem: »Mój bracie, spróbujmy się«. W tej samej jednak chwili porwał go oburącz i starał się obalić; ale Franciszek, może mniej silny, ale zręczniejszy, podstawił nogę Anglikowi, który stracił równowagę i runął jak długi na ziemię. Henryk zerwał się, ponsowy od gniewu i wstydu, żądając, aby zapasy na nowo rozpocząć; ale królowym udało się uchylić niebezpieczny pojedynk i uspokoić próżnego Anglika, tak, że rywale, na pozór przynajmniej, w dobrych humorach zasiedli do wieczerzy.

Po dwudziestu pięciu dniach zabaw i układów, które miały po wieczne czasy zapewnić przyjaźń pomiędzy Francją a Anglią, udał się Henryk VIII. do Gravelins, a następnie do Calais, gdzie »La perfide Angleterre« zawarła przymierze z Karolem V., zmierzające do odebrania korony francuskiej Franciszkowi, do wygnania Francuzów z Lombardyi i do umiędzynarodowienia obietnicy, danej królowi Francyi, że księżniczka królewska Anglii zostanie małżonką następcy tronu francuskiego.

Karol V. kazał sobie włożyć koronę cesarską w Aix-la-Chapelle, a wynikiem festynów w Drap-d'Or była wielka wojna pomiędzy Franciszkiem I. a Karolem V., która się rozpoczęła na wiosnę r. 1521, a zakończyła wzięciem do niewoli Franciszka I. pod Pawią.

IV.

Król powierzył wyprawę do Włoch marszałkowi Lautrec, a sam w sposób lekkomyślny oddawał się miłostkom i zabawom. Sprawy państwa prowadziła przeważnie Ludwika sabaudzka. Naraz jednak zaczęły złe wiadomości nadchodzić z pola bitwy, a nawet mówiono o utracie Medyolanu. Franciszek więc czempredzej udał się do Lyonu, aby być w pobliżu Włoch i zaradzić poniesionym klęskom. Rozkazał tam przybyć

Lautrec'owi, któremu przypisywał główną winę niepowodzeń. Gdy Lautrec się stawił, król zaczął mu z surowością wyrzucać utratę księstwa medyolańskiego. »Wasza królewska Mość zatraciła Medyolan, a nie ja — odrzekł stanowczo marszałek — przestrzegałem i prosiłem o zasiłki pieniężne, bez których nie mogłem żołnierzy utrzymać; Szwajcarzy i żandarmerya nie była zapłaconą od ośmnastu miesięcy, wojsko już bić się nie chciało«. »Jak to — odpowiedział król — przecież posłałem czterystotysięcy talarów, których żądałeś«. »Nie otrzymałem, jak tylko listy, w których mi obiecywano wypłatę; na pieniądze czekałem napróżno«, odpowiedział Lautrec.

Żdziwiony i przerażony król zawołał natychmiast intendanta finansów, p. Samblançay i zapytał, co się stało z temi pieniędzmi. Minister rzecz w ten sposób wyjaśnił, że pieniądze były przygotowane do wysłania, ale w ostatniej chwili przyszła matka królewska, duchessa d'Angoulême, i kazała wydać sobie tę sumę. Przed synem wytłumaczyła się, że suma, której zażądała, były to oszczędności z jej osobistych dochodów, co było nieprawdą. Gdy później wytoczono proces Samblançay'owi, Luiza tak potrafiła zastraszyć sąd i wpłynąć na króla, że intendanta skazano na śmierć, pomimo, że był zupełnie niewinny, i powieszono go 12. sierpnia 1527. Mściwej królowej matce pomagał w przeprowadzeniu procesu na jej korzyść kanclerz du Prat, człowiek przewrotny, jak utrzymywano, bez czci i wiary. Proces ten poruszył całą Francję, a Luiza jeszcze bardziej została znienawidzona. Po jej śmierci znaleziono w kufkach do niej należących 1,500.000 talarów »oszczędności«.

Fakt ten ilustruje lekkomyślność Franciszka i zupełne oddanie rządów matce, skoro w tak ważnych chwilach dla państwa, jak druga wojna włoska, nie przekonał się nawet, czy dowódca dostaje potrzebne pieniądze na wypłatę armii. Wogóle lekkomyślność króla w rzeczach finansowych przechodziła wszelkie granice; na swe przyjemności, na przenoszenie się z zamku na zamek wydawał bajeczne sumy. Cały dwór zawsze ze sobą prowadził. Zwykle w tych podróżach zastawiano sześć stołów z bardzo obfitemi i wyszukanemi potrawami i napojami. Miał zwyczaj rozdawania licznych podarunków, a kobiety niemało zaważyły na skarbie państwa. Bran-

tôme opowiada, że u wielu pań widział pełne kufry bogatych strojów, podarunków od króla.

Kiedy Lautrec wojował, król miał ważne sercowe zajęcia. Zdaje się, że jeszcze w r. 1516, wracając z Włoch, po świetnym zwycięstwie pod Marignan, nawiązał stosunek z Franciszką de Foix, panią de Chateaubriand, która należała do jednego z najbardziej arystokratycznych rodów Francji. Chcąc pozyskać łaski pięknej Franciszki, rozpoczął król od podarunków, pomiędzy którymi wymieniają jakieś przepyszne hafty.

Ludwika sabaudzka nie lubiła pani de Chateaubriand z powodu jej miłostek z Karolem Bourbonem, a nadto nie była zadowolona z romansu syna z córką potężnego rodu, ponieważ jej stosunki mogłyby szkodzić wpływowi matki na syna. Do tradycji niejako u francuskich królów należało, że wybierali sobie kochanki pomiędzy kobietami, nie należącymi do najwyższego świata arystokratycznego; tak postępowali Karol VII, Ludwik XI, Karol VIII i Ludwik XII.

Księżna d'Angoulême starała się od początku zerwać stosunek syna z panią de Chateaubriand; zrazu jednak Franciszek zanadto był zakochany, aby mogła dopiąć celu. W czasie, kiedy wojsko francuskie biło się we Włoszech, król poświęcał dużo czasu na pisanie wierszowanych listów do kochanki. Najmniejsza sposobność wywoływała miłosne listy, piosnki, rondo, madrygały, epigramy, na które ukochane panie odpowiadały w podobny sposób. Po śmierci Franciszka znaleziono w jego sekretarzyku tekę, zawierającą duży zbiór wierszy, które pisał do pani de Chateaubriand, do późniejszej kochanki, Anny de Pisseleu, do siostry Marguerity, a nawet do matki. Większa część tych poetycznych utworów odznacza się męczącą długością, brakiem głębszych myśli, dowcipu, i dziwić się trzeba, że król i jego panie tyle czasu poświęcały na puste rymy. Ale to była moda ówczesnego francuskiego świata, rymotwórstwo należało niejako do dobrego wychowania. Właściwie kunsztowne, wierszowane listy poprzedzały późniejszy gładki styl prywatnej korespondencji.

Jednym z powodów do pisania czułych wylewów serca bywała spowiedź wielkanocna. Żonaci kochankowie martwili się chwilowo, że po spowiedzi trzeba będzie zerwać nieślubne



Hrabina de Chateaubriant.



stosunki; ale skrucha niedługo trwała; wierszowane listy nawiązywały na nowo romanse, które się w wielkim poście zerwało. Utrzymały się dwa: »rondeaux« Franciszka i pani de Chateaubriand, pisane przy takiej sposobności, a może lepsze od innych wierszy. Wogóle poezye pani de Chateaubriand odznaczały się większą zrecznością, a nawet głębszem uczuciem, aniżeli wymęczone rymy Franciszka.

Zresztą nie tylko królowie i ich kochanki lubowali się w czczem rymotwórstwie, ale i ówczesni poeci, jak Chatelain, Jean Molinet, zarzucali społeczeństwo tego rodzaju utworami.

Miłość pani de Chateaubriand ku Franciszkowi była szczerą, co tem bardziej gniewało Luizę; postanowiła więc zwrócić serce syna ku innemu ideałowi. Zaczęło się od tego, że tak matka, jak i siostra Marguerita, bardzo chłodno przyjmowały Franciszkę i nie odstępowały prawie króla, jeżdżąc z nim wszędzie, czy to do Fontainebleau, do Saint-Germain, do Lyonu lub Bordeaux.

We fraucymerze Luizy ukazała się około r. 1521 niespodziewanie siedmnastoletnia, szczupła, pełna wdzięku panienska z Pikardyi, Anna d'Heilly, którą się zaczęła matka Franciszka bardzo opiekować. Ojciec Anny, Guillaume, miał dużo dzieci, zadowolony był zatem, że jedna z córek dostała się do »bandy« królowej matki. Król zaraz spostrzegł tę piękność i protegowana Luizy musiała mu się bardzo podobać, bo pani de Chateaubriand, jedna z pierwszych zauważyła niebezpieczeństwo i bardzo się zaniepokoiła. Król wprawdzie zapewniał swą dotychczasową kochankę pisząc jej, że:

Si mon regard s'adresse a aultre dame
Souvent au lieu ou vous estes presente,
Ce n'est pour tant que je sente autre flamme,
Car je ne puis, et Dieu ne le consente.

Ale te zapewnienia nie były prawdą i pani de Chateaubriand nie uwierzyła w nie i w długich rymach wyznała mu swoją boleść i zazdrość. Rywalka była blondyną, co ją jeszcze bardziej niepokoiło, ona bowiem miała ciemne włosy i zbliżała się do typu kobiet hiszpańskich. Anna d'Heilly miała dużo ży-

cia i czaru, przynajmniej tak wygląda na miniaturze, w rękopisie Marguerity »La Coche«, gdzie z oczami spuszczone, z pewną pokorą przyjmuje książkę, którą jej autorka ofiaruje.

Pani de Chateaubriand przeczuła, że jej panowanie nad sercem Franciszka się kończy, gdyż król coraz bardziej się od niej usuwał, i wreszcie pod pozorem, aby dłuższy pobyt na królewskim dworze nie zaszkodził jej dobrej sławie, wyprawił ją do męża, do Bretanii. Ludwika sabaudzka się cieszyła, a Marguerita dała wyraz tej radości w złośliwym epigramie, zaczynającym się od słów:

Quand la personne en bonheur fut haussée,
Elle ne sceut sa fortune congnoistre.

Król trochę się wstydził swego postępowania wobec kobiety, szczerze do niego przywiązanej, którą zresztą wydarł mężowi, więc starał się ulżyć swemu sumieniu znowu w wierszyku, pani de Chateaubriand poświęconym. Rozdziela on tam swą miłość na trzy części i równemi płonie afektami do srogiej matki, do Anny d'Heilly, i do pani Chateaubriand, która zapewne tym podziałem serca nie była zbyt zbudowana. Około r. 1521 opuściła też na zawsze dwór królewski, udała się do swej rodzinnej Bretanii, gdzie ją Franciszek czasami odwiedzał, ale wkońcu obraził ją w sposób niegodny i nierycerski. Zażądał od niej naramiennika i bransolet, na których były wyryte zdania, odnoszące się do ich miłości, ułożone przez Margueritę. Pani de Chateaubriand widząc, że Franciszek chce tych samych słów użyć do panny d'Heilly, kazała przetopić owe królewskie podarunki i odesłała Franciszkowi uzyskaną z nich bryłę złota. Nie miała więc żadnych już złudzeń, a w jednym z ostatnich, a może w ostatnim swoim wierszowanym liście, posłała mu następujący »Epitaphe«, z prośbą, aby go kazał umieścić na jej grobie:

Une femme gisant en ceste fosse obscure

Mourut par trop aymer d'amour grande et naïve:

Et combien que le corps soit mort par peine dure,

Joyeux est l'esprit de sa foy qui est vifve.

V.

Karol, connetable de Bourbon, był ostatnim wielkim księciem feudalnym we Francyi, księciem Burgundyi. Posiadłości innych lennych panów zostały w ciągu lat połączone z koroną francuską częścią przez wymarcie rodów, częścią przez małżeństwa. Bretania, obok Burgundyi, drugie wielkie lenno, przeszło niedawno na własność państwa. Po słynnej dukesie Annie de Bretagne, małżonce najprzód Karola VIII., a następnie Ludwika XII., odziedziczyła księstwo jej córka Klaudya. Klaudya wyszła za mąż za Franciszka I., który bardziej szczęśliwy, aniżeli zasłużony, przysporzył Francyi tę prowincyę prawie niezależną.

Karol Bourbon ożenił się, jakżeśmy wspomnieli, z Zuzanną de Bourbon, córką ostatniego potomka starej linii Bourbonów, Piotra II., i tem małżeństwem połączył posiadłości obydwu linii tego rodu. Posiadłości te były olbrzymie, co najmniej siedm prowincyj całej Francyi. Ludwika sabaudzka, siostrzenica Piotra Bourbon, rościła sobie prawo do spuścizny po Zuzannie, utrzymując, że jej dobra powinny przypaść Orleanom, czyli rodzinie panującej.

Connetable był bardzo przystojnym, silnym mężczyzną o kruczych włosach, niesłychanie dumnym, ale tę dumę umiał pokrywać gładkością zachowania się, a wybuchy gniewu panowaniem nad sobą. Dobry przyjaciel, ale groźny wróg. Wybornie go scharakteryzował Tycyan na swoim słynnym portrecie; stanowczość, gwałtowność i pycha wybiły swe piętno na tej zylastej twarzy, na tym wzroku ciemnym, przenikliwym. Gdy Henryk VIII. poznał Bourbona w czasie zjazdu monarchów w Drap-d'Or, miał powiedzieć Franciszkowi I., że gdyby miał takiego wasala, toby mu kazał głowę uciąć. Wobec Francyi zdobył sobie Bourbon już w młodym wieku wielkie zasługi. W roku 1508, jeszcze za rządów Ludwika XII. osłabił pod Agnadel na czele kilku tysięcy walecznych przewagę Wenecyi we wschodniej Lombardyi, w roku 1514 obronił granice północnej Francyi, a już za panowania Franciszka I. przyczynił się niemało do zwycięstwa pod Marignan i do odparcia po-

teżnych sił cesarza Maksymiliana, zagrażających księstwu medyolańskiemu.

Po siedmiu latach bezpotomnego małżeństwa urodził się Bourbonowi syn w roku 1517. Wiadomość o tem otrzymał connetable w Rouen, w otoczeniu królewskim. Powrócił zaraz do swego zamku i zastał cały kraj pełen radości. Zaprosił króla na ojca chrzestnego. Franciszek przyrzekł przybyć na tę uroczystość, która odbyła się tak wspaniale, jakby na królewskim dworze. Tłumy szlachty: jedna grupa w strojach albańskich, druga ubrana po hiszpańsku, inne w rycerskich strojach towarzyszyły wjazdowi Franciszka; pięciuset szlachty w aksamitnych szatach ze złotymi łańcuchami na szyi było przeznaczonych na usługi króla. Ten przepych dotknął niemile próżnego monarchę, który też wnet wracał niezadowolony do Paryża.

W ośm miesięcy po Marignan i we dwa miesiące po wyparciu wojsk cesarskich z Lombardyi odwołał Franciszek I. Bourbona z Włoch i przeznaczył tam na dowódcę, zawsze chwiejnego i wahającego się marszałka Lautrec. Niełaska była zupełna; z jakiego powodu? Główną jej przyczyną była kobieca zemsta królowej matki. W r. 1523 mówił Henryk VIII. ambasadorowi Karola V., że nieporozumienie pomiędzy Franciszkiem I. a Bourbonem wynikły z tego powodu, że Bourbon nie chciał się ożenić z jego matką, która w nim bardzo była zakochana ¹⁾.

Ludwika była od Bourbona starsza o lat czternaście, przytem stargana namiętnościami, nie mogła wzbudzać sympatyj. Narzucała się Bourbonowi, który prawie szorstko odpychał jej umizgi. Cały dwór naśmiewał się pocichu z królowej, a Bourbon nie krył się ze swoim wstrętem do Luizy, co ją doprowadzało do paroksyzmów gniewu. »Il l'anyma terriblement contre elle — pisze Brantome, elle sut le lui rendre«. Nienawiść do Bourbona wzmagala się u Luizy jeszcze bardziej, ponieważ Connetable kochał się w jej córce, w Marguericie, która mu sprzyjała. Aby usunąć tę zawadę, wydała Luiza Marguerite

¹⁾ Depesza ambasadora Karola V. z 3. maja 1523 w archiwum cesarskiem w Wiedniu.

za księcia d'Alençon, człowieka, którego córka nie kochała, niegodnego zresztą jej ręki.

Straciwszy nadzieje wyjścia za mąż za Bourbona, postanowiła Ludwika się zemścić. Przedewszystkiem dotknęła go w sprawach majątkowych: skarb francuski nie zwrócił Bourbonowi sum wydanych z jego prywatnych funduszków na wydatki kampanii włoskiej i nie wypłacił zaległych plac connetabla. Co więcej, Ludwika skłoniła syna, aby zajął posiadłości Bourbona, które odziedziczył po żonie, zmarłej r. 1521. Proces o te posiadłości był wytoczony w chwili, kiedy państwo potrzebowało koniecznie pomocy takiego wasala, jak Bourbon, gdyż koalicja Karola V. i Henryka VIII. groziła Francji.

Dotąd ród Bourbonów miał za dewizę słowo »L'Espérance«; do żywego dotknięty magnat niesprawiedliwością króla napisał teraz na swym sztandarze: »Omnis spes in ferro est« — cała nadzieja w mieczu.

Bourbon i Karol V. spotkali się w swoich życzeniach. Cesarz chciał connetabla przeciągnąć do swego obozu, Bourbon rad był w połączeniu z cesarzem wykonać swą zemstę na Franciszku I. Connetable, od niedawna wdowiec, objawił życzenie, aby mu cesarz dał jedną ze swoich sióstr za małżonkę.

Układy się rozpoczęły. Gdyby jednak król i jego matka odstąpili od zagrabienia dóbr, które należały do Bourbonów, w takim razie nie byłby się Connetable posunął do ostateczności. W tym celu udał się z początkiem r. 1523 do Paryża, na dwór królewski. Przybył do pałacu w chwili, kiedy Franciszek I. i królowa Klaudia skończyli obiad. Król przywitał wchodzącego szorstkiem zapytaniem, czy to prawda, że książę się ożenił, albo ma pojąć małżonkę? Bourbon zaprzeczył temu, na co król rozdrażniony odrzekł, że wie o wszystkim, o jego intrygach z cesarzem i że tego mu nie zapomni.

— A więc Sire — odpowiedział Bourbon — ma to być groźba! Nie zasłużyłem na takie obchodzenie się ze mną.

Connetable wyszedł.

Na żądanie króla i jego matki parlament francuski orzekł wydziedziczenie connetabla i przysądzenie posiadłości Bourbona księżnie d'Angoulême i Franciszkowi I.

Król spostrzegł zapóźno, że związanym przeciw niemu

państwowość dał potężnego sprzymierzeńca. Gorączkowo więc zaczął czynić przygotowania, aby się oprzeć cesarstwu, Hiszpanii i Anglii; pożyczal, gdzie mógł, znaczne sumy, zabierał złoto i srebro z kościołów, sprzedawał posady w sądownictwie i urzędach skarbowych i zamierzał stanąć na czele armii, mającej walczyć w Lombardyi. Jak wszystko, co czynił, musiało mieć cechę zewnętrznej okazałości, tak i teraz przed wyruszeniem na wyprawę udał się w towarzystwie królowej Klaudy i księżny d'Angoulême do Saint-Denis, aby uprosić patrona kraju o powodzenie oręża francuskiego. Upadł na kamienną posadzkę przed ołtarzem, na którym był wystawiony relikwiarz świętego, a odprawivszy tam swe modły, powtórzył je z rozwinięciem wielkiego ceremoniału i pompy na czele procesyi w Saint-Chapelle, w Paryżu. W l'Hotel-de Ville pożegnał się z zastępcami miasta i ogłosił swoją matkę rejentką państwa.

Odstępstwo Bourbona trwożyło jednak króla; starał się więc jeszcze nawiązać z nim stosunki, obiecywał restytucję burbońskich posiadłości, ale było za późno. Connetable przyrzekł wprowadzić królowi towarzyszyć w wyprawie do Włoch, połączyć się z nim w Lyonie, ale rzeczy już doszły za daleko. Franciszkowi nie wierzył, a z Karolem V. zanadto się związał. Ósmego więc września, pomimo że słaby, siadł na muła i w nielicznym otoczeniu przedzierał się przez góry, wiedząc, że Franciszek I. rozesłał oddziały wojska, które miały zbiega uwięzić. Wiózł ze sobą 25.000—30.000 talarów w złocie, w sakwach, powierzonych wiernym sługom.

Franciszek jeszcze próbował się pogodzić z connetablem; wysłał za nim zaufanego dworzanina, ofiarował natychmiastowy zwrot posiadłości burbońskich i wypłatę wszystkich zaległych pensyj. »Za późno!« odpowiedział Bourbon. Wtedy posel królewski prosił, aby Bourbon oddał mu miecz connetabla i order św. Michała. »Powiedz królowi, odrzekł książę, że miecz connetabla odebrał mi tego samego dnia, kiedy mnie złożył z dowództwa przedniej straży i mianował na moje miejsce p. d'Alençon. Order św. Michała znajdziecie pod moim łóżkiem«.

Zatarg Bourbona z Franciszkiem I. o mało że nie doprowadził do zupełnego podziału Francyi. Cesarz i król angielski

porozumieli się z Bourbonem, że jak tylko Franciszek I. uda się znowu do Włoch na odzyskanie Medyolanu, Anglicy zajmą Picardję, Niemcy i Hiszpanie Guyennę i Burgundję, a conne-table Bourbonnais i Prowancję, jako niezależny panujący. Franciszek dowiedział się o tym spisku (1523) i kazał otrąbić w państwie, że ktokolwiek schwyci Bourbona i dostawi go, otrzyma 10.000 talarów w złocie. Ale Bourbon już był w obozie cesarskim i przygotowywał najazd na Prowancję.

Najazd się wszakże nie udał; armia connetabla poniosła klęskę w Prowancyi i w nieładzie cofnęła się do Włoch, a szlachta w lennach Bourbona nie chciała brać udziału w kampanii przeciw królowi.

To niepowodzenie connetabla zachęciło Franciszka I. do nowej wyprawy na Medyolan i do ukarania zdrajcy Bourbona. Położenie jednak było trudne, bo Niemcy, Hiszpania i Anglia związały się przeciw Francyi. Franciszek marzył jednak o wspaniałym zamku Sforzów, o sztuce, o pięknych Włoszkach i mimo groźących niebezpieczeństw ruszył z niewielką armią za Alpy, pozostawiając w Lyonie matkę i umierającą na suchoty Klaudję. Dwudziestopięcioletnia królowa, która nigdy nie doznała szczerego przywiązania męża, pozostawiła sześcioro małych dzieci, Franciszka, Henryka i Karola, tudzież pobożną Charlotte, piękną Magdalenę i rozumną Margueritę pod opieką ich ciotki Marguerity, siostry Franciszka I.

Pobyt w Lyonie był pełen niepokoju, dzieci pochorowały się na wietrzną ospę, Luiza cierpiała na artretyzmy, a troska o powodzenie wyprawy medyolańskiej ciążyła na całym otoczeniu. Troski przeszły prawie w rozpacz, mała Charlotta umarła, a z Włoch, po pierwszych bardzo wiele obiecujących wiadomościach, nadeszła wieść o katastrofie pod Pawią. Najznakomitsi dowódcy francuscy polegli, albo dostali się do niewoli, Franciszek uwięziony, ale pełen zawsze pięknych frazesów, pisał do matki, że nic mu nie pozostało prócz życia i honoru. Bonnivet, La Palice polegli, mądry Montmorency i młody król Nawarry podzielili los króla Francyi. Tylko duc d'Alençon, który właściwie zawinił klęskę pod Pawią, powrócił zdrowo do Lyonu z resztkami wojska i stał się pośmiewiskiem Francyi. Do niego głównie odnosiła się piosnka o królu

opuszczonym przez ludzi nieuczciwych, a kończąca się dwuwierszami:

Mais par gens deshonestes
Fut laissé lachement.

D'Alençon nie przeżył jednak klęski i swego wstydu i we dwa miesiące po powrocie do Lyonu umarł. Małżonka, nieszczęśliwa Marguerita, nie chciała się nawet z nim widzieć, i dopiero, gdy ciężko zachorował, troskliwie go pielęgnowała ¹⁾.

VI.

Karol V. kazał Franciszka przewieźć do Madrytu; lecz klęska pod Pawią, zamiast przyćmić nazwisko młodego króla, otoczyła go aureolą. Podnoszono jego rycerskość, a za całe nieszczęście zrobiono odpowiedzialnym księcia d'Alençon, który tymczasem umarł. Porównywano Franciszka do trojańskiego Hektora, do Rolanda, a im twardsze było obchodzenie się Karola V. z więźniem, tem bardziej Ignęły do bohatera kobiece serca. Osobliwie Hiszpanki zaczęły marzyć o rycerskim królu, uwięzionym w Alcazarze, a jedna z kobiet, rodu Infantów da Ximena, tak się w nim zakochała, że gdy Franciszek później, w r. 1526, po raz wtóry się ożenił, przywdziała strój zakonny.

Cesarz zimny, wyrachowany, nie rozczulał się nieszczęściem królewskiego więźnia, ale chciał korzystać z jego smutków i wymóc na nim odstąpienie Burgundyi. Franciszek oparł się temu, co zresztą nie było tak wielkiem bohaterstwem, bo chyba żaden szanujący się monarcha nie byłby się dał zmusić do uszczuplenia swego kraju o jedną z najpiękniejszych prowincyj. Ale to »bohaterstwo«, jak je nazywano, tak dalece działało na kobiece umysły, że siostra cesarza, młoda wdowa po królu portugalskim, Leonora Austryaczka, szczerze się zajęła Franciszkim i nie widując go nawet, już tylko o nim marzyła.

¹⁾ W bitwie pod Pawią brał także udział Polak, Stanisław Łaski, brat Hieronima, i dostał się wraz z królem do hiszpańskiej niewoli.

Eleonora miała wówczas około dwudziestu sześciu lat, nie była piękną, ale przesliczne włosy jasnozłociste i jakaś zaduma w oczach czyniły z niej nadzwyczaj zajmującą postać. Zmarłego męża nie kochała; wydano ją za króla portugalskiego, zużytego starca, aby przeszkodzić jej rozpoczynającemu się romansowi z młodym palatynem Fryderykiem. Teraz chciał ją Karol V. wydać za connetabla Bourbona, ale Leonora wprost odmówiła połączyć się ze zdrajcą ojczyzny. Tak dalece nie ukrywała swej miłości do Franciszka, że pisała listy do jego matki, do Luizy sabaudzkiej, ubolewając, że nie ma tego wpływu na brata, aby uwolnić Franciszka z więzienia. Zrećzna Luiza skorzystała z tego romantycznego usposobienia Leonory, aby wymyślić aż cztery kombinacje małżeńskie, któreby mogły uwolnić Franciszka z więzienia i zbliżyć Francję do Hiszpanii. Franciszek miałby się ożenić z Leonorą, jej córka Marguerita, owdowiała po księciu d'Alençon, miałaby zostać cesarzową, małżonką Karola V., córka Leonory zostałaby przyobiecana siedmioletniemu delfinowi, a nareszcie connetable de Bourbon zostałby mężem księżniczki Renée de France. Prawdziwa dyplomatką zapomniała już swe urazy do connetabla.

Zabrała się też bardzo energicznie do rzeczy; postanowiła wysłać Margueritę do Hiszpanii w odwiedzinach do brata, sądząc, że cesarz tego pozwolenia nie odmówi, a właściwym celem jej podróży miało być ułożenie małżeństwa pomiędzy Eleonorą a Franciszkiem, tudzież pomiędzy jej córeczką a delfinem. Marguerita bawiła wtedy w Wenecyi, ale pomimo upalnego, niezdrowego lata i niebezpieczeństwa dalekiej podróży postanowiła udać się do Madrytu. Cesarz pozwolił jej wprawdzie na wolny przejazd; ale nie bardzo mu dowierzano, czy nie zechce i jej zatrzymać jako zakładniczkę.

W drodze dowiedziała się Marguerita, że brat jej ciężko zachorował, że jakiś absces utworzył mu się na głowie i że lekarze nie wróżą mu już zdrowia. Uwiadomiono nawet o tem cesarza, który wówczas bawił w Segowii. Karol V., przerażony, że straci zakładnika, wieczór przybył do Alcazaru, a wicekról neapolitański i Anne de Montmorency zaprowadzili go z pochodniami do skromnego pokoju Franciszka.

Powitanie nadspodziewanie było serdeczne; na widok

wchodzącego cesarza starał się Franciszek podnieść, ale cesarz uklęknął przy łóżku i rzucił się w objęcia swego więźnia. »Masz przed sobą — rzekł Franciszek — swego niewolnika.« »Nie niewolnika — odpowiedział cesarz, udając wzruszonego — ale brata i przyjaciela, którego uważam za wolnego.«

Ci, co znali cesarza, nie bardzo wierzyli w tę obietnicę wolności, wywołaną chwilowem wzruszeniem.

Karol V. bawił jeszcze w Alcazarze, gdy Marguerita przybyła tam dwudziestego września. Miał on wówczas dwadzieścia pięć lat, Marguerita trzydzieści trzy, a do tego zbiedzona długą drogą i niewygodami. O małżeństwie więc pomiędzy nią a cesarzem, które w cichości projektowała Madame, mowy już nie było.

Marguerita, zmartwiona chorobą brata, zaczęła się z cesarzem układać o uwolnienie Franciszka. Ale Karol V. stawiał tak ciężkie warunki, że przyjęcie ich byłoby podziałem Francyi na rzecz cesarstwa. Był grzeczny, ale bardzo zimny, a ponieważ trzechmiesięczny walor danego jej listu żelaznego zbliżał się do końca, więc ostrzeżono ją, aby jak najprędzej wyjeżdżała z Hiszpanii, inaczej bowiem Karol V. będzie ją uważał za uwięzioną. Musiała więc opuścić Hiszpanię, pozostawiwszy brata jeszcze niezupełnie zdrowego i jak dotąd, w niewoli.

Równocześnie prawie z Margueritą przybył do Madrytu Karol Bourbon, którego cesarz Karol V. powołał w sprawach medyolańskich, był bowiem wówczas lieutenant général de l'empire i généralissime commandant, jak mówiono »a tout le monde, même a vice-roi de Naples, Lannoy«. Właściwym powodem jednak tej podróży było to, że cesarz chciał mu oświadczyć, że nie może już liczyć na małżeństwo z siostrą cesarską, gdyż warunkiem pokoju z Francją jest oddanie ręki Eleonory Franciszkowi I. Chcąc jednak Bourbona wynagrodzić za tę odmowę, robił Karol V. mu nadzieję, że mu odda księstwo medyolańskie po Sforzy, który tam jest bardzo nielubianym.

Bourbon przyjął tę obietnicę, ale nie bardzo wierzył w jej

urzeczywistnienie, a w sercu zachował już wielką urazę do cesarza.

Franciszek I. nie chciał także zupełnie zrażać do siebie Bourbona ze względu na jego wysokie stanowisko i nawet, według kilku historyków, pomiędzy którymi i Sismondi, dał mu do poznania, że zgodziłby się na jego małżeństwo ze swoją siostrą Margueritą, o której wie, że ma do niego sympatyę. Na tej podstawie napisano nawet rodzaj romansu: »L'Histoire secrète du connetable de Bourbon, 1696«. Według tej opowieści i innych tradycji, Franciszek I., mimo swego uwięzienia, miał ułatwić spotkanie swej siostry z Bourbonem, który, upadłszy do nóg księżny d'Alençon, wyznał jej swą miłość, oddawna zamkniętą w jego sercu, a w rozmowie z Franciszkiem I. oświadczył, że jego ambycją będzie wywalczyć sobie księstwo, odpowiednie takiej małżonce, jak Marguerita. Król natomiast odstąpił mu swe prawa do królestwa neapolitańskiego i obiecał dopomóc do osiągnięcia tego celu.

Bourbon udał się do północnych Włoch, aby zdobyć księstwo medyolańskie, ale wkrótce się przekonał, że Karol V. znowu go ludził, bo nie przysłał mu ani ludzi, ani pieniędzy. Wojsko, którem Bourbon rozporządzał, było wynędzniałe, prawie nieodziane, zaczęło się buntować, więc Bourbon chwycił się najstraszniejszych środków, na jakie ówczesni wodzowie się zdobyć mogli. Rabował kościoły, zmuszał bogatych ludzi torturami do wydania mu pieniędzy, aby zapłacić zaległy żołd, obiecywał swemu wojsku niezmierne łupy w najbogatszym mieście chrześcijaństwa, w Rzymie. Aby tem więcej przywiązać do siebie niesforne hordy, posprzedawał własne kosztowności i rozdawał pieniądze pomiędzy żołnierzy, dzieląc z nimi ubogą strawę i narażając się na wszelkie niewygody. Osobliwie pomiędzy Hiszpanami wzbudził w ten sposób niebывały entuzjazm, tak, że te hordy poprzysięgły iść z nim, gdziekolwiek rozkaże, i do swej żołnierskiej piosnki »Calla, calla« dodali jeszcze zwrotkę:

Decia les: mis senores
Yo soy pobre caballero
Y tambien como vosostros,
No tengo un dinero.

Pochód na Rzym był długi i ciężki; wskutek ulewnych deszczów rzeki wezbrały, ale wojsko słuchało hasła Bourbona »Tylko naprzód! tylko prędko!«

Pomiędzy innymi trudnościami natrafiono na wezbraną rzekę Paglia; Bourbon kazał żołnierzom iść wplaw w ten sposób, że trzydziestu do czterdziestu ludzi trzymało się za ręce, aby stawić opór rwącym wodom. Gdy który z tych dzikich towarzyszy opadł z sił, puszczano go, aby zginął w nurtach.

Wreszcie dotarł Bourbon do Rzymu piątego maja 1527 i stanął na Monte Mario; miał krótką przemowę do swych hord, a wskazując na najbogatsze na świecie miasto, obiecywał: »Jutro będziecie szczęśliwi, niezmierne łupy na was czekają«.

Ale to jutro miało być ostatnim dniem jego żywota; rzucił się na czele swych band na Citta Leonina, pewny zwycięstwa. Chcąc dać przykład żołnierzom, zsiadł z konia, chwycił drabinę, aby się wydrapać na mury, ale w tej chwili powalił go strzał z nieprzyjacielskiego arkebuza. Benvenuto Cellini chwalił się, że fatalna kula była jego kulą.

Rozwścieczone żołdactwo, że ulubiony wódz zginął, zdołało Borgo, wrzeszcząc »Espania! Espania! Amazza! Amazza! Bourbon! Bourbon!«

Dwór francuski bawił w Lyonie; tam też skierowała Marguerita swoją smutną podróż, gdzie zastała Henryka d'Albret, młodego króla Nawarry, który, uwięziony także w bitwie pod Pawią, potrafił uciec z tamtejszego zamku. W ciemną noc grudniową wdział suknie pazia, którego położył do swego łóżka, i wyskoczył oknem na wyschnięty moczar, gdzie straży nie było. Gdy dozorca więzienny zapukał nazajutrz do pokoju Henryka, odpowiedział mu przyciszonym głosem drugi paż, że król bardzo chory, wskutek czego dozorca odszedł i dopiero w nocy odkrył ucieczkę, ale d'Albret był już bezpiecznym, na drodze do Francji.

D'Albret był to sympatyczny młodzieniec, odważny, ambitny, rycerski, dobry i sprawiedliwy dla swoich poddanych, a nadto teraz nieszczęśliwy, mogący wzbudzić ku sobie uczucia czułości, jak Marguerita, kobiety, tem bardziej,

że była starszą od niego o lat jedenaście. Marguerita się szczerze w nim zakochała, ślub nie bardzo dobranej pary odbył się 24. stycznia 1527. Zostawiła nam portret męża w »Hircanie«, w Heptameronie. Ale kiedy Henryka opisywała, już miłość minęła, patrzyła więc na męża zdrowemi oczyma. Dzielnym i przyjemnym towarzyszem, nie bez wdzięku i nie bez zasługi, ale w gruncie rzeczy naturą pospolitą, gburowatą, pod powłoką salonowca, prawdziwym południowcem, lubi nieprzyzwoite facecye, skory do uciechy, ale i do gniewu, żonę, jak może, oszukuje, zdaje mu się, że ona nie widzi jego balaństwowości, ale sumienie ma nieczyste, a czując jej wyższość nad sobą, bywa czasem pokornym.

Małgorzatę zbliżała do męża wspólna nienawiść do Karola V. Siostra Franciszka I. opuściła Hiszpanię z rozżalonym sercem, a Henryk dyszał zemstą ku cesarzowi, który mu zajął małe, rodzinne królestwo Nawarry. Nadto oboje skłaniali się ku reformie religijnej, która już zaczęła zajmować wszystkie żywsze umysły we Francyi. Béarn, państwko d'Albretów, było jedno z pierwszych, gdzie wzięły górę nowe dążenia religijne. Tymczasem w lutym 1526 zaszły ważne wypadki, które radością napępiali serce Marguerity; Anne de Montmorency zdołał nakłonić Karola V., że przyrzekł dać wolność Franciszkowi pod warunkiem wysokiego okupu. Cesarz zgodził się także na małżeństwo Eleonory z Franciszkiem I., i zaręczyny odbyły się dwunastego lutego. Warunki wszakże pokoju nie były łatwe; dwaj starsi synowie królewscy, ośmioletni Franciszek i Henryk, mający zaledwie siedm lat, mieli pójść do Hiszpanii, jako zakładnicy, że Franciszek I. dotrzyma umowy, że zapłaci cesarzowi dwa miliony w złocie i odda mu w posiadanie Burgundję. Franciszek przyrzekł wprowadzić pozbyć się tej prowincyi, ale przyrzeczenia nie myślał dotrzymać; złoto zapłacił, ale na oddanie Burgundyi trzeba było uchwały francuskiego parlamentu. Franciszek dobrze wiedział, że parlament się nie zgodzi na takie żądanie. Karol V. może po raz pierwszy w życiu stał się ofiarą swej chciwości.

Wymiana zakładników, dzieci za ojca, odbyła się na granicy, pomiędzy Hendaye a Fonterabią; Franciszek był uradowany, że został znowu królem, dzieci płakały, nie wiedząc, co

się z niemi stanie. Szczęściem czekała na nie w Hiszpanii dobra opiekunka: Eleonora, która wkrótce miała zostać ich przybraną matką. Urok rycerski Franciszka I. bardzo ucierpiał na tej wymianie, wszak mógł ustanowić starszego syna następcą na tronie Francyi, a matkę Ludwikę mianować nadal rejentką. Ale Franciszek żałował korony, był zanadto prózny, dzieci miały cierpieć za niego.

Pierwszym krokiem powracającego króla było ożenienie się z Leonorą, której los nie należał do najszcześniejszych wobec stosunku Franciszka do Anny de Pisseleu, która, jak zobaczymy, została dukessą d'Étamps i »maitressą en titre«.

VII.

Henryk d'Albret zawiózł Margueritę do Nérac, stolicy Béarn'u, leżącej pośród tak zwanych »landes«, równin pustych, suchych, nie pozbawionych jednak pewnego wdzięku, gdy kwitną różowe wrzosi, które pokrywają przestrzeń ku morzu, przerywaną tylko gdzieniegdzie lasami pinij lub karłowatych dębów.

Stolicą tego państewka było Pau, dzisiaj czarujące miasteczko z widokami na śnieżne Pireneje, wówczas pełne bandytów, niedźwiedzi i wilków. I miasteczko dziko wyglądało. Marguerita sprowadziła włoskich architektów, powstały budowle z galeryami, terasami, ozdobione posągami starożytnych bogów. Lud się dziwił i był dumny z zamku swej królowej, a jakiś miejscowy poeta sądził, że:

Qui n'a vist a Castel de Pau

James ne vist a re de tau.

Ale w tym zamku szczęścia nie było; Henryk wolał polować, albo wesoło czas przepędzać z wiejskimi dziewczętami, aniżeli się nudzić z »mądrą« małżonką, »esprit abstract, ravy et extatique«, jak ją nazwał Rabelais w swoim Pantagruelu¹⁾.

¹⁾ 3-cia księga Pantagruela, Cour de Théleme.

Marguerita miała wprawdzie dwoje dzieci, ale chłopczyk umarł wkrótce po urodzeniu, a dziewczynkę kazał Franciszek I. wychować we Francji, w zamku Plessis-les-Tours, obawiając się, aby Henryk nie zaręczył jej z jakim księciem hiszpańskim. Postąpienie to Franciszka rozżalało Henryka i Margueritę; zaczęli unikać królewskiego dworu i przenieśli się w r. 1530 na stałe do swego małego królestwa, gdzie naprzemian zamieszkiwali w Nérac albo w zamku w Pau. Henryk jednak nie był nieużytecznym człowiekiem, owszem starał się podnieść biedne swoje królestwo de Béarn, kazał nawadniać i zalesiać piaszczyste landy i założyć wielką fabrykę sukna, która mogła przerabiać wyborną wełnę z owiec, pasących się na wzgórzach pirenejskich. Przy pomocy żony, która się więcej, jak on, rozumiała na architekturze, przebudował także i zamek w Nérac, tak, że mógł uchodzić prawie za królewską siedzibę.

Ubogi kraj landów przyczynił się niemało do rozwoju kulturalnego Francji w XVI. wieku już z tego powodu, że leżał zdaleka od »świata«, od paryskiej Sorbony i że wpływający na Franciszka księżęta Kościoła nie bardzo mogli kontrolować to, co się dzieje na dworze królowej Nawarry. Często już we Francji iść śladami »pobożnej« Hiszpanii, stopy, na których przywiązywano do pala ludzi podejrzanych o ideje niezgodne z zasadami Sorbony, tu i owdzie płonęły, a reformatorzy, chcący się ochronić przed tą straszną śmiercią, szukali opieki w gościnnym zamku królowej Nawarry. Tam się schronił poeta Clément Marot, tam bawił dłuższy czas Bonaventura Des Periers, który dowcipnem słowem nieraz dokucał opatom, rozkoszującym się w zbytku. Kto tylko zanadto trudnił się literaturą, a nie należał do tych poetów, którzy podnieśli pod niebiosa wszystko, co się tyczyło duchowieństwa, stawał się podejrzanym i lada chwila mógł się żywcem piec w najstraszniejszym ogniu. Melancton pisał raz do Marguerity, że wszyscy literaci i uczeni francuscy pokładają nadzieję »w Waszej Królewskości, jako w prawdziwym bożyszczu«.

Zresztą dwór w Nérac nie wyglądał ani zbyt pedantycznie, uczenie, ani po zakonnemu. Kobiety grały tam wielką rolę. Sama pani domu, idealistka, przestrzegała swych przekonań, nawet w stosunkach z mężczyznami, tak dalece, że któryś

z poetów skarżył się, że serce jego płonie ku królowej, ale wzajemności nie może się u niej spodziewać.

Aussi mon coeur a l'aymer s'appareille,
Mais d'être aimé ne se sent pas bien seur,

a sam Marot dziwił się, iż pomimo, że królestwo jest niedobranem małżeństwem, przecież Marguerita nie pragnie mieć przyjaciela, »la mal mariée qui ne veult faire amy«.

Natomiast inne panie »bawiły się w miłość«, flirtowały, mówiąc po dzisiejszemu, a panny szukały mężów. Królowa bowiem, jak każda kobieta w pewnym wieku, namiętnie lubiła swaty. Rzecz dziwna, że siostrzenica najzawziętszego wroga reformy, kardynała Tournon, ministra Franciszka I., piękna Helena de Tournon, należała tam do najzabawniejszych przyjaciółek królowej. Za kogo wyszła za mąż, nie wiemy; ale jej rówieśnica, podobno jeszcze bardziej urocza Isabeau d'Albret, siostra króla, »cette fine mouche«, zakochała się w panu de Rohan, zrujnowanym szlachcicu z Bretanii, i pomimo sprzeciwiania się rodziny doprowadziła go do ołtarza. Pocziwa ciotka musiała przyjąć na siebie i zle strony »dworu miłości w Nérac«, płacić długi za Rohana. Ale wszelka pomoc na nic się nie przydała; lekkomyślny małżonek coraz niżej schodził i Isabeau musiała na starość zająć niezbyt ponętne stanowisko zrujnowanej arystokratki.

Na tym południowym dworze rozprawiano dużo o nowych kierunkach reformatorskich; ale wieczorem, po obiedzie, porzucano poważną debatę, a jak bywało oddawna w zwyczaju w prowensalskich towarzystwach, opowiadano sobie ciekawe historyjki. Miara przyzwoitości w opowiadaniach była wówczas bardzo szeroka; to, coby dzisiaj wydało się obrażającym panię uszy, mogło się wtedy odbijać echem o marmury najwykwintniejszych salonów. Te historyjki, które nie wszystkie były oryginalne, ale dużo z nich pochodziło z Hiszpanii, ze Wschodu, lub z prowensalskich tradycji, zebrała królowa Marguerita w swym »Heptameronie«. Spisując te wspomnienia, w późniejszych, nieraz smutnych dla siebie czasach, przeżywała królowa swoją młodość.

To były jednak tylko zapiski wesółych, swobodnych

chwil, świadectwem zaś poważniejszych rozmyślań w Nérac pozostanie jej »Myrouar de l'ame pecheresse« i wiele początkowych poezyj, pisanych pod wpływem Reformy, za które byłaby ją Sorbona posłała na stos, gdyby autorka nie była siostrą króla Francji. Prawie wszystkie poezye z ostatniej epoki jej życia zostały dopiero odnalezione i wydane przed kilkunastu laty¹⁾, wiekami zaś leżały nieznane w paryskiej Bibliotece Narodowej. Dopiero też teraz można ocenić duszę tej niepospolitej kobiety francuskiego Odrodzenia.

Najlepiej charakteryzuje Margueritę jej poemat »Les Prisons«, rodzaj spowiedzi z całego życia, składający się z trzech części. Aby ukryć swe wynurzenia przed światem, artystka przyjęła fikcyę, że poemat pisze mężczyzna i otwiera swą duszę przed przyjaciółką »a l'amyé tant aymée«. Trzy epoki przechodził on w życiu, trzy więzienia krępowały całe jego jestestwo. Najprzód poeta, a raczej królowa poetka uwięzioną była miłością w czasach, kiedy szczerze kochała swego drugiego męża Henryka d'Albret, i kiedy żadna chmura nie zasępiała ciasnego wprawdzie, ale uroczego horyzontu. Stała się więzieniem swoich iluzyj, które wszakże były ponętniejsze, aniżeli wszystkie »empires et royautés du monde«.

W drugiej epoce życia uwolniła się poetka od więzów miłości, szlachetna, nie miała żalu do młodego męża, zaczęła się swobodnie rozglądać po świecie, a osobliwie przyroda, nieskończona w niej rozmaitość uwięziły jej duszę swoim czarem. Nie wiele też poetów Odrodzenia zdołało wyrazić z takim entuzjazmem uczucia, jakie budzi przyroda i cały wszechświat w sercach szlachetnych. Była to u Marguerity epoka ambicyi, aby wszystko zbadać, poznać wszystkie charaktery i słabości ludzkie, czasy wiążące się z jej pobytem na dworze brata, Franciszka I. Chciwość i ambicya chciały ją wtedy opanować, bo miłość, żądza sławy i chciwość są według poetki głównymi sprężynami, które życiem kierują; ale z tych więzów wyswobadza ją postać mistyczna, doświadczony, szlachetny starzec, który ją przekonywa, że owe więzy ciężą wpra-

¹⁾ Les dernières poésies de Marguerite de Navarre, publiées pour la première fois par Abel Lefranc. Paris, Armand Colin & Cie.. 1896.

wdzie nad większością ludzi, ale można się od nich uwolnić, zagłębiając się w pisma starożytnych filozofów, w dzieje ludów, pomiędzy którymi żyli, starając się wreszcie o zrozumienie Pisma świętego. Jedynie nauka, umiejętność może uleczyć skolatą duszę. Źródłem pociechy mogą być studia Dantego, tego wielkiego Florentczyka, gdzie się tyle znajduje dobrego, »ou tant de bien l'on trouve«. W tej trzeciej księdze rozwija Marguerita filozoficzne zasady, które ją zajmują, przetrawia niejako swoją erudycję i, jak wiele umysłów współczesnych, stara się pogodzić starożytną filozofię z chrześcijańską religią. Co jednak uderza w tym ze wszech miar niepospolitym umysłem, to przekonanie, że nauki ścisłe i przyrodnicze staną się podstawą przyszłej wiedzy. Człowiek powinien studyować nie tylko życie zwierząt, ale także roślin i kamieni, wszystko, co się wiąże z przyrodą, która jest wielką jednością:

Tout ce qui est caché en leurs natures,
Et leurs vertus et leur corruption...

Dobrym lekarzem może być tylko ten, kto jest wielkim filozofem i matematykiem, a przez tę nazwę rozumiała przyrodnika.

Ta część poematu była pisana po śmierci brata, Franciszka I., po najcięższej stracie, jaka ją spotkać mogła; niemało tam zatem i mistycyzmu, już bowiem w swej młodości hołdowała owym mglisto-religijnym wyobrażeniom, zwłaszcza, że czytywała średniowiecznych mistyków. W swych religijnych wyobrażeniach stoi jednak zupełnie na gruncie, przygotowanym przez Reformację.

VIII.

Anna de Pisseleu, demoiselle d'Heilly, późniejsza duchessa d'Etamps, wywierała na Franciszka I. przez dwadzieścia cztery lat aż do śmierci króla, wpływ tak wielki, jak może nikt z otoczenia. Zręczna, znająca wszystkie słabostki wrażliwego Franciszka, udająca, że zdała stoi od polityki i nie miesza się do spraw publicznych, przecież umiała mu narzucić

niejedną myśl, łagodzić jego uniesienia i porywy, o ile możności zasłaniać je i uniewinniać.

Gdy król wyjeżdżał na nieszczęśliwą włoską wyprawę, która się skończyła klęską pod Pawią, dała mu pierścień, aby o niej pamiętał wśród pięknych Włosek w Medyolanie, i haftowany zaręczawek, z którym Franciszek obiecał nie rozłączać się do śmierci. Wtedy już miał z Anną stosunek w tajemnicy przed otoczeniem, o którym jednak wiedziała Luiza sabaudzka i Marguerita, jako protektorki panny de Pisseleu. Po katastrofie pod Pawią napisał Franciszek matce tyle razy powtarzane słowa »Nic mi nie pozostało prócz życia i honoru«, ale pannie d'Heilly opowiedział długimi wierszami swoje przygody i żale ku tym, którzy się przyczynili do jego klęski, a przedewszystkiem do księcia d'Alençon. Miał wtedy dużo czasu, więc pomiędzy innymi poetycznymi utworami znalazła się i nowa ballada. Znacność charakteru i pewne sympatye ku Hugenotom zbliżyły pannę d'Heilly do siostry Franciszka I.; obydwie stały się opiekunkami prześladowanych. Marguerita ofiarowała jej nawet pięknie ozdobiony rękopis swego poematu »La Choche«, z długim wierszowanym wstępem. Uważano ją za kobietę dobrą i litościwą. Nawet Marot, który nie rad był narażać się potężnym osobistościom i zwracał swe przesadne pochwały tylko tam, gdzie był pewny, że nie zachwieje swego dworskiego stanowiska, napisał o niej:

Sans prejudice a personne

Je Vous donne

La pomme d'or de beauté,

Et de ferme loyauté,

La couronne.

Gdy Franciszek wracał ze swej niewoli z Hiszpanii, księżna d'Angoulême zabrała ją ze sobą na granicę na przywitanie króla, aby mu wielką sprawić przyjemność, nie zważając na to, że tam tylko najwyższe znajdowały się znakomitości. Król jeszcze bardziej się przywiązał do panny d'Heilly, a po śmierci Luizy sabaudzkiej w r. 1531 i rozwiązaniu fraucymeru matki, nie pozwolił jej wrócić do rodziny, ale dał nowe, poważniejsze zajęcie u dworu. Mianował ją ochmistrzynią

dwóch ostatnich swych córek, Marguerity i Magdaleny; przyjaciółka Franciszka I. zarządzała ich wychowaniem i wykształceniem. Anna d'Heilly starała się odpowiedzieć nowemu swemu stanowisku, czytała dużo, nauczyła się po włosku i po hiszpańsku i oddawała się artystycznym studjom. W kilka lat później, po powtórnej ożenieniu się Franciszka I. z siostrą Karola V., wyznaczył jej król (1534) małżonką dla przyzwoitości, Jana de Brosse de Bretagne, obdarzając go hrabstwem d'Etamps, które wyniósł do rzędu księstw. Odtąd Anna de Pisseleu, stała się księżną d'Etamps i pod tem nazwiskiem znaną jest w historii. Mąż jej zaś znika w zapomnieniu.

Księżnę d'Etamps, równie jak siostrę królewską, Margueritę, zajmowało bardzo artystyczne zamiłowanie Franciszka I. i zawsze ją tam spotykamy, gdzie król zbliżał się do artystów. Franciszek nie zagłębiał się wprawdzie w większe znawstwo sztuki, ale miał dużo artystycznego smaku, wykształcił go jeszcze we Włoszech i w Hiszpanii, i w tej mierze wywarł wielki wpływ na kierunek architektury i malarstwa, wpływ nie zawsze zbawienny. Budował dużo i rzecz można, że architektoniczne działanie było jego jedną z największych namiętności. Jeszcze przed niewolą w Madrycie powziął dość fantastyczną myśl wzniesienia zamku na smutnych piaskach i bagnach, nad leniwą rzeką Sologne. Stała na tem miejscu, które sobie król upodobał, mała opustoszała siedziba Chambord, należąca poprzednio do Ludwika XII. Królewscy myśliwi miesili tam chwilowe schroniska, polując na daniela. Gdy Franciszek I. objawił życzenie wystawienia tam wspaniałego zamku, dziwiono się i sądzono, że to chwilowa fantazyja wrażliwego monarchy. Być może, że podania, wiążące się z tą miejscowością, pobudziły królewską wyobraźnię. W jesieni pojawiał się, według wierzeń ludu, w przestworzu nad Chambord czarny rycerz na karym rumaku, z czarnymi psami, w ponurem otoczeniu i wśród burzy i grzmotów uganiał się za niewidzialną zwierzyzną. Franciszek, skłonny do dziwacznych nieraz pomysłów, kazał tam w r. 1523 z największym pośpiechem rozpocząć budowę wspaniałego zamku. Plany i roboty mieli wykonać dwaj architekci z Amboise, Piotr Nepveu i Jakób Coqueau. Byli to właściwie murarze, nie podlegający jeszcze wpływowi

włoskiemu, ale trzymający się gotyckich tradycji i własnej artystycznej wyobraźni. Gdy Franciszek I. powrócił do Francji z hiszpańskiego więzienia, kazał z największym pośpiechem prowadzić budowę, tak, że czasami 1800 murarzy było tam zajętych, a w ciągu lat wydał na nią miliony. Powstało też cudo architektoniczne, stojące na przelomie francuskiej gotyki i Odrödzenia. Plan budowy wzięty był tradycyjnie z feudalnego zamku, o licznych wieżyczkach, silnych murach; w rzeczywistości jednak te wieże i te mury nie mogły już służyć do obrony przeciw zbuntowanym wasalom, ale były tylko zabytkiem dawnych czasów, przesłicznie ozdobionym renesansową myślą, renesansowem poczuciem piękna. Za Henryka II. żłobiono i malowano dalej słupy, gzemsy, fryzy, a ukoronowane F. Franciszka I., złożone salamandry i litera H Henryka II. złączona z D Diany de Poitiers wybiły się nad tysiącznemi dekoracyjnemi motywami. Najciekawszym pomysłem architektonicznym w tym zamku są owe słynne podwójne schody, wplatające się wzajemnie w dziwnie lekki sposób.

Franciszek I. doczekał się ukończenia tej wspaniałej, olbrzymiej budowy, a gdy tam w ostatnich latach swego życia gościł Karola V., mógł z przyjemnością usłyszeć z ust wroga pochwałę, że ten zamek jest istotą tego, co może stworzyć potęga, geniusz i przemysł ludzki. Na szczyt wieży zamku wychodziła później często Katarzyna medycejska »pour consulter nuitamment les cieux et les estoiles«¹⁾.

¹⁾ Brantôme opowiada, że gdy zwiedzał zamek w Chambord, stary odźwierny, który pamiętał jeszcze Franciszka I., zaprowadził go do pokoju sypialnego króla i zwrócił uwagę na słowa napisane na ścianie obok okna:

— Jeżeli pan nie widział — rzekł odźwierny — pisma naszego króla, to przypatrz się tutaj, gdzie Franciszek I. własnoręcznie napisał olówkiem: »Toute femme varie«.

Później upiękuszono tę tradycję w ten sposób, że król diamentem nakreślił na szybie:

Souvent femme varie,
Bien fol est, qui s'y fie.

Na szkle nie mógł król tych słów nakreślić, gdyż szyby były tak małe, że dwie litery pisma Franciszka I. nie byłyby się zmieściły na ta-

Zamek Chambord trzeba uważać za punkt wyjścia francuskiej architektury Odrodzenia, która zachowując tradycje gotyki, przemieniała styl ostrołukowy w renesansowe formy. O tej przemianie powiada jeden z mniejszych poetów, mówiąc o zamku w Blois:

Le temps a laissé son manteau
De vent, de freidur et de pluye
Et s'est vestu de broderye
De soleil reiant¹⁾ cler et beau.

Zamek w Chambord nie zaspakajał jeszcze budowniczej fantazy Franciszka I. Musiał on marzyć o sławie największego architekta gotyckiego Francji, o Filipie Auguście, za którego panowania powstały owe przepyszne katedry dwunastego wieku, w Paryżu, w Laon, w Chartres, Bourges, w Rouen i Soissons, w Reims i w Amiens, tudzież mnóstwo innych budowli, rozsianych po całym państwie. Ale Franciszek nie dorównał pod tym względem wielkiemu swemu przodkowi na tronie Francji. Mimo to jego działanie, osobliwie w zakresie architektury świeckiej, należy do największych zasług, jakie położył podczas swego panowania. W Paryżu zaczął przeistaczać stary zamek

felce. Napisał więc na ścianie, zapewne początkowe słowa jakiejś ówczesnej piosenki, a resztę dodali późniejsi historycy zamku w Chambord.

Wiktor Hugo donosił nawet w r. 1825 jednemu z przyjaciół, że przywiózł z Chambord kawałek szyby z owym napisem Franciszka I. Zapewne nowoczesny odzwierny sprzedał poecie ową z patryotyzmu sfabrykowaną relikwię.

Z końcem 1545 był Franciszek I. po raz ostatni w Chambord; po nim Henryk II. uzupełniał jeszcze tu i owdzie niedokończony zamek o czym świadczy w ornamentach jego cyfra, H połączona z literą D., znakiem Diany de Poitiers. Karol IX., wielki myśliwy, korzystał często z bliskości lasów, aby tam przebywać, a Ludwik XIV, otoczony zawsze niezmierną ilością dworzan, kazał nieskażonej dotąd architekturze dodać mansardy, które szpecą dawną budowę. Ludwik XV. ofiarował Chambord na mieszkanie królowi polskiemu Stanisławowi Leszczyńskiemu i jego małżonce, gdzie królestwo przebywali przez ośm lat, pozostawiając po sobie w okolicy jak najlepsze wspomnienia. W roku 1733 opuścili królestwo słynny ten zamek, aby się przenieść do Lotaryngii, która im się dostała jako dożywotne państewko.

¹⁾ rayonnant.

Louvru, i l'Hotel-de-Ville, wybudował pałac, nazwany »Madrytem«, na pamiątkę więzienia w Hiszpanii, na prowincyi wznosił zamek w Saint-Germain-en-Laye i kilka pomniejszych królewskich siedzib. Ale najwięcej swego artystycznego zamiłowania wlał w zamek w Fontainebleau, który wraz ze swemi parkami, pyszną rozmaitością drzew stał się, osobliwie w jesieni, w czasie winobrania i polowań przystanią wypoczynku dla tego monarchy, zawczasie zmęczonego po młodości, pełnej namiętych porywów i ciężkich zawodów. Budowę tego zamku rozpoczęto w r. 1528, w czasach, kiedy księżna d'Etamps wywierała największy wpływ na króla.

Wyobraźnia ponosiła wtedy Franciszka; pragnął, aby w Fontainebleau była siedziba rządu, aby się w nowym zamku mieściły muzea Francyi, aby się tam odbywały festyny, roznoszące królewską sławę na całą Europę. Kazał zburzyć dawny feudalny zameczek i klasztor św. Trójcy, założony przez świętego Ludwika, zakupił siedmnaście przyległych domów mieszczkańskich, i na tym obszarze zbudował olbrzymią grupę pałaców, galerij, ogrodów i stawów. Ponieważ co chwilę miał nowe pomysły, więc w tem dziele architektonicznym nie było jedności planu, ale natomiast powstawały przepyszne szczegóły. Architektami, a raczej mistrzami murarskimi byli dwaj Francuzi, Gilles le Breton i Pierre Chambiges. Gdy jednak przyszło do dekoracyi gmachów (około 1532), zdawało się królowi, że tylko Włosi zdołają sprostać jego ideałom. Sprowadził więc najprzód Florentczyka, Giovanniego Battistę Rossa, a następnie (1533) Bolończyka Primaticcia, z całym otoczeniem mniej znanych malarzy, pomiędzy którymi odznaczał się Nicolo del Abbate swą pracowitością. Ale potrzeba było także i rzeźbiarzy; więc przybył z Włoch Benvenuto Cellini, ów niepokojny, gwałtowny artysta. Cellini nie mógł znościć Primaticcia, więc powstało piekło w nowych murach. Benvenuto wykonał model wielkiej fontanny; królowi i księżnie d'Etampes model się nie podobał, więc polecono Primaticciowi zrobić inny rysunek. Dowiedziawszy się o tem, przybiegł Cellini do Bolończyka, trzęsąc się od gniewu, i zagroził mu, że jeśli się podejmie tej pracy, to go jak psa zamorduje. Primaticcio, wiedząc, że Cellini łatwo może spełnić krwawą obietnicę, uciekł

na razie do Włoch i dopiero później powrócił do Francji, gdzie mu się nieźle działo, bo dostawał 16.000 liwów rocznej pensji i nabył dwa domy, jeden w Fontainebleau, a drugi w Paryżu.

Ten najazd włoskich artystów spaczył na razie rodzimą francuską sztukę; bogowie Olimpu, bohaterowie Homera najechali całe Fontainebleau, a nawet, gdy dla oddania hołdu królowi, chcieli malarze jego portret na freskach umieścić, zrobili z niego Aleksandra Wielkiego.

To też cały świat francuskich artystów, budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy wrzał wówczas zawzięcią przeciw Włochom i miał wiele słuszności. Francuska sztuka miała świetne tradycje; od czasów greckich nie widziano w Europie takich wspaniałych dzieł architektury i rzeźby, jak we francuskim gotyku XI.—XIII. wieku. Olbrzymie katedry, kamienne posągi dziwnego wdzięku przypominały ciągle Francuzom niedawną jeszcze przeszłość artystyczną i zachęcały do dalszego rozwoju rodzimej sztuki. Tymczasem z Włoch zawiął zupełnie inny prąd artystyczny, duch tak zwanego Odrodzenia, a kto tylko przybył z Rzymu lub Florencji, opowiadał o cudach tamtejszej architektury, tamtejszej rzeźby. Książęta Kościoła, niższe nawet duchowieństwo miało ciąglą styczność z Włochami, a bankierzy z Genuy i Medyolanu, którzy opanowali międzynarodowy ruch pieniężny, złotem swem jeszcze bardziej pobudzali imaginację Francuzów, czerpiących swe bogactwo po większej części tylko z ziemi, z lasów, z rybnych wód oceanu.

Pragnienie to nowej włoskiej kultury rozbudziła do najwyższego stopnia wyprawa Karola VIII. do Neapolu. Król francuski bawił we Włoszech od września 1494 do października 1495 i z całym swem otoczeniem marzył już tylko o półwyspie apenińskim, o cudach przyrody neapolitańskiej, o piękności tamtejszych kobiet, o zręczności artystów. Karol VIII. rabował tam, co mógł; od czasów Gotów i Wandalów nie wywieziono z Włoch tyle bogactw, ile król francuski wywieść zamierzał. Sześć tysięcy jucznych zwierząt, mnóstwo obciążonych wozów wiozło już owe skarby ku Francji, a najeźdźcom wszystko było dobre: rzeźby, obrazy, księgi, tkaniny, srebro, złoto, a co wywieźć się nie dało, kazali sobie malować na pamiętkę. Król i jego towarzysze zabierali podobizny uroczych

kobiet, które poznali w Neapolu, a młody monarcha pisał z drogi do Piotra de Bourbon, że we Włoszech brakuje tylko Adama i Ewy, aby je zamienić na raj ziemski. Ale wojska sprzymierzonych nieprzyjaciół: Ludwika Sforzy z Medyolanu, Wenecyi, Maksymiliana i Ferdynanda Katolickiego zastąpiły mu drogę i król francuski tylko po ciężkiej bitwie pod Fornovo (6. lipca 1495) mógł sobie otworzyć przejście do powrotu, ale musiał pozostawić we Włoszech większą część zrabowanych skarbów. Margrabia Mantuy, Francesco Gonzaga dowodził sprzymierzonym wojskiem, a Andrea Mantegna wymalował na pamiątkę tego zwycięstwa obraz, zwany *Madonna della Vittoria*, przedstawiający markiza, jak klęcząc, dziękuje Madonnie za ochronienie Włoch od francuskiego najazdu. Obraz ten jest dzisiaj ozdobą paryskiego Louvru.

Mimo poniesionej klęski, którą Francuzi nazwali zwycięstwem, nie chciał Karol VIII. bynajmniej zapomnieć o Włoszech i zapragnął zamienić swój ulubiony zamek w Amboise w siedzibę królewską, przypominającą mu na każdym kroku włoskie rezydencje. Sprowadził też dwóch słynnych architektów włoskich, Fra Gioconda i Dominika Bernabei, i cały zastęp najrozmaitszych artystów i rzemieślników, malarzy, rzeźbiarzy, hafciarzy, złotników, ogrodników, a nawet krawców, którzy zamienili Amboise na jakiś czas prawie na włoską kolonię. Cudzoziemskie amatorstwo króla wpłynęło na całe jego otoczenie, zwłaszcza że wojskowi, którzy towarzyszyli Karolowi VIII. do Neapolu, opowiadali ciągle o pałacach, ogrodach wypełnionych rzeźbami, o marmurowych fontannach, portykach i kolumnach.

Francuscy architekci, którzy zawsze jeszcze żyli tradycjami gotyku, z zawiścią patrzyli na najazd obcych artystów, zwłaszcza że większość tych Włochów bynajmniej nie usprawiedliwiała ich sławy.

Prace artystów w Fontainebleau oglądał Franciszek I. prawie zawsze w towarzystwie pani d'Etamps, która pozwałała sobie krytykować ich dzieła, co osobliwie Celliniego niezmiernie gniewało. Wiedząc o tem, bał się Benvenuto, aby mu księżna nie szkodziła u króla; więc razu pewnego wybrał się, aby jej w podarunku zanieść srebrną wagę, bardzo pięknej ro-

boty. Przyszedł jednak za wcześnie z rana, kiedy pani d'Etampes jeszcze się ubierała. Cellini był głodny, niecierpliwił się, ale czekał. Nareszcie, już pod wieczór zabrakło mu cierpliwości; widział w tem postępowaniu pani d'Etampes złą wolę, więc się zerwał z gniewem i poszedł wprost do kardynała de Lorraine, aby mu podarować ową wagę i prosić o pokrzepienie sił wyczerpanych. Dano mu chleba, wina, ale odtąd pałał nienawiścią ku pani d'Etampes, która mu sownie odplacała tę nieprzyjaźń.

Pani d'Etampes nietylko miała wpływ na Franciszka I. w rzeczach sztuki, ale zajmowała się cichaczem i polityką, a przedewszystkiem podtrzymywała w królu nienawiść do Karola V., któremu lekkoduch Franciszek I. byłby może zapomniał dawne urazy. Karol V. wiedział, że w niej ma bardzo wpływową nieprzyjaciółkę, która nieraz przewidywała jego zamiary, i szczerze jej nie lubił.

Mimo to odnosiła czasem wyższa polityka zwycięstwo nad panią d'Etampes w stosunkach Franciszka I. do Karola V. W r. 1530 zawarł Karol V. z Franciszkiem pokój na lat dziesięć. Gdy więc w rok później miasto Gand we Flandryi zbuntowało się przeciw cesarskiemu panowaniu i trzeba było szybko stłumić rozruchy, prosił Karol V. Franciszka, aby mu pozwolił przejść przez Francję. Król zadowolony, że może przed cesarzem rozwinąć cały przepych francuski, starał się zamienić przejazd cesarza prawie w pochód tryumfalny. Za upokorzenia, doznane w Hiszpanii, rad był okazać swą wyższość rycerską. Kazał stawiać swemu wrogowi bramy tryumfalne w Bordeaux, w Poitiers, w Blois i w Orleanie; ale w Fontainebleau urządził gościowi najświetniejsze przyjęcie. Artystyczna dekoracya gmachów jeszcze nie była ukończona, ale mimo to przemieniono pod dyrekcją Rossa zamek i otaczające go gaje w jakąś czarodziejską siedzibę. Gdy Karol V. zbliżał się do słynnego tamtejszego lasu, znalazł się niespodziewanie wśród mitologicznego otoczenia. Z gęstwiny drzew wybiegały naprzeciw niemu Fauny, Satyry, dryady, najady i tańczyły w dzikich podskokach przy odgłosie trąb. Przed zamkiem wznosił się łuk tryumfalny, ozdobiony obrazami, przedstawiającymi cesarza i króla Francyi w togach rzymskich,

z wawrzynami na głowach, a tym niby starożytnym potentatom towarzyszyły postacie pokoju i zgody, o której ani Karol V., ani Franciszek I. nie myślał.

Franciszek oczekiwał cesarza w zamku i zaprowadził go do przygotowanych dlań apartamentów w pawilonie »pieców« (pavillon des poëles). Pawilon ten nosił swą nazwę od pieców, sprowadzonych wówczas z Niemiec, a będących zupełną nowością u Francuzów, przyzwyczajonych tylko do kominków. Przez cały szereg dni następowały najrozmaitsze festyny na cześć potężnego gościa: polowania, turnieje, bitwy konne, piesze i przedstawienia teatralne. Raz tylko, na chwilę wyniósł stamtąd Karol V. nieprzyjemne wrażenie. Młody książę Orleanu, chłopak wesoły i pelen życia, do psot skłonny, zsunął się niespodziewanie z konia podczas przechadzki i wyskoczył poza siodło Karola V., obejmując oburącz cesarza. »Teraz jesteś moim niewolnikiem!« zawołał młodzik. Karol V. się przeraził, beret spadł mu z głowy i poważny, nie wychodzący ze swej roli pan połowy świata nie był zadowolony z tego intermezza.

»Serdeczne« przyjęcie w Fontainebleau nie przeszkadzało, że w pięć lat później, w r. 1544, Franciszek I. znowu wysłał swe wojska przez Alpy, aby walczyć z Karolem V. i wtedy nawet duc d'Enguien odniósł świetne zwycięstwo nad zastępami cesarskimi pod Cerisole.

Mówiąc o pałacu w Fontainebleau, nie podobna nie zauważyć, że ta budowa bardzo niekorzystnie podziałała na rozwój francuskiej architektury. Wpływy włoskie spaczyły przesłiczny gotyk francuski, który nietylko we wspaniałych katedrach, ale i w świeckim budownictwie doszedł do wspaniałego rozkwitu. Dość przytoczyć zamki księcia de Berry, największego budowniczego starszej linii rodu Walezyuszów, pałace w Mehun-sur-Yevre, w Poitiers, w Bourges i t. d., ozdobione przez francuskich rzeźbiarzy i malarzy. Zamek w Mehun należał do najwspanialszych zabytków rodzimej sztuki francuskiej. Następnie zamek w Chateaudun, pałac w Hesdin, zrabowany i zburzony przez wojska Karola V., zamek króla René w Angers, a cóż dopiero powiedzieć o domu w Bourges z XV. wieku nieszczęśliwego Jacques Coeur, który ze skromnego kramarza został olbrzymio bogatym kupcem, a w czterdziestym

roku życia miał już kantory w całej Europie i okręty, rozwijające towary po wszystkich morzach. Przyjaciel Agnieszki Sorrel, pożyczył królowi Francji, będącemu w potrzebie, dwadzieścia cztery milionów franków; ale to było jego nieszczęściem, monarcha źle mu się wywdziękzył: z zawiści i zazdrości bogactw tak go prześladował, że ten mieszczanin-artysta musiał uciekać z Francji i umarł na wygnaniu, zrujnowany i zapomniany.

W tej gotyckiej sztuce francuskiej uderza już ściśle połączenie architektury z rzeźbą, które się stało i później charakterystyczną pięknnością tamtejszych gmachów. Włoszczyzna spaczyła w znacznej części ten kierunek, a Franciszek I., marzący tylko o Włoszech i o tamtejszych artystach, niemal się do tego przyczynił. Fontainebleau ze swymi freskami stało się wielką klęską dla rozwoju francuskiej sztuki na rodzimym gruncie. Nawet malarstwo piętnastego wieku zapowiadało zdrowe realistyczne kierunki, różniące się od włoskich tradycji. Taki taniec śmierci, stanowiący przepyszny fryz w kościele de la Chaise-Dieu (Haute-Loire), takie Sybille w katedrze w Amiens, freski »Arts liberaux« w katedrze Puy-en-Velay i wiele innych zabytków malarstwa z XV. wieku równają się co do piękności kompozycji i wykonania z freskami we Włoszech, nosząc zupełnie odmienny charakter. A cóż mówić o francuskim portrecie z owych czasów?

Słynny Jean Fouquet, który działał za czasów Karola VIII. i Ludwika XII., autor przedziwnych miniatur, odznaczał się w swych portretach zdrowym realizmem, który wprawdzie większości przedstawionych w jego kompozycjach kobietom nie wychodzi na korzyść, ale temu winne modele, a nie artysta. Fouquet, pomimo że znał Włochy, zachował zupełnie swą niezależność od tamtejszego malarstwa. Włosi tak byli zachwyceni talentem Francuza, że papież Eugeniusz IV. zamówił u niego swój portret. Biblioteka w Monachium mieści cenny zabytek po nim, miniatury do pism Boccaccia. Inny artysta, Jean Bourdichon, należący do najbardziej wziętych malarzy podczas panowań Ludwika XII., Anny Bretonki, tudzież Franciszka I., był ulubieńcem dworów i ozdabiał namioty w spotkaniu się angielskiego i francuskiego króla, w Camp du Drap

d'Or. Sporo modlitewników z końca XV. i początku XVI. w. świadczą o rozwoju malarstwa francuskiego w owych czasach. Do najsłynniejszych należą: »Heurs d'Anne de Bretagne« z miniaturami Bourdichona¹⁾, »Recueil des rois de France par Jean Du Tillet« w Bibliotece Narodowej w Paryżu²⁾ i wiele innych.

Wskutek wpływów włoskich malarstwo francuskie wykoleja się, tracąc swój narodowy kierunek, upada w drugiej połowie XVI. wieku i dopiero później dochodzi znowu do wielkiego rozwoju.

Franciszek sprowadził także, jak wiadomo, Leonarda da Vinci w r. 1516 do Francji i oddał mu zamek Cloux w pobliżu Amboise na mieszkanie; ale Leonardo, już stary, z prawą ręką częściowo sparaliżowaną, posługujący się pomocnikami, nie mógł mieć takiego wpływu na francuskie malarstwo, jak się po nim spodziewać należało.

Gdy Franciszek gościł Karola V. w Fontainebleau, mógł mu już pokazać Leonardowską Giocondę, zawieszoną w »cabinet doré«, którą nabył około roku 1500 za 4.000 złotych talarów we Florencji.

Co do protegowania literatów, podziałał niemało na Franciszka I. przykład Leona X. i innych włoskich książąt. Tamci gromadzili uczonych, więc i król francuski nie chciał być od nich gorszym, tem bardziej, że skłonności i prądy czasu wpływały w tym kierunku na jego wrażliwy umysł. Już matka Franciszka, Luiza sabaudzka, chętnie się popisywała łaciną, a gdy w swych notatkach wspomina o zjeździe w Camp du Drap d'Or, nie omieszkała dodać, że miejscowość Ardres nazywa się po łacinie Ardea, a Calais Caletum albo Portus Ilius. Franciszek więc pragnął także być uczonym, a ponieważ w młodości więcej go zajmowały romanse i poetyczne listy miłosne, więc starał się później uzupełnić te braki. Zaczął też od skupywania książek i rękopisów i gromadzenia około siebie ludzi uczonych.

Najgłośniejszym pomiędzy nimi był wtedy Jean Budé,

¹⁾ Wydany w reprodukcjach chromolitograficznych w r. 1841 przez księgarnię Curmer w Paryżu.

²⁾ Departement des manuscrits. Français 2848.

który pochodził ze szlacheckiej rodziny, miał trochę burzliwą młodość i dopiero w dwudziestym czwartym roku życia zaczął się w książkach i zagłębiał tak dalece w naukowych badaniach, że gdy razu pewnego przybiegł do niego służący, przerażony, że w mieszkaniu się pali, uczony odesłał go zgryźliwie do pani, gdyż on się nie miesza w domowe sprawy. Pani Budé musiała zresztą być przyzwyczajona do tego rodzaju uwag swego męża, bo powiadają, że w dzień ślubu mól książkowy wycofał się na trzy godziny, »aby dnia nie stracić«. Jeszcze Ludwik XII. powołał go na swego sekretarza, a Franciszek I. zamianował bibliotekarzem. Do tej pracy się nadawał, ale dyplomata nie był; gdy go król posłał w sprawach państwa do Rzymu, Budé napisał po jakimś czasie do Franciszka I., aby mu pozwolił powrócić do Francji, »bo nie może wytrzymać w tym świecie kłamstwa i intryg«.

Budé był jednym z najbliższych przyjaciół Erazma roterdamskiego; chciał go też sprowadzić do Francji, ale Erazm wolał zamieszkać u swego drukarza Jana Troben w Bazylei, aniżeli zależeć od dworskich kaprysów.

Jak skromnie żył, tak skromnie Budé chciał być pogrzebanym i nakazał w testamencie, aby mu nie urządzano żadnych pomp pogrzebowych, które były wówczas w użyciu.

Po nim objął urząd bibliotekarza, a zarazem lektora Franciszek I. inny uczony, Castellan, zwany zazwyczaj Duchatel'em, człowiek prawdomówny, nie nadający się na dworaka. Franciszek I. go za to polubił i pozwolił przy stole królewskim mówić o wszystkim swobodnie. Chcąc go mianować biskupem w Tulle, zapytał, czy pochodzi z rodziny szlacheckiej; na co Duchatel odpowiedział królowi, że Noe w swej arce miał trzech synów; którego z nich jest potomkiem, tego nie wie. Franciszek I. zadowolnił się tem drzewem genealogicznym.

Ale tego rodzaju odpowiedzi mógł dać tylko ulubieniec królewski. Franciszek I. bowiem nie znosił, aby lekceważono rodowe pochodzenie. Gdy jeden z lektorów, Alamanni czytał królowi ustęp z »Purgatorio«, gdzie Dante wkłada w usta Hugona Capet słowa: »Jestem synem rzeźnika paryskiego«, król się zachnął i powiedział: »Cóż za nedorzecznosc, proszę mi

więcej nie czytać tego śmiesznego autora!« Chciał nawet wydać dekret zakazujący swym poddanym czytania Dantego, ale go odwiedziono od tego zamiaru. Zresztą taki zakaz nie byłby niczem dziwnem w owych czasach. Wszak parlament paryski odebrał profesorowi La Ramée pozwolenie na wykłady o Arystotelesie, ponieważ ten uczony ujemnie krytykował »Logikę« Arystotelesa i wskutek tego był nieprzyjacielem religii i publicznego porządku. Parlament skazał nawet tego burzyciela na galery i tylko wstawiennictwu Duchatela zawdzięczał profesor, że mu karę darowano.

Duchatel najwięcej się przyczynił do fundacyi Collège de France i ciąglą wojnę prowadził z Sorboną i biskupami, których religijność polegała na skazywaniu hugenotów na spalenie na stosie. Do nich należał przedewszystkiem kardynał de Tournon. To też, gdy raz kardynał z zaciekłością inkwizytora przemawiał przed królem za skazaniem jakiegoś heretyka, Duchatel śmiało odpowiedział, że księżę Kościoła zachowuje się jak kat, a nie, jak duchowny. Także w smutnej sprawie miasteczek Cabrières i Mérindol w Prowancyi odznaczył się swoją tolerancją i dobrocią serca. Podczas gdy całe duchowieństwo Prowancyi z niesłychaną zapalczywością i dziką namiętnością napierało na króla, aby wszystkich mieszkańców tych dwóch miejscowości skazać na spalenie na stosie (1540) i mienie ich skonfiskować, jedyny Duchatel śmiał prosić króla o złagodzenie wyroku. Ale nie miał potrzebnego poparcia u dworu, a gdy baron d'Oppede, Jean Meynier poruszył w parlamencie Prowancyi na nowo sprawę nieszczęśliwych Vaudois, pozwolił król Franciszek na »działanie«. W kwietniu r. 1545 rozpoczęła się straszna rzeź, która krwią niewinnych obryzgała panowanie tego króla Odrodzenia. W pięć lat później sam król przekonał się, że fałszywe sprawozdania z Prowancyi były głównym powodem, że się zgodził na wykonanie haniebnego wyroku.

Franciszek I. tak polubił Duchatela, że odchodząc wieczór do sypialni, jego jednego brał ze sobą, aby mu czytał łacińską książkę. Zdaje się, że to królowi było potrzebne do zaśnięcia, bo dyskretny lektor spostrzegłszy, że jego czytanie osiągnęło pożądany skutek, na palcach wynosił się z królewskiej komnaty.

Do literackich ulubieńców Franciszka I. należał także dowcipny wierszopis Mellin de Saint-Galais, który później został jałmużnikiem Henryka II. Podobała się królowi jego przytomność umysłu, gdyż przy każdej sposobności umiał znaleźć stosowne, dowcipne powiedzenie, najczęściej bardzo nieprzyzwoite. Zręcznym był także pochlebcą; gdy razu pewnego Franciszek I., przypatrując się swemu koniowi, zauważył wobec Mellina:

Joli, gentil petit cheval,
Bon à monter, bon à descendre.

poeta natychmiast dodał, zwracając się do konia:

Sans que tu sois un Bucéphal
Tu porte plus grand qu'Alexandre.

Franciszek lubił takie pochlebstwa.

IX.

Paryska Sorbona miała swoje świetne czasy w XIII. w., a sława jej rozchodziła się na całą Europę; z końcem XIV. i w piętnastym stuleciu stała się jednak pośmiewiskiem ludzi rozumnych. Z głupoty tej instytucji wyśmiewał się Erazm rotterdamki, a poeta Marot nadał jej przydomek »L'ingnorante Sorbone«. Ale nie dość na tem, że Sorbona nie odpowiadała swemu przeznaczeniu, była ona jeszcze szkodliwą i tamowała umysłowy postęp. Odrodzenie miało swe źródło w starożytnej literaturze, gruntowne zapoznanie się z duchem greckich i rzymskich autorów było podstawą literackiego rozwoju. Sorbona jednak sądziła, że studjum pogańskich języków wywołuje wszelkie herezye, a przedewszystkiem była wrogo usposobioną greczyźnie i postawiła jako zasadę, aby po grecku w jej murach nie uczono. »Graecum est, non legitur«. Z Włoch szła także nowa »moda« uczenia języka hebrajskiego, gdyż księgi święte pisane były po hebrajsku. Tego już Sorbonie było za wiele; kto umie po grecku i po hebrajsku, ten się stał kandydatem na stos. Instytucya ta po swojemu zastanawiała się

nad pismem świętem. W lipcu r. 1517 pisał Glareau do Erazma, że był na jednym posiedzeniu Sorbony, na którym rozprawiano nad tem, dlaczego nasz praojciec Adam wolał jabłko, aniżeli gruszkę. Brano mu to za złe, roznamiętniano się tą kwestyą, a uczeni, tam zebrani, traktowali rzecz zupełnie poważnie, bynajmniej się nie śmiejąc.

Nie dziw też, że ta instytucja, która pozazdrościła sławy hiszpańskiej Inkwizycyi, śledziła z podejrzliwością każdy ruch umysłowy i z wielką nienawiścią spoglądała na Nérac, osobliwie od czasu, kiedy się tam wylęła ta zmija, ten Calvin, i kiedy z rozkazu Franciszka I., mając go już w swych szponach, musiała uwolnić młodego reformatora.

Sorbona postanowiła zemścić się i sięgnąć swą władzą po siostrę królewską, po Margueritę. Opiekunka wolnomyślnych wydała właśnie w Alençon swój mistyczny poemat »Le Myrouer de l'ame pescheresse«. Sorbona chciała skorzystać z tej sposobności, aby zgnieść tę »szkodliwą« kobietę. Umieściła więc jej pisma na Indeksie zabronionych ksiązek, ponieważ według mniemania wojowniczego uczonego Bedy mieściły się tam zasady Reformacyi. Działo się to właśnie w latach 1527 do 1532, kiedy Franciszek I. nosił się z myślą politycznego aliansu z ligą protestancką i z sułtanem Solimanem, aby się oprzeć Hiszpanii.

Nazwisko rodzonej siostry na Indeksie! Tego było królowi za wiele; kazał więc Sorbonie przedłożyć wykaz wszystkich tych mędrców, którzy powzięli powyższą uchwałę. Listę przysłano, a król polecił biskupowi z Senlis, aby przed zgromadzonymi członkami Sorbony wziął Margueritę w obronę i wykazał, że w jej poemacie nic niema zdrożnego. Sorbona cofnęła swoją uchwałę co do Indeksu i w najuniżeńszych wyrazach starała się nawet udowodnić, że nigdy nie miała złych zamiarów względem królowej Navarry. Ale to były tylko pozory uległości; w duszach profesorów wrzał gniew przeciw Małgorzacie. Podjudzali więc uczniów i regentów Kolegium Navarry, aby w murach swej instytucyi przedstawili sztukę, w najwyższy sposób ubliżającą Marguericie, w której sama królowa była główną, wysmianą osobistością. Ta »komedia« miała być utworem samego Bedy; w pierwszym zaraz akcie

Marguerita, siedząc przy kołowrotku i upuszczając wrzeciono, odbierała przykład Ewangelii od zjawiającej się piekielnej Furryi, co takie na niej zrobiło wrażenie, że sama przemieniła się w Furę. Zły duch ją opanował i stała się siostrą szatana.

Wiadomość o tem przedstawieniu doszła do Franciszka I., który kazał uwięzić owych rejentów; ale dobra Marguerita uprosiła króla, aby ich uwolnił i tylko samego Bedę skazał na dwa lata wygnania.

Od chwili wstąpienia na tron był Franciszek I. przekonany, że Francya potrzebuje instytucyi naukowej, któraby szła z postępem, a w tej mierze wspierała go rada kilku rozumnych, niezacofanych ludzi, jak Guillaume Budé, znakomity hellenista, Guillaume Petit, spowiednik królewski, a przedewszystkiem Jean Du Bellay, którego lekarzem był Rabelais. Bellay miał przez Margueritę wielki wpływ na króla, gdyż, jak powszechnie utrzymywano, był w tajemnicy poślubiony z panią de Chatillon, guwernantką i największą przyjaciółką Marguerity. Mógł więc przez nią niejedną dobrą myśl podsunąć Franciszkowi I. Jeszcze w r. 1517 chciano sprowadzić do Paryża Erazma roterdamskiego i noszono się w kołach królewskich z myślą założenia uniwersytetu, gdzieby wykładano nauki, zupełnie przez Sorbonę zaniedbane, a nawet z niej wykluczone. Król, łatwo się zapalający do wszelkich projektów, myślał już o wybudowaniu wspaniałego Kolegium naprzeciw Louvru, na brzegu Sekwany. Erazm jednak, chwiejny, jak zawsze, i nieśmiały, obawiając się intryg Sorbony, nie przybył do Paryża, a tymczasem król udał się na wyprawę medyolańską i zakończony w swej włoskiej stolicy, porzucił myśl założenia akademii w Paryżu, a natomiast zamierzył ufundować Kolegium greckie w Medyolanie, gdzieby można ściągnąć studentów francuskich i w ten sposób także osiągnąć obok naukowego i cel polityczny zbliżenia do siebie młodzieży obydwu narodowości. Klęska pod Pawią przerwała jednak te piękne zamiary.

W czasie swego pobytu w niewoli hiszpańskiej zwiedził Franciszek I. uniwersytet w Alcali, założony przez Ximenesa, i tam wznowił się w nim dawny zamiar założenia Kolegium w Paryżu. Wogóle bliższe poznanie procesów i procedur Inkwizycyi tak mu obmierziło tę instytucyę, że liberalne jego in-

stynkty bardzo się wzmogły, wskutek czego postanowił wykonać niejeden z ideałów swej młodości. Tym razem bez wielkiej pompy, bez wielkiego aparatu, jak gdyby się obawiał narazić Sorbonie, wskrzesił w r. 1530 zakład, który stał się później tem, czem jest do dziś dnia, »Collège de France«. Na przekór Sorbonie uczono tam łacińskiego, greckiego i hebrajskiego języka, wykładano medycynę, filozofię, matematykę, ufundowano katedry, z których wychodziło pierwsze słowo Odrodzenia we Francyi. Była to wielka zasługa Franciszka I. Uniwersytet przyjęto z radością w uczonym świecie, a ponieważ w owym czasie tendencją polityki Franciszka było zbliżyć się do Wschodu, więc niebawem przybyły tam katedry języka arabskiego i wogóle języków orientalnych.

Wykłady te zyskały sobie wielką popularność, ale ponieważ, jak zwykle za Franciszka, brakowało tam pieniędzy, gdzie ich najwięcej było potrzeba, więc wkrótce rząd przestał płacić profesorów. Znalazło się jednak tylu uczonych z poświęceniem, że bezpłatnie wykładali najpotrzebniejsze przedmioty, aby tylko uniwersytet nie upadł.

Wielkie przerażenie zapanowało w Sorbonie; ubywało jej coraz więcej studentów, tamtejsi mędrcy przyznawali się z gniewem, »że nie pozostają im ze słuchaczy, jak tylko stare baby«. Z większym też, jak dotąd, zapalem zaczęli krzyżować, że nauka języka hebrajskiego jest jedną z najstraszniejszych herezyj, że nawet łacina prowadzi do materyalizmu i niedowiarstwa. Przestrach, jaki zapanował w Sorbonie, jeszcze się wzmógł, gdy we wrześniu 1531 umarła Ludwika sabaudzka, gdyż ona wierzyła w korzystne działanie Sorbony i broniła jej niedorzeczności wobec syna i córki Marguerity.

Ale i postępowe idee mają bardzo często najszkodliwszych nieprzyjaciół właśnie pomiędzy tymi, którzyby je chcieli popierać. Namętne, bezmyślne porywy są zazwyczaj zaporą postępu. I wówczas we Francyi urosli naraz sprzymierzeńcy Sorbony we wrogiem jej stronnictwie. Pośrednim do tego powodem był wyrok, który Sorbona wydała 16. kwietnia 1529 na Ludwika Berquin, bardzo poważanego, pięćdziesięcioletniego człowieka i uwięziła go pod zarzutem herezyi. Berquin był jednak zamożnym rycerzem, miał stosunki u królewskiego

dworu, a ponieważ zarzuty, przeciw niemu podniesione, nie były dość uzasadnione, więc wskutek wdania się Ludwiki sa-baudzkiej, która wtedy była rejentką, uwolniono oskarżonego. Sorbona jednak postarała się tymczasem o obciążenie jego mniemanej winy. Znowu kazała go uwięzić; ale i tym razem poniosła klęskę, gdyż król Franciszek w przystępie dobrego humoru przywrócił mu wolność. Królowa Marguerita ucieszona, że może wobec Sorbony odegrać rolę opiekunki ucieszonych, przyjęła Berquina na swój dwór.

Rozdrażniona do najwyższego stopnia Sorbona nie spoczęła; wystarała się o jakieś listy, obciążające Berquina, i 16. kwietnia 1529 wydała wyrok, skazujący go na dożywotne więzienie w ciasnej celi. Pisma uczonego zostały spalone. Powstało w Paryżu wielkie oburzenie, gdyż cała sprawa była niejasna, nie wiadomo właściwie, z jakiego powodu zapadł tak ciężki wyrok. Sorbona, naśladując hiszpańską Inkwizycję, nie cierpiała, aby jej wyroki podlegały publicznej krytyce; chcąc więc położyć tamę dyskusji, kazała Berquina żywcem spalić na stosie, na placu de Gréve. Pośpieszyła się zaś z wykonaniem tej zbrodni, aby dwór królewski, który bawił wówczas w Blois, nie dowiedział się przedwcześnie o wyroku i nie założył swego veto.

Na nieszczęście znaleźli się lekkomyślni ludzie, którzy w nocy, 18. października 1534 poprzylepiali na bramach kościołów i ratuszów w Paryżu, w Rouen i w Meaux, plakaty, napadające w cyniczny sposób na dogmaty religii katolickiej. Co więcej, niewiadomi sprawcy rzucili się na statuetkę «cudownej» Madonny z dzieciąciem, która się oddawna znajdowała przy ulicy des Rosiers, potłukli ją w kawałki i wrzucili w błoto. Lud paryski czcił tę Madonnę, opinia zwróciła się odrazu przeciw reformatorom, jako domniemanym sprawcom świętokradztwa. Sorbona korzystała z tego wypadku, aby rozniecić do reszty płomień nienawiści u ludu, wskazując na winnych, na nowatorów.

Cała Francja zawrzała, trwoga przejęła ludzi, na których ciężyły zarzuty, że się skłaniają ku reformacji, a nieprzyjaciele wszelkich nowości oblegali króla, aby z największą surowością zniszczył tę nową hydrę, która stara się zburzyć podwa-

liny francuskiego społeczeństwa. Przedstawiano Franciszkowi I., jakich okropności dopuszczają się anabaptyści w Niemczech, którzy występują przeciw monarchom, przeciw Kościołowi, nie uznają małżeństwa, zaprowadzają najohydniejsze obyczaje.

Król, przestraszony, wybrał się do Paryża, aby swoim wpływem uspokoić umysły. Ale zaledwie przybył do stolicy, znów się pojawiły owe bezecne plakaty, poprzyklepane nie tylko na murach kościołów, ale nawet w Louvrze, w królewskich pokojach. Winnych nie można było na razie wysledzić; zabobonny lud sądził, że to sprawa szatana, i tylko Sorbona utrzymywała, że istnieje spisek protestantów, dążący do tego, aby wszystkich katolików wymordować podczas nabożeństwa. Takie sprzysiężenie nie istniało, ale Sorbona korzystała z rozdrażnienia umysłów, aby schwycić dwudziestu czterech winnych czy niewinnych i skazać ich na spalenie na stosie. Sorbona zapanowała, król poddał się jej zupełnie.

Dziewiątego stycznia 1535 wyszła groźna procesya z Luwru do Notre-Dame. Na czele Franciszek I. z zapaloną pochodnią, z głową obnażoną, obok niego dzieci królewskie, królowa Leonora w najlepszej zgodzie z panią d'Etampes; za królewską rodziną dygnitarze i panie najwyższej arystokracji. Jedna tylko królowa Marguerita nie mogła przenieść na siebie, aby być świadkiem strasznej egzekucyi, i wyjechała do Navarry.

Procesya szła ulicami, śpiewając psalmy, a wśród niej tryumfujący członkowie Sorbony. Średnie wieki wracały w całej swej niehumanitarnej okazałości.

W katedrze Notre-Dame król przemówił do tłumów, a w tych słowach znikł już monarcha Odrodzenia, przemienił się z zadziwiającą szybkością w hiszpańskiego inkwizytora. «Gdyby moje prawe ramię, wołał, było зараżone tą herezyą, odciąłbym je i odrzucił daleko od siebie i gdyby jedno z moich dzieci było dość zepsute, aby popierać te zgubne nowatorstwa, tobym własną ręką zrobił zeń ofiarę Bogu wszechmocnemu».

Rozkoszowano się barbarzyństwem; król z całym otoczeniem, najpiękniejszymi paniami, przypatrywał się, jak pa-

lono zwolenników reformy. I tego króla uważają za ozdobę kultury Odrodzenia!

Aby tem większą sprawić rozkosz przypatrującej się publiczności, pieczono sześciu zbrodniarzy po kolei, każdego z osobna: trzech luteranów, przekupnia owoców, praczkę i bakałarza szkolnego, »ponieważ w piątek jadł mięso«.

Jedna pani d'Étampes z towarzystwa królewskiego nie chciała się przypatrywać, jak smażą ludzi na wolnym ogniu; raził ją widok biedaków, wijących się z bólu w płomieniach. Udała, że powonienie jej nie znosi odoru piekących się ciał, i wróciła do domu.

Inni byli wytrzymalsi.

Sorbonie tak się podobał ten tryumf »zasad«, że wyszukiwała coraz to nowych herezyarchów i całemi miesiącami trwały takie ofiary »na chwałę Bożą«, już nietylko w Paryżu, ale i na prowincyi.

Nie dość jednak było palić winnych na stosie; trzeba było zle wykorzeńić w zarodzie, a ponieważ łatwość czytania książek po wynalezieniu druku stała się wielką, przeto Franciszek I. kazał zamknąć drukarnie. Wkrótce się jednak przekonano, że druk przecież potrzebny, już z tego powodu, aby zadość uczynić próżności autorów, członków parlamentu, a nawet króla poety. Więc Franciszek I., jak zwykle zmienny, kazał napowrót otworzyć drukarnie, ale pod egidą Sorbony, która się stała władzą cenzuralną.

Gdy papież Paweł III. dowiedział się o tem mnóstwie ofiar, płonących na stosach we Francyi, napisał do Franciszka I., uprzejmie mu przypominając, że Bóg jest miłosiernym, a ponieważ król Francyi nosi tytuł arcykatolickiego monarchy, więc powinien się także kierować większem miłosierdziem, aniżeli dotąd, i nie skazywać ludzi na tak straszną śmierć jak palenie ludzi żywcem. Więc taki Carafa, jeden z najostrzejszych papieży, musiał wstrzymać rękę króla, »szlachetnego rycerza«, krzewiciela kultury Odrodzenia! Ale ten monarcha, obsypywany kwiatami dworskich poetów, był już w kleszczach Sorbony. Jeden z jej najzawziętszych wojowników, Beda, wróciwszy z dwuletniego wygnania, osmieleł się nawet oskarżać króla o układy z herezyarchami (1535). Tego było i Francisz-

kowi za wiele; kazał teologa uwięzić i wysłać do lochów na Mont-Saint-Michel, gdzie zawzięty wróg wszelkiego postępu umarł, a ponury szum rozbijających się fal morskich o dzikie skały był dlań jedyną muzyką pogrzebową.

Król stał się znowu wolnomysłniejszym, bo nowa wojna groziła z cesarzem, a protestanci niemieccy, oburzeni postępowaniem Franciszka I. wobec ich współwyznawców, nie mieli ochoty łączyć się z nim przeciw Karolowi V. Zresztą król arcykatolicki marzył ciągle o przymierzu z Solimanem i z Anglią, więc przynajmniej na chwilę trzeba było pogasić stopy, na których płonęły niewinne ofiary zbrodniczego fanatyzmu.

X.

Łowy i kobiety, to były dwie największe namiętności Franciszka I., który nieraz mawiał, że przed samą śmiercią nieby go nie powstrzymało od myśliwskiej wyprawy. »Gdy będę starym i chorym, powiedział, każę się zanieść na polowanie, a nawet w trumnie radbym jeszcze brać udział w łowach«. Doprowadził on zresztą łowiectwo do prawdziwego arcyzmu i rzec można, że przyczynił się do niebywałego rozwoju myśliwstwa w XVI. wieku.

Łowy, tak jak je wówczas urządzano, mogły rzeczywiście roznamiętniać rycerstwo i wypełniać mu życie. Francja miała jeszcze dużo lasów i mnóstwo rozmaitego zwierza. W swych warownych zamkach nudzili się feudalni panowie, jeżeli nie musieli jechać na dwór królewski albo na jakie rodzinne uroczystości. Największą więc przyjemnością były łowy, konie, psy, tem bardziej, że można było wtedy rozwinąć cały przepych rycerskiego rzemiosła. Już taki wyjazd na łowy o rannym brzasku miał coś upajającego. Panowie, ubrani w zielone lub ponsowe szaty, z mieczem i kordelasem u pasa, z oszczepem w rękę, panie na rumakach z Bretanii, przystrojonych rzędami z aksamitów i złotych haftów, w dużych kapeluszach z piórami, w długich czerwonych kurdybanowych bucikach. Suknia była spięta powyżej kolan agrafą jubilerskiej roboty, a w tej mierze Katarzyna medycejska wprowa-

dziła włoską nowość, do jej przybycia do Francji nieznaną, zakładania nogi na łęg od siodła. Amazonka siedziała w ten sposób silniej na koniu, co zwłaszcza przy rączych biegach było praktycznym, a nadto zgrabnie obuta noga okazywała się w całej pełni. Duże psy Franciszka I. szybko pędziły za zwierzem, panie królewskiego otoczenia ubiegały się o to, aby być najpierwszemi przy »Hallali«.

Jeżeli dodamy do wyjazdu na łowy sfory przepysznych psów myśliwskich, ujadających, aby jak najprędzej dostać się do boru, i gry trąb o srebrzystych dźwiękach, to cały obraz oczywiście mógł obudzać tę namiętność do myślistwa, którą całe społeczeństwo rycerskie wówczas wrzało. A cóż dopiero powiedzieć o malowniczości powrotu do zamku przy pochodniach, odbijających swe wesole światło o mury i baszty, o rozpozgodzonych twarzach myśliwych, którzy z dumą spoglądali na panie swych serc, że są godni nosić ich barwy.

Franciszek I. wydawał niezmierne sumy na łowieckie przyjemności; ambasador wenecki, Marino Cavalli, szacował roczny budżet łowiecki króla na 150.000 talarów, ogromną sumę na owe czasy. Liczył w to pensję służby myśliwskiej, wydatki na wozy, sieci, psy, sokoly i inne »drobnostki«. Dwór królewski prowadził właściwie koczownicze życie; inny ambasador, Marino Giustiniani, skarżył się, że przez czterdzieści pięć miesięcy, w których bawił przy królu, dwór nigdy nie zatrzymał się dłużej na jednym miejscu, jak dwa tygodnie, pędzono bez tchu z okolicy do okolicy, tam, gdzie zapowiadano królowi dużo zwierzyny.

Ludność na tem strasznie cierpiała, musiała bowiem całemu dworowi dostarczać pożywienia, paszy dla koni, a zamiast zapłaty, otrzymywała obietnice.

Włóczęgi Franciszka I. po kraju były jakby wyprawami wojennemi; brało w nich udział po kilkanaście tysięcy ludzi, karawana składała się z kilkuset wozów i koni bez liku; oprócz rycerstwa ze służbą mnóstwo żołdactwa, pozbieranego z Francji, Szkocji i z Włoch, w znacznej części hołoty, którą trzeba było trzymać w karbach. A cóż powiedzieć o tych kobietach, praczkach, kucharkach i innych potrzebnych i niepotrzebnych paniach, idących lub jadących z męskim taborem! Królowi

i dygnitarzom rozbijano namioty, inni mieścili się, jak mogli, na wozach i pod wozami. Jakiś ład musiał w obozie panować; czuwał nad tem roi des Ribauds ze swą drużyną, rodzaj dyrektora policyi bezpieczeństwa, a nawet łagodny stróż moralności. Nazwa Ribaud nie miała zaszczytnego pochodzenia; w średnich wiekach dawano ją ludziom bez czci i wiary, a jeszcze w XIX. wieku nazywano kobiety złego życia w Paryżu »Les Ribaudes«.

Zakres działania tego króla Ribodów był bardzo szeroki. Przedewszystkiem musiał czuwać nad osobą króla, nie pozwalając, aby ludzie niepowołani wchodzili do królewskiego zamku albo do obozu i aby nie zasiadali do stołów przeznaczonych dla służby, albo nie korzystali z kuchni królewskiej. Gdy po wieczerzy bramy zamknięto i klucze oddano wielkiemu ochmistrzowi, roi de Ribaud brał latarkę do jednej, a goły miecz do drugiej ręki i chodził po korytarzach i gankach, czy nie spotka kogo podejrzanego. Szczególną władzę miał nad kobietami lekkiego życia, musiał je znać osobiście i wiedzieć, które mają wolny przystęp do zamku, pobierał od nich małą daninę, a na znak uległości musiały te panie sprzątać jego mieszkanie co roku, na pierwszego maja.

Urząd Ribauda nie zawsze był bezpieczny, osobliwie, kiedy dwór bawił w Paryżu, zdarzało się bowiem, że zbuntowane wychowanki obyły swego króla w ciemnościach nocnych, a dworzanie byli zadowoleni z takich egzekucyj i nie przyczyniali się bynajmniej do wyszukania winnych. Wychowanki Ribauda zwano les femmes folles, a liczono ich z końcem XV. wieku w samym Paryżu, bez przedmieść, aż sześć tysięcy. Panowanie więc nad nimi nie było łatwe.

Tak Franciszek I., jak jego następcy, najbardziej lubili polowanie na jelenie, na daniele i na dziki. Panie brały śmiało udział w tych łowach; o nich to pisał Ronsard:

Couvrez la tendre chair de vos grèves¹⁾ divines
Du cuir damasquiné de vos rouges bottines;
Vos cottes agrafez plus haut que les genoux;
Que vos molosses fiers couplez aprez vous.

¹⁾ Greves, łydki.

Ale widocznie nie wszystkie bywały uzbrojone i nie wszystkim chodziło o uбиcie jelenia lub dzika, bo inny poeta ówczesny pyta się: Jak to? — jedziesz na łowy bez broni?, A piękna towarzyszka mu odpowiada: Czyż nie mam oczu, któremi niejedną zwierzyinę zdobyłam:

»Comment vas-tu sans armes, a la chasse?

— N'ai-je mes yeux, dit-elle, dont je chasse

Et par lesquelles j'ay maint gibier surpris?

Jak Rabelais opowiada, i niektóre zakonnice nie pogardzały łowieckimi wyprawami i w dłoni, ujętej w piękną rekawiczkę, trzymały oszczep lub dziryt.

Polowanie z sokołami uważał Franciszek I. raczej za zabawkę, aniżeli za prawdziwe łowy. Ale mimo to liczono w jego wyprawach myśliwskich często i pięćset sokołów; to też, gdy je wypuszczono nad rzekami, wkrótce w całej okolicy zabrakło czapli, tak poszukiwanych do ozdoby kapeluszy i беретów. Przeciwnie, najulubieńszy towarzysz łowiecki Franciszka I., Louis de Brézé, grand sénéchal Normandyi, mąż Diany de Poitiers, był zapalonym wielbicielem łowów z sokołami.

Gdy Franciszek czuł się bliskim śmierci, chciał jeszcze objechać wszystkie te miejscowości, w których najchętniej polował; bardzo już cierpiący, udał się do Saint-Germain, do Murette, do Villepreux i Dampierre, ale wkońcu w Rambouillet śmierć go dogoniła, szybsza od najslawniejszego jeźdźca i myśliwego (10. lipca 1547).

To, co najbardziej kochał, łowy i kobiety, zniszczyły jego zdrowie; wcześniej się postarzał, podlegał częstym febrom, czasami cierpiał na zewnętrzne wrzody, o które jeszcze dzisiejsi francuscy lekarze się spierają, pod jaką kategorię chorób je zarejestrować. Zdaje się jednak, że uległ powszechnej wówczas chorobie zwanej »mal français« i że La Belle Ferronière mu ją wszczepiła.

Franciszek, im bardziej się starzał, tem bardziej chciał ratować swoją młodość, a w r. 1543 pisał jeden z dworzan do Montmorencego, że »nasz pan należy do tych, o których się

zawsze mówiło, że »plus se prant avecques les fames et en a perdu toute honte«.

Ładna piosenka, którą przypisują Franciszkowi I., maluje wybornie ten stan duszy starzejącego się króla, tę tęsknotę za młodością:

Où êtes-vous allez, mes belles amourettes?

Changerez-vous de lieu tous les jours?

A qui dirai-je mon tourment,

Mon tourment et ma peine?

Rien ne repond a ma voix.

Les arbres sont muets et sourds,

Où êtes-vous allez, mes belles amourettes?

Podobno i muzykę do tych słów dorobił sam Franciszek. Ale to może za piękne na króla, który niezgrabne wiersze pisał do swych kochanek.

XI.

Na dworze Franciszka I. kobiety tak wielką rolę odgrywały, tyle zresztą różnorodnych ludzi było nagromadzonych, Francuzów, Włochów, Hiszpanów, Niemców, Szkotów i Polaków, że cały ten mikrokosmos musiał wrzeć od intryg i plotek. W ostatnich latach panowania króla utworzyły się dwa wyraźne stronnictwa towarzyskie, które pilnowały własnych interesów i walczyły ze sobą podstępem i obmową. Jednem dowodziła pani d'Etampes, która miała tem większy wpływ, im bardziej się król starzał, drugie gromadziło się około Diany de Poitiers, mającej bardzo potężne towarzyskie związki, do której zresztą z powodu jej stosunku z delfinem, należała przyszłość. Do swych celów używała Diana wszechmocnego u króla connetabla Montmorencego, który nawzajem korzystał z jej wpływu na Henryka. Anne de Montmorency był człowiekiem nielubianym, ale wszyscy się go bali z powodu jego bezwzględności i brutalności. Był to twardy chciwiec, narzucający każdemu swoje zdanie, nie cofający się przed niczem i chwytający za każdą korzyść, choćby do niej się dochodziło w sposób niezbyt honorowy. W tej mierze miał on z Dianą pewne

pokrewieństwo charakteru i przyjaźń pomiędzy nimi polegała na wzajemnym interesie, a nie na rzeczywistej sympatii.

W armii królewskiej mówiono, że trzeba się strzec Connetabla, gdy odmawiał ranne pacierze, przerywał bowiem swe modlitwy takimi rozkazami: »Rozstrzelać tego łotra, w mojej obecności; tamtego zakłuć pikami; maroderów, którzy chcieli bronić dzwonnicy, posiekać w kawałki i spalić wieś, podłożyć ogień wokoło«. To były jego Ojczenaszki. Zginął w bitwie pod Saint-Denis. Gdy już ośm ran otrzymał, przystąpił do niego Jakób Stuart, namawiając, aby się poddał; Montmorency jednak podniósł się jeszcze z gniewem i rękojęścią miecza wybił zęby Stuartowi. Widząc to jakiś żołnierz Szkot, zastrzelił go z pistoletu.

Na razie jeszcze rządziła u dworu Franciszka I. pani d'Etampes i mieszała się do wszystkiego, do polityki, do spraw osobistych, gdyż długiem swem panowaniem nad królem utrwaliła sobie silną, prawie nienaruszalną pozycję.

Diana de Poitiers, która została około roku 1536 kochanką prawie o dwadzieścia lat od siebie młodszego delfina, górowała nad panią d'Etampes wielką stanowczością i energią, w czem jej dopomagał powolny Henryk, nienawidzący i ojca i panią d'Etampes, chętnie ulegający swej metresie. Diana zresztą chciała, zimna, umiała pieniądze wyzyskiwać swoje »stanowisko«.

Katarzyna medycejska stała jeszcze na uboczu; w dość podły sposób starała się o przyjaźń Diany, aby przez nią utrzymywać się w łaskach u męża; roztropna, pełna fałszu, pełzała się, jak wąż, w tem towarzystwie, przekonana, że i na nią przyjdzie pora, aby się odwdzięczyć za wszystkie upokorzenia, które musiała znosić, jako córka florenckich kupców.

Czasami wszystkie te intrygi i ukryte urazy wybuchały w widocznych nienawiściach, a ponieważ wówczas pojedynki należały prawie do codziennych wypadków, więc było ich bez liku. Do najgłośniejszych doprowadziła sprawa panów: Guy Chabot hrabiego de Jarnac z panem De la Chataigneraie. Jarnac był szwagrem pani d'Etampes i zwracał tem uwagę całego dworu, że bardzo dużo wydawał, więcej, jak mogły wynosić jego dochody. Zaczęto mówić, że ma stosunek z matką

swjej żony, z Magdaleną de Puy-Guyon, i że ta go wspiera pie-
niężnie, co także delfin Henryk chętnie powtarzał, zadowolony,
że tem może dokuczyć pani d'Etampes. De la Chataigneraie
dowiedział się, że go Jarnac posądza, jakoby rozpowiadał
o tym romansie, a że był silnym mężczyzną i jednym z naj-
głośniejszych pojedynekowiczów, więc wyzwiał Jarnaca. Pani
d'Etampes w obawie o swego szwagra namówiła Franciszka I.,
aby zakazał tego pojedynku.

Po śmierci jednak Franciszka I. poruszono znowu tę
sprawę, otoczenie bowiem Henryka II. spodziewało się wzno-
wieniem pojedynku poniżyć Jarnaca, a tem samem i panią
d'Etampes.

Wmieszali się w to Guizowie, przeciwnicy pani d'Etam-
pes, a Franciszek de Guise ofiarował się nawet za sekundanta
panu De la Chataigneraie. Henryk II. zakazał natomiast Anto-
niemu Bourbonowi, aby w podobny sposób przysłużył się Jar-
nacowi. Jarnac wybrał więc kogo innego za sekundanta.

Król wyznaczył dzień 16. lipca na ten pojedynek, który
się miał odbyć w Saint-Germain.

Pojedynki urządzano wtedy we Francyi z wielką pompą;
zaprowadzono cały rytuał krwawego spotkania, do czego się
głównie przyczyniali fechtmiestrze, aby jak najwięcej z każdego
pojedynku mieć zysku. Rekrutowali się oni po największej
części z wysłużonych wojskowych, Włochów albo Gaskończy-
ków, ludzi bez czci i wiary. Starali się układać kodeksy poje-
dyneków, przeciągające jak najdłużej sprawy honorowe, da-
wali się przekupywać, aby swemu klientowi wkładać broń ko-
rzystniejszą, aniżeli broń przeciwnika, która nieraz kosztowała
duże sumy. W pojedynku, o którym mówimy, musiał La Cha-
taigneraie przyprowadzić na plac spotkania cztery wierz-
chowce, mieć ośm siodeł, mnóstwo innych przyborów, rodzaj
tarcz odpowiednich do obrony na koniu i pieszo, stalowe ręk-
kawice i t. d.

To też ów pojedynek stał się rodzajem widowiska, na
które zjechał cały dwór. La Chataigneraie, wypróbowany w po-
jedynkach, był pewny zwycięstwa i lekceważył przeciwnika.
Kazał nawet przygotować bankiet dla przyjaciół, których miał
przyjąć po pojedynku. Tymczasem szczęście tym razem po-

służyło hrabiemu Jarnac, który zręcznym cięciem zadał ciężką ranę przeciwnikowi. Henryk II. i Guizowie się zmieszali, towarzystwo dworskie, wiedząc, jak dalece to zwycięstwo Jarnaca będzie nieprzyjemnem królowi, czempredziej opuściło arenę, zastawione półmiski bankietu musiano rozdać ubogim.

Opinia publiczna powstawała przeciw pojedyńkom i brała Henrykowi II. za złe, że pod jego protekcją odbyła się walka. Z poważnych ludzi Montaigne bardzo powstawał przeciw pojedyńkom. Osobliwie zwyczaj, że walka często toczyła się i pomiędzy sekundantami, wydawał mu się wielką niesprawiedliwością, a widział »szpetnem także postępowanie, aby wciągać do obrony naszej czci iuszą siłę i dzielność, aniżeli własną«, a tem samem splatać swe losy z losami drugiego. Montaigne narzekał, że Francuzi jeżdżą do Włoch, aby się uczyć szermierki, i sądził, że to taki niezgodny naród, że gdyby trzech Francuzów osadzono na pustyniach libijskich, nie wybędą tam razem i miesiąc, aby się nie szarpali i nie kaleczyli.

Zdrowe rady Montaigna nie na wiele się wówczas przydawały, jak wogóle rozsądek powoli się przedziera przez zbite zarośla odwiecznych chwastów i trzeba długiego czasu, zanim sobie otworzy jasną drogę. L'Estoile notuje w swym »Journalu« pod dniem 27. czerwca 1609, że pojedynki kosztowały Francję od lat dwudziestu przynajmniej siedm do ośmiu tysięcy dzielnych ludzi, a Henryk IV. ułaskawił siedm tysięcy pojedyńkowców, którzy dla błahych powodów pomordowali swych ziomeków, co tylko zachęcało do dalszych dozwolonych morderstw. Wogóle zemsta uważaną była we Francyi za legalne zadośćuczynienie doznanej urazy, a nietylko za urazy, ale nawet za przypadkowe zabójstwa. Gdy Montgomery wzięto do niewoli pod Domfront, królowa Katarzyna okazywała z tego powodu dziką radość, pomimo że Montgomery nie chciał zadać Henrykowi II. śmiertelnego ciosu. Brantôme chwali zemstę jako słodką namiętność, »cette douce passion«, a wogóle nie brano szlachcicowi za złe, jeżeli miał małe morderstwo na sumieniu »quelque petite jeunesse d'un meurtre«.

Można więc sobie wystawić, że na dworze Walezyuszów spokoju nie było.

Później bał się król Franciszek bardzo chorób, tak da-

lece, że w r. 1543 wyprawił osobny okręt do Brazylii po lekarstwo »gayet«, robione z drzewa bois de gaiac (albo palme sainte), które go miało zupełnie wyleczyć. Ale amerykańskie lekarstwo nie na wiele się przydało, a gdy w styczniu 1547 nadeszła wiadomość o śmierci Henryka angielskiego, tak się przeraził, że wkrótce po nim umarł, podobno na tuberkuliczną fistulę.

Patrząc na portrety Franciszka I., na ten olbrzymi nos, obwisłe policzki, małe oczy, nie możemy sobie wyobrazić, aby ten brzydki, niemły człowiek, na którego twarzy znać długie lata rozwiązłego życia, mógł być ideałem ludzi francuskiego Odrodzenia. Wszak Rabelais wybrał go sobie jako wzór do Gargantuy, którego celem było dużo jeść, jeszcze więcej pić i wydawać olbrzymie sumy.

Umiał jednak olśniewać wielu współczesnych swem ławem obejściem, swą pozą, tak, że nawet weneccy posłowie podnosili jego królewską postawę i powagę w ruchach; widząc go, mówili, nie można się było pomylić i nie powiedzieć: »Oto król«. Obcy dyplomaci dodają jednak, że Franciszkowi I. bardzo o to chodzi, aby żyć bez troski i nie obciążać umysłu. Myślenie pozostawiał kardynałowi Tournon i admirałowi d'Annebaud, tak dalece, że jeżeli się ci doradcy z nim nie zgadzali, to odwoływał swe postanowienia. Zresztą nie miał cierpliwości w wykonaniu prac, które przed chwilą uważał za konieczne. Dworzanie lubili go, bo był bardzo hojnym; podarunki dla kobiet wynosiły średnio 300.000 talarów rocznie, wydatki na nowe budowle 100.000, utrzymywanie dworu pożerało olbrzymie sumy, samych koni trzymano na stajni ośm do dwunastu tysięcy. Aby pokryć sumy, które król wydawał, wyszukiwał najrozmaitsze, ludność obciążające źródła dochodów, a do najwstrętniejszych należało sprzedawanie posad sędziowskich, co jednak w mniejszym stopniu zaprowadzono już za Ludwika XII. Gdy się skarżono na znieprawienie sądów, odpowiedział Franciszek I., że nie sprzedał żadnej posady sędziowskiej, ale że żądał od godnych kandydatów odpowiedniej pożyczki, od której sędziowie otrzymują procent, dopóki ta pożyczka przez rząd nie będzie spłaconą. Rząd jednak rzadko zwracał sędziowskie kapitały.

XII.

Jeden z ambasadorów włoskich u dworu Franciszka I. pisał, że król się zawsze otacza całą zgrają pochlebców, którzy mu wszędzie towarzyszą, gdziekolwiek się ruszy, i robią to, co monarcha robi: jeżeli się śmieje, i oni się śmieją; jeżeli się smuci, i oni się smucą, słowem, jeżeli król umrze, to i oni przeniosą się chyba do wieczności.

Odurzony Franciszek I. tem szczerem czy udanem uwielbieniem, zasklepiął się w swym egoizmie i zdawało mu się, że Francya dla niego tylko istnieje. Stał się bożyszczem, odzianem w białe atłasy i gronostaje, upstrzonym dyamentami, rubinami lub szmaragdami z zamorskiem piórem na berecie. Przed Franciszkiem I. dwór królewski odznaczał się prostotą, przystęp do monarchy był łatwy, a Ludwika XII. nazwano prawdziwym ojcem narodu. Za Franciszka I. wszystko się zmieniło i ten próżny król stał się początkiem tego zbytku, tego obłędu wielkości, który w Ludwiku XIV. doszedł do ciężkiej choroby.

Nie dziw też, że wiele talentów pisarskich marniało; zbliżając się do dusznej atmosfery dworu królewskiego, traciło wszelką swobodę myśli. Franciszkowi to dogadzało, bo jakież cel mogli mieć poeci, jeżeli nie śpiewanie mu hymnów pochwalnych? Jedyne też większe talent poetycki, jaki się wybił na królewskim dworze, prawie zmarniał w tej atmosferze kadzideł.

Był nim Clément Marot (1495—1544), który się już urodził pod wpływem dworu, gdyż jego ojciec Jean Marot był królewskim »valet de chambre«. Po śmierci ojca Clément dowcipnem powiedzeniem otrzymał tę samą posadę, prosząc bowiem o nią Franciszka I., dodał, że to tak mało sprawi kłopotu monarsze, gdyż:

Il ne faut seulement

Qu'effacer Jehan et ecrire Clement.

To powiedzenie podobało się królowi.

Stary Jean Marot pozostawił zresztą synowi wierszowane

przepisy, jak się ma starać o monarsze łaski, a więc przede wszystkim roznosić sławę Franciszka I. i głośno modlić się o jego zdrowie i dobre powodzenie. Clément trzymał się tego przepisu, król go polubił, wziął ze sobą na włoską kampanię, gdzie poeta został lekko ranny pod Pawią. Marot dzielił przez krótki czas z Franciszkiem I. wygnanie w Hiszpanii, ale powróciwszy do Francji, może zanadto się chwalił łaskawością, jakiej od króla doznawał, albowiem zawistni dworzanie obwiniali go o sprzyjanie reformie, i to właśnie wówczas, kiedy Sorbona zajmowała się procesem Berquina. Uwięziono więc Marota, a gdy po powrocie króla został uwolniony, schronił się do królowej Marguerity do Nérac, a następnie do Ferrary i Genewy, gdzie go Calvin prześladował. Umarł w r. 1544 w Turynie.

Wrażenia młodości stały się nieszczęściem Marota; poza dworem królewskim i jego osobistościami nic go nie obchodziło. Utraciwszy dwór, utracił swój horyzont.

Może najwięcej rozślawił się Marot, osobiście w świecie Reformy, swem tłumaczeniem Psalmów Dawida, wprawdzie bardzo niedostatecznym, ale popularnym, ponieważ wówczas wszystko, co się tyczyło Biblii, nadzwyczaj zajmowało umysły. Franciszkowi I. i całej plejadzie ludzi go otaczających przypodobał się Marot, gdyż z psalmów wybrał te, które w jakikolwiek sposób mogły przypominać króla. Nadał więc niektórym psalmom tytuły, jak »Pour un prince«, »Pour un chef de guerre«, »Pour un temps qui court«, mogące nasunąć myśl, że już król Dawid przeczuwał wielkość francuskiego monarchy.

Największą zasługą Marota, to forma, to ukształtowanie poetycznego języka, który w jego rymach zrzuca ciężkość dawnych pisarzy i staje się już językiem giętkim, lekkim, swobodnym. Boileau wybornie scharakteryzował zasługi Marota w następującym czterowierszu:

Marot bientôt après fit fleurir les ballades,
Tourna des triolets, rima des mascarades,
A des refrains réglés asservit les rondeaux,
Et montra pour rimer des chemins tout nouveaux.

Jeszcze lepsze wyobrażenie o Marocie, jak Boileau, miał sam poeta o sobie. W ten sposób skreślił swoje stanowisko w świecie i w literaturze:

Riche ne suis, certes je le confesse;
 Bien né pourtant et nourri noblement,
 Mais je suis lu du peuple et gentillesse¹⁾,
 Par tout le monde; et dit-on: C'est Clément.
 Maints vivront peu, moi éternellement.
 Et toi, tu as près, fontaines et puits,
 Bois, champs, châteaux, rentes et gros appuits.
 C'est de nous deux la différence et l'être.
 Mais tu ne peux être que je suis;
 Ce que tu es, un chacun le peut être.

Narzucającą się historykom postacią na dworze Franciszka I. był błazen Triboulet, który w nowszych czasach odżył w sztuce Wiktora Hugo *»Le roi s'amuse«*. Triboulet służył już na dworze Ludwika XII. i wtedy miano go za wielkiego głupca, którym paziowie poniewierali, i dopiero pod Franciszkiem I. został ważną osobistością. Franciszek I. zabrał go ze sobą na wyprawę włoską w r. 1509, co trochę gniewało królewskie otoczenie. Odznaczał się brzydota, a Jean Marot tak kreśli jego portret:

Triboulet fut un fol, de la tête écorné,
 Aussi sage à trente ans que le jour qu'il fut né,
 Petit front et gros yeux, nez grand et taille a vote, (voute)
 Estomac plat et long, haut dos à porter hotte:
 Chacun contrefesait, chanta, dansa, prêcha;
 Et de tout si plaisant qu'onc homme ne fâcha.

Także Rabelais bardzo go lekceważył. Większość dowcipów, które potomność przypisywała Tribouletowi nie była jego własnością, miał jednak to szczęście, że go miano za bardzo zręcznego i dowcipnego, skoro bawił Franciszka I. Jeżeli prawda, to dobrze się znalazł, gdy w roku 1525 rozważano u dworu, czy iść na wyprawę do Włoch, czy nie. Wtedy miał Triboulet powiedzieć, że mniejsza o to, jak pójść do Medyolanu, ważniejszą rzeczą będzie stamtąd powrócić. Przyszłość

¹⁾ Gentillesse — noblesse.

okazała, że Triboulet miał rację, bo Franciszek I. znalazł się po bitwie pod Pawią w niewoli w Madrycie, a nie we Francji.

Później jednak miał Triboulet bardzo niebezpiecznego współzawodnika w błażeństwach Brusquel'a, którego Brantôme zalicza do znakomitych ludzi. (Hommes illustres). Ten trefniś umiał korzystać ze swego zajęcia, zrobił majątek, Franciszek I. nadał mu tytuł »d'un valet de chambre«, takie samo stanowisko, jakie mieli znakomici poeci, Clément Marot, a później Ronsard.

Bardzo jednostronnie wyglądałoby społeczeństwo czasów Franciszka I., gdyby się mówiło tylko o dworze, o rycerstwie i o Sorbonie, a nie zaglądało do uboższych zakątków Paryża, do tych ulic, z których za średniowiecza wyszła Esmeralda Wiktora Hugo. Sam Marot nie lekceważył tego życia klas bardzo niskich, zebrał i wydał poetyczne pisma swego poprzednika, którym był François Villon, duchowo niejako praojciec niedawnego Verlaina.

Villon żył dużo wcześniej, aniżeli Marot, urodził się w Paryżu 1431, ale warstwa społeczeństwa, która miała największy wpływ na niego, utrzymywała się jeszcze za Franciszka I., bo tam promień Odrodzenia nie dochodził, ani też echa greckiego i łacińskiego języka nie odbijały się o ściany drewnianych, najczęściej spróchniałych domów. Villon był całe życie nędzarzem, znajdującym z własnego doświadczenia wszystkie więzienia paryskie, a jeżeli był na wolności, to błąkał się po najbrudniejszych ulicach, często głodny i obdarty i nie wiedzący, gdzie przemocować. Najczęściej przytulały go równie z dnia na dzień żyjące kobiety w ulicach L'Abreuvoir-Mascon, Glatigny, Froidmantel i jak się tam jeszcze nazywały. Tym kobietom nie wolno było wychodzić ze swych dzielnic, pełnych błota, nieczystości, wychudłych krów, kur szukających jakiego pożywienia. We drzwiach brudnych domów stały elegantki, postrojone w tandetne łachmany, które dawniej zdobyły panie wielkiego świata, duchessy i princessy. Gdy która z nich odważyła się szukać szczęścia poza ulicami im wyznaczonymi, spotykała się z sierżantem królewskim, który ją odprowadzał do więzienia Châtelet, skąd jednak wskutek »protekcji« szybko umiała się wydostać. Ktokolwiek przechodził przez ową część

miasta, musiał kupować rozmaite drobnostki, jak szpilki, krzyżyki i t. p., inaczej obrzucono go błotem lub oblewano brudną wodą.

Jedna tylko Rue Tiron, chociaż równie, jak tamte, zaniedbana, była cokolwiek bezpieczniejszą, ponieważ graniczyła z królewskimi pałacami i bardziej była strzeżona. Tam i na placu Maubert wyrósł Villon i uwiecznił w swoich wierszach nieznaną piękności jak «La blanche Savetière» i «La gente Saulcissière du coin». Ale później żał go porywał, że zmarnował swą młodość i więcej się nie uczył:

He! Dieu, si j'eusse étudié
Au temps de ma jeunesse folle,
Et a bonnes moeurs dédié,
J'eusse maison et couche molle.

Biedakowi twarde siennik dokuczał. Wtedy czasami marzył o Karolu Wielkim, o Jeanne d'Arc i byłby może długi poemat napisał, lecz na tak wielkie zadanie nie miał już siły i wynurzał swe uczucia w formie ballad i krótkich poezyj. Ale wiersz miał gładki, pełen prostoty i stał w tej mierze na rozdrożu pomiędzy średniowiecznym sposobem pisania a gładkością Marota, który od swego poprzednika dużo się nauczył.

Co zresztą u Villona uderza, to pewna nuta osobista szczerą, realną, nieudawaną, często cyniczną, ale u ówczesnych poetów nieznaną. W tej mierze miał Villon wielką zasługę, przedstawiał życie, jakie było.

Villon musiał być bliskim tych Enfants-sans-Souci, towarzystwa, które stanowiło rozkosz niższych klas paryskiego świata.

Z początku XV. wieku zaczęło Towarzystwo męki Pańskiej »Confrérie de la Passion« dawać przedstawienia w Paryżu. Ten pierwszy »teatr« paryski istniał w sklepionej sali szpitala św. Trójcy, przy bramie Saint-Denis. Na piętrze mieściło się schronisko dla pielgrzymów i ubogich podróżnych, na dole odbywały się reprezentacje »des mystères et des miracles«. Sala była podłużna, zaledwie oświetlona dwiema lampami; publiczność, po największej części stojąca, tłoczyła się w niemożliwy sposób i tylko wybrani siedzieli na ławkach.

Przed sceną umieszczono rząd świec łożowych, którym co chwila »le moucheur« obcinał zakopcone knoty. W głębi znajdowała się scena, po bokach po kilka schodów, na których siedzieli aktorzy i schodzili na środek sceny w miarę, jak na nich role wypadły.

Przedstawienia miały nadzwyczajne powodzenie, gdyż te Mystères pomimo niabyto religijnej treści grali aktorzy w sposób tak nieprzyzwoity i pobudzający zmysły, że nietylko młodzież, ale i starsi garnęli się do ciasnej sali i do zupełnie ciemnych korytarzy, miejsc odważnych zamachów na pleć piękną.

Grano tam nietylko dramat »Mystère de la Passion«, ale i inne misterya z żywotów Świętych, najczęściej takie, które dawały sposobność do roznamiętnienia najbardziej rozpasanej wyobraźni. Osobliwie dramat »Mystère de sainte Geneviève« podobał się publiczności, gdyż św. Genowefa, przyjmując młode zakonnice do swego towarzystwa, miała sposobność wypytywania się w sposób gminny o ich moralną, a raczej niemoralną przeszłość. I tak, gdy jedna z tych nowicyuszek utrzymywała że jest niewinną, św. Genowefa oburzyła się na tak śmiałe twierdzenie i z gniewem zawołała: »Vous!«

Non pas vierge, non, mais ribaude,
Qui futes en avril si baude (débauchée)
Le tiers jour entre chien et loup,
Qu'au jardin Gaultier Chantelou,
Vous souffrites que son berchier
Vous deflorast sous ung peschier!«

Do tych misteres dodawano »les diableries« najdziwniejsze i najnieprzyzwoitsze intermezza, a że dyabłem wszystko uchodziło, więc aktorzy nie byli skrupowani żadnymi granicami świętości.

Z czasem tematy z żywotów Świętych były dla publiczności zanadto moralne, zaczęto wymyślać treści bardzo wesołe. Zawiązały się towarzystwa »Les Enfants-sans-Souci« i »Les Clercs de la Basoche«, które zaczęły grać »des farces« i »des soties«. Mimo skandalicznej nieprzyzwoitości tych komedyj, w których aktorzy swą mimiką i swemi ruchami jeszcze podkreślali wyrażenia tekstu, popularność tych przedstawień coraz bardziej rosła, tak dalece, że Ludwik XII. kazał w r. 1512

przerwać przedstawienia «des Enfants-sans-Souci». Powodem do tego zakazu były zanadto śmiałe satyryczne wystąpienia przeciw skąpstwu króla, krytyki królowej Anny Bretonki, tudzież polityki Ludwika XII. Ale poeta Clément Marot wstawił się u monarchy za przedstawieniami, bez których lud paryski już się nie mógł obejść; więc król zezwolił na dalszą grę, a nawet rozlubował się w tym teatrze, który, jak sądził, zapoznaje go z wieloma objawami społeczeństwa. Co więcej, Ludwik XII. zamówił u poety Piotra Gringoire sceniczne farsy, wyśmiewające papieża i Wenecyan.

Duchowieństwo wprawdzie występowało przeciw aktorom, nie pozwalało im podawać Eucharystyi, ponieważ znajdowali się zawsze w stanie grzechu śmiertelnego; ale te zakazy nie wpływały na rozwój teatru. Kościół nie pozwalał nawet grzebać aktorów w poświęconej ziemi, ale w praktyce chowano ich ciała nawet w kościołach i stawiano im pomniki. W XV. wieku kobiece role w misteryach przedstawiali mężczyźni, ale później, za Franciszka I. występowały już na scenie kobiety, które jednak z powodu bardzo wolnych obyczajów były niejako pod klątwą towarzystwa mieszczańskiego.

Dopiero po r. 1540 zakazano grania misteryów męki Pańskiej, które zresztą się przeżyły, a zapanowała na deskach teatralnych farsa, pod wpływem włoskiej komedyi. Zani i Pantaleon stali się typami i francuskich fars, których panowanie kończy się za Ludwika XIV. Duchowieństwo zaczęło niszczyć teksty tych popularnych komedyj z XIV. i XV. wieku, tak dalece, że do naszych czasów bardzo mało się z nich dochowało, a największy ich zbiór znajduje się w British Muzeum i w Bibliotece Narodowej w Paryżu. W XVI. wieku wprowadzono pomiędzy aktami tych komedyj monologi, rodzaj intermezzów o niemożliwej nieprzyzwoitości, ale i takiej komice, że gdy je aktor recytował, cały teatr zanosił się od śmiechu. Jednym z ulubionych monologów był wiersz, bardzo plastycznie opisujący skoki pcheł pod kobiecemi koszulami.

Ulubioną osobistością w tych farsach byli młynarze, do których społeczeństwo miało szczególną urazę, gdyż oddawali swym klientom mniej mąki, aniżeli spodziewać się było można z dostarczonego im zboża. Zresztą adwokaci, kupcy, dostawali

srogie cięgi na popularnych scenach, a jedną z najulubieńszych fars była komedyjka „Maistre Pierre Pathelin“, w której adwokat tego nazwiska kupuje sukno u kupca Guillaumea. Adwokat i kupiec chcą się nawzajem oszukać, obydwóch zaś w przebiegłości przewyższa chłop-owczarz.

Moralności, a przedewszystkiem przyzwoitości w tych farsach szukać nie można, ale wówczas pojęcie tego, co było nieprzyzwoitem, miało jeszcze bardzo ciasne granice. Franciszek I., bankietując raz w towarzystwie pań z królewskiego dworu, w przepysznej zamkowej komnacie, nie uważał za nie stosowne wstać od stołu, zbliżyć się do kominka, obrócić się plecami do tych w jedwabie strojonych kobiet i tam odprawić potrzebę, na którą nawet dzisiejszy cywilizowany pudel nie byłby się odważył wobec tak dostojnej kompanii.

ROZDZIAŁ TRZECI.

KATARZYNA MEDYCEJSKA.

I.

W XVI. wieku istniał we Florencyi klasztor Benedyktyniek »Santissima Annunziata delle Murate«, zwany pospolicie »Murate«. Późnym wieczorem, siódmego grudnia 1527 zadzwoniono tam do furty i wysadzono z lektyki ośmioletnią dziewczynkę, otuloną w czarną oponę. Zakonnice zaprowadziły ją do honorowej celi, którą dawniej zajmowała słynna Katarzyna Sforza, i dodały jej dwie kobiety do usługi, a sama przełożona rozciągnęła nad dzieciną troskliwą opiekę.

Dziewczynka, Katarzyna de'Medici, była już w dwudziestym drugim dniu po urodzeniu sierotą. Matka jej, Francuzka, Małgorzata de la Tour d'Auvergne, małżonka Lorenza de'Medici, wnuka słynnego Wawrzyńca »Magnifika«, powiła ją 13. kwietnia 1519, a dwudziestego ósmego tego samego miesiąca umarła na zakażenie krwi, powstałe wskutek rozmaitych zaniedbań i nieczystości otaczających ją kobiet. Lorenzo, książe Urbinu, już wtedy obłożnie chory, przeżył żonę zaledwie o tydzień. Nabawił się, podobno w Paryżu, brzydkiej choroby, będącej klęską XVI wieku, i od tego czasu ciągle niedomagał. Zepsuta krew przeszła na jego potomków.

Już mała Katarzyna, którą nazywano duchessą d'Urbino, była wątłym, słabowitem dzieckiem, które także wskutek

braku dobrej opieki ciężko zachorowało w piątym miesiącu życia, i o mało że nie umarło.

Odtąd miała dziewczynka aż zanadto opiekunów, była bowiem ostatnią latoroślą starszej linii Medyceuszów, a dwom papieżom Medicim, Leonowi X i Klemensowi VII, nadzwyczajnie na tem zależało, aby ród ich utrzymał się w historycznej potędze. Bezpośrednią jednak jej opiekunką została babka Alfonsina Orsini-Medici, a właściwie jej córka, Klarysa Strozzi.

Jak wszyscy członkowie domu Orsinich, odznaczała się Alfonsyna gwałtownością charakteru i niepohamowaną dumą. Wyszła wprawdzie za Pierra de'Medici, dziada małej Katarzynki, który był wtedy prawie wszechwładnym panującym we Florencyi, ale pogardzała jego kupieckim rodem, a przede wszystkim florentyńskim mieszczaństwem, wychowała się bowiem w feudalnym otoczeniu, w Neapolu i Rzymie, i dzieliła ludzi tylko na szlachtę i niewolników. Duma jej miała jeszcze prócz rodowej i majątkową podstawę, gdyż wniosła Medyceuszom znaczne dobra w rzymskiej Kampanii. Jedyną jej córką Klarysa, zupełnie co do gwałtowności charakteru podobna do matki, była wszakże niepospolitą kobietą; mówiono o niej, że odziedziczyła talent po swym dziadku, Wawrzyńcu. Klarysa wyszła za mąż za Filipa Strozzi, pochodzącego z rodu, który współzawodniczył we Florencyi z Medyceuszami co do popularności i majątku i mógł się poszczycić rycerskimi przodkami, czego o Medyceuszach nie można było powiedzieć.

Papież Leon X. nadzwyczaj się zajmował dzieciną, w niej bowiem widział jedyną latorośl, która mogła jeszcze przedłużyć istnienie medyceuszowskiego rodu, a jak Aryost o niej powiedział:

Verdeggia un ramo sol non pocca foglia¹⁾.

Polecił też Leon X. swojej bratowej Alfonsynie, aby ją przywiozła do Rzymu. »La duchessina«, jak ją nazywano, znalazła się w r. 1521 w stolicy papieżstwa i odtąd już stała się przedmiotem najrozmaitszych kombinacyj małżeńskich, mających podeprzeć wpływ Medyceuszów. Papież jednak umarł

¹⁾ Opera minori, Elegia prima.

w tym samym roku, dziecinę znowu zabrano do Florencyi, zwłaszcza że następcą Leona X. był cudzoziemiec, Adryan VI. Głównym jej opiekunem został więc kardynał Giulio de' Medici, który niebawem, bo już w r. 1523 osiągnął papieską tyarę, jako Klemens VII. i był duchessinie »un oncle en Notre-Dame«, jak go Brantôme nazywa. Katarzynka bawiła w pierwszych latach dzieciństwa w poważnym pałacu Strozzych, a Klemens starał się tymczasem zabezpieczyć sierocie znaczny spadek we Francyi po matce.

Na wszelki wypadek, gdyby Katarzynka nie doszła do panowania we Florencyi, starał się Klemens VII. utrzymać tam władzę w bocznej linii, rodziny, protegując dwóch bękartów medyceuszowskich. Jeden z nich, Hipolit, był synem Juliana, księcia de Nemours, i jakiejś dziewczyny z Urbino, drugi, młodszy, Aleksander, uchodził za syna Lorenza Medyceusza i wieśniaczki z Collevocchio. Papież kazał ich wychowywać we Florencyi, a gdy starszy, Hipolit, zaczął już w szesnastym roku życia grać rolę w polityce, zerwała się w mieście burza przeciw ponownej tyranii stronnictwa medyceuszowskiego. Papież szukał oparcia dla rodziny u dwóch potężnych sąsiadów, u Franciszka I., króla Francyi, i cesarza Karola V. Zanadto chwiejny i przebiegły, nie zadowolił ani jednej ani drugiej strony, i nareszcie, zawarwszy przymierze z Franciszkiem I., doprowadził do najazdu na Lombardję i do Sacco di Roma. Wojska cesarskie nie weszły do Florencyi, z czego korzystały stronnictwa przeciwne Medyceuszom, aby ich wypędzić i raz na zawsze złamać znieawidzoną potęgę. Hipolit i Aleksander uciekli, rewolucyoniści chcieli się jednak zapewnić, że mała Katarzyna nie będzie wywieziona z miasta, gdyż widzieli w niej zakładniczkę Medyceuszów. Dziewczynka była w willi Poggio pod Florencją; stamtąd sprowadzono ją pod wojskową eskortą do miasta i oddano pod opiekę zakonnicom dominikankom w klasztorze św. Łucyi, które należały do stronnictwa przeciwnego Medyceuszom.

Tymczasem Klemens VII. pogodził się z cesarzem, gniew papieża zwrócił się przeciw Florencyi, a wojska cesarskie zaczęły oblegać miasto, aby je oddać na pastwę Medyceuszom. Wtedy to Michał Anioł kierował obwarowaniem Florencyi.

Jedyna szczerą opiekunką dziesięcioletniej Katarzyny, Klarysa Strozzi, umarła 3. maja 1528 i dziewczynkę oddano pod straż zakonnice klasztoru św. Katarzyny Syeneńskiej. Ale w klasztorze św. Katarzyny zdarzyły się wypadki morowej zarazy, która od kilku lat grasowała we Florencji i w okolicy, wskutek czego signoria kazała przenieść Katarzynkę do klasztoru delle Murate. Tam nowe przeszkody: polityka stronnictw wkradła się nawet w mury klasztorne; zakonnice dzieliły się na stronniczki Medyceuszów i na zwolenniczki nowej rzeczypospolitej. Medyceuszki przeważały; signoria obawiała się zatem, aby nie wykradziono Katarzynki, i kazała ją przeprowadzić do klasztoru św. Łucyi na Via San-Gallo, gdzie panował duch republikański i gdzie stronnicy Medicich nie mieli wpływu. Signoria poleciła więc Sylwestrowi Aldobrandiniemu, swemu sekretarzowi, aby się udał w tym celu w zbrojnym otoczeniu do Benedyktynek Murate. Gdy zadzwoniono do furty i messer Silvestro oświadczył cel swego przybycia, powstało w klasztorze wielkie zamieszanie, gdyż zakonnice polubiły swoją wychowankę i obawiały się o przyszłe jej losy. Wyszła nawet sama Katarzynka, ubrana w habit zakonny, i oświadczyła Aldobrandiniemu, że chce zostać zakonnica i przepędzić swój żywot w gronie tych dobrych mniszek. Nic jednak nie pomogły przedstawienia; kazano dziewczynie wsiąść na mulicę i zawieziono ją do klasztoru świętej Łucyi, gdzie już pozostała przez cały czas oblężenia Florencji, poczem dopiero powróciła do swych ulubionych zakonnice Murate. W czasie, kiedy Katarzyna była zamknięta w klasztorze św. Łucyi, rewolucyoniści w obawie, aby z tej latorośli medycejskiej nie powstał znów ród dawnych tyranów, chcieli koniecznie w barbarzyński sposób temu przeszkodzić. Podczas rozpraw nad przyszością tej Medyceuszki podano nawet wniosek, aby ją oddać do domu publicznych nierządnic i w ten sposób uniemożliwić, aby wyszła za mąż za jakiego księcia despotę, inni zaś żądali, aby ją obnażoną przymocować na zewnątrz murów fortecnych. Wojsko papieskie miałoby w ten sposób piękny cel do strzelania ze swych arkebuzów.

Większość signorii oparła się tym dziwnym wnio-

skom, a Katarzyna pozostała aż do pokonania rewolucyi u Murtek.

Papież Klemens VII. zanadto jednak dbał o przyszłość swojego rodu, aby pozwolić Katarzynie zostać zakonnicej. Po uporządkowaniu się stosunków florentyńskich kazał przywieźć do Rzymu jedenastoletnią sierotę, miał bowiem rozmaite zamiary, aby ją zaręczyć z jednym z książąt europejskich, któryby przyniósł najwięcej splendoru jego rodowi. Pretendentów do ręki principessy nie brakło, osobliwie ze względu na wielki majątek, jaki mogła przynieść w posagu. Papieżem jednak powodowały głównie polityczne względy, chciał zamężciem Katarzyny wzmocnić nie tylko rodzinę, ale i potęgę papieństwa. Nawzajem i wybitnym książętom państw europejskich chodziło o związek z florentyńską principessą, aby w ten sposób mieć wpływ na chwiejnego i przebiegłego papieża, na którego nigdy liczyć nie było można. Zgłaszał się młody król Szkocyi, Jakób V. Stuart, do pretendentów należeli Fryderyk Gonzaga, pierwszy książę Mantuy, Guidobaldo della Rovere, książę Urbino, Vespasiano Colonna i kilku innych.

Serce jednak młodej księżniczki skłaniało się do Hipolita de'Medici, którego papież w r. 1529, przeciw jego woli, zamianował kardynałem. Hipolit wolał być panem Florencyi, ale papież przeznaczył na to stanowisko Aleksandra de'Medici. Hipolit uważając się za prawego syna księcia de Nemours, bardzo był tem dotknięty, zwłaszcza że pogardzał Aleksandrem. Miał też zamiar złożyć swój kapelusz kardynalski i ożenić się z Katarzyną, w której się kochał, a i ona była mu wzajemną i do niego miała jedynie zaufanie; radziła się go też we wszystkich sprawach majątkowych. Gdy po śmierci Klemensa VII. Piero Strozzi, przysły marszałek Francyi, i Jacopo Nardi, historyk, przybyli do Rzymu w sprawach florentyńskich, zastali go w kapeluszu z czerwonego pluszu, w wojskowym ubraniu, ze szpadą u boku, tak że im musiał powiedzieć: »Jestem kardynałem«, aby go poznali.

Papież wiedział o skłonności Katarzyny, ale chciał, aby duchessina zawarła polityczne małżeństwo. Życzeniem Karola V. było, aby oddała rękę księciu Medyolanu, Franciszkowi



CATHERINE DE MEDICIS

Femme de HENRI II. et Mere de FRANÇOIS II.

CHARLE IX. et HENRI III.

Rois de France, né le 13. Avril 1519.

et morte le 5. Janvier 1589.

Harrenyn. f.

Katarzyna de' Medici.

Sforzy, synowi Ludwika Mora, obawiał się bowiem, aby się z nią nie ożenił Henryk de Valois, duc d'Orléans.

W r. 1531 układy Klemensa VII. o rękę Katarzyny doszły do zenitu. Przez długie lata miał Franciszek I. nadzieję otrzymać księstwo medyolańskie dla swego trzeciego syna Karola, księcia d'Angoulême, ale zachody cesarza stały na przeszkodzie. Papież zaś z jednej strony popierał interesy cesarskie, z drugiej schlebiał Franciszkowi I. I podczas gdy powszechnie myślano, że papież odda duchessinę francuskiemu księciu i zawrze przymierze z Francją, przewrotny Medyceusz przysiągł posłowi cesarskiemu, że jego życzeniem jest, aby cesarz zapanował nad całym światem. »Gdybym wiedział, dodał papież, że do osiągnięcia tego celu potrzeba, abym się zrzekł tyary, tobym to chętnie uczynił«.

Z końcem r. 1532 i początkiem 1533 odbył się zjazd cesarza Karola V. z Klemensem VII. w Bolonii w sprawach rozszerzania się Reformacji w Niemczech i obrony przeciw Turkom. Cesarz był przekonany na razie, że tam ułoży małżeństwo pomiędzy Sforzą a Katarzyną de'Medici; ale wkrótce się dowiedział, że papież umówił się już o zjazd z Franciszkiem I. celem ułożenia małżeństwa duchessiny z francuskim księciem, Henrykiem d'Orléans, drugim synem króla. Klemens, powiada historyk florencki Benedetto Varchi, był człowiekiem słabego charakteru i do głębi duszy fałszywym.

Podczas gdy się te targi odbywały, Katarzyna bawiła we Florencyi pod opieką bardzo rozsądnej kuzynki, Maryi Salviati de'Medici. Matka Maryi, Lukrecya, była siostrą Leona X., a żoną bankiera papieskiego Jakóba Salviatego, mieszkającego w Rzymie, jednego z najbliższych doradców Klemensa VII. Duchessina skończyła lat trzynaście, była bardzo żywego usposobienia, sympatyczna, mała, szczupła; rysów regularnych nie miała, szpecila ją ściana broda, grube wargi i duże, wypukłe oczy, charakterystyczne w rodzinie Medyceuszów. Natomiast podziwiano jej piękną karnację, pełną pierś i ładnie ręce i nogi. Giorgio Vasari wymalował jej portret dla narzeczonego.

Klemens VII. wyznaczył duchessie posag w sumie 100.000 talarów, a prócz tego za dobra ojcowskie we Włoszech, których się zrzekała, kwotę 30.000 talarów. Dobra po matce,

odziedziczone we Francji, pozostawały jej własnością i stanowiły najważniejszą część jej posagu. Filip Strozzi zaliczył papieżowi potrzebne sumy 120.000 liwrow w złocie; Klemens dał w zastaw złotą agrafę z dyamentem wielkiej wartości, arcydzieło Benevenuto Celliniego. Powyżej dyamentu był przedstawiony Bóg-Ojciec błogosławiący świat, a poniżej grupa trzech aniołków, podczas gdy wokół unosiły się inne aniołki, częścią w całej wypukłości, częścią lekko zaznaczone. Wyprawa Katarzyny była wspaniała, pomiędzy innymi kosztownościami perły, jakich nigdy nie widziano, które później darowała królowa swej synowej, Maryi Stuart. Do najcenniejszych przedmiotów sztuki należała mała szkatułka z kryształu, oprawna w złoto, słynnego artysty Valeria Vincentino. Pierwotnie była ta kasetka przeznaczona na kościelne cele; dwanaście rżniętych obrazków na bocznych ścianach przedstawiało żywot Zbawiciela, na rogach stały cztery postacie Ewangelistów, a na wierzchu umieścił artysta herby Medyceuszów, z podpisem »Clemens VII. Pontifex Maximus.«. Klejnot ten zapewne został sprzedany w czasach religijnych wojen francuskich i dzisiaj znajduje się w zbiorach florentyńskich.

Miasto Florencia, chcąc nie chcąc, musiało się przyczynić do wyposażenia księżniczki pożyczką trzydziestu pięciu tysięcy talarów. Wprawdzie powiedziano publiczności, że te pieniądze są przeznaczone na budowę twierdzy św. Jana Chrzyciciela; ale wkońcu okazało się, że wydane zostały na wyprawę Medyceuszką. Król francuski obiecał Henrykowi wypłacać rocznie 50.000 liwrow, a Katarzynie darował zamek Gien nad Loirą z dochodem dziesięciu tysięcy liwrow, tudzież znaczną ilość kosztowności, które posel Franciszka I, hr. de Tonnerre zawiózł w lecie r. 1533 do Florencji. Równocześnie wyjechał Wawrzyniec Cybó, siostrzeniec dwóch papieży, Innocentego VIII. i Leona X. do Francji, aby księciu d'Orléans wręczyć podarunki Klemensa VII.

Filip Strozzi miał towarzyszyć duchessie w podróży i w tym celu udał się z Rzymu do Florencji. Na pożegnanie ojczyzstego miasta, którego już więcej ujrzeć nie miała, wydała Katarzyna bankiet, w którym wzięły udział najznakomitsze panie Florencji. Pierwszego września 1533 opuściła Włochy,

towarzyszyły jej panie Katarzyna Cybó, księżna di Camerino, Madonna Marya de'Medici-Salviati, tudzież panowie Filip Strozzi, Palla Rucellai, Franciszek Guicciardini i inni. Galery francuskie pod dowództwem księcia d'Albany czekały w Porto-Venere w pobliżu Spezzyi, aby towarzyszyć włoskim okrętom w dalszej podróży. Duc d'Albany, syn Aleksandra Stuarta, a brat Jakóba III., króla Szkocyi, ożenił się z Anną de la Tour de Boulogne, siostrą Magdaleny de la Tour de Boulogne, matki Katarzyny de'Medici, był zatem jej wujem. Według pierwotnych projektów miał się odbyć ślub narzeczonych nad brzegami rzeki Varu, w okolicy Nizzy; ale księżę sabaudzki, do którego Nizza należała, dał papieżowi do poznania, że nie chcąc urazić cesarza, radby, aby ceremonię zaślubin urządzono na francuskiej ziemi, a nie na jego terytorjum. Okręty popłynęły więc wprost do Marsylii.

W kilka dni później, dziewiątego września, wyjechał papież z Rzymu do Francyi, ale już nie drogą, którą przed rokiem zdążył do Bolonii, gdyż i Klemens VII. i całe jego otoczenie miało w pamięci straszne niewygody podróży na Umbryę. Papież musiał wtedy iść milami piechotą z powodu dróg niemożliwych, na których kilka koni połamało nogi, kilka mułów padło, a miejscowości, w których się zatrzymywano, były tak ubogie, że całe otoczenie papieskie musiało sypiać na słomie. Tym razem więc wybrano się do Liworna, krótszą i wygodniejszą drogą na Montepulciano, Valdichianę i Pizę. Klemens chciał ominąć Florencyę, gdzie nie był pewny dobrego przyjęcia, a okręty papieskie czekały w Liworno; na pierwszej galerze »La Capitano«, płynącej na czele floty, znajdował się Sakrament, bo taki był oddawna zwyczaj w papieskich morskich podróżach. Okręt, który przewoził papieża był całkiem pokryty złocistym brokatem, a do towarzystwa Klemensa VII. należało dziesięciu kardynałów, mnóstwo biskupów i prałatów bez liku. Morze było spokojne, czas piękny, tak, że aż sześćdziesiąt galer prywatnych towarzyszyło papieskiemu wyjazdowi.

Zdążano do Villafranca pod Nizzę, gdzie się już znajdowały galery Katarzyny, aby się złączyć z flotą papieską i stamtąd popłynąć do Marsylii.

Z rozkazu Franciszka I. czekał w Marsylii marszałek państwa de Montmorency, wielki mistrz Francyi, aby powitać papieża na morzu. Dwunastego października dano znak z wieży d'If i z Notre-Dame de la Garde, że papieska flota się zbliża. Natychmiast wypłynęło z portu mnóstwo fregat i brygantyn z muzykami naprzeciwko papieża i duchessiny, a gdy oczekiwane galery zawijały do portu, uderzono w dzwony we wszystkich kościołach i zagrzmiało trzysta dział wielkiego kalibru.

Zmęczonego podróżą papieża zaprosił Montmorency tymczasem do własnego pałacu poza miastem, gdyż dopiero nazajutrz miał się odbyć wspaniały wjazd do Marsylii. Uroczystości sprzyjała prawdziwie prowensalska pogoda. Z pałacu wyniesiono papieża na »sedia gestatoria«, w pontyfikalnych szatach, ale bez tyary; przed nim prowadziło dwóch masztalerzy w pysznych strojach białego konia, na którym spoczywała puszka z Sakramentem. Kardynałowie, po dwóch w purpurze postępowali za papieżem, a za nimi w wielkiej pompie Katarzyna, otoczona świetnym orszakiem pań i panów francuskich i włoskich.

W mieście przygotowano dla papieża i dla króla dwa pałace, przedzielone tylko ulicą, przez którą zawieszono kryty most drewniany, tworzący salę, obitą wspaniałymi kobiercami, przeznaczoną do wspólnych rozmów obydwu monarchów. Ale król przybył dopiero nazajutrz, aby złożyć hold Klemensowi VII; towarzyszyło mu mnóstwo dygnitarzy, duc de Vendome, hr. de Saint-Paul, duc d'Albany i wielu innych. Franciszek I. uklęknął przed papieżem, który go podniósł i uściśkał, poczem biskup Paryża, Jean de Bellay, miał długą mowę po łacinie na powitanie Klemensa na francuskiej ziemi. Po tych ceremoniach rozdzieliły się obydwie dwory, aby się przygotować do uroczystego ślubu.

Jednym z głównych zajęć otoczenia było wręczenie i ocenianie wzajemnych podarunków, przyczem Francuzi nie byli zadowoleni z włoskiej wspaniałomyślności. Przyszło nawet do przymówek, bo na złośliwe uwagi Francuzów musiał Strozzi oświadczyć, że trzy klejnoty, które papież ofiarował narzeczonej, mają niezmierną wartość. Z powodu tych kosztowności błąkało się do ostatnich czasów u historyków podanie, jakoby

Strozzi powiedział Francuzom, iż papież w przyszłości da Medyceuszce w podarunku trzy wielkie klejnoty: Genuę, Medyolan i Neapol. Byłoby to wówczas za śmiałe polityczne powiedzenie, okazało się też w świetle nowszych badań, że dwie perły, które później Katarzyna darowała swej synowej, królowej Szkocji, nosiły nazwy »table de Gènes« i »pointe de Milan« a trzecim klejnotem był wielki rubin »l'oeuf de Naples«. Klejnoty te wróciły później do francuskiej korony i pod temi nazwami były zapisane w inwentarzach. Strozzi więc nie myślał bynajmniej o zdobyciu ziem włoskich dla Francji, ale o rzeczywistych klejnotach, które miały wielką wartość.

Sam papież wręczył zaręczonym pierścionki na palce i odprawił obrzęd ślubny w licznej otoczeniu francuskiego duchowieństwa. Vasari ilustrował ten akt we fresku na ścianie sali Klemensa VII. w Palazzo Vecchio we Florencji, gdzie pomiędzy asystującymi osobistościami widać króla Franciszka z małżonką, króla i królowę Navarry, Maryę de Guise, księżnę Katarzynę Cybó-Varano, Maryę de'Medici-Salviati i kardynała Hipolita de'Medici.

Pan młody, duc d'Orléans miał dopiero 14 lat i był tylko o dwadzieścia dni starszy od narzeczonej; poznanie się więc tej pary i nakazana miłość szybko nastąpiły. Papieżowi i Franciszkowi I. chodziło nadzwyczajnie o przekonanie się, czy młoda para będzie miała potomstwo i czy w ten sposób alians francusko-papieski się utrwali. Królowa francuska w otoczeniu panien honorowych odprowadziła duchessę do sypialni, a papież i Franciszek z niezwykle ciekawością oczekiwali poranka, aby z twarzy duchessy wywróżyć przyszłość dynastji. Mówiono nawet, że Franciszek tak dalece posunął swoją niecierpliwość, iż chciał z poza kotar spoglądać na małżeńskie uściski młodej pary; to jednak pewne, że Jego Świątobliwość udał się wcześniej z rana do sypialnego pokoju wczorajszego małżeństwa i z ojcowską radością spostrzegł, że oboje młodzi byli w najlepszych humorach.

Papież postanowił też zaczekać w Marsylii kilka tygodni, aby powrócić do Rzymu z przekonaniem, że krew Medyceuszów nie zaginie.

Przez ten czas więc obydwaj monarchowie spiskowali

przeciw Karolowi V. w owej sali drewnianej, wiszącej pomiędzy dwoma pałacami, a otoczenie ich wybornie się bawiło. Następował bankiet po bankiecie; papież nie siadał już według rzymskiego zwyczaju osobno, ale jadał z królową Eleonorą.

Monarchowie nawzajem się obdarowywali; Franciszek I. kazał zanieść do pokojów papieskich przepyszny kobierzec z Flandryi, przedstawiający wieczerzę Pańską. Klemens VII. nawzajem ofiarował królowi róg jednoroźca w oprawie Benvenuto Celliniego, długi na dwa łokcie i według podania mający właściwość usuwania trucizn z niepewnych potraw. Wielką sympatyę powziął Franciszek I. do kardynała de' Medici; obydwaj mieli wiele do siebie podobieństwa, przepadali za kobietami, lubili polowanie i zwierzęta. Król kazał wy badać kardynała, jakiego rodzaju podarunek zrobiłby mu największą przyjemność; Medici dał do poznania, że nad wszystkie dary z radością wywiózłby z Marsylii ulaskawionego lwa, którego Franciszek I. otrzymał od barbareska Haireddina Barbarossy. Lew ten był ulubieńcem królewskiego otoczenia, a gdy przybył do Rzymu, całe miasto chciało go oglądać.

Towarzystwo francuskie po raz pierwszy zbliżyło się do papieża; każda z pań zanosila jakieś prośby do głowy Kościoła, a ponieważ wiele z nich miało serce dość obciążone, więc wynikały stąd najdziwaczniejsze żądania. Pomiedzy innymi Luiza de Clerimont, wówczas wdowa po pierwszym mężu, panu de Bellay, ukłękła przed papieżem, prosząc o kilka łask; po pierwsze błagała o powszechne rozgrzeszenie, a następnie wyjawila życzenie, które samego Klemensa VII. wprowadziło w niemaly kłopot. Pani de Bellay, zgubiwszy bardzo jej cenne nożyczki, zrobiła votum świętemu Allivergot'owi, że pójdzie na jego grób złożyć podziękowanie, jeżeli nożyczki się znajdą. Zdaje się, że ów święty uchodził za szczególnego patrona kobiecego roztrzępania. Nożyczki się znalazły, ale pani Luiza nie mogła się nigdzie dowiedzieć, gdzie spoczywają szczątki świętego, a nie mogąc spełnić swego votum, była bardzo nieszczęśliwą. Papież wprawdzie także nie wiedział o miejscu przechowania tych relikwii, ale uwolnił ją od męczących skrupułów, przyjmując dobrą wolę za spełniony czyn. Ale jeszcze trudniejsze od zgubionych nożyczek przedstawiła pani de Bellay życzenie.

Zwierzyła się papieżowi, że kocha pana de Tays, ale on niestety nie jest jej wzajemnym; ponieważ jednak przeklętym jest ten, kto nie może wzbudzić w sobie miłości, pomimo że jest szczerze kochanym, więc błaga papieża, aby wyklął tego niewdzięcznika. Oczywiście papież nie mógł zadość uczynić temu mniej świątobliwemu życzeniu, ale ta odmowa nie miała wpływu na przyszłe losy pani de Bellay, gdyż niebawem wyszła po raz drugi za męża, za Antoniego de Crussol, jednego z dworzan królowej Katarzyny.

Nie na tem koniec; pani Luiza miała jeszcze jedną prośbę do papieża, ale tego życzenia powtórzyć tutaj nie możemy, a kto ciekawy, może się o niem dowiedzieć z dzieł Brantôma (tom III. p. 90—91 wydanie Lalanne). Wyjęła także cichaczem jedną z poduszek z łóżka papieskiego, posłużyła się nią w sposób *malhonnete* i włożyła napowrót papieżowi pod głowę.

Dodać należy, że owa Luiza de Clermont-Tallert, pierwsza księżna d'Uzés, bardzo długo żyła; stała się najbliższą przyjaciółką i towarzyszką Katarzyny medycejskiej i uchodziła za jedną z najrozumniejszych kobiet swego czasu. O niej to pisał przyjaciel jej pierwszego męża, Joachim de Bellay:

Qui de toy ne chantera
L'esprit, la douceur, la grace
Dont la genereuse race
De Clermont se vantera?
C'est pourquoi mes vers aspirent
Ou tes louanges les tirent.

Jeżeli więc ta najrozumniejsza kobieta z tego rodzaju prośbami udawała się do papieża, jakież to musiały być życzenia innych, mniej znakomitych pań francuskiego dworu?

Papież czekał w Marsylii na wiadomość z komnat młodej pary, czy można się będzie spodziewać potomka krwi medyceuszowskiej, czy też owe nadzieje trzeba odłożyć do przyszłości. Niestety, minęło kilka tygodni, a życzenia papieża się nie spełniały; Klemens VII. więc, żegnany z wielkimi wspaniałościami, wyjechał z Marsylii, a na pocieszenie się powiedział jednemu ze swych zaufanych, że sprytna kobieta poradzi sobie, aby mieć potomstwo: *«A figlia d'inganno non mai manca la figliolanza!»*

II.

Po wyjeździe papieża była Katarzyna zupełnie osamotniona, w otoczeniu nieprzychylnych samych Francuzów i Francuzek. Nie ładna, prawie brzydka, o bardzo okrągłej twarzy, zmysłowych ustach, krótkiej brodzie i widocznym już podbródku, zaledwie mogła się podobać. Jedynie oczy znakomowały dużo życia i sprytu. Tak ją przedstawia portret w Wersalu, portret Franciszka Cloueta, widocznie bardzo wierny. Artysta chciał, ale nie mógł jej podchlebić. Z włoskiej rodziny pozostał tylko Filip Strozzi, który miał filię swego banku w Lyonie. Owa piętnastoletnia żona mogła jedynie jemu czasami zwierzać się ze swych żalów, gdyż według zwyczaju, przyjętego na francuskim dworze, nie wolno jej było mieć przy sobie cudzoziemców. Strozziemu cierpiano, bo pieniądze pożyczał. Ojciec Filipa, Piotr Strozzi, był ożeniony z Laudaminą de'Medici, był więc krewnym Katarzyny medycejskiej, która go wyszczególniała pomiędzy swoimi Włochami. Niezaprzeczenie bardzo znakomity wódz, otrzymał zczasem buławę marszałkowską. Wykształcony, lubownik starożytnej literatury, sprowadził do Francji swą bogatą bibliotekę, zawierającą mnóstwo rzadkich rękopisów greckich, pozostała po kardynale Ridolfim, siostrzeńcu Leona X. Po śmierci Filipa, nabyła Katarzyna ten księgozbiór, i kazała go wcielić do swej biblioteki, obiecując wypłacić spadkobiercom, co się będzie należało. Ale później ani solda nie oddała.

Brantôme, który zostawał w stosunkach przyjaźni ze Strozziem, powiada, że ten Włoch miał twarz dziką, pomarszczoną i smagłą¹⁾, ale mimo to nie należał do ludzi okrutnych. Od jednego tylko faktu nie może go usprawiedliwić. Gdy dowodził oddziałem gwardyi królewskiej w Guyenne, zabrali jego żołnierze ze sobą taką mnogość lekkich kobiet, że ten tabor zawadzał w wojskowych ruchach. Mimo nakazów nie mógł się pozbyć tego ciężaru, więc się chwycił he-

¹⁾ W czem się nie zgadza z portretem au crayon, zachowanym w Bibliothéque Royale w Paryżu, gdzie Strozzi jest wcale przystojnym mężczyzną.



Piotr Strozzi.

roicznego srodka. Gdy armia przechodziła przez most Pont-de-Cé, kazał wrzucić przeszło ośmset tych niewiast do rzeki, gdzie się prawie wszystkie potopiły jęcząc i błagając o ratunek. Opinia publiczna zwróciła się wskutek tego przeciw okrutnikowi, który potem żałował barbarzyńskiego czynu.

Strozzi był według Brantóma lekkiej wiary, »de légère foy«; nie należał do bigotów i hypokrytów, »nie połykał świętych obrazków« ani słuchał bez liku mszy i kazań, ale wierzył w to, w co wierzyć trzeba, wierzył w piekło, ale nie w takie, jakie przedstawiają malarze, w wielkiego smoka połykającego grzeszne dusze. Strozzi zginął 19. lipca 1582 w morskiej bitwie pomiędzy hiszpańską a francuską flotą koło wyspy Tereère.

Henryk II dbał o Katarzynę bardzo mało; zakochał się wkrótce, w siedmnastym roku życia w Dianie de Poitiers, noszącej tytuł Madame la Sénéchale, małżonce Ludwika de Brézè, która go zupełnie opanowała.

Trzydziestoczteroletnia Diana miała podobno poprzednio stosunek z Franciszkiem I., co niekorzystnie wpływało na stosunek ojca do syna. Miłość Henryka była prawie patologiczna, młodzieniec kochał się w kobiecie przekwitłej (ur. 1499), nie odznaczającej się szczególną urodą, ale bardzo zręcznej i rozumnej. Diana była nawet z linii macierzyńskiej ciotką Katarzyny i z tego tytułu zaczęła rozciągać opiekę nad Medyceuszką¹⁾.

Dziwny zresztą człowiek był ten Henryk; nazywano go później królem z ołowiu: taki był ciężki, małowowny, wprawdzie duży, silny, przystojny brunet, ale w oczach bez wyrazu, bez blasku, duchowa mierność. Ktoś ze współczesnych powiedział o nim, że się urodził pod znakiem Saturna i że ta gwiazda rzuciła na niego swe blade światło. Ojciec Franciszek nie lubił go, nie mógł znościć dzieci zadumanych, zaspanych, całą swą miłość przelał na pierworodnego syna Franciszka, następcę tronu (dauphin). Henryk czuł tę niechęć i wywdzięczał się ojcu brakiem sympatii, co nawet zanadto wyraźnie okazywał. Na charakter Henryka wpłynęła także czteroletnia nie-

¹⁾ Matka Jana de Poitiers, ojca Diany, Jeanne, była z domu La Tour de Boulogne.

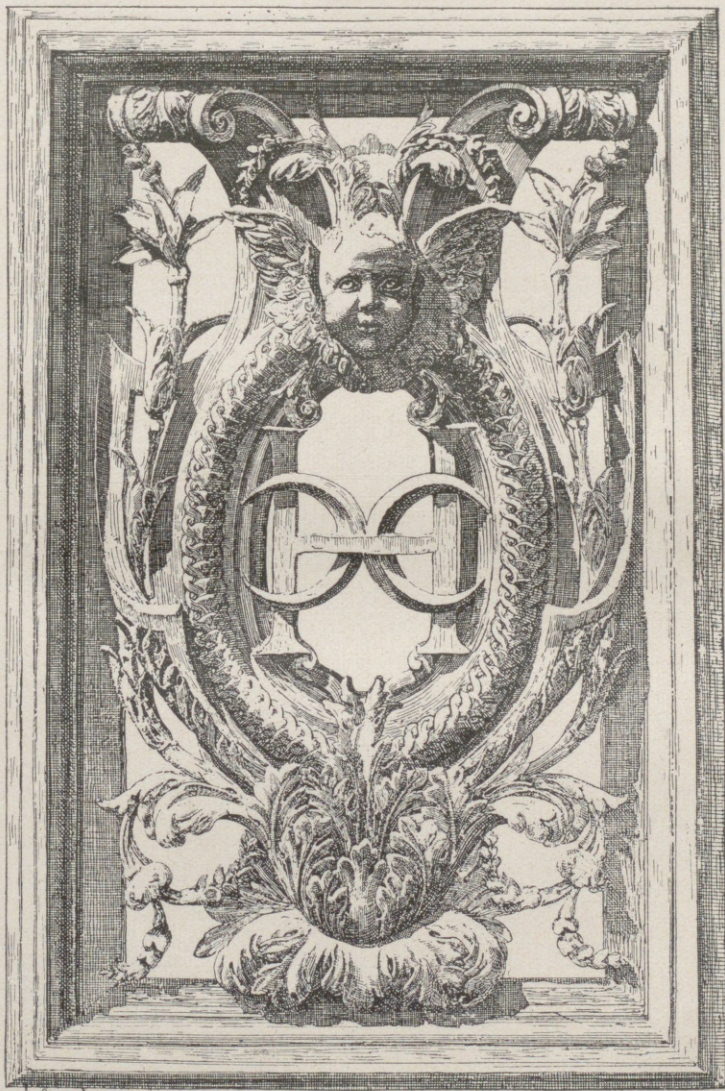
wola w Hiszpanii, gdzie się przejął duchem etykiety i pedanteryi, panującej na dworze Karola V. Stamtąd wyniósł także wielkie przywiązanie do form religijnych, tak dalece, że pomimo, że zapamiętały jeździec, w niedzielę konia nie dosiadał. Zresztą w przeciwieństwie do ojca był stałym w swoich opiniach i kierował się rozsądkiem w wydatkach.

Ożenienie się Henryka z Medyceuszką uważano w towarzystwie francuskiem za wielki „mezalians“, tem bardziej, że i posag jej nie odpowiedział oczekiwaniom. Wszak królowa Eleonora była siostrą Karola V., a panie ją otaczające, jak duchessa d'Albany, jak królowa Navarry, duchessa de Guise, duchessa de Vendome, przygniatały Katarzynę swemi rodzinemi związkami i swemi wpływami. Córka więc florenckich kupców nikła wobec francuskiej arystokracji. Nawet Karol V. gniewał się, że „Walezyusze zbrudzili swą lilię kupieckim związkiem“.

Jedynę na razie oparcie miała Katarzyna w duchessie d'Étampes, która nienawdziła Dianę de Poitiers i chciała wszelkiemi sposobami osłabić jej wpływ na Henryka.

Młodziutka Medyceuszka znalazła się naraz wśród dwóch prądów towarzyskich, które zaczynały już być i prądami religijno-politycznemi. Jakiśmy widzieli, zarysowały się przy końcu panowania Franciszka I. bardzo wyraźnie dwa religijne stronnictwa: stronnictwo ściśle katolickie i nowa partya protestancka, raczej kalwińska, gdyż Kalwin kierował nią z Genewy.

Aby się bronić przeciw towarzyskim upokorzeniom i dojść do jakiegokolwiek wpływu, wybrała Katarzyna dobrą drogę, postanowiła pozyskać sobie sympatyę Franciszka I. Z natury żywego usposobienia, wesola, starała się bawić króla, schlebiać mu i przypodobać. Obok wielkiego towarzystwa łowieckiego utworzył sobie Franciszek I. ściślejszą kompanię myśliwską z pań i panów, która się nazywała „La petite bande“; do tej bandy trzeba było należeć, aby się zbliżyć do króla. Katarzyna odważyła się prosić Franciszka, aby ją przyjął do bandy. Brantôme utrzymywał, że Madame la Dauphine miała i ten cel w należeniu do bandy, aby w poufnych rozmowach z królem wyciągać z niego rozmaite sekrety, któreby mogły być jej pożyteczne. W lesie był król mniej zapiętym, jak



A. Petit del.

»Panneau« nad drzwiami w zamku d'Annet.



w salonie. Król oczywiście nie odmówił prośbie synowej, tem bardziej, że mu się podobał jej humor i śmiałość. Zresztą chciała kokietować starego; twarz miała nieładną, oczy wypukłe, ale piękną rękę i nogę, co było największą ozdobą jej postaci. Zaprowadziła więc zakładanie nogi na łęk w jeździe konnej, na włoski sposób, aby uwydatnić te wdzięki.

Jej odwaga zresztą podobała się królowi, Medyceuszka narażała czasami życie. Raz złamała nogę, spadłszy z konia, innym razem tak nieszczęśliwie uderzyła głową o grubą gałąź, że zemdloną musiano odwieźć do zamku i lekarze podobno musieli przedsięwziąć trepanację czaszki.

Nadeszła jednak tragedia, która przynajmniej na chwilę zdawała się zamknąć serce Franciszka I. dla synowej. Następcą tronu, dauphin umarł nagłą śmiercią w warunkach, które nasuwały możliwość otrucia. Karol V. najechał wówczas Prowancję, armia francuska jednak zwyciężyła, a dauphin, który się w niej znajdował, wracał w tryumfie do uszczęśliwionego ojca. Zatrzymał się na nocleg w Tournon, gdzie nazajutrz, w dzień upalny sierpniowy zażądał szklanki wody. Obecny tam Sebastyan Montecuculli, dawniej w służbie Gonzagów, a następnie dworzanin królowej Eleonory i dauphina, przyniósł mu wodę z lodem, wskutek czego młodzieniec prawie bezzwłocznie umarł. Zaczęto szemrać, że Franciszek został otruty, że jedynie Katarzyna mogła mieć interes w usunięciu następcy tronu, aby po jego śmierci zostać królową, że zatem Włoch postąpił tak z namowy znieprawionej Florentynki. Szczęściem znajdowała się wtedy Katarzyna daleko od Tournon, w Prowancyi, w otoczeniu królewskim, co wszakże nie wykluczało możliwości porozumienia się z Montecucullim.

Franciszek I. był w rozpacz; kazał też najściślej dochodzić przyczyn śmierci swego pierworodnego, a przypuszczając, że Montecuculli mógł działać także w porozumieniu z Karolem V., zwołał do Lyonu najznakomitsze osobistości i dygnitarzy państwa, aby wobec tego zgromadzenia przesłuchano Montecucullego i aby truciela postawić przed pręgierz całej Europy. Król kazał przed tym aeropagiem przeczytać wyniki śledztwa, zeznania oskarżonego na torturach, a wynik dochodzenia był obciążający, pomimo że Montecuculli nie wymienił

nazwiska Karola V. Mówiono, że cesarz kazał zgładzić dauphina, ponieważ Franciszek I. miał zamiar ożenić go z księżniczką, której wiano przyczyniłoby się do znacznego wzmocnienia Francji. Truciznę uważano za dozwolony środek polityczny, za praktyczne rozwiązanie wszelkich trudności, a obawa przed nią u osób, zajmujących wybitne stanowisko, była tak powszechną, że we Francji książętom i księżnom krwi królewskiej służyło prawo przyjmowania potraw na dworze tylko w zamkniętych puszkach, prawo tak zwane „droit de cadenas”, które uważano za wielki zaszczyt. Smutne odznaczenie!

Proces, toczący się z powodu śmierci dauphina, nie rzucił niekorzystnego światła w kołach dworskich na znienawidzoną Włoszkę. Inny był jednak powód, który zatruwał jej życie. Zanosilo się na to, że nie będzie miała potomstwa, ponieważ zaś następstwo tronu spadało teraz na jej męża, więc troska była wielka. Katarzyna, jak większość współczesnych, wierzyła w nekromantów; zaczęła się więc radzić nie tylko lekarzy i kobiet, rozumiejących się na czarach, ale przede wszystkim tych mędrców, którzy posiadali tajemnicę przepowiadania przyszłości. Zajmowali oni w życiu Katarzyny ważne stanowisko; ulubieńcami jej był najprzód astronom Luc Gauric, następnie Michel de Nostredame (Nostradamus), Włoch Cosmo Ruggieri, Oger Ferrier, lekarz z Tuluzy, i kilku innych pomniejszego znaczenia.

Wszelkie sposoby i rady na nic się nie przydawały; zwracało tylko uwagę lekarzy, że Diana de Poitiers pomimo swego stosunku z Henrykiem II. także nie miała z nim dzieci. Winą niepłodności Katarzyny mógł być zatem jej małżonek. Nareszcie po dziesięciu latach małżeństwa Henryka z Medyceuszką poznał się lekarz Henryka, Dr. Fernel, na właściwych powodach bezpotomności młodej pary i jakąś operacją przywrócił Henrykowi II. możność pozostawienia po sobie rodziny. Henryk II. chłodny, usposobienia prawie melancholijnego, stale zresztą oddany swojej Dianie, nie mógł w Katarzynie obudzić głębszych uczuć; nie dziw więc, że młoda, pełna życia Włoszka upodobała sobie jednego z najświetniejszych rycerzy na dworze królewskim, w którym zresztą wszystkie panie się kochały. Był nim Vendôme, vidame de Chartres.

Zdaje się, że w celu zbliżenia się do niego zorganizowała przedstawienie komedyi w pałacu Tournelle. Katarzyna grała pierwszą rolę, jej partnerem był Vendôme. Aby dobrze wystudyo-
wać rolę, chodził vidame do pokoi Katarzyny i ta nauka często się powtarzała. Działo się to z początkiem r. 1543 i dziwnem zdarzeniem pierwszy syn Katarzyny, delfin Franciszek, urodził się w następnym roku 1544. Może to był skutek przepowiedni Klemensa VII., że sprytna kobieta zawsze sobie poradzi.

Na dworze królów francuskich każda z pań miała swój ulubiony kolor i swoją dewizę. Franciszek I. dał swojej synowej bardzo dla niej pochlebny a zarazem charakterystyczny znak, tęczę z legendą: »Il porte lumière et la sérénité«. Może mniej zrozumiałą dla dworu była barwa, którą Katarzyna przyjęła, barwa zielona; mógł ją Franciszek I. uważać jako jemu poświęconą, lubownikowi łowów i lasów, kolor ten był jednak barwą vidama de Chartres, a Katarzyna uważała go za najulubieńszy, nawet później podczas swego wdowieństwa.

Katarzyna, niesłuchanie skryta i od urodzenia wyborna w życiu aktorka, odziedziczyła sztukę pokrywania swych uczuć i myśli po Medyceuszach i wykształciła ją jeszcze w dzieciństwie w klasztorach; nie dziw też, że o stosunkach jej miłosnych pozostały tylko niezbyt sprawdzone legendy. Posądzano ją o stosunek z Albertem de Gondi, któremu przypisywano syna jej, Ludwika, księcia Orléanu (ur. 1549), Karola (ur. 1551) i Henryka (ur. 1551). Bardzo głośno jednak mówiono o zanadto ścisłej przyjaźni jej z kardynałem de Lorraine, który po śmierci stawał jej, jak utrzymywała, często przed oczyma. Raz z niezwykłym u niej przerażeniem zerwała się od stołu, krzyknąwszy, że widzi kardynała w szklance, którą miała w ręku.

Obok błędów medyceuszowskich wyniosła Katarzyna z Florencyi niemało zalet, jak zamiłowanie do literatury i do sztuki, co Franciszek I. bardzo w niej cenił. Starając się królowi przypodobać, zbierała rzadkie księgi, przedmioty sztuki, a nawet z miłości dla Franciszka I. nauczyła się po grecku. Poseł florentyński pisał w depeszy swej z 27. grudnia 1544, że »La Delfina« pilnie poświęca się naukom, a przedewszystkiem studjom greckim, tak dalece, że wzbudza podziw w każdym mężczyźnie. Ponieważ jednak wówczas studyum greckizny

stało jeszcze na bardzo niskim stopniu, więc prawdopodobnie i delfinowa nie daleko w tej mierze doprowadziła.

Franciszek I. umarł 1547 roku; może najszczerzej z całego otoczenia żałowała go Katarzyna, z płaczem klęczała przed jego trumną; traciła w nim przyjaciela i najsilniejszą swoją podporę.

III.

Katarzyna została królową, ale może była nieszczęśliwszą, aniżeli poprzednio. Nad Henrykiem zupełnie panowała Diana, duchessa de Valentinois; królowa miała przekonanie, że la Sénéchale posiada jakiś »philtre«, jakiś tajemniczy środek, którym utrzymuje miłość Henryka. Diana miała co najmniej lat czterdzieści, bo co do roku jej urodzenia niema zupełnej pewności, a Henryk liczył lat dwadzieścia, ale wskutek ciągłych sportów był silnym, rozrośniętym mężczyzną. Codziennie po obiedzie grał po kilka godzin w piłkę lub w balona, albo strzelał z łuku. Dwa razy w tygodniu wyjeżdżał na łowy, najchętniej na jelenia i sześć albo siedm godzin pędził po lasach, nie zważając na zmęczenie, ani na niebezpieczeństwo życia. Nieraz koń pod nim upadł, czasem go zrzucił, ale Henryk powstał, wsiadł na innego rumaka i cwałował dalej.

Diana była wymalowaną, zimną kobietą, bez temperamentu i uczucia. Clouet pozostawił jej portret, który bynajmniej nie przedstawia owej przez pochlebców opiewanej piękności. Rysy dość pospolite, wyraz twarzy zupełnie niezajmujący, usta tylko kobiety sprytniej. W listach, których pozostało bardzo dużo, pisanych sucho, bez żadnego polotu, znać, że Diana wiedziała zawsze, czego chce, i umiała rachować, bardzo jednak inteligentna, zrównoważona, zawsze panowała nad sobą.

Wobec Katarzyny zachowywała się, jakby najlepsza przyjaciółka; starała się o zdrowe mamki dla jej dzieci, a królowa nawzajem pisała do niej »Ma bonne cousine et amye«. Całe morze fałszu przedzielało te dwie kobiety. Gdy królestwo pierwszy raz jechali do Lyonu, Diana im towarzyszyła. Kata-

rzyzna prawie przy niej nikła, a królewską kochankę tak honorowano, jakby ona była królową. Na lukach tryumfalnych umieszczano półksiężyc, godło Diany, Katarzyna musiała się uzbroić w cały zapas medycyuszwowskiej dyplomacyi, aby znieść te upokorzenia. Zdaje się, że duc de Nemours namawiał ją, aby urządzić na rywalkę zamach i oblać jej twarz dystylowaną wodą żrącą, coby ją na zawsze zeszcpecilo. Katarzyna była zanadto rozumną, aby przystać na to, zwłaszcza iż wiedziała, że połowa przywiązania Henryka do Diany polega na macierzyńskiej prawie troskliwości, jaką króla otacza. Gdy Henryk miał lat czterdzieści, a Diana sięgała sześćdziesiątki, pisał do niej, iż błaga ją, aby zawsze pamiętała na tego, który nigdy nie kochał nikogo i nigdy nikogo prócz niej kochać nie będzie.

Aby odsunąć Dianę od męża, chwyciła się raz Katarzyna innego, bardziej praktycznego sposobu. Kochanka królewska była raz po ciężkiej chorobie (1554), wybladła, wychudła i używała rozmaitych pozorów, aby króla odwieść od zamiaru pojechania do niej. Nie chciała się pokazać tak wynędzniałą Henrykowi II. i prosiła go, aby się udał do Saint-Germain. Wtedy urządziła Katarzyna u siebie na powitanie króla czarujący balet, w którym sześć panien miało wygłosić wiersze okolicznościowe. Należały do nich miss Fleming, krewna wuja królowej, księcia d'Albany, biała, przepyszna blondyna, tudzież Klarysa Strozzi, brunetka o bujnych włosach i płomiennym wzroku. Zresztą występowały same bardzo młode panienki, jak Marya Stuart, Madame Elisabeth de France, późniejsza królowa Hiszpanii, i dwie inne dziewczynki. Widocznie Katarzyna dawała mężowi do wyboru blondynę albo brunetkę. Król rzeczywiście nie mógł się narazie oprzeć pokusie, zawiązał stosunek z miss Fleming, miał nawet z nią nieślubnego syna, Henryka du Valois, hrabiego d'Angouleme, który został później wielkim przeorem Francyi, ale Medyceuszka nie osiągnęła zamierzonego celu. Henryk II. wrócił do Diany, która oczywiście wiedziała o podstępie Katarzyny i jeszcze bardziej ją nienawidziła.

Duchesse de Valentinois urosła nawet bardzo w towarzyską i polityczną potęgę, wydała bowiem dwie córki za ma-

gnatów wielkiego wpływu, jedną za Roberta de la Mark, księcia de Bouillon, księcia Sedanu, drugą za Klaudyusza de Lorraine Guise, księcia d'Aumale. Klaudyusz zdobył sobie wielką popularność, gdyż śmiałym zamachem odebrał Anglikom Calais. Jeden z pierwszych, najzawołanszych myśliwych i hodowca koni, sprowadzał swe bieguny z Hiszpanii i z Włoch, gdyż konie francuskie z wyjątkiem bretońskich nie były jeszcze tak wysoko cenione, jak cudzoziemskie. Raz zakupił w Neapolu trzydzieści siedm klacz i siedm stadników, a innym razem przysłano mu z Hiszpanii dwadzieścia koni, co mu było za mało.

Guizowie stali na czele stronnictwa katolickiego, walczącego z Reformą. Ród ich nosił nazwę od hrabstwa, późniejszego księstwa Guise. Pochodzili oni z Lotaryngii, a małżonka Jakóba V., króla Szkocyi, była z domu Guise. Rodzina Guizów, z początku uboga, ale z wielkim nazwiskiem, ponieważ wywodziła się od Kapetingów, od jednego z braci świętego Ludwika. Siłą ich było współdziałanie i wzajemne popieranie się; wszędzie, w Kościele, w wojsku, w rządzie, umieli zajmować wysokie stanowiska.

Katarzyna chciała ich koniecznie przeciągnąć na swoją stronę; ale małżeństwo córki Diany z księciem d'Aumale pokrzyżowało jej plany. Niektórzy pisarze nawet utrzymują, że Medyceuszka, pragnąc zaprzęgnąć Guizów do swego rydwanu, zawiązała stosunek z Karolem Guizem, kardynałem de Lorraine, i że to był romans o ściśle politycznych celach. Kardynał de Lorraine, arcybiskup w Reims, był człowiekiem wielkiej kultury, zręcznym dyplomata, ale odznaczał się brakiem jakichkolwiek moralnych zasad. Wierzył tylko w astrologię, co go zbliżało do królowej. Jako młody kardynał miał już dochody z dwunastu arcybiskupstw i biskupstw.

W polityce wpływał na Henryka II. connétable Anne de Montmorency, związany ściśle przyjaźnią i interesami z Dianą de Poitiers. Król, zajęty raczej łowami, aniżeli sprawami państwa, pozostawił mu zupełnie rządy państwa. Montmorency był religijnym fanatykiem, człowiekiem twardym, nawet okrutnym, o bardzo miernych zdolnościach. Królowa starała się odciągnąć Montmorencego od Diany, ale napróżno. W opinii

ludzi wpływowych i pomiędzy publicznością nadzwyczaj szkodzili jej Włosi, którzy częścią z nią przybyli do Francji, częścią szukali szczęścia pod skrzydłami Medyceuszki. Do najznakomitszych należeli Strozzi, Gondi, Rugieri, Sardini, obok których najechała Francję cała czereda spekulantów, nie zawsze liczących się z uczciwością. Katarzyna, czując niechęć społeczeństwa francuskiego do siebie, tem bardziej okazywała sympatyę swym rodakom. Pomimo że Franciszek I. był przekonany, że Katarzyna nie wpłynęła na otrucie delfina, przecież towarzystwo arystokratyczne francuskie długie czasy po sądziło ją, że ona popchnęła Montecucullego do zbrodniczego czynu.

Jeżeli Katarzyna starała się odsunąć kobiecemi intrygami króla od Diany, to i księżna de Valentinois szła temi samymi drogami; wpływała, jak przypuszczano, na króla, aby utrzymywał swoją małżonkę w nieustannem macierzyństwie, a w ten sposób miał jak najwięcej czasu do romansów z Dianą. Dość powiedzieć, że w przeciągu dziesięciu lat, počzawszy od r. 1543 rodziła Katarzyna prawie co roku, z czego Diana bardzo była zadowolona, gdyż miała przez większy przeciąg czasu Henryka II. swoją wyłączną własnością.

Dzieci królowej były słabowite, a każde z nich nosiło, według zdania lekarzy, już zarody jakiejś dziedzicznej choroby ¹⁾). Zła krew ojca Katarzyny odzywała się we wnukach.

¹⁾ Docteur Çabanes: Légendes et curiosités de l'Histoire. Paris, Albin Michel, edit.

Dr. Cabanes. Les morts mystérieuses de L'Histoire. Paris. Albin Michel 1901.

Pierwszy syn Katarzyny François II. umarł na meningitis (meningo-encephallite).

Karol IX. według sprawozdań Jana Michel, ambasadora weneckiego i posła tokańskiego, zakończył życie wskutek broncho-pneumonii lewego płuca.

Elżbieta, najstarsza z córek, awanturnicze usposobienie, w wysokim stopniu nerwowa.

Kludwia rachityczna, coxalgique, całe życie oprawiona w żelaza.

Louis, duc d'Orléans, umiera w dwudziestym roku życia na rougeole i athrepsis.

Charles-Maximilian zostaje maniakiem Karolem IX. miné par la bacillose.

W Katarzynie trudno się dopatrzeć szczerej miłości do dzieci; później najwięcej lubiła Henryka III., ale i to przywiązanie było oparte na egoistycznych podstawach. Nad wszystkimi właściwościami jej charakteru górowała żądza panowania, a ponieważ synowie mogli jej w tej mierze stać na przeszkodzie, więc bywały czasy, że ich prawie nienawdziła. Pomimo pozorów wielkiego przywiązania do rzymskiego Kościoła, nie była religijną; raz przechylała się do katolicyzmu, innym razem była w duchu protestantką, stosownie do tego, w którym stronnictwie widziała podporę swej władzy.

Wierzyła tylko w astrologię i w jej kapłanów i może na żadnym ówczesnym dworze nie grało wróżbiarstwo tak ważnej roli, jak na dworze Katarzyny. Utworzyła się wtedy włosko-francuska szkoła astrologów, której nie można zaprzeczyć wielkiego znawstwa ludzi i stosunków. Łączyli oni zazwyczaj wiadomości medyczne ze znajomością zjawisk przyrody, która wówczas jeszcze bardzo była niedostateczna.

W pierwszej połowie panowania Medyceuszki był jej wyrocznią Nostradamus; w sierpniu 1555 wezwała go do zamku w Blois, aby postawił horoskopy »dzieciom Francyi«. Królowa kazała tam wybudować mały dom, w którymby astrolog mógł swobodnie zajmować się swemi spostrzeżeniami. Na owym pawilonie położono napis, zapożyczony ze starożytności: »Uraniae sacrum«. Później zajął stanowisko Nostradama Cosma Ruggieri i za Karola IX. miał na Katarzynę przeważny wpływ. Cosma pochodził z rodziny astrologów; ojciec jego, człowiek bardzo uczony, Ruggiero vecchio był lekarzem i alchemikiem

Edward-Alexander, Henryk III. synteza zdegenerowanego atawizmu.

Marguerite, królowa Margot, podobna za młodu do matki, niezrównoważona, podlegająca wybuchom namiętności, raz unosząca się gniewem, innym razem dobrocią, odznacza się w tej rodzinie raczej słabością charakteru, aniżeli cnotą.

Po tych dzieciach wydała Katarzyna jeszcze dwoje »besonnes« Jeanne i Victoire niedorodki, które zaraz umarły.

Zresztą Henryk II. pomimo swej siły był neuroartretykiem, a ojciec jego, Franciszek I. uległ brzydkiej chorobie, której powodem był stosunek z piękną Féronierą.

ojca Katarzyny, Wawrzyńca de' Medicis, księcia Urbinu; starszy jego syn tak wybitnie zajął stanowisko pomiędzy kabalistami, że go nazwano Ruggiero il Grande, a młodszy Cosma, również sławny, został nadwornym wróżbitą Katarzyny. Ruggieri vecchio w porozumieniu ze znanym matematykiem Bazile'm przepowiedział losy Katarzyny; nie dziw więc, że królowa szczególne miała zaufanie do tego syna Cośmy, który odziedziczył naukę i sekrety ojca. Ruggieri vecchio przekazał swe tajemnice nie tylko synowi, ale jego uczniami byli Nostradamus, Cardan i obydwaj Agrippowie, którzy po kolei byli lekarzami i astrologami rodu Walezyuszów.

Horoskopy starego Ruggieriego co do Katarzyny spełniały się z zadziwiającą punktualnością. Już ojcu Katarzyny zwrócił uwagę na ciężkie przejścia, jakie córkę spotkają w początkach życia we Florencji, następnie przepowiedział jej zamęcie za »syna Francji«, niespodziewane wstąpienie jej męża na tron francuski, a co więcej, liczbę i losy dzieci zrodzonych z tego małżeństwa. Trzech synów po kolei miało nosić koronę Francji, dwie córki miały oddać rękę królom, a żadne z tych dzieci nie pozostawi legalnego potomstwa.

Jeszcze za życia Franciszka II. sprowadził Nostradamus do zamku w Chaumont, gdzie Katarzyna chwilowo bawiła, kobietę, która zapewne przez niego zahipnotyzowana, przepowiedziała wiele szczegółów przyszłości jej dzieci. Posadził królowę przed jakimś magicznym zwierciadłem, w którym odbijało się koło z figurką każdego z synów. Zahipnotyzowana »czarodziejka« poruszała kołem, a królowa liczyła obroty tej maszyny. Ilość obrotów miała oznaczać ilość lat panowania tych przyszłych królów. Ale zwierciadło odbiło także portret przyszłego Henryka IV., na którego wypadło aż dwadzieścia dwa obroty, a więc tyle lat panowania. Katarzyna się przerażała, że ten Bourbon zostanie królem Francji i tak długo będzie panował. Co więcej, jasnovidząca przepowiedziała, że ostatni syn królowej będzie zamordowany i że po nim nastąpi Henryk IV. Do najwyższego stopnia rozciekawiona królowa zapytała, jaką śmiercią zginie, na co otrzymała wymijającą odpowiedź, aby się strzegła Saint Germain. Od tego czasu nigdy nie zajeżdżała do zamku w Saint-Germain, pomimo że leży

w pobliżu Paryża. Ale dziwna przepowiednia jej nie ominęła; w kilka dni po zamordowaniu księcia de Guise w Blois ciężko zachorowała, a gdy przywołano do niej duchownego, który ją miał wyspowiadać, zapytała o nazwisko owego prałata. Odpowiedziano, że się nazywa Saint Germain.

Przypuściwszy, że wiele z tych mniemanych przepowiedni później wymyślono, to przecież przynajmniej część ich musiała się spełnić, bo inaczej astrologi nie mieliby tylu wierzących adeptów. Co zresztą nietrudno wytłumaczyć, bo większość owych sławnych magów była lekarzami, którzy wybornie znali stosunki osobiste i rodzinne swoich pacjentów i byli wtajemniczeni w publiczne sprawy, mogli więc mniej więcej prawdziwe stawiać horoskopy. Jeżeli się przepowiednia nie spełniła, to umiano rzecz wytłumaczyć różnemi okolicznościami, które przeszkodziły faktom. Dla spełnionych przepowiedni tworzyła się szybko sługębna reklama, bo ludność chętnie bierze za prawdę to, czego nie rozumie. A osobliwie ówczesni kronikarze byli nadzwyczaj łatwowierni w rzeczach tyczących magii.

IV.

Diana umiała wyzyskać na swoją korzyść wszystkie słabostki Henryka II., a jeżeli Katarzyna ujęła sobie Franciszka I. należeniem do bandy łowieckiej, to Diana ugruntowała przywiązanie swego króla na jeszcze trwalszych podstawach.

Założyła mu u siebie raj myśliwski, wystawiła zamek, jeden z najwspanialszych we Francyi, z którego wyjechać żalby było Henrykowi. Miała posiadłość Anet w Normandyi, tam zamierzała swą troskliwością i schlebianiem wszystkim namiętnościom zupełnie uwięzić kochanka.

Diana zwróciła się o plany budowy do Philiberta de l'Orme, artysty z Lyonu, Francuza, a nie Włocha, a jeżeli nią kierowała w tej mierze myśl patryotyczna, to niemniej chciała okazać znieprawdzonej Medyceuszce, że i Francuzi potrafią tworzyć rzeczy piękne i wspaniałe. Niezmierny jej majątek pozwalał wydawać na budowę sumy, jakich tylko architekt za-

żądał, a wrodzony jej rozsądek kazał pozostawić Philibertowi, jako uznanemu już wówczas mistrzowi, zupełną swobodę koncepcji. Miała przekonanie, że artysta otwarcie wyda wojnę italianizmowi.

Największa opozycja przeciw włoskim artystom wychodziła z Lyonu, bo tam była pierwsza ich stacya i tam ich najlepiej poznano. Artyści francuscy, nie czując w sobie mniej fantazy i siły, aniżeli jej przypisywano Włochom, chętnie obok nazwiska podpisali miejscowość, z której pochodzili, jako wyraz patriotycznej dumy. Philibert de l'Orme dodawał zawsze bliższe określenie »Lyonnais«. Urodził się około r. 1515 w rodzinie zamożnych tkaczy i w młodych latach udał się do Rzymu, aby studyować starożytną architekturę. Mierzył tam słupy, kapitele, spuszczał się do fundamentów zajmujących go budowli, dał się wskutek tych badań poznać papieżowi Pawłowi III., a zdobywszy wiele wiedzy, wrócił w r. 1536 do Lyonu. Staraniem jednak młodego mistrza było nie przejmować się zbyt starożytną architekturą, ale pracować na własnym gruncie, tworzyć budownictwo i ornamentykę, wypływającą z ducha francuskiego, dążyć do ojczystego odrodzenia sztuki. De l'Orme i wielu innych młodych artystów wydało wojnę królewskiemu dworowi, który zabijał własną sztukę, karmił cudzoziemców. Ów Lyonnais nienawidził Primaticcia, Rossa i innych przybłędów, którzy, jak pisał, »swoją wytrwałością, popartą strumieniem słów, i swoją arogancją wpajają w łatwowiernych ludzi przekonanie, że są książętami świata i że sobie zasłużyli na nazwę wielkich artystów«. De l'Orme wydał w r. 1561 duże dzieło o architekturze, w którym się skarży, że we własnym kraju, a przedewszystkiem we Francji mniej się ceni własne skarby, aniżeli cudze, i że niema kraju, któryby miał taką bogatą różnaitość materiału budowlanego, jak Francya.

Wracali on, jak zawsze wracali wielcy mistrze, do przyrody, przykazuje, aby brać wzory z tego, »co Bóg stworzył, z drzew, roślin, z ptaków i zwierząt« i ze wszystkiego, czem bogate królestwo francuskie. Logika i prostota ma panować w dziełach architektonicznych.

Wielka szkoda, że zamek w Anet prawie nie istnieje, że

możemy mieć o nim wyobrażenie tylko z planu, wziętego a vol d'oiseau, który wykonał Du Cerceau i z opisów tego znakomitego architekta. Podróżnik Gabriel Simeoni widział w r. 1557 ów wyjątkowo wspaniały kompleks gmachów i ogrodów i był niemi tak zachwycony, iż sądził, że złoty pałac Nerona nie mógł być bogatszą i piękniejszą budową. Przedewszystkiem już brama wjazdowa, dzieło monumentalne w kształcie łuku tryumfalnego, ozdobionego bronzem, marmurem i rzeźbą, było czemś zupełnie nowem w pomysle. Umieścił tam artysta płaskorzeźbę z brązu dłuta Benevenuto Celliniego, wykonaną na zamówienie Franciszka I. do Fontainebleau, którą Henryk II. kazał do Anet sprowadzić. Była to owa nimfa z Fontainebleau, znajdująca się dzisiaj w Louvrze, rzeźba bynajmniej nie pierwszorzędna, jak wogóle Cellini, z powołania i z talentu złotnik-jubiler, rzadko kiedy zdobył się na prawdziwie piękne dzieło rzeźbiarskie większego stylu. Jedyne Perseusz florentyński usprawiedliwia jego rzeźbiarską sławę; zresztą, jeżeli kiedykolwiek zabrał się do monumentalnej pracy, zawsze stworzył rzecz nieudaną.

Na szczycie bramy ustawił de l'Orme jelenia z brązu naturalnej wielkości i cztery ogary, pomiędzy którymi były zapewne portrety dwóch ulubionych psów Diany: Procion'a i Sirius'a. Jeleń, niecierpliwiąc się z powodu napadających nań psów, tupał nogą i wybijał godziny na umieszczonym poniżej zegarze. Chcąc oddać hołd starożytności, wprawił architekt także marmurową tablicę z napisem, łączącym rzymską mitologię z ówczesnem pochlebstwem:

Phoebo sacrata est almae domus ampla Dianae,
Verum accepta cui cuncta Diana refert.

»Obszerny ten gmach poświęca Febus żywiącej Dianie, a Diana ofiaruje nawzajem Febowi wszystko, co od niego otrzymała.«. Aby zaś nie obrażać rodziny męża i uchodzić za dobrą małżonkę, wystawiła tam Diana posąg, przedstawiający Ludwika de Bréze, wielkiego seneszała Normandyi, również z podpisem, mającym go codziennie przypominać »niepocieszonej« wdowie.

Naprzeciw zamku znajdowały się galerie z klatkami,



Diana de Poitiers.



w których chowano bażanty, sokoły i lamparty, wyuczone do pogonki na zajęce.

Zamek w Anet nosił cechy odmienne od budowli włoskiego Odrodzenia; był szczerym wynikiem francuskiego geniuszu. Przyczynił się niemało do popularności Diany de Poitiers, schlebiał bowiem patryotycznym uczuciom każdego Francuza. Fundatorka kazała tam wystawić także kaplicę, w której miała spocząć.

Pierwej jednak, jak przypuścić mogła, zginął jej protektor. Dwudziestego czerwca 1559 odbył się ślub księżniczki Elżbiety, siostry Henryka II., z królem Hiszpanii, Filipem II. Z powodu weselnych uroczystości urządzono 30. czerwca turniej, w którym sam Henryk wziął udział i za przeciwnika wybrał sobie kapitana własnej gwardyi, hrabiego Montgommery. Rycerska zabawa skończyła się tragedją; przypadkowo kopia Montgommerego przebiła wizyr króla i dostawszy się do oka, śmiertelnie Henryka raniła. Ratunku nie było, król umarł 10. lipca 1559, zaledwie skończywszy czterdziesty rok życia. Sześćdziesięcioletnia Diana mogła być dumną; Henryk zginął, ubrany w jej barwy, w kolory czarny i biały, o przyszłość mogła być spokojną, wszak córkę wydała za najpotężniejszą osobistość we Francyi, za Guiza, z którym się królowa liczyć musiała. Nadto łączyła ją przyjaźń z connetablem de Montmorency, który pod Henrykiem II. był rzeczywistym królem, gdyż w porozumieniu z Guizami, z Karolem, kardynałem de Lorraine, zarządzał państwem. Henryk miał inne zajęcia, łowy i rycerskie zabawy; powiedziano też o nim, że był królem z wosku, a ulepiali jego postać dwaj artyści rzeźbiarze: Diana i kardynał Charles:

Sire, si vous laissez, comme Charles désire,

Comme Diane veut, par trop vous gouverner,

Fondre, petrir, mollir, refondre, retourner,

Sire, vous n'êtes plus, vous n'êtes plus que *cire*.

Diana umarła 26. kwietnia 1566, mając lat sześćdziesiąt sześć. Dobry portret, robiony zapewne w pięćdziesiątym roku jej życia, znajduje się w Chantilly w Musée Condé. Inne dwa portrety, rysunki, istnieją w Bibliotece Narodowej (Cabinet des Estampes) w Paryżu.

Katarzyna przywdziała żalobę, której już do śmierci nie złożyła; czy żaloba była szczera, wątpić się godzi, bo Medyceuszka stała się mistrzynią w pokrywaniu swoich uczuć. Zdawało się jej, że teraz zostanie królową.

Według przyjętego zwyczaju królowe Francji owdowiawszy, musiały się zamykać w pokoju, oświetlonym tylko woskowymi świecami, i nie widzieć przez dni czterdzieści promieni słońca. Pełna życia, ruchliwa Katarzyna nie mogła znieść tych ciemności, przypadek ułatwił jej wydobycie się z tego więzienia. Gdy kardynał de Lorraine wychodził w Paryżu w kilka dni po śmierci króla bardzo rano od pięknej Rzymianki, słynnej wówczas kurtyzany, kilku mężczyzn zastąpiło mu drogę, obito purpurata, który utrzymywał, że to byli heretycy, chcący się zemścić za jego świątobliwość. Aby zatrzeć złe wrażenie, jakie to zajście wywołało, a może z obawy, aby podobny napad się nie powtórzył, postanowił dwór przenieść się do Saint-Germain, a z nim i królowa, gdzie już nie potrzeba było zamykać się w ciemnicy.

V.

Medyceuszka szczególnie polubiła zamek w Blois i często tam przebywała. Brzegi Loiry, to serce Francji; tam najstarsze tradycje feudalnych hrabiów de Blois, a później Orleanów i Walezyuszów, tam owe przepyszne zamki, jak Chambord, Blois, Amboise, Chenonceaux, Chaumont i wiele innych. Wśród nich Blois najbardziej nas obchodzi, zamek składający się, jak już wspomniano, z rozległych renesansowych budowli, zamykających w sobie średniowieczny gród hrabiów de Blois. Nowe skrzydła pochodzą z czasów Ludwika XII. i Franciszka I. tak, że w tym ogromie murów zachowały się ślady trzech epok, a o ostatnich Walezyuszach, od Katarzyny medycejskiej do Henryka III. wspomnień tam bez liku.

Są jednak różnice w tych wspomnieniach, świadczące o zmianie obyczajów; podczas gdy komnaty Ludwika XII. tchną jeszcze pewną patryarchalną skromnością, w pałacu Franciszka I. rozsiadł się już cały dekoracyjny przepych Od-

rodzenia. Dla małżonki Franciszka I., Klaudyi de France, można było jeszcze malować na ścianach białe łabędzie i lilie z podwójnym C., początkowej litery jej dewizy: *Candidior candidis* (czystsza od czystszych), podczas gdy późniejsze królowe z trudnością mogły się były poszczycić czystymi obyczajami.

Ściany komnat zamkowych w Blois były obwieszane najkosztowniejszymi kobiercami; Franciszek I. nabył słynny arras flamandzki »Tryumf Scypiona« za 22.000 talarów. Pomimo tych zbytków nie było w zamku najmniejszego komfortu, natomiast cały dwór oddychał niewypowiedzianą ochotą do życia, do używania, pomimo ciężkich politycznych czasów i rozpoczynających się walk religijnych.

Katarzyna była po śmierci męża w pełni sił, zdrową, z usposobienia wesołą. Giovanni Michieli, poseł wenecki, pisał wtedy o niej, że pomimo czterdziestu trzech lat żyła w ciągłym ruchu, dużo chodziła, jeździła konno bez zmęczenia i jadła aż do żarloczności. Często też zapadała na zdrowiu z powodu braku wstrzemięźliwości w jedzeniu. Lubiała też bardzo długo trwające uczyty, o czym wiedziano i przy każdej sposobności urządzano dla niej lukullusowe obiady. W r. 1549 wystąpiło miasto Paryż na jej cześć z bankietem, na którym zastawiono na stołach przysmaki, na jakie się tylko Francya zdobyć mogła. Na pieczyście podano pawie, bażanty, łabędzie, indyki, przepiórki, prosięta, gołębie, zające; królowej smakowały osobliwie »ratatouille de crêtes«, kogucie grzebienie i tak dzielnie jadła, że nazajutrz o mało nie umarła z niestrawności. Także po innym obiedzie, danym na cześć księcia Lotaryngii, ciężko zachorowała; tak jej smakowały owe kogucie grzebienie.

Wskutek obżarstwa zaczęła tyć i to może było powodem, że z namiętnością oddawała się ćwiczeniom ciała. Łatwa w obejściu, uprzejma, zawsze uśmiechnięta, jowialna, o umyśle żywym, gotowym do wszelkich intryg, a nawet do układania wierszy i nowych tańców, pisała i mówiła z wielką łatwością, zresztą bardzo lubiła muzykę i śpiew, jak każda Włoszka. Pełna wiary w siebie i zarozumiała, przyjmowała wprawdzie rady, ale te ześlizgiwały się po jej woli, nie łamiąc zgóry ob-

myślanych postanowień. Czula się po śmierci męża królową, była zazdrosną o władzę i z całym zapalem oddawała się sprawom publicznym. Chodziło jej bardzo o to, aby nic nie uszło jej uwagi, wszędzie miała swych szpiegów, nikomu zupełnie nie ufała. Do szpiegostwa używała bardzo często pannen ze swego otoczenia, którym nawet ułatwiała w tym celu romanse z wpływowemi osobistościami, przestrzegając, »aby unikały skandalu«.

Mimo to Isabeau de la Tour Limeuil miała syna z księciem Kondeuszem, wskutek czego powiedziano, że Katarzyna

Hic patiebatur,
Ut principem lucraretur.

Jeździła zawsze w otoczeniu liczного grona pań i pannen, a te podróże wyglądały nadzwyczaj malowniczo: młodzież miała na co patrzeć, gdy wyruszało z jakie pięćdziesiąt, czasem do dwustu młodych kobiet na koniach pięknie przybranych. Chętnie wybierała do swego towarzystwa panny, około czterestu lat mające, wymagała, aby się strojnie ubierały, a swemi oczami i kapeluszymi, na których powiewały pęki piór, »wyzywały do miłości lub wojny«. Takie wyjazdy pożerały ogromne sumy, a mimo to mężczyźni, obdarzeni łaską królowej, często nie mieli na najpotrzebniejsze wydatki. W r. 1574, podczas podróży królowej do Avignonu, większość paziów się pozaziębiała, bo młodzieńcy musieli pozostawiać po drodze u lichwiarzy swe płaszcze, aby móc sobie kupić pożywienie.

Wyobrażenia o moralności w tem towarzystwie były jeszcze bardzo średniowieczne. Jeden z prałatów wyraził opinię swej epoki, mówiąc, że nie można przecież wstydić się tych części ciała, które Pan Bóg stworzyć się nie wstydził. Później dopiero, w wiekach nowych powstały inne pojęcia z dużą przymieszką hipokryzyi. W kołach arystokratycznych Katarzyny nazywano jeszcze rzeczy po nazwisku. Henryk II. zaprosił cały fraucymer królowej na leśną wycieczkę do Saint-Germain, aby się przypatrzeć ruji jeleni. Jeden tylko z dworzaków zauważył, że nie przystoi, aby młode panny jechały na takie widowisko; ta skromność przyjęta jednak była ze śmie-

chem i drwinami, a kobiety tak dokuczwały pedantowi, że musiał opuścić dwór królewski i przenieść się na wiejskie mieszkanie. Królowa Margherita zaprowadziła pomiędzy paniami odkrywanie łona, co pierwiej nie było w zwyczaju, co więcej, ulepszo ten zwyczaj w ten sposób, że łono prawie ciągle było w ruchu, aby tem więcej zwracać nań uwagę. Margot zresztą była dumna z piękności swej piersi, a panny z towarzystwa królowej uważały sobie za wielką łaskę, jeżeli mogły złożyć pocałunek na tej powabnej części ciała królowej.

Panny czytały »Dekameron« Boccaccia, »Facecye« Poggia, a nieprzyzwoite żarty w towarzystwie były czemś zwykłym. Duc d'Anjou miał czarę srebrną, na której widać było wyrzeźbione sceny z Raggionamentów Aretina. Czara napelniona winem krążyła podczas obiadu pomiędzy pannami, a która z nich ostatnia ją wypróżniła, mogła zobaczyć ku wielkiej uciesze gospodarza i towarzyszek sprośny rysunek. W tę młodą, wesołą kompanię zakradały się rozmaite dziwaczne zwyczaje; młodzież naśladowała kobiety, nawet w głosie, a panie starały się przedrzeźniać mężczyzn w ubiorze, w głosie i powitaniach. Jeżeli królowa była w pokoju, całe towarzystwo siadało na podłodze, zapewne na dywanach, częścią może z respektu dla królowej, częścią z braku krzesel. Gdy wieczorem oświetlenie salonów nie było zbyt rażące, panny siadały często celem »przyjemniejszej rozmowy« na kolanach młodych panów, albo nawet panowie na kolanach pań.

Do najmilszej literatury tego towarzystwa należał romans rycerski »Amadis«, przedstawiający aż w dwunastu tomach wszelkie możliwe skale stosunków miłosnych. »Amadis« zrodził się najprzód w południowej Francji, następnie przeszedł do Hiszpanii, stąd znowu ze zmianami wrócił do pierwotnej swej ojczyzny. Za Katarzyny medycejskiej był rozrywana książką. Opisani są tam rycerze, których piękne oczy kobiety rażą, jakby piorunem, i wiążą ich do niej na całe życie. Dokazują oni cudów waleczności, aby się przypodobać ukochanej. Przewijają się jednak w tych opowiadaniach i rycerze zdrajcy, nekromanci, czarownice, a te wszystkie postacie mają za tło walki lądowe i morskie i rozmaite dziwne wypadki.

Rzecz jednak szczególna, że najgłówniejszą osobistością romansu jest stary Amadis, do śmierci wierny swej Orianie, a gdy niegodna jego miłości kobieta posądza go o zdradę, o stosunek z jakąś rywalką, rycerz tak się martwi, że zostaje pustelnikiem. Mniej sumiennym w miłości jest jego brat, książę Goloar, który potyka się z olbrzymami, walczy, ale już nie za jedną ukochaną, ale za cały szereg *bonnes-fortunes*, spotkanych po drodze. Im dalej się romans rozwija, tem mniej stałych rycerzy w miłości, tak dalece, że prawnuk Amadisa kocha się w dwóch pięknościach naraz i za obydwie staje do walki. Tak samo i kobiety, im bliżej końca tych dwunastu tomów, tem więcej mają kochanków. Zawsze złudne wyobrażenie: »Dawniej lepiej bywało!«

Romans jednak, który tak zajmował towarzystwo królowej Katarzyny miał i swe głębsze karty, dawał bardzo dobre charakterystyki ówczesnych ludzi i ich namiętności, tudzież rozwijał obrazowo ówczesne obyczaje. Owe obyczaje bywały dość nieprzyzwoite, a do nich należała tak zwana »Fête des Innocents«. Wówczas kładziono się do łóżka i spano bez koszuli, czasami po dwie lub trzy osoby. Z rana w dzień Niewińątek starała się młodzież wpaść do sypialni jednej z pań, którą sobie upatrzone, — aby »l'innocenter« śpiącą uderzyć dłońmi w najdotkliwszą część ciała. Wiele panien, chcąc się uchronić od tego napadu, spało gdzieindziej, a nie tam, gdzie zwykle, albo opuszczało łóżko jeszcze przed świtem. Clément Marot groził Marguericie de France »de l'innocenter«, gdyż bardzo był ciekawy zobaczyć jej piękne a ukryte kształty. Kobiety zresztą nie zbyt się usuwały od obcych spojrzeń i często pozwalały mężczyznom, aby je odwiedzali w kąpeli. Ze lokaje wdziewali paniom pończochy, w tem nie widziano nic nadzwyczajnego.

Królowa przyjmowała zwykle po południu ze dwie godziny, wieczór zbierało się u niej większe towarzystwo. Zabawy wieczorne organizował zazwyczaj opat-jałmużnik, bardzo dowcipny prałat, Saint-Gelais, który się sam przezwiał ambasadorem Kupidyna. Opisywał męczarnie, jakie przechodzi w towarzystwie tylu pięknych pań, utrzymywał, że bardziej się piecze na żarach miłości, aniżeli św. Wawrzyniec na roz-

palonym ruszcie, albo znowu, że więcej w nim tkwi strzał miłosnych, aniżeli strzał męczeńskich w ciele świętego Sebastjana.

Saint-Gelais wpisywał pannom na pamiątkę czterowiersze nieprzyzwoitej treści do książek do modlenia, bo albumy w dzisiejszem słowa znaczeniu jeszcze nie istniały. Układał także wierszyki do tańca *mattacins*, przeszczepionego z Hiszpanii. W tańcu tym mężczyźni zgromadzeni z jednej strony sali wypuszczali żywe ptaszki z przywiązanemi u szyi karteczkami. Spłoszone ptaki leciały naprzeciwko, gdzie już całe grono pań i panien chwytalo je, aby się cieszyć czterowierszami, które się im dostaną. W tej gonitwie cała sala jaśniała od złocistego pudru, bo fryzury pań bogato były obsypane kosztownym proszkiem. Kobiety bardzo się malowały, czerwiły brwi, aby zaś oko, o ile możności miało oprawę kształtu migdała, używały białych i czerwonych maści na twarz i jeżeli nie miały z natury małych ust, to je zmniejszały sztuką, ile się tylko dało.

Katarzyna utrzymywała łagodny rygor pomiędzy swemi pannami, a gdy która z nich bardzo zawiniła, dostawała »klapsy« na zakrytą zwykle część ciała, albo nawet karano ją tradycyjną różgą.

Jedna z panien, która się wychowywała na dworze królowej, *Françoise de Rohan*, przypominała później Katarzynie z wdzięcznością te cielesne kary:

Plus j'ay de toi souvent esté battue,
Plus mon amour s'efforce et s'évertue
De regretter ceste main qui me bat,
Car ce mal-là m'estait plaisant esbat.
Or, adieu donc la main dont la rigueur
Je préférerais a tout bien et honneur.

W dworskich baletach i przedstawieniach teatralnych występowały przez dłuższy czas głośne piękności, trzy siostry *Morel*: *Kamilla*, *Diana* i *Lukrecya*, *les trois Perles*, jak je nazywano. Pomimo, że należały do *Escadron volant*, nie poszły za mąż, może dlatego, że ich mądrości bali się mężczyźni, bo umiały po grecku, po łacinie i czytały *Platona*. Co więcej,

przełożyły pismo święte na francuski język, i to wierszami, co nie przyczyniało się do ich popularności w ściśle katolickim świecie, bo zbyt częste zajmowanie się biblijnymi studjami zawsze wzbudzało pewne podejrzenia herezyi. Ale mimo tej uczoności wybornie tańczyły i bardzo były muzykalne.

Za królowej Katarzyny zachwiała się już stanowisko błaznów, którzy jeszcze za Franciszka I. znaczną grali rolę. Teraz górował towarzyski dowcip, a »dire le mot«, powiedzieć coś, czemby można się ubawić, zapewniało autorowi przynajmniej kilkudniową popularność.

Jedną z najmiłszych, najdowcipniejszych kobiet w towarzystwie Katarzyny była pani de Seneterre, z domu Laval. Henryk III., spotkawszy ją na ślubie pana de Fontenay, rozmawiał z nią, stojąc, przeszło trzy godziny. Wyszedł jednak z przekonaniem, że woli umysł tej pani, aniżeli jej cielesne wdzięki. Miał zresztą słuszną rację, bo dowcipna Seneterre umarła na suchoty już w trzydziestym trzecim roku życia. Umierając odwiedził król Henryk, a l'Estoile utrzymuje, że wyszedł od niej ze łzami tak dużymi, jak groch. Trzeba jednak dodać, że l'Estoile tych łez nie widział.

Księżna d'Uzes, o której jużśmy wspomnieli, panowała przez długi czas w otoczeniu królowej Katarzyny, a tak się rozkoszowano jej rozumem, że ją nazwano Sybillą. Ronsard unosił się nad nią:

De cette cour l'ornement le plus beau,
Vous lui servez d'esprit et de tableau,
Comme il vous plaît la rendant animée,
Sans vous la cour fâcheuse deviendrait,
Son bien, son heur, sa grace lui faudrait.

Henryk III. pisał do Sybilli wówczas, kiedy już młodą nie była, wdową po dwóch mężach, że »młodość i piękność łączą się w twojej wiosnie. Adieu, najpiękniejsza dziewico Francyi. Kochaj mnie zawsze«.

Pomimo tych łask u Katarzyny i jej synów, księżna d'Uzes umarła w nędzy w r. 1596 w Sens en Bourgogne. Za życia jeszcze Medyceuszki prosiła królową, aby ją wsparła w jej wielkiej potrzebie. Katarzyna odpowiedziała, że sama się znaj-

duże w kłopotach pieniężnych, co po części było prawdą, bo królowa zanadto dużo wydawała; ale starej przyjaciółce przecież mogła pomóc.

Do ulubienic królowej należała za młodu panna de Vitry, późniejsza comtesse de Simier, jedna z najpiękniejszych i najdowcipniejszych, a najmniej skrupulatnych w rozdawaniu swych wdzięków pomiędzy paniami dworu Katarzyny. Admirał de Villars tak był w niej zakochany, że udając się na wojnę, w której zginął, całował bransoletkę z włosów pani de Simier. A gdy go któryś z przyjaciół trochę wysmiewał, odpowiedział Villars, że »robi to z pełni serca, wierzy w hrabinę, jak w Boga«.

W r. 1581 p. Vitry grała rolę dryady w słynnym balecie »Ballet comique de la reine«. Ubrana po starożytnemu w materję zielono-złotą, cała pokryta złocistymi bukietami, recytowała pochwały Henryka III. z niesłychanym wdziękiem. Mając lat około czterdziestu, napisała poemat w trzech pieśniach »La Madeleine« i prosiła jednego ze znajomych, aby ten utwór poetyczny dał kardynałowi du Perron do oceny. Kardynał złośliwie odpowiedział: »Powiedz jej, że prze-ybornie oddała pierwszą część życia Magdaleny«. Na starość została wielką dewotką.

W licznych zbiorowiskach kobiet i mężczyzn o swobodnych obyczajach wrzało, jak w ulu; miłość, nienawiść, ambicya, zazdrość, rywalizacya, dzieliły towarzystwo na grupy, dające często powód do krwawych spotkań u mężczyzn. Królowa bardzo lubiła amatorskie przedstawienia teatralne, a w wyborze komedyj nie była wybredna; do bardzo nieprzy-zwoitych, a przez nią ulubionych sztuk należała farsa »Le Paradis d'amour«.

Każda z tych zwanych Filles de France kobiet, należących do królewskiej rodziny, miała swój dwór, swych służących, fryzjerów, kucharzy, cukierników, nawet aptekarzy. Za dawnych czasów dwór królewski składał się po większej części z mężczyzn; dopiero Anna de Bretagne zaprowadziła ten tłum pań i panien wokoło siebie i odtąd starały się królowe, aby mieć jak największe kobiece otoczenie. Katarzynie towarzyszyło w jej podróżach po trzysta pań i panien tudzież męż-

czyn bez liku, co nie wpływało bynajmniej na umoralnienie dworu. Zakradł się także brzydki zwyczaj w arystokratycznym nawet towarzystwie przeklinania; najbrzydsze wyrazy wylatywały często z najpiękniejszych ust, jak gdyby nie było w tem nic uwłaczającego.

Charakterystyką dworu, podobnie jak za Franciszka I., było częste przenoszenie się z zamku na zamek, zmienianie miejscowości pobytu. W przeciągu dziesięciu lat przenosił się dwór delfina i jego rodzeństwa co najmniej dziewięćdziesiąt razy. Niektórzy historycy tłumaczą to koniecznością z powodu zanieczyszczenia mieszkań. Brak jakichkolwiek wyobrażeń o higienie, tłumy ludzi zgromadzonych na jednym miejscu, brak pożywienia, wody i wodociągów, wszystko to pociągało za sobą, że owe piękne renesansowe sale i komnaty po jakimś czasie pobytu dworu musiały być oczyszczane z brudu i robactwa. Bieliznę zmieniano nadzwyczaj rzadko, skoro dla całego dworu wystarczały cztery praczki. Jak mało zresztą panie potrzebowały wody do swych spraw toaletowych, dowodzi okoliczność, że na kilkaset osób istniał jeden nosiwoda, aby zaspokoić wymagania kuchni, toalet i nareszcie zadość uczynić pragnieniu, które musiało być niemałe, gdyż obżarstwo należało do zwykłych błędów tego towarzystwa. Szlachetne nosy dworzan i dworzanek musiały być bardzo zahartowane, aby znieść nieprzyjemne odory i te niesłychanie silne pachnidła, w których się lubowały ówczesne panie. Jeżeli do damy do owych perfum wyziewy czosnku i cebuli, których hojnie używano do potraw, to powietrze w królewskich komnatach musiało być bardzo ciężkie i nie dziw, że cały dwór chętnie wyrwał się do lasu.

Hartowanie nosów to jeszcze rzecz niewinna; straszniejszem jednak było przyzwyczajanie serca, uczucia do widoków, na które się dzisiaj wzdryga każda szlachetniejsza natura. Katarzyna prowadziła swoje dzieci i wychowanki na każdą egzekucyę, a osobliwie na tracenie Hugonotów, jako na widok „niebu przyjemny”. Wyrabiała się w kobietach zdziczenie uczuć, które doszło do zenitu w walkach religijno-politycznych pomiędzy katolikami a zwolennikami Kalwina. Starano się zabijać litość wrodzoną każdej szlachetnej duszy. Zresztą było

to naśladowanie hiszpańskich i angielskich zwyczajów, które się utrzymały do późniejszych czasów. W r. 1644 tracono w Londynie pięciu złodziei protestantów i dwóch katolickich księży. Na to widowisko zaproszono ambasadorów Francji, Hiszpanii, Portugalii i Wenecji. Skazańców najprzód powieszono, a następnie umarłym rozpruto ciała, rozciętowano je na cztery części, a serce i wnętrzności wrzucono do ognia.

Gdy w Paryżu za czasów Henryka II. Salcede był skazany za knowania religijne, umyślnie przystrojono pokój w ratuszu dla obojga królestwa, aby mogli dobrze się przypatrzeć, jak rozrywano biedaka czterema końmi.

Na wychowawcę swych dzieci wybrała Katarzyna ochmistrza Włocha z Florencji. Albert Gondi, który dostał się we Francji wielkich zaszczytów, został marszałkiem, pomimo że był wnukiem stolarza. Człowiek do gruntu zepsuty, udający świętoszka, kłamca, ale bardzo zręczny, chcąc się zasłużyć przysłym swoim królom, schlebiał ich namiętnościami, a za ledwie tylko chłopcy dorastali, pozwalał im wybierać kochanki pomiędzy pannami honorowemi królowej i ułatwiał te stosunki. Współcześni utrzymywali, że miał miłosny stosunek z Katarzyną, i temu przypisać należy, iż został dukiem de Retz i w „usługach” królowej zyskał 100.000 liwrow rocznej renty.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

SIOSTRZENICA GUIZÓW.

I.

Na dworze Katarzyny medycejskiej wychowywała się dziewczynka, do której należał tron Szkocyi. Była ona ściśle związana z rodziną Guizów. Matka jej, Marya de Guise, księżniczka lotaryńska, córka Klaudjusza Guise i wdowa po pierwszym mężu, Ludwiku d'Orléans, wyszła za mąż za króla Szkocyi, Jakóba V., żyła jednak z nim tylko półpięta roku. Miała dwóch synów, którzy wczesnie umarli, i córkę Maryę, urodzoną już wówczas, kiedy Jakób V. Stuart po klęsce, zadanej mu przez wojska angielskie Henryka VIII., umierał prawie w obłądzie.

Marya Guise, kobieta nadzwyczaj rozumna i dzielna, stanęła na czele katolickich lordów Szkocyi, a chcąc pokrzyżować plany króla angielskiego, zmierzające do połączenia Szkocyi z Anglią, kazała ukoronować swoją czteromiesięczną córeczkę 9. września 1545 na zamku Stirling i stanęła na czele rady rejencyjnej. Somerset, fanatyczny protestant, chciał wykonać zamiar zmarłego króla angielskiego i zaręczyć małą Maryę Stuart z przyszłym królem Anglii, młodym Edwardem VI., a ponieważ Szkoci się temu sprzeciwiali, najechał ich kraj i zagrażał niezależności królestwa. W największem niebezpieczeństwie udali się lordowie szkoccy o pomoc do Henryka II. de Valois, ofiarując malutką królowę szkocką

w małżeństwo delfinowi i w ten sposób przygotowując połączenie Szkocyi z koroną francuską.

Anglicy koniecznie chcieli dostać do rąk małą Maryę, ale matka tak ją zręcznie ukrywała, że nie mogli dopiąć swego celu. Dziecina była pod opieką kilku kobiet i dwóch katolickich księży i tak się obawiała, żeby jej nie porwano, że gdy raz pewnego kardynał Beaton wszedł do jej pokoju w swych szkarłatnych szatach, wołała, aby zabić tego Anglika, i dopiero się uspokoiła, gdy jej powiedziano, że to Szkot, przyjaciel. Dziecinie dodano do zabawy cztery małe towarzyszkę, które zwano »cztery Marye«, córki znakomitych rodzin szkockich.

Ale matka małej Stuart, Marya de Guise z obawy, aby przeciw Anglicy nie wykradli Marylki, postanowiła przewieźć ją do Francyi i zdołała to uskuteczyć w r. 1548. Piętnastego sierpnia wylądowała mała Stuart w porcie Roscoff, w Bretanii, gdzie na tę pamiątkę wybudowano później kaplicę. De Brézé przyjął dziecinę na francuskiej ziemi, a Henryk II. rozkazał, aby ją wychowywano razem z małą Elżbietą, córką królestwa. Był tak zachwycony Szkotką, iż utrzymywał, że to najbardziej udane dziecko, jakie kiedykolwiek widział, a trzeba dodać, że lubił dzieci i był dobrym ojcem. Mała Stuart szybko się rozwijała fizycznie i moralnie, a chociaż trudno przypuścić, jak utrzymywali pisarze pochlebcy, aby w piątym roku umiała po łacinie, po hiszpańsku i po włosku, to niema wątpliwości, że już w dziecinnych latach doszła do wprawy w tych językach i że później nauczyła się nawet po grecku. Miała przytem dużo talentu do muzyki, grała na lutni, harfie i szpincie, ładnie śpiewała i tańczyła z takim wdziękiem, jak żadna z jej rówieśnic.

Wogóle wychowanie całej tej gromadki dzieci królewskich było staranne; uczono je jeździć konno, strzelać z łuku, pływać, grać w tenisa, polować z sokołem, a nawet oswajając lamparty.

Nim jeszcze Marya Stuart stanęła na francuskiej ziemi, już był projekt wydania jej za najstarszego syna Henryk II. i Katarzyny, za księcia Orleanu. Późniejszy Franciszek II. urodził się jednak 19. stycznia 1544 i był trochę młod-

szym od Marylki, a nadto o wiele mniej od niej rozwinięty. Ale na takie drobnostki nie uważano w królewskich rodach. Zresztą mała Marya przywiązała się do towarzysza lat dzieciny, zwłaszcza że księżę Orleanu był wprawdzie bardzo wątpliwym, ale ładnym chłopakiem.

W r. 1550 przybyła do Francji jej matka, Marya de Guise, celem odwiedzenia córki i musiała z przykrością się przekonać, że lady Fleming, która kierowała wychowaniem Maryi Stuart, zesła z drogi cnoty na francuskim dworze i mogła zły przykład dać swej wychowawcy. Była to owa lady, której Katarzyna medycejska użyła, aby odsunąć Henryka II. od Diany, celu jednak swego nie osiągnęła. Piękną lady wyprawiono zaraz do Szkocji, gdzie wydała na świat osławionego bastarda d'Angoulême, który się tak smutnie odznaczył w nocy św. Bartłomieja. Na miejsce lekkiej lady dano Maryi za mentorkę panią de Paroy, starą i brzydką, tak, że nie zachodziła obawa, aby się mógł powtórzyć zły przykład, jaki dała panna Fleming. Pani de Paroy miała jednak inne błędy: do najwyższego stopnia niezgodna, złośliwa, plotkarka, a taka skąpa, że królowa Marya nie mogła szpilki darować jakiej przyjaciółce, aby się nie spotkać z wyrzutami swojej ochmistrzyni. Marya Stuart obawiała się, aby z powodu tej oszczędności nie nazwano jej kupiecką córką, jak Katarzynę de'Medici. Chciała się więc jak najprędzej pozbyć tej opiekunki, co zresztą nastąpiło bez przyczynienia się wychowawki, bo panna de Paroy zachorowała na wodną puchlinę i musiała opuścić młodą królową.

Wyszło to Maryi na dobre, gdyż nie potrzebując się oglądać na nudną guwernantkę, mogła więcej uczyć się i czytać, a mianowicie bardzo ją zajmowała literatura, historia i geografia. W łacinie nie doprowadziła jednak do tej doskonałości, o jakiej Brantôme opowiada, a mowę łacińską, którą w czternastym roku życia miała w Louvrze wobec zgromadzonego dworu, musiał jej kto inny ułożyć. Ale wypowiedziała ją gładko i dobrze.

Z początkiem roku 1554 została uznana za pełnoletnią, urządzono jej własny dwór, gdyż dotychczas jadała wspólnie z dziećmi królewskimi. Szkocki rząd dawał na jej utrzymanie 50.000 liwrow, co zaledwie wystarczało na toalety i na

opłacenie ośmnastu dworzan Francuzów, pomiędzy którymi był tancmistrz, dwóch kapelanów, nauczyciel, podczaszy i dwóch ochmistrzów. Młoda królowa taki miała apetyt, że się często przejadała i jak się zdaje, żołądek z tego powodu uciskał serce. Wiadomość o tem musiała dojść do matki, bo kardynał lotaryński uspokajał ją, że w tych cierpieniach serca nic niema niebezpiecznego, owszem, że »temperatura« Maryi uprawnia do przypuszczenia, że królowa będzie długo żyła.

O urodzie i zaletach charakteru Maryi Stuart doszły nas po największej części przesadne, bezkrytyczne wieści. Dwóch poetów, a mianowicie Pierre de Ronsard, za młodu paź Jakóba V., króla szkockiego, i Du Bellay, tudzież słynny Brantôme byli bezwzględnyimi jej wielbicielami, a Du Bellay streścił swe uniesienia nad młodą królową w trzech wierszach, apostrofując ją:

En votre esprit le ciel c'est surmonté,
Nature et art ont en Votre beauté
Mis tout le beau dont la beauté s'assemble

Ronsard opiewał jej kibić, jej złote włosy:

..... dont le moindre des noeuds
Dompterait une armée et ferait en la guerre,
Hors des mains des soldats tomber le fer en terre.

Otóż, aby sprawdzić piękność Maryi Stuart, mamy ważny dokument, portret jej, pędzla Franciszka Clouet, zwanego Janet'em, znajdujący się w muzeum XX. Czartoryskich. Clouet był bezsprzecznie najznakomitszym wówczas portrecistą francuskim; przedstawił on ją w młodocianych latach, kiedy mogła być najpiękniejsza, i rzeczywiście jest ładną, o bardzo miłym wyrazie twarzy, ale nie można jej porównać z pięknoscią takiej np. Julii Gonzagi, albo Joanny d'Aragona. Głowa Maryi Stuart zanadto okrągła, czoło zanadto wysokie i szerokie, całość za mało rasowa, że się tak wyrażę, a oczy i usta, chociaż piękne, zapowiadają pewną złośliwość, coby się zgadzało z prawdą, bo Marya Stuart umiała się bronić po kobiecemu.

Inny portret, także podobno tego samego Cloueta, znajdujący się w Cabinet des Estampes, w Paryżu, przedstawia

królową trochę starszą, wcale nie uroczą, jako wdowę, gdyż Marya niema tam owego wdzięku niewinności, którym się odznacza portret Czartoryskich, jest zaledwie ładna.

Królowej Elżbiecie, dążącej do złączenia Szkocyi z koroną angielską, zawadzała Marya Stuart; wszelkimi sposobami chciała się jej pozbyć, przekupiła nawet jednego ze szkockich oficerów, Roberta Stewarta, aby otrul albo zamordował młodą królową. Niecny spisek został jednak odkryty we Francyi; Henryk II. zażądał od Anglii wydania Stewarta, czego w Londynie nie odmówiono, aby odsunąć od królowej Elżbiety zbrodnicze podejrzenie. Co się ze Stwartem stało, nie wiadomo.

Zresztą zadanie tego angielskiego brava nie było tak łatwym, bo młoda królowa stała się ulubienicą francuskiego dworu, podbijała sobie serca całego otoczenia z wyjątkiem samej królowej Katarzyny, która już z tego powodu jej nie dowierzała, iż Marya Stuart była ulubienicą Diany de Poitiers i całego stronnictwa Guizów. Król Henryk II. otaczał ją jednak troskliwą opieką; obsypywano też dziewczynkę podarunkami, tak iż rzec można, że miała wówczas najszczęśliwszą młodość. W r. 1551 otrzymała szesnaście zupełnych ubrań, a nadto mnóstwo toaletowych dodatków, jak złote łańcuchy, pasy, klamry, ozdabiane emalią i drogimi kamieniami, tak dalece, że trzy kufry blaszane zaledwie mogły pomieścić te kosztowności ¹⁾).

Dwaj starsi synowie Henryka II., późniejsi królowie Franciszek II. i Karol IX., towarzysze dzieciństwa Maryi Stuart, obydwaj się w niej kochali; podczas gdy jednak Franciszek II. był jej przeznaczonym na małżonka, młodszy brat mógł tylko westchnieniami zaspakajać swą miłość. Rzecz jednak dość rzadko się zdarzająca w tych od dzieciństwa dla siebie przeznaczonych królewskich parach, że i Marya Stuart kochała się w przyszłym swym mężu, co Katarzynie medycejskiej mniej było przyjemnem, gdyż się obawiała, aby synowa nie miała większego, jak ona, wpływu na Franciszka.

Małżeństwu młodej kochającej się pary zaczęły stawać na przeszkodzie rozmaite polityczne intryki; Elżbieta i otacza-

¹⁾ Ruble A. de «La première jeunesse de Marie Stuart».

jący ją Anglicy obawiali się połączenia Szkocyi z Francją pod jedną koroną. Te intrygi skłoniły Henryka II., aby ślub delfina przyspieszyć i zawrzeć układ z wysłannikami szkockich stanów. Układy przysły niebawem do skutku, w marcu 1558, a już 19. kwietnia, w czternaście dni po ich podpisaniu mogła się odbyć uroczystość zamiany pierścionków młodej pary w Paryżu, w wielkiej sali Louvru. Po ceremonii odbył się nieodzowny wówczas bal, a 24. kwietnia zaślubiny delfina z królową Maryą Stuart w paryskiej katedrze, w obecności sześciu kardynałów, papieskiego legata i królewskiej rodziny. Według zwyczaju rozrzucali heroldzi złote i srebrne monety pomiędzy ludność wołając: »Largesse, largesse!«, aby także według zwyczaju głowy sobie robijano.

Właściwie bohaterami dnia byli duki de Guise, którzy długo nad tem pracowali, aby to małżeństwo zostało zawarte, i dzisiaj święcili swój tryumf. Bankiet ślubny odbył się w arcybiskupim pałacu, a dwaj dygnitarze musieli podtrzymywać Maryę Stuart, aby nie upadła pod ciężarem korony i klejnotów. Ronsardowi zdawało się, że tylko w niebie może się odbyć taka wspaniała uroczystość. Suknia panny młodej była białości lili, długi ogon niosły dwie panny dworu, tak piękne, iż zdawało się, że Gracye zstąpiły z niebios, aby służyć królowej Szkocyi. Państwo młodzi musieli się uzbroić w wytrwałość; następnego dnia znowu bal w Louvrze z mitologicznemi przedstawieniami. Dwanaście sztucznie zrobionych koni ciągnęło rydwany z księżniczkami, a na sześciu galerach przypłynęło na srebrzystych falach kilkunastu rycerzy, porwało księżniczki i zawiozło do Colchis, gdzie Jason ofiarował Henrykowi II. monarchię świata, a królowej Szkocyi koronę Anglii.

II.

Marzenia się nie spełniły. W lipcu 1559 umarł Henryk II., delfin został królem pod nazwą Franciszka II., a poseł wenecki pisał niebawem, że smutne to państwo, gdzie dzieci zasiały na tronie. Dzieci nie mogły się obronić przed tak przewrotną królową, jaką była Katarzyna medycejska, tem bar-

dziej, że Franciszek coraz bardziej niedomagał, a u Maryi Stuart także ukazywały się jakieś niepokojące oznaki. Raz zemdląca bez widocznego powodu i musiano ją zanieść do łóżka; mówiono, że jej małżeństwo jest tylko pozornem. Mimo to szczerze kochała Franciszka, tem bardziej, że czuła się najlepszą jego opiekunką wobec Katarzyny, a cała jej przyszłość zdawała się polegać na tym wątłym młodzieńcu.

Smutna podpora. Franciszek zawsze otwierał usta, aby móc oddychać, bo miał, jak zauważył d'Aubigné, »mal-nez«. Mówił też przez nos, a nadto cierpiał na chroniczne zapalenie ucha, wskutek czego nie dobrze słyszał. Na szerokich barkach spoczywała mała główka, jak u lalki, wogóle był milczący, smutny, poważny nad wiek.

W jesieni 1560 zachorował młody król obłożnie w Orleanie; przyzwyczajony jednak prawie od dzieciństwa do sportów, do polowań, wrywał się, jak mu tylko było lepiej, z zamku do lasów, a Marya także mu towarzyszyła, aby czuwać nad nim.

Katarzyna oczekiwała tylko chwili, kiedy będzie mogła zawładnąć rządami i zostać rejentką, gdyż przyszedł król, Karol IX. był jeszcze małoletnim. Królowa wdowa miała przeciw sobie najpotężniejsze stronnictwo Guizów, którzy korzystając z choroby Franciszka II., z wielką odwagą i stanowczością pochwycili najwyższe władze w państwie. Duc de Guise stanął na czele armii, odsunął konetabla, a kardynał oparł się na duchowieństwie i zagarnął zarząd finansów. Mieli za sobą młodą królowę i Dianę de Poitiers, której wpływu nie można było lekceważyć.

Medyceuszka starała się jeszcze za życia męża przywiązać do siebie Franciszka de Vendôme, z rodu, z którego wyszli Burboni. Franciszek zajmował wysokie stanowisko vidama de Chartres, a zbliżenie się królowej do niego miało ważne dla niej powody. Diana de Poitiers dążyła zawsze do tego celu, ażeby jedna z jej córek wyszła za mąż za członka domu królewskiego, jak mówiono, »de la maison de France«. Zwróciła uwagę na vidama; ponieważ był stosunkowo ubogim, więc zdawało się, że zechce zawrzeć rodowo niższe małżeństwo ze względu na ogromny majątek, jaki dawała swej córce w po-

sagu. Ten Bourbon był jednak zanadto dumnym, aby ofiarować swe nazwisko córce królewskiej kochanki, co tak ujęło Katarzynę, że przyciągała go do siebie wszelkimi sposobami, a mówiono nawet, że używała niemało kokieteryi, aby zdobyć sobie jego serce, zwłaszcza że zbliżenie się do widama wypadło właśnie na czas, kiedy Henryk II., po narodzeniu się ostatniego swego dziecka, prawie zupełnie porzucił królową. A widame był jednym z najbardziej pożądanym mężczyzną u pań arystokratycznego świata; przystojny, nadzwyczaj dobrze ułożony, przytem rozumny i dowcipny, mógł wybierać sobie piękności, jakie tylko zapragnął.

Nie wszyscy zresztą Bourboni tak bardzo cenili swoje nazwisko, aby się nie sprzedać za wysokie dary. Księżę de Condé przyjął majątek ziemski od pani Maréchale de Saint-André, z którą miał romans, a kilku innych z tego rodu w tenże sposób powiększyło swoje mienie.

Katarzyna, ufając jednak honorowi i przyjaźni widama, postanowiła zaraz po śmierci męża użyć go do politycznych intryg celem zawiązania stronnictwa przeciwnego Guizom. Na czele tego stronnictwa mógł stanąć tylko Kondeusz, głowa protestantów we Francyi. Bezpośrednio nie mogła się z nim znosić, aby nie zwrócić uwagi przeciwników; powierzała więc widamowi listy do księcia, w których wykazywała mu konieczność związania się przeciw Guizom. Guizowie jednak dowiedzieli się o tych knowaniach i z właściwą im odwagą obydwaj, kardynał i książę, weszli do królowej Katarzyny, nie domyślającej się, że jej zamiary zostały odkryte, i zmusili ją do podpisania nakazu uwięzienia widama w Bastylli, jako zwiazanego z protestantami i zagrażającego religii i tronowi. Katarzyna nakaz podpisała, a widame umarł w kilka miesięcy po uwięzieniu, jak utrzymywano wskutek trucizny, którą mu kazała zadać Medyceuszka, aby uzyskawszy wolność, nie zdradził jej z nim stosunku.

Guizowie nie dowierzali Katarzynie teraz jeszcze bardziej, jak poprzednio; obawiali się, aby królowa wdowa nie urządziła na młodą parę królewską jakiego zamachu. Ponieważ zaś wówczas królestwo mieszkali w zamku Saint-Germain, gdzie łatwo było wykonać na nich napad, więc kazali

Franciszka II. z małżonką przewieźć pomimo zimy do Blois, w miejsce bezpieczniejsze. Sami nawet tam zamieszkali, aby łatwiej nad nimi rozciągnąć opiekę i czuwać nad Katarzyną, która także w Blois mieszkała. Tam się odbywała walka pomiędzy rodem lotaryńskim a Walezyuszami, walka pełna dramatycznych intryg.

Guizowie wiedzieli o każdym kroku Katarzyny; panny z jej otoczenia, romansując ze stronnikami kardynała, zdradzały nawet jej myśli przed nieprzyjaciółmi, a sam kardynał, mężczyzna bardzo przystojny, koronując niejako ten kłębek intryg i podstępów, starał się o łaski Katarzyny i podobno je osiągnął. Na pozór kochankowie, a w istocie dusze sobie wrogie, grały straszną partycję, kto kogo podejdzie: Katarzyna kardynała, czy księżę Kościoła Medyceuszkę. Przeciwnicy byli godni siebie. Młoda królowa, związana z Guizami, odwdzięczała się Katarzynie, czem mogła, za nienawiść, którą ku niej wrzała Medyceuszka. Nadeszły na Katarzynę chwile upokorzeń, jakich nawet za życia męża nie doznawała nigdy od Diany. Była właściwie w więzieniu, strzeżonem przez Guizów, usunięta od wszelkiej władzy politycznej, na której jej zawsze najbardziej zależało. Oddanych sobie przyjaciół miała tylko kilku Włochów, pomiędzy nimi dwóch Gondich, Florentyńczyków, a i z tych Włochów jeden, zręczny Birago przeszedł do stronnictwa Guizów.

Kardynała zwano »Le pape Transalpin«; miał ogromną władzę w rękę, gdyż wszystkie zakony we Francyi stały za nim, jak jeden mąż, a układał się z papieżem, jak równy z równym. Bardzo wymowny, pojmujący wlot każdą sprawę w sposób zadziwiający, a nadto jeden z najznakomitszych teologów swego czasu. Szkodziła mu jednak w opinii wielka chciwość, tem bardziej, że chcąc ją zaspokoić, używał nieraz sposobów zbrodniczych. Słowom jego nie można było wierzyć, gdyż prawie nigdy nie mówił, co myślał. Przy wyjeździe Maryi Stuart do Szkocyi radził kardynał siostrzenicy, aby pozostała u niego w depozycie kosztowności i najpiękniejsze meble, gdyż w razie jakiego wypadku szkoda by była, aby te rzeczy morze pochłonęło. Marya, znając jednak chciwość swego wuja, odpowiedziała, że skoro ona naraża swe życie, to i jej rzeczy

mogą się znaleźć w niebezpieczeństwie. Obydwaj Guizowie mieli na oku tylko swe dynastyczne interesy, wszystkie inne sprawy miały dla nich drugorzędne znaczenie. To stanowiło ich wielką siłę; uważali się za spadkobierców Karolingów, niegodnie wydziedziczonych przez Walezyuszów. Duchesse de Guise była z domu panującego Estów, rodu przedewszystkiem arystokratycznego, i pogardzała Medyceuszką, kupiecką córką, parwieniuszką.

Guizowie oparli się na katolikach, królowa matka cichaczem wspierała kalwinistów, ale nie czuła się jeszcze dość silną, aby wystąpić otwarcie. Na czele stronnictwa kalwińskiego stali Bourboni, których widomą głową był książę Antoni de Vandôme, przez swoją małżonkę tytułarny król Nawarry. Hiszpanie zajęli mu wszakże większą część posiadłości, tak, że pozostało mu tylko małe Bearn i niższa Nawarra, na północ od Pireneów. Dzielna jego małżonka sprzyjała protestantom, wciągnęła go w nowy ruch religijny, tak dalece, że ten Bourbon znosił się piśmiennie z Kalwinem i bez wielkiego rozgłosu zaprowadził Reformację w Bearn. Słabego jednak charakteru, nie był zdolnym przewodzić protestanckiemu ruchowi. Brat jego Karol, kardynał-arcybiskup w Rouen, zazwyczaj zwany kardynałem de Bourbon, pozostał wiernym katolikiem, najmłodszy zaś z nich, książę Ludwik de Condé, nadzwyczaj miły w obejściu, umiejący sobie zyskiwać przyjaciół, oddany całą duszą wraz ze swoją małżonką Reformacji, utykał na nogę, przytem bardzo odważny, więc go przezwano »Intrépide bossu«.

Drugą, może jeszcze ważniejszą podporą kalwinizmu we Francji byli bracia Châtillon, synowcy potężnego connetabla. Jeden z nich, Franciszek d'Anelot, dowódzca królewskiej piechoty, drugi Kasper de Coligny, admirał floty. Ale i w parlamencie mieli już kalwiniści potężnych stronników; do najcelniejszych należeli Anne du Bourg i Du Faur, którzy jeszcze za Henryka II. stanowczo oświadczyli się za łagodnem postępowaniem z protestantami. Henryk II. kazał im wytoczyć proces i wrzucić do Bastylli. Byliby ścięci jeszcze za życia króla, gdyby nie nastąpiła jego śmierć niespodziewana. Protestanci głośno cieszyli się z wypadku na turnieju, w którym hrabia

Montgomery powalił Henryka II., ale wzrost potęgi Guizów po śmierci króla jeszcze większe na nich sprowadził prześladowanie.

Otóż gdy Guizowie prawie w więzieniu trzymali Katarzynę, postanowili gwałtownym ciosem powalić hugenotów; wydali drakońskie ustawy przeciw nowatorom, a najznakomitszych kazali pościnać albo popalić na stosach. Zaczęły się straszne egzekucye; prowadzono na śmierć nietyko mężczyzn, ale i kobiety i dzieci, a chcąc w całym społeczeństwie wywołać oburzenie na religijnych nowatorów, rozsiewano na nich rozmaite ubliżające pogłoski. Pomędzy innemi mówiono, że kalwiniści gasili światło na wieczornych swych nabożeństwach, aby najbrzydszej oddawać się rozpuście.

III.

Dwór bawił w Amboise w chwili, kiedy odkryto sprzyśiężenie protestantów, których wówczas po raz pierwszy zwano hugenotami, przeciw tyraństwu Guizów. Pod wodzą odważnego rycerza La Renaudie chcieli hugenoci napaść na zamek w Amboise i uwięzić Guizów. Napad się jednak nie udał, La Renaudie został zabity, a Guizowie postanowili zemścić się w straszny sposób na hugenotach.

Na ambonach kościelnych od Paryża do Nantes głosili księża, że w Amboise odbędzie się wielki »akt wiary«, ścięcie najwinniejszych heretyków, że król zwyciężył hugenotów. Wierni powinni odbywać pielgrzymki do siedziby królewskiej, tam wznosić modły dziękczynne do nieba, że szatan został pokonany.

Tymczasem w Amboise robiono wielkie przygotowania na tę uroczystość, budowano na placu przed królewskim zamkiem trybuny dla widzów i rzędy ławek, jak w cyrku. Trybuna, świetnie przystrojona, przytykała do samego zamku; tam mieli zasiąść królestwo, otoczeni dworem. W środku placu było podwyższenie, nakryte czarnem suknem, gdzie ustawiono tak zwany chouquet, rodzaj pnia rzeźnickiego, na którym skazani na śmierć mieli kłaść głowy pod miecz katowski. W po-

blizu umieszczono fotel, także czarno nakryty, dla urzędnika parlamentu, tak zwanego greffier, mającego odczytywać wyroki.

Ponieważ samo miasto nie mogło pomieścić tłumów ludzi, jakie przybyły z bliższych i dalszych okolic, więc podobno z 10.000 pielgrzymów nocowało na pobliskich drogach i polach.

Dzień egzekucji rozpoczął się nabożeństwem we wszystkich kościołach miasta, poczem zapelniały się trybuny, a kompania szlacheckiej gwardyi królewskiej sprowadzała skazanych i otoczyła plac wokoło. Pomiedzy skazańcami szło kilku dominikanów, którzy w ostatniej chwili starali się namówić hugenotów, aby się wyparli nauki Kalwina; ale żaden nie usłużył mnichów, a chcąc się uwolnić od nieproszonych apostołów, zaintonowali chórem psalm, ułożony przez Klemensa Marota:

Dieu, tu nous as mis a l'épreuve
Et tu nous as examinés;
Comme l'argent que l'on epreuve,
Par feu tu nous as affinés.

Członkowie królewskiej rodziny tak byli »zahartowani« na podobne widowiska, że z ciekawością spoglądali ze swojej trybuny na straszną tragedję. Podobno tylko Marya Stuart wymówiła się od udziału w krwawem »nabożeństwie«. Na króla byłyby ze strony duchowieństwa spadły gromy, gdyby nie był przytomnym aktowi religijnemu, przeszczepionemu tutaj z Hiszpanii.

Nadeszła chwila tragiczna. Greffier parlamentu zaczął głośno wywoływać nazwiska skazanych i wymieniać zbrodnię, którą każdy z nich miał popełnić. U wszystkich powtarzały się, z małemi wyjątkami, słowa: »Crime de lèse-majesté et d'attentat contre la personne du roi«. Większość protestowała, jakoby się czuła winną; ale kat nie zważał na tego rodzaju uwagi i głowy hugenotów padały, niby to na chwałę nieba, ale właściwie w interesie potęgi Guizów.

Kondeusz widział te strasne morderstwa i poprzysiągł zemstę Guizom. W miesiąc później przylepiono na jednej

z bram zamku w Amboise wiersz, którego autorstwo przypisywano Teodorowi de Bèze. Wiersz porównywał Katarzynę z biblijną Jezabel, królową Izraela, i kończył się brzydką przepowiednią, że:

Les chiens mangèrent Jésabel,
La charogne de Catherine
Sera différente en ce point,
Les chiens même n'en voudront point.

Egzekucye w Amboise nie wystarczały jeszcze Guizom; im chodziło o przewódcę kalwinistów, o Kondeusza i o jego brata, króla Nawarry, Antoniego de Bourbon. Chcieli mieć głowę Kondeusza. Celem obrad nad sprawami szerzącej się herezyi, skłoniono króla, aby zwołał Stany (Les Etats généraux) do Orleanu i zaprosił do udziału w nich księcia Kondeusza i króla Nawarry. Przyjaciele przestrzegali wprawdzie księcia, aby do Orleanu nie jechał; ale Franciszek II. zapewnił go własnoręcznem pismem, że może przybyć bez najmniejszej obawy.

Trzydziestego października stanęli król Nawarry i Condé przed bramami Orleanu. Zauważyli zaraz zimne zachowanie się dworzan; szereg piechoty »armé à blanc« oczekiwał ich, jakby nieprzyjaciół. Król Nawarry, jako księżę krwi, chciał wjechać konno na podwórze hotelu Groslet, gdzie król mieszkał; ale go tak nie wpuszczono, musiał zsiąść z konia. Gdy Kondeusz wszedł do królewskiej komnaty, gdzie się znajdowała także Katarzyna, Marya Stuart i obydwaj Guizowie, Franciszek II. przyjął go wyrzutami, że wiedział o sprzysiężeniu w Amboise, wymierzonemu przeciw koronie. Franciszek był w tej chwili tylko wykonawcą woli Guizów, którzy stojąc we framudze okna, spojrzzeniami zachęcali króla, aby nie zważając na tłumaczenie się Kondeusza, wytrwał w zamiarach, narzuconych mu przez kardynała.

Młody król chory, nie mający własnej woli, był posłusznym; złamał dane słowo i kazał uwięzić Kondeusza. Przewódca kalwinistów protestował, gdyż jako księżę krwi mógł być zasądzony tylko przez parlament w obecności króla; ale

protest na nic się nie przydał, pomimo że to uwięzienie sprawiło pomiędzy ludnością niesłychane wrażenie.

Guizowie byli coraz odważniejsi, szli dalej, a wiedząc, że Katarzyna porozumiewa się z Kondeuszem i że knowa jakiś spisek przeciwko nim, postanowili wydać edykt banicy na Katarzynę, jako działającą przeciw woli króla, przeciw interesom Francyi i odesłać ją do Florencyi. Wiedzieli, że Marya Stuart im sprzyja i że z radością zobaczy odjeżdżającą Włoszkę pod eskortą szkockiej gwardyi.

Ale panowie de Guise nie liczyli się z rosnącą coraz bardziej opozycją przeciw nim. Ród Bourbonów połączył się teraz szybko z rodem Colignich wobec grożącego niebezpieczeństwa, a do nich należał Anne de Montmorency, jeden z najbardziej poważanych ludzi, gdyż odwrócił najazd Karola V. na Prowancję.

Guizowie postanowili działać szybko, z całą energią. Kazali już urządzić trybunę, na której Kondeusz miał być ścięty, wyprawili nawet króla na polowanie do lasów w Chenonceaux i w Chambord; ale właśnie, gdy Franciszk II. przed wyjazdem wychodził z kościoła z niesporów, uczył się chorym i musiał zaniechać myśliwskiej wyprawy.

Choroba gwałtownie postępowała; w mózgu młodego króla potworzyły się wrzody, leżał w najwyższej gorączce lub najzupelniejszem osłabieniu.

Biedni ówczesni królowie musieli umierać w towarzystwie dygnitarzy i licznego grona osób, które czekały z upragnieniem na ich ostatnie tchnienie. Franciszek II. cierpiał straszne boleści, materya wychodziła uchem, ratunku nie było. W ogromnem łożu znikąca jego mała, zawiązana twarz. W komnacie dużo ludzi; Marya Stuart szczerze bolała nad mężem, którego kochała; Katarzyna nigdy do tego syna nie była przywiązana, całą swą macierzyńską miłość przeniosła na trzeciego syna, na księcia d'Alençon, późniejszego Henryka III. Jak najprędsza śmierć Franciszka II. była jej pożądaną, bo wszystko już było przygotowane, aby zaraz po skonie króla ogłosiła się rejentką i pozbyła wpływu znenawidzonej synowej.

Lekarzy było pięciu przy łożu umierającego; Ambroży Paré, najznakomitszy chirurg we Francyi, który wydoskona-

lił trepanację czaszki, sądził, że wszelkie zastrzykiwania rozmaitych mikstur do ucha na nic się nie przydadzą, że tylko trepanacja może uratować życie chorego. Katarzyna zaprotestowała przeciw temu, aby głowę jej syna łupano, jak deskę, a do jej zdania przyłączyło się kilku książąt krwi. Król czując, że umiera, ślubował Matce Boskiej De Cléry, namówiony przez kardynała de Lorraine, że jeżeli wyzdrowieje, będzie tępił hugenotów bez miłosierdzia. Ale ślubu tego nie mógł już dotrzymać. Wkrótce bowiem chory wydał ostatnie tchnienie (5. grudnia 1560), walka pomiędzy matką a synową się skończyła. Otworzono podwoje do sali, gdzie było mnóstwo zgromadzonej szlachty; wielki mistrz stanął na progu i zawołał »Le roi est mort!« — »Vive le roi Charles IX«, odpowiedziały głosy, wtajemniczone w zamiary Katarzyny, która w kilka godzin później zwołała radę koronną i kazała dziesięcioletniemu Karolowi IX. oddać sobie rejencyę. Stało się to przeciw woli Guizów, którzy wprawdzie przyznawali jej zaszczyty winne królowej, ale odmawiali władzy.

Cały Orlean zajęty był intrygami rozmaitych stronnictw; przyjaciele to Katarzyny, to domu Bourbonów, to Guizów walczyli ze sobą namową i groźbą, tak dalece, że zapomniano o ciele zmarłego i tylko biskup z Senlis z dwoma szlachcicami zajęli się zwłokami i zawieźli je w skromnym przykrytym wozie bez pompy do Saint-Denis. Serce Franciszka II. włożono do ołowianej puszki i przechowano w katedrze w Orleanie.

Poeta Ronsard pożegnał go rzewnym czterowierszem, będącym zarazem najwyższem pochlebstwem dla Maryi Stuart:

Ah! frère mien, tu ne dois faire plainte,
De quoi ta vie en sa fleur s'est éteinte!
Avoir joui d'une telle beauté,
Sein contre sein, valait la royauté!

Hugenoci natomiast śpiewali:

De jour en jour, et d'an en an venant,
Chantons de Dieu la seule et grande bonté,
Qui, à ce jour, osta ceste cité
A l'ennemy furieux, et dessignant
La faire proye à toute cruauté.

Kalwin brutalnie powiedział: »Bóg, który raził ojca w oko, raził syna w ucho«.

W kilka dni po śmierci Franciszka II. kazała Katarzyna uwolnić z więzienia Kondeusza, który wyjechał do Pikardyi, gdzie miał pozostać aż do zupełnego usprawiedliwienia się z czynionych mu zarzutów.

IV.

Przez czterdzieści dni mieszkała Marya Stuart w pokoju »ciemnym, jak grób«, obitym czarnym sukniem, oświetlonym tylko jedną lampą. Ubrana była w białe suknie, w kolor, znamionujący najcięższą żałobę w królewskiej rodzinie. Obok boleści po mężu ciążyły nad nią stosunki w Szkocyi. Protestantyzm się tam wznagał, na czele »Stanów« stali: Knox, zawzięty reformator, Maitland of Lithington, zwolennik angielskiego a przeciwnik francuskiego przymierza, tudzież lord Stuart, przyrodni brat Maryi, którego Knox chciał mieć królem, ponieważ był kalwinistą.

Stany wysłały do Maryi lorda Stuarta, aby wy badał jej zamiary co do rządów Szkocyi, a mianowicie, jakie stanowisko zamierzałyby zająć wobec protestantów. Młoda wdowa była jednak może więcej zajęta swą przyszłością, aniżeli polityką. Jeszcze Franciszek II. nie umarł, a już starano się o jej rękę. Lord Darnley i earl of Arran, dwaj członkowie rodu Stuartów, mieli nadzieję, że z jej ręką osiągną tron szkocki; ale silniejszym od nich pretendentem był piętnastoletni don Carlos infant hiszpański, syn Filipa II., którego popierał kardynał de Lorraine w interesie katolickiego świata i swej własnej rodziny. Katarzyna była jednak przeciwną temu związkowi, wzmacniającemu potęgę Guizów i bezzwłocznie ofiarowała dla infanta swoją najmłodszą córkę, Margueritę de Valois.

Ciągłe intrygi, tyżące się jej osoby, dokuczliwości Katarzyny skłoniły Maryę Stuart do opuszczenia Orleanu, gdzie dwór przebywał, i przeniesienia się do Fontainebleau, z którym ją wiązały wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa. Ba-

wiła tam jednak tylko krótki czas; gdy bowiem przybyła Katarzyna do Fontainebleau, Marya Stuart przeniosła się czemprędzej do Reims, gdzie ją z radością przyjęli wujowie, kardynał de Lorraine, księżęta de Guise i d'Aumale, tudzież markiz d'Elbeuf. Podczas pobytu pomiędzy rodziną było jeszcze dwóch pretendentów do jej ręki, jeden z synów cesarza i król duński.

Tymczasem jednak przybyła tam deputacya katolickich Szkotów z prośbą, aby powróciła do kraju i wzmocniła katolickie stronnictwo. Katarzyna rada była jak najprędzej pozbyć się tej synowej, o której mówiła, że »tej małej królowej szkockiej wystarcza pokazać się, aby pozyskać serca«. Robiła też wszelkie ułatwienia, aby umożliwić jej powrót do Szkocyi i móc uprawiać swoją dwulicową politykę, którą Sainte-Beuve nazwał »système continuel do bascule«. Trudności ze Szkotami z powodu intryg Elżbiety angielskiej były niemałe, ale nareszcie 14. sierpnia 1561 postanowiła Marya Stuart wyjechać z Calais, gdzie ją oczekiwały dwie szkockie galery. Wyjazd z Francyi był dla niej nadzwyczaj ciężki, pomimo że jeszcze miała wokoło siebie szczerych przyjaciół. Czuli, że najszcześniejsze czasy w jej życiu minęły. Towarzyszył jej Brantôme, któremu zawdzięczamy opis jej odjazdu, płakał za nią Ron-sard, dla którego Marya Stuart była królewską muzą, a żal swój wyraził w pięknej, rzewnie odczutej strofie:

Le jour que vostre voile aux vents se courba,
Et de nos yeux pleurans les vostres desroba,
Ce jour, la mesme voile emporta loin de France
Les muses qui souvoient y faire demeurance.

.....
Tout ce qui est beau ne se garde longtemps,
Les roses et les lis ne règnent qu'un printemps:
Ainsi vostre beauté, seulement apparue
Quinze ans en notre France, est soudain disparue.

Przy wyjeździe Maryi Stuart nie obeszło się bez smutnych zapowiedzi. W chwili, kiedy królowa wchodziła na pokład okrętu, silny prąd morza przewrócił barkę i sześciu majtków, zapatrzonych w odjeżdżającą, utonęło w falach.

— Ach! — mój Boże — zawołała — jaka straszna zapowiedź! — i rozplakała się, zwracając wzrok ku ukochanym brzegom, które powoli znikwały.

Kilka godzin stała oparta o burtę galery, a wieczór każała postawić swe łóżko na pokładzie, aby skoro świt, mogła jeszcze zobaczyć Francję. I gdy po raz ostatni zarysowały się mgliste brzegi, zawołała »Adieu, France, adieu France, je pense ne vous revoir jamais plus«.

Po pięciu dniach przeprawy wylądowała w Leith, w Szkocyi, aby rozpocząć tragiczne życie.

Elżbieta wysłała flotę, która miała młodej królowej zastąpić drogę do Szkocyi; ale Guizowie musieli się dowiedzieć o złych zamiarach Angielki i polecili kapitanom galer szkockich, aby płynęły jak najdalej na wschód.

V.

Tak zwana »Conjuration d'Amboise« (w marcu 1560), której duszą był książę de Condé, a wykonawcą lekkomyślny La Renaudie, stała się początkiem wojny pamfletów, które tuzinami zaczęły wychodzić. Już w r. 1559 oświadczył z dumą kardynał lotaryński na zgromadzeniu w Fontainebleau, że ma na stole dwadzieścia dwa piśmideł skierowanych przeciw niemu, które uważa za największy honor, gdyż widzi, że publiczność bardzo się nim zajmuje.

Pamflety odegrały nadzwyczaj ważną rolę w literaturze XVI. wieku. Uważać je można za początki dziennikarstwa; ukazywały się, ilekroć jakieś ważne zdarzenie poruszyło opinię publiczną. Ponieważ zaś wówczas we Francyi co chwila było coś do powiedzenia, więc cała powódź pamfletów rozlewała się nad społeczeństwem. Pamflet robił może większe wrażenie na umysły, aniżeli gazeta, pojawiał się bowiem niespodziewanie i odbijał wybuchy chwilowych namiętności. Stronictwa walczyły ze sobą pamfletami; z jednej strony hugenoci, z drugiej katolicy.

Pomiędzy pismami, które ukazywały się jeszcze za panowania Franciszka II., należał do najgłośniejszych pamflet pod tytułem »Epitre au Tigre de la France«. Autorem był słynny prawnik, protestant Hotman, a pamflet zwracał się do kardynała lotaryńskiego w stylu, trochę zapożyczonym ze słynnej mowy Cycerona przeciw Katylinie. »Ty, wściekły tygrysie — wołał Hotman do kardynała — żmijo zatruta, grobie obrzydliwości, sztandarze nieszczęść! — jak długo będziesz nadużywał młodości naszego króla! Czyż nigdy nie założysz wędzidla twej bezgranicznej ambicji, twym oszukańczym zabiegom, twym kradzieżom? Czyż nie widzisz, że cały świat zna cię dobrze i wie o twoich zbrodniczych działaniach? Sądzisz, że zdołasz ukryć swe obrzydliwe zamiary, że publiczność nie czyta na twojej twarzy, że jesteś nieszczęściem dni naszych, ruiną królestwa i że zabijasz naszego króla? Religii chrześcijańskiej używasz jako maski, mającej osłaniać twe szalbierstwa; posługujesz się nią w swym handlu biskupstwami i prebendami. Każdą świętość potrafisz skalać, każdą niewinność zbeszcześcić; nic niema dobrego na świecie, czegobyś nie zepsuł.«

Właściwego autora tego pamfletu nie zdołał kardynał wykryć pomimo najściślejszych poszukiwań; zemścił się więc na biednym księgarzu w Rouen: skazał go na śmierć, ponieważ w jego składzie znaleziono kilka egzemplarzy tej broszury.

Mniej namiętnem, ale głębszem pismem przeciw kardynałowi był pamflet pod tytułem: »Supplication et remontrance adressée au roi de Navarre et autres princes du sang de France pour la delivrance du roi et du royaume«. Autorstwo tej broszury przypisywano p. Régnier de la Planche. Autor dowodził na podstawie faktów historycznych, że książęta lotaryńscy doszli do władzy, usuwając od panowania książąt krwi, zasłaniając się protekcją młodej królowej, Maryi Stuart, ich siostrzenicy. Wyrzuca Guizom bezprzykładną chciwość, straszne okrucieństwa, niezrozumiałą nawet bezczelność. »Jesteś, kardynale — apostrofuje Karola Guize — czerwienisz od naszej krwi, dałeś nam swego brata Franciszka jako drugiego króla pod nazwą de lieutenant général!«

Podobnych pamfletów było bez liku, a we wszystkich przebija jeszcze uszanowanie dla prawowitego monarchy. Autorzy wypuszczają swe jadowite strzały przeciw uzurpatorom władzy, którymi są na razie Guizowie, a przede wszystkim zniechęcony kardynał Charles de Lorraine. Régner de la Planche powiada, że gwałtowne i nielegalne rządy Guizów wywołały straszną nienawiść przeciw nim i obudziły francuską szlachtę z głębokiego snu.

Była to już zapowiedź wojen religijnych.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

KAROL IX.

I.

Dziesięcioletni Karol IX. sypiał jeszcze w pokoju matki. Królowa Katarzyna ciągle chciała go mieć przy sobie, aby nie dopuścić działania na niego obcych wpływów. Wyrobiła się w nim wskutek tego taka bojaźń przed matką, taki brak samodzielności, że później nawet, w nader stanowczych chwilach, zupełnie jej ulegał. A był to chłopak zazwyczaj łagodny, ale czasem tak gwałtowny, że prócz matki nikt go uspokoić nie potrafił.

Wychowywał się w nienajlepszej szkole, pomimo że Henryk II. wyznaczył mu jako wychowawcę p. Sipierre, którego Brantôme bardzo chwali jako człowieka gładkiego, bez fałszu i udawania, otwartego w sercu i mowie, dzielnego wodza. Natomiast uczył się księżę Orleanu (Karol IX.) od Katarzyny hipokryzyi, intryg i mściwości, od otoczenia, składającego się z ludzi do gruntu zepsutych, z pochlebców i włoskich oszustów, wszelkich złych skłonności i pogardy dla społeczeństwa. Jedynym świetlanym błyskiem tej młodości była chłopcę, niewinna miłość do kuzynki, do Maryi Stuart, i połączona z łowiectwem namiętność do przyrody i do zwierząt.

W czternastym roku życia, 17. sierpnia 1563, ogłoszono go pełnoletnim; był chudy, blady, o żółtych oczach, orlim nosie, już wcześniej trochę pochylony, zapowiadający piersiowe

cierpienia. Wydobywszy się raz z matczynej sypialni, chciał żyć, używać, być silnym. Ze złego towarzystwa dworzan i służby leśnej wyniósł brzydki zwyczaj przeklinania, zwyczaj zresztą wówczas powszechny u francuskiej arystokracji. Zamiłowanie myśliwstwa rozwinęło się u niego w górującą namiętność; Katarzyna była szczęśliwa, bo mogła prawie samowładnie rządzić, podczas gdy król uganiał za grubą zwierzyną. Podyktował nawet traktat pod tytułem »*Traité de la chasse au cerf*« swemu sekretarzowi, Mikołajowi de Neufville¹⁾, którego jednak z powodu śmierci nie dokończył, a kilku autorów poświęciło mu książki o łowiectwie. Katarzyna przestraszyła się nareszcie, że nadużywanie sił może bardzo źle wpłynąć na zdrowie króla; namówiła więc dworskiego kapelana, aby przedstawił mu możliwe niebezpieczeństwa tych bezustannych łowów, ale było zapóźno; zapamiętały myśliwy umiał zbijać twierdzenia księdza Sorbin — i nie dał się przekonać, iż ruch i jazda konna mu szkodzą, namiętnie więc dalej polował. Nawet ładne kobiety u dworu starały się namówić go do spokojniejszego życia, wyrzucały królowi, że daleko mu milsze psy, aniżeli piękne oczy; ale to wszystko nic nie pomagało. Z oszczędnością w rękę szedł odważnie na dzika, a raz nawet o mało że go odynieć niebezpiecznie nie zranił.

Umysł jego tak ciągle był zajęty myśliwstwem, że często przez sen swe psy nawoływał. Psom też poświęcił kilka rozdziałów w rozprawie o myśliwstwie: jakiemi właściwościami różnią się od siebie psy czarne, siwe lub białe greffiers, jak je hodować, jak żywić matki i t. d.

To bezustanne mordowanie zwierząt wyrobiło w nim prawdziwie rzeźnicze instynkty; chcąc okazać swą siłę i zęczość, ścinał czasem karki osłom, które napotkał na drodze, a w zabijaniu świń tak był sprawnym, że potrafił rozplatać wieprza, jak pomocnik rzeźnicki. Raz napadła go kwiozercza fantazyja, aby własnoręcznie zabić muła, będącego własnością

¹⁾ Henri Chevreul wydał nowy przedruk tej rozprawy pod tytułem »*La chasse royale*«, composée par le roy Charles IX. Paris. 1858. Jedyną ilustracją królewskiej rozprawy, mającej do dziś dnia bardzo zajmować myśliwych, są podobizny łajna jeleniego.

jednego z jego ulubieńców, pana de Lanssac, z którym jechał na polowanie.

— Ależ, arcykatolicki królu — zapytał go ironicznie Lanssac — jakaś sprzeczka mogła zajść pomiędzy Tobą a moim mułem?

Król się trochę zawstydził tem zapytaniem i darował życie biednemu zwierzęciu.

Okrucieństwo sprawiało mu rozkosz, pragnął rozlewu krwi.

Jeżeli król Karol IX. nie polował, to grał w piłkę albo w balon, ujeżdżał konie, a że był wybornym kowalem, więc kuł podkowy, robił stalowe pancerze, klucze, zamki do arkebuzów i pistoletów lub naśladował monety i medale. Czasami bił trzy do czterech godzin ogromnym młotem i szczyił się przed dworzanami, że się nie zmęczył. Rozumiał się na laniu dział, ujeżdżał konie, wogóle namiętnie lubił sporty wszelkiego rodzaju i w fizycznym umęczeniu zdawał się mieć przyjemność; to też czasami przepędzał na koniu dwanaście do czterech godzin bez wypoczynku. Aby dogodzić swej ślusarskiej namiętności, miał jedną kuźnię w Louvrze, a drugą w zamku Amboise; tak mu też wskutek tych rzemiosł skóra na rękach zgrubiała, że gdy podał dłoń, to zdawało się, że się ma z kowalem do czynienia.

W tym dziwnym organizmie panowały same sprzeczności; pomimo instynktów okrucieństwa nadzwyczaj lubił muzykę, grał na lutni, umiał przedziwne tony wydobywać z rogu myśliwskiego, pięknie śpiewał, czasami nawet szedł na chór w kościele, pisał poezye, a wieczór chętnie gromadził około siebie najcelniejszych literatów i poetów i rozprawiał z nimi o starożytnej kulturze i o rozwoju języka francuskiego.

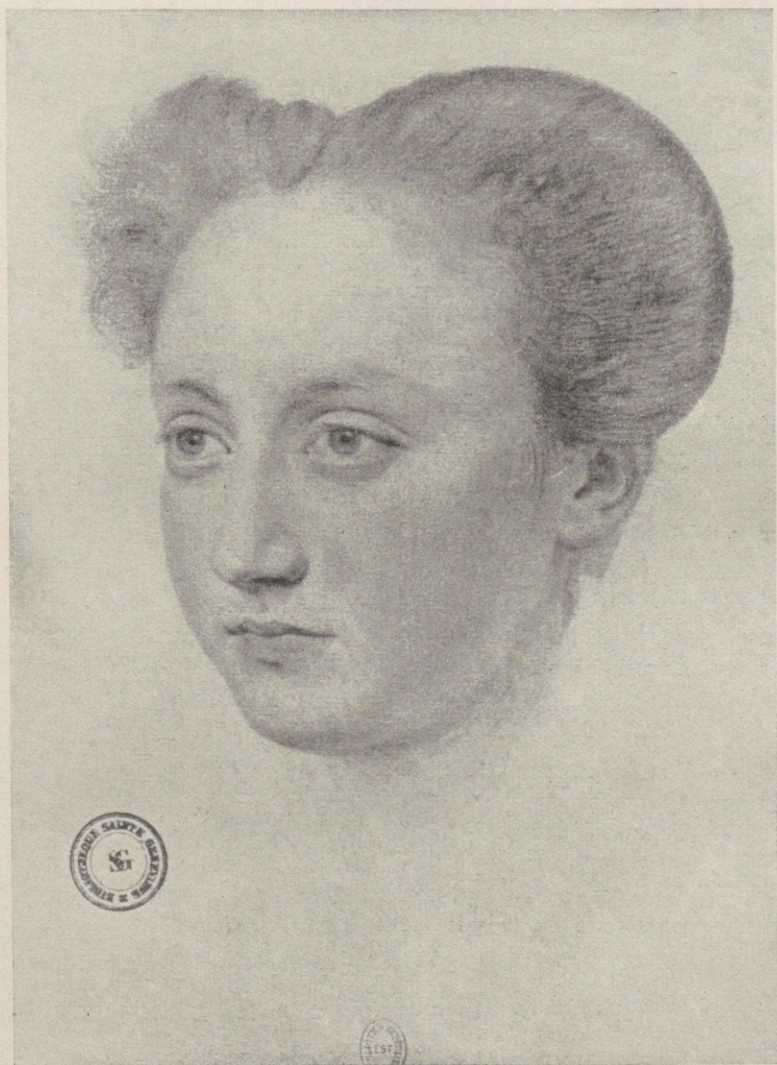
Gdy król polował, Katarzyna rządziła i przedewszystkiem starała się pogodzić owe dwa stronnictwa religijno-polityczne: hugenotów i katolików, które po śmierci Franciszka II. jeszcze bardziej rozdzierały Francję. Sądziła, że porozumienie w rzeczach religii może nastąpić na pewnego rodzaju synodzie i w tej mierze starała się porozumieć z Kalwinem, który z Genewy kierował całym reformatorskim ruchem. Zamiary królowej doszły do wiadomości Guizów, którzy chcąc zając

tem silniejsze stanowisko, połączyli się z konnetablem Montmorencym i marszałkiem de Saint-André przeciw Katarzynie i utworzyli tak nazwany tryumwirat. Przeciwnie, Katarzyna przybrała sobie do pomocy króla Antoniego z Nawarry, człowieka o bardzo słabym charakterze, który miał jednak bezpośrednie stosunki z genewskim papieżem, z Kalwinem.

Gdyby reforma religijna była weszła do Francji, jako luteranizm, byłaby miała daleko większe powodzenie i kto wie, czyby Francja nie stanęła w dziejach obok innych państw protestanckich, obok Niemiec i Anglii. Ale pojęcia Kalwina najzupełniej nie odpowiadały żywości charakteru Francuzów i tak zwana genewska morderie stała się im wkrótce wstrętną. Kalwin, fanatyk i teoretyk do najwyższego stopnia, chciał z Genewy, a niemal z całego świata zrobić wielki klasztor. Zaprowadził zwyczaje surowe, skromno-mieszczanckie, niesłychanie smutne, kazał się ubierać w ciemne, jednostajne suknie, w rodzaj religijno-więziennej liberyi, gardził zupełnie sztuką, pozwalał tylko w cichości zbierać pieniądze i nie miał nic przeciwko temu, aby jedzono dobrze, ale nie wystawnie. Przytem despota w rodzaju późniejszego Robespiera, stworzył społeczeństwo pełne hypokryzyi, ponure, które nie mogło się podobać żywemu narodowi. Że jednak hugenotyzm mimo tej morderie potrafił się tak szybko rozszerzać we Francji, zawdzięczał to tylko politycznym stosunkom, a przedewszystkiem zakorzenionym błędom w duchowieństwie i na królewskim dworze. Duchowieństwu zarzucano wielką ignorancję, pompę, gdy chodziło o działanie na zmysły ludności, sybarytyzm, a przeciwnie, skąpstwo wobec bliźniego. Większość klas arystokratycznych lgnęła do Reformacyi, widziała w niej oparcie przeciw coraz bardziej rozwielniającej się władzy królewskiej. Za dawniejszych królów był stosunek panów francuskich do monarchy trochę podobny do stosunku szlachty polskiej do króla. Magnat francuski wchodził do królewskiego zamku bez wszelkich ceremonij, uważał się prawie za równego z panującym; za Franciszka I. i Henryka II. rzeczy się bardzo zmieniły, a Katarzyna medycejska zaprowadziła etykietę, która oburzała szlachtę. Dość powiedzieć, że connetable Anne de Montmorency z trudnością tylko, ze względu na swój wiek

podeszły, otrzymał pozwolenie wjeżdżania na koniu na podwórze Louvru. Marszałek de Retz ofiarował odźwiernemu gabinetu Henryka III. tysiąc talarów, aby mógł mówić z królem w godzinach, kiedy nie miał prawa do audyencji. Feudalizm tracił swe podstawy, więc arystokracja starała się reformatorstwem działać przeciw władzy królewskiej. Kalwinizm był jeszcze otoczony świeżą aureolą cnoty i bogobojności, które można było przeciwstawić rozpucie i zepsuciu, szerzącemu się na królewskim dworze. Dlatego też najwięksi feudalni panowie, jak Bourboni, Kondeusze, Rohany, duki de La Trémouille, de La Rochefoucauld, des Duras, des Gramonts i wiele innych rodów stało się zwolennikami Reformacji. Słynny akt »Association des seigneurs réformés« podpisało cztery tysiące szlachty, należącej do najstarszych rodów Francji.

Podczas gdy Katarzyna troszczyła się o politykę, a raczej o walki pomiędzy Guizami a Kondeuszem, Karol IX. oprócz łowów miał jeszcze inne zajęcia. W Orleanie poznał Maryę Touchet, córkę Jana Touchet, radcy królewskiego, którego rodzina zajmowała pośrednie stanowisko pomiędzy mieszczaństwem a niższą szlachtą. Marya była ładna, typ raczej flamandzki, aniżeli francuski, okrągła twarz, jasne włosy, pleć nadzwyczaj biała, płynęło bowiem w niej trochę krwi flamandzkiej, gdyż matka jej, Marya Mathys, pochodziła z kupieckiej rodziny we Flandryi. Francuscy powieściopisarze, jak starszy Dumas, Balzac i Prosper Mérimée zrobili z Maryi Touchet idealną postać, poetyczną, nie pragnącą zaszczytów, ani bogactw, całem swem jestestwem oddaną Karolowi IX. Tak jednak nie było; nim ją król poznał, miała już miłosny stosunek z Franciszkiem Balsac d'Entragues, wysokim dygnitarzem w Orleanie, który zerwała, aby się oddać królowi. Katarzyna protegowała ten romans, gdyż ani stanowisko rodzinne Maryi, ani charakter nie mogły krzyżować jej wpływów na syna. Co więcej, Katarzyna tak dalece była zadowolona z tego stosunku, że gdy Marya Touchet powiła syna, królowa wystarała się, aby parlament zezwolił na przyznanie wnukowi nazwiska hrabi d' Auvergne, obiecała zapisać mu w testamencie hrabstwo d'Auvergne i Lauraguais. Darowiźnie tej sprzeciwiła



Marie Touchet.



się później Marguerita, królowa Navarry, a parlament ją unieważnił. Ażeby ułatwić Karolowi IX. widywanie się z Maryą Touchet, darowała jej Katarzyna dobra Belleville w pobliżu Vincennes, gdzie królewska kochanka mieszkała, gdy Karol IX. z powodu polowań bawił w tamtejszym zamku.

Troskliwa matka rozpatrywała się tymczasem po panujących rodach, aby obok kochanki miał król także ślubną małżonkę. U cesarza Maksymiliana II. wychowywały się dwie córki, pierwszorzędne »partye«; Katarzyna zwróciła się więc do Wiednia, gdzie starszą arcyksiężniczkę, Annę, przeznaczono już na królowę Francyi, a drugą Elżbietę, ulubienicę cesarza, na małżonkę Don Carlosa, infanta Hiszpanii. Don Carlos zginął jednak tragiczną śmiercią, a i druga małżonka Filipa II., Elżbieta de Valois, wkrótce potem umarła, jak powszechnie mówiono, otruta. Filip starał się wskutek tego o rękę arcyksiężniczki Anny. Cesarz przystał na poświęcenie córki Filipowi, wskutek czego Katarzyna francuska bardzo się obraziła i cofnęła instrukcye, dane swemu ambasadorowi w Wiedniu, mające na celu swatanie. Wkrótce jednak namyśliła się inaczej, a zręczny biskup z Reims nawiązał znowu stosunki z rodziną cesarską i doprowadził do tego, że młodsza arcyksiężniczka, Elżbieta, została przyrzeczoną na małżonkę Karola IX. Na dworze wiedeńskim panowały wówczas mody i zwyczaje hiszpańskie, zwłaszcza że cesarzowa Marya była Hiszpanką; arcyksiężniczka Elżbieta lepiej mówiła po hiszpańsku, aniżeli po francusku, ale to nie przeszkadzało zamierzonemu związkowi z królem francuskim.

Posel Katarzyny przywiózł przyszłej królowej francuskiej portret jedenastoletniego Karola IX., pędzla Cloueta, na którym młody król wyglądał bardzo sympatycznie, a panowie hiszpańscy, którzy go niedawno widzieli w Bayonne, podczas zjazdu zmarłej królowej Elżbiety z dworem francuskim, nie mogli wyjść z podziwu, jaką zręczność i odwagę okazywał w zabawach rycerskich i jak wysoką się odznaczał kulturą umysłową. Arcyksiężniczka Elżbieta była sympatyczną postacią, blondyna, średniego wzrostu, o nadzwyczaj łagodnym wyrazie twarzy. Cokolwiek szpeciła ją dolna warga, naprzód podana, odznaka austriackiego domu. Wargi te mają bardzo dawną

przeszłość i sięgała aż do duków Burgundyi. Gdy raz królowa Eleonora, siostra Karola V., a małżonka Franciszka I., przybyła do Dijon, pragnęła zobaczyć groby swych przodków, duków Burgundyi, znajdujące się w tamtejszej kartuzie. Kazała sobie nawet otworzyć niektóre trumny i ze zdziwieniem spostrzegła u kilku praocjów wystającą dolną szczękę. »Myślałam, zauważyła, że nasza charakterystyczna warga jest spuścizną rodu austriackiego, a teraz widzę, że ten znak pochodzi od duków burgundzkich. Muszę to powiedzieć memu bratu, cesarzowi«.

Ale ta warga u młodej małżonki Karola IX. jeszcze bardzo nieznacznie odbijała od świeżej, rumianej twarzy; Elżbieta bowiem nigdy się nie pudrowała, była więc w tej mierze wyjątkiem od powszechnego zwyczaju.

Wkrótce po przybyciu do Francyi stała się Elżbieta ulubienicą całego dworu. Brantôme i inni współcześni podnoszą jej wielką dobroć i religijność; ale Brantôme dodaje, że nie była bynajmniej bigotką »une paternostrière«. Gdy później bawiła jeszcze jako wdowa we Francyi, kazała swej pokojowej sypiać w tej samej, co ona, komnacie; aby jednak służąca nie wiedziała, jak długo królowa się modli, zasuwiała bardzo szczerlnie ciężką kotarę przy łóżku, nie chciała bowiem uchodzić za nabożnicę »na pokaz«.

Mimo wszelakich cnót Elżbiety i mimo, że się do rządów nie mieszała, nie mogła Katarzyna jej znosić, a ta nienawiść matki męzowskiej jeszcze się wzmogła, gdy Elżbieta poвила córkę, a nie syna. Wtedy dokuczała jej na wszelki sposób i lekceważyła ją. Przed ślubem z Elżbietą zerwał Karol IX. swój stosunek z Maryą Touchet, ale Katarzyna, obawiając się, aby prawowita małżonka nie miała na niego zanadto wielkiego wpływu, rozmaitemi intrygami doprowadziła do tego, że król odnowił swój stosunek z dawniejszą przyjaciółką. Elżbieta, pomimo gnębiącej ją zazdrości, bo męża kochała, niczem nie okazywała swego strapienia i sądziła, że łagodnością przezwycięży wszelkie trudności. To się jednak nie na wiele przydało. Karol IX. coraz bardziej przywiązywał się do Maryi, która nad nim zapanowała.

II.

Ten człowiek, który cały dzień w lesie lub kuźni przepędzał, miał swoje literackie i poetyckie zachcianki. Zgromadzał wieczór u siebie uczonych i poetów, do których należał Ronsard, rozmawiał z nimi o literaturze, słuchał ich poezyj lub popisywał się własnymi wierszykami. A bywał czasem dowcipnym. Jemu to przypisują czterowiersz, charakteryzujący zgubny wpływ Guizów:

François I-er prèdit ce point,
 Que ceux de la maison Guise
 Mettraient ses enfans en pourpoint
 Et son pauvre peuple en chemise.

Osobliwie lubił Ronsarda, prawie się z nim nie rozłączał, zwłaszcza że ten poeta był także znakomitym myśliwym, cenił jego talent i uważał go za najbardziej wpływową osobistość literacką za swoich rządów. Pod wielu względami Ronsard na to zasługiwał; żelazną wytrwałością i pokonaniem wielkich trudności dostał się na Parnas. Z dobrej szlacheckiej rodziny w Vendôme, chciał się w młodości poświęcić rycerskiemu rzemiosłu, został paziem duka d'Orléans, z którym podróżował do Anglii, Szkocji i do Włoch; ale w osmnastym roku życia ogłuchł, a nie mogąc być dworzaniem, postanowił zostać — poetą. Wtedy właśnie zajmował się cały świat literacki we Francji Joachimem du Bellay, siostrzeńcem kardynała Jana, który napisał głośną rozprawę: »Défence et Illustration de la langue française«. Książka ta powierzchowna, pełna deklamacji, nie zasługiwała na wielki rozgłos, ale uderzała w strunę, którą już Rabelais poruszył, wykształcenie języka francuskiego. Tylko że Rabelais zamierzał stworzyć piśmienny język rdzenie francuski, a du Bellay tylko w starożytnej Iliadzie i Eneidzie widział zbawienie; błagał więc »Feba-Apollina, ażeby Francya wydała poetę, którego lutnia zagłuszyłaby ochryple rogi myśliwski!«

Młody Ronsard wziął sobie to wezwanie do serca, zaczął rabować starożytnych poetów i zapragnął zamienić Francję

w drugą Helladę. Wytrwałą pracą przyswoił sobie nadzwyczaj gładką formę wiersza, piękny język, ale do wysokości prawdziwej poezji rzadko tylko wznosić się potrafił, bo się nie urodził poetą. Wówczas jednak wszystko, co się tylko zbliżało formą do starożytnych pisarzy, uważanem było za ideał, który można naśladować, ale osiągnąć nikt go nie zdoła. Forma i dźwięk wierszy Ronsarda zachwycały całą Francję, a osobliwie towarzystwo na królewskim dworze. Już Henryk II. a następnie Karol IX. obsypywali go pensjami i beneficjami, a Marya Stuart marzyła tylko o Ronsardzie. W r. 1525, po smutnej bitwie pod Pawią, dziękowano Opatrzności, że za doznaną klęskę na włoskich polach wynagrodziła Francję wielkim poetą — Ronsardem. Głuchy bard stał się bóstwem, zasiadł na Olimpie, a że taki Apollo potrzebował muz choćby w męskich postaciach, więc Ronsard wraz z erudytem, poetą Janem Daurat stworzył słynną Plejadę, składającą się z siedmiu towarzyszy, z siedmiu gwiazd, mających rzucać swe światło na całą Francję.

Byli to poeci, o których się dzisiaj nie wie: Jean Daurat, Amadis Jamyn, du Bellay, Remi Belleau, Jodelle i Pontus Thyard. Owa plejada stała się głośną, bo chciała stworzyć nową poezję, zapomnieć zupełnie o literackiej przeszłości narodowej. Dla Ronsarda przestały istnieć średnie wieki, trzeba było zerwać z francuskimi tradycjami, wymazać z pamięci tę chwałę średniowiecznej literatury z końca XI. wieku, pieśń Rolanda (Chanson de Roland), zawierającą piękności, mogące zupełnie równać się co do siły opowiadania z najpiękniejszymi ustępami Iliady. Trzeba było stworzyć nowy język dworski, walezyuszowski. Ronsard też nienawidził Rabelais'go, bo autor Pantagruela wysmiewał się z tych wielkich autorów, którzy uważają sobie za uchybienie mówić i pisać tak, jak mówią i piszą rodowici Francuzi. Po śmierci też Rabelais'go napisał Ronsard epitafium, pełne brzydkich obelg, mówił o zmarłym jako o gburze i pijaku, który nie zasłużył sobie na pamięć narodu.

Ronsard był ulubieńcem króla i kardynała de Lorraine, więc plejada miała uznanie najpotężniejszego towarzystwa. Dzisiaj trudno nam zrozumieć ten zachwyt, bo już we dwa-

dzieścia lat po śmierci »wielkiego poety« nikt o nim nie mówił. Do sławy Ronsarda i to się niemało przyczyniło, że należał do stronnictwa katolickiego i że wszechwładny kardynał bardzo go popierał. Stał się też wrogiem hugenotów. Raz chciał się przecież przekonać, czego ci reformatorzy nauczają, i poszedł na kazanie Teodora de Bèze; ale z powodu swej głuchoty nic nie słyszał, więc wyszedł z najgorszym wyobrażeniem o protestanckim kaznodziejstwie. Był on zresztą zapamiętałym pochlebcą-dworzaninem, tylko to, co się z dworem łączyło, miało dla niego urok, a duchessy i księżne nastrajały jego lutnię. Jeżeli ktoś z literatów śmiał chodzić temi samemi drogami, miał już w Ronsardzie zawziętego wroga. Poetycką swą karierę chciał ukoronować wielkim poematem pod tytułem »La Franciade«. Przedwczesna śmierć jego dobroczyńcy i przyjaciela, Karola IX., tak go dotknęła, że dzieła swego nie dokończył. Napisał też:

Si le Roy Charles eust vescu,
 J'eusse achevé ce long ouvrage;
 Si tost que la mort l'eust vaincu,
 La mort me vainquit le courage.

Dzisiaj z ośmiu tomów poezyi Ronsarda prawie nic nie zostało; raz tylko zapomniał o dworze królewskim, o starożytnych klasykach, raz tylko wypowiedział po prostu wrażenie, jakie na niego zrobiła młoda kobieta, i te kilkanaście wierszy Francya dotąd pamięta:

Mignonne, allons voir si la rose,
 Qui ce matin avait esclose
 Sa robe de pourpre au soleil,
 A point perdu cette vesprée
 Les plis de sa robe pourprée
 Et son teint au vôtre pareil.

Las! voyez comme en peu d'espace,
 Mignonne, elle a dessus la place,
 Las, las, ses beautes laissé choir!
 O vraiment marâtre nature,
 Puis qu'une telle fleur ne dure
 Que du matin jusque au soir!

Donc, si vous me croyez, mignonne,
 Tandis que votre âge fleuronne
 En sa plus verte nouveauté
 Cueillez, cueillez votre jeunesse:
 Comme à cette fleur, la vieillesse
 Fera ternir votre beauté.

Ronsard rad był jak najszczerzej przedłużać swą młodość; przeszło czterdziestoletni, już posiwiał, chory na podagrę i prawie ogluchły, zapamiętałe zaczął się kochać w panie Helenie de Surgères. Na szczęście dla poety Helena była wyznawczynią zasad Platona i nic od niego nie żądała, jak tylko być jego muzą. Ronsard też i panna de Surgères zaprzyjęli sobie wierną miłość przy stole, ubranym w wawrzyny, w symbol wieczności, bo miłość czy przyjaźń, wynikająca z cnoty, jest nieśmiertelną. Wskutek tego platonizmu nazywano Helenę »la docte de la cour«; ale poecie bardzo zawadzała ta filozofia wstrzemięźliwości. Zaczął też do swej muzy pisać sonety, które stopniowały palące go płomienie. Doszedł do stu sonetów, ale platonicznych zasad Heleny nie przewyciężył. Cały dwór królewski zajmował się tym romansem, a Katarzyna i Karol IX. prosili poetę, aby im czytał każdy nowy wiersz, zwrócony do skamieniałego serca panny de Surgères.

Wreszcie zdobył się na wyrzuty, na rodzaj gróźb, że Helena na starość pożałuje swojego platonizmu.

Quand vous serez vieille, au soir, à la chandelle,
 Assise auprès du feu, devidant et filant,
 Direz, chantant mes vers en vous esmerveillant:
 Ronsard me célébrait du temps que j'étais belle.
 Lors vous n'aurez servante oyant telle nouvelle,
 Déjà sous le labeur a demi someillant,
 Qui au bruit de mon nom ne s'aïlle réveillant
 Benissant votre nom de louange immortelle.
 Je serai sous la terre, et, fantome sans os,
 Par les ombres myrteux je prendrai mon repos:
 Vous serez au foyer une vieille accroupie,
 Regrettant mon amour et votre fier dédain.
 Vivez, si m'en croyez, n'attendez à demain:
 Cueillez des aujourd'hui les roses de la vie!...

Jeden z poetów, także zamiłowanych w starożytnym świecie, Baif, przyszedł do przekonania, że poezja jest nierozłączną z muzyką, że tylko lutnia może ożywić wiersze i dać im odpowiednią siłę. Ronsard już pisał niektóre ze swych poezyj w takich wierszach, aby mogły być śpiewane przez ówczesnych najznakomitszych muzyków, jak Orlande, Jeannequin; sonety i ody drukowano już z nutami do muzyki. Baif i jego przyjaciel, Thibaut de Courville, przedłożyli w r. 1570 Karolowi IX. statuty »de L'Académie de poésie et de musique«, które muzyczny król z przyjemnością zatwierdził. Do akademii należeli zrazu poeci, muzycy i dziesięciu wirtuozów na instrumentach muzycznych, których zwano chantres. Przyjaciele tej korporacji i zaproszona publiczność miała, jako bilety wstępu na przedstawienia, medale z dewizą akademii.

Karol IX. tak wtedy wysoko cenił artystów, że pisał do Ronsarda:

L'art de faire des vers, dût-on s'en indigner,
Doit estre a plus haut prix que celui de regner.
Tout deux egalement nous portons de couronnes,
Mai Roy, je les receus; poète, tu les donnes.

Akademia spotkała się z opozycją, a mianowicie kilku radców parlamentu sądziło, że ta nowa instytucja przyczyni się do rozpieszczenia i zepsucia młodzieży. Ale poparcie króla uratowało instytucję; prawie wszyscy poeci dawnej Plejady przystąpili do akademii. Zadaniem jej było także kształcić język francuski, kierować literaturą dramatyczną i zaprowadzić w teatrze choreografię starożytną. Grano sztuki, zatwierdzone przez akademię, w Hotel de Guise, w Luwrze, gdzie Katarzyna medycejska otworzyła teatr. Nie pozwalała jednak grać w swej obecności tragedyi, ponieważ w r. 1559, w roku śmierci Henryka II. przedstawiano Sophonisbę Trissina, przetłumaczoną z włoskiego przez Saint-Gelais'a. Nadto musiano wykluczyć te starożytne sztuki, które mogły obrazić przyzwoitość.

Tragedya Saint-Barthelemy przerwała czynność Akademii, która, jak zobaczymy, powstała na nowo dopiero za Henryka III.

III.

Zamiłowanie do medali, do portretów z brązu zbliżyło Karola IX. do najznakomitszego francuskiego portrecisty XVI. wieku, do Franciszka Clouet. Nazwisko Clouetów panuje nad malarstwem francuskim prawie przez sto lat, od 1480 do 1572; była to rodzina pochodząca z Flandryi, która w znacznej części przeszczepiła do Francyi sposób malowania wielkiego van Eyck'a. W XV. wieku ludność takiego Bruges i Gand była co do charakteru, obyczajów i polityki bardziej może pokrewną Francuzom, aniżeli Bretania i Guyenne, które wkrótce zostaną złączone z Francją i zlały się z nią najzupełniej. Artysci malarze w znacznej części byli łącznikami pomiędzy flamandzką a północno-francuską narodowością.

O pierwszym Clouecie, który prawdopodobnie w Tours się osiedlił, prawie nic nie wiemy. Miał on imię Jean, a syn jego, urodzony około 1485, także się nazywał Jehan i malował portrety według ojcowskich tradycyj. Zwano go także zdrobniałem imieniem Jehannet albo Janet, jako syna Jana. Franciszek I. dawał mu zajęcia na swym dworze, a od r. 1523 nazywają go już w rachunkach królewskich »*peintre et valet de chambre ordinaire du roy*«. Był on w tym dworskim urzędzie następcą Jehana Bourdichona, o którym jużemy wspomnieli. Chłubił się, że jest artystycznym potomkiem van Eyck'a, i był znakomitym portrecistą. Syn jego, zwany także Janetem, François Clouet, ożeniony z Joanną Boucault, córką złotnika w Tours, szedł drogami, wytyczonemi przez ojca i dziada, i nie poddał się wpływowi włoskim Rossa i Primaticcia, którzy panowali w Fontainebleau. Zresztą w czasie, kiedy Franciszek Clouet około r. 1535 najbardziej był czynnym, urok włoskiego malarstwa zaczął już błędąć.

Było w zwyczaju, że w przygotowaniach do pogrzebów monarszych wielką rolę odgrywały wizerunki, robione z malowanego wosku, które wystawiano przy katafalkach, aby przypominały obecnym w kościele postać zmarłego króla. Otóż François-Janet robił już taki portret Franciszka I., a we dwa lata później pracował nad podobną przysługą dla pamięci

Henryka II., którego powalił kopią Montgomery. Te woskowe portrety były prawdziwymi dziełami sztuki, jak sądzić można z pośmiertnego popiersia Henryka IV., przechowanego w zbiorach w Chantilly, pomimo, że ten biust nie dorównywał pracom Cloueta.

François Clouet umarł 22. września 1572; zastąpił go u dworu inny malarz, Jean de Coust, artysta mniejszej już wagi. Ronsard równie, jak Karol IX., bardzo cenił Franciszka Cloueta i ułożył nawet w r. 1560 poezję, w której mu poleca zrobienie portretu uwielbianej przez siebie kobiety, może tej samej piękności, do której się odnosi wiersz, powyżej przytoczony. W wierszu do Cloueta opisał Ronsard z taką dokładnością ową uroczą kobietę, że artysta mógł niejako z tego opisu wymalować żądany portret. Clouet pomimo lat pięćdziesięciu był w pełnej sile swego talentu, a Ronsard w trzydziestym roku życia mógł pałać gorącą miłością.

Z powodu, że aż trzech było Clouetów, z których każdy się podpisywał Jean i z których każdy mniej więcej w tej samej żył malarskiej tradycji, powstało później wielkie zamieszanie. Nie wiedziano, komu przysądzić pewne portrety, i dopiero w nowszych czasach krytyczne prace francuskie starały się jakie takie rzucić światło na prace każdego z tych artystów. Rzecz jednak tem trudniejsza, że Clouetowie utworzyli szkołę i mieli mnóstwo naśladowców.

Dzięki jednak portretom Karola IX., które François Clouet malował, aby je przesłać królewskiej narzeczonej, Elżbiecie austriackiej, mamy kilka jego prac, o których autentyczności wątpić nie można. Austrya posiadała trzy takie portrety, z których jeden wskutek wojen napoleońskich został w r. 1809 własnością Louvru, a dwa powróciły na miejsce, gdzie były przeznaczone, do Wiednia. Portrety te mniej więcej zgadzają się z opisami postaci Karola IX., jakie nam historia przekazała; każdy z nich musi mieć jednak pewne braki co do podobieństwa, bo Katarzyna medycejska, zobaczywszy szkic Cloueta do wiedeńskiego portretu, wyraziła się, że żaden artysta nie uniał oddać wyrazu twarzy jej syna, co zresztą bardzo jest możliwem, bo wyraz twarzy Karola IX. często się zmie-

niał i bardzo zależał od chwilowego usposobienia nerwowego i gwałtownego króla.

Clouet malował także małżonkę Karola IX., arcyksiężniczkę austriacką, a portret ten, przechowany w Louvrze, bardziej zbliżał się do prawdy, czemu się dziwić nie można, bo spokojna, łagodna kobieta nie podlegała tym wybuchom namiętności, właściwym Karolowi IX. Król nazywał ją »la sainte«, a ponieważ mężczyźni zazwyczaj święte kobiety bardzo szanują, a w mniej świętych się kochają, więc i Karol IX. wolał przebywać u Maryi Touchet, jak u spokojnej Elżbiety. Pani Touchet zresztą znała mężczyzn; gdy jej bowiem pokazano portret Elżbiety, dobrze mu się przypatrzwszy, powiedziała: »Tej Niemki się nie boję«.

Touchet czarowała mężczyzn swą naturalnością, swym urokiem. Gdy Henryk, król Nawarry, był raz u niej w odwiedziny, wspomniał Karol IX., że jego szwagier umie z wielką łatwością układać nawet z nazwisk anagramy. »Ale z mojego nazwiska nie potrafi nic ułożyć«, zauważyła Touchet. — »I owszem«, odrzekł Henryk po chwilce namysłu, »Je charme tout«. Wdzięk, który roztaczała, znalazł się nawet w jej nazwisku. Marya Touchet nie była zresztą skończoną pięknoscią, jak wogóle ówczesne Francuzki, ale właśnie ten »charme« zdobywał jej serca. Po śmierci Karola IX. wyszła za mąż za Franciszka de Balsac d'Entraigues i miała z nim córkę, słynną z piękności markizę de Verneuil, kochankę Henryka IV. Po śmierci Henryka zniknęła Marie Touchet z głośnego świata francuskiego, żyła jednak do r. 1638.

Istnieje jej portrecik, kredką robiony (crayon), który przypisują Janowi de Court, malarzowi, zajętemu na dworach Karola IX. i Henryka III. Okrągła twarzyczka, dużo wdzięku, piękne oczy i usta, zresztą nic uderzającego.

Cloueci w wysokim stopniu rozwinęli rysowane portrety, które Francuzi krótko nazwali »crayons«. Duże zbiory tych rysunków zachowały się w Cabinet des Estampes Biblioteki Narodowej w Paryżu, w Musée Condé w Chantilly i w innych paryskich bibliotekach. Stanowią one nieoceniony skarb ikonograficzny do historii kultury XVI. wieku we Francji. Les

crayons były rysowane czarną kredką, ale po większej części uwydatniano je lekką barwą. Ponieważ zastępowały olejne portrety lub miniatury, a były łatwiejsze do nabycia, więc doszły do wielkiej popularności. Artyści rysowali zazwyczaj pierwszy egzemplarz portretu à vif, mając żywy model przed sobą, a z tego dopiero robili kopię w miarę, jak u nich zamawiano te portreciki. W r. 1552 pisała królowa Katarzyna do pani d'Humieres, aby kazała odportretować jej dzieci i królową szkocką; żeby zaś portrety były śpiesznie zrobione, trzeba je zamówić »au crayon«. Podobnie Henryk II. donosił żonie, że widział takie portrety swych dzieci i że się przekonał, że są zdrowe »Dieu mercy«. Do dziś dnia przechowały się crayony Karola IX. i Elżbiety Austryaczki w Cabinet des Estampes, a robione podług nich portrety olejne w Luvrze.

Moda tych crayons przetrwała cały wiek XVI.

Obok Clouetów do najznakomitszych portrecistów ówczesnych należał Corneille de Lyon, jak się zdaje, także artysta pochodzenia flamandzkiego. Gdy Katarzyna bawiła w r. 1564 w Lyonie, zwiedziła ze swoim dworem pracownię Corneilla, gdzie z wielkiem zadowoleniem przypatrywała się portretom skromnego mistrza. Znalazła tam mnóstwo crayonów osób z jej otoczenia, robionych za pierwszego jej pobytu w Lyonie w r. 1548. Najbardziej zabawił królowę jej własny portret w toalecie z przed szesnastu lat. Widocznie ubiory kobiece bardzo się w tym czasie zmieniły, gdyż królowa zdziwiła się, że się wtedy tak ubierała. Mało dotąd rysunków Corneilla mogło być z wszelką pewnością jemu przypisanych; ale musiał on należeć do najznakomitszych portrecistów, gdyż jeszcze w r. 1544 poeta Eustoige de Beaulieu unosi się nad tem, że jego portrety przedstawiają znajomych, jak gdyby żyli.

Pour bien tirer un personnage au vif,
Ung peintre dit Corneille est alloué,
Et de plusieurs estimé et loué
N'avoir en France aucun comparatif.

Wogóle tych »ołówkowych« artystów było w XVI. w. we Francji bardzo wielu, a wystawa portretów, którą Biblioteka Narodowa w Paryżu urządziła w r. 1907, nie mało się

przyczyniła do ich rozpoznania. Crayony z epoki Jana Cloueta odznaczają się jeszcze pewną trzeźwością rysunku, podczas gdy niektóre portrety Franciszka Cloueta są prawdziwie mistrzowskimi dziełami. Do takich dziwnie udanych prac należy portret Marguerity de Valois (La reine Margot), jako młodej panienki, którą w reprodukcji tutaj podajemy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

ORLEAN.

Za rządów Karola IX., a raczej Katarzyny de'Medici, reforma religijna już się tak rozwinęła, takiej nabrała siły, że hugenoci przez chwilę zamierzali założyć swą stolicę w samym Paryżu i wyrugować stamtąd katolicyzm. Wkrótce jednak przekonali się, że Paryż ze swoim arcykatolickim uniwersytem, z mieszczaństwem oddanem Kościołowi, i ostatecznie z siedzibą dworu był jeszcze za trudnym do moralnego i materialnego zdobycia. Postanowili więc twierdzę nowej religii założyć w Orleanie. Miasto to, leżące nad Loarą, w okolicy, gdzie mnóstwo potężnej szlachty było zwolennikami nowej nauki, gdzie młodzież tamtejszego uniwersytetu, składająca się w znacznej części z Niemców, otwarcie przyłgnęła do reformacyi, a stronnictwo hugenotów jeszcze za Franciszka II. bardzo spotęgniało, nadawało się w ich mniemaniu najlepiej na ognisko nowej nauki. Zresztą Orlean miał mocne obronne mury, w razie oblężenia łatwo dał się zaprowiantować wodną drogą przez Loarę i mógł centralnem swem położeniem współzawodniczyć z Paryżem.

Książę Condé był już uznaną głową hugenotów, Guizowie zaś starali się jak najprędzej zmiążyć znienawidzonych wyznawców nauki Kalwina. W r. 1562 Franciszek Guise, przejeżdżając z dwustu zbrojnymi przez miasteczko Vassy w Champanii, popadł w zatarg z tamtejszą gminą protestancką, zbraną w domu bożym, i kazał znaczną część hugenotów wymordo-

wać. Gdy się wiadomość o tem rozeszła w Paryżu, przyjęto Guiza z okrzykami radości; wszyscy protestanci musieli miasto opuścić, lud był przeciwko nim. Coligny w porozumieniu z innymi znakomitymi hugenotami żądał od królowej przykładnego ukarania »morderców ludzkiego rodu«; Katarzyna jednak nie chciała na razie stanowczo wystąpić przeciw katolikom, pomimo że sympatyzowała z protestantami. Obawiała się Guizów i wyjechała do Fontainebleau. Tymczasem Condé szybko zajął Orlean i ufundował tam niejako stolicę hugenotów.

Królowa, przerażona widmem wojny domowej, starała się doprowadzić stronnictwa do zgody, ale wzajemne nienawiści zanadto już wrzały. Miasto Orlean stało się drugą Genewą. Rano i wieczór słyhać było śpiew poważnych psalmów po ulicach; wszelka rozpusta surowo była karana, nie grano w kości ani karty, żołnierzom zakazano wdawać się z kobietami. Ale takie klasztorne życie nie podobało się wojsku Kondeusza; sfanatyzowane tłumy rade były rabować katolickie kościoły, wyganiać mnichów i zakonnice z klasztorów. Condé spostrzegł raz jakiegoś protestanta, jak wydrapawszy się nad portal katolickiej świątyni, rozbijał kamienną statuetkę; rozgniewany tem barbarzyństwem wódz hugenotów chwycił za arkebuz i chciał go zastrzelić, ale ów ikonoklasta szybko się zwrócił ku Konduszowi, prosząc, aby się wstrzymał z wystrzałem: »Tylko chwilę cierpliwości, zawołał, dopóki nie zniszczę tego bożyszczka; potem mogę umrzeć, jeżeli się Wam podoba«. Na takie »dictum« nie było odpowiedzi; Condé odłożył broń.

Rozpoczęła się walka bezwzględna, pełna okrucieństw z jednej i z drugiej strony, jak wszelkie walki religijne. Niebawem przybrał Orlean zupełnie protestancki charakter. Każda rodzina, która się opierała władzom hugenotów, musiała wynieść się z miasta. Jeden ze szczerych patryotów francuskich, Estienne Pasquier, pisał wtedy z rozpaczą do przyjaciela: »Gdzie hugenot jest panem, niszczy wszystkie obrazy, burzy grobowce i pomniki, wynosi kosztowności z kościołów. Przeciwnie, katolik zabija, morduje, topi hugenotów, tak, że rzeki są pełne ciał protestanckich«. Banda protestanckich żołnierzy nie uszanowała nawet królewskich grobów. W Cléry otwo-



Gaspard de Coligny.

☆ A. S. G. ☆
Bibliothèque de la Ville de Paris

rzyli hugenoci grobowiec Ludwika XI. i Charlotty sabaudzkiej, a nie znalazłszy tam żadnych kosztowności, powyrzucali zawartość trumien i bawili się kośćcami króla Ludwika, jakby piłkami. Poczem rozpalili ognisko, wrzucili tam królewskie szczątki i śpiewali nad nimi jakąś popularną piosenkę.

W ciągu tych walk i okrucieństw ponieśli hugenoci kilkakrotnie dotkliwe porażki, co zachęciło króla i parlament paryski do groźnego wystąpienia przeciw reformatorom, gdyż nie zdawali się już mieć dość siły, aby się władzy opierać. W r. 1562 kazał parlament powiesić na placu des Halles w Paryżu kilku przewodców hugenotów; ale ta niesprawiedliwość do tego stopnia ich rozgoryczyła, że się zwrócili o pomoc do protestanckich książąt niemieckich, a królowej angielskiej sprzedali Havre i potwierdzili jej mniemane prawa do Calais.

Katarzyna dokładała wszelkich starań, aby doprowadzić stronnictwa do porozumienia, a nawet mimo kataru i wielkiego zimna przybyła do Gentilly, aby ułatwić układy. Ale narazie wszelkie jej starania na nic się nie przydały; pomiędzy katolikami a hugenotami przyszło 19. grudnia 1562 do starcia pod Dreux, do jednej z najkrwawszych bitew owych czasów. Królewskimi dowodził Franciszek Guise, a było ich dwanaście tysięcy, połowa Szwajcarów, Niemców i Hiszpanów, a połowa Francuzów; Hugenoci mieli 8.000 niemieckich lanc-knechtów i rajtarów, a 5.000 Francuzów. Guise głównie z pomocą Szwajcarów zwyciężył i wziął wodza hugenotów, księcia Condeusza, do niewoli.

Po uwięzieniu Condeusza został Coligny widomą głową hugenotów, człowiek wielkiej prawości, który w nieszczęściu stawał się potężniejszym charakterem, aniżeli w czasach powodzenia. Po klęsce pod Dreux starał się też zebrać nowe wojsko; ale zwycięski Guise szedł na Orlean, aby, jak mówił, »zburzyć tę jaskinię, gdzie się lisy pochowały«. Prosił nawet króla, aby mu nie brał za złe, jeżeli tam pomorduje wszystko, co żyje, aż do psów i kotów, miasto zniszczy i solą posypie. Ale Orleanu bronił jeden z najdzielniejszych wodzów protestanckich, d'Andelot, który, pomimo że chory na febrę, odpierał ataki królewskiego wojska.

Zresztą pogroźki Guiza się nie spełniły; srogi wódz woj-

ska katolickiego jechał konno siedemnastego lutego do swego mieszkania w okolicy Orleanu, w pobliżu Saint-Hilaire, w otoczeniu niewielu wojskowych, gdy niespodziewanie z poza płotu ktoś strzelił do niego z pistoletu i znikł w ciemnościach zapadającej nocy. Trzy kule utkwiły w ramieniu Guiza; zrazu zdawało się, że rany nie są śmiertelne, ale zapewne źle je zaoopatrzono, gdyż bohater z pod Dreux umarł w tydzień później.

Wrażenie w całej Francji było ogromne, wszak Guise był największą podporą katolików i od czasu, jak wydarł Anglikom Calais, stał się narodowym bohaterem. Ciało złożono na łożu, przykrytem białym adamaszkiem, bo to był ulubiony kolor Franciszka, wojsko katolickie rozpaczało, a przeciwnie hugenoci cieszyli się i śpiewali jakąś piosnkę na nutę, która później służyła do słynnej piosnki de Marlborough.

Morderstwo Guiza przeraziło Katarzynę; obawiała się podobnych zamachów na swoich synów, podwoiła więc starania, aby zawrzeć pokój pomiędzy katolikami a hugenotami. W tym celu urządziła zjazd connetabla z księciem de Condé, którego dotąd więziono w Amboise. Dwaj przeciwnicy spotkali się na wyspie Loary, zwanej l'île au Boeuf, pod fioletowym namiotem, ozdobionym kwiatem lili.

Zadanie nie było łatwe, bo hugenoci, ośmieleni śmiercią swego największego wroga, zaczęli znowu głowy podnosić, a nawet pod Orleanem zbliżyli się do katolickiego obozu, przynieśli portrety papieża i sześciu kardynałów, obrzucali je kamieniami, a nareszcie powiesili je wśród ohydnych przekleństw.

Wytrwałym staraniom jednak królowej Katarzyny udało się doprowadzić do układu pokojowego, zwanego edyktem d'Amboise. W poniedziałek 29. marca 1563 sześciu trębaczy ogłosiło ten ważny akt, którego podstawą było przyznanie wolności sumienia hugenotom. Katolicy byli niezadowoleni z edyktu, a i hugenoci wymyślali na Kondeusza, że się dał nakłonić do tego pokoju »perfumowanym oddechem panien honorowych królowej Katarzyny«.

Aby niejako uświęcić ową zgodę, wjechała Katarzyna pierwszego kwietnia do Orleanu w towarzystwie księcia Kondeusza i kardynała de Bourbon; miejscowi dygnitarze przynie-

śli jej wino i owoce, a królowa, odjeżdżając jeszcze tego samego dnia wieczorem, pozostawiła buntownicze miasto pod opieką nowego gubernatora, Philiberta de Mareilly, sieura de Simpierra, który tam zaprowadził porządek i administrację, jak gdyby już zapowiedź rządów Henryka IV.

Karol IX. z matką wjechał do Orleanu 26. kwietnia, chcąc niejako ukoronować zgodę stronnictw i działanie Simpierra. Po dwóch dniach opuścił jednak miasto.

Z początkiem roku 1564 chciał Karol IX. zaprowadzić i w Paryżu ład na wzór Orleanu, na podstawie równouprawnienia protestantów z katolikami; król wogóle lekceważył różnice religijne i pod tym względem był jeszcze bardzo wolnomyślnym. Ale w Paryżu szło trudniej, jak w Orleanie, bo tam całe mieszczaństwo było skrajnie katolickie. Na pozór kraj uspokojono, ale u jednych zawiść i gniew, u drugich niedowierzanie istniało dalej, chociaż chwilowo ukryte.

Orlean był spokojny; trzydziestu konnych halabardzistów i dwudziestu pieszych uzbrojonych w halabardy i korde-lasy utrzymywało publiczność w porządku. Ale wkrótce miał spaść na Orlean cios niespodziewany; rząd przecież nie do-wierzał miastu. Na wniosek Simpierra rozkazał Karol IX., aby tamtejsze fortyfikacje zostały zburzone, a mimo próśb i oporu ludności, plan ten przeprowadzono. Orlean przestał być miej-scem obronnem i główną stolicą, oparciem hugenotów. Pro-
testanci przenieśli się do la Rochelle, do miasta, które z na-tury już było fortecą prawie niezdobytą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

NOC ŚW. BARTŁOMIEJA.

I.

W sierpniu 1568 królowa Katarzyna bawiła dłużej w Metz i rozmawiała raz z posłem hiszpańskim, don Frances de Alava o tem, że wyrok na Egmonta i Horna w Brukseli został wykonany. Alava wyrzucał królowej, że armia francuska za nadto biernie zachowuje się wobec hugenotów, którzy mają czas do organizowania swych zastępów. Katarzyna dała do zrozumienia posłowi, że w tej chwili nie ma dość sił, aby ich wytepić.

— Jak niema sił — odpowiedział usłużny uczeń Filipa II. — to trzeba użyć innych środków.

— Jakich?

— A więc, jeżeli królowa wymaga rady, to mojem zdaniem powinno się zarządzić »la sonaria«, jak się mówi we Włoszech, i kazać zamordować admirała Colignego, La Rochefoucaulta i Grammonta. Przed trzema dniami ofiarowałem pięćdziesiąt tysięcy talarów temu, ktoby usunął admirała i dwadzieścia albo trzydzieści tysięcy temu, ktoby zgładził La Rochefoucaulta. Myśleliśmy już o tem przed siedmiu laty, ale ci, którzy przeszkadzali wykonaniu tego projektu, dzisiaj żalują...

Gdy w r. 1571 Coligny miał przyjechać do Blois, Filip II., dowiedziawszy się o tem, pisał własnoręcznie do swego posła

we Francyi, że zapewne w tem zaproszeniu na dwór królewski »jest zamiar skończenia z tym obrzydliwym człowiekiem, coby było aktem wielkiej zasługi i rzeczą honoru!«

Dworzanie musieli się domyślać tych knowań Filipa II. z Katarzyną; gdy bowiem p. de Montpensier spotkał raz wieczorem na platformie zamku w Blois Colignego, nie mógł się powstrzymać, aby go nie przestrzec przed grożącym mu niebezpieczeństwem.

— Jakżeż mało dbasz o swoje życie — zagadnął Montpensier Colignego — że tak samotnie tutaj się przechadzasz. Czyż nie wiesz, z jakimi ludźmi masz do czynienia? Gdyby ci co złego się stało, powiedzianoby tylko, że byłeś nieostrożnym.

Admirał podziękował za przestrogę i odrzekł tylko:

— Przecież jestem w domu naszego króla...

— Tak, ale w domu, w którym król nie zawsze jest panem.

Hiszpanie rządzą się we Francyi, jak w swoim kraju, »w imię religii«; Katarzyna to ich popierała, to intrygowała przeciw nim, stosownie do chwilowych widoków. Karol IX. sympatyzował z hugenotami, a od czasu, jak pojął za żonę Elżbietę Austryaczkę, starał się być samym sobą i zrzucić pęta, które nań matka nakładała. Zresztą Francuzi nie mogli już znieść tego ciągłego mieszania się Filipa II. do ich spraw wewnętrznych. Zrozumiał to Karol IX. i sądził, że nienawiść ku Hiszpanom może być tym pomostem, który połączy hugenotów i katolików we Francyi do wspólnego działania.

Karol był jednak za mało doświadczonym, aby bez pomocy starszego, zaufanego człowieka zdążyć do tego celu; postanowił więc przybrać sobie admirała Colignego, człowieka wielkiej prawości, który pomimo że przywodził hugenotom, bardzo był poważany i w katolickiem społeczeństwie.

Przyjaciele admirała odradzali mu tego zbliżenia do króla, wiedzieli bowiem, że Katarzyna nie zniesie nikogo, kto by obok niej miał przeważny wpływ na króla, a Karol IX. zanadto zawsze ulegał matce i zresztą na jego gwałtowny, chwilowym porywom ulegający charakter liczyć nie było można.

Coligny jednak sądził, że swoim spokojem dużo dla kraju

może zrobić, i przyjął niebezpieczne stanowisko. Był on rozumnym dyplomata, a przede wszystkim obywatelem, miłującym ojczyznę. Chciał, aby kraj zapomniał o bratobójczych wojnach, i zwrócił się tam, gdzie państwo mogło czerpać swe siły. Pragnął stworzyć armię, w którejby tak katolicy, jak hugenoci, połączyli się pod hasłem królewskim i zadali Hiszpanii, która ciężyla nad Francją i nad całą Europą, cios śmiertelny. Cios ten można jej było wtedy zadać we Flandryi a zarazem zagoić rany Francji. Poparcie miał u stronnictwa umiarkowanego Montmorency, L'Hopitala, przeciw sobie ultra-katolików, Włochów, jak Gondi, Biragi i takich skrajnych, jak Tavanne i Montluc.

Karol IX. miał wtedy dwadzieścia dwa lat; wysoki, szczupły, o cienkich nogach i bladej cerze, ważniejszymi sprawami państwa mało się dotąd zajmował; był więc szczęśliwy, że znalazł człowieka, mogącego go swym rozumem i doświadczeniem podeprzeć wobec przemądrej i despotycznej matki. Zaczął też zaraz Colignego nazywać poufale »ojcem«, i admirał pozyskał też wkrótce najzupełniejszy wpływ na króla.

Coligny, jako protestant i obywatel, kochający ojczyznę, zamierzał wyswobodzić Flandryę z hiszpańskich więzów. Karol IX. zaś rad był także doczekać się wojny, aby okazać swą odwagę i przyczynić się do sławy Francji, wyprzeć Hiszpanów z Flandryi, zabrać część tego kraju, a resztę pozostawić księciu Oranii. Zajęciu Flandryi sprzeciwiała się jednak Katarzyna, która się obawiała zupełnego zerwania z Filipem II., a i Anglia potajemnie intrygowała przeciw temu, pomimo że chodziło o wyswobodzenie protestantów flamandzkich z pod ucisku katolickiej Hiszpanii. Anglia, jak zawsze, tak i tym razem obawiała się uszczerbku dla swego handlu; wszelkie inne względy religijne czy narodowościowe grały u niej podrzędną rolę, interesy handlowe stały na czele politycznych dążeń.

W początkach stycznia 1571 miał Coligny tajemną rozmowę z Middlemorem, jedynym z agentów angielskiej królowej Elżbiety do którego miał najwięcej zaufania. Middlemore otwarcie mu wyznał, że Anglia nie może tego cierpieć, aby Francja zajęła Flandryę. Powody tej zazdrości były znane: Hiszpania nie zawadzała angielskiemu handlowi we Flandryi;

gdyby jednak Flandrya dostała się w ręce Francuzów, to i handel i panowanie Anglii nad kanałem La Manche bardzoby mogło na tem ucierpieć.

Na dworze francuskim ścierały się dwa prądy polityczne; król z Colignym dążył do wojny z Hiszpanią we Flandryi, Katarzyna intrygami starała się temu przeszkodzić. Zresztą obok tych politycznych, działały także na Katarzynę i względy osobiste; nie mogła ścierpieć, aby kto inny oprócz niej miał wpływ na Karola IX.; postanowiła więc bądź co bądź usunąć niebezpiecznego dla niej admirała.

W pomoc przyszło jej zwycięstwo Hiszpanii w bitwie morskiej pod Lepanto; aureola Hiszpanii, przynajmniej chwilowo bardzo urosła, niebezpiecznie było stawać w drodze jej potędze. Co więcej, lud paryski niechętnie widział, że najwyższym doradcą króla jest protestant. Mimo to Karol IX. trwał w swoich zamiarach, a gdy Ludwik nassauski zajął Valencienne, król chciał mu już wysłać na pomoc oddział francuskiej piechoty. Katarzynę przeraziła myśl możliwego zerwania z Hiszpanią, a ponieważ król był na polowaniu w Montpipeau, więc tak pędziła, aby go powstrzymać od niebezpiecznych kroków, że para koni z jej pojazdu padła po drodze ze zmęczenia.

Mimo to wpływ Colignego na króla jeszcze przeważał; poseł wenecki Michieli donosił swemu rządowi, że admirał jest dzisiaj tak potężną osobistością jak był connétable Montmorency za czasów Henryka II. Tego już Katarzyna znieść nie mogła; wystąpiła wobec syna z całą gwałtownością i, jak pisze de Tavannes w swoich pamiętnikach, wyrzucała mu, że tyle sobie zadała pracy, aby go dobrze wychować i nie pozwolić ani Guizom ani hugenotom pozbawić go korony, a teraz doczekała się od niego takiej zapłaty. »Kryjesz się przedemną, przed matką — mówiła w najwyższym rozgoryczeniu — wydzierasz się z moich ramion, które cię otoczyły opieką, aby się oprzeć na rękach, które cię chciały zamordować. Wiem, że masz tajemne schadzki z admirałem i że chcesz lekkomyślnie rzucić się w wojnę z Hiszpanią, aby twoje królestwo i nasza rodzina została łupem protestantów. Nim się to stanie, pozwól abym powróciła do miejsca mego urodzenia«. Scena ta sku-

tkowała. Poseł angielski Walsingham donosił po kilku dniach lordowi Burghley, że król wskutek łez matki zupełnie zmienił zdanie, a Katarzyna zostaje znowu wszechwładną panią położenia.

Karol IX. wstydził się wyznać otwarcie Colignemu, że się jeszcze chce namyśleć, czy nie pociągałoby to za sobą wielkiego niebezpieczeństwa, gdyby wystąpił przeciw Hiszpanom we Flandryi i że przed ostatecznym postanowieniem w tak ważnej sprawie trzeba zasięgnąć rady koronnej.

— Ależ, Sire — obruszył się admirał — cała rada składa się z ludzi, którzy z wieku i powołania obawiają się wojny.

Przedstawienia Colignego już się na nic nie przydały, wojna zostaje odwołana. Katarzyna zupełnie zwyciężyła. Co więcej, postanowiła raz na zawsze usunąć niebezpiecznego sobie wroga, który się wcisnął pomiędzy nią a syna. Powodem tej nienawiści ku Colignemu nie była tak dalece przyjaźń do Hiszpanów, ile chęć władzy, żądza panowania, »l'affetto di signoreggiare«. To też później pisał poseł hiszpański Filipowi II., że nie powinno się mieć zbyt wielkiej wdzięczności dla Katarzyny, »gdyż działała tylko we własnym interesie, a nie ze względu na króla i na państwo«. A poseł wenecki Michieli ocenił jej postępowanie wobec Coligniego jako osobistą zemstę Katarzyny, »la sua vendetta«. Wyraził się o królowej, że to zwykła kobieta, u której gniew jest silniejszy, aniżeli zastanowienie.

Królowa Katarzyna nie poprzestała na moralnem zwycięstwie; potrzeba jej było zagłady nieprzyjaciela, nie zapomniała też o radach, które jej dawał w Metz w r. 1568 don Francés de Alava.

II.

Ślub Margherity de Valois, córki Katarzyny, był niejako wstępem do późniejszych tragedyj. Królowa Nawarry, Jehanne d'Albret, kobieta bardzo rozumna i z przekonania zawzięta hugenotka, powzięła oddawna myśl ożenienia swego syna z Margheritą; przewidywała, że męska linia Walezyuszów wy-

gaśnie, i miała nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy jej syn, Henryk Bourbon, powołany będzie na tron francuski. To małżeństwo miało kiedyś ułatwić jej projekty.

Mysł tego małżeństwa kielkowała już i na dworze francuskim, a Karol IX. ze zwykłą sobie zawziętością rzecz popierał, z jakich właściwie powodów, nie wiadomo; mówiono, że chciał dokuczyć swej siostrze, którą nienawidził. Henryk nawarski był bowiem gburowatym, nieokrzesanym młodzieńcem, wychowanym raczej w stajni, aniżeli u dworu, i zajęтым miłostkami z wiejskimi dziewczętami. Zresztą Henryk, podobnie jak matka, był protestantem, a nadto krewnym Margherity, więc i ze strony Kościoła były przeszkody do przewyciężenia. Karol IX. tak energicznie starał się w Rzymie o potrzebną dyspensę dla tej pary, że to wzbudzało powszechne zdziwienie. Zagroził nawet w Rzymie, że jeżeli papież nie da kościelnego pozwolenia, to on rzecz przeprowadzi bez papieża, Margherita przejdzie bowiem na protestantyzm. Przed swoją ciotką, Joanną d'Albret, wyraził się, że jeżeli papież będzie się opierał, to on sam weźmie siostrę za rękę i poprowadzi na nabożeństwo hugenotów.

Matce Henryka także się śpieszyło; wybrała się więc z początkiem r. 1572 na dwór francuski do Blois, aby się przekonać, jak sprawy stoją. Wrażenie stamtąd wyniosła jak najgorsze; królowa Katarzyna zwodziła ją kłamstwami, co chwilę sama sobie się sprzeciwiała, nie można było właściwie wiedzieć, czego pragnie; zresztą, pisała Jeanne d'Albret do syna, zepsucie na tym dworze przechodzi wszelkie pojęcie. Margherita jest ładna, ma dużo gracyi, ale zostaje pod wpływem najgorszego towarzystwa. »Za nic w świecie nie chciałyabym, abys tam dłużej przebywał; pragnęłabym, abys jak najprędzej się ożenił i wydarł żonę z tego zgniłego otoczenia. Wiedziałam, że to dwór zepsuty, ale nie przypuszczałam, że do tego stopnia. Nie mężczyźni tutaj starają się o kobiety, ale kobiety proszą się mężczyzn«.

O przyszłej swej synowej wyraża się królowa Nawarry przychylnie; zarzuca jej tylko, że się strasznie ścisza w pasie i mocno pudruje.

Katarzyna ludziła tam królową Nawarry czułościami,

aby protestantka nie podejrzывała, że przeciw hugenotom straszny zamach się gotuje. L'Estoile opowiada, że król także ciągle towarzyszył ukochanej »grande tante«, i tak był ze swego postępowania zadowolony, że raz wieczór, wychodząc z salonu, chwalił się przed matką: »Et puis Madame, czy nie dobrze odegrałem moją rolę?« — »Tak, — odpowiedziała Katarzyna, — tylko tak dalej.« — »Zobaczysz — odrzekł król — że ją schwytam w sieci; robię, jak mój sokolnik: on ułaskawia ptaki, a ja hugenotów«.

Królowa Nawarry doczekała się nareszcie podpisania kontraktu małżeństwa ukochanego syna (11. kwietnia 1572), ale nie dożyła ślubu. Umarła w Paryżu z początkiem sierpnia 1572 nagle, jak powszechnie mówiono, otruta przez olejkarza Katarzyny, messira René, którego królowa zwykle używała do tego rodzaju sprawek.

Henryk, książę Nawarry, przybył do Paryża w towarzystwie ośmiuset rycerzy, ubranych w żałobne szaty, bo w drodze z Nawarry dowiedział się o śmierci matki. Król Karol IX. przyjął przyszłego szwagra z wielkimi honorami; ale narzeczona okazywała we wszelki możliwy sposób, że idzie za mąż, zmuszona przez rodzinę. Obawiała się, że jeżeli nie podda się woli matki i brata, to ją otrują. Publiczność paryska także nieprzychylnie, prawie z nienawiścią spoglądała na przybywających hugenotów; przeciwnie, z oznakami wielkiej radości witała wjeżdżające rycerstwo Guizów.

Mimo wszelkich przeciwności ślub młodej pary odbył się 18. sierpnia 1572 w Notre-Dame, w Paryżu; Karol IX, dziwnie się śpieszył.

Król Nawarry i jego otoczenie porzuciło żałobne szaty i przybrało się bogato i barwnie; Margherita z koroną na głowie, cała pokryta drogiemi kamieniami, w płaszczu niebieskim, którego cztery łokcie długi ogon niosły trzy księżniczki. Pani młoda nie rzekła ani słówka do Henryka Nawarry, okazywała wielką nerwowość, wymieniała przy każdej sposobności półsłówka ze znajomą młodzieżą w orszaku ślubnym i rzucała miłosne spojrzenia na pana La Molle, którego w ostatnich czasach obdarzała swemi łaskami. Historyk Davilla utrzymuje, że Margherita nie odpowiedziała nawet księdzu, który się

w zwykły sposób pytał, czy przystaje na to, aby Henryka z Nawarry pojąć za męża. Zauważywszy to, pochylił jej Henryk nieznacznie głowę na znak, że się zgadza.

Gdy jej przeczytano wiersz, który słynny Jean Vatel ułożył na jej ślub, pogardliwie wyśmiała te zapędy poety i drwiła z napisów na monetach, które rozrzucano pomiędzy lud podczas ślubu.

Pomimo uroczystości ślubnych panowała w Paryżu jakaś przygnębiona atmosfera. Gdy orszak ślubny wracał do Louvru, wydawał lud entuzjastyczne okrzyki na cześć Guiza, który ostentacyjnie za nie dziękował. Przyjaciele Colignego nalegali na admirała, aby wyjechał. Nawet król, który jeszcze okazywał pewne sympatyje dla Colignego, radził mu dwudziestego sierpnia, aby opuścił stolicę, gdyż obawiał się, aby Guizowie nie urządzili jakiego zamachu. Coligny jednak odpowiedział, że kościoły protestanckie w Paryżu prosiły go, aby nie wyjeżdżał, więc nie może i nie chce ich pozostawić bez opieki. Widocznie duchowni protestanczy obawiali się, aby pospólstwo ich nie wymordowało.

Na królewskim dworze jednak, przynajmniej napozór, nie było znać, że jakieś rozruchy się zbliżają; od dziewiętnastego do dwudziestego pierwszego sierpnia ciągle zabawy, turnieje, balety, a zgromadzenie przeszło stu młodych, pięknych kobiet kazało zapominać protestanckiej młodzieży, że jej grozi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

A zbrodnia czyhała już na hugenotów. Pomędzy ludem mówiono, że na to sprowadzono niedowiarków, aby ich wymordować. Karol IX. zamierzał urządzić podczas uroczystości ślubnych rodzaj turniejów na jednej z wysp Sekwany naprzeciw Louvru. Wystawiono już nawet wieżę drewnianą, w której miał się bronić duc d'Anjou z wyborowym orszakiem zbrojnych, a król Nawarry i Coligny mieli zdobywać fortecę. W zamięszaniu zamierzano zamordować admirała i zwalić morderstwo na przypadek. Tego rodzaju podstępny był po myśli Karola IX. i księcia d'Anjou. Zdaje się jednak, że hugenoci dowiedzieli się o zamierzonej zdradzie, że cała sprawa stała się głośną, i ów zbrodniczy turniej się nie odbył.

W sam dzień ślubu Margherity był wielki bal w Louvrze.

Wjechały do sali trzy wozy, przedstawiające skały posrebrzane, na których spoczęli muzykanci, pomiędzy nimi znajdował się słynny śpiewak, Etienne le Roy. W skałach widać było rozmaite jaskinie; w jednej wylegały się lwy morskie z rybiemi ogonami, a na nich siedziały bóstwa w złocistych szatach. Neptun rozparł się na hipopotamie, a boga morza przedstawiał sam Karol IX. Wozy zatrzymywały się co chwilę, a wtedy chóry, w nich ukryte, śpiewały poezye, ułożone przez najznakomitszych ówczesnych poetów.

Nazajutrz przeniosło się towarzystwo do Hotel d'Anjou, gdzie król Nawarry przygotował wspaniałą festyn; ale największą uwagę pomiędzy gośćmi zwróciła alegorya, urządzona dwudziestego sierpnia w Hotel de Bourbon. Scena przedstawiała tam z jednej strony »Raj«, do którego bronił wstępu Karol IX. i dwaj jego bracia w pełnej zbroi, naprzeciwko zaś »Pieńko« pełne djabłów i djablików, wyprawiających najrozmaitsze komedye. Rzeka, na której pływał Charon w swej barce, przedzielała pieńko od rajy, w głębi zaś widać było pola Elizejskie, zielone ogrody, pełne kwiatów i niedostatecznie ubranych nimf, a nad tem wszytkiem niebo z dwunastoma znakami Zodyaku, z siedmioma planetami i mnóstwem gwiazd z kryształu.

Naraz przybyło na scenę dwunastu błędnych rycerzy pod dowództwem króla Nawarry, aby się dostać do rajy; ale król Karol IX. z całym swem otoczeniem odparł ich mieczem i lancą i wrzucił do pieńka, gdzie się znaleźli pomiędzy djabłami i potworami, ziejącemi ogniem i siarką.

Ciesząc się królewskiem zwycięstwem, zstąpili Merkur i Kupido z nieba, jadąc na kogutach, i winszowali Karolowi IX. zwycięstwa nad złemi duchami w wierszach, na ten cel ułożonych. Na znak radości rycerze zaczęli tańczyć z nimfami wokoło fontanny, ustawionej na środku sali balowej; żeby zaś radość była powszechna, uwolniono więźniów z pieńka i tańce trwały dalej, dopóki rurki, okalające fontannę a napełnione prochem, nie wybuchły i nie osłoniły całej sceneryi nieprzejrzystym dymem.

Takie przedstawienie nie musiało być przyjemnem dla hugenotów i powiększyło tylko rozdrażnienie, jakie już pano-

wało pomiędzy katolikami, a tymi »de la religion«. To też wielu hugenotów wyjechało z Paryża, marszałek Montmorency udał się do swych dóbr l'Isle Adam; Coligny tylko nie chciał opuścić tych, którzy mieli te same, co on, przekonania religijne.

III.

Zaledwie uroczystości i festyny ślubne się zakończyły, uważała Katarzyna chwilę za stosowną, aby rozpocząć swoje zbrodnicze działanie.

Wieczorem 21. sierpnia M. Chailly, kamerdyner księcia d'Aumale, wprowadził cichaczem Maurevela, factotum Katarzyny do wszelkich możliwych zbrodni, do domu kanonika Villemur, dawnego nauczyciela księcia de Guise. Stara służąca i lokaj kanonika pilnowali, aby Maurevela nikt nie widział, zatrzymali go przez noc, gdyż dopiero z rana mógł wykonać zamach na admirała, który zwykł był przechodzić tamtędy ulicą. Plan był dobrze ułożony; nazajutrz zatrzymał się Coligny właśnie przed domem kanonika, aby wsiąść na konia, z czego skorzystał ukryty w oknie za firanką Maurevel, wystrzelił z arkebuz, położył szybko broń na stole i uciekł ogrodem. Słyszano tylko tentent konia.

Colignego wszakże Maurevel nie zabił; jedna kula urwała tylko palec admirałowi, druga zaś ugrzęzła w ramieniu. Kilku panów z otoczenia Colignego wpadło do mieszkania, z którego strzelono, ale nic nie znaleźli, prócz dymiącej jeszcze rusznicy. Admirała zaniecono do domu; natychmiast przybył do niego król Nawarry i tak król, jak inni, jednogłośnie posadzili Guizów i księcia d'Anjou o urządzenie zamachu.

Katarzyna właśnie siadała do stołu, do śniadania, a gdy jej dano znać o atentacie, miała twarz obojętną, jakby się nic nie stało; król jednak wpadł w chwilowy gniew i wykrzykiwał: »Czyż nie będę miał chwili spokoju!«

Do admirała sprowadzono zaraz słynnego chirurga, Ambrożego Paré; ale musiano mu narazie nie powiedzieć, jaka była rana, bo nie przyniósł ze sobą potrzebnych narzę-

dzi. Obawiając się jednak, czy kula nie była zatruta, chwycił za jakieś tepe nożyczki i odciał resztę palca admirałowi i z biedą wydobyl kulę z ramienia, przyczem pacjent przebywał takie męczarnie, że obecni zaledwie patrzeć mogli na tę operację. Sam tylko admirał z heroizmem znosił cierpienia i nawet uspokajał obecnych.

U przewodców hugenotów zapanowało oburzenie, chcieli wpaść do Louvru i zamordować Guiza; spokojniejsi jednak wstrzymali ich, aby jeszcze większego nieszczęścia nie spowodzić na protestantów.

Tymczasem admirał prosił, aby go król raczył odwiedzić, gdyż może umrzeć, a przed śmiercią ma mu coś ważnego do powiedzenia. Karol IX. przybył też, ale w niepożądanem towarzystwie, gdyż razem z nim przyszła do chorego Katarzyna i dwaj bracia królewscy, a prócz tego kilku dygnitarzy ze stronnictwa królowej. Pomiędzy nimi był także płatny szpieg Katarzyny, Bouchavannes, który jednak nie wszedł do pokoju chorego, ale tylko pod drzwiami przysłuchiwał się rozmowom.

Coligny zapewniał monarchę, że żałuje, iż rany, które odniósł, nie pozwalają mu służyć królowi, że zawsze miał jak najlepsze chęci wobec niego i Francyi i że nieprawdą jest, co utrzymują jego nieprzyjaciele, że spiskował przeciw monarche. Gdy jednak ani Katarzyna ani jej towarzysze nie oddalali się od łoża chorego, prosił admirał, aby mógł na chwilę pozostać z samym królem. Siły go już opadały, więc przerywanym głosem błagał Karola IX., aby sam rządził i nie ufał swojej matce.

Królowa musiała przeczuć, jakie przestrogi dawał admirał jej synowi; wyszła bowiem stamtąd z zamiarem, aby zamordować niebezpiecznego dla niej doradcę i raz zgnieść tę hydrę protestancką, która jej przeszkadzała w samowolnych rządach, do czego zresztą Filip II. w listach do swego ambasadora ciągle ją zachęcał.

Tego samego dnia po południu Katarzyna i jej przyjaciele zbrali się na naradę w gabinecie Karola IX. Najzaufniejszy z zaufanych królowej matki, Gondi, miał monarchę uwiadomić, że hugenoci knują spisek przeciw niemu, co było nieprawdą i co później taki katolik, jak Bossuet, potwierdzał, pi-

sząc, że posądzenie admirała o spisek przeciw królowi było nieprawdą, wymysłem nieprzyjaciół, aby go zgubić.

Królowa aż dwie godziny przekonywała Karola IX., że wytepienie hugenotów jest koniecznym. Podjudzała go, męczyła w szatański sposób, starała się wprowadzić w szalony gniew, do jakiego był skłonny, przekonywała, że teraz nadarza się nadzwyczajna sposobność, aby się z nimi uporać, bo mnóstwo ich zjechało się na ślub Margherity do Paryża. Gdy Karol IX. jeszcze się wahał, oświadczyła, że jeżeli król nie uzna tej konieczności, to ona wyjedzie do Włoch, pozostawiając go na pastwę zdrajców i spiskowców. Wtedy król, rozdygotany, zgnębiony zawołał: »A więc chcecie tego? Niech zamordują wszystkich, wszystkich!« i wybiegł z pokoju, w szalonym gniewie, z pianą na ustach.

Oczy Katarzyny zabłysły radością; zapytała się jeszcze przyjaciół, czy zaraz trzeba zamordować Colignego i króla Nawarry. Postanowienie co do admirała było łatwe, oczywiście zabić tę żmiję; swemu świeżemu zięciowi darowała życie królowa, ponieważ z wygaśnięciem domu Bourbonów byłiby Guizowie zanadto potężni.

Tymczasem Karol IX. ochłonął z pierwszego gniewu, ale się już nie cofnął; kazał zawołać do siebie dwóch kupców, którzy mieli największy wpływ na paryską ludność, Marcela i Le Charrona; oświadczył im, że spisek hugenotów został odkryty, że trzeba raz urwać głowę tej hydrze. Postanowienie królewskie było po myśli mieszczan, zwłaszcza że ajenci Katarzyny już poprzednio tak rozjątrzyli społeczeństwo przeciw hugenotom i tak wszystko przygotowali, że było potrzeba tylko hasła królewskiego, aby rzeź wykonać.

Król rozkazał jeszcze naczelnikom miasta, aby zabrali do siebie klucze od bram Paryża, tak, aby nikogo nie wypuścić, i aby z Sekwany usunięto wszystkie statki. Cała miejska milicya miała być pod broń powołana.

Katarzyna jeszcze nie dowierzała synowi; wieczorem zgromadziła w swoim mieszkaniu w Louvrze książąt de Guise i d'Aumale, tudzież bastarda d'Angouleme, poleciła im zamordować Colignego, a na każdego z przewodców hugenotów wyznaczono fanatycznego mordercę.

O godzinie, kiedy król miał się udać do sypialni, weszli do niego według zwyczaju najzaufańsi dworzanie. Pomiędzy nimi był także La Roche-Foucault, ulubieniec Karola IX. Gdy mieli opuścić pokój, król zwrócił się do Foucault, mówiąc: »Nie wychodź: będziesz dzisiaj nocował z mojem otoczeniem«; ale Foucault przeczuwał, co się dzieć będzie, i nie posłuchał królewskiego wezwania, ale wyszedł, aby w niebezpieczeństwie nie rozłączać się ze swymi towarzyszami.

Przez kilka godzin panował pozorny spokój w Paryżu.

Katarzyna spać nie mogła; pierwsza się ubrała i poszła do syna, widocznie, aby się przekonać, czy się nie waha, czy się nie rozmyślił. Duc d'Anjou, jak cień szatański, szedł za nią. Pilno jej było; sygnał rzezi miał być dany w godzinę po wschodzie słońca, dzwoniem w pałacu sprawiedliwości, nie mogła się jednak doczekać tej chwili, kazała natychmiast, pomiędzy drugą a trzecią nad ranem, wybić hasło na wieży najbliższego kościoła Saint-Germain l'Auxerois. Rzeź się rozpoczęła.

IV.

Przedewszystkiem trzeba było usunąć Colignego. Na ulicy, przed domem admirała czeka już duc de Guise ze zgrają oprawców. Dzwonią do bramy, niby to z pilnem pismem od króla. Wychodzi portyer i pada, pchnięty sztyletem; wybiega pięciu Szwajcarów, których król Nawarry tam pozostawił, aby strzegli Colignego. Pierwszy z nich ciężko ranny strzałem z pistoletu, czterech innych cofa się i zamyka za sobą drzwi, prowadzące na schody.

Budzi się służba admirała; wbiega duchowny protestancki, Merlin do sypialni Colignego. Admirał wstaje z łóżka, wdziewa na siebie płaszcz, a spostrzegłszy, co się dzieje, mówi szybko do wchodzących:

— Ratujcie się, ja wiem co mnie czeka; duszę moją Bogu polecam.

Jedyny z otoczenia Nicolas Muss nie odchodzi, nie chce opuścić swego pana.

Wtem drzwi pod naciskiem królewskich Szwajcarów się otwierają; wpada pierwszy, młodzieniec nazwiskiem Besme.

— Czy ty jesteś admirałem?

— Tak, rób, co chcesz...

Dziki fanatyk przebija mieczem poważnego starca, a za Besmem kilka sztyletów grzęźnie w piersi Colignego.

— Czy już skończone? — woła Guise z ulicy.

— Tak — odpowiada Besme.

— Wyrzucicie go...

I kilku tych łotrów otwiera okno i dychającego jeszcze admirała rzuca na ulicę.

— Uciąć głowę — rozkazuje Guise.

Petrucci, ulubieniec Katarzyny, katowskimi cięciami miecza odcina krwią już zbroczoną głowę i niesie do Louvru w podarunku swojej Medyceuszce.

I w Louvrze niema spokoju. Jakiś rycerz hugenot wpadł przed oprawcami do mieszkania Margherity de Valois i zaczął bić nogami i pięściami do drzwi jej sypialni, krzyząc: »Nawarra! Nawarra!« Bona królowej, sądząc, że to król, mąż Margherity się dobywa, wybiega szybko i drzwi otwiera. Dobrywającym się wszakże był jakiś szlachcic, hugenot M. de Léran, ranny już w ramię, za którym bieгло czterech łuczników. Hugenot wpadł, rzucił się na łożo Margherity, objął królowę ramionami, sądząc, że się w ten sposób uratuje przed łucznikami, którzy go ścigali. Margherita opowiada w swoim pamiętniku, że zupełnie nie znała tego człowieka i nie zrozumiała, co się dzieje, zwłaszcza że spała całą noc i nie wiedziała o burzy, którą wywołano w Paryżu. Katarzyna nie uwiadomiła jej o zamierzonej rzezi; nie dowierzała jej, ponieważ wyszła za mąż za hugenota, króla Nawarry, a hugenoci także nie mieli do niej zaufania, gdyż była katoliczką.

Można sobie więc wystawić przerażenie zbudzonej ze snu królowej. Na szczęście za łucznikami przybiegł M. de Nancay, kapitan gwardyi królewskiej, który, jak powiada Margherita, zamiast jej żałować, zaczął się śmiać z dziwacznej sceny.

Kazał też zaraz wyjść łucznikom, darował życie rannemu, który ciągle jeszcze z przerażenia trzymał się silnie królowej. Pokrwawiona przez rannego Margherita uspokoiła nieszczęśliwca, kazała go ukryć w swojej gotowalni, a przebrawszy się szybko, wdziała na siebie płaszcz i pobiegła, »raczej umarła, jak żywa« do pokoju siostry, pani de Lorraine, pytać się, co się dzieje. Tam trafiła znów na straszną scenę; łucznicy pchnięciami halabard zamordowali o trzy kroki od niej szlachcica nazwiskiem Bours, który uciekał przed nimi.

Zanim doszła do sypialni siostry, spotkała znowu dwóch hugenotów, barona Mioassans, pierwszego szambelana jej męża, i Armagnac'a, także nawarskiego dworzanina, którzy ją błagali, aby im uratowała życie. Margherita pobiegła więc do pokojów matki, która jej »łaskawie« darowała tych dwóch Nawarczyków.

Gdy się o tem nazajutrz dowiedział Karol IX., drwił z siostry w sposób cyniczny i brutalno-nieprzyzwoity, że swemi wdziękami uratowała życie kilku buntownikom-hugenotom. Henryka zaś, męża jej, trzymał przez cały czas rzezi pod dozorem w Paryżu i w najwyuzdańszej rozpuście przepędzał z nim i z dukiem d'Anjou, przyszłym królem polskim, dnię, kiedy się jeszcze na prowincyi lała krew hugenotów. Ci trzej królowie zgromadzili wtedy na bankiet kilka lekkich kobiet, a zabawiwszy się z niemi do syta, zapalili im pochodniami włosy na wstydlivych częściach ciała. Nie dość im było tej uciechy, posłali po prefekta Paryża, p. Nantouillet, aby im przygotował kolację. Stołowe srebro i zastawy pana Nantouillet tak im się podobały, że po kolacyi kazali je zabrać do siebie, a gdy prefekt później się skarżył, że jeżeli mu srebra nie zostaną zwrócone, uda się do sądów, Karol IX. kazał mu powiedzieć, żeby się nie trudził, bo będzie miał bardzo silnych przeciwników. Mówiono w Paryżu, że ten rabunek był zemstą duka d'Anjou za to, że Nantouillet nie chciał się ożenić z panią Chateau-Neuf, kochanką księcia, której Henryk chciał się pozbyć.

To były zabawy trzech królów w czasie, kiedy mordowano hugenotów w całej Francji.

Oprócz Margherity de Valois jedyną kobietą z królewskiej rodziny, która nie wiedziała o strasznych scenach, jakie

się wokoło niej działa, była Elżbieta Austryaczka, małżonka Karola IX. W wigilię nieszczęśliwej nocy udała się wcześniej do spoczynku, a gdy jej rano powiedziano, co się dzieje, zapytała z przerażeniem: »Boże, czy wie o tem mój mąż?« — »Tak — odpowiedziano jej — on sam wydał rozkaz«. — »Kto mu poradził? Boże, przebacz mu! Obawiam się, że ta obraza Twej woli nie będzie mu darowaną«. I wzięła do rąk swoje »Heures« i zaczęła się modlić ze łzami w oczach.

Podczas gdy mordowano Colignego i hugenotów w Louvrze, ludzie z białymi przepaskami na ramieniu i z białym krzyżem na kapeluszu przebiegali ulice, trzymając w ręku pugi nałajki lub samopały, mordowali bez litości każdego, kto nie miał białego znaku: starców, kobiety, dzieci; te wściekle tygrysy szukały ofiar i wpadały do domów naznaczonych kredą. Po prawym brzegu Sekwany, od strony Louvru, ściekały potoki krwi, jak powiada jeden z naocznych świadków.

Powtarzano słowa Katarzyny; »Che pieta lor ser crudele, che crudelita lor ser pietosa«, że dzisiaj być ludzkim, znaczy być okrutnym, bo okrucieństwo stało się czynem pobożnym.

Rozeszła się pomiędzy ludem wieść, że na cmentarzu »des Innocents« po raz wtóry zakwitł krzak głogu, podlany krwią heretyków; więc ludzie spokojniejsi szli tam procesjami, aby się o tem przekonać, a gdy ów »cud« zobaczyli, mordowali jeszcze z większym zapalem hugenotów na »chwałę Bożą«.

Niektórym przewodcom hugenotów, a mianowicie tym, którzy mieszkali na przedmieściu Saint-Germain udało się uciec; do nich należeli Montgomery, widam de Chartres i Geoffroy de Coumont. Montgomery wcześniej się obudził, a słysząc głos dzwonów i strzały, domyślił się, co to znaczy. Szybko wsiadł na koń, a była to ostatnia chwila do ucieczki, bo za nim gonili już Guizowie, d'Aumale i bastard d'Angouleme, jako za najniebezpieczniejszym hugenotem, któryby mógł zastąpić Colignego. Szczęściem Montgomery miał lepszego konia, jak nieprzyjaciele; pogoń trwała długo, aż do

Mont-l'Amaury, gdzie szlachetni obrońcy wiary się zatrzymali, bo konie byłyby padły.

Niektórzy ze współczesnych pisarzy, jak D'Aubigné, Geulard, a nawet szczerzy katolik Brantôme, utrzymywali, że sam Karol IX. strzelał z okna w Louvrze do hugenotów, o czym zresztą publiczność paryska była przekonana. Brantôme nawet bliżej opisał to zbrodnicze zachowanie się króla. Wcześniej z rana wyrzwał Karol IX. z okna w Louvrze i spostrzegł, że hugenoci uciekają przed gwardyą. »Tuez! Tuez!« zaczął wołać do żołnierzy, chwycił za duży arkebusz, myśliwski i kilka razy strzelił do uciekających, ale nikogo nie trafił, bo arkebusz nie niósł tak daleko.

To też d'Aubigné z pogardą pisał o tym królu w swych satyrach »Les Tragiques«: »Ce roi, non juste roi, mais juste arquebusier giboyait aux passants trop tardifs à noyer«.

W pierwszych dniach po Saint-Barthelemy król chlępił się, że dokonał tak wielkiego dzieła. We wtorek 26. sierpnia był przytomnym ze swymi braćmi na posiedzeniu senatorów w Cours des Pairs de France, gdzie głośno oświadczył, że to, co się stało, stało się z jego rozkazu i z jego własnego przekonania. Brał na siebie odpowiedzialność, gdyż chciał unicestwić zbrodnicze przysiężenie, urządzone przez admirała.

Gdy książę Condé wyrzucał królowi tę rzeź niegodną monarchy i odważył się powiedzieć, że pięciuset szlachty stoi za nim, gotowej do pomszczenia tej krzywdy, król chwycił za sztylet i chciał go przebić.

Po kilku dniach, gdy się Karol IX. lepiej zastanowił nad tem, co uczynił, i poznał, że te mordy uwłaczały królewskiej godności, starał się całą rzeź przedstawić jako wynik prywatnych sporów, jako »querelle particulière« pomiędzy rodem de Lorraine a domem de Chatillon, w co naturalnie nikt nie uwierzył.

Jak zwykle w czasie takich zbrodniczych rozruchów, motłoch uliczny zaczął rabować, nie zważając już, czy właściciele są hugenotami czy katolikami; do motłochu przyłączyli się żołnierze gwardyi królewskiej, czego nareszcie za wiele było Karolowi IX. Kazał więc urzędnikom miejskim i komendantom milicyi wsiąść na koń, zmobilizować całą siłę zbrojną

i przebiegać ulice, głosząc zakaz królewski mordowania i rabowania. Ale lud zakosztował już krwi i cudzego mienia; mimo zakazów mordowano dalej, a przez długi czas wrzucano wieczorem ciała hugenotów do Sekwany.

Wściekłość paryskiego ludu zaraziła prowincję; po miastach i miasteczkach Francji lała się krew hugenotów. Król ciągle sam sobie się sprzeciwiał w rozkazach; to zachęcał do ostatecznego wytepienia nieprzyjaciół wiary i tronu, to nakazywał umiarkowanie. Poseł wenecki Michieli donosił, że Karol IX. zupełnie się zmienił: Niedawno życie się doń uśmiechało; teraz czoło ma zasępione, gdy się do niego mówi, nie patrzy w oczy, spuszcza głowę i nie jest w stanie podnieść wzroku.

Zahartowana tylko w zbrodni Katarzyna umiała panować nad sobą, a nawet, jak utrzymywał poseł księcia sabaudzkiego, d'Elbene, odmłodziła o dziesięć lat i robi wrażenie osoby, która powstała po ciężkiej chorobie, albo unikła wielkiego niebezpieczeństwa. Wieczorem w dzień św. Bartłomieja wyszła królowa Katarzyna ze swemi pannami z Louvru, aby oglądać ciała pomordowanych hugenotów, a szczególnie ją rozciekawiało ciało p. de Soubise, który uchodził za człowieka niezdolnego do spełniania małżeńskich obowiązków. Była to praktyczna lekcya anatomii dla panien otoczenia królowej.

Ile padło ofiar w tak zwanej nocy św. Bartłomieja, która się przeciągała miesiącami na prowincyi, tego się już nikt nie dorachuje; w samym Paryżu zamordowano co najmniej 2.000 hugenotów, a w całej Francji podobno do 50.000. Mimo to jeszcze ich nie zgnieciono. W Orleanie morderstwa trwały aż trzy dni, gdyż kaznodzieja królewski zachęcał do mordów. Stosował się zresztą do wyższych rozkazów, gdyż król wysłał w pamiętnej nocy kuryerów do Orleanu i do innych miast, aby uczyniono to samo, co w Paryżu. W Chatillon kazał pochwyć dzieci admirała. Gubernatorzy zastosowali się do woli królewskiej; jeden tylko honorowy i uczciwy człowiek, vicomte de Orthe, odpowiedział, że tam niema katów, ale są żołnierze. Za nim poszło kilku innych, którzy się zapisali w złotej księdze uczciwych ludzi.

Mnóstwo hugenotów, chcąc ratować życie, wyrzekło się

protestantyzmu, tysiące puciekalo do Anglii, Szwajcaryi i Niemiec. W Rzymie Grzegorz XIII. kazał wypłacić sto talarów posłańcowi, który pierwszy przywiózł wiadomość o Saint-Barthelemy i odśpiewać *Te Deum* w pałacu św. Marka, gdzie wtedy mieszkał, w obecności całego Kollegium kardynałów. Ambasadorowi francuskiemu polecił, aby napisał swemu królowi, że wypadki paryskie sprawiły mu więcej radości, jak pięćdziesiąt podobnych zwycięstw, jakie odniosły w zeszłym roku połączone floty w bitwie pod Lepanto. Urządzono także w Rzymie uroczyste obchody z powodu »radosnej nowiny wytępienia kacerzy« i strzelano z armat z zamku św. Anioła. Całe miasto illuminowano, a papież na czele procesyi udał się do francuskiego kościoła św. Ludwika i ogłosił tam jubileusz. Wybito medal z wizerunkiem z jednej strony papieża Grzegorza XIII. a z drugiej anioła mściciela, który w lewej ręce trzyma krzyż, a w drugiej miecz, i napada na bezbronnych heretyków. Napis na medalu był: »Ugenotorum strages«. Medal, wybity na rozkaz Karola IX., był mniej wojowniczy, bo przedstawiał tylko króla na wspaniałym tronie i herby Francyi z napisem: »*Pietas excitavit iustitiam*«. Katarzyna zabawiła się w apostołkę i pisała do księcia Alby: »*Beatus, qui non fuerit in me scandalisatus*«. Błogosławiony, kto się mną gorszyć nie będzie. W tych słowach przebijały się przecież wyrzuty sumienia, pokryte zwykłym u niej fałszem.

Kardynał de Lorraine, który wtedy bawił w Rzymie, wydał broszurę, apologię rzezi z 24. sierpnia, która wyszła w Rzymie 18. września 1572 z pod pióra Capilupiego, jednego z pisarzy, będących w służbie kardynała. Tytuł tego piśmidła był: »*Stratagème de Charles IX.*«, tytuł zanadto niewinny na treść broszury. W drugim wydaniu (z r. 1574) tego pisma opuszczono ustęp obciążający kardynała ze względu na bliski wybór Walezyusza na króla polskiego. Nie chciano, aby przypisywano w Polsce kardynałowi i księciu d'Anjou (Henrykowi III.) udział w Saint-Barthelemy. W pierwszym wydaniu unosi się jednak autor nad nocą św. Bartłomieja i pisze, że ten akt »*si merveilleux a été prémédité, ourdi et traité plusieurs mois auparavant et non point advenu par cas fortuit ou d'aventure*«.

Bardziej może, jak Rzym, cieszył się paryską katastrofą Filip II., nie tylko z powodu religijnego fanatyzmu, ale i ze względu, że zbrodnia nocy św. Bartłomieja wiązała Francję ściśle z Hiszpanią i uczyniła ją prawie od niej zależną. W innych krajach Europy uważano to poddanie się woli Filipa II. jako największy błąd polityczny. Filip II., który nigdy nie miał rozpodgrodzonej twarzy, roześmiał się na wiadomość o paryskiej rzezi, chwalił Karola IX. i podnosił zasługę Katarzyny, że na swój wzór wychowała takiego syna. Filip II. sądził, że Karol IX. zasłużył sobie teraz na tytuł arcykatolickiego króla.

Radość swą potwierdził zresztą Filip II.; pisząc do swego ambasadora Cunigi w Paryżu, »że wiadomość o rzezi była jedną z jego największych radości w życiu«, polecił Cunidze, aby wyraził królowej matce to wielkie zadowolenie, jakie miał z powodu aktu tak pożytecznego Bogu i chrześcijaństwu, tudzież przekonanie, że Saint-Barthelemy będzie jednym z największych tytułów sławy Karola IX. wobec potomności.

Cesarz Maksymilian powiedział ambasadorowi Francji w Wiedniu, iż wedle wiadomości z Rzymu kardynał de Lorraine oświadczył, iż to, co się stało w Paryżu, było omówione i postanowione, zanim opuścił Francję.

V.

»La Sainte-Barthelemy« stała się wielkim przełomem w wyobrazeniach francuskiego narodu. Może nigdzie tak, jak we Francji, król i dynastia nie była otoczona taką aureolą nietykalności, powiem nawet, świętości. Za Franciszka I. nie przyszło jeszcze nikomu na myśl walczyć przeciw monarchii, przeciw tej odwiecznej instytucji. Monarcha stał, jakby tum gotycki, u stóp którego mogły się dziać chwilowe rozruchy, mogły w starożytne mury bić fale namiętności, wywołanych niesprawiedliwością lub krzywdą, ale gmach ze swą wieżą w koronie był nienaruszony, symbol narodowej potęgi.

Rzeź nocy św. Bartłomieja, ta »Journée de Paris«, a jeszcze więcej »Les journées de province«, kiedy kilkadziesiąt tysięcy ludzi niewinnych wymordowano na rozkaz króla, na

rozkaz tego Karola IX., który jak do zwierzyny strzelał do hugenotów, ta rzeź zachwiała wiarę w dotychczasową formę rządu. Jak grad, posypały się pamflety przeciw królowi i mordercom narodu, pisane przez ludzi, dotkniętych w swych najświętszych uczuciach. Ale obok pamfletów wydawano traktaty poważne, spokojne, które zastanawiały się nad tem, czy wogóle istniejące prawa mogą strzec naród przed wybuchami namiętności króla i jego doradców. Zaczęły kielkować idee rządów liberalnych, prowadzących do rzeczypospolitej albo do konstytucyjnej monarchii.

Jeden z najgłośniejszych pamfletów wyszedł z pod pióra Maüreverta, naocznego świadka zamachu na Colignego. Pamflet został wydany w Bazylei, w sześć miesięcy po Saint-Barthelemy: *»achevé d'imprimer le douzieme jour du sixième mois d'après la journée de la trahison«* (5. lutego 1573). Pismo wyszło bezimiennie, ale później domyślano się, że autorem był Nicolas Barnaud, szlachcic z Delfinatu. Podróżował on po całej Europie, a powróciwszy do Francyi, znalazł się w Paryżu w dniu krwawe. Opisał, co widział, z oburzeniem, ale wyznał całą prawdę. Obrął sobie ulubioną wówczas formę dialogu pomiędzy alegorycznymi postaciami. Zakończył czemś, czego dotychczas nie wypowiedział żaden z francuskich pisarzy, wezwaniem do morderstwa tyranów, do tych *»mange-sujet, traitres affamés d'or, n'aimant personne«*.

Jedna z osobistości symbolicznych, *»Kościół«* prosi Boga, aby wskrzesił proroka Daniela, któryby uwolnił ludzkość od tyraństwa. Zjawia się Daniel i dyktuje program rządów demokratycznych, coś podobnego do dawnych średniowiecznych municypiów, połączonych ze sobą w federacyę, projekt republikańskiej federacyi.

W XVI. wieku we Francyi szczególne zamiłowanie pannało do układania anagramów; o jednej próbie tego rodzaju wspomniałem, mówiąc o anagramie kochanki Karola IX. Przed rzezią paryską (1561), kiedy jeszcze spodziewano się po Karolu IX., że będzie królem, jakiego Francya pragnie, wymyślono ze słów *»Charles de Valois«* anagram *»Va schasser l'idole«*; po rzezi zrobiono z tych wyrazów anagram *»Chasseur*

déloyal« odnoszący się do strzałów Karola IX., danych do uciekających hugenotów.

Oczywiście, że pamflety nie oszczędzały Katarzyny, którą hugenoci uważali za główną sprawczynię okrucieństw nocy św. Bartłomieja. Nazywano ją Jezabelą, Semiramidą i Athalią, a nie obeszło się i bez anagramów. Apostrofovano ją:

»Puisque tu t'égouis de la calamité,
On peut assez juger que par fatalité,
Nous trouvons en ton nom »Danse des cimetières«.

Inni wskazywali na jej pochodzenie z rodu hipokrytów-świętoszków, których ukrytą dewizą było:

Il faut sembler hommes de bien
Et cependant ne valoir rien.

Chateaubriand w swych »Etudes historiques« poświęca rodzaj smutnej obrony Karolowi IX., nad którym, zamiast go potępiać, litowaćby się należało. »Ten król, powiada Chateaubriand, który z okien pałacu strzelał do swych poddanych hugenotów, ten monarcha katolicki, który bolał nad popełnionymi przez się morderstwami, plwając krwią, łkając i wylewając strumienie łez, opuszczony przez wszystkich, pocieszony tylko przez niańkę hugenotkę, czyżby ten dwudziesto-trzechletni monarcha, obdarzony talentami, zamiłowaniem do sztuki i literatury, z usposobienia wspaniałomyślny, którego zepsuła zbrodnicza matka popchnięciem go do nadużyć zmysłowych i do nadużyć królewskiej władzy, czyżby nie zasługiwał na litość?«

Historia uniewinnić go nie może.

Pomiędzy powodzią pamfletów ukazała się rozprawa poważna, zdążająca do tego samego celu, co większość pism ulotnych, ale ciężkim obuchem bijąca w drzewo francuskiego monarchizmu. Tytuł jej był »La France-Gaule« a autorem François Hottman, którego nazwisko wymieniłem już, mówiąc o pamflecie przeciw Guizom, o »Epître au Tigre de la France«.

Hottman (1524—1590) był zajmującą osobistością, człowiekiem, który dla głębokich przekonań politycznych i religijnych poświęcił korzystne stanowiska. Zamłodu został adwo-

katem, ale wkrótce porzucił to zajęcie i poświęcił się literaturze i studiom prawniczym. W dwudziestym trzecim roku życia otworzył kurs publicznych wykładów, które nabrały wielkiego rozgłosu. Wykładał w Lozannie, w Strasburgu, w Genewie, Bazylei i wydał długi szereg rozpraw prawniczych. Wypadki polityczne we Francji tak go jednak rozgoryczyły, że wystąpił ze swoim pamfletem przeciw Guizoni, a po katastrofie paryskiej wydał poważne dzieło »La France-Gaule«, rodzaj historii praw i dawnych zwyczajów francuskich, w celu wskazania, że jedyny sposób, aby zaradzić złemu, które się wkrađło w społeczeństwo, jedyne zbawienie Francji, jest powrót do zasad pisma świętego i do rozumu przodków. W dawnej Francji aż do najnowszych czasów stały nad władzą królewską zgromadzenia narodowe, Les Etats généraux. Władza naczelna (le pouvoir souverain) należała do narodu, król był tylko wybranym naczelnikiem pod pewnymi warunkami. Król nie mógł być tyranem. Największemi zbrodniarkami stały się królowe matki, kiedy wykonywały rejencye, jak Brunhilda, Blanche de Castille, Isabelle de Bavière i Katarzyna medyjska.

Rozprawa »La France-Gaule« miała nadzwyczajne powodzenie; zaraz się rozeszły dwie edycje łacińskie i jedna francuska. Zawierała ona dużo błędów historycznych, gdyż wówczas studia dziejowe były dopiero w zawiązku, ale cel był osiągnięty, silny cios zadany królewskiej władzy we Francji.

W pismach politycznych po rzezi św. Bartłomieja góruje wszędzie dążenie do liberalnego systemu rządu. Główną zasadą rządów ma być »La souveraineté nationale«. La souveraineté absolue należy do Boga, souveraineté na ziemi do narodu. Królowie się zmieniają, królestwa pozostają; istnienie narodu nie jest zależnem od istnienia księcia, podczas gdy król jest niczem bez królestwa.

To prawo narodu do rządzenia samym sobą stanie się już u późniejszych reformatorów francuskich zasadniczem dążeniem aż po rewolucyę z końca XVIII. wieku. W tym duchu pisał później protestant Jurieu i bronił praw narodu w swych

»Lettres Pastorales« i »Soupir de la France esclave« wobec Ludwika XIV. i Bossueta. Były jeszcze epoki królewskiego despotyzmu, ale zasad liberalnych już nikt wykorzeńić nie potrafił. O despotyzmie Ludwika XIV. powiedział Chateaubriand, że panowanie tego króla było »przepysznyim katafalkiem wolności narodowych, oświetlonym tysiącem pochodni, które dzierżyli znakomici ludzie«.

Pochodnie jednak zgasły, a zasady wolności zostały.

Na zbrodniach nocy św. Bartłomieja urosła nowoczesna wolność sumienia i wolność polityczna we Francyi.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

DUC D'ANJOU.

I.

W czasie, kiedy Katarzyna przygotowywała rzeź hugenotów, dojrzewała myśl uzyskania dla księcia d'Anjou korony polskiej. W dyplomatycznych sferach zajmowano się oddawna sukcesją po bezdzietnym Zygmuncie Auguście, królu polskim, ostatnim potomku rodu Jagiellonów. Osobliwie dwory, które się obawiały zupełnego zapanowania Hiszpanii nad Europą, szukały męża dla siostry króla polskiego, Anny Jagiellonki, niestety już niemłodej i nie mogącej się spodziewać potomstwa.

Francya starała się wtedy wszelkimi sposobami zbliżyć do Turcyi, aby mieć w niej oparcie przeciw Hiszpanii na morzu Śródziemnym, i podobno w Konstantynopolu powstała pierwsza myśl, aby jeden z francuskich książąt starał się o koronę polską, coby osłabiło wpływ Habsburgów na Wschodzie Europy. Pochwycono ten projekt z radością w Paryżu, a nawet Coligny zgadzał się w tej mierze zupełnie z Katarzyną, obawiając się, aby arcyksiążę austriacki nie został królem polskim.

Oczywiście Katarzyna rada była włożyć nową koronę księciu d'Anjou, jednemu synowi, którego kochała, bo był najbardziej do niej podobnym, pełnym hipokryzyi i pozbawionym wszelkich moralnych zasad. Dla Karola IX. i Coli-

gnego było oddalenie księcia d'Anjou z Francji nadzwyczaj pożądanem; Karol nienawdził brata i obawiał się tego współzawodnika w rządach Francji, opierającego się na stronnictwie ultrakatolickiem, na Guizach, którego katolicy nazywali już »notre grand duc«. Nawet ambasador angielski Walsingham zauważył w jednym ze swych listów do królowej Elżbiety, że Karol IX. nie będzie miał spokoju, dopóki duc d'Anjou jest we Francji. Katolicy podnosili jego zasługi wojkowe, zwycięstwo pod Jarnac i pod Montcontour, które właściwie były zwycięstwami marszałka de Tavannes, bo książę nie miał zupełnie zdolności, potrzebnych wodzowi.

Pomiędzy Karolem IX. a księciem d'Anjou przychodziło nieraz do scen gwałtownych, tak, że Katarzyna obawiała się, aby Karol w chwili uniesienia, do którego był tak skłonny, nie zamordował lub nie kazał zamordować brata. Zresztą miała ciągle na myśli ową przepowiednię Nostradamusa, że wszyscy jej synowie będą królami. Pragnęła jeszcze się doczekać, aby i Henryk włożył koronę na głowę, choćby w dalekiej Polsce.

Projekty te rozbijały się o samego Henryka, który nie miał ochoty wyjeżdżać do Polski, a co gorsza, być małżonkiem czterdziesto-siedmioletniej Anny Jagiellonki i pozbawić się przyjemności pobytu we Francji, gdzie go wówczas więziła panna Chateaufort i cały szereg innych piękności.

Na chwilę więc nie było mowy o staraniu się o tron polski, zwłaszcza że Zygmunt August żył jeszcze i nie groziło mu tak bliskie niebezpieczeństwo. Niespokojna Katarzyna chwyciła się znów dawniejszego projektu ożenienia Henryka z królową angielską. Trzech synów po kolei, Karola IX., księcia d'Anjou i księcia d'Alençon pragnęła królowa obdarzyć angielskim tronem. Elżbiecie pochlebiało, aby się starano o jej rękę, ale na małżeństwo nie mogła się jakoś namysleć. Gdy chodziło o Karola IX., powiedziała, że jest dla niego za starą, bo Karol miał wtedy lat czternaście, a ona trzydzieści. Swaty księcia d'Anjou przeciągały się za długo z powodu braku stanowczości u Elżbiety; więc Henryk się znudził i powrócił do swoich kochanek. Katarzyna miała zresztą nowy plan małżeństwa dla Henryka: chciała go ożenić z Maryą Stuart; ale i ten trochę

niebezpieczny projekt wobec Elżbiety angielskiej wpadł w nurty morskie, dzielące Francję od Anglii.

Wogóle pełna niezdrowej wyobraźni Katarzyna snuła najrozmaitsze plany dla swego ukochanego syna; była chwila, że go chciała zrobić królem Algieru, co się rozbiło o niechęć Porty, a gdy Algier nie dopisał, wróciła w lutym r. 1572 do zamiarów na tron polski, zwłaszcza, że dochodziły coraz gorsze wiadomości o zdrowiu Zygmunta Augusta. Na małżeństwo Henryka z Anną Jagiellonką namawiał od niejakiego czasu biskup de Valence, Montluc, człowiek wielkiego wpływu u Katarzyny, a Karol IX. na wszystko przystawał, byle się pozbyć księcia d'Anjou z Francji. Postanowiono więc wyprawić do Polski zręcznego człowieka, któryby oficjalnie prosił Zygmunta Augusta o rękę jego siostry dla księcia d'Anjou, a zarazem wybadał, czy w razie śmierci króla polskiego kandydatura Henryka na króla miałaby jakie widoki.

Biskup de Valence miał nieślubnego syna, Jana de Balagny, który kończył właśnie studia na uniwersytecie w Padwie, a później był legitymowany (w r. 1567) jako Jean de Montluc. Ojciec miał tak dobre o nim wyobrażenie, że przedstawił go Katarzynie jako najodpowiedniejszego kandydata do Polski, pomimo że młodzieniec nie miał jeszcze dwudziestu lat. Katarzyna zgodziła się na ten wybór, kazała dodać mu kilku starszych Francuzów, ale młodzieniec był główną osobistością w tem poselstwie, do którego należał także sekretarz Montluc'a, Jan Choisin, kronikarz owych starań księcia d'Anjou o koronę polską. Aby odwrócić uwagę we Włoszech i w Austrii od prawdziwego celu tej podróży, rozgłosił de Balagny, że zamierza zwiedzić Polskę, Szwecję i Danię w celach naukowych. Przedewszystkiem chodziło o to, aby go nie zatrzymano w Wiedniu i nie domyślono się, że jedzie agitować w Polsce za kandydatem francuskim wbrew intencyom Maksymiliana, który chciał wprowadzić na tron polski swego drugiego syna, arcyksięcia Ernesta.

Młodzieniec szczęśliwie przejechał Wiedeń i udał się jak najprędzej do Knyszyna, gdzie chory król przebywał. Zygmunt August, dogorywający, przyjąć go jednak nie mógł; poseł francuski, chcąc bliżej poznać zamiary Polaków, zabawiał się po

pobliskich siedzibach szlachty, gdzie go tak gościnnie przyjmowano, tak mu smakowała małmazya w dodatku pięciu czy sześciu gatunków innego wina i tak się zachwycił wybornymi konfiturami, że nie mógł się nachwalić dukowi d'Anjou przyszłego królestwa.

Zygmunt August umarł 7. lipca 1572 i Balagny widział poraz pierwszy króla na katafalku, poczem jak najprędzej, na Gdańsk wrócił do Francyi, aby królowej Katarzynie zdać sprawę ze swej polskiej wyprawy. Trzeba było działać energicznie, do czego studiosus padewski za mało miał powagi. Katarzyna więc postanowiła wyprawić do Polski samego księcia Kościoła, biskupa Jana de Montluc. Biskup się zrazu wymawiał, że za stary na tak daleką podróż, ale ostatecznie pojechał 17. sierpnia 1572 w wigilię ślubu króla Nawarry z siostrą Karola IX., w ośm dni przed rzezią nocy św. Bartłomieja, w towarzystwie uczonego Józefa Scaligera i Piotra Ramusa. Jean Montluc był ciekawym typem francuskiego dyplomaty. Pochodził z rodziny gaskońskiej, Montesquieu d'Artagnan; w młodości wstąpił do zakonu dominikanów, później został gorliwym protestantem, a ponieważ złamał ślub bezżeństwa, więc o mało że nie został spalony na stosie. Królowa Katarzyna go ocaliła i polubiła; obsypany honorami wrócił do katolicyzmu, zdolny, zręczny, dowcipny, zajął wysokie stanowisko u dworu. Królowa używała go do rozmaitych poselstw, z których się zawsze umiał wywiązać ku zadowoleniu swojej pani. Utrzymywano, że przewidywał, co się stanie, i z tego powodu o ile możliwości przyspieszył swój wyjazd z Paryża do Polski. W drodze trafił na wielkie wzburzenie w Niemczech przeciw Francyi, bo wieść o rzezi hugenotów już się tam rozeszła. Wreszcie po rozmaitych przejściach, po wydobyciu się z niemiłych spotkań z rajtarami, stanął szczęśliwie w Polsce.

Montluc bardzo zręcznie skarbił sympatyę szlachty dla swego kandydata; napisał górnołotny list do senatorów i do »trés-illustres chevaliers de Pologne«, ale pomimo to były chwile, że zwątpił już o swajem posłannictwie, bo jako współzawodnicy Henryka do tronu polskiego wystąpili nietylko arcyksiążę Ernest, ale Węgier Batory, Albert-Fryderyk pruski, Jan III. król szwedzki, i car Iwan Groźny. Montluc miał jednak

silnych sprzymierzeńców pomiędzy Polakami, a mianowicie popierał Henryka francuskiego biskup kujawski, Karnkowski, człowiek wielkiego wpływu, i wojewoda sieradzki, Olbracht Łaski, którego rodzina oddawna z Francją była związana. Jan Łaski, arcybiskup gnieźnieński, zmarły w r. 1531, był wysłany na koncylium Lateraneńskie, Hieronim Łaski posłował przy królu francuskim w latach 1524 a 1531, brat tegoż Stanisław bawił długo na dworze Franciszka I., walczył z nim pod Pawią i dzielił jego więzienie w Hiszpanii. Jan Łaski, trzeci synowiec arcybiskupa gnieźnieńskiego, podróżował po Niemczech i Anglii, a wróciwszy do Polski stał się jednym z filarów reformy. Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki, był synem Hieronima; wychowany w religii protestanckiej, przyjął później (w r. 1569) katolicyzm.

Był on jednym z tych ludzi XVI. wieku, którzy pomimo szerokiego wykształcenia i kulturalnej oglądy uważali wszelkie środki za dozwolone, aby osiągnąć swoje ambitne cele; umysł burzliwy i wrzący, zmieniał dwa razy religię, zawierał po raz trzeci śluby małżeńskie, pomimo że druga żona jeszcze żyła. Ale to były drobnostki. Jednem z jego marzeń, które go prześladowały, było zostać hospodarem mołdawskim i w tym celu raz pochlebiał cesarzowi, to znowu królowej Katarzynie. Potężny magnat, rozporządzający per fas lub nefas olbrzymiemi dobrami, widział chwilowo swoją korzyść w forytowaniu Henryka d'Anjou na króla polskiego i pierwszy przybył do Paryża, aby rzeczy przygotować. Wówczas udawał szczerego katolika, pomimo że niedawno porzucił reformę, a do tej gorliwości katolickiej i to się przyczyniało, że papież nadał mu jako neoficie tytuł »syna Kościoła«, co mu bardzo schlebiało.

Zdaje się, że już dawniej poznał Łaski Francuzkę, Sabinę de Sevé, z którą zawarł tajemne małżeństwo, pomimo, że druga jego żona Beata, córka nieślubna Zygmunta I.¹⁾, o dwadzie-

¹⁾ Pierwsza żona Olbrachta, Katarzyna Seredy, przyniosła mu w posagu przeszło 100.000 dukatów. Po niespełna dwuletniem z nią pożyciu (Katarzyna zmarła 1561) poprowadził Łaski do ołtarza 12. kwietnia 1564 przeszło pięćdziesięcioletnią księżną Beatę Ostrogską, córkę

ścia lat od niego starsza, jeszcze żyła. Stosunek Olbrachta z Sabiną powszechnie w Polsce był znany, miał z nią dwóch synów i dwie córki i jak się zdaje, bardzo był do niej przywiązany.

O niej zapewne pisała Katarzyna 13. lutego 1573 do Montluca, żeby użył tych samych sposobów, co cesarz, chcąc przeprowadzić kandydaturę arcyksięcia Ernesta, a mianowicie podarunków: »Mówią, oto wyrazy Katarzyny, że Olbracht Łaski daje się powodować kobiecie, którą bardzo kocha, i że ona potrafi go skierować tam, gdzie zechce«. Jej nie powinien Montluc szczeniść nawet bardzo kosztownych prezentów.

Oprócz Olbrachta Łaskiego popierał kandydaturę Henryka także Andrzej Zborowski. Katarzyna pokładała jednak największą nadzieję w Olbrachcie Łaskim.

W chwili, kiedy już teren jak najlepiej był przygotowany dla Henryka, rozeszła się wiadomość w Polsce o nocy św. Bartłomieja. Montluc się przeraził, cała jego praca, wszystkie starania zdawały się nie prowadzić do celu. W listach pisanych do Brularta, sekretarza stanu w Paryżu, przebija się rozczarowanie. »Zrozumiecie, pisał, jak dalece ten nieszczęsny wiatr, który wieje we Francyi, cofnął łódź, którąśmy już dowiosłowali do wejścia do portu. Możesz sobie wystawić, jak ten, który rzeczy prowadzi do pożądanego celu, musi ubolewać, gdy wskutek obcych błędów traci owoc swych starań. Jeżeli miano ochotę na to królestwo polskie, trzeba było wstrzymać wykonanie tych egzekucyj, które się stały«.

Biskupa napadła melancholia, czuł się chorym i niedołężnym starcem, a gdyby jeszcze doszły do Polski wiadomości o okrucieństwach, popełnionych na hugenotach, to nawet dziesięcioma milionami złota nie potrafiłby pozyskać stronników dla Henryka. Wobec tego Montluc błaga, aby go z Polski odwołano.

Obok biskupa Montluc wysłała Katarzyna do Polski ce-

króla Zygmunta Starego, zrodzoną z Katarzyny Telniczanki, dziedziczkę ogromnych dóbr, matkę znanej ze swych tragicznych losów Halszki z Ostroga, bohaterki dramatu Szujskiego. Po krótkim pożyciu z Beatą zamknął ją Olbracht jakby w więzieniu w zamku Kesmarskim, aby zagarnąć jej majątki, i ożenił się z Sabiną de Sevė.

lem agitowania za księciem d'Anjou karła, Polaka, nazwiskiem Jana Krasowskiego, który długie lata był na jej dworze i gdzie go bardzo lubiono. Dostał on się na dwór Katarzyny jeszcze za Franciszka II. Pochodził z dobrej rodziny, bo był kasztelanem podlaskim; nie raził swoją powierzchownością, gdyż pomimo drobnej postaci był dobrze zbudowany, w zachowaniu gładki, zręczny, przebiegły, a nadto bardzo dowcipny. O jego zręczności świadczy i to, że we Francyi dorobił się znacznego majątku.

Karzeł dobrze się sprawił, ale noc św. Bartłomieja także mu stanęła w drodze. Donosił Katarzynie, że »Niemcy, którzy wyrzucili już 60.000 talarów na wybór arcyksięcia, zaczęli rozpisywać takie oszczerstwa, których — nie śmiem powtarzać, odważyli się mówić, że król i duc d'Anjou biegali po ulicach Paryża, krzycząc: »Śmierć hugenotom!« Wszyscy protestanci tego królestwa, a są bardzo liczni, którzy byli po naszej stronie, nie wiedzą, co robić i gdzie się zwrócić¹⁾.

Nie na tem koniec. Ambasador francuski w Wenecyi pisał do Katarzyny zupełnie otwarcie, że oburzenie z powodu rzezi św. Bartłomieja jest powszechnem nie tylko pomiędzy protestantami, ale i pomiędzy katolikami. Pierwej Niemcy, nawet protestanci, radzi byli oddać koronę cesarską księciu d'Anjou, aby nie powiększać potęgi hiszpańskiej; teraz niema o tem mowy i król hiszpański jest jedynym monarchą, przewodzącym całemu chrześcijaństwu.

Choisnin, który bawił w Polsce, zanotował w swoich Pamiętnikach: »Nasza popularność nie trwała dłużej, jak dwadzieścia cztery godzin, gdyż przybył ktoś, kto przywiózł fatalną wiadomość, wzbogaconą wieloma szczegółami, a w kilka godzin już złorzeczono imieniu francuskiemu. Co tydzień przynoszono ryciny, przedstawiające sposoby, w jaki męczono hugenotów. Rozpruwano kobiety, aby wydzierać dzieci z ich łona. Król i duc d'Anjou dawali znakami do poznania, że egzekucje nie były dość srogie. Te rysunki z odpowiedniami podpisami tak dalece oburzały umysły, że mnóstwo osób nie cierpiało, aby w ich przytomności wspomniano nazwisko Karola IX.,

¹⁾ Bibliot. nat. 500 Colbert, Nr. 7 fol. 477.

panie mówiły o wydarzeniach paryskich z płaczem, jak gdyby były świadkami tych egzekucji.

Wskutek tych wiadomości położenie Montluka^o stawało się coraz trudniejszym; ale poseł Katarzyny ratuje się kłamstwem: każe drukować, że w nocy św. Bartłomieja zginęło co najwięcej około czterdziestu szlachty. Co więcej, ogłasza te nieprawdy w memoryale pisanym po łacinie i po francusku: »Défense de Jean de Montluc pour maintenir le très illustre duc d'Anjou contre les calomnies de quelques malveillans« i rozrzuca to pismo po całej Polsce. Ten memoryał nie wystarczał, więc poseł francuski rozszerzał jeszcze inne pisma mające usprawiedliwić i Karola IX. i księcia d'Anjou, jak »Défence ou Apologie« tudzież »Lettres à Elvidius«¹⁾. Tę ostatnią broszurę napisał Guy de Faur de Pibrac, obrońca nocy świętego Bartłomieja, jeden z najbardziej poczytnych pisarzy francuskich w XVI. w. Montluc sprowadził samego Pibraca do pomocy do Polski, a był to człowiek szlachetny, o wielu zaletach charakteru, przytem bardzo wymowny i poeta, którego ceniono prawie narówni z Ronsardem. Słynne były jego czterowersze treści moralnej, tłumaczone na kilka języków, które długi czas służyły do wpajania dobrych zasad w umysły dzieci. Opowiadają, że mała panna d'Aubigné nadzwyczaj lubiła paść indyki. Matka chcąc jej zrobić przyjemność, pozwalała chodzić w pole do indyków, dawała koszyczek z dobrymi rzeczami do rąk, wkładała dziewczynce maskę na twarz, aby się nie opaliła i słomiany kapelusz na głowę. Nie wolno jej wszakże było zaglądnąć do koszyka, dopóki się nie nauczyła pięciu czterowerszy Pibraca.

Dworactwo i hipokryzja z niem połączona tak głęboko były wówczas wkorzenione nawet w szlachetniejszych umysłach, że tacy ludzie, jak Pibrac lub Morvilliers, pisali przeciw swemu przekonaniu apologie rzezi z 24. sierpnia, aby się tylko przypodobać królewskiej rodzinie. Duc d'Anjou zresztą zaraz się wywdzięczył usłużnemu poecie Pibracowi, obsypał go honorami i zabrał ze sobą do Polski.

¹⁾ Ornatissimi cuiusdam viri, de rebus gallicis ad Stanislaum Elvidium epistola. Lutetiae, apud Federicum Morellum. 1573.

Montaigne chwali nadzwyczaj Pibraca, jako człowieka o zdrowych zapatrywaniach i łagodnych obyczajach. Czterowiersz, który ułożył »le bon monsieur de Pibrac« aż zanadto dobrze charakteryzuje dworaka, umiejącego się zastosować do okoliczności:

Kochaj rząd taki, jakić los przygodził;

Jeśli królewski, kochaj króla-pana,

Jeślić zaś władza pospólna jest dana,

Kochaj ją takż, boś się pod nią zrodził.

(Przełożył Boy).

Montluc był niezmordowany w usprawiedliwianiu swego królewskiego kandydata, bo nawet w Krakowie wyszła z początkiem r. 1573 bezimienna broszura, starająca się oczyścić księcia d'Anjou z wszelkich win odnoszących się do nocy św. Bartłomieja¹⁾.

Ale te broszury wywoływały także odpowiedzi ludzi, którzy mieli jeszcze zdrowy rozum i serce. Pomiędzy innymi Polak Prisbachius dał dzielną odprawę królewskim pismakom, dowodząc, że sprzysiężenie, o które posądzano Colignego, było tylko wymysłem jego katów²⁾.

Jezuici nie zostali bezczynni w obronie niesprawiedliwości. Najzłośliwszy z nich, jezuita z Ingolstadt, wydał panegyryk, wielbiący księcia d'Anjou jako najznakomitszego wodza ostatniej bitwy paryskiej i pogromcę nieprzyjaciół Kościoła, opiekuna Stolicy Apostolskiej.

Wszystkie te broszury pobudzały tylko namiętność szlachty polskiej. Na sejmie konwokacyjnym utrzymywali deputowani litewscy, że Piotr Zborowski, wojewoda sandomierski, i Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki, otrzymali znaczne sumy, aby popierać kandydaturę księcia d'Anjou. Ci się usprawiedliwiali, ale ich wywody nie sprawiły pożądanego wrażenia,

¹⁾ Vera et brevis descriptio tumulthus postremi gallici Lutetiani, in quo occidit admirallius cum aliis non paucis, ab origine, sine cujusdam injuria facta. Cracoviae, in officina Scharffenbergii, 1573.

²⁾ Odpowiedź Wolffganga Prisbachiusa, Polaka, na pismo broniące morderstw i rabunków francuskich (W Mémoires de l'Estat de France sous Carles IX. T. I. p. 20).

gdyż wiadano o tem, że Łaski został przekupiony obietnicą stu tysięcy talarów i perspektywą województwa mołdawskiego.

Wreszcie po długich sporach i targach tak pomiędzy stronnictwami szlachty polskiej, jak i pomiędzy sejmem a Montlukiem został Henryk d'Anjou obrany królem polskim i sejm elekcyjny rozjechał się 16. maja 1573. Do Paryża doszła ta wiadomość 17. czerwca, a gdy poseł, oznajmiający wybór, został wprowadzony do gabinetu Katarzyny i powitał ją słowami: »Je vous salue, mère de nostre roy de Pologne«, królowa rozplakała się z radości.

II.

Jak wyglądał ten kandydat na króla polskiego? Oto jedna z najkorzystniejszych jego charakterystyk, którą ambasador wenecki w Paryżu, Morosini, przesłał swemu rządowi:

»Henryk III., pisze Morosini, kończy teraz dwudziesty drugi rok życia (19. września 1573); przedstawia się bardzo dobrze, szlachetne, pełne gracyi zachowanie się, ma najpiękniejsze ręce we Francyi, wydawałby się nawet poważnym, gdyby zanadto afektacyi nie szkodziło tej godności, którą mu dała natura; ale jego ubieranie się, ozdoby, w których się lubuje, nadają mu pozoru miękkości i prawie kobiecej delikatności. Oprócz wspaniałych strojów, podniesionych jeszcze drogiemi kamieniami i perłami, stara się duc d'Anjou mieć wyrafinowane zbytkowną bieliznę i włosy sztucznie uczesane. Zazwyczaj nosi podwójny naszyjnik z ambry, oprawionej w złoto, który wydaje jak najmiłszy zapach. Co mu odbiera resztę powagi, to uszy przekłute, jak u kobiety (moda zresztą zwykła u Francuzów), a nie zadawała się jednym pierścieniem w każdym uchu, ale nosi ich aż po dwa z długimi wisiorami z pereł i drogiej kamieni«¹⁾.

Wydawał rocznie przeszło 100.000 talarów w złocie na małe pieski lyońskie.

Oto niezbyt pochlebna sylwetka przyszłego króla Sarmatów.

¹⁾ Relazioni Venez. Serie la f. VI. p. 26.

Dziewiętnastego czerwca ogłosiły działa królewskiej gwardyi w Paryżu coś nadzwyczajnego: wybór Henryka d'Anjou na króla polskiego. Henryk znajdował się wówczas przy armii, oblegającej Le Rochelle; natychmiast więc przyspieszył układy z zamkniętymi tam hugenotami i udał się wraz z księciem d'Alençon, królem Nawarry i księciem de Condé do Paryża, aby tam oczekiwać zapowiedzianej ambasad polskiej, mającej mu ofiarować koronę.

Poselstwo wyjechało z początkiem lipca z Krakowa, ale dopiero drugiego sierpnia stanęło na granicy Francyi, a czwartego sierpnia wjechało do Metz, gdzie je przyjęto bardzo uroczście i pokrzepiono w pałacu kardynała de Lorraine wspa- niałą wieczerzą.

W Paryżu oczekiwali książęta i dygnitarze przed bramą miasta zdala przybyłych gości. Byli pomiędzy nimi Henryk I. lotaryński, cichy pretendent do francuskiego tronu, duc de Guise le Balafre, Karol duc d'Aumale, Albert de Gondi, marszałek de Retz, faworyt Katarzyny, i wielu innych dygnitarzy. Dziewiętnastego sierpnia 1573 około trzeciej godziny po południu ukazał się długi szereg pięćdziesięciu powozów, zaprzężonych w cztery i w sześć koni. Cały Paryż wyległ na ulice, kędy przejeżdżało polskie poselstwo; wiek, pleć, nawet zły stan zdrowia nie przeszkadzały, aby się przypatrzeć temu rzadkiemu widowisku. Okna były pełne widzów, a na niektórych kamienicach obawiano się, aby dachy się nie zapadły, takie mnóstwo ludzi się tam wydrapało. Oprócz pięćdziesięciu powozów cwałowało na koniach o długich grzywach dwustu pięćdziesięciu szlachty, służby, razem przeszło trzysta osób.

Właściwe poselstwo składało się z dwunastu dostojników, wybranych przez sejm elekcyjny. Przewodniczył im Adam Konarski, biskup poznański, a pomiędzy innymi byli tam Olbracht Łaski, główny poplecznik księcia d'Anjou w Polsce, i Mikołaj Firley z Dąbrowicy, starosta kazimierski, jeden z przywódców stronnictwa protestanckiego w Polsce.

Ulice, któremi posłowie przejeżdżali, były przystrojone, gdzie niegdzie nawet postawiono łuki tryumfalne z napisami, witającemi Polaków, układu nadwornego poety Dorata.

Publiczność paryska nie miała zawodu; posłowie, pię-

kne postaci, prawie wszyscy wysokiego wzrostu, na ogólnych głowach sobolowe kolpaki z pióropuszcami, przypiętymi guzami z drogich kamieni. Wysokie, żółte buty i kołczany służby, konie wspaniałe przybrane, rzędy ozdobione srebrnymi i złotymi haftami, wysadzone drogiemi kamieniami, zwracały szczególną uwagę. Pomędzy szlachtą, powiada historyk de Thou, nie było ani jednego, któryby nie mówił po łacinie, po włosku lub po niemiecku, a niektórzy wyrażali się nawet tak poprawnie po francusku, że możnaby ich raczej wziąć za ludzi, wychowanych nad brzegami Sekwany, aniżeli za mieszkańców dalekich krajów. De Thou nie może się powstrzymać od uwagi, że był to wielki wstyd dla tamtejszych dworzan, którzy nietylko nic nie umieją, ale są zażartymi nieprzyjaciółmi wszystkiego, co się nazywa umiejętnością. To też na zapytania tych nowych gości odpowiadali tylko znakami, rumieniąc się, że nie znają żadnego obcego języka.

Dwa dni wypoczęli posłowie po dalekiej podróży, a 21. sierpnia udali się, przepysznie ubrani w złociste brokaty, Sekwaną na statkach do Luvru, aby się przedstawić Karolowi IX. Poprzedzały ich grupy paziów i koniuszych, niosąc buławy i lance długie na cztery do pięciu stóp. Król przyjął posłów w otoczeniu książąt krwi, kardynałów i najznakomitszych dygnitarzy. Ucałowali rękę monarszą, biskup poznański przemówił po łacinie, na co mu kanclerz de Birague odpowiedział imieniem króla.

Poczem przeszli do pokoju królowej matki; tam znów Konarski wystąpił z nową oracyą, na którą już sama Katarzyna odpowiedziała tak ładnie po włosku, że posłowie dziwili się jej wymowie. Jeszcze krótka wizyta u królowej Elżbiety, a następnie hołd, złożony najpiękniejszej kobiecie królewskiej rodziny, królowej Nawarry, Małgorzacie, siostrze przysłego króla polskiego.

Ta wizyta najbardziej zachwyciła Polaków, a Brantôme pisze, że posłowie byli oszołomieni pięknoscią Marguerity, a najbardziej Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki, który wychodząc od młodej królowej, powiedział, że po oglądaniu tej pięknosci chętnieby naśladował Turków, pielgrzymów do Mekki, którzy napatrzywszy się wspaniałości tamtejszej mo-

szej, nie chcą już nic widzieć na świecie i każą sobie oczy wypalić rozpalonem żelazem. Marguerita sama odpowiedziała na przemówienie biskupa poznańskiego tak rozumnie i gładko, że posłowie jednogłośnie uznali ją za drugą Minerwę i boginię wymowy.

Tych wizyt ceremonialnych było aż za wiele; 22. sierpnia złożyli posłowie hołd nowowybranemu królowi w pałacu d'Anjou, dokąd odbyli konny pochód, pełen okazałości. Tutaj chodziło już nie o same grzeczności, ale o układy co do warunków, pod jakimi duc d'Anjou zobowiąże się przyjąć polską koronę, o tak zwane »pacta conventa«.

Rokowania nie były zbyt łatwe; charakter syna Katarzyny medycejskiej wzdrygał się na uznanie takich wolności, jakie w Polsce już panowały, a gdy przyszło do przyrzeczeń, aby pokój pomiędzy katolikami a protestantami był nienaruszony, powstały trudności. Spowodował je jeden z posłów, biskup poznański, który szorstko zaprotestował przeciw ustępowi paktów o wolności religijnej dysydyntów. Okazało się, że znaczna liczba członków poselstwa przyrzekła jeszcze w Krakowie popierać biskupa poznańskiego, pomiędzy nimi Radziwiłł. Rzecz niebывała, aby się nie porozumieć w domu, ale odkrywać swe niesnaski dopiero w Paryżu, przed kandydatem do korony. Henryk III. ucieszył się w głębi duszy i oświadczył, że nie może podpisać artykułów, co do których sami posłowie nie są jeszcze w zgodzie. Wtedy Jan Zborowski zwrócił się gniewnie do Walezego, mówiąc stanowczo: »Jura-bis aut non regnabis«, — »Przysięgniesz, albo nie będziesz panował«, na co Henryk zażądał odpisu tych paktów, aby się mógł namysleć. Oczywiście wystąpienie posłów katolickich jak najgorsze zrobiło wrażenie na protestantów i domyślano się, że rzecz była już naprzód obmyślona pomiędzy biskupem poznańskim, Łaskim, Radziwiłłem a Montlukiem. Posądzano Łaskiego, że rzecz ułożył poprzednio z księciem d'Anjou i że z tego powodu pierwaj, niż inni, przybył do Paryża.

Posłowie protestancy żądali jednak stanowczo, aby król przysiągł na te pacta conventa, jakie na sejmie były postanowione, wskutek czego i posłowie katolicy musieli na razie na nie się zgodzić, aby kandydatura Henryka nie upadła.

Henryk miał jednak jeszcze twardy orzech do zgryzienia. Pomiędzy warunkami objęcia tronu było małżeństwo z Anną Jagiellonką. Na to przystać nie mógł. Kochał się wtedy w księżnie Condé, a nawet miał zamiar się z nią ożenić. Wymyślił więc dobrą wymówkę, przeciw której i posłowie nic zarzucić nie mogli, a mianowicie, że nie wiadomo, czyby się królowna zgodziła na to małżeństwo.

We czwartek więc dziesiątego września zaprzysiął Henryk III. pacta conventa w kościele Notre-Dame, a dalsze dni pobytu posłów polskich w Paryżu wyzyskano na festyny, które miały okazać Polakom wspaniałość francuskiego dworu. Dotychczas okazałości należało przedewszystkiem oddanie Henrykowi dekretu, potwierdzającego jego wybór na króla polskiego. Uroczystość odbyła się w wielkiej sali Louvru, która się spaliła w r. 1618. Cały dwór i wszystkie wybitniejsze osobistości Paryża zgromadziły się na tę uroczystość, tak, że w sali było przeszło 10.000 osób. Uderzono w trąby i polscy posłowie weszli, niosąc dekret elekcyjny, zamknięty w szkatule z połączanego srebra, którą złożyli u tronu Karola IX. na małym stoliku, przykrytym kapą z karmazynowego aksamitu, złotem haftowaną. Nastąpiły przemówienia, w których biskup poznański uwiadomił uroczystie króla, że Polacy wybrali Henryka z powodu »jego wielkich zasług« i prosili, aby przyjął do swej wiadomości ten wybór. Adres na dekreście opiewał: »A Henri, roi de Pologne, pieux, illustre, triomphant, grand«. Dzisiaj nas ta tytułatura trochę rozśmiesza; gdybyż choć jeden z tych przymiotników zgodny był z prawdą!

Uroczystość zakończyła się odśpiewaniem hymnu Te Deum, wystrzałami z armat, poczem włożono szkatułę z dekretem dla Henryka na białą klacz, nakrytą złotistym czaprakiem, i zawieziono w tryumfie do pałacu d'Anjou.

Nie koniec na tem; nazajutrz wjeżdżał nowy król uroczystie do Paryża, wśród okrzyków ludu, na pysznym koniu, pod baldachimem, zatrzymał się w Notre-Dame, gdzie znowu przemówienia i znowu Te Deum. Wieczór zaprosiła królowa Katarzyna posłów polskich na przedstawienie teatralne w wielkim pawilonie, na ten cel wybudowanym, w ogrodzie w Tuileries. Teatr, jak opowiada dworzanin Andrzeja Górki, był

»pięknem wiązaniem z maju i złocistych ozdób chędogo przystrojony. Po wstępnych tańcach trzech skoczków »odsłonięto ganek, zakryty płótnem, i ukazała się dziwna struktura na kształt skały, na której siedziała piękna białogłowa, u stóp siedziały dwoma rzędami białogłowy, jedne w bieli, drugie w czerwieni, a tak usadzone, że się barwa przeplatała czerwona z białą. Całą tę strukturę posuwało naprzód sześciu chłopców, których widać nie było; przed nią szło dziesięciu małych karlików z mieczami, po francusku, jednak dość pięknie ubranych. Wytoczyła się struktura do połowy teatru; ludzie wewnątrz ukryci grać zaczęli i śpiewać cicho ozdobnymi głosy; potem struktura obróciła się około i przytoczyła do majestatu, na którym królowie siedzieli, a wtedy białogłowa, siedząca na wierzchu skały, która miała wyobrażać państwo francuskie, poczęła osobliwym głosem śpiewać, dziękując królowi polskiemu, że ją bronił od nieprzyjaciół, i życząc mu szczęśliwego panowania. Potem druga białogłowa, na przedzie siedząca, grać na lutni i śpiewać zaczęła. Po dokonanym śpiewie zatoczono strukturę na swoje miejsce, białogłowy wyszły na środek sali i tańczyły bardzo misternie rozmaite tańce. A potem szły przed króla polskiego i każda z nich podała mu, pocałowawszy, piękny puszek piór, na którym był herb prowincyi, którą ta białogłowa wyobrażała. Na żądanie królowej matki zdjęły z twarzy maskary i tańczyły tańce, a były to co najpiękniejsze białogłowy szlacheckiego urodzenia, z którymi królowa matka chciała się pokazać. Potem królestwo Ichmość tańczyli; zabawę zakończyła wieszera, złożona z cukrów, marmypanów i innych słodkich rzeczy«¹⁾).

Wiersze, które przy odgłosie lutni deklamowały nimfy, przedstawiające szesnaście prowincyj francuskich, ułożył Ronsard i Daurat na chwałę Francyi i nowego króla polskiego; ale poezye te nie odznaczały się poetycznym połotem.

Królową przedstawienia nie była jednak żadna z nimf,

¹⁾ Sew. Gołębiowski, Biblioteka warszawska 1853 T. I. str. 416—417 podług dziennika, który się mieści we »Fragmenta mortis Augusti et expeditio Polonorum pro Henrico« Andrzeja Lissiewskiego anno Dei 1612.



Arras, przedstawiający festyn na Sekwanie na cześć ambasady polskiej.



ale Marguerita, co musiało wprowadzić Łaskiego w niebывały zachwył. Była ubrana w suknię z »incarnat d'Espagne«, wyszytą w kosztowne świecicła, a na głowie miała berecik z tałiego samego aksamitu, przystrojony piórami i klejnotami.

Szcześnieim utrzymały się dwa arrasы w muzeum arrasów we Florencyi, które dają nam wyborne wyobrazenie o uroczystościach paryskich z okazji przybycia posłów polskich. Drogocenne te tapiserye z wełny, jedwabiu, przetykane złotem, wykonane były w fabryce brukselskiej według kartonów Franciszka Quesnela, nadwornego malarza Walezego i królowej Katarzyny. Są to arcydzieła ówczesnych tkanin, a kartony do nich były tak wiernie rysowane z natury, że bardzo szczegółowe można z nich mieć wyobrazenie o strojach polskiego i francuskiego towarzystwa, tudzież o tej »strukturze«, o której opowiada dworzanin Andrzeja Górki. Nawet niemiły zwyczaj Henryka III. niepatrzenia się w oczy temu, z kim rozmawiał, uchwycony jest wiernie na arrasie, przedstawiającym festyn w Tuilleriach. Owa podziwiana przez współczesnych »struktura«, podobna do wozów nicejskiego karnawału przed wojną, robiłaby dzisiaj swą nieudolnością arcykomiczne wrażenie. Przepyszny strój musiał mieć poseł polski, rozmawiający z Henrykiem Walezym. Kontusz tego posła ze złocistej wschodniej tkaniny o wzorach ptaków i lwów, wśród roślinnych splotów. Równie piękną jest kompozycya drugiego arrasu, przedstawiająca igrzyska na Sekwanie. Uderza na niej łódź w kształcie potwora morskiego, rodzaju wieloryba, na którą nacierają pomniejszych statki wokoło. Osobliwie zajmującą na tym arrasie jest grupa trzech osobistości, w której rozpoznać można piękną Małgorzatę de Valois i Bearneńczyka, późniejszego Henryka IV., opowiadającego coś z wielkim animuszem. Przysłuchuje się tej rozmowie Karol II., książę lotaryński, zwrócony wprost do widza. Obydwa arrasы okolone są przepyszными szlakami, jakby oddanemi według najpiękniejszych renesansowych miniatur.

ale Martguerita, co musiała wprowadzić Łaskiego w nieprzyjacielski zachwył. Była ubrana w suknię z incamist d'Espagne, wyszyła w kostowne świadki, a na głowie miała perlicę z łaskiego samego skamienia, przystrojony piórami i klejnotami.

Wszystkiem utrzymywały się dwa strasy w muzeum artystów we Florency, które dają nam wyborne wyobrażenie o czystościach partyjskich z okazji przybycia posłów polskich. Drogocenne te tabliczki z węgry, jedwabiu, przetykane złotem, wykonane były w fabryce pruskiej według kantonnów Franciszka Guano.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Ważnego i królowej Katarzyny. Na to archiducha ówczesnych krajów, a kar-
 tony do nich był tak wiecznie tysonane z natury, że bardzo
 szczególne. Na to archiducha ówczesnych krajów, a kar-
 szkiego i francuskiego łowczywa, łowczy o tej strukturze,
 o której opowiada dworzanin andrzeja Górki. Nawet niemniej
 zwrócił Henryka III. niepałaczem się w oczy temu, z kim roz-

PO ODJEŹDZIE HENRYKA III.

I.

Tyrania królowej Katarzyny ciążyła ludziom stojącym na czele ruchów politycznych we Francyi, zwłaszcza że Karol IX. coraz bardziej ulegał matce. Gniewało to księcia d'Alençon, który nienawidził brata i rozgoryczało ludzi rozważnych, widzących nieszczęście kraju w intrygach Włoszki i jej otoczenia. Zawiązało się też stronnictwo nazwane «les politiques», będące prawie otwarcie wrogiem królowej matce. Głową tego stronnictwa był Montmorency. Do «Polityków» zbliżył się duc d'Alençon, a łącznikiem pomiędzy nim a Montmorencym był Boniface de La Mole, Prowensalczyk, ulubieniec duka, człowiek bardzo miły, zdobywca serc kobiecych. D'Alençon używał go do swych poselstw do Londynu celem ujęcia sobie królowej Elżbiety; na pośrednika pomiędzy dukiem a królową był jednak za przystojny, bo się tak podobał Elżbiecie, że nawet Leicester był o niego zazdrosnym. Karol IX., przeczuwając intrygi Prowensalczyka, nie lubił go i wysmiewał się z tego nabożnisia. La Mole odznaczał się skrajną bigoteryą; nie zadawał się wysłuchaniem jednej mszy codziennie, ale przepędzał czas zazwyczaj na czterech lub pięciu nabożeństwach, obawiał się bowiem, że jeżeli opuści jedną mszę, będzie kandydatem do piekła. Obok tego zajęcia oddawał się w dzień i w nocy miłostkom, a Karol IX. mawiał o nim, że toby chciał

założyć rejestr stosunków miłosnych La Mola, toby potrzebował tylko policzyć msze, na które chodzi. Mógł on się także szczycić bardzo daleko posuniętym stosunkiem z Margueritą de Valois, która wówczas jeszcze była dość wybredna.

Ponieważ La Mole miał także romans z panią Charlottą de Sauve, należąca do tych pań, które o wszystkim donosiły Katarzynie, więc królowa dowiadywała się przez nią o kno-waniach księcia d'Alençon i jego towarzyszy przeciw Karolowi IX., tem łatwiej, że pani de Sauve dzieliła swoje łaski także pomiędzy księcia d'Alençon, a króla Nawarry. Drugim zaufanym pośrednikiem księcia d'Alençon w politycznych intrygach był Coconasse, szlachcic z Piemontu, który miał stosunek z księżną de Nevers; król kazał więc uwięzić La Mola i Coconassa w Bastylli. Ambasador angielski, doktor Dale, starał się uniewinnić La Mola przed Katarzyną, jakoby obwiniony nie wiedział właściwie, za co go uwięziono; wszelkie zabiegi przyjaciół uwięzionego na nic się nie przydały, oddano sprawę parlamentowi, który pod wpływem króla i Katarzyny zasądził na śmierć obydwu obwinionych.

Do zasądzenia La Mola przyczynił się mimo woli przyjaciel jego, Cosme Ruggieri, którego także posądzano o spólnictwo w spisku przeciw królowi. Ruggieri schronił się do hotelu posła florenckiego, ale i tam go aresztowano. Wychodząc stamtąd, był tyle nieostrożnym, że się zapytał tych, co go prowadzili, czy król nie miał wymiotów. Doniesiono o tem Katarzynie, która, jak zwykle, zabobonna i obeznana z praktykami włoskich czarnoksiężników, domyśliła się, że Ruggieri przedsięwziął jakieś czary przeciw królowi. Kazała przeszu-kać rzeczy La Mola, gdzie znaleziono figurkę z wosku, mającą przedstawiać jakąś osobistość niewyraźnej płci. Według zwyczaju ówczesnych czarnoksiężników robiono takie figurki, aby czarami powoli zabijać kogoś, czyjej śmierci sobie życzono. Zwykle ów tajemny nieprzyjaciel kłuł figurkę szpilką albo uderzał ją w głowę, co miało przyspieszyć śmierć danej osobistości. Taką figurkę znaleziono u La Mola, który jednak wzięty na tortury, wyznał, że to był portret kobiety, którą pragnął pojąć za żonę, a że owa pani nie chciała iść za niego,

więc próbował skłonić ją w sposób czarodziejski, aby go pokochała.

Pomimo tortur nie wyznał ani La Mole ani Coconasse nic takiego, co by mogło posłużyć za dowód winy przeciw królowi; mimo to skazał ich parlament na ścięcie na placu de Grève; ciała ich miały być rozćwiartowane na cztery części i powieszane na czterech szubienicach, postawionych przy głównych bramach Paryża, głowy zaś wystawione na placu la Grève.

Duc d'Alençon błagał króla i matkę, aby straszny wyrok nie był wykonany na jego przyjaciółach, ale napróżno.

Marguerita de Valois i księżna de Nevers kazały wykraść w nocy głowy swoich kochanków, zabalsamować je i następnie przybrały te relikwie miłości we własne klejnoty, pozawijały w drogocenne materye z własnych sukien i w ołowianych puszkach pochowały na cmentarzu Montmartre. Jeden z późniejszych pisarzy opowiada, że powiększając klasztor na Montmartre, natrafiono przy kopaniu fundamentów na te puszki, a zakonnice, przekonawszy się, że owe głowy są przybrane w klejnoty, myślały, że to relikwie świętych. Po stylu klejnotów i gatunku jedwabów dowiedziono, że to szczątki wprawdzie męczenników, ale męczenników za przyjaźń i miłość.

Marguerita de Valois i księżna de Nevers tak rozpocząły za swymi kochankami, że przywdziały na znak żałoby brunatne suknie, a na swych bransoletach i klejnotach kazały wyrycić trupie główki i rozmaite inne znaki śmierci, czem się cały dwór bardzo gorszył, i tylko ich mężowie, jak zapewnia Brantôme, nie zwracali uwagi na te komedye.

II.

Przejęcia ostatnich czasów nadzwyczaj niekorzystnie wpłynęły na zdrowie Karola IX.; zaczął raptownie chudnąć i tak był osłabiony, że się nie mógł na nogach utrzymać. Miał wybuchy krwi z ust; dwudziestego dziewiątego maja pi-

sał ostatni list, w którym, przeczuwając bliską śmierć, donosił panu Matignon, że błagał matkę, aby z jak największą starannością dbała o sprawy państwa podczas jego choroby, dopókiby jego następcą, król polski, nie powrócił. Prosił księcia d'Alençon i króla Nawarry, aby posłuszni byli królowej Katarzynie, co mu uroczyście przyrzekli.

W nocy z 29. na 30. maja 1574 tak się królowi pogorszyło, że lekarz przyboczny, Mazille wezwał obecnych, aby wyszli z pokoju i pozostawił przy nim tylko dawną niankę, do której Karol IX. bardzo był przywiązany, bardziej, aniżeli do całej swej rodziny, pomimo że była hugenotką. W czasie mordów nocy św. Bartłomieja nie pozwolił jej wychodzić ze swych pokoi, obawiając się o jej życie. Ona tylko była świadkiem tych strasznych wyrzutów sumienia, które nękały króla z powodu mordów, popełnionych na hugenotach. Gdy słyszała ciche skargi umierającego, zbliżyła się do łoża boleści, aby zobaczyć, czy król czego nie pragnie. — Ach, moja kochana, ile to krwi, ile krwi! — narzekał, — dano mi złe rady; Boże przebacz mi, czuję, że jestem zgubiony.

— Sire, — pocieszała go poczciwa hugenotka, — morderstwa spadają na głowy tych, którzy Cię do nich nakłonili. Bóg Ci tych zbrodni nie policzy.

O czwartej popołudniu już nie żył.

W tej chwili odezwały się dzwony w Saint-Germain l'Auxerrois, oznajmiając Paryżowi, że król umiera. Natychmiast według zwyczaju ruszyła solenna procesya dygnitarzy do Luwru, aby być przytomną śmierci królewskiej.

Katarzyna najzupełniej zapanowała nad sobą; natychmiast wyjechała do Vincennes i stamtąd ostatniego maja 1574 napisała dwa listy, jeden do p. Matignon, aby go uwiadomić, że obejmuje rejencyę, drugi do króla polskiego, prosząc go, aby jak najprędzej powrócił i objął panowanie.

Katarzyna radzi w tym liście Henrykowi, aby odjeżdżając, powiedział Polakom, że im przysze jako zastępcę swego brata, albo drugie dziecko, które będzie miał. Tymczasem niech się sami rządzą, wybierając zaraz Francuza «pour assister a tout ce qu'ils feraient et croy qu'ils en seraient bien aises».

Pomimo długiego doświadczenia Katarzyna była jeszcze naiwną.

Pod tym listem podpisała się »Votre bonne et affectionnée mère, s'il y a jamais au monde«¹⁾.

Po Karolu IX. pozostała cicha, szlachetna wdowa, Elżbieta, i córka Izabella, mała dziecina. Umierający król wiedząc, że Katarzyna nienawidzi synową, polecił wdowę i sierotę królowi Nawarry, któremu najbardziej ufał; ale Katarzyna pośpieszyła się, aby ogłosić swoją rejencyę i oznajmić rodzinie, że syn dał jej instrukcyę co do Elżbiety i jej córki.

W kilka dni po śmierci Karola IX. rozkazała Izabellę przewieźć do zamku w Amboise, gdzieby mogła być wychowaną poza wpływem Elżbiety.

Wierny Elżbiecie poseł cesarza Maksymiliana przy dworze francuskim, Busbeck, wyraził rejentce imieniem cesarza życzenie, aby Elżbieta powróciła do Wiednia. Katarzyna wolała jednak mieć wdowę pod swoim wpływem i odpowiedziała, że zwyczaj nie pozwala wdowom po królach francuskich opuszczać Francyi przed upływem żałoby. Po niejakiem czasie jednak Elżbieta, nie mogąc wytrzymać upokorzeń, jakie jej Katarzyna dawała uczuć, stanowczo zażądała pozwolenia na wyjazd do rodziny. Wtedy Katarzyna, nie chcąc się narazić cesarzowi, pozwoliła jej wprawdzie opuścić Francję, ale oświadczyła, że Izabella, jako »fille de France« musi się wychowywać w Amboise.

Biedna dziecina, pozostawiona pod strażą niechętnych jej Francuzek, umarła w Amboise z tęsknoty za matką, mając sześć czy siedm lat. Brantôme, pisząc o jej śmierci, powiada, że mówią, iż śmierć sieroty »przyśpieszono«, ale że on temu nie wierzy.

To przyśpieszenie śmierci było w zwyczaju u Medyceuszów. Dyplomata duński, baron Karol Gleichen (1735 do 1807) opowiada w swoich pamiętnikach, że Leopold II., Wielki książę toskański, syn cesarzowej Maryi Teresy, powiedział

¹⁾ List ten w Bibl. nat. Fonds Dupuy N-o 500 fo. 83.

mu, że, zwiedzając willę Medyceuszów, znalazł kryjówkę w murze, zawierającą mnóstwo trucizn. Na flakonach były napisy, w jakim terminie każda z tych trucizn śmiertelnie działa na nieszczęśliwca, któremu została zadana, i w jaki sposób jej używać trzeba.

Szczeńściem, że królowa Elżbieta, wdowa po Karolu IX., dość szybko wyjechawszy z Paryża, nie uległa losowi, który spotkał jej córkę. W Wiedniu przywdziała Elżbieta habit franciszkańskiej tercyarki i poświęciła się pielęgnowaniu chorych, aby Bóg przebaczył Karolowi morderstwa, popełnione w jego imieniu w nocy św. Bartłomieja.

Według tradycji napisała królowa pamiętniki o wypadkach, które przeżyła we Francji. Pamiętnik ten miał się znajdować u królowej Marguerity z Nawarry, z którą Elżbietę łączyła przyjaźń. W połowie XIX. wieku starał się Clary Darlem, autor historycznej powieści *»Élisabeth d'Autriche«*, trafić na ślad tych pamiętników, ale nadaremnie.

Historyk rzezi hugenotów, Hector de la Ferrière, zauważył, że prawie wszyscy przewodcy tej krwawej tragedji zginęli nienaturalną śmiercią; jedna tylko Katarzyna wszystkich przeżyła, bo tamci z podłością łączyli odwagę, a Medyceuszka była tylko podłą, intrygując z ukrycia.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

HENRYK III.

I.

Henryk wyjechał z Francji drugiego grudnia 1573; towarzyszyło mu przeszło 1200 ludzi. Duc de Nevers, marszałek de Retz, markiz d'Elbeuf i wielu szlachty z najznakomitszych rodów Francji miał w swem otoczeniu; poeta Pibrac był jego kanclerzem, Schomberg z Retzem układali program podróży. Biskup w Strasburgu urządził królowi wspaniałe przyjęcie, ale im dalej w Niemcy, tem większy chłód mu okazywano, a nawet w Speier zamknięto ulice łańcuchami i uzbrojona ludność oczekiwała go jako nieprzyjaciela. We Frankfurcie odkrył magistrat jakieś sprzysiężenie przeciw instygatorowi rzezi paryskiej; ale Henryk III. ułagodził ludność, zakupując w dzielnicy żydowskiej dużo klejnotów, pereł i rozmaitych ciekawości. W Heidelbergu pierwsze wrażenia były bardzo nieprzyjemne; gdy Henryk ze swem otoczeniem wjechał na zamek, zastał puste podwórze, nikt nie wyszedł, aby go powitać. Stary palatyn udał, że chory, i dopiero nazajutrz wyszli do króla młodzi książęta. Henryk musiał jednak wysłuchać od nich bardzo nieprzyjemnej uwagi; gdy bowiem zwiedzając zamek, zatrzymali się przed portretem Colignego, książę Fryderyk powiedział, że to był najlepszy Francuz, jaki kiedykolwiek istniał, i że Francya dużo straciła przez jego śmierć na honorze i na bezpieczeństwie.

W dalszej drodze nudziło się królowi; wziął więc do swego powozu księcia de Nevers i Pibraca i kazał temu literatowi wykladać sobie zasady polityki Arystotelesa, aby się przygotować do rządzenia w Polsce.

Wreszcie 26. stycznia stanął Henryk III. na granicy Polski niedaleko od miasteczka Międzyrzecza, gdzie go oczekiwała szlachta w piętnaście tysięcy koni. Polacy stanęli na pagórkach po prawej stronie drogi, niemiecka konna eskorta, którą królowi dał elektor saski, ugrupowała się na lewo. Gratiani, który także tam przybył na powitanie króla, bardzo barwnie opisał owe dwie grupy kawaleryi, Niemców i Polaków. Niemcy mieli ciężkie konie, prawie wszystkie kare, ubrani byli całkiem czarno, a długimi brodami robili wrażenie bardzo wojownicze. Mieli długie miecze i po parze pistoletów u siodła, a cały zastęp uderzał jednostajnością. Przeciwnie, Polacy tworzyli różnorodny, bardzo barwny obraz. Same już konie nie były tej samej rasy, sprowadzono je bowiem nawet z dalekich krajów, z Turcyi albo i z Włoch. A cóż dopiero powiedzieć o strojach jeźdźców! Jedni byli ubrani po polsku, inni z węgierską, z turecką, a Gratiani widział nawet włoskie i francuskie ubrania. Wielu jeźdźców miało długie włosy i długie brody, inni zupełnie byli ogoleni albo odznaczali się tylko zawieszonymi wąsami. Każdy oddział lśnił inną barwą; były oddziały niebieskie, zielone, ponsowe, ozdobne w złote i jedwabne hafty.

Na widok przybywającego króla uderzono w trąby i zagrzmiało tysiące głosów powitalnych. A gdy ucichły te pierwsze wybuchy radości, rozpoczęły się oracye. Biskup kujawski, Karnkowski, przemawiał imieniem Polaków, Krzysztof Kiszka w zastępstwie Litwinów. Król podziękował Karnkowskiemu w kilku słowach po włosku, a Pibrac oficjalnie przemówił po łacinie.

Przez całą drogę obsypywano króla kwiatami i witano oracyami, w których nie bardzo mile dotykało słowo »wolność«
królewskie ucho.

We czwartek, piętnastego lutego ruszył król z całym swym orszakiem z Balic do Krakowa, gdzie go oczekiwała szlachta w wspaniałych strojach, a do barwności tłumu przy-

czyniały się bardzo złociste rzędy koni, przykrytych skórami niedźwiedzi, wilków, lisów i lampartów, tudzież skrzydła husarzy i długie banderole. Muzyka powitalna musiała się liczyć z wytrwałością ówczesnego słuchu; grzmiały trąby, rogi sara-ceńskie, kornemuzy, a nad różnorodnością tonów panowały małe metalowe kotły, w które namiętnie uderzali jeźdźcy, trzymając je przed sobą. I konie miały wytrwale uszy.

Przeszło 30.000 ludzi witało nowego monarchę, a Gwagnin bardzo szczegółowo opisał porządek, w jakim jechali dygnitarze, ich karoce i stroje¹⁾.

Łuki tryumfalne witały króla w drodze przez miasto na zamek, a tłumy cieszyły się osobliwie z białych orłów, tak sztucznie zrobionych, że na widok króla ruszały głowami na znak zadowolenia. Na bramie zamkowej uderzał swą pięknoscią duży złoty orzeł z liliami na piersi, który się po trzy razy skłonił, gdy się król zbliżał i bił skrzydłami z radości.

W niedzielę po wjeździe króla na zamek odbyła się koronacja, podczas której wszakże odezwały się głosy, tworzące dysonans w powszechnej radości. Arcybiskup gnieźnieński odczytał formułę królewskiej przysięgi, w której jednak wypuścił dwa dodatki, tyżące się wolności religijnej, przyjęte tak na sejmie elekcyjnym, jak i w układach paryskich. Wielki marszałek Firley, protestant, spostrzegł te opuszczenia, przerwał ceremonię i żądał od króla, aby złożył przysięgę według nowego tekstu. Powstało zamieszanie; biskupi się temu sprzeciwiali, natomiast protestancka szlachta, której było dużo w kościele, zaczęła krzyczeć, grozić, tak że król, klęcząc ciągle przed ołtarzem, zmieszał się i wypowiedział nareszcie formułę, zapewniającą wolność religijną: »Pacem inter dissidentes de religione tuebor et manutenebo«. Wtedy Firley donośnym głosem zawołał: »Senatorowie i posłowie! król złożył przysięgę; pozwalacie, aby był koronowany?« Ale szlachta, jeszcze niedowierzając, pytała: »Przysiągł według nowej formuły?« — »Tak«, — odpowiedział Firley. »Pozwalamy na ko-

¹⁾ De celeberrimo ingressu Cracoviam et coronatione praclarissima Henrici Valesii, potentissimi et invictissimi Poloniae regis. Gwagnin t. I. p. 149, wydanie z r. 1584.

ronacyę, Vivat rex!« odezwały się chórem liczne głosy. Wtedy arcybiskup, chcąc nie chcąc, włożył Henrykowi koronę na głowę i dał mu do rąk berło, miecz i pieczęć. Król powstał, usiadł na tronie, a senatorowie składali przysięgę.

Wieczór odbył się wielki obiad w zamku, w którym brał udział Henryk III., ubrany w królewskie odznaki.

II.

Ta nowa korona nieprzyjemne na Henryku robiła wrażenie; uczuł, że nie może być takim królem despotą, jak sobie wystawiał, a co gorsza, zaczął tęsknić za Paryżem, za paniami, z którymi miał we Francyi stosunki; zdawało mu się, że jest więźniem, daleko od ojczyzny. Aby się pocieszyć, pisał listy czasem po pięćdziesiąt własnoręcznych, a nawet pisząc do Maryi de Clèves, księżnej de Condé, maczał pióro we własnej krwi. Ranił się naumyślnie w palec, a przyboczny jego lekarz otwierał i zamykał ranę w miarę, jak było potrzeba tego sercowego inkaustu. Miał zresztą powody, aby w nadzwyczajny sposób przekonać ją o swej niewygasłej miłości, gdyż księżna od niedawna pogodziła się z mężem, zerwała stosunki z Henrykiem, a nawet, gdy wrócił po oblężeniu Rochelli do Paryża, nie chciała się z nim widzieć. To obrażało miłość własną Henryka, tak dalece, że za pośrednictwem siostry Maryi, księżnej de Nevers, starał się pogodzić z dotychczasową kochanką. Miał zamiar doprowadzić do rozwodu Maryi z mężem i z nią się ożenić. Zresztą nie chciał nikogo widywać, udawał chorego, leżał dwa tygodnie w łóżku, myśląc tylko o Francyi. Publiczność, słysząc o tym dziwnym królu, zaczęła szemrać. Francuzi doradcy namawiali go, aby przecież okazał jakiś znak życia, więc z niechęcią wyjechał do zamku w Niepołomicach i tam kazał urządzać turnieje, polowania, a wieczór tańce i bankiety.

Ale i te wiejskie rozkosze go znudziły; wrócił do Krakowa, gdzie łatwiej było bawić się w sposób, do jakiego był przyzwyczajony. Przyjaciele sprowadzali mu kobiety, które

w stroju Ewy starały się wprowadzić go w dobry humor, grał z niemi w karty, trwonił niezmierne sumy, czerpane z publicznego skarbu. To też, gdy z Polski wyjechał, zostawił zupełnie puste kasy. O tańcach królewskich opowiadano sobie w Krakowie z największym zgorszeniem; osobliwie taniec francuski »La volte« wywoływał zgrozę u pań cnotliwych. Takie tam były »figury«, że tanecznice najzupełniej zaspakajały ciekawość męskiego otoczenia. Brantôme opowiada, że »La volte« odkrywała zawsze coś przyjemnego dla widza.

Z powodu uroczystości koronacyjnych odbył się także wielki turniej na podwórze krakowskiego zamku, który się jednak zakończył tragicznym zajściem, głośnym w całej Polsce. Samuel Zborowski, najmłodszy brat wojewody sandomierskiego, przybył także na ową rycerską zabawę w otoczeniu dwustu dworzan, lśniących od stalowych pancerzy, na pysznych koniach, również pokrytych stalową łuską, tak, iż jak powiada Gwagnin, zdawało się, że to jedna olbrzymia bryła szczerzego srebra. Paziowie Samuela nieśli przed nim miecz, tarczę i hełm, na którym powiewała kiść pawich piór. Dumny rycerz szedł na końcu swego orszaku, a skłoniwszy się przed królem, zatknął swoją kopię w środku podwórza i kazał ogłosić, że gotów mierzyć się z każdym, kto by ów znak chciał mu wydrzeć. Nikt się jednak nie zgłosił; zanadto znano siłę i zręczność Zborowskiego. Wreszcie, gdy się już miał turniej zakończyć, śmiał jakiś żołnierz Kroat, służalec Tęczyńskiego, zbliżyć się do kopii, wyrwać ją i powiedzieć Zborowskiemu, że nazajutrz oczekuje go do walki.

Zborowski widział w tem wyzwaniu obrazę niechętnego mu Tęczyńskiego; kazał jednemu ze swej służby potykać się z Kroatem, sam zaś wyzwiał sprawcę tej psoty. Wprawdzie przyjaciele Tęczyńskiego zapewniali, że Kroat postąpił samowolnie, chcąc pokazać, że i on potrafi zwalczyć polskiego rycerza; ale Zborowski nie wierzył w te wymówki i po raz drugi przesłał wyzwanie Tęczyńskiemu. Ten się już nie mógł cofnąć, wybrał za świadka Andrzeja Wapowskiego i stawił się do walki.

Tymczasem Kroat okazał odwagę i zręczność, powalił zastępcę Zborowskiego w drugim starciu i ciężko go ranił.

Zborowski, widząc to, wpadł w szalony gniew, chwycił za broń jednego z towarzyszy i chciał się rzucić na Kroata. Przyjaciele wstrzymali go, a król, przypatrujący się całemu zajściu z okna zamkowego, obawiając się formalnej bitwy, kazał przerwać turniej i rycerstwu opuścić zamek. Zborowskiemu nie podobał się ten rozkaz; zaczął wymyślać i ostatni wyszedł z areny w otoczeniu swoich ludzi. Niestety chciało, że w bramie zamkowej spotkał Tęczyńskiego z jego rycerstwem; rzucił się ku niemu, nazwał go tchórzem, który nie odpowiedział na jego wyzwanie. Wapowski chciał powstrzymać Zborowskiego, aby nie przyszło do rozlewu krwi w królewskim zamku; ale rozwścieczony Zborowski zwrócił się ku nieproszonemu rozjemcy i zadał mu kilka ciężkich cięć w głowę.

Wapowski nie mógł się bronić, nie mając miecza u boku; szlachta przybiegła mu na pomoc, powstało zamieszanie, służba przeciwników zaczęła do siebie strzelać z arkebuzów. Henryk III., nie wiedząc, co się dzieje, myślał zrazu, że powstała jakaś utarczka pomiędzy katolickim a protestanckim stronnictwem, otoczył się swymi Francuzami i czekał, co się stanie. Tymczasem jednak rzecz się wyjaśniła; Tęczyński przyszedł prosić króla o sprawiedliwość, a za nim krwią obłany Wapowski.

Sprawa była ciężka, wyrok mógł wydać tylko senat, ponieważ na tego rodzaju zbrodnię, popełnioną w czasie trwania sejmu i na zamku królewskim, była wyznaczona kara śmierci. Ale ród Zborowskich był potężny, a król zawdzięczał im w części swój wybór.

Wapowski umarł wskutek raz odniesionych, oburzenie na Zborowskiego było powszechne. Zaraz po śmierci ofiary gwałtownika wdowa po Wapowskim przybyła na zamek w ciężkiej żałobie, trzymając za rękę nieletniego syna, otoczona smutnym orszakiem. Towarzyszyły jej panie z pierwszych domów Polski i liczni przyjaciele zabitego. Orszak był czarny, ponury. Przed wdową niesiono ciało zamordowanego na noszach, przykrytych kirem, i złożono je u stóp króla. Maciejowski, wojewoda lubelski, przemówił do monarchy, żądając zadośćuczynienia za zbrodnię, dokonaną prawie w oczach króla. Wymaga tego godność senatu, którego zmarły

był członkiem, wymaga dobro rzeczypospolitej i majestat monarchy. Henryk, zmieszany, odpowiedział kilka słów po francusku, a natomiast Pibrac zapewnił proszących w łacińskiej przemowie, że król spełni swoją powinność.

Rzecz przysła przed zgromadzony senat. Stronnictwo Zborowskiego było silne, sprzeciwiało się zastosowaniu kary śmierci, zgadzało się tylko na wygnanie mordercy z ziem rzeczypospolitej i konfiskatę jego dóbr. Gdy jednak partya, będąca za karą śmierci na winnego, nie ustąpiła, musiał król rzecz rozstrzygnąć. Henryk, przyjazny Zborowskiemu, zasądził go tylko na wygnanie.

Wyrok ten jak najgorsze w kraju wywołał wrażenie i pociągnął za sobą bardzo smutne skutki. Po ucieczce Henryka wrócił Samuel Zborowski do kraju i niemało się przyczynił do wyboru Batorego na króla polskiego, sądząc, że w ten sposób zaskarbi sobie łaski nowego króla i zmaże swą winę. Ale król Stefan szedł za sprawiedliwością; Samuel został zasądzony na śmierć i wyrok wykonano. Bracia jego nie wahali się przez zemstę podburzać Kozaków przeciw ojczyźnie, wskutek czego jeden z nich, Krzysztof, skazany na śmierć, ratował się ucieczką.

Henryk III. miał złych doradców, a sam zresztą przejęty zasadami matki, aby intrygować pomiędzy dwoma odłamami społeczeństwa, pomiędzy katolikami a protestantami, postanowił i w Polsce trzymać się tej metody: jątrzyć jednych przeciw drugim, aby stąd mogła korzystać despotyczna władza króla. Sekretarz nuncjusza papieskiego, Gratiani, biskup kujawski Karnkowski, marszałek nadworny Opaliński i brat wojewody sandomierskiego, Andrzej Zborowski, doradzali królowi to, czego sam sobie życzył, zgniecenia protestantów. Chciano unieważnić artykuły, dodane do Paktów conventów, tyjące się pokoju dla dysydentów.

Szczęście, że zaszły wypadki, które pozwoliły Polsce pozbyć się tego dziwaczego króla.

Henryk III. miał już wiadomości z Paryża, że Karol IX. może lada chwila umrzeć, co wprowadzało widocznie czułego brata w bardzo dobry humor. Zaczął dawać festyny na zamku krakowskim, starał się przypodobać swemu polskiemu oto-

czeniu, udawał, jakoby zwyczaję polskie, z których dotychczas się wysmiewał, bardzo wysoko cenił, ba, nawet ćwiczył się w tańcach polskich i pił krajowe piwo owsiane. Co więcej, dawał do poznania, że się zgadza z projektem ożenienia się z Anną Jagiellonką. Dał dla niej kilka przyjęć w ogrodzie zamkowym, co starzejacej się królownie tak się podobało, że już się widziała królową polską. Na sukniach kazała haftować francuskie lilie.

Wszystkie te komedye urządzał Walezyusz, aby w razie opuszczenia Polski pozostawić po sobie dobre wspomnienie. Nie chciał bowiem utracić korony polskiej, gdy zostanie królem francuskim, a nawet marzył o cesarstwie niemieckiem.

Z końcem maja coraz częściej przyjeżdżali kurjerzy od Katarzyny z wiadomościami, aby Henryk lada dzień był przygotowany na wyjazd z Polski, nie było bowiem nadziei, aby Karol IX. mógł żyć. Henryk przygotował się więc w tajemnicy przed Polakami do ucieczki i tylko karzeł Krasowski wiedział o wszystkim i usuwał możliwe trudności wyjazdu. Król wysłał najprzód z Krakowa marszałka de Retz, następnie markiza de Rambouillet i innych dworzan Francuzów, tak, że z jego towarzyszy został tylko Pibrac, lekarz Miron i kilku szczególnie do niego przywiązanych dworzan.

Ambasador francuski w Wenecyi pisał wtedy do królowej Katarzyny, że drogi z Wiednia są pełne Francuzów, powracających z Polski, którzy swą niestałość i raptowny wyjazd z Krakowa chcą usprawiedliwić złem obchodzeniem się z nimi i brakiem kultury w Polsce i wyrażają żal, że Henryk opuścił Francję. »Powracają, dodaje ambasador, bo w Polsce spodziewali się żyć tak swobodnie, jak we Francyi, i w tej mierze doznali zawodu«. Właściwy powód był wszakże inny; wiedzieli, że Henryk lada chwila opuści Kraków i że bez króla ich rola w Polsce się skończy.

Henryk, mistrz w udawaniu, obawiając się podejrzenia, że zamierza Polskę opuścić, umiał tak rzeczy urządzić, że w pałacu Anny Jagiellonki, we wtorek 14. czerwca odbył się wielki bankiet i że nazajutrz miał król wziąć udział w turnieju z kilkoma polskimi panami. W środę jednak o jedenastej z rana przyjechał rezydent niemiecki w Polsce, Andrzej

Dudycz, do zamku, prosząc króla o posłuchanie, bo miał doręczyć własnoręczny bilet cesarza, w którym Maksymilian donosił królowi o śmierci Karola IX. (30. maja). W godzinę po tej audyencji przybył Francuz, wysłaniec Katarzyny, sieur de Chemeraut, z tą samą wiadomością.

Król nie zdradzał jednak niczem przed polskiem otoczeniem, co się stało, ale o zwykłej godzinie obiadowej siadł do stołu, jadł mało i gdy Tęczyński, podkomorzy w. k., przyszedł oznajmić, że wszystko przygotowane do gonitwy do pierścienia, oświadczył, że nie weźmie udziału w zabawie, gdyż się zmęczył, nie śpiąc zeszłej nocy.

Wieczorem przybył drugi kurjer od Katarzyny, która wzywała syna, aby jak najprędzej powrócił objąć panowanie.

Henryk zgromadził swoich najwierniejszych francuskich doradców, aby postanowić, czy zaraz jechać, czy też pozostać przez jakiś czas w Krakowie i uwiadomić Polaków o konieczności wyjazdu. Przeważało zdanie Pibraca i Villequier'a, którzy w myśl listów Katarzyny radzili jak największy pośpiech. Tego samego zdania był król; zajęto się więc zaraz przygotowaniami do podróży. Kapitan gwardyi Larchant i Souvray mieli za zadanie wyszukać przejsie, kędyby król mógł niepostrzeżenie wymknąć się z zamku, i oznaczyć, gdzieby ukryć konie poza murami.

Król postanowił jednak uwiadomić senatorów o śmierci brata, a pozując, jak zawsze, ubrał się nazajutrz przed południem w żałobny płaszcz i prosił zgromadzonych w Krakowie senatorów, aby mu byli pociechą w wielkim nieszczęściu, jakie go spotkało, i pomagali w wykonaniu obowiązków. Przeczytał im ustępy z listów Katarzyny, aby tem większe w nich wzbudzić zaufanie, i oświadczył, że nie ma potrzeby śpieszyć się do Francyi, gdyż pokój tam został ustalony. Chciałby się teraz przedewszystkiem zająć sprawami, tyczącemi Polski. Na dowód zaś, że nie myśli opuszczać Krakowa, przeczytał senatorom pełnomocnictwo, jakie daje matce do prowadzenia dalej rejencji w jego imieniu.

W środe wyjechał już były ambasador Karola IX., Bellièvre z Krakowa pod pozorem, że Katarzyna powołała go do Paryża, a właściwie, aby przygotować po drodze do Wiednia

konie i zmiany. W kilka godzin później opuścił Kraków dworzaniek Ardier des Isoires, wywożąc perły i klejnoty królewskie.

Wyjazd Henryka III. był naznaczony na piątek wieczór, ósmnastego czerwca; ale już się po Krakowie rozeszła pogłaska, że król wyjeżdża, i Tęczyński przybiegł do zamku przerażony i Henryka o tem uwiadomił. Król się roześmiał i powiedział, że chcąc uspokoić ludność, prosi kilku panów polskich, aby byli przytomni, jak się położą do łóżka. Stało się, jak król sobie życzył; senatorowie widzieli, jak król zasypiał i na palcach opuścili komnatę. Tęczyński zaciągnął według zwyczaju kotarę nad łóżkiem i wyszedł. Na to czekali tylko francuscy towarzysze Henryka; weszli drugimi drzwiami do sypialni, ubrali czem prędzej króla, pochowali ostrogi do kieszeni, aby nie robić hałasu i chcieli go wyprowadzić niską braną ku przedmieściu Kaźmierz. Brama była zamknięta; Souvray jednak zażądał klucza od odźwiernego, utrzymując, że obiecał udać się w nocy do jakiejś pięknej kobiety na przedmieście. Przy tej sposobności wymknęli się niepostrzeżenie król i towarzysze i szli piechotą około pół godziny do naznaczonego miejsca, gdzie ich oczekiwali masztelarze z końmi. Po chwili usłyszeli ze sobą tentent konia; myśleli że to już polski pościg, ale okazało się, że jeden z Francuzów, który się obawiał zostać w Krakowie, postanowił króla dogonić i dalej z nim jechać.

Król miał berberyjskiego konia, bardzo szybkiego, ale o nierównym chodzie, tak że jazda na nim bardzo męczyła; przesiadł się więc po drodze na klacz spokojną, dobrze ujeżdżoną, którą miał od Tęczyńskiego. W umówionem miejscu miał na króla czekać Pibrac i Villequier z przewodnikami i tłumaczami; ale ich tam nie było, zmylili drogę. Henryk więc i towarzysze pędzili dalej w ciemną noc na zachód, nie wiedząc dobrze, kędy jada. Natrafili też na moczarski las, a wydostawszy się stamtąd z biedą, dotarli do wielkiego sosnowego lasu. Wreszcie zobaczyli chatę węglarza; ale chłopak, słysząc jakąś pogoń, przestraszył się i schował na strychu, wciągnąwszy za sobą drabinę. Okazane mu srebrne monety uspokoiły prze-

straszonego; zszedł ze swej kryjówki, a posadzony na konia, poprowadził jeźdźców do Zatora.

Tymczasem w Krakowie odkryto ucieczkę Henryka. Służący, który widział wychodzącego króla w towarzystwie swych Francuzów, doniósł o tem Tęczyńskiemu. Przeczuwając, co się stało, zaczął Tęczyński pukać do królewskiej sypialni; nikt mu nie odpowiedział, ale cztery świece woskowe paliły się, jak zwykle, na stole. Chciano siłą wywalić drzwi, ale rzecz była trudna; więc Tęczyński wszedł oknem. Tam zastał dwóch paziów wyprostowanych, stojących przed kotarami królewskiego łóżka, którzy na widok podkomorzego rzucili się przed nim na kolana, prosząc o przebaczenie, ale król nakazał im nie otwierać drzwi aż do rana, ktokolwiekby się dobywał.

Ciemna była jeszcze noc; wiadomość o ucieczce króla rozeszła się szybko, zaczęto bić w dzwony na alarm, a pierwszy Tęczyński wsiadł na koń, za nim około tysiąca szlachty i poczęła się gonitwa.

W Zatorze, gdzie król stanął nad ranem, siły go zaczęły opuszczać; natarto mu skronie winem, wypił kilka haustów i wsiadł znowu na konia. W Oświęcimiu czekali już na niego Pibrac, Villequier i kilku innych; wtem naraz usłyszeli zdala tentent koni: to polska pogoń.

Pibrac i Villequier, których konie nie mogły już biec dalej, ukryli się w lesie, graniczącym z drogą, król z kilkoma innymi Francuzami uciekał.

Tęczyński wjeżdżał właśnie do Oświęcimia, gdy król drugą stroną miasto opuszczał. Podkomorzy kazał zawołać miejscowego starostę, przyprowadzić świeże konie, a tymczasem podstarości puścił się na przelaj przez pola za królem. Ponieważ jednak Francuzi most za sobą zerwali, więc wskoczył z koniem do wody, wołając za uciekającymi: »Serenissima Maiestas, cur fugis?« Ale »Maiestas« już była daleko.

Wreszcie znalazł się król z towarzyszami w Pszczynie, na terytorium cesarskiem; kazał się nazywać kapitanem Lamothe, zaprowadził nawet własnoręcznie konia do stajni, ale biedne zwierzę już było bez tchu: padło nieżywe.

Za Pszczyną dogonił wreszcie Tęczyński króla. Francuzi chcieli zrazu się bronić; pytali, czy Polacy przybywają jako

przyjaciele, czy jako wrogi, żądali, aby rozkazano towarzyszącym Tęczyńskiemu Tatarom odpiąć kołczany ze strzałami, a gdy się rzeczy wyjaśniły, zbliżył się Tęczyński do króla, błagając, aby powrócił. Wszelkie przedstawienia na nic się nie przydały; król odpowiedział, że już za dużo zrobił drogi, aby wracać, i w dość przykrych wyrazach oświadczył Tęczyńskiemu, że największą przysługę, jaką mu może zrobić, niech odeśle swoich Tatarów i zajmie się królewskimi ludźmi. Pierre Matthieu opowiada w swojej historyi Francyi, że Tęczyński, chcąc dać królowi dowód, że mu całą duszą jest oddany, ukłął się w ramię, wyssał krew i ze łzami w oczach prosił Henryka, aby przyjął od niego na pamiątkę bransoletkę z kamei, na co król ofiarował mu dyament wartości tysiąca dwustu talarów. Ale to tylko wymyślona przez Francuza historia. Tęczyńskiemu powiedział Henryk, że w jego pokoju, w zamku krakowskim znajdzie listy do senatu i do szlachty. Długo szukano tych pism i rzeczywiście znaleziono je — za piecem. Piec był jedynym powiernikiem, którego zaufanie sobie zaskarbił.

Tęczyński, pożegnawszy się z królem, wrócił do Krakowa. Henryk jechał jeszcze konno do Ostrowa na Morawach, a tam czekały już na niego powozy, które króla i jego otoczenie dowiozły do Wiednia.

Jedyny Guy de Pibrac gdzieś się zawieruszył i napróżno go oczekiwano. Podróż jego była pełna nieprzyjemnych przygód. Chłopi za Oświęcimiem spostrzegli go, a widząc, że przed nimi chce uciec, gonili go tak, że biedny Francuz obawiając się, aby go nie zabili, ukrył się w krzakach przydrożnych; gdy i tam nie czuł się bezpiecznym przed tym pościgiem, rzucił się w moczary, pomiędzy sitowie. Ale i stamtąd go wyciągnięto przemoczonego, prawie bez ubrania i prowadzono do Zatora. Szczęściem przejeżdżał powozem wielki referendarz K. Dembiński, który znał Pibraca, a dowiedziawszy się od chłopów, co się stało, ubrał go i dał konie, aby nieszczęśliwy poeta mógł dogonić swego króla.

W Wiedniu zatrzymał się król pięć dni; cesarz dobrze go przyjął, gdyż spodziewał się, że po sromotnej ucieczce Francuza z Krakowa znowu arcyksiążę będzie mógł wystąpić jako

kandydat do tronu. Na sejmie elekcyjnym czwartego listopada 1576 wybrano jednak Stefana Batorego królem polskim.

III.

Pomimo, że się Henrykowi III. tak bardzo śpieszyło wyjechać z Polski, aby objąć tron francuski, bawił we Włoszech bez potrzeby aż dwa miesiące. W Wenecyi bardzo sobie upodobał, gdyż go tam wspaniale przyjmowano, a nadto Alfons I., książę Ferrary, zapoznał z Weroniką Franco, poetessą-cortegianą, a bankierzy weneccy pożyczyci pieniędzy na dalszą drogę¹⁾. Zatrzymywał się więc jeszcze po dworach włoskich, Gonzaga z Mantuy podarował mu dwanaście koni ze swego słynnego stada, a w Turynie także się starano o łaski króla o dwóch koronach, z których jedna wprawdzie znikła, ale splendor po niej pozostał.

Dwudziestego siódmego sierpnia 1574 wyjechał Henryk III. z Turynu do Lyonu, dokąd udała się tego samego dnia królowa Katarzyna z eskortą około dwunastu tysięcy wojska. W Bourgoin nastąpiło spotkanie matki z synem; król przesiadł się z oszklonej lektyki do olbrzymiego powozu, w którym mieściło się aż sześć osób.

Jeszcze z Włoch napisał Henryk do królowej Katarzyny, aby uwolniła duka d'Alençon i króla Nawarry, odebrawszy pierwszej od nich przysięgę, że nic nie przedsięwzma przeciw Henrykowi. Król bowiem niedowierzał swemu bratu, podejrzewając go, że z pomocą hugenotów zechce pokusić się o koronę Francyi. Katarzyna, również nie ufając księciu d'Alençon i królowi Nawarry, przywróciła im wprawdzie wolność ruchów, lecz potajemnie oddała d'Alençona pod opiekę pani de Sauve, o której wiedziała, że tak potrafi zająć młodego księcia, iż o politycznych intrygach nie będzie miał czasu myśleć. Ale pani Charlotte de Sauve, słynna zresztą ze swych miło-

¹⁾ O pobycie Henryka III. w Wenecyi: K. Chłędowski »Dwór w Ferrarze«.

snych stosunków, przeszła wszelkie oczekiwania Katarzyny, gdyż romansowała równocześnie z Alençonem i z królem Nawarry i umiała taką w nich wzbudzić zazdrość, że myśląc o tej »Circe«, jak ją nazywała królowa Marguerita, zapomnieli na chwilę o politycznych sprawach. Były to zresztą tylko jej przelotne stosunki miłosne, bo najwięcej skłaniała się sercem do księcia de Guise, któremu najdłużej była wierna. Nawet później »mignoni« Henryka III. zamordowali księcia w chwili, kiedy wychodził od pani de Sauve.

Otóż pod opieką tej niebezpiecznej kobiety wyjechali obydwaj szwagrowie rywale, d'Alençon i król Nawarry, także naprzeciw Henryka, który ich przyjął z udaną uprzejmością. W Lyonie znalazła się także królowa Nawarry, Marguerita, dla której książe d'Alençon zapomniał o pani de Sauve, zwłaszcza że królowa starała mu się przypodobać.

Według zwyczaju rozpoczęły się w Lyonie festyny, pomimo że Henryk był na razie przybity, zmęczony podróżą; uciekał często od rozbawionego towarzystwa, a jedną z największych jego przyjemności było pływać na Saonie w barce malowanej, zasłoniętej firankami, która mu przypominała niedawne wycieczki gondolą w Wenecyi w towarzystwie księcia Ferrary i wieczory u kurtyzany Franco. Bardzo był także zajęty liońską rasą małych psów, niezmiernie rzadką, i wykupywał tych faworytów, ile się tylko dało. Dawniej, przed wyjazdem do Polski sprowadzał psy myśliwskie z Anglii; teraz jednak tak się rozkochał w małych pieskach, że w Paryżu szukał ich po ulicach i kazał je nawet wykradać po domach prywatnych z wielką rozpaczą właścicielek. Co więcej, gdy się dowiedział, że w jakimś klasztorze miały zakonnice takich ulubieńców, nie uszanował klauzury klasztornej, ale zabierał im tak pożądane przez siebie pieski. Zresztą odezwała się w nim pod tym względem tylko rodzinna namiętność Walezyuszów, którzy oddawna byli miłośnikami psiego rodu i starali się uszlachetniać rasy psów myśliwskich. Karol IX. wytworzył np. psy tak zwane »greffiers«, dorównujące wielkością dużym chartom, potomki białego psa francuskiego rasy Saint-Hubert i włoskiej jego małżonki. Amatorstwo swoje do psów doprowadził Henryk III. do takiego nierozsądku, że jakimś

szlachcicowi, który mu odstąpił małego pieska szczególnej rasy, nadał wstęgę orderu św. Ducha, co mu Brantôme bardzo wzięął za złe.

W Lyonie oczekiwał Henryk III. z niecierpliwością nadejścia transportu koni z Mantuy, gdzie mu się tak podobały. Konie te naznaczono kwiatem lilii i szczęśliwie doprowadzono do Lyonu, a jeden z nich stał się ulubieńcem króla i Henryk był z niego nadzwyczaj dumny.

Obok koni i małych piesków nie pogardzał Henryk III. towarzystwem przyjaciół, którzy dogadzali jego dziwactwom i próżności. Pomiędzy innymi przybył tam na powitanie króla słynny później pisarz Brantôme, nazywający się właściwie de Bourdeille. Pochodził on z gaskońskiej szlacheckiej rodziny, duch niespokojny, zrazu katolik, stronnik Guizów, następnie protestant, przepędzający życie na awanturniczych podróżach, na wojnach albo na królewskim dworze, romansując z paniami z otoczenia Katarzyny. Gdzie tylko padały strzały z arkebuzów, tam nie brakowało Brantôme; trzy razy bawił we Włoszech, odprowadzał Maryę Stuart z Francji do Szkocji, jeździł na Malte, bywał korsarzem na Śródziemnym morzu, jeździł do Hiszpanii, pisał poezye i pozostawił po sobie słynne życiorysy mężczyzn i kobiet współczesnych. Jemu zawdzięczamy także mnóstwo szczegółów o Henryku III. Pomiędzy innymi opowiadał mu król o swej ucieczce z Krakowa; chwalił się, że sześćdziesiąt pięć godzin jechał konno do Wiednia. A ta rozmowa pomiędzy królem a dworzaninem toczyła się przy tej sposobności, kiedy Brantôme jako wierny sługa »dostał zaszczytu« ściągania butów z nóg swego monarchy. Jeszcze Henryk II. obdarzył tego dworzanina opactwem Brantôme i stąd pochodzi jego literackie nazwisko.

Siostra Brantôme, panna Madeleine de Bourdeille, należała do dworu Katarzyny, do tego »escadron volant«, który królowa wszędzie za sobą wozila. Panna de Bourdeille była w łaskach u królowej nie tylko dla swego sprytu, ale także wesołego usposobienia, jak to poświadcza brat jej, Brantôme w jednym ze swoich sonetów:

... Et vous, gaie Burdeille,
Qui, en votre gayté, n'avez point la pareille.

O jej moralności nie miał jednak Brantôme zbyt dobrego wyobrażenia, a tego samego zdania był autor pamfletu »L'Histoire de Jeanne la Pucelle par Mlle de Bourdeille.«. Nie stanowiła ona zresztą wyjątku od swych towarzyszek, o których znowu inny pamflet opowiada, że błagały miłosierdzia Boskiego, aby im były darowane grzechy, popełnione z królami, książętami, kardynałami, szlachtą, biskupami, opatami, przeorami, poetami i całym szeregiem innych szczęśliwców. Panna de Bourdeille zestarzała się na dworze Katarzyny. Agrippa d'Aubigné opowiada, że raz widział ją siedzącą z dwiema innymi pannami na ławce i policzył, że wszystkie trzy mają 140 lat. »Czemu się pan tak przypatrujesz?« zapytała siostra Brantôme. — »Starożytnościom naszego królewskiego dworu«, odpowiedział Agrippa.

W Lyonie doszła Henryka III. wiadomość, że księżna Condé, której chciał włożyć koronę na głowę, umarła w połogu. Przez ośm dni wdychał i jęczał, na zewnątrz nawet, przed publicznością okazywał swe żale; na wstążkach od trzewików, na ubraniu kazał sobie pohaftować trupie główki, na wisiorach od kolczyków nosił krzyż boleści. Tego było Katarzynie za wiele i jak tylko szepnęła wielkiemu mistrzowi królewskiej garderoby, aby cichaczem pooddalał te odznaki smutku, udał Henryk III., że nie spostrzegł tych braków w ubraniach, i jak dawniej przepędzał czas na zabawach, na dziecinnej bigoterii, marnował pieniądze, z wielką biedą, za poręczeniem księcia Ferrary pożyczone od weneckich bankierów, i nareszcie po dwóch miesiącach udał się do Avignonu, gdzie znowu rozpoczął podobne próżniacze życie. Tam jednak znaczną część dnia przepędzał u jezuitów, zapisał się do bractwa pokutników, którzy się ubierali w znane na południu habitury białe, czerwone i niebieskie. Nakłonił nawet wesołego króla Nawarry, aby się zaciągnął do tej pobożnej armii. Później zaprowadził w Paryżu te południowe zwyczaje. Pod jednym tylko względem nawet w Avignonie był bardzo pilnym i energicznym, w wyciskaniu pieniędzy od poddanych, wycianianiu lasów koronnych lub sprzedawaniu nowo utworzonych urzędów.

Po śmierci księżnej Condé postanowił Henryk III. ożenić

się z nadzwyczaj miłą Ludwiką de Lorraine, córką Mikołaja de Lorraine, hrabiego de Vaudémont, którą się zajął jeszcze przed wyjazdem do Polski. Ludwika zgodziła się na to małżeństwo, więc 13. lutego 1575 miała się odbyć koronacja króla w Reims, a następnego dnia zaślubiny Henryka z Ludwiką. Ale pani młoda miała poprzednio miłosny stosunek z Franciszkiem de Luxembourg; Henryk III. zaprosił go więc do siebie i zapowiedział mu, że żeniąc się z jego kochanką, żąda nawzajem, aby pojął za żonę królewską metresę, pannę de Chateauneuf, Bretonkę, należącą do dworu królowej Katarzyny. Luxembourg odpowiedział, że wprawdzie jest bardzo szczęśliwym, że jego metresa zostanie królową i że zyska na tej zamianie, ale że nie życzy sobie prowadzić panny de Chateauneuf do ołtarza. Na co król ostro mu odpowiadał, że stanowczo żąda, aby się natychmiast z Bretonką ożenił. Na co Luxembourg pokornie prosił króla, aby mu przynajmniej pozwolił ośm dni zwłoki celem przygotowania się do stanu małżeńskiego. Król zezwolił tylko trzy dni, z czego Luxembourg skorzystał, aby wsiąść na konia i cichaczem opuścić dwór królewski.

Henrykowi się po raz drugi swaty nie powiodły, bo jeszcze jako duc d'Anjou ofiarował rękę panny de Chateauneuf prefektowi Paryża, panu Nantouillet. Prefekt jednak odmówił, co tak rozgniewało księcia, że raz, gdy jadąc konno spotkał Nantouilleta na jednym z mostów Paryża, rzucił się ku niemu, obalił na kamienie, obił szpicrutą i pocwałował dalej. Panna de Chateauneuf poszła później z miłości za męża za Florentczyka, nazwiskiem Antinati, naczelnika galer w Marsylii. Gdy jednak zastała męża romansującego z jakąś rywalką, własnoręcznie zamordowała niewiernego Włocha.

Henryk III. przybył do Reims na koronację jedenastego lutego 1575, a pomimo że miał dwa dni czasu, aby się przygotować do uroczystego aktu, nie mógł dotrzymać terminu. Przedewszystkiem, gdy mu próbowano włożyć koronę na głowę, zaczął się skarżyć, że go korona uciska, i tak się ruszał z niecierpliwością, że ten znak królewski dwa razy spadł na kobierzec. Oczywiście ludzie zabobonni stawiali z tego powodu złe horoskopy jego panowania. Do ceremonii koronacyjnej przy-

gotowywał się cały dzień, aby mu ubranie było do twarzy, tak, że msza, która się miała odbyć z rana, odbyła się dopiero wieczorem. Goście, dygnitarze i duchowieństwo musiało czekać i niecierpliwic się.

Po ślubie z Ludwiką de Lorraine zdawał się być Henryk III. dobrym małżonkiem; jeździł z nią po Paryżu i po okolicach stolicy, szukał w jej towarzystwie małych piesków, skupywał papugi, a przez jakiś czas tak polubił grę w »bilboquet«, że stawał na ulicy i popisывał się swą zręcznością.

Miewał nawet bardzo poważne chwile; ponieważ w Polsce przekonał się, że nie zna gruntownie łacińskiego języka, więc chciał teraz naprawić te braki. Kazał sobie czytać dwóm Włochom, dawnemu nauczycielowi Corbelliniemu i panu Del Bene, Tacyta i Polibiusza, bywał na posiedzeniach Akademii, którą założył Karol IX., a osobliwie wtedy, kiedy traktowano tematy z dziedziny filozofii moralnej. Z uwagą przysłuchiwał się rozprawom o gniewie, o smutku, o kwestyi, którym zalećtom umysłu należy się pierwszeństwo: czy cnotom moralnym, czy intelektualnym, lub jakie życie wyżej trzeba cenić: życie czynu czy kontemplacyi.

Mimo tych poważnych rozmyślań miał niekiedy pomysły godne Borgiów. Rozesłał raz zaproszenia do najgłośniejszych kobiet paryskiego półświatka, aby przybyły do Saint-Cloud, kazał je tam obnażyć i rozpuścić po lesie, gdzie polowali na nie królewscy Szwajcarzy, także tylko w Adamowym stroju.

W ubraniach coraz bardziej stawał się dziwnym; nie dość, że na maskaradach przebierał się za kobietę, ale w zwykłym życiu starał się zbliżyć strojem do pań wyższego towarzystwa paryskiego. Obnażał szyję i część piersi, nosił koronkowe kołnierze, podobne do kobiecych, i naszyjnik z pereł. Pomiedzy ludem mówiono, że nie wiezieć, czy to król-kobieta, czy kobieta-król.

Swe dziwactwa zastosowywał także do religijnych obrzędów. W niedzielę 19. października 1575 urządził błagalną procesyę na cześć świętego Dyonizego, w której jednak zakazał brać udział kobietom, utrzymując, że gdzie są kobiety, tam się nie może modlić w skupieniu. Albo też chodził piechotą

od kościoła do kościoła, trzymał w ręku duży »patenotre« i pomrukiwał litanie. Stał się tak nerwowym, że w czasie burz, gdy pioruny były, chował się do piwnic Luwru, trząsł się i płakał, obawiając się śmierci i piekła. Ażeby ułagodzić niebios, ubierał się w habit franciszkański w przekonaniu, że pod tą postacią może grzeszyć do woli.

Królestwo nie mieli dzieci, co ich bardzo martwiło, tem bardziej, że Henryk III. obawiał się, aby korona nie spadła po jego śmierci na linię Bourbonów, których nienawdził. W roku 1583 wybrał się ze swoją małżonką do Chartres i tam piechotą poszedł do Notre-Dame de Clery, składając ofiary, aby tylko uprosić Matkę Boską o potomstwo. Dla większej pewności, aby to życzenie się spełniło, przywiózł stamtąd dwie poświęcone koszule, aby, jak powiada kronikarz L'Estoille, »coucher avec sa femme en espérance de lui faire un enfant«.

W jednym z licznych paszkwilów były przytoczone jego wszystkie satyryczno-królewskie tytuły, a więc »Henryk z łaski swojej matki, niepewny król Francji i imaginacyjny król Polski, portyer Louvru, marguiller kościoła Saint-Germain l'Auxerrois i innych kościołów paryskich, zięć Calasa¹⁾, krochmalnik kołnierzy swej żony i fryzyer swoich koni, gość podejranych lokali i t. d.«

Kobiece ubiory i przyzwyczajenia ośmieszały Henryka III., ale towarzystwo męskie, którem się otaczał, sprawiało, że zaczęto go nienawdzić. Była to złota młodzież o jednej zaletce, że każdy z tych paniczów musiał się odznaczać dzielnością i w potrzebie ofiarować życie za swego króla. Nazwano ich »mignons«, gdyż naśladowali zniewieściale zwyczaje swego pana. Wskutek łask królewskich stawali się dumnymi, posuwali swoje nieobyczajne zachowanie się wobec kobiet z ludu i mieszczaństwa do ostatecznych granic, a co gorsza, wyzyskiwali Henryka III., który wydawał na nich niezmierne sumy, a gdy się dobrze zasłużyli, mianował ich wysokimi urzędnikami. Lud sarkał, że mignoni pożerają większą część dochodów państwa.

Mignoni nosili długie włosy, zapiekane w loki, malutkie

¹⁾ Mikołaja de Vaudemont, ojca królowej Ludwiki.

czapeczki aksamitne, podobne do beretów ulicznych, i olbrzymie kołnierze z białego płótna. Przytem pudrowali się tak, że l'Estoile pisał, iż każdy z nich wygląda jak głowa świętego Jana na półmisku. Jedynym ich zajęciem było grać, skakać, tańczyć, robić bronią, kłócić się i towarzyszyć królowi. Niemalże się także przyczyniali do zwyczaju przeklinania przy każdej sposobności w najgminniejszych wyrazach. Pod tym względem byli prawie gorsi od włoskich poganiaczy mułów, którzy mieli bogaty słownik przekleństw. Gdy Henryk III. przybył raz z nimi do Olinville, małego miasteczka, tak ich było czuć pudrem fiołkowym i przeróżnemi perfumami, że zapowietrzyli ulice, place i domy, do których wchodzili, a jeszcze po wyjeździe tej zgrai zostały po niej w powietrzu przejmujące wonie.

Najsprośniejsza rozpusta i najskrajniejsza bigoterya łączyły się u króla i jego towarzyszy. W Wielki piątek wieczór chodził Henryk III. ze swymi mignonami z muzyką, przy świetle pochodni od kościoła do kościoła, a kilku dworzan nawet się biczowało; taką skruchą byli przejęci.

W ważnych sprawach państwa okazywał nieraz taką lekkomyślność, taki brak wszelkiej królewskiej powagi, że obudzał tylko uśmiech i gorycz u ludu. Gdy w r. 1576 zaszły krwawe rozruchy pomiędzy katolikami i hugenotami, król przebrany za amazonkę, biegał w turnieju do pierścienia, urządzał bale i rozmaite festyny, jak gdyby największy spokój panował w państwie.

Innym razem znowu kazał kobiety poprzebierać za mężczyzn, a mianowicie w r. 1577 w maju dał bal, na którym panie z wyższego towarzystwa w męskich ubraniach usługiwały do stołu, a tak owe przygodne służące, jak i goście mieli na sobie zielone jedwabie, za które król kazał zapłacić z własnej szkatuły; a był to niemały wydatek, bo rachunek wynosił sześćdziesiąt tysięcy franków.

Królowa matka wydawała także niezmierne sumy na bale. Jeden z jej bankietów, dany w Chenonceaux, kosztował około półtora miliona franków w dzisiejszej monecie; ale zręczna Katarzyna nie zapłaciła tej sumy z własnych fundusów, tylko pożyczyła od najzamożniejszych panów z otocze-

nia królewskiego. Tym razem usługiwały panny z fraucymeru królowej w tak skrojonej liberyi, że do połowy były obnażone.

Według dawnego zwyczaju brało królestwo wraz z otoczeniem czasami udział w festynach, urządzanych w domach zamożnych mieszczan z okazji ślubów lub innych rodzinnych uroczystości. Otóż, jak opowiada L'Estoile, gdy dziesiątego grudnia 1577 Claude Marcel, bogaty jubiler i jeden z surintendantów królewskich finansów, wydawał córkę za pana de Vicourt, zasiedli do stołu także król, trzy królowe i panowie de Guise. Po wieczerzy przebrało się prawie całe towarzystwo w maski i rozpoczęła się taka orgia, że starsze panie opuściły pałac, a młodsze korzystały z rozwieszonych po ścianach i po drzwiach kobierców, aby za temi kurtynami cieszyć się do ostateczności posuniętą wolnością.

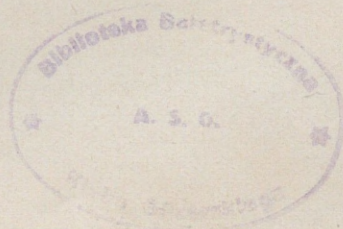
Wśród tych zabaw król nie zapominał o »memento mori« i na jednym ze ślubnych festynów w hotelu Montmorency tańczył namiętnie, ale u pasa miał przywiązany różaniec, złożony z samych trupich główek.

A co się działo w ostatni wtorek karnawału, to już trudno w szczegółach opisać. Król ze swymi faworytami chodził aż do rana po ulicach Paryża; zaczepiano kobiety i dopuszczano się najwyuzdańszych bezceństw. Jednego karnawału wyjechał król konno w masce z towarzyszącymi, przebranymi za kupców, za księży, za zakonników, pędził, co koń wyskoczy, ulicami Paryża, a cała ta brygada biła szpicrutami przechodniów — dla żartu.

Henryk III. nie był człowiekiem bez zalet, ale żadna z jego zalet nie zdołała okupić wielkich wad i zbrodniczych instynktów. Była to w gruncie rzeczy natura artystyczna, ale ten wrodzony artyzm skierowany był do wyrafinowanego zmysłowego użycia i do rozkoszowania się w zbrodni. W jego charakterze górowała hipokryzja; lekarz Henryka, Miron, powiedział, »że król ma wszystkie wady mnicha«. W końcu życia Henryk nawet zupełnie twarz ogolił, aby przedstawiać maskę duchownego i w ten sposób wzbudzać zaufanie. Jego postać ściągała uwagę, ale nie przywiązywała; ktokolwiek się do niego zbliżył, miał przekonanie, że ten złośliwy, mściwy człowiek gotów poświęcić, zakać otruc każdego, kogo przed chwilą



Miedzioryt w »Journal des choses memorables advenues durant le regne de Henry III«. Cologne 1720.



obsypywał łaskami. W bitwach pod Jarnac i Montcontour bił się dobrze, ale nie miał odwagi spojrzeć w oczy nieprzyjacielowi, uderzał chyłkiem. Jedną z najbrzydszych jego przywar było otaczanie się młodymi ludźmi; w jakim celu, o tem wspominają ówczesne pisma na każdej karcie. Brzydkie stosunki pomiędzy królem i jego mignonami nabrały takiego rozgłosu, że nawet dworscy poeci je idealizowali; zwano je »miłością filozoficzną«. D'Aubigné powiada, że miłość filozoficzna została uświęconą na dworze Henryka III.

Król był bardzo wymowny, jak to się nieraz okazało w publicznych wystąpieniach, osobliwie, gdy przemawiał do signorii weneckiej, a często dowcipny. W listach do starej księżny d'Uzes pozwalał sobie na swobodne żarty. Raz pisał do niej: »Vous n'avez pas encore tasté de roy, je n'ay pas tasté du duchesse, ce sera quand vous voudrez«. Księżna ze względu na swój wiek nie wzięła za złe tego wezwania.

Mimo najwyuzdańszej rozpusty i zwyczajów, szkodzących dobrej sławie królewskiego dworu, chodziło Henrykowi III. bardzo o podniesienie władzy królewskiej z pomocą ścisłej etykiety. W większem towarzystwie zwykł był jadać otoczony balustradą, aby się nie stykać z innymi ludźmi; kazał się nazywać nie, jak dawniejsi królowie, »Sire«, ale z hiszpańska »Majesté«. Stworzył rodzaj kultu monarszego, co tak raziło francuskich arystokratów, że zaczęli opuszczać dwór królewski. Natomiast starał się przywiązać do siebie ścisłe koło ludzi zupełnie mu oddanych i w tym celu zaprowadził w roku 1578 order św. Ducha (L'ordre du Saint-Esprit). Rycerze, ozdobieni tą odznaką, przysięgali, że najzupełniej poświęcą się osobie króla, nie biorąc żadnych wynagrodzeń, że nawet bez pozwolenia monarchy nie wyjadą poza granice państwa.

Z bardziej przywiązanych mignonów utworzył Henryk III. rodzaj przybocznej rady. Osobliwie protegował dwóch mignonów, pp. d'Épernon i Joyeuse, których wtajemniczał w swe najskrytsze zamiary. D'Épernon był Gaskończykiem, człowiekiem chciwym, brutalnym. Miał on także taki wpływ na Henryka, że często walczył z Katarzyną. Król ożenił go z siostrą swej małżonki i mianował dukiem.

Rozmaite skryte namiętności były przyczyną, że w Hen-

ryku III. nie rozwinęło się takie zamiłowanie do myśliwstwa, jak u jego braci. Wenecyanin Michieli pisał, że król woli »la chasse de palais«, aniżeli polowanie w lesie. Był za wygodny, aby doganiać jelenia, a jeden z dworzan opowiada, że »król tego rana pozostaje w łóżku, nie, żeby był słaby, ale, jak mówi, »pour poltronner un peu et se retrouver frais comme une rose«. — Zresztą sądził, że jelenie pod pewnym względem są szczęśliwsze, aniżeli ludzie:

O cerf a quatre pieds, nous sommes vos parents,
 Nous les cerfs a deux pieds qu'amour a rendu bestes;
 Nous n'avons pas ce bien dont plus heureux les amants
 Jamais ne font tomber les cornes de leurs testes.

Pomimo, że Henryk nie był myśliwym, wydawał więcej na łowy, aniżeli Karol IX. Sztab myśliwski stanowiło czterech oficerów i siedemdziesięciu gentilhommes. Służba była świetnie ubrana w haftowane atłasy.

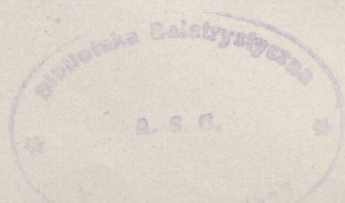
Psychiatryk Dr. Jacoby naszkicował wybomnie w swych »Études sur la sélection« typ tego króla bez charakteru i bez godności. Lekarz ów powiada, »że to typ neuropatycznego chorobliwego człowieka, pełnego sprzeczności i krańcowych usposobień. Dzielny i zniewieściały, umysł świetny a zarazem powierzchowny, chytry i nie troszczący się o nic, rycerski i skrytobójca, bigot a oddany najszkaradniejszym występkom (L'inversion sexuelle, uranizm)«.

IV.

W Bibliotece Narodowej w Paryżu znajduje się prześliczny portrecik, robiony kolorowemi kredkami, przedstawiający Margueritę de Valois jako młodą dziewczynkę. Ten »crayon« przypisują Franciszkowi Clouet, a jest on jednym z największych skarbów ikonograficznych rodu Walezyuszów. Dziewczynka o żywych oczach, ustach złożonych, jakby do pocałunku, nadzwyczaj starannie ufryzowana, zapowiada, czem będzie w życiu, sprytną kobietą, pełną kokieteryi, oddaną przedewszystkiem miłości. Urodzona 14. maja 1553, przed-



Marguerite de Valois.





Henryk IV.



ostatnia z dzieci Henryka II. i Katarzyny medycejskiej, zachowała się wcześniej w Henryku de Guise, tak pięknym, tak dzielnym mężczyźnie, że cała Francja była z niego dumną i sądziła, że inni książęta wyglądają obok niego, jak pospólstwo.

Katarzyna, znając bardzo gorące usposobienie swej córki i obawiając się, aby zawczasie nie popełniła jakiego błędu przeciw przyzwoitości królewskiego dworu, dodawała jej do potraw szczawiowego soku, co miało krew uspokajać. Ale ten łagodzący środek nie na wiele się przydawał; romans z Guisem rozwijał się szybko. Korespondencję miłosną ułatwiała panna de la Mirande z otoczenia królowej Katarzyny; z czasem zaczęto mówić głośno o tym stosunku, a nawet przypuszczano, że Marguerita zawarła z Guisem ślub potajemny. Jeden z listów Guisa do Marguerity przejął Du Guast i dał go Karolowi IX. Skory do porywów gniewu król zawołał jednego ze swych poufnych dworzan, pokazał mu dwa miecze i powiedział, że jeżeli jednym z nich nie zamorduje jutro na polowaniu Guisa, to tym drugim mieczem on, król, zada mu cios śmiertelny. Ale Marguerita dowiedziała się o tem i skłoniła swego kochanka, aby się na kilka dni wydalil z Paryża, dopóki króla pierwszy gniew nie ominie. Po niejakiem czasie stawil się Guise przed królem; ale Karol IX. tak groźnie go przyjął, że ulubieniec Marguerity musiał dwór opuścić. Gdy później Margueritę zmuszono, aby w fatalnym dniu 18. sierpnia 1572 wyszła za Henryka Bearneńczyka, Guise ożenił się z Katarzyną de Clève.

Bearneńczyk był człowiekiem fizycznie obrzydliwym, moralnie wyuzdanym, którego największą przyjemnością było opowiadać żonie o swych miłosnych zdobyczach. Była więc w małżeństwie nieszczęśliwą i zapisała w swoim pamiętniku, że »mówią wprawdzie, iż niebo małżeństwa przeznacza, ale to nieprawda, bogowie nie popełniliby takiej niesprawiedliwości«.

Grzeszyła więc odtąd najwięcej miłością; ale w tym zepsutym świecie, w którym żyła, był to błąd najmniejszy, o ile bowiem wiadomo, nie otruła nikogo, ale tylko, jak mówiono, kazała zamordować jednego człowieka, swego największego

wroga, Ludwika du Guasta, który systematycznie poróżniał ją z bratem, Henrykiem III., i z mężem. Mały to grzeszek na ówczesnem sumieniu. Była zresztą o tyle dobrą małżonką, że swego Bearneńczyka broniła, gdzie mogła, i starała mu się dopomagać w politycznych sprawach.

Niezwykłą swoją urodą ozdabiała dwory ostatnich dwóch Walezjuszów. Don Juan d'Austria, wytrawny znawca kobiecych wdzięków, widywał ją we Flandryi i sądził, że jest piękniejszą od Włosek i Hiszpanek, że piękność jej ma coś nadziemskiego, że cała jej postać chyba na to stworzona, aby mężczyzn raczej skazywać do piekła, aniżeli, aby im pomagać do zbawienia. Marguerita łączyła w sobie wszystkie zalety, ale i wiele błędów rodu Walezjuszów. Miała wielkopańską postawę, właściwą także Henrykowi III., i wyglądała na rzeczywistą królowę. Po Franciszku I. odziedziczyła próżność i chęć sławy, wielką łatwość do języków, zamiłowanie do sztuki i do literatury. Na jej korzyść trzeba powiedzieć, że Elżbieta austriacka, małżonka Karola IX., ta prawdziwie zacna kobieta, z całej rodziny Walezjuszów jedynie ją polubiła i nawet w potrzebie wspierała pieniądze.

Marguerita była królową mody, umiała się ubierać, a ulubionym jej kolorem była barwa żółta we wszystkich odcieniach aż do pomarańczowego. Zawistnych kobiet miała też bez liku; do nich przedewszystkiem należała owa stara intrygantka-plotkarka, duchessa d'Uzes, którą przewzano Sybillą. Przyjaciółka Henryka III., donosiła mu o wszystkich tajnikach kobiecego dworu.

Z całej rodziny najbliżej Marguerity stał duc d'Alençon, który nienawidził Henryka III. Nienawiść pomiędzy tymi braćmi datowała od lat dziecinnych, a Katarzyna była zmuszona rozdzielić chłopaków i wychowywać każdego z osobna, aby się nie pozabijali. Później te niechęci braterskie miały głębsze powody. Nie mając dzieci, troszczył się Henryk III. o następcstwo na tronie francuskim; nie chodziło mu tyle o państwo, ile o to, aby jego miejsca nie zajęli ludzie, których sobie nie życzył, a przedewszystkiem duc d'Alençon. Katarzyna była także przeciwną Franciszkowi, a on odpłacał się matce równą nienawiścią. Medyceuszka, chcąc się go po-



Marguerite de Valois Fille de Henri II, Soeur de
Henri III. & Femme de Henri IV, Rois de France.
*Née le 29 May 1552. et morte
le 27 Mars 1615.*

Marguerite de Valois.



zbyć z Francyi, pragnęła ożenić go z Elżbietą angielską; Elżbieta chętnie przyjmowała hołdy, ale do małżeństwa mniej była skora, tem bardziej, że ospa bardzo Franciszka zeszpeciła. Przed ospą był on pięknym mężczyzną, bardzo miłym w rozmowie, dowcipnym, jak wszystkie dzieci Katarzyny. Ospa tak dalece zmieniła mu twarz, że się zdawało, iż ma dwa nosy. Ponieważ zaś podobnie, jak Henryk, pełen był fałszu i hipokryzyi, więc we Flandryi ułożono na niego czterowiersze:

Flamans, ne soiez etonnés
 Si à François voiez deux nez,
 Car par droit, raison et usage,
 Faut deux nez a double visage.

Zausznicy Henryka III. jeszcze bardziej podsycali niechęć króla ku siostrze i księciu d'Alençon, a na czele tej intrygi stał Louis de Béranger du Guast, ulubieniec, a według Marguerity zły duch króla. Du Guast był człowiekiem złośliwym i podstępny, któremu przedewszystkiem o to chodziło, aby z łaski królewskiej mieć jak największe dochody. Umiał się zresztą przypodobać Henrykowi III., gdyż był dowcipny i chętnie opowiadał swe zdarzenia miłosne. Brantôme bardzo go lubił i nazywa go »son grand ami«. Portret Du Guasta au crayon zachowany w bibliotece paryskiej wybornie go charakteryzuje, z oczu patrzy mu dowcip i złośliwość.

Nienawiść Marguerity do Du Guasta sięgała jeszcze spotkania w Lyonie, kiedy ten przyjaciel królewski powracał z Henrykiem z Polski, gdzie także bawił. Jednego dnia udała się Marguerita ze swemi pannami do opactwa Saint-Pierre, a z powrotem zatrzymał się jej powóz na jednym z placów, gdzie mieszkało kilku szlachty. Powóz jej był zdaleka łatwy do rozpoznania, bo cały złożony i pokryty żółtym aksamitem w srebrne hafty. Du Guast zwrócił uwagę swego pana, że Marguerita zapewne pod pozorem wycieczki do opactwa odwiedza jednego ze swych kochanków. Król tę potwarz dalej powtórzył i uwiadomił o tem Katarzynę, która znów owo podejrzenie dalej rozgadała. Dowiedziawszy się o tem, zrobiła Marguerita matce gwałtowną scenę, wskutek czego Henryk przeprosił siostrę, utrzymując, że się pomylił. Ale Marguerita wie-

działa dobrze, że to jedna z plotek, powtórzona w tym celu, aby ją poróżnić z mężem, królem Nawarry, i z bratem, księciem d'Alençon. W tym kierunku działał ciągle Du Guast w porozumieniu z panią de Sauve.

Margueritę posądzano o nienaturalne stosunki z braćmi, najprzód z Henrykiem, a następnie z księciem d'Alençon; w tej zwyrodniałej rodzinie wszystko było możliwe. Do tego miał się odnosić list księżnej d'Uzes do Marguerity, wówczas, kiedy się spodziewała odwiedzin d'Alençona. Złośliwa Sybilla pisała wtedy do Henryka III., że Marguerita zamyka się od kilku dni z trzema służebnymi pannami, z których jedna dzierży »la glaive, l'autre la pête et la dernière le feu«. Ciągle siedzi w wodzie, biała jak lilia, pachnąca jak balsam, naciera się »fait encensments«, tak, iż zdawałoby się, że to czarująca czarownica«. Księżna przestrzega króla, aby nie wierzył, że to wszystko dzieje się, aby się jemu spodobać. »Je vous supplie tres humblement, dodaje przewrotna kobieta, que vous êtes son coeur, son tout, et que tous ces dits charmes se font pour votre service...«

Księżna wskazuje oczywiście tutaj na księcia d'Alençon, że te kokieteryjne przygotowania do niego się odnoszą.

Sieć tych brzydkich intryg, które dzisiaj rozwikływać nie na wieleby się przydało, dowodzi tylko, jak dalece zanikło wszelkie pojęcie moralności na dworze Walezyuszów. Zresztą te intrygi miały także swój cel polityczny, bo księżę d'Alençon odgrywał teraz podobną rolę, jak Henryk za Karola IX., stał w opozycji do króla i w tym celu narzucił się nie tylko niezadowolonym katolikom, ale i hugenotom wraz z Henrykiem bearneskim na przewodcę. Jak każda podobna opozycja, wzięli sobie ci wodzowie za hasło »dobro publiczne«, o które, jak mówi L'Estoile, tyle się troszczyli, co o swe stare buty. Bardzo ich wspierał Bussy d'Amboise, jeden z najwybitniejszych typów wojowniczych mignonów¹⁾, bardzo piękny, niespełna trzydziestoletni mężczyzna, odważny, pełen pogardy dla drugich, gdyż wybornie się bił w licznych poje-

¹⁾ M. André Joubert: Louis de Clermont, sieur Bussy d'Amboise. Angers et Paris 1885.

dynkach, pozbawiony jakichkolwiek zasad moralności, ale kobiety szalały za nim. Z rzezi nocnej na św. Bartłomieja skorzystał, aby zamordować swego krewnego, Antoniego de Clermont, z którym się procesował o markizat de Renel. Bussy należał zrazu do mignonów Henryka III., później został najulubieńszym przyjacielem księcia d'Alençon i kochankiem królowej Marguerity. Henryk III. więc go zniechęcił i z pomocą Du Guasta starał się go zgładzić; ale Bussy szczęśliwie uszedł zbrojnej zasadzce. Zamiast niego zabito w ciemnej ulicy jednego z jego towarzyszy. Nazajutrz też, chcąc zadrzeć z króla i Du Guasta, poszedł do Louvru złożyć hołd Henrykowi III., jakby nic nie zaszło. Ale wziął ze sobą dwustu zbrojnych, zupełnie mu oddanych. Henryk dowiedziawszy się o tem, powiedział tylko »c'était trop pour Bussy«. Słynnym był jego modlitewnik (Livre d'Heures), w którym pospisywał historye wszystkich znajomych, którym żony rogi przyprzyprawiały. Każda historia kończyła się hymnem pochwalnym na cześć oszukanego małżonka. Marguerita szczerze była zajęta Bussym, a w swym pamiętniku, w którym o ile możności jak najmniej wspomina o swych kochankach, nie mogła się powstrzymać, aby bardzo gorąco o nim nie wspomnieć.

Napisał też do niej aż siedmnaście stanc, z których jedna taka:

Mes yeux ne sont point yeux si ce n'est pour vous voir,
Les trajets de vos beautés que j'adore et que j'aime,
Je n'ay point de desir que pour vous desirer,
Je n'ay point de soupir que pour vous soupirer,
Bref, je ne suys point moy si ce n'est pour vous mesme.

Obok miłości drga w nim chęć zemsty wobec nieprzyjaciół, tych, którzy mu Marguerity zazdroszczą:

Lors d'un brave desir je veux, pour me venger,
Sortir, blesser, tuer, me jeter au danger,
Vous reporter la main de leur sang toute teincte,
Mais la peur d'offenser, au fort de mon desseing,
L'honneur que je vous dois me saisit par la main,
Jamais un grand amour ne marche sans la crainte.

Bussy lubił wiersze pisać i był zarozumiały że wszystko potrafi, nawet układać greckie poezye, o których jednak Brantôme bardzo się niepoehlebnie wyraża.

Du Guasta w trzydziestym roku życia spotkał taki los, jaki chciał zgotować Bussemu. Mordercą jego był baron Viteaux, który poprzednio w jakiejś sprzeczce zabił p. Alegre, jednego z faworytów Henryka III., Viteaux był bardzo lubianym na dworze królewskim i mnóstwo wpływowych osób wstawiało się za nim u Henryka III., aby go ulaskawił; ale Du Guast był temu przeciwny. Viteaux więc uciekł z Paryża, lecz po niejakiem czasie cichaczem powrócił i zdaje się, że w porozumieniu z dukiem d'Alençon, a jak niektórzy twierdzą, z namowy Manguerity, kazał Du Guasta zamordować. Viteaux ukrył się w klasztorze Augustyanów; tam go miała odwiedzić Marguerita i ostatecznie skłonić do zamordowania Du Guasta. Do leżącego już w łóżku wpadło kilku zamaskowanych ludzi i szpadami zadało mu tak ciężkie rany, że niebawem skonał. Przed śmiercią powiedział jeszcze, że to baron Viteaux kazał go zamordować.

Zginął tą samą śmiercią, jaką zadał kilku hugenotom w nocy św. Bartłomieja — w nocy i w łóżku.

Marguerita zapisała w swoim pamiętniku, że ciało tego obrzydliwca, za życia już zepsute, zostało oddane zgniliznie, a dusza demonom, którym hołdował magią i wszelkiego rodzaju występkami.

Także i Bussego spotkał taki los, jak większą część tych wojowniczych mignonów. Został zamordowany w chateau de la Coutancière 19. sierpnia 1579. Morderstwo to jest jednym z przykładów brzydoty charakteru Henryka III. Bussy miał wtedy romans z hrabiną de Montsoreau, a duc d'Anjou dostał w jakiś sposób jej list do Bussego i pokazał go królowi. Henryk III., chcąc się zemścić na dawnym swym ulubieńcu, pokazał ten list hrabiemu de Montsoreau. Hrabia zmusił swoją żonę, aby dała Bussemu rendez-vous w jakimś zamku. Gdy był pewny, że Bussy już tam przybył, napadł go ze zgrają opryszków. Bussy bronił się zawzięcie, najprzód mieczem, a gdy mu ten z rąk wytracono, chwycił ławkę, ranił kilku napastników, ale nareszcie został zabity przy oknie, którem chciał wyskoczyć.

V.

Na tym dworze zepsucia, wśród tej Sodomy ostatniego Walezyusza, zdarzali się i inni ludzie, którym przyświecały inne ideały, aniżeli chwilowy uścisk królowej Marguerity.

Takim był młodzieniec, pełen wrzącego zapału, pełen namiętności i gwałtownych porywów szlachetnego gniewu. Nazywał się Agrippa d'Aubigné (ur. 1550) i pochodził z Saintonge, jednego z najdawniejszych gniazd reformy we Francyi. Ojciec jego, zapalony Kalwinista i jeden z członków sprzysiężenia w Amboise, zawiózł przeszło ośmioletniego chłopca do Amboise i pokazał mu szubienice, na których jeszcze były przybite głowy współwyznawców. »Przypatrz się, mój chłopcze, rzekł stary d'Aubigné; jeżeli mnie zamordują, zostanie twoja głowa, aby pomścić tych naszych przewódców pełnych chwały; jeżeli będziesz oszczędzał wrogów, zacięży nad tobą moje przekleństwo!«

Chłopiec zapamiętał dobrze ojcowskie słowa, groza tych zwiędłych głów stała mu zawsze przed oczyma i jako gołowąsy młodzieniec bił się już w szeregach hugenotów. W jednej z utarczek z królewskim wojskiem wzięto go do niewoli, wrzucono do wieży, ale ze względu na wiek młodociany próbował inkwizytor przestraszem nawrócić go jeszcze na rzymską wiarę. Wobec stosu drzewa, pod który miano ogień podłożyć, wobec kata, czekającego na swoją ofiarę, wezwał go wysłannik Sorbony, aby się wyrzekł nowatorskich błędów. Agrippa dał śmiałą odpowiedź, że się ognia nie boi i zaczął śpiewać i tańczyć »gaillarde«. Zamknięto na nowo ofiarę do więzienia, sądząc, że hugenot skruszeje; ale ktoś, kto widział bohaterkie zachowanie się młodzieńca, ułatwił mu ucieczkę. Agrippa wojował dalej przeciw katolikom. Ale życie zaczęło mu być droższe, bo się zakochał w pannie de Talcy, Dianie Salviati i chciał się z nią żenić. Monsieur de Talcy mało zważał na bohaterstwo Agrippy i ręki córki odmówił, bo hugenot był ubogim. Więc d'Aubigné znowu poszedł na wojnę, ale w jakiejś potyczce został ciężko ranny. Mimo to wsiał na koń i popędził kilka mil do panny Salviati, aby umrzeć u jej stóp.

To nie zmiękczyło pana de Talcy; Agrippę zaniesiono do szpitala, gdzie się wyleczył, ale do wojny nie był już zdolny.

Zaczął pisać wiersze, które zwróciły nań uwagę kogoś z królewskiego dworu; romantyczna historia z panną Salviami pozyskała mu serca kobiet, a odwaga łaski króla Nawarry i Karola IX. Katarzyna zaraz spostrzegła jego talent pisarski, kazała mu układać mitologiczne balety, organizować maskarady, pisać wiersze okolicznościowe, a król Nawarry szczerze go polubił i przyłączył do swojego dworu. Miał więc protekcję króla hugenotów.

Nadeszła noc św. Bartłomieja. Że Agrippa nie był wtedy w Paryżu, zawdzięczał przypadkowi. Dwa dni przedtem zranił w jakiejś sprzeczce sierżanta gwardyi królewskiej i musiał wyjechać. Po niejakiem czasie Katarzyna potrzebowała poety i pod jej opieką mógł wrócić na dwór Bearneńczyka. Ale duch reformatorski wrzał w nim i kipiał; Agrippa czekał tylko chwili, aby wypełnić przykazanie zmarłego ojca. Bolało go przedewszystkiem, że jego protektor, głowa hugenotów, ugrzązł w rozkoszach dworu, myślał tylko o romansach i zdawał się zapomnieć o przeznaczeniu naczelnika hugenotów, na co przed laty został przeznaczony.

Jednego wieczora, gdy król już się położył do łóżka, zdawało się Agrippie, który wraz ze swym towarzyszem i także ulubieńcem Bearneńczyka był w sąsiednim pokoju, że król przyciszonym głosem coś nuci. Przyjaciele przybliżyli się do kotary i usłyszeli ostatnią zwrotkę ośmdziesiątego ósmego psalmu Dawida.

Tu m'ôtes, pour comble d'ennui,
L'ami que j'avais cru fidèle;
C'est en vain que ma voix l'appelle,
Dans l'état funeste ou je suis,
Helas! au fort de ma detresse,
Chacun se cache et me délaisse.

Agrippa nie chciał zrazu wierzyć swym uszom; ale ucieiszony, że król ma jeszcze poważne porywy, odsłonił firankę i w gorących słowach przedstawił mu konieczność wyrwania się z tej zepsutej atmosfery i powrotu do przyjaciół, którzy go

oczekują: »składasz królu ręce przed kobietami, podczas gdy twoi przyjaciele zaciskają pięście przed nieprzyjacielem; oni na koniu, a Ty na kolanach«.

Beameńczyk przypomniał sobie, że w tym Paryżu otruto skrycie jego matkę, że hańbą się okrywa, wspierając machinacje Katarzyny. We dwa dni później, trzeciego lutego 1576 uciekł cichaczem z Paryża i wracał do swego kraju.

W r. 1584 duc d'Alençon, teraz d'Anjou, umarł 10. marca na gwałtowny krwotok w Chateau-Thierry, w trzydziestym pierwszym roku życia; najbliższym więc dziedzicem francuskiego tronu po Henryku III. był król Nawarry, Henri de Bearn, potomek szóstego syna św. Ludwika. Korona Francji miała spocząć na głowie protestanta.

Ale obok protestanta rósł coraz potężniejszy pretendent, popierany przez Filipa II., naczelnik ligi katolickiej, Henryk Guise. Dopóki na tronie nie zasiadł, miał tymczasowo królować kardynał Bourbon, człowiek miernych zdolności, bez znaczenia.

Liga łączyła wszystkie żywioły niezadowolone z panowania Henryka III. i jego matki, z rządów »huśtawki«, jak je nazywano, z rządów, którym wierzyć nie było można, bo sprzyjających raz katolikom, to znowu hugenotom. Pomiędzy r. 1568 a 1575 pozawiały się w kilku prowincjach stowarzyszenia celem obrony kościoła katolickiego przeciw heretykom. Idea tych stowarzyszeń kielkowała już oddawna, ale brak jej było wodza. Ten się znalazł w młodym Henryku Guise, który zwyciężył Niemców, będących w służbie królewskiej 10. października 1575 i otrzymał w bitwie ranę w twarz, od której go nazywano Henri le Balafre.

Odtąd Guise był bohaterem ludu; gdy przechodził ulicami Paryża, wysoki, o jasnych, kędzierzawych włosach, w białym atlasowym kaftanie, odziany czarnym płaszczem, w wysokich butach z bawolej skóry, lud cisnął się ku niemu. Z okien rzucano mu kwiaty, kobiety czciły go jak świętego, dotykały go szkaplerzami, które potem do ust przykładaly. Jakaś młoda dziewczyna rzuciła się ku niemu, zdjęła maskę i uściskała bohatera wołając: »Dzielny książę, skoro jesteś z nami, nie mamy się czego obawiać«.

Siostra Henryka Guisa, madame de Montpensier, śmiertelna nieprzyjaciółka króla, niemało się przyczyniła do wzburzenia umysłów w Paryżu; zapanowała nad duchownymi, którzy rzucali pioruny z ambony na nieprzyjaciół katolickiej wiary i na Henryka III., ich przyjaciela. Gdy zaś 18. lutego 1587 została zamordowana Marya Stuart, pani de Montpensier skorzystała z tej tragedyi, aby jeszcze bardziej rozjątrzyć ludność paryską przeciw protestantom. Skłoniła proboszcza parafii Saint-Severin, aby na swym cmentarzu wystawił olbrzymi obraz, rodzaj panoramy, przedstawiającej znęcanie się protestantów angielskich nad katolikami. Obraz zaczynał się sceną, jak władze angielskie chwytają księży katolickich podczas mszy w kościołach, jak ich prowadzą ubranych w ornaty wśród plwain i śmiechów ulicami Londynu. Następnie widać było w jaskrawych barwach straszne tortury, jakimi Anglicy męczą katolików, jak ich biczują, przekuwają im uszy gorącym żelazem, wieszają ciała, gotują w kotłach, a wreszcie podcinane głowy, nogi lub ręce męczenników przybijają na bramach miasta.

Obrazy te sprawiły straszne oburzenie, tłumy ludu szły na cmentarz Saint-Severin, aby je oglądać.

Henryk III., jak zwykle, chciał się zemścić podstępem na Guisach; znaczącem skinieniem pozwolił jednemu ze swych dworzan przynieść sobie głowę Guisa i złożyć u swych stóp. Ale Guise otoczony był tyloma przyjaciółmi, że zamach na niego byłby się nie udał, pomimo że duc d'Épernon uzbroił w sztylety czterdziestu pięciu brawów. Chodziło o porozumienie się pomiędzy królem a Guisem. Guise jednak przeczuwał, że to zasadzka, aby go zamordować. Przyszedł więc na posłuchanie do króla z czterystu szlacheckimi towarzyszami, dobrze uzbrojonymi pod płaszczem. Było to dwunastego maja; król kazał szybko wyruszyć czterem tysiącom Szwajcarów i regimentowi gwardyi; ale ludność spostrzegła, o co chodzi, o schwycenie Guisa, więc zaczęła stawiać barykady, aby króla zamknąć w Luwrze. Przyszło do starcia. Szwajcarzy utracili pięćdziesięciu ludzi, Henryk III. był w największym niebezpieczeństwie; ale Guise wyjechał konno, bez broni, z białą buławą w ręku i rozkazał ludowi, aby nie nacierano na królew-

skich, ale tylko się broniono przed napadem. Zewsząd było słyhać okrzyki »Vive Guise!«

Król posłał po matkę, aby paktowała z Guisem. Ten odpowiedział, że przystanie na zawarcie pokoju, jeżeli go król zamianuje »lieutenant général« państwa, ogłosi, że tylko wiara katolicka ma być uznaną, postanowi, że ani król Nawarry, ani którykolwiek z książąt hugenotów nie może być następcą tronu, że oddali na zawsze z dworu królewskiego swych faworytów i zwoła stany państwa (»les états généraux«). Katarzyna chciała odpowiedź przewlec, ale Guise szorstko odpowiedział, że przenika jej zamiary; radaby go zabawiać, aby Henryk III. miał czas wyjechać z Paryża i przygotować obronę. I rzeczywiście król w przebraniu udał się do Saint-Cloud, ale Guise został panem stolicy. Obsadził Bastylie, Arsenal, zamek w Vincennes, ale nie liczył się ze stronnictwem hugenotów, którzy zaczęli stawiać silny opór przeciw niemu, spostrzegł więc, że zwycięstwo niepewne. Gdy zaś król na pozór także gotów był do pewnych ustępstw, mianował Guisa naczelnym wodzem armii i obiecał zwołać stany do Blois, spór narazie został załagodzony.

VI.

Stany zgromadziły się w Blois 16. grudnia 1588. Król, otoczony książętami krwi, utworzył posiedzenie z teatralną godnością, właściwą Walezyuszom w ważnych chwilach. Duc de Guise, jak zawsze, w ubraniu z białego atlasu, zajął miejsce poniżej króla i liczył wzrokiem swoich stronników: było ich dużo.

Henryk III. mówił trochę za długo, ale zręcznie i stanowczo. Pomiędzy innymi powiedział, że kilku panów pozawiazywało bez królewskiego pozwolenia ligi, które w każdej dobrze urządzonej monarchii stanowiłyby zbrodnię »de lèse-majesté«; on jednak, okazując swą zwykłą dobroć, chce puścić w niepamięć te sprawy.

Guise zbladł, słuchając tego wyzwania, a pomiędzy jego stronnikami zapanowało widoczne wzburzenie.

Po zakończeniu posiedzenia kardynał de Guise i arcybiskup Lyonu udali się do króla z żądaniem, aby w druku mowy królewskiej opuścić powyższy ustęp. Henryk III. wahał się zrazu zadość uczynić tej prośbie, ale za namową Katarzyny ustąpił i orędzie od tronu łagodniej w druku wyglądało. Początkowe uchwały stanów były po myśli ligi, tak dalece, że Guise pisał już do ambasadora hiszpańskiego, że liga stanie się prawem fundamentalnem państwa.

Ale spokojnie patrzący na rzeczy widzieli, że tutaj król i Guise stoją za blisko obok siebie i że to sąsiedztwo musi sprowadzić tragedję. Sam nawet Guise mówił przyjaciółom, że zewsząd go ostrzegają, iż istnieje spisek na jego życie. Ale on wie dobrze o tem, że ma wielu przyjaciół i że przeciwnicy ich się obawiają. Mimo to był ostrożniejszy, a ponieważ środki jego, przeznaczone na kupowanie stronników, były już na wyczerpaniu, więc żądał od komodora Marco, poufnego przy nim reprezentanta króla hiszpańskiego, aby go zasilil pieniędzmi.

Przyjaciele Guisa, przewidując coś złego radzili mu, aby wyjechał na jakiś czas do Orleanu; on jednak odpowiedział arcybiskupowi lyońskiemu, że kto opuszcza stanowisko, ten przegrywa. »Gdybym wiedział, mówił, że śmierć wchodzi do mnie przez okno, to nie wyszedłbym drzwiami, aby przed nią uciec«. Nawet markiza de Noirmoutiers, z którą Guise miał romans i szczerze był do niej przywiązany, namawiała go, aby wyjechał, a przynajmniej nie był obecnym na następnem posiedzeniu rady; ale Guise odpowiedział jej żartobliwie, nucąc piosenkę Desportes'a, jednego z ówczesnych poetów:

Rosette, pour un peu d'absence
 Votre coeur vous avez changé;
 Et moi, sachant cette inconstance,
 Autre part le mien j'ai rangé;
 Jamais plus beauté si légère
 Sur moi tant de pouvoir n'aura;
 Nous verrons, volage bergère,
 Qui premier s'en repentira.

Zaczęto potajemnie się naradzać, czyby nie uprzedzić zamiarów króla i nie zamordować go. Ale w tej mierze już Henryk III. wszystko przygotował, aby się pozbyć Guisa.

Ośmnastego grudnia 1588 dawała Katarzyna bankiet w zamku w Blois z powodu zamęścia swej siostrzenicy, Krystyny de Lorraine z Wielkim księciem toskańskim, Ferdynandem medycejskim. Podczas gdy się bawiono w salonach królowej, zaprosił Henryk III. do swego pokoju trzech zaufanych: marszałka d'Aumont, Mikołaja de Rambouillet i p. Beauvais-Nangis, przedstawił im wymownie, w jakim się znajduje niebezpieczeństwie, i prosił o radę. Trzej zaufani wiedzieli dobrze, że tą radą ma być zamordowanie Guisa, prosili jednak o dwadzieścia cztery godzin namysłu. Henryk III. nie czekał ich odpowiedzi, ale zaraz zawołał do siebie p. Crillon, maistra de camp oddziału gwardyi, i krótko go zapytał: »Czy sądzisz, że duc de Guise zasłużył na śmierć?« — »Tak, Sire«. — »A więc ciebie wyszukałem, aby mu ją zadać«. — »Trzeba więc osądzić go i wyrok wykonać«. — »Mój Crillon, wyrok jest niepewny, a tutaj trzeba działać natychmiast«. — »Sire, daruj, ale ja jestem żołnierzem, a nie mordercą«. — Król się odwrócił i powiedział tylko Crillonowi, aby milczał.

Zawezwał innego oficera swej gwardyi, p. Loignac, o którym sądził, że będzie mniej skrupulatnym żołnierzem. Ten przystał na wykonanie morderstwa w porozumieniu z wybranymi swymi gwardzistami i zamówił za poradą króla dwanaście sztyletów.

Tymczasem odroczone posiedzenie rady stanów na kilka dni, a nabożny Walezyusz oświadczył, że święto Bożego Narodzenia życzy sobie przepędzić w religijnem rozpamiętywaniu w Notre-Dame-de Cléri.

Dwudziestego drugiego grudnia wieczór znalazł duc de Guise, siadając do obiadu, pod serwetą kartkę z napisem: »Król chce cię zamordować«. Guise zażądał pióra, odpisał na tej samej kartce »Nie będzie śmiał« i rzucił papier pod stół.

W nocy 23. grudnia król nie mógł zasnąć, wstał o czwartej z rana i kazał wejść tajemnymi schodami dziewięciu gwardzistom, których Loignac wybrał, wręczył im sztylety i ustawił ich tam, gdzie mieli oczekiwać zebrania się rady.

Przygotowawszy w ten sposób czaty morderców, zamówił Henryk III. kapelanów nadwornych, aby odprawili nabo-

żeństwo za powodzenie króla w przedsięwzięciu, od którego zależy szczęście Francji. Sam zaś wszedł do swego gabinetu.

Obrady miały się rozpocząć; posłowie zaczęli się schodzić. Duc de Guise, idąc do sali, wstąpił do małego oratorium w zamku, aby odmówić ranną modlitwę, poczem objawił życzenie widzenia się z królową Katarzyną, której ma kilka słów powiedzieć. Królowa jednak, chora na artretyzm, nie przyjęła go.

Guise był niewyspany, nerwowy, głodny. Kazał poprosić p. de Saint-Prix, pierwszego kamerdynera króla, aby mu dał winogron de Dames albo różanej konfitury, albo jakiej innej drobnostki. Prix przysłał mu śliwki de Bregnoles, z których Guise zjadł tylko jedną, bo krew puściła mu się z nosa. Nie miał chustki przy sobie, przyniesiono mu ją z garderoby królewskiej.

Wtem wszedł sekretarz państwa, Rivol, z poleceniem, że król prosi księcia do swego starego gabinetu. Rivol widząc, na co się zanosi, był blady, zmieszany. »Co ci jest, Rivol?« zapytał Henryk, »takiś blady, wszystko mi popsujesz, wytrzymaj sobie policzki«.

Guise posłuchał wezwania, włożył płaszcz, kapelusz, rękawiczki i wyszedł z sali posiedzeń mówiąc: »Adieu, messieurs«. Minął przyległy do sali pokój króla, grzecznie pozdrowił Loignaca i jego towarzyszy, którzy powoli za nim postępowali, jakby go odprowadzali do gabinetu króla. Gdy Guise doszedł do drzwi starego gabinetu i trochę się schylił, aby odsłonić ciężką gobelinową portyere, w mgnieniu oka zadano mu pięć pchnięć sztyletami w piersi, w szyję i w krzyż.

»Boże miłosierdzia!« zawołał, ale już go krew zalała. Mimo to z największym wysileniem dowlókł się do przeciwległej strony pokoju i upadł bez życia przed łóżem Henryka III.

Król zbrodniarz przypatrywał się całej scenie z za kotary nowego gabinetu i gdy zobaczył, że Guise zabity, wszedł, pytając: »Czy już skończone?« — »Skończone« — odpowiedziały przyciszone głosy. Henryk III. przyglądał się z zadowoleniem i wielką ciekawością swej ofierze: »Jaki on duży, większy jak za życia« — zauważył.

Słyszając, że się coś nadzwyczajnego dzieje, przybiegł kar-

dynał de Guise z przerażeniem wołając: »Mordują mego brata!« Za nim śpieszył arcybiskup lyoński, Piotr d'Éspinac. Obydwu aresztowano i odprowadzono do małego pokoju nad salą obrad. Przyniesiono im kilka jaj, chleb, wino, dwa brewiarze, szlafroki, jeden materac i jeden siennik. Kardynała Guise ścięto następnego dnia, arcybiskupa z Lyonu król ułaskawił.

Wchodząc do sali obrad, Henryk III. powiedział swoim ministrom z zadowoleniem: »Teraz jestem jedynym królem«. Następnie udał się do chorej matki, która miała zrobić trochę krawiecką uwagę: »Spodziewam się, że to dobrze skrojone; teraz trzeba uszyć«. »J'espere que c'est bien coupé, maintenant il faut coudre«.

W trzynaście dni po zamordowaniu Guisa umarła Katarzyna piątego stycznia 1589. Mówiono, że o jej ciało troszczono się tyle, co o padłą kozę, i ułożono następujący epigraf:

La reine qui cy git fut un diable et un ange,
 Tout pleine de blâme et pleine de louange;
 Elle soutint l'État, et l'État mit à bas;
 Elle fit maints accords et pas moins de débats;
 Elle enfanta trois rois et cinq guerres civiles;
 Fit batir des chateaux et ruiner des villes;
 Fit bien de bonnes lois et mauvais édits:
 Souhaite lui, passant, enfer et paradis.

Katarzyna całe życie robiła długie; nie dziw, więc, że po jej śmierci pozostały ogromne pieniężne zaległości, tak dalece, że jej wierzyciele kazali sporządzić inwentarz ruchomości, które się znajdowały w Paryżu, w l'Hotel de Soissons. A były tam skarby; samych arrasów naliczono 135, portretów znakomitych osobistości 341, emalii limuzyńskiej sztuk 70, mnóstwo fajansów Palissego, w których się królowa bardzo lubowała, a rzecz trochę dziwna, aż 119 zwierciadeł weneckich. Złota i klejnotów nie znaleziono, prawdopodobnie zabrała je królowa ze sobą do Blois.

Zaraz po śmierci męża postanowiła Katarzyna zbudować przy katedrze w Saint-Denis wspaniałą kaplicę Walezyuszów,

w którejby przechowane były popioły Henryka II., a kiedyś szczątki jej i królewskich dzieci. W myśli stała jej kaplica Medyceuszów w St. Lorenzo, tylko francuskie mauzoleum miało być jeszcze wspanialsze, jak florenckie. Plan budowy, rodzaj rotundy, wykonał Pierre Lescot, roboty rozpoczęły się 1560 i ciągnęły się przez pierwsze dziesięć lat pod kierunkiem tego znakomitego artysty, ale w chwili śmierci Katarzyny jeszcze nie były skończone. W r. 1572 kierował nimi Jean Bulland, ale pieniędzy na budowę zabrakło tak dalece, że architekt, nie mogąc otrzymać zaległych 6.000 liwrow, ogłosił się właścicielem włożonych tam materiałów. Kaplicę spotkał podobny los, jak wiele innych budowli z czasów Walezyuszów. W r. 1582 zaczęto znowu roboty, ale ostatecznie budowa została zaniechana po dniu barykad, kiedy Henryk III. musiał z matką Paryż opuścić. Ruiny tej kaplicy zburzono w zupełności w roku 1719 za Ludwika XV.

Szcześniejsze losy spotkały grobowiec Henryka II., który miał początkowo stanąć w owej kaplicy. Pracowali nad nim różni rzeźbiarze: Germain Pilon, Fremyn Roussel, Le Roux, a nawet Girolamo della Robbia, ale główny zarząd tego dzieła był w rękach Piona. Germain Pilon należał do tego kierunku artystów, co Philibert de l'Orme; nie gardził klasycyzmem, ale starał się rozwijać świetne tradycje rzeźbiarskie dawnej Francji. W postaciach Henryka II. i Katarzyny, zdobiących grobowce, był najzupełniejszym realistą, tak dalece, że oprócz Henryka i Katarzyny w królewskich szatach, siedzących na platformie łuku grobowców, umieścił we wnętrzu łuku obydwie postaci królestwa, leżące obok siebie, jako ciała zmarłe, obnażone. Katarzyna uważała za rzecz nieprzyzwoitą, aby się potomności przedstawiać bez okrycia, i kazała swój posąg usunąć. Nie była to zresztą nowa idea Piona, bo na podobnym pomniku, który Philibert de l'Orme wraz z Piotrem Bontemps wystawił w Saint-Denis, także wyrzeźbił obnażone postaci Franciszka I. i jego małżonki, Klaudyi de France. A nawet jej zmarła postać zupełnie nie razi dzisiejszego oka i jest dziwnie poważną i pełną wiecznego spokoju.

Gdy się wchodzi do wspaniałej świątyni w Saint-Denis, uderzają przede wszystkim trzy grobowce: Ludwika XII.,

Franciszka I. i Henryka II., wszystkie trzy opierające się architektonicznie o tryumfalny łuk starożytny i tylko w szczegółach się różniące. Najdawniejszy z tych pomników był pomysłem Jana Justa, Toskańczyka, wspaniały, okolony dużymi symbolicznymi figurami; najpiękniejszym z nich jest bezsprzecznie grobowiec Franciszka I., najbardziej harmonijny. Jan Just, właściwie Jan Betti, osiedlił się we Francyi i stał się fundatorem rzeźbiarskiej dynastyi Justów, która wywarła wielki wpływ na rzeźbę francuską w XVI. wieku.

W powyższych grobowcach niema już szczątków królewskich; podczas wielkiej rewolucyi francuskiej zawartość trumien została zniszczona, gdyż katedra służyła chwilowo za świątynię rozumu, następnie za skład artyleryi i soli, a wreszcie rozgościł się w niej teatr linoskoczków. Za Ludwika XVIII. uratował to, co jeszcze z zabytków sztuki uratować się dało, malarz Aleksander Lenoir i doprowadził grobowce królewskie w St.-Denis do tego stanu, w jakim się dzisiaj znajdują.

VII.

Henryk III. niedługo się cieszył swem wyłącznem panowaniem; liga katolicka nie została zniszczona zamordowaniem Guisa, po nieżyjącym już wodzu objął natychmiast naczelnictwo brat jego, duc de Mayenne. Nie miał on tego zmysłu politycznego i tych zdolności, co Balafre, ale był dzielnym żołnierzem, szybkim w postanowieniach, przeciwstawieniem chwiejnego i niestałego Henryka III. Duc de Mayenne udał się zaraz do Paryża, gdzie go witano okrzykami »Vive la maison de Lorraine!«, największe miasta Francyi, jak Orléans, Rouen, Toulon, Lyon, Amiens, całe prowincye oświadczyły się przeciw królowi mordercy. Liga głosiła, że nie chce mieć najmniejszego stosunku z »Henrykiem de Valois«, że sądowo będzie dochodziła śmierci Guisa, a Sorbona zawyrokowała, że »tyran jest nieprzyjacielem religii katolickiej«. Parlament wyznaczył komisję, która miała się zająć całą sprawą, a z Rzymu nadeszła bulla Sykstusa V., że jeżeli Henryk III. w przeciągu dziesięciu dni nie uwolni kardynała Bourbona, to ulegnie

ekskomunicie. Ponieważ kardynał już został zamordowany, więc publiczność francuska uważała Henryka de Valois za człowieka wyklętego z Kościoła. Tysiącami rozchodziły się najgwałtowniejsze pamflety, karykatury, nurzające w błocie Henryka III., a na ulicach, a nawet na ambonach wołano o pomstę przeciw temu nieprzyjacielowi religii katolickiej. Pierwszego stycznia 1589 kazał duchowny w Saint-Barthelemy przysięgać publiczności zgromadzonej w kościele, że poświęci ostatni grosz i ostatnią kroplę krwi, aby pomścić zamordowanych książąt Ligi.

Król widział, że mu się państwo zupełnie z pod władzy usuwa, nie śmiał wrócić do stolicy, do Paryża; trzeba było podjąć walkę przeciw ludowi, a sił miał za mało. Jedyńm sprzymierzeńcem mógł być król Nawarry; ale Bearneńczyk był protestantem i walczył w tej chwili na czele hugenotów. Nie było jednak innej rady, jak wyciągnąć przyjazną rękę do szwagra. Król Nawarry widział, że zwycięstwo Ligi zagrażałoby hugenotom, więc przyjął zaproszenie Henryka III. celem wspólnej narady w Tours. Przyjaciele Bearneńczyka odradzali mu, aby do Tours nie jechał, obawiając się jakiej zasadzki zdradzieckiego króla. Ale król Nawarry był człowiekiem odważnym i zresztą zrozumiał, że jest dla Henryka III jedyną kotwicą ratunku. Powitanie królów było serdeczne; Bearneńczyk wydał gorąco napisany manifest, wzywający naród do zgody, do zakończenia tych walk, które od lat trzydziestu kraj rozdzierają.

Na czele 42.000 żołnierzy postanowili królowie iść z końcem lipca 1589 na Paryż, oblegać zbuntowaną przeciw monarsze stolicę. Nim się jednak rozpoczęły nieprzyjacielskie kroki, zatrzymali się sprzymierzeńcy w Saint-Cloud. Henryk III. zamieszkał w domu p. Gondi, hrabiego de Retz, skąd widział przed sobą miasto, które po dniu barykad opuścił.

We wtorek pierwszego sierpnia oznajmiono Henrykowi III., że jakiś dominikanin prosi króla o posłuchanie, ale że gwardya nie chce go dopuścić. »Niech wejdzie, powiedział król; jeżeli go odprawię, powiedzą, że odpędzam mnichów«.

Dominikanin wszedł, głęboko się skłonił przed królem, oświadczył, że ma listy od hrabiego de Brienne, uwięzionego

rojalisty, do monarchy, a nadto, że ma królowi wyjawić jakąś tajemnicę. Henryk III. kazał się oddalić dworzanom będącym w pokoju, a mnich, widząc, że król czyta list, z błyskawiczną szybkością wyciągnął nóż z rękawa swego habitu i utopił ostrze w żołądku monarchy. Henryk III. z trudnością wydobyl nóż z ciała i wykrzyknął: »Zabijcie tego mnicha!«

Dworzanie się zbiegli, mnich cofnął się ku najbliższej ścianie i rozłożył ręce, jak gdyby był przybity na krzyżu.

Za małą chwilę runął nieżywy pod ciosami szpad i halabard.

Dano znać Henrykowi z Nawarry do obozu, który czempredziej przyjechał. Ranę zadaną królowi uważano na razie za mniej niebezpieczną; ale Henryk III. musiał czuć, że ostatnia chwila jego życia się zbliża. Zaniesiono go do łóżka; zawołał dworzan i powiedział im, wskazując na Bearneńczyka: »Proszę was i jako król rozkazuję, abyście po mojej śmierci uznali go jako waszego króla — przysięgnijcie!«

Obecni ukłękli i przysięgli.

O północy z pierwszego na drugiego sierpnia 1589 stracił Henryk III. przytomność, o trzeciej rano już nie żył. Korona Francyi miała przejść na wodza hugenotów.

Król Nawarry zażądał szczegółów o mordercy. Nazywał on się Jacques Clément, był dominikaninem, miał lat dwadzieścia ośm, zdawało mu się, że opatrność przeznaczyła go, aby zabił człowieka, który zrujnował kościół katolicki. Przed wykonaniem swego zamiaru chciał jeszcze poradzić się uczonych w Piśmie. Oświadczył braciem zakonnym, że jeden z jego przyjaciół zapytał go, czy możnaby zabić Henryka de Valois bez popełnienia grzechu śmiertelnego i czy w takim razie morderca pójdzie do nieba.

Dominikanie odpowiedzieli, że morderca, któryby miał osobisty interes w tym czynie, albo zadowolenie z zemsty pochodzące, popełniły ciężki grzech; jeżeliby wszakże miał na celu dobro publiczne i religijne, niema wątpliwości, że umierając, zasłużyłby sobie na wieczne szczęście.

Wyrok uczonych w Piśmie był zachętą dla Clémenta do popełnienia królobójstwa.

Podstępny, zły Henryk III. miał przecież szczerze oddanych sobie dworzan; otoczenie go lubiło, bo był rozrzutnym i wzbogacał ludzi, na których mógł liczyć.

Do takich należał Charles Benoise, sekretarz króla, który w r. 1594 wystawił w kościele w Saint-Cloud bardzo piękną kolumnę z urną na wierzchu, mającą zawierać serce zamordowanego króla. Jest to skręcona kolumna z czerwonego marmuru, ozdobiona bluszczem, palmami i koronami z brązu. Najcenniejsze to dzieło rzeźbiarza Bartłomieja Prieur, który odznaczał się dekoracyjnym talentem. Inna pośmiertna kolumna tego rzeźbiarza, zawierająca serce słynnego Anne de Montmorency, znajduje się dzisiaj w Luwrze, ale nie jest tak piękną, jak kolumna, poświęcona pamięci Henryka III.

Portretów Henryka III. dochowało się bardzo dużo; ale współcześni utrzymywali, że żaden malarz nie zdołał wiernie oddać tej zmieniającej się, nerwowej twarzy. Piękny portret na drzewie znajduje się w Musée Condé w Chantilly, niewiadomego artysty. Henryk III. jest tam jeszcze młody, ale twarz już zmęczona, z wyrazem pewnego chorobliwego smutku starej, gasnącej już rasy. Także na uwagę zasługuje portret króla »au crayon« Mikołaja Quesnel, artysty, działającego w drugiej połowie XVI. wieku, znajdujący się w Cabinet des Estampes w Paryżu.

W tym samym zbiorze istnieje portret kredkowy Luizy de Lorraine, małżonki Henryka III., który ją zupełnie porzucił z niewiadomych przyczyn. Po zamordowaniu męża żyła w swych zamkach, w Chenonceaux i w Moulins, oddając się dobroczynnemu działaniu. Umarła 29. stycznia 1601 i została pochowana u kapucynów w Paryżu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

KRÓLOWA MARGOT.

I.

Najpiękniejszą w życiu miała królowa Marguerita chwilę, kiedy polscy posłowie bawili w Paryżu, kiedy przemawiała do nich po łacinie i swą pięknnością wzbudzała podziw; później spadały na nią bardzo ciężkie ciosy. Zmuszona do przyjęcia ręki Bearneńczyka, nie miała już spokoju.

Jedną z najbardziej dramatycznych scen w jej życiu, było zajście w r. 1583, świadczące o niecnym charakterze Henryka III. Marguerita zakochała się w wielkim koniuszym swego brata, księcia d'Anjou, w Harley'u de Chamvillon, którego zwano »pięknym Chamvillonem«. Przeszła właśnie ciężkie zmartwienie, których powodem była kochanka mężowska, Fausseuse, i zamierzała w r. 1581 pojechać z Nérac do Paryża. Zabrała jednak ze sobą Fosseuse, jako pannę honorową, sądząc, że gdy król nie będzie jej miał koło siebie, zajmie się jaką inną dziewczyną, mniej dla niej niebezpieczną, aniżeli Fosseusa. Marguerita pragnęła zresztą spotkać się znowu z Chamvillonem, który miał przybyć do Paryża. Mówiono nawet, że wtedy spodziewała się potomka ze stosunku z pięknym koniuszym; ale nadzieja widzenia się z kochankiem zawiodła, bo Chamvillon bawił chwilowo we Flandryi, na wyprawie z dukiem d'Anjou.

Z Flandryi udał się koniuszy z księciem d'Anjou do Lon-

dynu, księżę miał bowiem jeszcze nadzieję, że królowa Elżbieta angielska odda mu rękę. Królowa ciągle go zwodziła; nazywała pieśczośliwie »mon petit prince grenouille« i co rano sama przynosiła mu filiżankę bulionu do jego sypialnego pokoju. W początkach r. 1582 obdarzała rozmaitemi podarunkami, ścisłała wobec dworzan, ale z końcem stycznia oświadczyła — bez widocznego powodu, że już nie czuje do niego tej skłonności, co dawniej. »Mała żabka« musiała przy miłosnem spotkaniu zawieść nadzieje Elżbiety. Wprawdzie po kilku miesiącach zaczęła królowa żałować, że »żabka« już wyjechała, ale małżeństwo nie przyszło do skutku.

Tymczasem Margot przybyła w r. 1582 do Paryża z mnóstwem kufrów wyładowanych na kilku wozach. Zamieszkała w świeżo zakupionym domu kanclerza de Birague; król przyjął ją stosunkowo dobrze, gdyż chciał przez nią działać na króla Nawarry, którego rad był użyć jako przeciwwagę wzmagającemu się stronnictwu Guisów. Ba, nawet przystał na to, aby starzejąca się Katarzyna odstąpiła duché de Valois swej córce.

Także stosunek pomiędzy Margueritą a jej mężem zdawał się polepszać, dopóki Katarzyna nie rozpoczęła nowych intryg. Ale naraz uważała królowa matka za rzecz uwłaczającą honorowi córki, aby Margot miała w Paryżu przy sobie Fosseuse, o której wiadano, że jest kochanką Bearnńczyka. Napisała więc do Henryka, że mu odeśle »cette belle bête«, ponieważ dalszy jej pobyt w Paryżu mógłby osłabić dobre stosunki rodzinne.

Nagle jednak inne, większe zmartwienie spadło na biedną Margueritę. Chamvallon, obawiając się zapewne, aby jego stosunek z nią nie poróżnił go z Henrykiem III., ożenił się 20. sierpnia 1582 z Katarzyną la Mark, dame de Brevel. Marguerita nie mogła znieść tej obelgi i napisała do Chamvallona list, znamionujący jej gwałtowne oburzenie i miłość, jaką ku niemu pałała. »Czyż niema już sprawiedliwości w niebie i wierności na ziemi? — pisała — możesz tryumfować nad mojem gorącym uczuciem«.

Mimo to, gdy Chamvallon wrócił do Paryża, przyjęła go i jak mówiono, odnowiła z nim dawne czułości. Ale przyjaźń

nie trwała długo, bo pani de Sauve, wieczna nieprzyjaciółka Marguerity, zajęła się bardzo Chamvallonem i odebrała go królowej. Ta miłosna porażka tak ją dotknęła, że chciała wyjechać z Paryża i powrócić do męża, ale nie miała pieniędzy na drogę, aby swój zamiar skutecznić. Na domiar nieszczęść zachorowała w lipcu i rozeszła się wieść, że się znowu spodziewa potomka.

Tymczasem duc d'Épernon i duc de Joyeuse korzystali z każdej sposobności, aby podjudzać Henryka III. przeciw siostrze, tem bardziej, że i ona nie oszczędzała tych mignonów, ale gdzie mogła, opowiadała, jakie sumy król na nich wydaje. Podsunęli więc królowi przekupioną służącą Marguerity, aby opowiedziała wszystkie szczegóły jej romansu z Chamvallonem. Król, złośliwy z usposobienia i lubiący wszelkie plotki, korzystał ze sposobności, aby dowiedzieć się od tej służącej nie tylko o stosunku swej siostry z Chamvallonem, ale o całej liście jej romansów.

Właśnie wtedy duc de Joyeuse bawił we Włoszech; król nie mógł wytrzymać, aby nie donieść swemu przyjacielowi tych skandalicznych nowin i przez osobnego kuryera napisał mu list, w którym były »rzeczy wstrętne o obyczajach siostry«. W drodze napadło czterech ludzi kuryera, żądało od niego wydania listów, a gdy posłaniec nie chciał wydać powierzzonej sobie korespondencji, zamaskowani wysłańcy zabili go na miejscu. Napad ten przypisywano zrazu Marguericie, a Henryk III. skorzystał ze sposobności, aby w sposób niegodny i uwłaczający swemu rodowi zemścić się na siostrze.

Królowej Katarzyny nie było wtedy w Paryżu, a mignoni wywierali bezwzględny wpływ na złośliwego Henryka.

Siódmego sierpnia miał się odbyć wielki bal w Luvrze, a Henryk III. prosił siostrę, aby zastąpiła królową Luizę, bawiącą u wód w Bourbon-Lancy, i robiła honory. Królowa Nawarry, nie podejrzewając nic złego, przyjęła to zastępstwo.

W chwili, kiedy już całe towarzystwo się zgromadziło, wystąpił Henryk III., otoczony swymi mignonami, z dukiem d'Épernon na czele, podszedł ku Marguericie i głośno zaczął jej wyrzucać stosunek z Chamvallonem. Oskarżał siostrę, że miała z nim potomka, i wymienił za porządkiem wszystkich

kochanków, których według zeznań pokojowej jej przypisywano. Zakończył gburowatym rozkazem, aby nie kalala królewskiej stolicy i zaraz, nazajutrz powróciła do swego męża.

Przerażona Marguerita zbladła, nie znalazła słów na odpowiedź i wyszła ze sali wśród ironicznych spojrzeń miżnionów.

Tej samej nocy kilkunastu zamaskowanych ludzi otoczyło mieszkanie Chamvallona i przeszukało jego pokoje z dokładnością. Widocznie chciano go uwięzić; ale koniuszy, przeczuwając niebezpieczeństwo, już był wyjechał z Paryża, jak się zdaje, do Niemiec.

Marguerita opuściła ósmego sierpnia Paryż w największym pośpiechu, pozostawiając swój dom w nieładzie. Powtarzała swemu otoczeniu, że nie było nigdy nieszczęśliwszych kobiet, jak ona i Marya Stuart. Na obiad zatrzymała się w Bourg-la-Reine, kędy właśnie przejeżdżał Henryk III., udając się do Vendôme; ale pomimo, że zobaczył siostrę, nie pozdrowił jej nawet.

Nocowała w Paterseau, ale i tutaj nie dał jej Henryk odetchnąć; wysłał za nią sześćdziesięciu łuczników ze swojej gwardyi, pod dowództwem p. Larchant, którzy znowu przeszukali jej rzeczy, nie oszczędzając nawet pościeli, i uwięzili towarzyszkę królowej, panią de Duras i pannę de Bethune, które posądzano, że pomogły Marguericie w spędzeniu płodu. Prócz tych dwóch pań uwięziono jeszcze jej sekretarza, koniuszego, przybocznego lekarza i kilka kobiet, razem dziesięć osób. Z uwięzionymi obchodzono się w sposób nieludzki i odprowadzono ich do opactwa de Ferrières, gdzie w obecności króla przesłuchiwano każdego z osobna bardzo szczegółowo o sposobie życia i o obyczajach Marguerity i kazano podpisać protokoły. Brantôme utrzymuje, iż wie z pewnością, że królowa w tym wypadku była zupełnie niewinna.

Uwięzieni dworzanie także nie zeznali nic obciążającego, wskutek czego Henryk III. pozwolił, aby Marguerita puściła się w dalszą podróż do Gaskonii, królowi Nawarry jednak własnoręcznie napisał o całym wydarzeniu.

Z drogi wysłała Marguerita do matki rozpaczliwy list, w którym powiada, że Henrykowi III. chodzi tylko o powód,

aby jej życie odebrać, a może i matka tego pragnie. Po śmierci, gdy ciało jej rozciętą, będą się mogli przekonać, że posądzenie, jakoby płód spędziła, było oszczerstwem.

Położenie biednej kobiety było straszne; obciążoną zbrodniczem posądzeniem odsyłano do męża, który ani jej kochał, ani nie miał dla niej szacunku. Na to przystać nie mogła; opuszczona przez matkę, bez potrzebnych funduszy, czując nad sobą ramię bezecnego brata, musiała tułać się, aby tylko uniknąć siepaczy Henryka III. Gdyby wróciła do męża, mogła się obawiać, że Bearneńczyk wrzuci ją do więzienia, aby się jej pozbyć.

Henryk z Nawarry postąpił jednak jeszcze najuczciwiej; wysłał zaufanego dworzanina p. Du Plessis-Mornay do Henryka III., aby król wyjawiał właściwe przyczyny swej nienawiści i pogardy dla siostry, bo przecież najniższej kobiecie nie odbiera się czci bez ważnych powodów. Zresztą Henryk, jako głowa rodu, powinienby mu wskazać, jak on ma postąpić wobec swojej małżonki. Ale Henryk III. nie dał żadnej stanowczej odpowiedzi, wywijał się, jak mógł, kłamstwami.

Bearneńczyk, widząc postępowanie króla, napisał do Marguerity, aby nie przekraczała granic jego państwa, dopóki nie otrzyma od brata zupełnego zadośćuczynienia za uczynioną jej zniewagę. Henryk nawarski był zresztą zadowolony z nieobecności żony, kochał się wtedy zapamiętałe w Dianie d'Audoins, hrabinie de Gramont.

Nareszcie przysłała Katarzyna swej córce potrzebną kwotę na konieczne wydatki; Marguerita więc, nie wiedząc, co dalej począć, udała się do Agen, miejscowości będącej jej własnością. Henryk III. zaczął poznawać błędy, które popełnił, i wysłał pana Bellièvre do Bearneńczyka, aby mu wytłumaczył, że król żałuje swego postąpienia wobec siostry, że oskarżając ją, uniósł się w gniewie wskutek fałszywych doniesień o Marguericie; sądził zresztą, że siostra kazała zamordować kuryera, którego wysłał do p. de Joyeuse. Nadto jedna z kobiet Marguerity, nazwiskiem Barbe, zeznała później pod przysięgą, że wszystko, co mówią przeciw jej pani, jest nieprawdą. Henryk III. się usprawiedliwiał, że czasem najcnotliwsze panie są wystawione na niesłuszne obmowy, jak to bywało z ma-

tką Bearneńczyka, najenotliwszą kobietą, o której także źle mówiono.

Gdy Bellièvre przywiózł te listy, Henryk nawarski przeczytał je w obecności kilku swoich bliskich dworzan, rozśmiał się i powiedział, że Henryk III. za wiele mu robi honoru, gdyż w poprzednich listach nazwał go »cocu«, a w ostatnim piśmie synem ulicznicy.

Tak Henryk III., jak i królowa Katarzyna, starali się przez posłów doprowadzić Bearneńczyka do zgody z Margueritą. Po wielu zachodach przystał Henryk nawarski na rozmowę ze swoją małżonką, ale nie pragnął szczerej zgody. Małżeństwo zjechało się po drodze do Nérac w Port-Sainte-Marie 13 kwietnia 1583. Marguerita pierwsza przybyła; po przyjeździe Henryka weszli oboje do pokoju na pierwszym piętrze, pokazali się w oknie i rozmawiali z pół godziny, poczem zeszli na dół, królowa wsiadła do lektyki, król towarzyszył jej konno i tak przybyli do Nérac, gdzie samotnie przechadzali się po galerii zamkowej aż do wieczora. Królowa bezustannie płakała, a gdy później zeszła do obiadu, była tak zapłakana, że przykro było obecnym dworzanom na nią spoglądać. Król wprawdzie siedział przy niej, ale rozmawiał tylko z dworzanami.

Jakiś czas małżeństwo mieszkało w Nérac, widując się tylko przy obiedzie. Henryk bawił zresztą prawie ciągle w Pau z hrabiną Gramont i rzadko tylko przyjeżdżał do Nérac. Marguerita pragnęła mieć syna, aby poprawić swoje stanowisko; pojechała też do kąpiel w Bagneres, które miały w tej mierze działać bardzo korzystnie. Podobno nawet małżeństwo spędziło jedną noc ze sobą, ale owe dobre chęci Marguerity nie doprowadziły do zamierzonego celu. Do harmonii nie doszło, Bearneńczyk wysłał nawet jednego ze swych dworzan do króla i do Katarzyny ze skargą, że Marguerita chciała go otruć.

Ze śmiercią księcia d'Anjou straciła Marguerita ostatnią podporę, bo na matkę liczyć nie mogła; Katarzyna się bardzo zestarzała i ulegała zupełnie Henrykowi III. Królowa Margot kazała sobie obić pokój kirem i sama, jako też cały jej dwór, przywdziała żałobę.

Bearneńczyk został następcą tronu francuskiego. Henryk III. wysłał do niego księcia d'Épernon, aby mu oznajmić, że go uważa za legalnego swego następcę, wezwał, aby przybył do Paryża i na drogę przysłał mu 200.000 talarów. Henryk nawarski wyjechał też w otoczeniu stu tamtejszej szlachty.

Nie ufając ani bratu ani mężowi, szukała Marguerita innej podpory; korzystała z tego, że Guizowie otwarcie występowali przeciw kandydaturze Bearneńczyka na następcę tronu francuskiego, aby najzupełniej przystąpić do skrajnego stronnictwa katolickiego i walczyć tak przeciw bratu, jak i przeciw mężowi. Tem bardziej obawiała się zupełnego osamotnienia, a nawet zamachów na swe życie, że mąż jej miał nowy stosunek z hrabiną de Guiche, która miała na niego wielki wpływ, a bardzo ambitna, zamierzała usunąć Margueritę, aby wyjść za mąż za Henryka. Bearneńczyk obiecał jej nawet, że ją pojmie za żonę, co zresztą należało do zwykłych jego sposobów, aby sobie przywiązywać kochankę. Marguerita podejrzывała nawet jednego z zaufanych swego męża, pana de Ségure, że chciał ją wykraść i zawieźć do więzienia w Pau. D'Aubigné, który nie lubił Marguerity, był o tyle uczciwym, że powołany do poufnej narady, jakby umotywować skazanie Marguerity na śmierć, sam jeden oparł się tej myśli. Główną zbrodnią, zarzuconą na dworze Bearneńczyka Marguericie, było podejrzenie, że królowa dążyła do objęcia francuskiego tronu. Guizowie w żaden sposób nie chcieli dopuścić, aby po śmierci Henryka Bearneńczyk, protestant, został królem Francji. Zamierzano w tym celu zmienić prawo Salickie, nie pozwalające kobietom zasiadać na tronie i na wzór angielski, gdzie królowała Elżbieta, włożyć Marguericie koronę na głowę.

Oddawna starała się Marguerita ująć sobie obywateli miasta Agen, środowiska katolików, należącego do jej apanażów, aby w razie prześladowania przez swego męża mieć jakieś poparcie. Tam zamieszkała pod pozorem, że w Nérac nie czuje się bezpieczną przed hrabiną de la Guiche, i otoczyła się zaraz wojskiem i przyjaciółmi Ligi. Agen, z natury już obronne, chronione z jednej strony rzeką Garonną, z drugiej wąwozami, otoczone było nadto murami o dwudziestu wieżach. Królowej

jednak brakowało pieniędzy, tak dalece, że czasem nie miała za co zapłacić rzeźnika; cierpliwie jednak znosiła nędzę, a gdy już miała dość ligistów w mieście, kazała sobie oddać klucze miasta i odebrała przysięgę wierności od starszyny miejskiej. Wkrótce miała 1200 ludzi zbrojnych, gotowych do jej obrony. Nie na tem koniec; ogłosiła swoje panowanie w całym »Agenais«, oddała władzę w ręce p. Lignerac, którego przywiązała do siebie bardzo ścisłymi węzłami, i podpisywała się już tylko »Margherite de France«, a nie królowa Nawarry.

Ale zgoda z mieszkańcami d'Agen nie trwała długo. Wojsko Marguerity, będące właściwie wojskiem Ligi, rabowało, plądrowało miasto i okolice, bo królowa nie miała go czem płacić. Rządziła także zanadto despotycznie, tak, że ludność się zbuntowała, pobiła ligistów i o mało że nie wyrzuciła samej Marguerity przez mury miasta. Despotka musiała uciekać, aby nie wpaść w ręce wzburzonych mieszczan.

II.

Królowa nie wiedziała teraz, gdzie szukać oparcia; jedyną jej podporą w tej chwili był zakochany w niej Lignerac. Ci chaczem wsadził ją na konia za siebie i uciekał. Ale to siedzenie było twarde, bo nawet w prędkości zapomniała Marguerita wziąć poduszkę. Lignerac pędził cały dzień prawie bez odpoczynku, kierując się ku Carlet w Auvergne, czterdzieści kilometrów po bocznych, szkaradnych drogach. W zamku Brassac przenocowano, nazajutrz znowu na koń. Jeszcze cztery dni piekielnej jazdy, ale im dalej od Agen, tem ucieczka była bezpieczniejsza, bo ośmdziesięciu szlachty i około pięciuset konnych żołnierzy chroniło królowę przed pogonią Agenczyków i przed oddziałami hugenotów. Mogła więc Marguerita następnego dnia zatrzymać się na obiad w Castelpau i nocować w Saint-Projet, trzeciego i czwartego dnia w innych miejscowościach, aż nareszcie na granicy d'Auvergne czekał na nią brat Ligneraka, Robert Gilbert z silną eskortą. W ten sposób dostała się po sześciu dniach do Carlet, gdzie był ko-

mendantem Gilbert. Biedna Marguerita przybyła tam, cała poraniona z tej szalonej jazdy, i przeszło miesiąc musiała się goić. Margrabstwo Carlet jako spadek po Ludwice sabaudzkiej i Katarzynie należało, podobnie jak Agen, do apanażów Marguerity. Ludność była tam do połowy katolicką, reszta hugenoci. Ale Marguerita liczyła na poparcie okolicznej szlachty, ściśle katolickiej. Ani pieniędzy, ani potrzebnego urządzenia nie miała; mniejsza już o wspaniałe łoża z kotarami, do których przywykła, ale brak było bielizny. Uciekając z Agen, pozostawiła tam cały swój dwór: kapelanów, jałmużników, sekretarzy, podskarbach i innych funkcjonariuszów; mieszczaństwo w Agen pozwoliło im spokojnie wyjechać, a nawet zabrać wszystkie ruchomości królowej, jak meble, bieliznę, powozy, konie i muły. Nawet łożo królowej »lit de parade« pojechało do Carlet. Za przewóz tych rzeczy na kilku furgonach, zaprzężonych w dwanaście koni, musiała Marguerita zapłacić 24 talarów, co było dla niej bardzo ciężkim wydatkiem. Czempredziej wysłała też posłańców do Guizów i do Hiszpanii, do Filipa II., aby ją wspomogli w tej wielkiej potrzebie.

Miasteczko Carlet nie było uroczą siedzibą; podobne raczej do gniazda rozbójników, aniżeli do rezydencji królowej, miało stare, zaniedbane zamczysko, leżące na bazaltowej wyżynie, otoczonej głębokimi przepaściami, dawniej mieszkanie hrabiów d'Armagnac. Wśród murów obronnych był tak zwany plac »d'armes«, okolony czterema grubymi wieżami. Na tej bazaltowej platformie znajdowały się jeszcze liczne stare budynki, skromny klasztor sióstr świętej Klary, hotel gubernatora i pałac, tak zwany »Bridoré«, mieszkanie wicekrólów de Carlet. W tym pałacu osiadła Marguerita.

Królowa była jednak niespokojna, bo sekretarz jej, Choisnin, który miał zabrać z Agen klejnoty, jakoś nie przyjeżdżał. Marguerita wysłała osobnego dworzanina, który narazie przywiózł kosztowności, ale kilka cennych pereł nie znalazło się w Agen. Królowa wpadła w taki gniew, że kazała powiedzieć Agencykom, że jeżeli tych pereł nie oddadzą, to powróci do Agen i każe całe miasto zrabować swemu wojsku.

Coraz większe wydatki wprowadzały ją w coraz gorszy

humor, tem bardziej, że musiała się pozbyć znacznej części swych klejnotów u florenckiego bankiera w Lyonie. Na domiar złego zachorowała dość ciężko; sprowadzono rozmaitych doktorów, bo chociaż Marguerita miała dwóch przybocznych lekarzy, nie miała wielkiego zaufania do ich umiejętności. Po miesiącu jednak wyzdrowiała i zaczęła odwiedzać sąsiadki w najbliższych zamkach, a przy tej sposobności Lignerac urządził jej górski festyn z oświetleniem i tańcami, chcąc może w ten sposób zatrzeć złe wrażenie, jakie mógł zrobić na swej pani, korzystając w nieuczciwy sposób z jej funduszów. Wogóle sielanka w Auvergne zaczęła nudzić Margueritę. Lignerac wypadł z jej łask, co nawet pociągnęło za sobą krwawą tragedję. Gdy bowiem Lignerac wszedł jednego poranka do sypialni królowej, zastał tam przy jej łożu syna nadwornego aptekarza, urodziwego młodzieńca. Wściekła zazdrość go porwała, wyjął szybko pugiuał i zamordował go na miejscu. Krew rywała trysnęła na pościel Marguerity.

Odtąd obawiała się Ligneraca, a chcąc mieć obrońcę, obdarzyła swemi łaskami koniuszego Aubriac'a, który oddawna się w niej kochał. Powiadają, że gdy ją zobaczył po raz pierwszy w Agen, wykrzyknął: »Ach! co za uroczą! Gdybym był tak szczęśliwym i podobał się jej, nie pożałowałbym życia, choćbym w godzinę później miał umrzeć«. Królowa dowiedziała się o tem miłosnem uniesieniu koniuszego i uszczęśliwiła go, nie wymagając tak smutnej ofiary. Podobno miała z nim syna, który, jak powiada tokański ambasador Cavrina, był pięknym i dzielnym młodzieńcem. Tego nie mógł znieść Lignerac i tak prześladował Margueritę, że królowa obawiając się go, postanowiła Carlet opuścić. Oddała się w opiekę pana de Chateaufneuf, który ułatwił jej ucieczkę. Wysłała z zamku z Aubriakiem i jedną służącą, nibyto na spacer; w umówionem miejscu czekały na nią konie, a dalej wóz zaprzężony wołami i w ten sposób dotarła do wioski, zwanej Colombe, a stamtąd do zamku w Usson, który jej ofiarował szlachcic Langlas na siedzibę.

Ale nie wszystko poszło tak gładko. Powoli przybyło tam dość liczne otoczenie; jej panie dworu, Aubriac ze swą siostrzenicą Ysabeau i jeden z braci Ligneraca, Robert du

Cambon. Nie przypuszczając nawet, znalazła się jednak Marguerita wobec swego wierzyciela. Wszędzie, gdzie tylko się dało, robiąc długi, była także winna dziesięć tysięcy liwrow tamtejszemu bailli, który korzystając ze sposobności, nie chciał jej puścić w dalszą drogę, dopóki by mu nie zapłaciła pożyczonych pieniędzy. Bailli zadowolił się jednak, gdy mu Marguerita oddała w zastaw kilka kosztownych pierścieni.

Czternastego października 1586 wybrała się królowa w dalszą drogę; nocowała w miejscowości Muret, następnie zatrzymała się jeszcze w kilku wioskach, jadąc po złych drogach. W pobliżu Ibois, przejeżdżając przez wezbraną rzekę, o mało że nie utonęła, a dostawszy się nareszcie do tej miejscowości, zmęczona i wyczerpana, chciała się pożywić. Nie było tam jednak nic do jedzenia prócz orzechów, fasoli i starej słoniny. Gorsze jeszcze czekało ją przejście. Henryk III., uwiadomiony o jej podróży, wysłał tam swego mignona Joyeusa; ale ten wolał odstąpić to niezbyt zaszczytne zadanie markizowi de Canillac, namiestnikowi wyższej Auvergnii, i polecił mu, aby królowę uwięził i wraz z otoczeniem zawiózł do zamku Usson.

Marguerita wpadła w pułapkę. Nie mogąc się bronić, przynajmniej drwinami starała się zemścić na Canillaku. »Markizie, — powitała swego nieprzyjaciela, — sądzisz, żeś wielkiej rzeczy dokonał, uwięziwszy mnie? Małe to zwycięstwo; Joyeuse był zręczniejszy od ciebie, spostrzegł, że wyprawa na mnie nie wiele mu przyniesie zaszczytu, więc na ciebie zwałił ten królewski rozkaz«.

Królowa zaczęła się obawiać, co z nią zrobią, a niespokojna o swego ulubieńca Aubriaka, kazała mu się ogolić, aby go nie poznano i ukryć za piecem; ale go tam znaleziono i uwięziono stosownie do rozkazu markiza, Margueritę zaś zawieziono do zamczyska d'Usson. Król polecił zaraz rozpedzić jej otoczenie, przyjmując kilka statecznych panien do usług siostry i jak zawsze, lubiący klejnoty, zabrać jej wszystkie pierścienie, sporządziwszy dokładny inwentarz kosztowności. Pierścienie kazał sobie przysłać natychmiast.

Brzydkim, mściwym rozkazem zakończył Henryk III. swe polecenia; kazał schwytanego Aubriaka powiesić w po-

dwórzcu zamku d'Usson w przytomności swej siostry. Następnie jednak się namyślił i hipokryta, jak zwykle, kazał mu wytoczyć proces dla przyzwoitości. Poprowadzono więc młodzieńca, który drogo musiał opłacić swój stosunek ze starzejącą się królową, do Aiguesperse, gdzie urządzono rodzaj procesu, a wkońcu powieszono go i wrzucono jeszcze dychającego do świeżo wykopanego rowu.

III.

Usson, gdzie królowa Margot miała przepędzić część życia, jest miasteczkiem położonem na wysokiej skale, wyrosłej z równiny wskutek jakichś podziemnych przewrotów. Miasteczko wznosi się w górę w trzech kręgach, jak papieska tyara, Brantôme powiada, że ten chytry lis, Ludwik XI., zbudował tam fortecę, w której mógł daleko pewniej trzymać swych więźniów, aniżeli w Loches, w bois de Vincennes lub w Lusignan. Cztery pierścienie murów, każdy broniony ośmioma wieżami, broniły nieprzyjacielowi dostępu do donjon zamczyńska. Wszystkie te wieże i mury nie zdołały uwięzić kobiecej przebiegłości.

Gdy Marguerita znalazła się w tej warowni, rozpacz ją ogarnęła, tem bardziej, że król wstrzymał wypłatę jej apanażów i zagrabił dochody z jej dóbr. Pensya markiza de Canillac, stróża uwięzionej miała być wypłacana z jej dochodów, dotychczasowa służba rozgoniona na cztery wiatry, a Henryk III. polecił markizowi, aby królowej wybrał dwie pokojowe i uczciwą pannę służącą, dopóki królowa matka coś innego nie postanowiła.

Po niejakiem czasie zauważyła Marguerita, że jej stróż, markiz de Canillac, zanadto pożądliwie przypatruje się jej białym ramionom. Natychmiast powzięła myśl, aby go nawzajem uwięzić, co było łatwem, tem bardziej, że gwiazda Henryka III. zachodziła, a potęga Ligi, pod której protekcją zostawała królowa, stale się wzmagala. Zupełnemu opanowniu Canillaka mogła jednak przeszkadzać jego małżonka, zazdro-

sna markiza, która w tem ciasnem, obmurowanem gnieździe wiedziała niemal o każdym kroku swego męża. Zręczna królowa spostrzegła to i starała się ująć panią Canillac. Najłatwiej było ulaskawić zazdrośnicę, schlebiając jej próżności. Marguerita zapraszała ją więc do siebie, żalowała, że taka piękna postać marnuje się w tej fortecy, że powinna zająć u dworu odpowiednie stanowisko. Na próbę więc, jak będzie wyglądała na pokojach Luwru, ubierała ją w swoje paradne suknie, wkładała jej na palce swoje pierścienie i zaczęła ją podziwiać.

Markiza z zazdrosnej żony stała się przyjaciółką Marguerity, uwierzyła, że się jej należy stanowisko u dworu. Co więcej, całym sercem już należała do Ligi, a nawrócony mąż, widząc, że gwiazda Henryka III. gaśnie, przystąpił w r. 1587 otwarcie do księcia de Guise i zbierał dla niego wojskowe posiłki. Markiz de Canillac stał się nawet wybawcą Marguerity. Pomiędzy królową Katarzyną a synem powstał plan »uprzątnięcia« Marguerity, przynoszącej hańbę królewskiej rodzinie, i ożenienia Henryka Bearneńczyka z córką księcia lotaryńskiego. Projekt uduszenia królowej Margot zupełnie już dojrzał, a Canillac zaczął grać wobec niej fałszywą rolę. Żądał wszakże za wykonanie morderstwa od króla Henryka III. pensji rocznej czterech tysięcy talarów. Margueritę jednak nie łatwo było podejść; w nieobecności Canillaca doniosła o wszystkim księciu de Guise, który bezzwłocznie wysłał oddział wojska do obrony królowej. Załoga w Usson dała się przekupić i wojsko Guisa opanowało twierdzę. Gdy Canillac powrócił, zastał bramy fortecy zamknięte i naraził się na pośmiewisko króla Nawarry, który był dumny ze sprytu swej żony. Markiza Canillac musiała wrócić królowej podarowane jej pierścienie, Marguerita została z uwięzionej panią zamczyńska w Usson, a Henryk III. nie miał już czasu i ochoty nią się zajmować wobec politycznych intryg wielkiej wagi w Blois, morderstwa Guisa i śmierci królowej Katarzyny.

Dopiero, gdy przyszło do podziału spuścizny po królowej matce, przypomniał sobie Henryk III. o siostrze, a mściwy, jak zawsze, wydziedziczył ją zupełnie, oddając tę sukcesję synowi Karola IX. i Maryi Touchet, Karolowi de Valois, księciu d'Angoulême. Więcej jednak na jej niekorzyść na razie dzia-

łać nie mógł, bo już był królem bez władzy, któremu zlorzezył cały Paryż.

Wolna królowa Margot w całej pełni używała życia, zmieniając co chwila swoich wielbicieli. Paszkwil »Le divorce satyrique«, na który nam jeszcze przyjdzie się powołać, opowiada tak skandaliczne rzeczy o zachowaniu się Marguerity w Usson, że w niektóre opisy nawet wierzyć trudno. Jeden z nowych pisarzy francuskich zauważył, że »raj Marguerity był bardzo podobny do rajy Mahometa«. Do najbardziej wymienionych ulubieńców królowej z tej epoki życia należał niejaki Pominy, syn węglarza w Auvergne, który mając ładny głos, dostał się na chór kościoła w Usson, a stamtąd przeszedł do kaplicy królowej, z kaplicy do pokojów, a z pokojów do sypialni swej pani. On to natchnął królowę do tego czterowiersza:

A ces bois, ces prez, et ces antres
 Offrons les yeux, les pleurs, les sons,
 La plume, les yeux, les chansons,
 D'un Poete, d'un Amant, d'un Chantre.

Do znakomitszych jej kochanków w Usson, aniżeli syn węglarza, miał należeć Honoré d'Urfeé, autor słynnego romansu »l'Astrée«. Jego brat był jednym z dowódców Unii w Forez, więc Honoré nie miał daleko do zamku w Usson. Mówiono, że się w tym romansie przedstawił pod postacią Celadona, a królowę Margot jako Galatęę. Tych panów d'Ufreé było trzech braci i wszyscy starali się o łaskę królowej. Najstarszy z nich, Anne, poświęcił jej swój »Hymne de Sainte Suzanne« i nazwał ją perłą Francyi, najmłodszy, biskup w Saint-Fleur, wyśtosował do niej list pełen zapалу, w którym podnosi, że przyroda połączyła w niej piękność i szlachetność duszy. Inny okoliczny rycerz, Loys Papon, poświęcił jej poemat o sześciuset wierszach, pod tytułem »L'Hymne à très illustre princesse Margherite de Valois«.

Nawet słynny humanista Juliusz Cezar Scaliger (1484 do 1558), który z dumą mówił, że jest jej wasalem, bo wprawdzie urodzony we Włoszech, ale po przybyciu do Francyi osiadły w Agen, pisał o niej pełen uniesienia. Podnosił, że jest zupełnie wolną w Usson, robi co chce, wybiera sobie towarzystwo

mężczyzn, jacy się jej podobają, ale dodaje, że królowa bardzo się obawia, aby jej nie otruto, i tylko jada takie potrawy, które już skosztowały jej panny.

Te wiersze, te uwielbienia osładzały trochę Marguericie pieniężne kłopoty, które się wzmagaly wskutek jej ambicyi utrzymywania swej królewskosci w górach Auvergnii. Powoli więc sprzedawała resztę klejnotów, jakie jej jeszcze pozostały, kazała przetopić srebro stołowe, a wreszcie udała się nawet do jedynej kobiety w rodzinie, w której serce wierzyła, do Elżbiety Austryaczki, wdowy po Karolu IX., i tam znalazła pomoc. Elżbieta miała znaczne dobra we Francyi, z których dochód stanowił jej pensję wdowią; dzieliła się z Margueritą temi dochodami, ubolewając nad prześladowaniem, którym ją nękał Henryk III.

Wreszcie ten największy jej wróg, rodzony brat, umarł pierwszego sierpnia 1589, ugodzony nożem Clement'a; Marguerita czuła się bezpieczniejszą, bo Bearneńczyk nie był dobrym mężem, ale przynajmniej nie godził podstępnie na jej życie.

IV.

W czasie pobytu w Usson doszedł Margueritę panegiryk, który jej poświęcił Brantôme. Ciężkiemi losami prześladowana kobieta musiała mieć łzy w oczach, czytając te słowa uwielbienia człowieka, który podobnie, jak ona, oddalony od wielkiego świata, przywiązany do łoża boleści wskutek spadnięcia z konia, rozpamiętywał minione czasy, kiedy był młodym i pełnym sił, a królowa Margot zachwycała cały dwór swoją urodą.

W tym panegiryku, w tej biograficznej charakterystyce Marguerity przypomina on opowieść Ronsarda o piękności królowej. Wenera usłyszała razu pewnego, że na dworze francuskim są najpiękniejsze kobiety, wysłała więc jedną ze swych towarzyszek na ziemię, aby się o tem przekonać. Dworzanka, La Charité, powróciwszy, zdała sprawę bogini, że jest tam kobieta Manguerita de Valois, którą uważają za piękniejszą od

Wenery. Obrażona bogini z gniewem poszła do Jowisza i wyrzucała mu, że pozwolił na to, aby jedna z ziemianek przewyższała ją w urodzie, a na znak niezadowolenia i złego humoru przywdziała żalobę i przez jakiś czas chodziła markotna po Olimpie.

Brantôme zachwycał się cudną piersią Marguerity i sądził, że królowa nie powinna nigdy przykrywać tych wdzięków, aby nie uczynić krzywdy tym, którzy radzi byli zobaczyć jej piękności. Gdy królowa Margot wyjechała z Paryża do męża, do Gaskonii, zdawało się, że jakaś wielka klęska spadła na miasto, że u dworu zapanowały ciemności, bo zaszło przyswiecające mu słońce. A gdy królowa przemawiała, to tak wytwornie słowa z jej ust płynęły, że lekceważono wobec jej oracyi mowy Cicerona. Brantôme nie może się dość zachwycać gracyą ruchów królowej, osobliwie podnosi wdzięk, z jakim tańczyła »la pavanne d' Espagne« albo »pazzemeno« włoskie (menueta). W Lyonie widział, jak tańczyła »le bransle« z pochodniami, a wtedy powszechnie mówiono, że pochodnie niepotrzebne w jej ręku, gdyż wzrokiem swym potrafiłaby zapalić całą salę. Mogła stanąć nad morzem i port tak oświecić swemi oczyma, że marynarze bez niebezpieczeństwa trafiłiby do przystani.

Brantôme rozpacza wkońcu, że królowa musi zdala od świata być zamkniętą w swem zamczysku:

Jamais rien de si beau nature n'a pu faire
 Que ceste grand' princesse unique de la France!
 Et fortune la veut totalement desfaire!
 Voylà comme le mal avec le bien balance.

Przeczytawszy tę wiązanekę pochwał i zachwytów, przecież Marguerita zawahała się przyjąć je tak, jakby jeszcze w Usson mogły się do niej odnosić. A spostrzegłszy w tym szkicu Brantôma kilka błędnych faktów, postanowiła spisać pamiętnik, który się stał ciekawą po niej spuścizną. Ze zręczną skromnością opowiada ona na wstępie, że chciałaby tak uczynić, jak stara pani de Rendan, która straciwszy męża, nie przyglądała się więcej w zwierciadle. Gdy jednak po latach zobaczyła swą twarz przypadkowo w lustrze, zapytała się, kto to

jest ta pani. »Chociaż więc moi przyjaciele, powiada Marguerita, chcieliby mnie przekonać, że jestem tą samą co dawniej, uważam ich zdania za nieprawdziwe, bo sympatya ku mnie wzrok im zakrywa. Miała już wtedy, w roku 1590, lat pięćdziesiąt i była w wieku, który się nie wymienia, jeżeli się oddawna przeszło lat trzydzieści ośm.

Pamiętnik jej czyta się z przyjemnością, ale się nie wierzy, co tam napisano. Jest to jedna z najlżejszych pogadańek literackich, jakie się ukazały w XVI. wieku, a wiadomo, że ówczesni pisarze nie odznaczyli się lekkością stylu. Królowa chce się z pewnym wdziękiem okazać potomności, zamilcza dużo, bardzo dużo, a poetyczną mgłą radaby zasłonić to, coby jej postać zaciemniało.

Już pierwsze jej ważniejsze wystąpienie w rodzinnej polityce inaczej wygląda w pamiętniku, a inaczej w rzeczywistości. Katarzyna uwielbiała księcia d'Anjou i nie mogła posiadać się z radości, gdy syn jej ukochany odznaczył się w walce pod Jarnac, a nawet, jak mówiono, wygrał tę bitwę. Ale wtedy panował Karol IX., syn, który drugorzędne zajmował stanowisko w jej sercu; Katarzyna obawiała się, aby to zwycięstwo nie uswietniło korony Karola i aby król przez zazdrość nie starał się odebrać bratu dowództwa armii. Wszelka sława miała należeć do księcia d'Anjou, Karol IX. miał być tylko od tego, aby polować, ale nie rządzić. Trzeba więc było śledzić jego najtajniejsze myśli i odsuwać ludzi, którzy mogliby wpływać na wywyższenie go nad Henryka. Do tej misji postanowiła Katarzyna w porozumieniu z Henrykiem użyć Marguerity, którą Karol IX. szczerze lubił i nie podejrzewał, aby mogła działać w czemkolwiek przeciw jego interesom. Zadanie niezbyt zaszczytne.

Marguerita przedstawia tę pierwszą familijno-polityczną intrygę w bardzo łagodnym świetle. Przytacza całą przemowę Henryka, którą miał do niej, aby ją oświecić, co ma czynić. Marguerita ciągle bawi przy królu, powinna więc od rana do wieczora czuwać nad nim, pozyskać najzupełniejsze jego zaufanie. Zachodzi obawa, aby Karol nie zechciał w swej ambicyi, w swej wrodzonej odwadze, postępować z ludźmi, jak ze zwierzętami, i w przystępie złego humoru nie odebrał Hen-

rykowi dowództwa królewskiej armii. Ma ona tyle sprytu, tyle rozsądku, aby zrozumieć swoje posłannictwo. »Uczynisz dużo dobrego, kończył Henryk długą swą przemowę, tak dla ciebie jak dla mnie, i po Bogu będę tobie winien moje szczęście«. Marguerita była nadzwyczaj dumna z tego »posłannictwa« i zdawało się jej, że się stała inną, ważną osobistością. Odtąd wierzyła w to posłannictwo do intryg. Oszukiwała Karola IX., aby służyć Henrykowi. Ale niebawem spostrzegł Henryk, że siostra stała się mistrzynią w intrydze, że nie tylko jemu służyła, ale i królowi. Duc d'Anjou ostygł dla Marguerity, stał się jej wrogiem. Ale autorka pamiętnika nie przypisuje tej zmiany swojemu dwulicowemu postępowaniu, tylko intrygom du Guasta, »którego duszę posiadły demony i który im holdował magią i różnemi rodzajami złośliwości«.

Podobnie jak Marguerita miała zdradzać najtajniejsze myśli Karola IX. przed Henrykiem i królową matką, tak samo le Guast stał się detektywem Henryka i czuwał w jego imieniu nad Margueritą.

Widząc, że z Henrykiem przegrała sprawę, zwróciła się do drugiego brata, do duka d'Alençon, i swój talent intrygancki oddała na jego usługi. Udawała, że całym sercem go kocha, obsypuje go w swym pamiętniku najwyższymi pochwałami, ale w gruncie pogardza tym człowiekiem, pełnym fałszu i zgnilizny. Razu pewnego wyraziła się nawet przed d'Aubignim, »że gdyby niewierność i zdradę wypędzono z ziemi, toby jej brat z pewnością ją znowu zaprowadził«.

Mimo to służyła Marguerita księciu d'Alençon za panowania Henryka III. swoją pomocą w wykrzesaniu mu królestwa we Flandryi. Pojechała niby na kurację do Spaa, w istocie jednak, aby przygotować młodszemu bratu drogi do osiągnięcia tej korony. Wyprawę swoją opisuje Marguerita bardzo barwnie, przez chwilę zdawała się być prawie tryumfatorką w obcym kraju; są to najpiękniejsze wspomnienia w jej życiu.

Wszystko to działo się przeciw woli króla Henryka III. i skończyło na intrygach bez osiągnięcia tej upragnionej przez księcia d'Alençon korony flamandzkiej.

Wkońcu jeszcze świetlaną chwilą w życiu Marguerity był pobyt na małym dworze w Nérac, który królowa opisuje

z lubością, bo tam przewijało się mnóstwo pań i panów, bawiono się, romansowano, a wielu z panów było tak miłych, tak szlachetnych, że królowa żałowała tylko, iż są hugenotami.

D'Aubigné cokolwiek inaczej sądzi o tym dworze w Nérac; powiada, że wygody i dobre życie rodzą szkaradzieństwo, podobnie jak z upalów wylażą węże.

V.

Po zamordowaniu Henryka III., po strasznych domowych walkach, ten dotąd dość lekceważony hugenot Bearneńczyk, ten fizycznie brudny, zaniedbany, ale zręczny, odważny i Francję kochający królik, który pochłaniał kobiety bez wyboru, zostaje monarchą.

Marguerita dotąd sercem szła z Ligą, cieszyła się z jej zwycięstw, bo kaznodzieje z ambon nazywali ją »świętą«, wyrażała się o mężu jako o obrzydliwcu, którego ciało toczy robactwo, co zresztą po części było prawdą. Po bitwie pod Ivry (14. marca 1590), po zwycięstwach Henryka IV. rzeczy się zmieniły; królowa Margot umilkła i z bijącym sercem chwyciła wiadomości na swej skale w Usson. O jakimś wpływie miłosnym na swego męża już nie myślała, ale żyła w nadziei, że król, szczodry zresztą z usposobienia, popłaci jej długi i wyznaczy pensję, z którejby mogła żyć, jak to »córce Francyi« przystoi.

Pomimo zwycięstw i trosk o materialne położenie kraju Henryk IV. nie próżnował na szerokiem polu miłości. Jak dawniej, tak i teraz liczył metresy prawie na tuziny. Chwilami namiętnie się kochał, obiecywał nawet prowadzić kochanki do ołtarza, ale szybko zapominał o danych przyrzeczeniach i szukał nowych, najczęściej łatwych podbojów. Do pierwszych z tej epoki jego życia należała Charlotta des Essards, z którą miał dwie córki, następnie ksieni klasztoru w Montmartre i panna Montaigu, córka doktora księżnej de Condé, wreszcie jakaś inna piękność, którą nazywano Armandiną.

Nad temi przelotnymi kochankami panowała jednak Gabryela d'Estrées, pełna wdzięków i sprytu.

Mniej więcej dokładny katalog tych kochanek królewskich spisała, jak się zdaje, Luiza Marguerita de Lorraine, księżna de Conti, w swym pamflecie »Les amours du grand Alcandre«, który często był przedrukowywany.

Gabryela d'Estrées panowała w r. 1592 już od lat dziecięciu nad Bearneńczykiem i dała mu dwóch synów. Król poznał ją w drodze do Compiègne, a że była świeżą, szesnastoletnią dziewczynką, więc ponośny Henryk szybko się w niej zakochał. Zbliżenie było łatwe, bo Gabryela była kuzynką pani Klaudyi de Beauvillers, ksieni z Montmartre, z którą Henryk miał poprzednio romans podczas oblężenia Paryża. Nawet w tak trudnych chwilach król nie próżnował.

Gabryela rosła szybko w tytuły i znaczenie, pomnażała majątek, a powszechnie mówiono, że król się z nią ożeni. Na krótki czas była zamężną za panem de Liancourt; rozwiedzionej dał Henryk IV. markizat de Monceaux, a wreszcie w roku 1597 zrobił ją księżną de Beaufort. Wprawdzie publiczność nazywała ją »la duchesse d'ordure«, ale wpływ na króla miała wielki. Bearneńczyk legitymował nawet dzieci, które miał z nią, najprzód Cezara, urodzonego w r. 1594, późniejszego duka de Vendôme, a następnie Aleksandra (ur. 1598), Wielkiego przeora Francyi. Urodziny córki Katarzyny-Henryki (1596) najwięcej narobiły hałasu, bo król nadzwyczaj się cieszył tem dzieckiem i z powodu jej chrzcina wydał festyn, jakby dla księżniczki krwi. Zaprosił na tę uroczystość nietylko najznakomitszych panów Francyi, ale nawet ambasadorów obcych państw, co dało powód do wielkiego zgorszenia opinii publicznej.

Gabryela była dość średniej inteligencyi, ale ideałem zalet i wad kobiecych. Przyjemna, pełna gracyi blondyna o pięknej płci i przesłicznych złotawych włosach, niebieskich oczach i małych ustach, zawsze skłonnych do uśmiechu, umiejąca się przypodobać do tego stopnia, że jak się wyrażała księżna Conti, »można jej było nie kochać, ale niepodobna nie nawidzieć«.

Zanim Gabryela została kochanką króla, miała już dość

burzliwą przeszłość; romansowała z wielkim koniuszym, Belle-gardem, który ją zapoznał z Henrykiem IV., a jej ciotki i kuzynki, w liczbie dwudziestu sześciu, pomimo że kilka z nich było zakonnicami, prawie publicznie rozdawały swoje wdzięki. Matka Gabryeli, madame d'Etrées, chwaliła się, że miała stosunek z Klemensem VII. podczas pobytu papieża w Nizy, następnie z Karolem V., gdy przejeżdżał przez Francję, a wreszcie i z Franciszkiem I. Nazbierała też aż siedmioro dzieci, a to potomstwo nazwano siedmioma jej śmiertelnymi grzechami.

Rozumem Gabryeli była jej ciotka, pani de Sourdis; ona kierowała siostrzenicą, a siostrzenica słabym królem, który zupełnie ulegał swej kochance. Henryk IV. miał jednak ministra, pana Sully, któremu interes państwa był droższym, aniżeli sam król, co Bearneńczyk w swym patryotyzmie uznawał. Między ciotką Gabryeli a Sullym wrzała często podziemna wojna; pani de Sourdis dążyła do tego, aby się król ożenił z Gabryelą, a Sully pracował całą siłą perswazyi, aby króla przekonać, że powinien zawrzeć małżeństwo z panną z panującego domu, mogącą przynieść pewne polityczne korzyści Francji. Oczywiście trzeba było najpierw przeprowadzić rozwód z Margueritą de Valois; ale to nie było trudnem, bo królowa Margot gwałtownie potrzebowała powiększenia dochodów i zapłacenia długów.

Sully musiał się jednak śpieszyć, bo król, urodzony w r. 1553, mający czterdzieści pięć lat, zaczynał się starzeć, a co gorsza, cierpiał na jakiś wrzód, który odbierał nadzieję potomka. Lekarze jednak utrzymywali, że tę przeszkodę można było usunąć jakąś operacją. Tutaj znowu krzyżowały się interesa Sullego z zamiarami Gabryeli. Gabryela miała już syna, który mógłby być następcą tronu; wolałaby, aby się Henryk IV. nie ożenił. Przeciwną więc była owej przez lekarzy zapowiedzianej operacji.

Operację jednak przedsięwzięto, ale Sully musiał się zmartwić, bo jej wynikiem było, że Gabryela spodziewała się znowu potomka.

Podczas gdy Henryk IV. zabawiał się swemi romansami, jego ministrowie, a przedewszystkiem Sully, myśleli za niego, aby zaprowadzić ład we Francji. Stosunki były straszne.

W r. 1586, jak opowiada L'Estoile, ludzie w sierpniu marli z głodu albo szli grupami po polach i ucinali niedojrzałe jeszcze kłosa zboża, aby uzyskać trochę pożywienia. Przeciągające oddziały żołnierzy Ligi niszczyły kraj i ludność do szczętu.

W kwietniu r. 1589 pustoszył oddział ligistów prowincję d'Anjou, rabował i niszczył wszystko, hańbił kobiety, nie oszczędzał kościołów, rozdzierał religijne obrazy. A gdy ta horda zobaczyła w kościele jakiegoś biedaka, który klęczał przed krucyfiksem i skarżył się, że na tem samym miejscu zhańbiono mu żonę, ligiści na pociechę go zamordowali. Naczynia ze święconą wodą używali do brzydkiego użytku, srebrne cyboryum zabrali ci obrońcy wiary, a wzięwszy hostye, urządzili komedję spowiedzi. Le chevalier d'Aumale, dowodzący oddziałem ligistów, poczynił sobie gorzej, jak jego żołnierze; schwycił dwunastoletnią dziewczynkę i z puginałem w ręku zmusił ją, aby mu się oddała. Podobnych wypadków było bez liku. W Villeneuve-Saint-George ligiści zaczęli dla zabawy chrzcić woły, świnię, kozy i kury, aby móc je spożyć bez grzechu, bo to był piątek.

Od tej nędzy, od tych rozruchów odbijał zbytek króla i jego otoczenia. Gdy Henryk IV. wjeżdżał 15. września 1594 do Paryża, panie prawie przytłumiały swemi drogimi kamieniami i złocistemi haftami blask pochodni. Pani de Liancourt w swej wspaniałej lektyce, obsypana kosztownościami, wyglądała jak indyjskie bóstwo. A gdy wysiadła z lektyki, musiały ją dwie panny podtrzymywać, aby nie upadła pod ciężarem klejnotów.

Rozbestwienie żołdactwa dochodziło do ostatecznych granic; nie dziw więc, że tacy ministrowie, jak Sully i Duplessis-Mornay, prosili króla na klęczkach, żeby się ożenił odpowiednio do swej godności i zapewnił Francji spokój, fundując nową dynastję.

— Więc trzeba najprzód przeprowadzić mój rozwód, — odpowiedział Henryk IV. zgryźliwie.

Duplessis pojechał do Usson, aby skłonić Margueritę do pozwolenia na rozwód.

Marguerita bardzo już upadła. Śpiewano o niej:

Margot, Marguerite en haut,
Margot, Marguerite en bas,
Margot, Marguerite.

Teraz już Marguerita była zupełnie »en bas«, pisała upokarzające listy do Gabryeli, aby się wstawiła za nią u króla; naturalnie chodziło o pieniądze. Listy te na niewiele się przydawały, bo Gabryela sama przyzwyczała się do niesłychanego zbytku, sprawiała tualety, o których ze zgorzeniem opowiadano sobie w Paryżu. Tak była zresztą pewna, że król się z nią ożeni, że już sprawiła suknie ślubne i weselne, a Henryk IV. darował jej pierścień, ofiarowany mu z powodu jego »sacre«, i złoty półmisek, na którym miasto Calais podało mu klucze od bram miasta.

Gdy Duplessis przybył do Usson, Marguerita robiła zrazu trudności, pragnąc jak największe uzyskać korzyści; ale za wolność i za 250.000 talarów na zapłacenie długów i 14.000 rocznej pensji zgodziła się na rozwód, udając, że robi to ze względu na szczęście ojczyzny, aby zapewnić Francji dynastyę, zwłaszcza że ona była już w tym wieku, że się nie mogła spodziewać potomka. Gniewało ją tylko, że miejsce swe musi ustąpić kobiecie niskiego pochodzenia i złego życia, ale ostatecznie podpisała dokument rozwodowy siódmego lutego 1599. Chodziło tylko o przeprowadzenie rozwodu w Rzymie, ale niespodziewany wypadek rzecz ułatwił z wielkiem zadowoleniem ministrów Henryka IV.

Dziesiątego kwietnia 1599 umarła Gabryela d'Estrées, urodziwszy nieżywe dziecko. Męczyła się strasznie, przez trzydzieści sześć godzin leżała w konwulsjach, które zmieniły jej twarz do niepoznania. Oczywiście że rozeszła się pogłoska, że została otruta, tem bardziej, że zachorowała w domu Włocha, bankiera Zamet, gdzie zamieszkała, przybywszy niedawno do Paryża. Króla nie było wówczas w stolicy. Ciało Gabryeli pochowano z honorami, przysługującymi tylko członkom rodziny królewskiej. Ubrano ją w płaszcz z białego atlasu, spoczywała na łożu, nakrytem karmazynowem aksamitem z haftowanymi złotymi żółędziami. Portret jej był według zwyczaju wystawiony przez cztery dni na katafalku, a ze 20.000 osób przeszło przez żalobną komnatę.

W trzy tygodnie po śmierci Gabryeli zakochał się król w Henryecie de Balzac, córce markiza d'Entragues, ambitnej intrygantce.

Tymczasem Marguerita, przystawszy na rozwód, nie robiła już żadnych trudności, tylko chciała jak najpiękniej uzasadnić swoje postanowienie. Oświadczyła, że nie chciała iść za mąż za króla Nawarry, ale że Karol IX. i królowa matka zmusili ją do tego; gorące łzy wylewała, ale król groził, że jeżeli nie zezwoli na to małżeństwo, to spotka ją los najnieszczęśliwszej kobiety we Francji. Żądała także, aby było wyrażone w protokole rozwodowym, że nigdy nie miała bliższego stosunku z Bearneńczykiem; ale zwrócono jej uwagę, że nikt w to nie uwierzy i że papież i cała Europa roześmiałyby się na takie twierdzenie.

Więc odstąpiła od tego żądania. Siedmnastego grudnia 1599 dał papież rozwód z powodu bliskiego pokrewieństwa Marguerity z Bearneńczykiem i ze względu, że obydwie strony właściwie nie zezwoliły na to małżeństwo.

VI.

Nieszczęśliwi ministrowie dokonali swego dzieła, rozwiedli króla z Margueritą, ale skłonny do romansów Henryk IV. znów postawił przed nimi trudne zadanie. Nazwano go „Le Vert-galant”, naliczono mu pięćdziesiąt sześć metres, ale było ich więcej, których nazwisk historycy nie znają. Rozpoczął swą zdobywczą karierę w piętnastym roku życia od Floretty, córki ogrodnika w Nérac, romansował następnie z żoną profesora uniwersytetu w Rochelle, albo z panią de Sauves, którą już znamy, miał stosunki z markizami, hrabinami i piękną piekarką, a wreszcie, gdy oblegał Paryż, zajęty jeszcze przez wojska Ligi, zanadto blisko sąsiedował z klaszorem zakonnicy na Montmartre, aby nie zawiązać stosunku z siedemnastoletnią księżną, Klaudyną de Beauvillers. Wybudował jej nawet piękne oratorium, aby miała gdzie pokutować za swe zboczenie od reguły klasztornej. Znał zresztą

przepisy klauzury, bo już poprzednio żył przez jakiś czas z inną przełożoną zakonu w Poissy i nieraz się chwalił, że był zakonnikiem na Montmartre. Ale te zakonne stosunki na dobre mu nie wyszły; z obydwoma abbesami miał potomstwo, co księżom, należącym do Ligi, posłużyło za przedmiot gwałtownej przeciw niemu agitacji. Kaznodzieje wołali z ambon, że trzebaby Bearnńczyka wypędzić znakiem krzyża, jak samego dyabła, mówiąc: »Vade, Satana!« A gdy się rozeszła wiadomość, że król chce wkrótce przyjść na mszę, dodawali księża, że psy także wchodzi do kościoła. Podczas procesyi na cześć św. Michała w kaplicy Saint-Michel- du Palais (17. października 1593) ubrano jakiegoś chłopaka za dyabła ze słomianą koroną, krowim ogonem, wielką kryzą z wymalowanymi krowami, w masce przedstawiającej króla. Dzieci krzyczały wokoło: »Oto ten dyabeł de Bearnais!«

Po śmierci Gabryeli ubierał się Henryk IV. przez trzy miesiące zupełnie czarno, przeciw obyczajowi królów francuskich, których kolorem żałobnym były fiolety. Ale wkrótce zapomniał o tym smutku, bo to się nie zgadzało z jego usposobieniem; był znów szczerym Gaskończykiem, ruchliwym, wesołym, czynnym, dowcipnym, wielkim blagierem, nie znającym skrupułów, gdy chodziło o dopięcie swych ambitnych celów. Mówiono, że był katolikiem i hugenotem zarazem i więcej miał religii, jak wszyscy jego królewscy poprzednicy. Południowiec z krwi i kości, dużo mówił, jeszcze więcej kłamał, ale był bardzo praktycznym, gdy chodziło o własny interes. Zwykle w ubraniu zaniedbany, tak, że czasem grając w piłkę, miał podartą koszulę; ale chcąc okazać pompę królewską, umiał się ubrać wspaniale.

Aby rozerwać króla po śmierci Gabryeli, namówiono go, aby się udał na Południe. W podróży zatrzymał się w zamku de Malesherbes, który był własnością Franciszka de Balzac d'Entragues. Tam wpadł pomiędzy ładne panny i rodzinę zręcznych intrygantów. Dworzanie już zgóry ułożyli swój plan. Starsza panna domu, Henriette d'Entragues (ur. 1579), wtedy dwudziestoletnia, nie była skończoną pięknnością, ale posiadała wszelkie możliwe zalety i błędy, aby działać na zmysł takiego lubownika kobiet, jak Henryk IV. Biała, o pięknych

jasnych włosach, niebieskiem oku, wysmukła, zręczna, mająca coś kociego w przymilaniu się, zmieniająca się według potrzeby, naiwna lub wyrachowana, czasem zimna, aby tem bardziej być pożądaną, przytem zły język, nie oszczędzający nikogo, nawet króla, który lubił jej docinki, stworzoną na to była, aby swemi zmiennemi humorami panować nad mężczyzną. Jak tylko spostrzegła, że zrobiła na królu dobre wrażenie, umiała go bardzo szybko usidlić, tem łatwiej, że rodzina zręcznie jej w tem pomagała. Henryk IV., przywykły do dawania obietnic, których nie zawsze dotrzymywał, błyskał jej przyszłemi tytułami, wielkim majątkiem, a nawet dawał do poznania, że mogłaby być jego małżonką.

Gdy się już zdawało, że król zupełnie omotany, rodzina Henryki odegrała komedję. W chwili, kiedy był z panną w najczulszej rozmowie, wszedł jej brat, hrabia d'Auvergne i przerwał dość brutalnie królewskie zapędy, wdał się nawet w sprzeczkę z Henrykiem IV., który urażony tem postępowaniem, zaraz wyjechał do Chateauneuf. Była to już wizyta, ułożona przez najbliższych dworzan, a raczej spisek przeciw Henryecie, bo w Chateauneuf mieszkała marszałkowa de La Chartre z dwiema córkami wielkiej piękności. Zdawało się, że król z łatwością da się złapać; zaraz zaczął się starać o łaski starszej córki pani domu, ale musiał wracać do Paryża i przez drogę przecież myślą powracał do opornej Henryety. Zamieszkał w pałacu Gondich, ale pani d'Entragues z córką już przyjechała i ulokowała się naprzeciwno, w hotelu de Lyon. Ucieszony Henryk posłał hrabiego de Lude, aby się dowiedzieć o zdrowiu pań, ale poseł chłodno był przyjęty. Co gorsza, król posłał Henryecie przepyszny naszyjnik z pereł, ale drogi podarunek natychmiast został zwrócony.

Targi trwały jakiś czas. Król coraz bardziej był zakochany, Henryeta się opierała; król błagał, płakał, wreszcie sto tysięcy talarów zbliżyło go do ukochanej. Minister Sully gniewał się, narzekał, ale ostatecznie przyniósł worek z pieniędzmi do królewskiego gabinetu. »Ventre Saint Gris!« — odpowiedział monarcha, »droga zapłata za jedną noc!«

Zubożały naród francuski musiał zapłacić. Henryetta, kierowana zręcznie przez rodzinę, nie zado-

woliła się tym posagiem; za warunek dalszego stosunku z królem wymagała tytułu markizy, co nie było trudnem do osiągnięcia, ale »ażeby zachować swój honor przed światem, a czyste sumienie przed Bogiem«, żądała obietnicy małżeństwa na piśmie. Henryk IV. był przyzwyczajony do takich obietnic, więc w słabej chwili uległ żądaniu Henryetty; tym razem jednak miał z twardym nieprzyjacielem do czynienia. Koniec końcem wystawił w październiku 1599 formalny dokument, zaczynający się od słów: »My, Henryk czwarty, z łaski Boga król Francyi i Nawarry, obiecujemy i przysiegamy słowem i wiarą królewską panu Franciszkowi de Balzac, który nam daje swą córkę za towarzyszkę, że jeżeli Henryetta w przeciągu sześciu miesięcy od dnia dzisiejszego zostanie matką syna, zaślubimy ją jako legalną małżonkę i uświęcimy tę uroczystość publicznemi uroczystościami w sposób zwykły«.

Ten dokument tem brzydsze światło rzuca na Henryka IV., że król bynajmniej nie zamierzał dotrzymać tej obietnicy, zwłaszcza że rozwód z Margueritą de Valois jeszcze nie był przeprowadzony. Na razie jednak król nie wręczył tego pisma panu d'Entragues; ale wobec rozmaitych jeszcze targów i żądań swego przyszłego teścia poradził się Sullego, co ma uczynić. Minister prosił króla, aby go zapewnił, że się nie będzie gniewał, jeżeli mu prawdę powie.

— Obiecuję ci wszystko, czego żadasz, — odpowiedział Henryk.

Sully rozdarł dokument.

— Czyś zwaryował! — wykrzyknął rozgniewany król i chwycił podarty papier.

Sully perswadował jeszcze, starał się królowi przedstawić całą śmieszność tego małżeństwa; ale to nic nie pomogło. Henryk odpisał dokument i wręczył go matce Henryetty, byłej metresie Karola IX., która w tych rzeczach miała doświadczenie.

Sprawa była załatwiona, Henryetta stała się metresą »en titre« Henryka IV. i z niecierpliwością oczekiwała męskiego potomka. W tym celu udała się do Madonny de Notre-Dame-de Clery i tam zawiesiła ex voto, dziecię zrobione ze srebra.

Ale król nie przestraszył się tych pobożnych zabiegów

i oświadczył swym ministrom, że postanowił się ożenić poza Francją. Henryetta się o tem dowiedziała, stąd wyrzuty, targi. Król żądał zwrotu nieszczęsnego dokumentu i pierścionka, ale pani d'Entragues nie posłuchała tego wezwania, tylko skorzystała ze sposobności, aby wymóc od monarchy dobra Verneuil, jako markizat dla córki.

Wskutek nalegania ministrów toczyły się już od r. 1591 układy pomiędzy Henrykiem IV. a Medyceuszami o małżeństwo Maryi de'Medici, a rzeczy doszły nawet tak daleko, że król wysłał do Florencyi pana Sillery, ażeby w jego imieniu podpisał odpowiedni dokument. Biedny Bearnais był w nie-małym kłopotcie, bo Henrytta za dwa miesiące spodziewała się potomka. Ale przypadek przyszedł mu niespodziewanie w pomoc; podczas burzy, z początkiem lipca 1600 uderzył piorun w sypialnię Henrytty w Fontainebleau; wprowadzie jej nie zabił, ale wpadłszy oknem, zgasł pod łóżkiem królewskiej metresy. Henrytta zachorowała z przerażenia i zawczasie powiła nieżywe dziecko.

Podczas gdy układ małżeński podpisywano we Florencyi, a Henrytta leżała chora w Fontainebleau, król się zabawił z Maryą de la Bourdaissière, z którą już poprzednio miał przelotny stosunek, i załatwiał polityczne układy z dukiem Karolem-Emanuelem sabaudzkim o graniczne sprawy. Bawił krótki czas w miejscowości Beaufort w Sabaudyi na czele ośmiotysięcznego korpusu, a widocznie nie zadawał się stosunkiem z panną de la Boudaissière, ponieważ tamtejsza ludność odnosiła początek kilku uszlachetnionych rodzin w Beaufort do owego pobytu króla Henryka IV.

Ale Henrykowi i z zaślubieniem Medyceuszki bardzo się śpieszyło, bo długów było bez liku, które miały być spłacone z posagu Florentynki. W tej całej sprawie chodziło bowiem najwięcej o posag. Wielki książę florencki także pragnął rychłego połączenia się rodzinnym węzłem z arcykatolickim królem. Robiono sobie nawzajem rozmaite grzeczności. Kanonik Baccio Giovanni przywiózł z Florencyi do Paryża kilka pak podarunków dla królewskiego dworu, pięćdziesiąt par perfumowanych rękawiczek, sera zwanego »Mars«, rozmaitych wędlin bez liku, tudzież genueńskich konfitur i konserw

z brzoskwiń. Król rozdzielił rękawiczki pomiędzy swoje pannie, ale przysmaki do jedzenia zachował dla siebie. Pragnąc jak najszybszego połączenia się z Medyceuszką, pisał do niej czułe listy, aż wreszcie 3. listopada przybyła nowa królowa do Marsylii, gdzie ją przyjęli francuscy dygnitarze, a drugiego grudnia do Lyonu, gdzie ją król miał oczekiwać. Ale Henryk IV. się spóźnił; przybył dopiero dziewiątego grudnia, bo Henryetta ze zwykłą sobie złośliwością przedszemu odjazdowi króla przeszkodziła, mówiąc: »Niech Florentynka poczeka«. Wreszcie przybył Henryk do Lyonu dziewiątego o ósmej wieczór, a o jedenastej posłał duchessę de Namours do królowej z zapytaniem, »że król nie ma gdzie przemocować, więc prosi waszą królewską mość, czyby go nie przyjęła do swego łóża«. Prośba została uwzględniona.

Portret Maryi de'Medici znany dobrze z rubensowskiego cyklu obrazów w Luwrze: ciężka, biała blondyna, bez dowcipu i humoru, nie mogła współzawodniczyć z ożywioną, pełną dziwacznych pomysłów Henryettą. Król inaczej sobie wyobrażał narzeczoną, bo znał ją tylko z portretu, przedstawiającego ją jako dwudziestoletnią pannę, a teraz miała lat dwadzieścia siedm. Henryk IV. był niezadowolony z tego improwizowanego noclegu, a królowa także. Pomimo że nadzwyczaj silnie była wyperfumowana, nie mogła znieść odorów właściwych Bearneńczykowi, tak dalece, że się jej słabo zrobiło.

W Paryżu król nie wahał się Henryettę przedstawić Medyceuszce i dać jej przedmiot wdzięczny do zaostrenia złośliwego dowcipu. »Oto moja metressa, powiedział Henryk IV., życzę sobie, aby była zaliczona do służby królowej«. Według zwyczaju chciała Henryetta przyłożyć rąbek sukni Medyceuszki do ust, na znak poddaństwa i schyliła się do jej kolan; ale Henryk IV. gburowatym ruchem popchnął ją aż do stóp królowej, aby pocałowała dolny rąbek królewskiej szaty. Zaznaczył, że królowa ma być królową, a metressa metressą.

Stosunek zresztą między Henryttą a Medyceuszką ułożył się bardzo dobrze; królowa Marya wiedziała, że w niejednej sprawie może mieć wpływ na Henryka IV. przez markizę, więc ją czasami nawet wyróżniała pomiędzy innymi paniami swego otoczenia. Henryk IV. zresztą dzielił sprawiedliwie swe

względy pomiędzy małżonkę a przyjaciółkę, tak dalece, że królowa powiła syna, późniejszego Ludwika XIII. 27. września 1601, a Henryetta wydała na świat również syna o miesiąc później, 27. października tegoż roku. Król utrzymywał, że dzieciak Henryetty piękniejszy, pieścił go i cieszył się nim bardzo.

Odtąd Henryetta, powołując się na królewskie przyrzeczenie małżeństwa, utrzymywała, że ona jest prawdziwą królową, a tamta z Luvru — intruzką.

Zaczęły się niebezpieczne dla Henryetty intrygi, w których ona wszakże okazała całą siłę swej przebiegłości.

Przeciw Henrykowi IV. powstały sprzysiężenia. Na czele najzawziętszych nieprzyjaciół króla stanął członek wielkiej rodziny, marszałek Biron, człowiek ambitny, gwałtowny, pragnący wykroić dla siebie z Francji jakie niezależne księstwo, który mawiał, że nie umrze, dopóki nie zobaczy na talerzu swojego popiersia. Zawiązywał z Filipem III. potajemne stosunki, aby król hiszpański objął protekcję religii katolickiej we Francji, Henryk IV. bowiem zawsze jest jeszcze w duszy protestantem. Biron chciał wskrzesić Ligę i na następcę tronu francuskiego przeznaczyć syna markizy de Verneuil, jego mlecznej siostry, jako prawego dauphina. Biron zawarł przymierze z hrabią d'Auvergne i księciem de Bouillon celem wspólnego działania. Niema wątpliwości, że Henryetta wiedziała o tym spisku, ale wybornie grała komedję przed Henrykiem IV., który chętnie wierzył w jej niewinność, ponieważ ze wszystkich kobiet, z którymi miał stosunek, najbardziej ją lubił, bo go bawiła swym humorem i dowcipem. Mówiono o niej, że to taki wyborny dzióbek pełen złośliwości i wymysłów, że na najmniejsze słówko odpowie setką, a nawet tysiącem argumentów.

Gdy jednak Biron zaczął w roku 1601 tworzyć armię, która miała zmienić rządy Francji, król, uwiadomiony o wszystkim, kazał uwięzić Birona i hrabiego d'Auvergne, którzy nie przypuszczając, że Henryk IV. już wie o ich zamiarach, byli właśnie na pokojach Medyceuszki. Gdy stamtąd wychodzili, aresztowano ich i zawieziono do Bastylli. Król kazał wytoczyć proces Bironowi, który został skazany na śmierć

i ścięty na podwórze Bastylli. Hrabiego d'Auvergne, jako brata Henryetty, uwolniono. Wyrok na Birona sprawił ogromne wrażenie we Francyi, tem bardziej, że marszałek był dzielnym wojownikiem i niemało się przyczynił do ustalenia panowania Henryka IV. Wobec tak srogiemu wyroku gorszono się uwolnieniem hrabiego d'Auvergne, a w Paryżu podawano sobie wierszyk:

O grand Dieu, quelle iniquité:
Deux prisonniers ont mérité
La peine du meme supplice:
L'un, qui a toujours combattu,
Meurt redouté pour sa vertu,
L'autre vit par l'amour du vice.

Z tej walki intryg nie wyszła Henryetta bez podejrzenia, z czego skorzystała królowa, aby ją poniżyć. Król jednak, nie mogąc się obejść bez swej ulubionej metresy, chciał obydwie zaspokoić, gdyż znowu jedna i druga mniej więcej w tym samym czasie powiły córki: Marie de'Medici 22. listopada 1602, a Madame de Verneuil 21. stycznia 1603.

Tym razem jednak i królowej przebrała się cierpliwość; żądała wydalenia tej rywalki i gdyby nie Rosny, byłaby dała policzek swemu mężowi; minister chwycił ją za rękę. Ale innym razem, po jakiejś sprzeczce, wyskoczyła z łóżka i twarz mu podrapała.

W owym czasie król niebezpiecznie zachorował; postanowił Medyceuszkę zamianować rejentką, a Henryetta, obawiając się przyszłości, zaczęła się przypocholebiać królowej i przed Henrykiem drzwi zamknęła. Król jednak przyszedł do zdrowia i znowu starał się o jej łaski, z czego, jak zawsze, korzystała, aby uzyskać nowe dobra. Gdy mu Sully robił przedstawienia, król odpowiedział: »Ależ ona jest tak miłą towarzyszką, zawsze ma jakiś dowcip na ustach, który mnie rozwesela. Przeciwnie, moja żona nie rozumie ani mojego usposobienia, ani mojego humoru. Gdy się do niej zbliżam, aby się z nią popieścić, robi taką zimną minę, że jestem zmuszony gdzie indziej szukać miłosnej awanturki«. Spory też małżeńskie należały do codziennych nieprzyjemności Henryka IV., który uciekał, jak mógł, z domu.

Sully radził królowi, żeby odesłał za morze tych kilku Włochów, którzy podżegają Medyceuszkę przeciw niemu; król jednak odpowiedział, że ten naród taki mściwy, że musiałby ciągle żyć w obawie, że coś knują przeciw niemu.

Markiza de Verneuil i jej rodzina nie zapominała o cyrografie małżeńskim, który król Henryecie wystawił. Stary d'Entragues i brat markizy knuli nowy spisek. Król czując, że Entragi noszą się z jakimś nieprzyjaznymi zamiarami, zażądał stanowczo od Henryetty wydania owego dokumentu; markiza jednak odpowiedziała, że tego pisma nie wyda i oświadczyła Sullemu, że zamierza zerwać wszelkie bliższe stosunki z królem. Wiedziała dobrze, że Henryk IV. zanadto się do niej przyzwyczaił, aby chciał dopuścić do tej ostateczności. Zaczęła więc od tego, że ze względów religijnych musi skończyć to niedozwolone pożycie z królem i że wstąpi do klasztoru kapucynek. Była to wszakże tylko komedia, bo markiza spodziewała się w inny sposób wyzyskać swoje położenie. Filip III. hiszpański obiecywał jej 500.000 rocznej pensyi i odpowiednią siedzibę, aby zamieszkała w Hiszpanii, miał bowiem projekt ożenienia swego syna Henryka z infantką, wywołania rewolucyi we Francyi i ogłoszenia Henryka królem francuskim. Zabiegi te mogły doprowadzić do osadzenia Hiszpana na tronie francuskim, ponieważ Henryk IV. miał wielu nieprzyjaciół pomiędzy katolikami we Francyi, którzy nie mogli jeszcze zapomnieć o tryumfach Ligi, nie miał pieniędzy, a namiestnikowie prowincyi rządzili właściwie, jak udzielni książęta. Spisek dążył do tego, aby zamordować króla, kiedy się uda do markizy de Verneuil, tudzież małego delфина, syna Medyceuszki.

Król się dowiedział o tych intrygach, zapytał nawet Henryettę, czy to prawda, że jej ojciec wplątany w jakieś hiszpańskie spiski; ale zręczna markiza umiała zawsze tak odpowiedzieć, aby odsunąć wszelkie podejrzenia.

Ale tym razem król był mniej naiwnym; chodziło przede wszystkim o wydobycie tego dokumentu, obiecującego Henryecie małżeństwo, którego jej ojciec w żaden sposób nie chciał wydać. Podczas gdy Entragues bawił w swoim zamku w Marcoussis, król zawezwał prefekta kupców, p. Defunctis,

będącego rodzajem dyrektora policyi, i powierzył mu sprawę odebrania dokumentu.

Defunctis sprawił się wybornie. Wysłał najprzód żołnierza kalekę pod pozorem choroby do zamku w Malesherbes, gdzie ojciec Henryetty przebywał, aby się tam zapoznał z miejscowemi obyczajami. Kaleka zauważył, że trzy mosty, prowadzące do zamku, były zawsze ściągnięte i tylko w postne dnię spuszczano drewnianą kładkę, ponieważ okoliczne kobiety przynosiły z rana masło i jaja do kuchni. Defunctis oparł swój plan na tem sprawozdaniu. W najbliższy piątek wysłał czterech luczników, przebranych za baby, z koszykami do zamku; kucharz zauważył je, spuścił kładkę i wyszedł do nich. W tej chwili przebrani lucznicy przyłożyli mu pistolet do piersi, aby milczał, bo inaczej zginie. Cichaczem więc opanowali drzwi zamkowe i dali umówiony znak Defunctisowi, który czekał już z oddziałem swych ludzi w pobliskim lesie. Żołnierze weszli do zamku; z lokajem, który chciał bronić przystępu, postąpili podobnie, jak z kucharzem. Defunctis zatrzymał się jeszcze chwilę aż się d'Entragues obudzi; ale ten wkrótce usłyszał, że ktoś obcy jest w pokoju, i zapytał: »Kto tam?« Na to Defunctis odsłonił kotary i kazał przestraszonemu się ubrać.

Balzac zmiarkował, o co chodzi, i natychmiast zbliżył się do szafy wpuszczonej w mur, ale policyant przeszkodził temu, domyślając się, że tam jest schowany królewski dokument. Balzac chciał przekupić Defunctisa, utrzymując, że w szafie się znajduje posag córki; ale dyrektor policyi nie miał ochoty wchodzić w targi, opieczętował pokój, pozostawił straż w zamku, a właściciela odwiózł do Paryża.

Do owego zamku posłano zaufanych ludzi, aby otworzono schowek, w którym się spodziewano znaleźć królewski dokument; ale tego aktu tam nie było, natomiast wydobyto listy z cyfrą króla hiszpańskiego, najzupełniej dowodzące winy Entragues'a, hrabiego d'Auvergne i markizy de Verneuil. Balzac nie mógł się dłużej wypierać stosunków z Hiszpanią, ale widząc, że go może czekać kara śmierci, kazał królowi oświadczyć, że jeżeli będzie miał pewność, że mu król daruje życie, to wyjawí, gdzie schowany ów dokument, o który królowi chodzi. Zdaje się, że król nie dał stanowczej odpowiedzi, ale Bal-

zac, widząc, że oporem nic nie uzyska, wyjawiał, że owo pismo znajduje się we flaszcze zalutowanej i włożonej w drugie, większe naczynie szklane, które ukrył w murze zamku.

Rzeczywiście dokument tam znaleziono. Królowi przebrała się cierpliwość, kazał Balzaca odprowadzić do Conciergerie, odebrać dzieci Henryecie i umieścić je w Saint-Germain, a matkę uznać jako będącą w niełasce. Ale słaby dla niej, jak zawsze, wkrótce żałował swej surowości, pozwolił jej odwiedzać ojca i dzieci i napisał do niej czuły list, jak gdyby nic nie zaszło. »Kochaj mnie«, kończył list »mon Menon, przysięgam ci, że cały świat jest mi niczem wobec ciebie!« Ale jej wyzywające postępowanie o tyle go zraziło, że jej na razie nie odwiedził. Co więcej, kazał schwycić hrabiego d'Auvergne i także, jak Birona, zamknąć w Bastylli.

Henryetta nie kapitulowała; udawała zupełną obojętność wobec postępowania Henryka IV., drwiła z niego i utrzymywała, że jeżeliby ją skazano na śmierć, to świat powie, że król zamordował swoją »żonę«, bo ona była prawowitą królową, zanim przybyła ta intruzka, Włoszka!

W czasie, kiedy się przygotowywał proces przeciw Bironowi i wynikająca stąd tragedia, niepoprawny i dziwnie lekomyślny Gaskończyk myślał już o nowym romansie. Może chciał koniecznie zapomnieć o Henryecie. U księżnej de Condé, Charlotty de la Tremouille, wychowywała się sierota, Jacqueline de Beuil, ładna blondynka. Król zawiązał z nią stosunek, co nawet Marya de'Medici zaczęła protegować, aby się zapewnić, że Henryk nie powróci już do Henryetty.

Król wyposażył zaraz Jacqueline — z bolem serca ministra Sullego i na jej żądanie wydał ją za fikcyjnego męża, mianując ją hrabiną de Morat. Ale stosunek ten trwał tylko kilka lat, tak długo, dopóki Henryetta utrzymywała, że z bojaźni przed Bogiem i z powodu zakazu swego spowiednika nie może folgować namiętnościom króla. Opór Henryetty miał zresztą inne powody. Proces przeciw Balzacowi i hrabiemu d'Auvergne i Henryecie toczył się jeszcze, a królewska metresa, czując, że Henryk IV. bez niej obejść się nie może, chciała wyzyskać słabość starzejącego się kochanka, aby uratować ojca i siebie od surowości wyroków. Henryetta, pomimo że bardzo

skompromitowana swemi stosunkami z Hiszpanią, przecież sprawę wygrała. Król kazał jej przez kogoś zaufanego powiedzieć, że jeżeli przed nim wyzna swe przewinienia, to gotów wszystko przebaczyć. Ale znając Henryka, była przekonana, że im bardziej się opiera, im będzie twardszą, tem łatwiej zupełnie odniesie zwycięstwo.

Toteż, gdy sprawa wytoczyła się przed parlament, nadzwyczaj zřęcznie odsuwała od siebie wszelkie podejrzenia, pomimo że zeznania hrabiego d'Auvergne bardzo ją obciążały. Wyrok parlamentu uznawał hrabiego d'Auvergne i p. d'Entragues winnymi zbrodni laesae maiestatis i skazywał ich na ścięcie na placu de Grève, Henryetta miała być na razie odprowadzoną pod eskortą do klasztoru Beaumont-les-Tours, gdzie nie wolno jej było z nikim mówić prócz z zakonnicami. Włosy miały być jej obcięte i powinna być zamknięta w czterech murach.

Król osłodził jej zaraz ten wyrok; kazał ją poufnie uwiadomić, że ją ułaskawi, jeżeli go o to poprosi. Ale Henryetta dumnie odpowiedziała, że nigdy króla nie obraziła, a gdzie niema winy, niema ułaskawienia.

Ale o ułaskawienie prosiła jej matka, dawna Marya Touchet i idącemu do kościoła królowi rzuciła się do nóg, prosząc o miłosierdzie. Król podniósł ją, rozczulił się i ze łzami w oczach obiecał wpłynąć na sędziów, aby ich Bóg natchnął miłosierdziem.

Sędziowie jednak postanowili wykonać wyrok.

Henryetta się przeraziła, hardość została złamaną. Postanowiła ukorzyć się przed królem i prosić, aby jej swe łaski powrócił. Napisała bardzo dyplomatyczny list do Henryka IV., który niczego tak nie pragnął, jak pogodzić się ze swoją przyjaciółką. Skończyło się więc na tem, że król zupełnie ułaskawił Henryettę, Balzacowi kazał zwrócić dobra i zamienił karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Wkrótce jednak przeznaczył król Balzacowi własny jego zamek na łagodne więzienie i tylko hrabia d'Auvergne musiał pozostać w Bastylli. Rejentka Maria de'Medici uwolniła go stamtąd w r. 1616.

Niespodziewany wypadek zbliżył znowu Henryttę do

Henryka IV. Oboje królestwo wracali raz z Saint-Germain do Paryża; król spał, rozciągnąwszy się wzdłuż siedzeń, Marya medycejska czuwała. Wtem konie się spłoszyły i wywróciły karete do Sekwany; królowej nic się nie stało, Henryk IV. pływał doskonale, więc się wyratował, zanim go otoczenie wyciągnęło z wody. Oczywiście nastąpiły dzięki czynnemu nabożeństwu po kościołach, a markiza de Verneuil skorzystała ze sposobności, aby pobiec do króla i wyrazić mu swoją radość. Była jednak nieostrożną, gdyż powiedziała, że widząc Henryka poza niebezpieczeństwem, byłaby krzyczała »La reine boit!« »Królowa wodę pije!«

Doniesiono o tem Medyceuszce, którą tak rozgniewało to lekceważenie jej, że zamknęła się w swych pokojach i oświadczyła, że nie wyjdzie na świat, dopóki ta gadzina znajduje się w Paryżu; zakazała też paniom ze swego otoczenia jakiegokolwiek z nią utrzymywać stosunki. Stosunki więc pomiędzy królową a Henryetą, które były znośne, znów się zaostrzyły. Henryetta wyjechała z Paryża, ale król ją odwiedzał lub pisał do niej listy czułe, zasyłając jej »milion pocałunków«. Henryetta, która umiała zawsze korzystać ze sposobności, czując, że łaski królewskie już długo trwać nie mogą, prosiła monarchę, aby oddał dzieci pod jej opiekę i pozwolił zamieszkać w Metz, gdzie jej syn był biskupem. Królowi bardzo się podobaly te żądania, albowiem rad się był pozbyć dawnej metresy, gdyż poznał tymczasem Charlotte de Montmorency, w której się namiętnie zakochał, po raz ostatni w życiu.

VII.

Tymczasem Marguerita bardzo rozumną prowadziła politykę na swoją korzyść. W czasie, kiedy się toczył proces przeciw Bironowi i hrabiemu d'Auvergne, mieszkała jeszcze na swej skale w Auvergne i mogła się obawiać, aby spiski knowne przeciw królowi głównie w tamtej okolicy, nie rzuciły na nią jakiego cienia. W swych listach do króla, zajmujących się głównie sprawami pieniężnymi, starała się ująć serce wra-

zliwego Henryka IV., i rzeczywiście udało się jej zawiązać z dawnym małżonkiem przyjazne stosunki. W Usson się jej nudziło; chciała się stamtąd wydobyć i wrócić do Paryża. Henryk IV. przystał na to i Marguerita mogła opuścić swoje kilkunastoletnie więzienie w pierwszych dniach lipca 1605 r. Szlachta auverniańska odprowadziła ją aż do granic prowincyi, naprzeciw niej wyjechał Sully, którego zadaniem było także wybadać królową co do knowań hrabiego d'Auvergne.

Marguerita zamieszkała narazie w Chateau de Madrid pod Paryżem, gdzie nie była od lat dwudziestu pięciu. Król przyjechał do niej 26. lipca i rozmawiał z nią aż trzy godziny. Dawał jej podobno bardzo przyjacielskie rady, aby według dawnego przyzwyczajenia nie robiła z nocy dnia, a dnia z nocy, co szkodziło jej zdrowiu, i aby poskromiła się w wydatkach. Królowa tłumaczyła się, że już chyba trudno jej będzie czuć w dzień, a spać w nocy; co zaś do wydatków, to łatwość wydawania pieniędzy odziedziczyła po wszystkich Walezyuszach. Wizyta skończyła się bardzo przyjaźnie; po kilku dniach przysłał jej król małego delfina, który wysiadłszy z powozu, powitał Margueritę: *«Soyez la bienvenue Maman-fille»*. Królowa się spytała, dlaczego ją tak nazywa; chłopaczek odpowiedział, że matka go tak nauczyła. Ale dzieciak jej się podobał; przy najbliższej sposobności podarowała mu małego kupidyna z oczami z brylantów. Przestroga Henryka IV., aby nie robiła niepotrzebnych wydatków, na nic się nie przydała, chociaż prawdę powiedziawszy, król jak najmniej miał prawa do takich nauk, bo sam rozdawał olbrzymie sumy pomiędzy kobiety, z którymi romansował. Do Medyceuszki także się bardzo zbliżyła Marguerita, a jeden z dworzan opowiada, że raz widział ją klęczącą z rana przed łóżkiem Maryi medycejskiej, podczas gdy król siedział na łóżku swej żony, delfin bawił się małym pieskiem — obrazek, którego się najmniej można było spodziewać po burzliwym życiu Marguerity i niesnaskach domowych Henryka IV. z królową.

Wobec tej harmonii rada była Marguerita odegrać jeszcze w towarzyskiem życiu pewną rolę, a ponieważ mieszkanie w zamku Madrid oddalało ją od ruchu stolicy, więc postanowiła zamienić ten zamek na L'Hotel de Sens, gdzie w czasie

panowania Ligi mieszkał kardynał Pellevé. Tam zorganizowała sobie dwór na wielką skalę i chciała utrzymać sławę Walezyuszów. Był to znowu błysk fortuny w jej życiu, bo w parlamencie rozstrzygnięto proces spadkowy po Katarzynie medycejskiej na jej korzyść i znaczne obszary dóbr zostały jej oddane. Postąpiła jednak zaraz w duchu swych tradycji monarchicznych z temi dobrami, oddała bowiem hrabstwa d'Auvergne i Clermont, tudzież inne majątki ziemskie królowi i delfinowi pod warunkiem, że domeny będą własnością korony i nie mogą być sprzedane.

Marguerita się bardzo zestarzała, ale serce zawsze było młode. Ogromnie utyla, ubierała się według mód, do których się dawniej przyzwyczaiła, a etykietę zaprowadziła u siebie, jak gdyby jeszcze była królową. Nosiła olbrzymią perukę koloru lnu wypłowiałego na słońcu. Z obawy, aby nie zgubiła części swej sztucznej fryzury, miała zawsze w kieszeni potrzebne włosy do zastąpienia zguby. Do historii jej romansów służyły kieszonki, przyszyte do rodzaju trzosa pod suknią, w których przechowywała pudełeczka z sercami zmarłych wielbicieli. Powiadano nawet, że to były prawdziwe kawalki zaszuszonych serc. Ten pas około bioder zawieszala w nocy w zamkniętej szafeczce za łóżkiem w obawie, aby jej nie wykradziono tych relikwii. Do pisania listów miłosnych używała papieru, na którym była obwódka, przedstawiające rozmaite trofea miłosne.

Mód kobiecych z czasów swej młodości broniła zawzięcie. Jeden z jej znajomych zapytał raz, iż nie rozumie, jak kobiety mogły jeść zupę w swych wielkich kryzach pod szyją, a nie poplamić tego kołnierza, i jak mogły być „galantes” ze swemi olbrzymiami robrownami. Aby mu dowieść, że jedzenie w kryzach zależało tylko od przyzwyczajenia, zaprosiła go na obiad i jadła zupę w tej szerokiej, wykrochmalonej ozdobie szyi.

— Teraz pan rozumiesz? — zapytała.

— Tak, o ile się to tyczy kryzy, ale co do robrownu...

Królowa już nic nie odpowiedziała¹⁾.

¹⁾ Oweczesne łyżki miały dość długie ręczki, tak że jedzenie zupy nie było znowu tak trudnem.

Kokieterya tak dalece jej nie opuszczała, że gdy w roku 1609 jakiś karmelita, chcąc się podchlebić przytomnej królowej, porównał jej piersi do łona Madonny, królowa posłała mu pięćdziesiąt pistolów w złocie.

Przy stole usługiwali jej dworzanie z grona szlachty; jeden grand maître d'hôtel z buławą w ręku zapowiadał dania, inni przynosili przykryte półmiski. Po kolacyi gromadziła królowa u siebie literatów i uczonych, poddawała im tematy do rozpraw, przemawiała w sposób uroczyście-poetyczny, który już za Henryka IV. wychodził z mody; ale ona żyła jeszcze w najświetniejszych czasach, kiedy romanse jak »L'Astrée«, jak »Clélie«, były najważniejszymi literackimi zdarzeniami. Sielanki połączone z przestarzałą mitologią najechały jej salony; Marguerita kazała się nazywać »Venus Urania«, pomimo że z bogini piękności pozostał już tylko puder i fałszywe włosy, wczesnie bowiem ołysiała.

Po naukowo-poetycznych rozprawach na tych wieczorach następował koncert, skrzypce, śpiew z akompaniamentem lutni; przeciągało się to do późnej nocy. Marguerita pomimo przestróg Henryka IV., aby nie była rozrzućną, utrzymywała aż dwie kapele, jedną salonową, drugą do kaplicy.

W wielkiej sprzeczności z tą poetyczną romantycznością Marguerity zostawały bardzo trywialne romanse, bez których żyć nie mogła. Przywiozła ze sobą do Paryża dwudziestoletniego Prowensala, nazwiskiem Date de Saint-Julien, syna cieśli z Arles. Ażeby mu dać wobec świata jakieś stanowisko na swym dworze, mianowała go paziem i pięknie ubierała. Ale wkrótce podobał się jej inny ośmnastoletni młodzieniec, nazwiskiem Vermont, który do tego stopnia był zazdrosny o pazię, że postanowił go zamordować. To też gdy Marguerita 6. kwietnia 1606 poszła z rana na mszę do celestynów, Vermont zasadził się na Data i celnym strzałem z pistoletu zabił go na miejscu. Mordercę schwytano, zamknięto w jednym z pokojów pałacu, a gdy przyniesiono ciało zabitego, sądząc, że go skrucha opanuje, Vermont cynicznie zawołał: »Dobrze, że umarł, gdyby bowiem jeszcze żył, tobym go dobił«. Marguerita nie posiadała się z gniewu, a autor pamfletu »Le Divorce satyrique« opowiada, że w pierwszej rozpaczycy chciała

zdzjąć swoje podwiązki, aby mordercę powiesili; ale to już zapewne dodatek złośliwego pismaka. Podwiązek królowej nie było zresztą potrzeba, bo go na drugi dzień stracono. A tak był zawzięty na królową za to, że go zdradziła, że nie chciał jej przed śmiercią prosić o przebaczenie.

Tak ją jednak zabolalo to morderstwo, że postanowiła opuścić hotel de Sens, a na rodzinę mordercy wyrobiła wyrok, aby jej wolno było mieszkać co najmniej w oddali dwudziestu pięciu mil od jej rezydencji. Król żartował z jej żalów i sądził, że tak dzielnych paziów, jak Date, znajdzie cały tuzin. Pomiedzy publicznością obiegal zaś wierszyk:

Reine de qui l'amour surpasse la vertu,
 Cadette Venus, déesse demi-morte,
 Ne regrettez point tant un laquais revêtu,
 L'on vous en trouvera au palais de la sorte.

Królowa przeniosła się chwilowo do willi w Issy, ale wkrótce nabyła plac pod budowę wspaniałego zamku naprzeciwko Luwru, na lewym brzegu Sekwany. W nowej siedzibie zamieszkała w r. 1608; widocznie życie ją jeszcze cieszyło. Znowu gromadziła około siebie poetów, dzisiaj mało już znanych, i starała się przed nimi okazać swój dowcip i erudycję. Jako pokutę ze swe grzechy, zaczęła budować tak zwaną Chapelle des Louanges, w której osadziła augustyanów bosych. Dziwny zresztą włożyła na nich obowiązek; dzień i noc miało dwóch mnichów bez przerwy śpiewać hymny i kantyki kompozycy samej Marguerity, albo ułożone na jej rozkaz.

Zresztą z niesłychaną hojnością, która bolała ministra Sullego, rozdawała znaczne sumy zakonnikom w Paryżu i na prowincyi, a stała się tak napozór nabożną, że codziennie słuchała trzech mszy i trzy razy w tygodniu się komunikowała. Coprawda, jeden ze współczesnych wspomina, że przeszkadzała drugim w nabożeństwie, bo nie mogła się powstrzymać od dość głośnych rozmów ze swemi towarzyszkami.

Na swych salonach starała się utrzymać tradycje królewskich przyjęć za Walezyuszów, a nawet królowa Marya medycejska prosiła ją zwykle do pomocy, gdy miała przyjmować jakie wielkie osobistości zagraniczne. Podczas pobytu

ambasadora hiszpańskiego, Don Pedra de Toledo, dała obiad, na którym sztuka kulinarna dokazała prawdziwych cudów. Pomiedzy innymi wniesiono tam trzy srebrne półmiski; na jednym było drzewo granatowe, na drugim pomarańczowe, a na trzecim krzak cytrynowy, tak wybornie z cukru naśladowany, że goście, jak utrzymują kronikarze, byli przekonani, że mają przed sobą prawdziwe rośliny.

Pomimo późnego wieku królowa nie przestawała wzbogacać swej kolekcji serc zasuszonych. Po tragicznej śmierci młodego Data de Saint-Julien zakochała się w r. 1607 w jakimś Bajaumont, który miał być ostatnim kochankiem królowej według pamfletu »Le divorce satyrique«. Bajaumont jednak wkrótce zachorował, a królowa tak się zmartwiła, że Henryk IV. przyszedł ją pocieszać. Gdy jednak wychodził z jej pokoju, nie mógł się powstrzymać od złośliwej uwagi, skierowanej do panien honorowych Marguerity: »Módlcie się za wyzdrowienie Bajoumonta, bo gdyby umarł, toby królowa nie chciała już mieszkać w tym pałacu i trzebaby jej wybudować nowy zamek«.

Henryk IV. był wyrozumiałym dla dawnej małżonki, gdyż sam, mimo że nie pochodził z rodu Walezyuszów, robił niedorzeczności sercowe do końca życia.

Marguerita mu pod tym względem w niczem nie ustępowała. Jeszcze po sześćdziesiątym roku życia zakochała się w śpiewaku, nazwiskiem Villars, od którego żądała, aby w ubiorze przypominał jej dawne czasy. Kazała mu nosić spodnie i pończochy, które już wyszły z mody. Co do muzyki widocznie była pod wpływem nowego kochanka, bo augustyanom cofnęła dotychczasową subwencję, ponieważ mieli fałszywe głosy i nie dość długo śpiewali na chwałę bożą.

VIII.

Marguerita miała dużo śmieszności, ale w stosunku do obojga królestwa i w kłótniach pomiędzy królem a jego metresami zachowywała dużo taktu. Nie mięszała się do intryg

pani de Verneuil, a z królową starała się żyć w najlepszej zgodzie. Na ostatni romans Henryka IV., który go okrył śmiesznością w całej Europie, patrzyła ze spokojem, jak gdyby te wyskoki wyobraźni byłego jej małżonka zupełnie ją nie obchodziły.

Okolo r. 1608 ukazała się u dworu Charlotta Marguerita de Montmorency, szesnastoletnia panna, bardzo żywa i bardzo piękna. Młodzież się nią zajęła, a i stary król nie był ostatni pomiędzy jej adoratorami. Za zezwoleniem Henryka IV. otrzymał jej rękę młody Condé, pośmiertny syn Henryka Bourbona i księżnej Charlotty de la Tremouille, która miała otruć swego męża. W czasie, kiedy Henryk IV. nie miał jeszcze syna, nosił się z myślą, aby tego Kondeusza wychowywać na następcę tronu, po urodzeniu się jednak przyszłego Ludwika XIII. projekt ten został zaniechany. Condé był uważany odtąd za księcia krwi, a Henryk IV. wyposażył go hojnie z powodu jego zaślubin z Charlottą de Montmorency, nie tyle ze względu na niego, ile na młodą małżonkę, której łaski starał się król pozyskać. Cały dwór mówił o tem, że Henryk IV. się odmładnia, że zaniedbany dotąd w swem ubraniu chce być elegantem, inaczej strzyże brodę i wąsy. Z okazji ślubu księcia de Vendôme, swego naturalnego syna, z panną de Mercoeur, na którym była młoda para Kondeuszów, wystroił się Henryk IV. w przepyszne szaty, pozawieszał na sobie tyle drogich kamieni i pereł, że, jak powiada kronikarz, wyglądał, jak słońce pomiędzy gwiazdami. Condé spostrzegł królewskie zabiegi około swej żony i wszelkimi sposobami starał się przeszkodzić zamiarom Henryka. Wywiózł ją nawet na jakiś czas na wieś, co nie przeszkadzało, że król pisał do niej pokryjomu słodkie listy. Charlocie, wielkiej kokietce, schlebiały te królewskie zaloty, pomimo że się wyrażała, »że stary król zwaryował«. Swe niedorzeczności posuwał Henryk IV. do tego stopnia, że raz przebierał się za sokolnika, raz za psiarczyka, aby tylko zobaczyć swoją ukochaną, jadącą na polowanie.

Condé postanowił jednak bronić honoru swej żony i uciekł z nią do Flandryi, do Brukselli, oddając się pod opiekę Hiszpanii. Arcyksięciu namiestnikowi cała ta awantura nie była na rękę, zwłaszcza że Henryk IV. tak się zachowywał,

jak gdyby chciał prowadzić europejską wojnę z powodu Kondeuski. Podejrzenie zresztą było słuszne; król oddawna podjął dawny plan zniszczenia potęgi austriacko-hiszpańskiej i pracował w tej mierze z licznymi jej nieprzyjaciółmi, aby w danej chwili cofnąć Hiszpanię do jej naturalnych granic, poza Pireneami. Z Henrykiem jednej myśli była Holandia, Anglia, Szwecya i Dania, a na południu papieństwo, Wenecya, część włoskich despotów i dwudziestu książąt niemieckich. Protestanci i katolicy pracowali w tym samym kierunku, a Henryka uważali protestanci za swego sprzymierzeńca, nie bardzo wierzyli w jego szczery katolicyzm.

Charlotte de Montmorency była drugim powodem, że Henryk IV. uważał za stosowne podjąć walkę z Hiszpanią. Chciał wykraść Charlotte z Brukselli i przywieźć ją do Francji. Plan się jednak nie udał, głównie z powodu gadatliwości samego króla, który w swej naiwności zwierzył się ze swojemi zamiarami przed Medyceuszką. Tak dalece przyzwyczaił się do nieukrywania swych romansów przed żoną, że ani przypuszczał, aby królowa stawiała jakie przeszkody jego romantycznym zamiarom. Królowa jednak obawiała się Charlotty, która była ładna, młoda, sprytna, a Henryk IV. tak się w niej zakochał, że ciągle o niej mówił, nie spał i zdawało się, że oszalał z miłości. Ten nedorzeczny romans króla, grożący zawikłaniami, a nawet wojną z Hiszpanią, poruszył zresztą całą Francję, a królowa potajemnie stała na czele niezadowolonych. Obawiała się, że szalejący z miłości małżonek podemie znowu myśl rozwodu, w czem ją utwierdzało włoskie jej otoczenie. Hugenoci, którzy zawsze uważali Hiszpanię za swą największą nieprzyjaciółkę, popierali króla, a sprawa miłośno-polityczna groziła, że każdej chwili wywiąże się z niej europejska wojna. Mąż Charlotty, obawiając się jakiego zamachu ze strony Henryka IV., uciekł do Medyolanu, gdzie był pod opieką króla hiszpańskiego. To jeszcze bardziej gniewało Henryka IV., który się zawiązał, aby posiadać Charlotte, i gromadził siły zbrojne. Sully zbierał już pieniądze i doprowadził oszczędności państwa do takiej sumy, do 43 milionów liwrow, o jakiej się dotąd nie śniło żadnemu ministrowi finansów.

Przygotowywała się więc olbrzymia wojna, zdążająca do pokonania Hiszpanii i oswobodzenia Kondeuszki z Bruskelli. Król hiszpański grał rolę opiekuna uciśnionej kobiety, na której cnotę nastawał Henryk IV. Przed rozpoczęciem wojny trzeba było ustalić rejencyę, którą król nie wahał się oddać Medyceuszce, dodając jej przyboczną radę. Ale królowa pragnęła być ukoronowaną, do czego ją naglili przyjaciele. Henryk, chociaż zawsze dotąd pod różnemi pozorami odwlekał tak zwane »sacre« królowej, w końcu ustąpił, nie mając widocznie powodu do odmówienia jej koronacyi.

Uroczystość odbyła się 12. maja w Saint-Denis z wielką pompą. Królowa Margot rada się była zrazu usunąć od tego aktu, który wywyższał Włoszkę, ale ostatecznie wzięła udział w uroczystości i przepysznie się ustroiła. Król oczywiście był w kościele, ale z końcem uroczystości wymknął się do pałacu, schował się za okno, kędy przechodziła świeżo ukoronowana małżonka i, jak prawdziwy »gamin« gaskoński, oblał ją wodą. »Sacre« królowej miało się skończyć tragedją. Stronnictwo ultrakatolickie nigdy nie uważało Henryka IV. za należącego do swej kliki, a osobliwie jezuiti koniecznie chcieli go usunąć, utrzymując, że ten zakapturzony hugenot nie powinien zasiadać na tronie arcykatolickich królów. Za jezuitami stali hiszpańscy ajenci, a jeszcze w latach 1595 i 1596 odkryto kilka spisków, dążących do zamordowania monarchy, po większej części zręcznie urządzonych przez stowarzyszenie Lojoli. Jeszcze 9. września 1596 powieszono w Meaux jakiegoś Włocha, który w służbie kardynała austriackiego chciał zamordować króla strzałem z nowo wynalezionej arkebuzy.

Zresztą obok jezuitów i inne zakony ubiegały się o zamordowanie Henryka IV. I tak Pierre Quin i kapucyn Langlois zostali z tego powodu ścięci w Paryżu 1599 r. Według dawnego zwyczaju starano się czarami usunąć zanadto mało katolickiego króla. Szlachcic nazwiskiem Saint-Germain kazał sobie sporządzić portret króla z wosku i kłuł go szpilką, sądząc, że sprowadzi tym sposobem śmierć Henryka IV. Stracono go na placu de Grève w r. 1608.

Wreszcie jednak znalazł się człowiek, który nietylko podjął się tej zbrodni, ale i dokonał. Był to ów François Ra-

vaillac, mistyk, cały ozdobiony amuletami, który przybył do Paryża przed ukoronowaniem królowej z zamiarem zamordowania króla, ponieważ słyszał, że Henryk IV. nie dość pilnie nawraca hugenotów i co więcej, chce wydać wojnę papieżowi i przenieść stolicę świętą do Paryża. W pewnych kołach musiano wiedzieć o zamiarach Ravallaca, ponieważ pomiędzy ludem rozeszła się pogłoska, że morderca króla znajduje się w Paryżu«, a nawet mówiono, jak wygląda: duży, silny mężczyzna o rudawej czuprynie, w zielonem ubraniu. Co się zgadzało z prawdą.

Zresztą ostrzegano króla, że się zamach na niego przygotowuje, w co on zaczynał wierzyć, ale przecucia swe pokrywał gaskońskim humorem. W dzień, kiedy mu Ravallac zadał śmiertelną ranę, Henryk po obiedzie u królowej żartował z panną de Guise i z panią de la Chartre, ale pomimo że go opanował jakiś niepokój i że królowa chciała go zatrzymać, wyjechał o czwartej popołudniu otwartym powozem, aby odwiedzić Sullego. Powóz był bardzo duży, król siadł po lewej stronie przy drzwiczkach, a oprócz niego znalazło jeszcze pięciu panów z królewskiego otoczenia dość miejsca. Gdy wjechano w ulicę de la Ferronnerie, która wówczas była jeszcze bardzo wąska, musiał pojazd zatrzymać się przed sklepem pod Salamandrą, gdyż kilka wozów równocześnie zastawiło drogę.

Ravallac, który szedł za powozem, skorzystał z chwili, stanął na stopniu powozu i szybkim ruchem zadał królowi głęboką ranę. — «Ach! jestem zraniony! ale to nic» — powiedział monarcha. W zamieszaniu miał jeszcze morderca dość czasu, aby zadać królowi drugie pchnięcie, które przecięło główną arteryę i zraniło płuca. Krew rzuciła się królowi do ust, Henryk IV. nie żył.

Schwytano Ravallaca i zamknięto w hotelu de Retz. Wieść o zamachu rozeszła się w mgnieniu oka. Zmarłego Henryka IV. zawieziono do Luwru; królowa zaczęła wrzeszczeć, jak opętana, jak średniowieczna płaczka, ale w tej chwili przyszedł kanclerz de Sillery, trzymając za rękę małego daphina.

— Czyż król rzeczywiście umarł? — zapytała go królowa.

— Madame — odpowiedział dość sucho Sillery — we

Francyi król nie umiera. — I wskazując na dauphina dodał: — Oto król. —

W mieście powstało niesłychane wzburzenie; Francuzi lubili Henryka IV., bo czuli, że w nim płynie prawdziwa krew galicka i że król kochał Francję. Powtarzano sobie jego dowcipne powiedzenia, jego romantyczne historye i sceny, jakie miewał z królową, której nie lubiano, tej drugiej Włoszki.

Ciało wystawiono w Luwrze, w sali »des Cariatides«, ubrane w biały atlasowy pourpoint, a na głowę włożono zmarłemu beret z brunatnego aksamitu, haftowany złotem, i koronę, ozdobioną drogiemi kamieniami. Sala była ubrana gobelinami z jedwabiu i złota. Stosownie do dawnego zwyczaju zdjęto zaraz maskę z twarzy zmarłego, tak zwany »effigie au vif«, odlano ją z wosku i zrobiono manekina podobnego do króla, ubranego w królewskie szaty, który leżał na innym katafalku, w tej samej sali. Ciało i manekin były wystawione na widok publiczny przeszło dziesięć dni, a każdego dnia odprawiano sto mszy przy zmarłym, częścią cichych, częścią śpiewanych. Manekina traktowano do tego stopnia za zmarłego króla, że w obiadową godzinę przynoszono mu półmiski, które maîtres d'hôtel podawali mu, a gdy manekin oczywiście tego pożywienia nie przyjął, rozdawano je pomiędzy ubogich.

Pogrzeb urządzono z niesłychanym przepychem; całe otoczenie królewskie, szlachta, duchowieństwo i służba dworska wystąpiła w najświetniejszych strojach; była to niejako apologia śmierci. Manekin, niesiony przez dygnitarzy, towarzyszył także zmarłemu aż do grobu w Saint-Denis.

Wielka rewolucya z końcem ośmnastego wieku nie uszanowała szczątek najpopularniejszego króla Francyi. Ciało wyrzucono z trumny, jakaś zdziczała kobieta z ludu uderzyła zwiędłą twarz Henryka IV., poczem wrzucono resztki do świeżo wykopanej fosy.

Ravaillacowi wytoczono proces, który stał się formalnością, mającą zasłonić właściwych sprawców morderstwa. Sam wykonawca zamachu był fanatykiem, obwieszonym szkaple-
rzami i kartkami z magicznemi napisami. Mówił, że go oszu-

kano, zapewniając, że lud będzie szczęśliwy, gdy się króla zamorduje, a tymczasem sam lud dostarcza koni, które go mają rozedrzeć. Męczono strasznie tego fanatyka, parzono mu ciało roztopionem ołowiem, wrzącą oliwą, woskiem pomieszczanym z siarką, spalono rękę, w której trzymał nóż zbrodniczy, a w końcu rozdarto go czterema końmi. Konie trzeba było trzy razy zaprzęgać, zanim ukończyły straszny »akt sprawiedliwości«. Za pierwszym razem chciał Ravallac zeznać coś, co się tyczyło królowej i p. d'Epéron, ale greffier Voisin tak z umysłu zanotował słowa skazanego, że nie można było nic zrozumieć, co mówił.

Thum, jak zwykle w takich razach, doprowadzony do zbrodniczego szału, rzucił się na rozciartowane ciało, dzielił się kawałkami ludzkiego mięsa, a nawet Szwajcarzy z królewskiej gwardyi piekli sobie część Ravallaca pod balkonem Luwru.

Powszechnie panowało przekonanie, że Ravallac był tylko narzędziem w ręku innych zbrodniarzy. Aby zadość uczynić żądaniu opinii publicznej, musiał rząd szukać właściwych sprawców, ale szukać tak, aby ich nie znaleźć.

Niebawem zgłosiła się do sądu panna Jacqueline Le Voyer d'Escoman, która śmiało oskarżała markizę de Verneuil i duka d'Epéron. Na święta Bożego Narodzenia słyszała, jak pani de Verneuil w kościele cichaczem umawiała się z dukiem d'Epéron o spisek na życie króla. Później (w r. 1609) spotkała Ravallaca, który mówił o jej zamiarach. Chciała powiedzieć o tem wszystkiem królowej, ale jej nie dopuszczono. Spisek został ułożony w mieszkaniu panny du Fillet, metresy księcia d'Epéron, małej garbuski, ale bardzo zręcznej i dowcipnej. Markiza de Verneuil miała wyjść zamąż za duka de Guise, któryby został rejentem, syn pani de Verneuil królem, a duc d'Epéron connetablem. D'Epéron, dawny towarzysz Henryka III. i jego mignonów, uważał zawsze Bearneńczyka za intruza, nie mającego prawa do korony.

Znalazł się jeszcze inny świadek, prevot kupców z Pithiviers, miejscowości bliskiej zamku w Malesherbes, człowiek zresztą złej reputacyi, ale dobrze widziany w domu d'Entraguesów, którego jednak pod jakimś pozorem zamknięto

w Conciergerie. Za kilka dni znaleziono go uduszonego w celi więziennej, a lud mówił, że śmierć tego człowieka tak stosownie nadeszła, jakby cała rodzina d'Entragues jej sobie życzyła. Panna d'Escoman utrzymywała, że to markiza kazała go zamordować, aby na torturach nie wyjawił rzeczy niepotrzebnych. Zeznania panny d'Escoman były śmiałe, stanowcze, w niczem się sobie nie sprzeciwiające. Te zeznania niepokoiły Maryę de'Medici, więc starano się zamknąć jej usta. Pewne trudności były z prezydentem najwyższego trybunału, sędzią Harleyem, człowiekiem starym, uczciwym; królowa jednak tak na niego napierała, żeby proces umorzyć, że Harley zrzekł się swego stanowiska, a jego następcą, M. de Verdun, był prezydent parlamentu w Tuluzie, postąpił według życzenia Medyceuszki. D'Epernon i markiza de Verneuil zostali uwolnieni od oskarżenia, natomiast pannę d'Escoman skazano na dożywotne więzienie w ciasnej celi. Tam jednak zdołała napisać memoryał, który potwierdza jej zeznania¹⁾.

Zbrodnia Medyceuszki i markizy de Verneuil potwierdzona zresztą została przez innego świadka, p. Dujardin, którego także uwięziono w Bastylli.

Obydwie te panie miały te same powody przyspieszyć śmierć Henryka IV., obydwie obawiały się tej szalonej miłości, która opanowała króla do Charlotty de Montmorency. Inne stosunki miłosne Henryka nauczyły się znosić; ale tym razem chodziło jednej o koronę, drugiej o stanowisko utytułowanej metresy. Markiza zresztą znudziła się już tym romansem, chciała wyjść za mąż za dukę de Guise.

Jak dalece opinia Francuzów — po owych dwóch morderstwach, Henryka III. i Henryka IV., pogodziła się wkrótce z królobójstwem, dość powiedzieć, że po jakimś czasie Ravillac stał się człowiekiem modnym, młodzież farbowała sobie włosy na rudawy kolor, kolor włosów słynnego mordercy, a wielcy eleganci nosili des pourpoints i płaszcze barwy pomarańczowej, co się nazywało »à la Ravillac«. Sam tylko król

¹⁾ Memoryał ten zachował się do naszych czasów i jest drukowany w dziele: »Cimber et Danjou, Archives curieuses, 1-re Série f. XV.« pod tytułem: Véritable manifeste sur la mort d'Henri IV. par Mlle d'Escoman.

Ludwik XIII. nie zapomniał śmierci ojca, nienawdził matkę i jej otoczenie, wydalil ją z Paryża i więził w Blois, następnie w Compiègne, dopóki się nie schroniła do córki Henryetty, małżonki Karola I., króla angielskiego. Wskutek ciągłych intryg przeciw synowi Ludwikowi XIII. i tam jej niechętnie dawano schronienie, tak, że musiała emigrować do Kolonii, gdzie umarła 3. lipca 1642.

Markiza de Verneuil, która przy śmierci Henryka IV. miała dopiero lat trzydzieści jeden, starała się żyć w spokoju, aby nie drażnić Medyceuszki, mogącej się srogo zemścić za przykrości, które od niej doznała. Córki dobrze powydawała za mąż, sama zaś lubowała się w obzarstwie, w dobrej kuchni; jak niegdyś Katarzyna de'Medici, marzyła tylko o rozmaitych pasztetach i potrawkach, a w końcu, jako pokutę za swe grzechy, ufundowała klasztor des Annonciades. Otyła i zawsze złośliwa, umarła w r. 1633 spokojnie, w pięćdziesiątym roku życia.

Królowa Margot już nie żyła, a od r. 1614 usunęła się od dworskich intryg. Ludwik XIII. zatwierdził jej używanie wszystkich dóbr, które posiadała. Zawsze wydając więcej, aniżeli była powinna, robiła długi w ostatnich latach, a pomimo to jeszcze 27. marca 1615, na kilka godzin przed śmiercią, podpisała kodycył na korzyść augustyanów, którzy jej usłużnie pismo podsunęli. Umarła, mając lat sześćdziesiąt dwa.

Miała tak wysokie wyobrażenie o swej królewskości, o krwi Walezyuszów, że była przekonaną, iż jej więcej wolno używać świata, aniżeli innej śmiertelniczce. W tem przekonaniu utrzymywała ją otoczenie, a przedewszystkiem zakonnicy, którzy jej wszystko łatwo przebacza!i, co się nazywało ciężkim grzechem, byle tylko czyniła im hojne zapisy. Miara moralności była zupełnie inna dla klas wyższych, aniżeli dla ludzi pospolitych, i im wyżej się szło po drabinie społecznej, tem lżejszem było sumienie.

Ciało Marguerity zostało pochowane w Saint-Denis, w kaplicy Katarzyny, zburzonej w wielkiej rewolucyi.

Wystawione przez nią gmachy i kościół des Petits-Augustins został przeznaczony podczas rewolucyi i cesarstwa na muzeum monumentów francuskich, a w r. 1820 zburzono cały

kompleks tych budynków i wzniesiono na tem miejscu szkołę sztuk pięknych.

Wszystkie osobistości, które brały udział w epoce Walezyuszów i pierwszego Bourbona, przeżył Sully († 1641), ten dziwak, sknera, i zemścił się na tych, którzy mu kiedykolwiek w drodze zawadzali, pisząc swe „Mémoires“, rzecz mniej cenną, jakby się zdawać mogło. W ostatnich latach życia stał się pośmiewiskiem paryskiej publiczności z powodu swego pyszałkowstwa. Lubował się w złotych łańcuchach i brylantach i w ćwierć wieku po modzie mignonów walezyuszowskich ubierał się w owe kosztowności i chodził po placu Royale, aby go podziwiano. Za nim szło ośmiu starych dworzan, którzy wyprostowani czekali już na niego przed domem, gdy miał iść do miasta. Ulubionemi jego zwierzętami były pawie, których miewał po dwadzieścia, niepokojące całą okolicę pałacu wstrętными wrzaskami.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

WPŁYW KOBIET.

I.

W katedrze w Aix, w południowej Francyi, znajduje się średniowieczny obraz, przedstawiający białego jednorożca, la licorne, jak się łagodnie, prawie z miłością pochyla przed niewinną młodą dziewczynką, którą spotkał w lesie. A jednorożec należał, według ówczesnych wyobrażeń, do najdzikszych zwierząt, który swą rogową szpadą na głowie przebijał każdego, kto mu stanął w drodze. Błąkał się po afrykańskich puszczech, nikt go nie widział i tylko na wielu herbowych tarczach malowano go jako odstrasżający symbol: „Nie zbliżaj się, bo zginiesz“.

Jedynie przed dziewiczą czystością pochylał głowę, składał straszną broń. We Francyi istniało podanie, że likorny tak się zakochują w młodych dziewczętach, że stają, wpatrują się w nie, i wtedy można je schwycić. Hołd i cześć dla niewinnej młodej kobiety przebija się przez starożytność, przez początkowe chrześcijaństwo, a w średnich wiekach staje się niejako artykułem wiary. Po Westalkach następują zakonnice; ojcowie Kościoła sądzą, że dla nich otwierają się podwoje nieba, a świat rycerski bierze kobietę w opiekę. Hasłem średnich wieków staje się połączenie kobiety z rycerstwem, owiane jakimś mglistym urokiem; powstają zwyczaje i instytucje, pełne poe-

zyi, uświęcające tę unię pod opieką Kościoła, który wyrozumiały na ludzkie słabostki, musi dużo tolerować.

Gdy w południowej Francji prowadzono zbrodniarza na stracenie, a przypadkowo młoda dziewczyna, wzruszona litością, stanęła pochodowi w drodze i oświadczyła, że chce pojąć za męża owego skazańca, sędziowie wstrzymali egzekucję. Rzec przedłożono panującemu do rozstrzygnięcia i najczęściej dziewczyna odnosiła zwycięstwo. Kroniki francuskie notują takie fakty jeszcze w drugiej połowie czternastego i w początkach piętnastego wieku.

W pobliżu miasta Aix było źródło zwane Lignana. W czasie dłuższej posuchy urządzano pielgrzymkę do Lignany; na czele szła najpiękniejsza i najmoralniejsza dziewczyna, wchodziła do wyschłego już źródła i wkrótce zaczęła woda wytryskać, obejmowała łukiem, jakby tęczą wybrankę, a następnej nocy spadł deszcz obfity, ratujący roślinność.

Z połączenia kultu kobiety z rycerstwem powstały »sądy miłości«, które we Francji odgrywały tak ważną kulturalną rolę. Owe »cours d'amour« miały zrazu szlachtetne cele, później wyrodziły się w towarzyską zabawę, nie zawsze moralną. Aby rycerz godnym był swego stanowiska, musiał być opiekunem, a nadto sługą jakiejś panny czy mężatki i nosić jej barwy. Kobietom schlebiała ta opieka, więc starały się jak najdłużej zatrzymać tę zwyczajową instytucję.

W niektórych miastach południowej Francji zbierali się rycerze i trubadurzy w dzień św. Walentego (11. lutego), w sali umajonej zielenią i zanosili tam urnę, zawierającą kartki z nazwiskiem mężczyzn, godnych jeszcze miłości. Zaproszone pannie na tę uroczystość wkładały rękę do urny i wyciągały kartkę z nazwiskiem rycerza, który miał być im oddany na usługi przez cały rok. Czy właścicielka wyjętej kartki była przekwitła czy młoda, przyjemna czy złośnica, wylosowany mężczyzna musiał jej towarzyszyć, układać wiersze na jej cześć i nosić jej barwy. Noszenie więc barwy nie zawsze połączone było z przyjemnymi obowiązkami¹⁾.

¹⁾ Jeden z ostatnich trubadurów, René d'Anjou, pozostawił nam dwa wiersze, dwa »Rondele«, świadczące o radości i o zawodach w wy-

Właściwym celem sądów miłości było rozstrzygnięcie kwestyj, tyjących się spraw serca. Z początku przestrzegano, aby poruszone tematy były zgodne z zasadami Platona; ale przedmiot zmuszał często do schodzenia na niższe stopnie stosunków miłosnych, tak że w końcu rozprawy tych »parlamentów«, jak je nazywano, mogły wywoływać rumieńce na twarzach słuchaczek, niezbyt jeszcze oswojonych ze wszystkimi subtelnościami duchowej i fizycznej miłości.

Według autora romansu »de la Rose«, bóg miłości w ten sposób zawiadamiał, że się odbędzie posiedzenie parlamentu miłości:

Le Dieu d'amour, sans terme metre
De lieu, de temps, ni de lettre,
Toute sa baronnie mande;
Aux uns prie, aux autres commande
Que tantot ces lettres vues,
Et qu'iceux les auront reçues,
Ils viennent à son parlement.

Na takie wezwanie zjazd bywał ogromny, bo wielką chęcią stanowiły nie tylko same rozprawy, ale połączone z parlamentem zabawy, bale i już nie fikcyjne, ale prawdziwe ro-

borze »Walentynek«. Pierwsza strofka rondelu pełnego nadziei jeszcze radosna:

Après une seule exceptée,
Je vous serveray ceste année,
Ma douce Valentine gente;
Puisqu'Amour veult que m'i consente
Et que telle est ma destinée.

Drugi rondel wyraża już przykry zawód z Walentynką. Oto znów pierwsze zwrotki:

Je suis desja d'amours tanné,
Ma très douce Valentinée,
Car pour moy fustes trop tost née
Et moy pour vous fu trop tar né.

Dieu lui pardonnoit, qui estrené
M'a de-vous, pour toute l'année;
Je suis desja d'amours tanné
Ma très douce Valentinée.

manse. Przewodniczącą posiedzeń bywała zazwyczaj jedna z pań wyższego rycerstwa, a dopomagał jej zawsze znawca ustaw miłosnych, rodzaj sekretarza. Martial d'Auvergne zebrał najciekawsze wyroki¹⁾ tych sądów, ale z czasów Karola VII., z XV. wieku, kiedy kwestye sporne straciły już bardzo wiele ze swych platonicznych początków i zeszyły do realnego, często zbyt realnego poziomu. I tak np. jakiś kochanek skarży się na lichwę pani swego serca, która wymaga od niego rozlicznych usług, kwiatów, podarunków, a za to wszystko darzy go tylko jednym pocałunkiem na tydzień. Czy to sprawiedliwe? — Inna zbyt namiętna kochanka skaleczyła gwałtownym pocałunkiem swą męską ofiarę; jakież nieszczęśliwemu należy się zadośćuczynienie? Wysoki trybunał uznaje, że ta nierozważna kobieta powinna przynajmniej raz na miesiąc łagodzić swemi pocałunkami zadaną ranę, dopóki nieszczęśliwiec nie zostanie zupełnie wyleczony.

Czem lepiej być: czy mężem, czy kochankiem? Ta kwestya często sądy zajmowała. Jednego razu trybunał zawyrokował, że miłość męża do żony jest śmieszną, podczas gdy uczucia rycerza do mężatki są godne pochwały.

Florence i Blanche-Fleur zadają sędziom dość trudne pytanie: kogo lepiej kochać, ludzi kościoła, duchownych, czy rycerzy? Cour d'amour, złożony tym razem z sędziów z maskami ptaków; jastrząb, sokół, papuga głosują za rycerzami; skowronek, słowik są za duchownymi. Słowik wyzywa papugę do walki; ta wyzwanie przyjmuje, ale w zapasach ulega, musi oddać swój miecz i przyznać, że ludzie Kościoła są zacniejsi i uczciwsi, zatem bardziej są godnymi mieć ładną kochankę, aniżeli rycerz.

Wogóle sądy miłości były nieprzychylnie małżeństwu, lekcewałyły ślubne związki i rozróżniały »l'amour de dette«, miłość wynikającą z małżeństwa i »l'amour de grâce«, wolną miłość, na której nie ciąży żadne narzucone węzły. Ta ostatnia wyżej stała i do niej odnieść trzeba sympatyje dla bękartów, które panowały w średniowiecznym i renesansowym społeczeństwie. Przyjętą powierzchownie zasadą było w rycer-

¹⁾ Martial d'Auvergne. Recueil des arrêts d'amour.

stwie mieć dwie żony, jedną dla pozostawienia potomków, dla prowadzenia domu, gospodarstwa, drugą dla przyjemności, dla rozrywki w smutnych chwilach.

Eleonora de Guienne, królowa Francji, oświadcza w zebranym parlamencie miłości, że w małżeństwie nie może istnieć prawdziwa miłość. Gdyby ta teoria nie była bardzo rozpowszechnioną, toby tak wysoko w społeczeństwie stojąca osobistość nie mogła wypowiedzieć jej publicznie. Zresztą zasada ta przebija się w ówczesnej literaturze, a tak głośny romans jak »Tristan« jest właściwie poetyczną apologią małżeńskiej niewierności. Jasnowłosa Isolda umiera na piersi swego kochanka Tristana. Romans późniejszy »La Dame des belles cousines et de Damp Abbé« jest najstraszniejszą satyrą, wymierzoną przeciw ideałowi rycerskiej, pseudoplatonicznej miłości. Autor streszcza tam wyobrażenia czternastego wieku o sprawach serca i wykazuje, że owa rycerska miłość była tylko chimera, nie mającą w życiu rzetelnej podstawy. Misticzm znikł szybko, a wiotkie zasady platonizmu wywołały nawet zbyt widoczną reakcję i doprowadziły do uznanej w rycerskim społeczeństwie niemoralności, tak iż można powiedzieć, że wiek XIV. należał do najniemoralniejszych epok we francuskim świecie.

Wiersze trubadurów dają nam w tej mierze bardzo dośladne dowody. Saint-Palaye *) przytacza wierszyk, opowiadający, jak znana chatelaina, mając w zamku znakomitego gościa i troszcząc się, aby nawet noc przepędził przyjemnie, woła do siebie najpiękniejszą ze swych służebnych »une pucelle la plus courtoise et la plus belle« i poleca jej, aby pomagała gościowi do zaśnięcia.

Widocznie więc cześć dla dziewictwa trwała niedługo. W drugiej połowie XIV. i z początkiem XV. wieku już ideje platoniczne stały się tylko zabawką uczonych, a w społeczeństwie rycerskim zapanował cynizm w miłości. Trubadurzy w swoich krótkich wierszykach, w swych Fabliaux bawili panów i panie bardzo swawolnemi opowiadaniem. Zapomniano

*) La Curie de Saint-Palaye. Mémoires sur l'ancienne chevalerie. T. I. str. 394.

o »Cyklu bretońskim«, o romansach »Okragłego stołu«; to były już historie za nudne.

II.

Ale nie tylko w wyobrażeniach o miłości zapanował zwrot, że tak powiem, realistyczny; mistycyzm znikął, świat się wogóle zmieniał. Nadzwyczaj ważnym w tej mierze dokumentem jest ów przez dwa wieki czytany romans »Roman de la Rose«, alegoryczny poemat w dwudziestu dwóch tysiącach wierszy. Romans składa się z dwóch części; pierwsza, której autorem był Guillaume de Lorris, wyszła w połowie XIII. w. i jeszcze jest odbiciem dawnych czasów. Oczywiście poemat traktuje o miłości, którą trzeba zdobywać, a wielkie trudności stoją na przeszkodzie, bo ją zamknięto w ogrodzie obmurowanym i nadzwyczaj silnie strzeżonym.

Cy est le Roman de la Rose
Ou tout l'art d'amer est enclose.

Przystępu do tej róży miłości strzegą: zawiść, zazdrość, sknerstwo, smutek, starość i ubóstwo. Po przewyciężeniu rozlicznych trudności można się nareszcie dostać do środka zaczarowanego wirydarza. Wenus sprawę ułatwia, ale mimo to nie osiąga się celu, bo w drodze stoi obmowa, obawa i inne hydry, czatujące na kochanka.

Na szczęście czytelnika Guillaume de Lorris nie dokończył arcynudnego poematu. Po latach czterdziestu pozazdrościł mu sławy inny »poeta«, Jean de Meung, przewany Plopinelem, kulasem, i oddał drugą część, obejmującą ni mniej ni więcej, tylko ośmnaście tysięcy wierszy, ciężkich, ale znamionujących przewrót, jaki się odbył w wyobrażeniach. Pod tym względem robota »kulusa« daleko więcej jest dla nas zajmującą, aniżeli alegoryczne wiersze Guillaumea.

Na wstępie do drugiej części napisano:

Cy endroit trépassa Guillaume
De Lorris, et n'ers fit plus psaume;
Mais après plus de quarante ans,
Maitre Jean de Meung ce roman

Parfit, ainsi comme je treuve,
Et ainsi commence son oeuvre.

Już alegoryczne osobistości, które występują w tej drugiej części, a mianowicie »dame Raison« i »dame Nature«, zapowiadają zwrot wyobrażeń. Autor pogardza rycerstwem; ci, którzy się tak nad innych wynoszą, nie więcej warcą, jak poganiacze mułów.

Car leur corps ne vaut une pomme
Plus que le corps d'un charretier,
Ou d'un clerc ou d'un écuyer.

Wyśmiewa się, skąd powstała szlachta: najsilniejszego, mającego grube kości, wybrano i zrobiono z niego księcia.

Un grand vilain entre eux eslurent
Le plus ossu de quen qu'ils furent,
Le plus corsu et le greignor,
Si le firent prince et seignor.

Ale jego gniew nie zwraca się li tylko ku rycerstwu; i ten kult kobiety, jaki zapanował, jest mu wstrętny. Pochwała on wolną miłość, bo kobieta, uwięziona w małżeństwie, jest jakby ptak w klatce, który patrzy tylko, kędyby mógł się na wolność wydobyć. Wogóle z kobietą bardzo się źle obchodzi i mści się za wszystkie ubóstwiania, któremi je dotychczas okadzano. Dame »Raison« przechodzi po kolei wszystkie bohaterskie przeszłości, począwszy od Penelopy a skończywszy na Heloizie, i powiada czytelnikowi: Nie wierz im; nie były one takie zacne, takie święte, jak się wam zdaje.

Clopinet powstaje na to, co średnie wieki najbardziej czeły, na religię i na duchowieństwo. Stwarza typ fałszywca »d'un Faux-Semblant«, z którego później Molier wyrzeźbi Tartufa.

Tu sembles être un saint hermite,
— C'est vrai, mais je suis hypocrite
— Tu t'en vas prêchant l'abstinence,
— Oui, oui, mais je remplis ma pance
De bons morceaux et de bons vins,
Tel comme il affert (appartient) a devins
(a gens d'église).

La dame Nature wyprzedza w tym poemacie teorie Jean-Jacques Roussa o prawach natury. Rozprawę Encyklopedysty »L'Origine de l'Inégalité parmi les hommes«, zwrot do przyrody głosi już ten »kuternoga« czternastego wieku.

Co jednak najbardziej uderza w teoriach pseudo-reformatora, to cały program rewolucyjny: obalenie rodziny, nieuznawanie związków pokrewieństwa, zniesienie własności, powszechny komunizm. Reakcja przeciw królom i rycerstwu straszna. Romans ten zawdzięczał zapewne swą wielką i długotrwałą popularność temu uciskowi, w jakim społeczeństwo żyło oddawna. Ale lekarstwo Jana de Meung było za radykalne, zwykły błąd zgryźliwych teoretyków.

W tym samym, jednak łagodniejszym duchu był pisany »Le Roman de Renard«, odznaczający się większym dowcipem, większym talentem pisarskim, a powstały również w połowie XIII. wieku. Satyra zapanowała nad francuską literaturą, była niesłychanie popularną, bo stała się oddźwiękiem ducha narodu. Był to cały cykl romansów z bohaterem, upersonifikowanym lisem. Ponieważ poeci pisali wówczas wiersze na tysiące, więc dziwić się nie można, że ten lisi poemat, a właściwie cykl poematów wynosi około 60.000 wierszy. Najdawniejszy z tych romansów »Gopil le Renard« istniał już w r. 1236, a po nim nastąpiły inne: »Couronnement du Renard«, »Renard le nouvel«, »Renard contrefait« i t. d.

W tych poematach wieje już duch, z którego wyszedł późniejszy Don Quichote, wysmianie rycerstwa i jego zasad, ale zarazem jest tam już ów niemoralny podkład machiawellistyczny, że zręczność i podstęp tryumfują zawsze nad prawem i siłą. Autor poematu przeczuł niejako politykę Ludwika XI., przeczuł inny świat, zbudowany na ludzkim fałszu. Renard jest hipokrytą, podszyty tchórzem, łakomiec, łgarz, bluźnierca, zmysłowiec.

Historia o lisie, pomimo że drwiła ze wszystkiego, co dotychczas uważano za nienaruszalne, prawie za święte, ponieważ pełna dowcipu, miała nietylko we Francyi, ale w całej Europie ogromne powodzenie. Tłumaczono ją na kilka języków, przerabiano w ciągu wieków, zastosowując lisa do pra-

dów czasu, a geniusz Goethego przyswoił ją w germańskich krajach w poemacie »Reinecke Fuchs«.

III.

Ów przełom w wyobrażeniach zapanował także w poezji trubadurów i truwerów, którzy nie wykładali wprawdzie swoich teoryj w kilkudziesiąt tysięcy wierszy, ale może jeszcze potężniej uderzali w dotychczasowy świat rycerski i duchowny. Truwerzy śpiewali swe dowcipne historyjki, zwane Fabliaux, krytykując społeczeństwo, w którym żyli, więc sami rycerze i prałaci z przyjemnością słuchali ich satyrycznych uwag, zwłaszcza, że najczęściej bohaterką opowiadania była kobieta. Nie było rycerskiej uczty, aby nie wezwano jakiego truvera do zabawienia gości, a Fabliaux stały się niemal codziennym umysłowym pokarmem społeczeństwa. Mieszczaństwo cieszyło się, że ci ludowi poeci znęcają się nad rozpanoszonem rycerstwem, a nawet »les vilains«, ludzie najniższych stanów rozkoszowali się, że przecież śpiewano im to, czego dotąd wyśpiewać nikt się nie odważył. Rycerstwo i duchowieństwo czuło się za potężnem, aby w tych objawach przeczuwać jakieś rewolucyjne prądy, bawiło się nimi.

Jednym z najznakomitszych truwerów na Południu był Rutebeuf, współczesny świętemu Ludwikowi. Ubogi włóczęga, niskiego pochodzenia, obarczony rodziną, skarży się często, że nie ma co jeść, dzieci ziewają z głodu, w stancyi zimno, a od zburzenia Troi nie widziano takiej nędzy, jak w jego domostwie. Na dopełnienie nieszczęścia traci prawe oko. Pomimo tej biedy humor go nie opuszcza, wymyśla na prałatów, tych »papelards«, którzy opływają w dostatki i trzymają metresy. O nich to śpiewa:

Chanoines séculiers mènent très-bonne vie:
 Il y en a de tels qui ont grand seigneurie,
 Qui font peu pour ami et assez pour amie.
 Les blanches et les grises et les noires nonnains
 Vont souvent pélerines aux saintes et aux saints;
 Si Dieu leur en sait gré, je n'en suis pas certain:
 S'elles étaient bien sages, elles allassent moins.

Nie lepszy od prałatów jest zakonnik zakrystyan, który uciekł z żoną rycerza; ale jej dobre imię bynajmniej nie ucierpiało na tej wyprawie »dzięki laskowości de Madame sainte Vierge«.

Podobną do sądów miłości instytucją, a raczej podobnym zwyczajem były tak zwane *tensons*, rozprawy, turnieje poetyczne pomiędzy rycerzami a paniami, które z łatwością układały wiersze. Kwestye sporne w tych *tensons* prawie się nie różniły od rozpraw w *courts d'amour*, a prezydentki, zazwyczaj znakomite panie, wydawały po ukończeniu takiego poetyckiego pojedynku swoje »*arrests d'amour*«.

IV.

Wieki się na to składały, aby spaczyć pojęcia etyczne, aby poniżyć skalę publicznej moralności. W średnich wiekach spoczywała Francya na dwóch silnych filarach, na religii i na idei rycerstwa. Religia upadała oddawna, a przyczyną tego sponiewierania Kościoła było duchowieństwo, które wyzyskiwało ludność, tonęło w zbytku i niemoralności i utraciło wszelki wpływ na społeczeństwo. Rycerstwo, pomimo wszelkich błędów feudalizmu, oprawiało ludność w pewne stałe ramy moralnych zwyczajów, których przekraczać nie było wolno. Gdy jednak feudalizm doprowadził z czasem, jak wszelka ludzka instytucya, do nadużyć i rozkładu, gdy stracił ufność u narodu, zaczęły się rysować owe filary. Francya straciła dawne silne fundamenty. Panowanie prawie obłąkanego króla Karola VI., stuletnia wojna z Anglikami, zgangrenowała społeczeństwo, którego nawet tak rozumny monarcha, jak Ludwik XII., nie mógł zupełnie wyleczyć.

Franciszek I. zastał więc Francję politycznie jeszcze nieskonsolidowaną, a duchowieństwo, jak dotąd, w upadku. Ronsard, którego o jakąś nieprzyjaźń do Kościoła posądzić nie można, pisał o młodych prałatach:

Sans prêcher, sans prier, sans bon exemple d'eux,
Parfumés, découpés, courtisans, amoureux,
Veneurs ou fauconniers et avec la paillardie
Perdent le bien de Dieu dont ils n'ont que la Garde?



AGNES SOREL.

Agnieszka Sorel.



Franciszek I., młody monarcha, nie dorósł zadaniu, które go czekało, a zręczna Włoszka synowa, otoczona doradcami, przepojonymi zasadami Macchiavella, które panowały we Włoszech, powoli zaczęła mieć wielki wpływ i na króla i na jego następcę Henryka II.

Za Franciszka I. panowały u dworu przeważnie kobiety; wpływ metres rozpoczął się wprawdzie już za Karola VII., ale słynna jego kochanka, Agnes Sorel, była może ze wszystkich późniejszych przyjaciółek królewskich najuczciwszą i najbardziej dla państwa pożyteczną. Wszak to ona głównie skłoniła chwiejnego i słabego Karola VII. do bronienia ojczyzny i obok Joanny d'Arc najwięcej się przyczyniła do uwolnienia Francji z pod obcego jarzma. Z Franciszkiem I. rozrasta się wpływ kobiet na dworze francuskim, a wpływ ten staje się tak silnym, że właściwie w epoce ostatnich Walezjuszów za każdym monarchą stoi zręczna ochmistrzyni, która wpływa na politykę, na literaturę i sztukę. Franciszkiem I. rządzi matka, księżna d'Angoulême, i duchessa d'Étampes, Henrykiem II. Diana de Poitiers, Franciszkiem II. Marya Stuart, Karolem IX. Marya Touchet i Katarzyna de'Medici, a Henrykiem III. zniechęceni mignoni, którzy się nawet często po kobiecemu stroili i o ile możliwości naśladowali kobiety. Przesada w męskich ubraniach istniała już oddawna we Francji, tak, że zazwyczaj mężczyźni daleko więcej nosili klejnotów, aniżeli kobiety. Mówiąc o kobietach, wywierających wielki wpływ na rządy Walezjuszów, nie trzeba zapomnieć o Joannie d'Albret, mądrej, zimnej królowej Nawarry, i wyuzdanej, ale zręcznej Margot, które także czasami wywierały niemały wpływ na tok spraw publicznych.

Heroiny epoki Walezjuszów wołały, aby się ich bano, aniżeli, aby je kochano; odznaczały się odwagą, nadzwyczajną zdolnością do intryg i pod wielu względami przewyższały mężczyzn. O Joannie d'Albret powiada d'Aubigné, że nie miała w sobie nic kobiecego prócz płci, dusza jej była zajęta tylko rzeczami, należącymi zazwyczaj do mężczyzn, potężny umysł obejmował najważniejsze sprawy, serce nie dawało się zwyciężyć żadnym przeciwnościom. A księżna de Montpensier, która z nienawiści do Henryka III. włożyła sztylet w ręce Jac-

ques Clémenta, oświadczyła po zamachu, że tylko tego żaluje, że nie mogła niecnemu królowi przed jego śmiercią oświadczyć, że ginie z jej polecenia.

Dziwny był hart w tych kobietach w znoszeniu najstraszniejszych wrażeń. Gdy po sprzysiężeniu w Amboise tracono hugenotów, przypatrywały się panie, należące do dworu, z terasy zamkowej, jak gdyby chodziło o jakieś wesołe przedstawienie, nie okazując najmniejszego żalu lub współczucia. Jedynie duchessa de Guise, córka księcia Ferrary i Renaty francuskiej, wybuchła płaczem z pewnem zgorzaniem swego otoczenia. A typem tej obojętności na ludzkie cierpienia, a zarazem wielkiej osobistej odwagi, była sama Katarzyna medycejska. Postępować zimno, rozumnie, to było jej hasło. Jeden z weneckich posłów pisał do signorii, że tak umiała spokojnie dążyć do osiągnięcia swego celu, że słynny Rzymianin Fabius Cunctator mógłby ją uznać za swoją córkę. Gdzie chodziło o okazanie odwagi, rzucała się w największe niebezpieczeństwa. Podczas oblężenia Rouen nie zważała na padające koło niej pociski, ale w otoczeniu kilku swych odważniejszych panien zagrzewała żołnierzy do boju. Gdy ks. de Guise zwracał uwagę, że ją może spotkać jakie nieszczęście, roześmiała się, sądząc, że nie widzi powodu bardziej się oszczędzać, jak rycerze. Na polowaniach należała do najdzielniejszych myśliwych.

Tego rodzaju kobiety miały wielki wpływ na mężczyzn, miłość doprowadzała ich do szalu. D'Aubriac, zakochany w Marguericie de Valois, idąc na śmierć, całował niebieski zarękawek, który mu kiedyś podarowała piękna królowa. Aby się przypodobać kobiecie, narażano się na największe niebezpieczeństwa; gardzono własnem życiem, ale i życiem nieprzyjaciół. Kobieta stała wyżej, aniżeli religia; religia była tylko pozorem, przyzwyczajeniem, a kobieta treścią. W wyobrażeniach tych ludzi Kościół nie przeszkadza nienawiści, zemście, rozlewowi krwi i wogóle najstraszniejszym zbrodniom. Zresztą duchowieństwo prawie nauczało z ambon fałszu i okrucieństwa. Jeden ze znakomitych pisarzy powiedział, że ludzkość zamiast uklęknąć przed ukrzyżowanym Chrystusem, myli się i kłęczy przed jednym ze zbrodniarzy, rozpiętym na krzyżu.

Wpływ jednak tych kobiet nie był zbawiennym, moralnym, nie łagodził złych namiętności. Te syreny nadużywały swej potęgi, psuły serca mężczyzn i ich charaktery, aby tylko dopiąć swych celów, były raczej szatanami, aniżeli aniołami. Zaspokojenie namiętności, interes, zysk materyalny, wszystko jedno, zgnieść, spodlić mężczyznę, byle tylko posłużył ich celom. A jednak ta przewrotność, to zbrodnicze nieraz postępowanie, nie zdawało się wybijać na ich twarzach, na ich postaciach szatańskiego piętna. Sumienie, od dzieciństwa oswojone ze złem, ze zbrodnią, nie czuło prawdy, nie robiło im tych wyrzutów, jakie gnębią ludzi, rozumiejących cnotę. Gdy zgnieciemy muchę, pająka, nie poczytamy sobie tego za zły uczynek, nad którym się boleje; tym pajakiem, tą złośliwą muchą był dla owych kobiet pierwszy lepszy mężczyzna, który im się nie podobał lub zawinił przeciw kobiecemu majestatowi.

Oczywiście te kobiety używały wszelkich sposobów, aby działać na zmysły męskiego niewolnika, aby go opętać. A więc stroje, miękkie aksamity, perły, lśniące kamienie o tajemniczej sile. Niewolnik musiał widzieć przed sobą bóstwo, a nie śmiertelną kobietę. Królowa Margot całymi dniami siadywała w kąpeli z mleka oślicy, przykładła jakieś wstrętne okłady, aby tylko wzbudzić u kochanka to uczucie rozkoszy, jakie będzie miał w dotknięciu jej białego ciała. Diana de Poitiers wstawiała bardzo rano, używała zimnych kąpeli, męczyła się jazdą konną, aby tylko utrzymać jak najdłużej świeżość płci i więzić swego niewolnika, Henryka II.

Mężczyźni dziwnie się poddawali wszelkim tyranom. Na dworze Walezyuszów były dwie kobiety »sprawiedliwe«, mężowie nie oceniali jednak ich cnoty i nie odpłacali im się bynajmniej uczuciem i wdzięcznością. Karol IX. mówił o swej małżonce, Elżbiecie Austryaczce, że jest najdoskonalszą, najcnotliwszą kobietą nie tylko we Francji, ale w całym świecie; mimo to miał inną przyjaciółkę, przed którą się zwierzał z najtajniejszych myśli. A Elżbieta była nawet fizycznie piękniejszą, aniżeli Marya Touchet, ale nie władała ani sztyletem, ani flakonem z trucizną. Tak samo Henryk III. porzucił Luizę de Vaudemont, gdyż była w jego przekonaniu zanadto świętą kobietą. Ale też nawzajem i kobiety epoki Walezyuszów nie

chciały mieć mężów cnotliwszych od siebie; zepsucie bardziej je pociągało, aniżeli cnota.

To panowanie kobiet, ten zmysł niewieści odbijał się we wszystkich objawach życia arystokratycznego we Francji; mówię arystokratycznego, bo według Brantôma zupełnie inne były przepisy etyczne dla kobiet niższego stanu, aniżeli dla tych piękności, którym nie można było darować egoizmu, gdyby swemi wdziękami nie obdzielały wielu, wielu mężczyzn. Skarby, któremi je obdarzyła natura, nie powinny być ukryte. Wszak Marguerita de Valois pozwalała nawet kobietom swego towarzystwa składać pocałunki na swojej piersi, aby także zakosztowały niebiańskiej rozkoszy.

Przeważny wpływ kobiet na dworskie zwyczaje i obyczaje wybił swe piętno na ubiorach męskich. Malowanie twarzy, perfumy, koronki, wszelkie możliwe przybory toaletowe, zawdzięczali mężczyźni kobietom. Często nosili na swych beretach, trzewikach, kaftanach daleko więcej klejnotów, aniżeli kobiety. Nawet rycerska zbroja uległa owemu „zniewieścieniu”, a taka prześlicznie rzeźbiona tarcza Henryka II. w Luwrze świadczy, że już nie była przeznaczona do walki, ale do ozdoby.

V.

Zupełnie inny typ kobiety, aniżeli królowa Margot, wytworzyła Reformacja. Kobieta kalwinka miała także wielki wpływ, ale nie była to dworka Katarzyny medycejskiej. Przedewszystkiem wyrosła nad inne Jeanne d'Albret, królowa Nawarry, matka Henryka IV. Jest to heroiczna postać XVI. wieku we Francji, twarda, nieugięta kobieta w swych zasadach, fizycznie nawet odróżniająca się od wypieszczonych pań dworu Walezyuszów. Wyrosła w Pireneach, pomiędzy ludnością góralską, zdrowa, odważna tak, że nawet Karol V. polecił w swoim testamencie synowi Filipowi II., aby się ożenił z tą księżniczką fizycznie silną, o niezłomnej woli i niezepsutem sercu. Ale księżniczka obawiała się przewagi hiszpańskiej dla swego małego państewka du Bearn i poszła za mąż za Fran-

cuza, Antoniego de Bourbon, księcia Vendôme, pochodzącego wprawdzie w prostej linii od piątego syna świętego Ludwika, ale człowieka o słabym charakterze, którego nazwano »L'Eschangeur«, zmiennikiem, bo co chwilę zmieniał religię; raz był katolikiem, to kalwinistą, luteranem, a wreszcie znowu katolikiem.

Ta niestałość w pojęciach religijnych oburzała Joannę; to też gdy mąż umarł w r. 1562, jeszcze goręcej stała przy Kalwinie i była bezwzględna krzewicielką jego zasad. Skonfiskowała dobra kościelne, kazała powyrzucać obrazy katolickich świętych, porozbijając statuy w kawałki, a swoim poddanym Bearnencykom zabroniła pod karą śmierci chodzić na mszę lub brać udział w procesjach. Stronnictwo katolickie spiskowało, aby jej wydrzeć panowanie nad tym skrawkiem Pireneów, chciało ją oddać w ręce hiszpańskiej inkwizycji; ale królowa umiała zawsze uniknąć niebezpieczeństwa, a swą odwagą, prostotą w obcowaniu z góralami, płomiennym wzrokiem i cnotą, będącą pancierzem przeciw obmowie i obelgom, tak wiernych sobie zyskiwała przyjaciół, że przewodcy hugenotów, jak Coligny, La Rochefoucauld, Rohan, uwielbiali ją i uważali za równorzędnego z nimi wodza Reformacji. Wzbudzała zaufanie, gdyż wierną była swej zasadzie »Sum id, quod sum«, jestem tem, czem jestem.

W oczach królowej d'Albret był dwór francuski stekiem rozpusty i najgorszych obyczajów; to też synowi swemu, późniejszemu Henrykowi IV., urodzonemu 13. grudnia 1553, dała wychowanie, sposobiące go na dzielnego człowieka. Dziad małego, Henri d'Albret, który jeszcze żył wtedy, potarł czosnkiem wargi wnuka, aby się go żadna choroba nie czepiła, dał mu się napić trochę starego wina z rodzinnej czary z życzeniem, aby był dzielnym Gaskończykiem i prawdziwym góralem z Bearn. Malca oddano do wykarmienia silnej chłopce, która nie chciała żadnej zapłaty za tę przysługę i tylko napisała na drzwiach swojej chaty: »Saube-garde dou roy«, »sauvegarde du roi«.

Chłopak bawił się z wiejskimi dziećmi, drapał się po skałach, przeskakiwał rowy, wolny, jak dzika koza alpejska, ale

na nieszczęście musiał zostać królem. W piątym roku życia zawiózł go ojciec na dwór francuski. Zdrowy góralik podobał się Henrykowi II.; król go zapytał, czy chce zostać jego synem, ale dzieciak śmiało odpowiedział, wskazując na Antoniego Burbona, że »to jest mój ojciec«. »A chcesz być moim zięciem?« — »Tak, z radością«, rzekł Henryk bez zająknięcia się. Los jego był postanowiony, los bardzo niepewny.

Jeanne d'Albret miała także córkę, Katarzynę de Bourbon; z nią, dopiero trzynastoletnią dziewczynką, wybrała się w r. 1572 do Paryża, aby ułożyć małżeństwo swego syna z Margueritą de Valois. Wrażenia matki, kalwinki, były najgorsze, ale królowa Katarzyna starała się ująć wszelkimi sposobami i skłoniła syna, Karola IX., aby jej dopomagał. Karol IX. też zapewnił matkę, żeby mu tylko pozwoliła działać, a zobaczy, że wszystkich tych górali schwyty w swoje sieci.

Joanna niedowierzała najśłodszyim zapewnieniom, była podejrzliwą, żal jej było syna; ale z drugiej strony pochlebiało Kalwince, że go połączy z królową Francyi. Wśród tej walki uczuć macierzyńskich zaczęła Joanna robić przygotowania do ślubu Henryka, zamawiała ubrania, zakupywała klejnoty, a zły duch zaprowadził ją do perfumera królowej Katarzyny, do Florentyńczyka René, nadwornego truciciela Włoszki. Nabyła u niego rękawiczki; nazajutrz dostała strasznych bólów, a w ciągu pięciu dni umarła, 9. czerwca 1572.

Umarła w czterdziestym czwartym roku życia odważnie, dzielnie, nie dała po sobie poznać wielkich cierpień, a w kilka godzin przed agonią podyktowała testament, w którym poleciła synowi, aby został wiernym swej religii, aby się nie dał uwieść zepsuciu i oddalał od siebie ateuszów, pochlebców i libertynów.

Ciało jej ubrano w suknię z białego atlasu, haftowanego srebrem, i w aksamitny płaszcz fioletowy. Komnatę obito kirem, a według kalwińskiego zwyczaju nie zapalono świec przy katafalku. Na trumnie, stosownie do woli zmarłej, nie było ani herbów, ani żadnych ornamentów; chciała być pochowana, jak uboga kobieta.

VI.

Przemózny wpływ kobiet odbił się na literaturze epoki Walezyuszów. Clément Marot był przedewszystkiem poetą dworskim, bałwochwałcą monarchy, ozdobą panowania Franciszka I. Chwalił w zręcznych wierszykach nadobne panie, a brzydkie upiększał, podnosił pod niebiosy Margueritę de Valois i księżnę d'Étamps, mścił się nad dworzanami, którzy mu zazdrościli dworskich faworów lub smagał różgą literackich nieprzyjaciół. Dwór dostarczał mu niemało treści do wierszy: przewijali się tam wielcy dygnitarze, znakomite panie, dyplomaci, każdemu miał coś przyjemnego do powiedzenia. W swych zjadliwych rymach był często nawet dowcipnym; dworzanie go też nie lubili, miał zawistnych bez liku, a ponieważ nie był ani stanowczym katolikiem ani protestantem, więc życie jego płynęło pomiędzy dworem, więzieniem i wierzycielami. To też głęboka namiętność wyrywa mu się z duszy, gdy opisuje znany mu aż zanadto dobrze »świat podziemny«, więzienie Châtelet, gdy wspomina, jak ci sędziowie, których Rabelais nazywa «les chats fourrés», skazują biedaków na tortury.

..... il vous fait plonger
 Au fond d'enfer, ou lui fait alonger
 Veines et nerfs, et par tourments s'efforce
 A esprouver s'elle dira par force
 Ce que douceur n'a su d'elle tirer.
 O chers amis, j'en ai vu martyr
 Tant que pitié m'en mettait en émoi!

Raz został poetą poważnym; zabrał się, jakeśmy już wspomnieli, do tłumaczenia Psalmów Dawida. Potężna poezya wyszła jednak bardzo osłabiona z pod jego pióra, ale miała powodzenie, gdyż nie było wówczas innego tłumaczenia Psalmów, a świat biblijny zajmował umysły.

Nazwano poetę »gentil Marot«, a to słowo zawiera dobrą jego charakterystykę.

Wyżej na Parnasie stanął Ronsard, ale ten już zupełnie uległ kobiecemu wpływowi i modnym wówczas starożytnym

poetom. Gładki w swych poezjach, atlasowy, aksamitny, przyjemny w czytaniu, ale tylko na chwilę, bo jego wiersze nie mają istotnej treści, albo tak mało, że harmonia słów nie zastąpi myśli. Zapomniano też o nim przeszło dwa wieki i dopiero epoka romantyczna go odgrzebała. Uczucia także w tych poezjach bardzo mało; istniejące tylko w wyobraźni trzy kochanki: Cassandra, Helena i Marya, to naśladownictwo Dantego Beatryczy lub Laury Petrarcki. Jedyna Helena de Surgeres, należąca do otoczenia Katarzyny medycejskiej, mogła swą pięknnością wywołać więcej literackie, aniżeli sercowe uczucia poety.

Ten kobiecy wpływ przeszedł na towarzyszy i naśladowców Ronsarda, na słynną »Plejadę«, która swą czczością musiała później wywołać reakcję. Miały w Plejadzie niemały wpływ kobiety wyższego towarzystwa, jak pani de Retz, pani de Lignerolles i kilka innych o mniej głośnych nazwiskach. Zerwano tam zupełnie z przeszłością, zapomniano o początkach narodowej poezji, o misteryach, farsach, humorystycznych »soties«, a zapatrywano się na tragedye i komedye starożytne, o których szeroka publiczność francuska nie miała wyobrażenia.

Jeden z uczniów Ronsarda, Étienne Jodelle, pierwszy wystąpił za Henryka II. z tragedją naśladowaną z greckich autorów, która w dworskich kołach ogromne sprawiła wrażenie. Król dał młodemu autorowi pięćset skudów nagrody, a Ronsard uszczęśliwiony, że Francya wstąpiła w ślady Sofoklesów, śpiewał:

Jodelle, le premier, d'une plainte hardie
 Françoisement chanta la grecque tragedie,
 Puis, en changeant de ton, chanta devant nos rois
 La jeune comédie en langage françois,
 Et si bien les sonna, que Sophocle et Ménandre,
 Tant fussent-ils savants, y eussent pu apprendre.

Niestety ten wpływ starożytnych trwał za długo i szkodził narodowemu rozwojowi francuskiej dramatycznej poezji. Do najnowszych czasów błąkała się jeszcze tu i owdzie pseudoklasyczna ronsardowska poza po literaturze francuskiej. Były to resztki walezyuszowskiej epoki. Zresztą we wszystkich

działach literatury i nauki wpatrywano się tylko w starożytność; o średnich wiekach zapomniano, uważano wszelki objaw naukowy owych czasów za zabytek barbarzyństwa, nad którym nie warto się było zastanawiać. Szczęściem, że obok tych ideologów, chcących przeobrazić francuską literaturę w starożytne piśmiennictwo, byli prawdziwi uczeni, którzy starali się wprawdzie wskrzesić grecką i łacińską przeszłość, ale tylko pod względem naukowym i filozoficznym. Do nich należał Montaigne i wielce zasłużony drukarz Henri Estienne, którego wydawnictwa, a pomiędzy innymi: *Thesaurus graecae linguae*, stały się podstawą poważnych naukowych badań. Do tych Francuzów, którzy nie ulegli wpływowi greczyzny, należał mało znany Noel de Faël, Bretończyk, piszący pod pseudonimem Leona Ladulfi swe »Propos rustiques«. Drwił sobie z literatów, zapatrzonych tylko w starożytność, i mówił, że »nasi przodkowie może mniej silili się na krasomóstwo, aniżeli my, ale ich język był jaśniejszy i zrozumialszy«.

VII.

Wpływ kobiet na malarstwo francuskie z wyjątkiem w Fontainebleau nie zdaje się być wybitnym, tem bardziej, że do oceny tego wpływu brak nam dzisiaj dostatecznych materiałów. Mnóstwo fresków i obrazów z owych czasów uległo zniszczeniu i zaledwie portrety w większej liczbie się zachowały. Zabytkami niesłychanie cennymi w tej mierze są miniatury, a że każdy, ktokolwiek należał do wyższego świata, miał książkę do nabożeństwa, tak zwaną *Livre d'Heures*, ozdobioną miniaturami, więc ten dział malarstwa bardzo nam jest pomocny do zrozumienia ruchu artystycznego owych czasów.

Mianowicie utrzymały się dość liczne miniatury Jana Foucquet, malarza z Tours, który pomiędzy innymi illuminał dzieła Liviusza, Wergilego, Boccaccia »*De casibus virorum et feminarum*« i t. d. Ten ostatni cenny rękopis znajduje się w bibliotece monachijskiej. Był to największy malarz dawniejszej epoki; działał od r. 1450—1480, prawdziwy talent,

a późniejsi artyści, jak Bourdichon, Perréal i Clouet, bardzo dużo mu zawdzięczali.

Isabeau de Bavière miała dwóch ulubionych malarzy: Colart'a de Laon i Franciszka d'Orléans; na dworze protektora sztuki, duka de Berry, pracował Paul de Limbourg, którego »Heures«, znajdujące się w Chantilly, są nieocenionym zabytkiem. Był to realista, który z nadzwyczajną prawdą oddawał sceny z życia wiejskiego, jak np. Hallali na dzika, sianokosy, a tam, gdzie mógł podłożyć tło architektoniczne, jak na przykład w »siewcy za murami Luwru«, pozostawił nam najwierniejszy obraz gotyckich gmachów.

Pomiędzy kobietami, opiekującymi się artystami na przełomie XV. i XVI. wieku, pierwsze miejsce zajmuje Anna Bretonka, której »Livre d'Heures« zawiera prześliczne miniatury. Jean Bourdichon i Jean Perréal byli jej nadwornymi artystami. Późniejszy wpływ kobiecy objawił się przedewszystkiem w Fontainebleau, gdzie duchessa d'Etampes związała się z włoskimi artystami, aby usunąć szczerze francuskie malarstwo. Prócz tych artystów, opierających się więcej o tradycje burgundzkie, flamandzkie i starofrancuskie, jak Cloueci, jak Corneille de Lyon, malarstwo francuskie za późniejszych Walezyuszów nie wydało większych talentów.

Natomiast architektura doszła do wysokiego rozwoju i rzecz można, stała się przodowniczką ruchu artystycznego we Francji, do czego niemało się przyczyniła Katarzyna medycejska. Wprawdzie artyści budowniczy czerpali dużo pomysłów z Włoch, a Witruwiusz był im gwiazdą przewodnią, ale mieli zanadto świetną ojczystą przeszłość, aby się dać ujarzmić Grekom i Rzymianom. Jean Bullant, Philibert Delorme, Pierre Lescot, zostaną na zawsze pierwszorzędnymi artystami w dziejach europejskiej architektury, a wspaniałe zamki nad Loirą, pałac Louvru wokoło tak zwanego cour carrée, są do dziś dnia świadectwem polotu ich fantazyi, połączonej ze ścisłą rachubą. Z architekturą łączyła się rzeźba, której przewodzili Pierre Lescot, Goujon i Germain Pilou.

W rozwoju francuskiej sztuki epoki Walezyuszów nie małą rolę odegrało kobiernictwo, przeszczepione z Flandryi, którego głównymi środowiskami był Arras i Paryż, a z czasem

miało swe warsztaty w Fontainebleau, w Tours — i w innych miastach. Tutaj wpływ kobiet był wielki, a zamilowanie do arrasów tak się wzmogło, że w królewskich komnatach i w pałacach zamożnego rycerstwa często zmieniano dekorację ścian, gdyż naraz nie można było rozwiesić tego mnóstwa kobierców, które gromadzono z amatorstwa. Katarzyna medycejska namiętnie protegowała kobiernictwo; dla niej utkano sławną »Tapisserie d'Artémise« i mnóstwo innych arrasów o tematach mitologicznych.

Nie trzeba także zapomnieć o muzyce na dworze Walezyuszów, której głównymi protektorami była Katarzyna medycejska i Karol IX. Katarzyna urządziła u siebie kilka razy na tydzień koncerty, połączone najczęściej z tańcami, albo z formalnymi baletami, które zazwyczaj urządzali Włosi, jak wogóle najznakomitsi muzykanci na dworze Walezyuszów byli cudzoziemcy: Włosi, Flamandzi i Hiszpanie.

Powiadają, że kobiety dworu Katarzyny, mające wolny wstęp do komnat królowej, zastawały ją często płaczącą. Królowa jednak tak panowała nad sobą, że szybko zmieniała wyraz twarzy i kto jej dobrze nie znał, nie spostrzegł tych smutków, tych burz, które odgrywały się w jej duszy. I nie dziw; nawet tak zahartowana kobieta w pokrywaniu swych uczuć i swych namiętności musiała nieraz przechodzić w pamięci cały szereg tych tragedji, które cechowały jej życie. Gdy umierała w Blois, cofnęła się myślą w swe lata dziecinne, może jedynie szczęśliwe, i kogoś z otaczających ją Włochów pytała, czy jeszcze żyją niektóre z jej opiekunek i przyjaciółek zakonnic we florenckim klasztorze Murate. Chciała mieć w ostatniej chwili przyjemne wspomnienia.

Zajmując się dłużej epoką Walezyuszów, przychodzi mi mowoli na myśl powiedzenie lady Macbeth Szekspira, że wszystkie wonności Arabii nie potrafią przytłumić odoru krwi. Tak samo wszystkie brokaty, aksamity, koronki, złotolite hafty nie zdołają zasłonić zbrodni tej francusko-włoskiej dynastji.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

KILKA CHARAKTERÓW.

LEKARZ-MINORYTA.

I.

Taranem, który swym ciężarem, niby kowalskim młotem, tłukł dawne przesady, był Rabelais, autor »Gargantuy« i »Pantagruela«, fantastycznych powiastek, stanowiących do dziś dnia skarb europejskiej literatury. Ubogi mnich minoryta, nie mający jednak prócz habitu nic na sobie, co by go łączyło z zakonnikami, duch wolny, głęboki, śmiały, zrzucał pęta średniowieczne, walczył z zabobonem i dążył do czegoś lepszego, do odrodzenia społeczeństwa, do rozjaśnienia ciemnych głów.

Franciszek Rabelais był człowiekiem wielkiego wpływu na umysły w epoce, w której żył; za panowania peruk i haftowanych fraków zapomniany, w nowszych czasach wysoko ceniiony, stał na przelomie wieków, na przełęczu pomiędzy skostniałym już społeczeństwem średniowiecznym a nową kulturą szesnastego wieku. Dźwigał na sobie dużo, scholastykę, w której się wychował, starożytność, którą powoli poznawał, i cały ciężar idei nowych, dopiero kielkujących. W tym nawale rozmaitych przyzwyczajęń i wpływów rozpierał się łokciami, aby się z nich uwolnić, aby zostać samym sobą. Robił tak, powiada jeden z jego biografów, jak Pantagrueł, którego przywiązano do kolebki żelaznymi łańcuchami. Chciał przerwać pęta rękami, ale nie mógł się wyswobodzić; więc powstał z wysiłkiem, z koiyską na barkach i szedł, nie zważając na owe ciężary. Mnich

został filozofem, pisarzem zupełnie oryginalnym, olbrzymem wiedzy, którego ten i ów chciał naśladować, ale napróżno, bo Rabelais był umysłem tak dziwacznym, tak do innych niepodobnym, że kto chciał iść w ślad za nim, doszedł do karykatury.

Rabelais urodził się w prowincyi Touraine, w kraju, gdzie rosły dęby obok winogrodu, gdzie trzeba było tylko sięgnąć ręką, aby zrywać najsmaczniejsze owoce, i schylić się na pierwszą lepszą łąkę, chcąc pęk kwiatów przynieść swojej ukochanej. Ówczesna Francya była już bardzo bogatym krajem, miała więcej zboża, jak ludność potrzebowała; wywożono więc pszenicę do Hiszpanii, Portugalii, Anglii i Szwajcaryi. Pomimo, że Francuzi pili dużo wina, wystarczało jeszcze szlachetnego napoju, aby nim obdzielać sąsiednie kraje, a w Normandyi i Pikardyi wyrabiano sukna ze słynnej tam wełny. Szóstą część kraju zajmowały jeszcze lasy; pomimo to drzewo było droższe, jak w Wenecyi, bo król, jako właściciel prawie wszystkich lasów, ustanawiał cenę drzewa według swojej woli. Lud francuski był silny, zdrowy, mający na wszystko otwarte oczy, a z pomiędzy niego wyszedł Rabelais. Był z kolei piątym dzieckiem w niezamożnej rodzinie, w Chinon, posiadającej jednak winnicę, tak, że chłopak z mlekiem matki już zakosztował dobrego wina »vin pineau«. O rodzinie, o swem dzieciństwie prawie nic Rabelais nie pisał, miał się jednak urodzić w ostatnim dziesiątku lat piętnastego wieku, gdyż w r. 1510, kiedy książę Ferrary walczył ze srogim Juliuszem II., miał lat ośmnaście. Musiał się osłuchać dużo o Ludwiku XII., o dworze francuskim, gdyż królowie szczególnie upodobali sobie Touraine, a Walezyusze ciągle mieszkali to w Amboise, to w Blois, to później w Chambord. Wyniósł stamtąd uszanowanie dla królewskości, tak powszechne jeszcze wówczas we Francyi, i odblask wiary religijnego ludu. Z czasem został sceptykiem i karciał bałwochwalcze błędy i nawyczki.

Na naukę oddano młodego Tureńczyka do klasztoru w Baumatte, koło Angers, gdzie go ubrano we franciszkańską kutę, zawieszono u pasa wielki kałamarz i piórnik, i kazano się uczyć Donata, Facet'a i Alanus'a in parabolis. Korzyści z tej nauki nie było wiele, ale przynajmniej François umiał już czy-

tać, pisać i liznął trochę łaciny. Do domu nie było pogo wracać, winnica nie wystarczała na utrzymanie piątego dziecka; więc przywdział habit Franciszkanina «d'un cordelier».

Piętnaście lat spędził w klasztorze Fontenayle-Comte, najsmutniejszą epokę swego życia; ale wyniósł stamtąd olbrzymi zapas anegdot, nadzwyczajną znajomość mnichów i całego ich otoczenia, tych ludzi, którzy wstępując do klasztoru, bynajmniej nie mieli ascetycznych usposobień. Jedli, pili, śpiewali w chórze psalmy, nie rozumiejąc łaciny, bawili się grubemi żartami i udawali świętoszków, przynajmniej poza klasztorne murami. Była wprawdzie u franciszkanów biblioteka, ale zakonnicy nie chodzili tam z obawy przed szczy-pawkami, robactwem, którego się mnóstwo namnożyło pomiędzy starymi książkami. Zresztą przeor mawiał, że mnich uczony chybił swego powołania, i źle był widziany w klasztorze; czuć go było herezją.

Rabelais byłby się zresztą nie dał odstraszyć od książek owym robactwem, ale zraziły go do klasztornej biblioteki same arcynudne i arcynierozumiałe traktaty teologiczne, które najbardziej nawet pragnącego wiedzy młodzieńca mogły zniechęcić. Szczęściem biskup Estissac z Maillezais czytywał inne książki, a lubił Rabelais'go, więc mu pożyczał łacińskie, a nawet greckie dzieła. Wprawdzie język grecki, a przedewszystkiem hebrajski był wyklęty w zakonie; ponieważ jednak książki dla brata Rabelais'go przychodziły pod protektoratem dygnitarza kościelnego, więc Franciszkanie nie śmieli przeciw temu protestować i tylko spoglądali z ukosa na zakonnika-dziwaka i zgrzytali zębami, przepowiadając mu, że zginie na stosie. Natomiast d'Estissac był dumny ze swego adepta i zdaje się, że za jego pośrednictwem uzyskał Rabelais względy uczonego Wilhelma Budé, najznakomitszego hellenisty we Francyi, człowieka poważanego nawet na królewskim dworze.

Czując już trochę poparcia u ludzi wpływowych, postanowił Rabelais porzucić mury klasztorne i prowadzić życie zakonnego włóczęgi, jakich chodziło wielu po świecie przed koncylium w Trydencie. Karność klasztorna jeszcze była bardzo luźna; byle nie zostać heretykiem, to trochę awanturniczości nic nie szkodziło. Najwyżsi dygnitarze kościelni mieli

sobie pod względem obyczajów dużo do zarzucenia, więc byli wyrozumiali dla podobnych do siebie grzeszników.

Najprzód więc udał się Rabelais na dwór swego naukowego przyjaciela, biskupa z Maillezais, gdzie było wesoło, gdzie zresztą spotykało się ludzi uczonych i żyjących w wielkim świecie. Sam biskup nie lubił się wprawdzie zajmować publicznymi sprawami, ale natomiast zapamiętałym był ogrodnikiem, sprowadzał nowe gatunki gruszek z Włoch, liczne jarzyny i zioła. W klasztorze nauczył się Rabelais po grecku i hebrajsku; tutaj nadto zajęła go przyroda, został botanikiem.

Ale u biskupa była wprawdzie zielona i pachnąca kwiatami niewola, ale zawsze niewola. Postanowił więc zwiedzić francuskie uniwersytety, uczyć się i dążyć do czegoś, o czym jeszcze nie miał jasnego wyobrażenia. Szedł do Poitiers, do Bordeaux, do Tuluzy, gdzie się nauczył tańczyć i szermierki; ale tam długo nie przebywał, nieszczęście bowiem chciało, że właśnie w Tuluzie spalono na stosie miejskich rejentów za herezyę. To mu się nie podobało; zupełnie czystego sumienia wobec Sorbony nie miał, a zresztą sądził, że ma za gorącą krew, aby jeszcze z ogniem mieć do czynienia. Wędrował więc dalej; na wydziale prawa w Bourges uczył się Pandektów, które mu bardzo trafiały do rozumu i przekonania, a w Orleanie znowu inne znalazł sobie zajęcie. Tamtejsi studenci wybornie grali w piłkę; więc zapalił się do tej zabawy i sądził, że dobrze przerwać czasem studia, bo czytanie psuje oczy.

Dotąd nie zrobiły na nim francuskie uniwersytety wielkiego wrażenia; udał się zatem do Paryża. Tamtejszy uniwersytet liczył do 20.000 studentów, po większej części ubogich, mieszkających w bursach; ale Sorbona na każdym kroku przeszkadzała wolnemu rozwojowi nauk, palenie najniewinniejszych ludzi na stosie za herezyę należało do zwykłych »przyjemności« sorbońskich doktorów. Pomimo półmilionowej ludności, Paryż nie podobał się naszemu włóczędze; zamierzał uczyć się medycyny, ale przekonał się, że tam niewiele skorzysta. Postanowił pojechać do Montpellier, gdzie słynął fakultet medyczny.

Został lekarzem, bo czuł, że w tym zawodzie będzie mógł

być pożytecznym człowiekiem i że raz przecie oprze się na rzetelnem doświadczeniu, a zerwie z pustemi teoryami. Całą siłę swej inteligencji poświęcił nowemu zawodowi; najprzód leczył, nie mając doktorskiego dyplomu, podobnie jak owczarze w Pireneach, później postarał się o zatwierdzenie swego tytułu doktorskiego. Niemało miał trudności z anatomicznemi badaniami; istniało wszędzie przekonanie, że ciała ludzi zmarłych nie powinno się krajać pod piekielnemi karami, ponieważ na sądzie ostatecznym nie mogliby pokrajani biedacy stać się przed najwyższym sędzią; musianooby dopiero zbierać ich porozrzucane kości. W r. 1532 przybył Rabelais do Lyonu, do miasta wówczas najbardziej postępowego we Francyi, bliskiego Włoch i Genewy, gdzie uczył Kalwin i dokąd przedzierała się Reforma z Północy. W Lyonie udało się naszemu lekarzowi otrzymać ciało powieszzonego zbrodniarza do anatomicznych studyów, czem się jego uczniowie tak ucieszyli, że jeden z nich napisał wiersz łaciński, wyrażający radość straceńca, że przecie jego ciało przydało się na tak szlachetny użytek, jak chirurgiczne badania. Fakt ten nie podobał się jednak uczonym sorbońskim i Rabelais musiał się zobowiązać, że więcej nie da złego przykładu. W r. 1536 otrzymał wprawdzie brewem apostolskiem pozwolenie na wykonywanie praktyki lekarskiej, ale pod warunkiem, że nie będzie robił operacyi ostremi narzędziami na swych pacyentach.

W Lyonie tak źle mu się zaczęło powodzić, że postanowił przenieść się do Paryża; ale nie miał środków do opędzenia dalekiej podróży, wziął się więc na sposoby. Napelnił dwa słoiki popiołem i przylepił na nich kartki z napisami »Trucizna dla króla«, »Trucizna dla królowej«. Postarał się, aby zwierzchność znalazła te niebezpieczne proszki, wskutek czego wyprawiono go pod strażą wraz ze słoikami do Paryża. Tam się przekonano, że Rabelais zażartował z władz lyońskich, wypuszczono go więc na wolność. Podróż nie była wygodna, ale lekarz znalazł się w stolicy.

Rabelais zaczął pisać rozprawy lekarskie, komentarze do Galena i Hipokratesa i dużo innych broszur naukowych po łacinie, po francusku i po włosku. Czasami jednak rad był wypocząć i zabawić się w satyryka, pod płaszczykiem jakichś

niemożliwych historii pokazać światu ludzkie głupstwa, które go uderzyły w ciągu rozlicznych podróży w klasztorach, w uniwersytetach i na dworach książąt Kościoła. Urywkami, jakby od niechcenia, powstały niyto-powiastrki »Pantagruel« i »Gargantua«. Zapiski te uważał Rabelais za rzeczy, niegodne znakomitego pisarza, i mówił, że nie potrafi naśladować takich ludzi, jak Marot lub Saint-Gelais, że to za wysokie progi na jego nogi. Po wawrzyny gładkiego Petrarcki nie sięgał, z za-
błoconemi butami nie można było wchodzić do salonów wielkich pań, albo co więcej, uchylać królewskich podwoi. Przed oczyma stały mu jeszcze owe dziwołagi na gotyckich katedrach we Francji, gdzie kamieniarze, nie mogąc wprost wyśmiewać się z obzarstwa mnichów lub z biskupich romansów, umieszczali na dachach podobiznę swoich »dobrodziejów«, że im za robotę za mało płacili. Tym samorodnym artystom nie sniło się także równać się z Donatellami, a przecież stwarzali rzeźby wielce charakterystyczne i malujące czasy, w których żyli.

W podobny sposób, jak Rabelais, pisał i Erazm swe »Zwierciadło głupstwa«. Nudził się często, jadąc konno po świecie; więc robił notatki, które przetrwały inne jego dzieła. Sądził, że takie drobiazgi i spostrzeżenia mogą być nieraz pożyteczniejsze, aniżeli »pompatyczne« rozprawy, jeżeli natrafia na czytelnika z dobrym sensem w głowie.

U Rabelais'go łączył się z pisaniem Pantagruela i Gargantuy także interes pieniężny. Praktyka lekarska mało przynosiła, sonetów, które w salonach miały powodzenie, nie chciał i nie umiał pisać; więc układał historie do almanachów. Te popularne książeczki rozchodziły się pomiędzy średnimi i niższymi klasami ludności, przepowiadały deszcz i pogodę, wojny i morowe zarazy, ale zarazem zamieszczały opowiadania o olbrzymach i strasznych bohaterach. Ówczesni ludzie byli tak przyzwyczajeni do wojen, mordów, rozbojów, że trzeba ich było uderzyć jakby pałką w głowę, aby w nich obudzić interes. Luigi Pulci, jeszcze przed Rabelais'em, pokazał światu swego »Morgante maggiore«, który naraz z towarzyszem Marguttem zjadał na wieczerzę całego bawołu i niezmierną ilość chleba, sera i owoców, a zęby sobie wykluwał wyrwaną so-

sną. Giulio Romano malował prawie równocześnie w palazzo del Té w Mantui, w Sala de' giganti niepodobnych do prawdy olbrzymów. Bardzo być może, że Rabelais czytał epos Pulciego, który już się ukazał w r. 1482 i podobnie, jak Włoch, rozkochał się w tych nadzwyczajnościach. Ale Rabelais był głębszym umysłem, aniżeli Pulci; więc z grubą satyrą połączył walkę ze zgniłą przeszłością. W r. 1532 przerobił na swój sposób dawny romans popularny *«Les granderet inestinrables chroniques du grand et énorme géant Gargantua»* i umieścił go w almanachu. Książka miała nadzwyczajne powodzenie, a wydawca mówił, że w jednym miesiącu sprzedało się więcej tego almanachu, aniżeli biblii w dziewięciu latach. To zachęciło Rabelais'go do pisania dalszych romansów.

Życie nastęczało mu mnóstwo tematów; wspomnienia z dzieciństwa w Touraine, charaktery mnichów i anegdoty, które sobie bracia opowiadali przy stole, uginającym się pod baranieniami lub cielęciami pieczeniami i pod butlami czerwonego wina, stanowiły treść niewyczerpaną. Słyszał zresztą niejedno o królu, o Ludwiku XII., monarsze popularnym, lubianym w szerokich warstwach społeczeństwa i miał go może nieraz na myśli, tworząc swego Grandgousier. Wszystkie te spostrzeżenia spisywał z wrodzoną sobie werwą i dowcipem, ale nie myślał bynajmniej o napisaniu romansu, w którym bohaterowie muszą się ożenić albo pozabijać. Nasz franciszkanin układał sceny z życia tak, jak mu przyszły na myśl, opisał Pantagruela, zanim mu stworzył ojca Gargantuę. Tendencja tych opowieści, tych uwag nasunęła się sama z siebie; pisał to, co czuł, wyśmiewał i karmił to, co się nie zgadzało z jego przekonaniem. A w realizmie obrazów nie przebierał, podobnie jak ówczesni flamandzcy malarze.

Do poznania ludzi i świata przyczyniła się niemało przyjaźń z rodziną du Bellay. Guillaume du Bellay był znakomitym statystą, dzielnym żołnierzem, ale przede wszystkim nadzwyczaj zręcznym dyplomatą. Zajmował przez jakiś czas stanowisko wicekróla Piemontu, a Karol V. mawiał o nim, że to groźniejszy nieprzyjaciel, aniżeli cała armia francuska. Brat jego, kardynał Jan, równie zdolny, prowadził układy pomiędzy Francją, Anglią a papieżem celem utworzenia ligi prze-

ciw Karolowi V., i z tego powodu bywał często w drodze pomiędzy Paryżem, Londynem a Rzymem. W r. 1534 przyjął do swego towarzystwa Rabelais'go i tak polubił jego dowcip, zdrowy rozum i prawdomówność, że go we dwa lata później zabrał ze sobą do Rzymu. Kardynał utrzymywał, że Rabelais ma taki niespożyty humor, że rozmowa z nim może rozprószyć najczarniejszą melancholię. Stolica papieska i całe otoczenie najwyższej głowy chrześcijaństwa nie zrobiły na francuskim lekarzu zbyt sympatycznego wrażenia; osobliwie gniewało go, że Klemens VII., doznawszy tyle upokorzeń od Karola V., przyjmował go później jako tryumfatora z oznakami, uwłaczającemi papieskiej godności. Serce boli, powiada Rabelais, gdy się widzi zburzone kościoły i pałace z rozkazu Klemensa VII., aby tylko sprostować drogę wjazdową dla cesarza. A ten cesarz, to kolos z glinianemi nogami, ma, jak Panurgus, zawsze puste kieszenie, a gdy się zdaje zastanawiać nad losami świata, w rzeczywistości rozmyśla nad tem, jakby napęłnić swój skarb wyczerpany. Pożycza pieniędzy, gdzie może, a nigdy nie oddaje. Włoscy książęta, z wyjątkiem księcia Ferrary, nie mają zresztą pieniędzy. Jeden z biografów Rabelais'go pyta się dowcipnie, jakie wrażenie na naszym Francuzie mógł zrobić słynny »Pensiero« Michała Anioła we Florencyi, ta postać tak zamyślona i tak melancholijna? Rzecz prosta, odpowiedziałby Rabelais, Medyceusz myśli, w jaki sposób najłatwiej byłoby zapełnić złotem swe puste sakwy.

II.

Rabelais spostrzegał bystrym swym umysłem wszelki nadmiar głupoty, wiele przesądów, wiele zwyczajów i nabożów, przeciw którym trzeba było walczyć, uwolnić od nich społeczeństwo. Największymi wrogami zdrowego rozsądku były zakony, Sorbona i sędziowie w perukach. Te potężne instytucje robiły wszystko, co się dało, aby ogłupiać naród, terroryzować społeczeństwo w imię szlachetnych zresztą haseł, w imię religii, nauki i sprawiedliwości.

Nasz lekarz-minoryta idzie też przedewszystkiem z otwartą przyłbicą i podniesionym orężem na zgębienie tych, któ-

rych zna do gruntu, na zakonników. Pomiędzy nimi byli osobliwie franciszkanie, których się namnożyło bez liku i jeden drugiemu chleb wydierał. Rak ten toczył naród. Nieuctwo, zabobon, niemoralność zakorzeniły się w klasztornych murach; mówiono, że sam cień wieży franciszkańskiego kościoła zapładnia wszystkie kobiety wokoło. Dlatego też jedną z najwybitniejszych postaci w »Gargantui« jest brat Jan, doprowadzający ad absurdum wszystkie klasztorne przepisy, silny, zdrowy człowiek, któremu się sprzykrzyło udawać świętoszka i staje się tem, do czego go natura stworzyła, żołnierzem, zawadyką. O jakichś moralnych celach w walkach ówczesnego żołdactwa mowy niema; bili się, bo im się zdawało, że się bić powinni. Kilka pierników, które zabrano przekupniom, staje się powodem strasznych morderstw i okrucieństw. Brat Jan uważa rozłupanie głowy przeciwnikowi za czyn bohaterski, wszak za panowania Franciszka I. było zaledwie sześć lat wolnych od wojen. Wyrobiła się u ludzi pogarda życia, najzupełniejsza wyrozumiałość na zbrodnie i okrucieństwa. Hordy, do jakich brat Jan należał, szły bezładnie, rozwalają, niszczyły wszystko, co w drodze napotkały, nie oszczędzając ani ubogiego ani bogatego, uprowadzając za sobą woły, krowy, kury, ścinając drzewa orzechowe, niszcząc winnice, otrząsając wszystkie owoce z drzew. A co najbardziej uderzało Rabelais'go, to, że te hordy nie zważały nawet na morową zarazę; pragnąc łupów, wchodziły do domów, gdzie ludzie leżeli chorzy, a żaden z tych rozbójników nie umarł, podczas gdy lekarze, chirurdzy, księża padali zwykle ofiarą moru.

Brat Jan, który zresztą miał pewne pogodne strony charakteru i nie był większym okrutnikiem od innych, zamordował bez najmniejszego skrupułu łucznika w bitwie Pantagruela z olbrzymami. Łucznik powalony na ziemię prosił: »Panie przeorze, panie opacie, przyszły kardynale, daruj mi życie, oddaję się twej łasce«. — »A ja cię oddaję wszystkim djabłom« — odpowiedział mnich i jednym cięciem rozłupał głowę biedakowi.

Szlachetna postać w historyach Rabelais'go, Pantagruel, nie jest bynajmniej litościwszym od innych swoich towarzyszy; ci ludzie urodzili się i żyli w widoku krwi.

To zahartowanie się społeczeństwa w zbrodniach i rozbojach pociągało za sobą okrucieństwa wojen religijnych. Potrzeba było tylko jakiejś spornej idei religijnej, aby rozżarzyć dzikie namiętności i zrobić z ludzi większych okrutników, jak krwiożercze zwierzęta.

Rabelais jest przyjacielem walki, zwolennikiem prawie brutalnej siły; tak mu dokuczył ascetyzm. Jako lekarz, pogardza powolnym zabijaniem zdrowia i siły ludzkiej osobliwie u kobiet, woli, aby krew kipiała w człowieku, aniżeli przemieniała się w jakąś limfę i ludzkość degenerowała. Ponieważ ascetyzm zabija ciało, a scholastyka ogłupia umysł, więc Rabelais walczy przeciw tym dwom wynikom spaczonych średniowiecznych wyobrażeń. To się musiało podobać społeczeństwu, w którym palono na stosie ludzi za to, że przypadkowo zjedli mięso w piątek. A gniewa go ta hypokryzja tem bardziej, że zakonnicy z ambony nakładają pęta ludzkiej naturze, a po cichu napychają żołądki jedzeniem i piciem aż do pęknięcia.

A cóż dopiero mówić o ogłupianiu umysłów. Jest Rabelais zawziętym wrogiem teologów, rozkoszujących się w pustych subtelnosciach. Na jakimś prowincjonalnem koncyljum rozprawiano przez dziesięć tygodni o tem, czy »chimera może pożreć drugi stopień intencji!« Też tezy chyba nikt z rozsądnych umysłów nie zrozumie. Tomiści zastanawiali się nad tem, jakie jest właściwie ciało aniołów, dyalektycy zajmowali się kuchnią dyabłów. Wybornie też wyszydza Rabelais te »filozoficzne« rozprawy w dyspucie Pantagruela z angielskim uczonym Thaumaste'm, który przybył do Paryża, aby się przekonać o jego sławie. Obawiając się jednak Sorbony, postanawiają obydwu rozprawić o jakiejś filozoficznej kwestyi wobec wielkiego zgromadzenia, ale na miği, bo tylko oni potrafią rozumieć taką rozmowę. Zaperzają się, gestykują, a ta gimnastyka trwa dwie godziny, poczem zadowoleni z siebie przeciwnicy spokojnie się rozchodzą, aby się posilić w gospodzie. Cieszą się, że u głupców wywołali zdumienie, bo największa sztuka udawać, że się rozumie to, co się zrozumieć nie da. Publiczność wprawdzie nie miała wyobrażenia, o co przeciwnikom chodziło; ale temat musiał być bardzo ważny,

skoro rozprawiano z taką namiętnością. W podobny sposób wyśmiewa Rabelais adwokackie i sędziowskie walki. W paryskim sądzie toczy się jakiś proces pomiędzy dwoma przeciwnikami oddawna; nazbierało się tyle aktów, że zaledwie kilka mułów potrafi je unieść. Sędziowie jednak nie są w stanie wydać wyroku: tak zagmatwano prostą sprawę. Pantagruel doszedł już wówczas do sławy wielkiego prawnika; udają się więc do niego, aby rzecz rozstrzygnął. Podejmuje się on trudnego zadania; sędziowie i dwaj pieniacze przybywają do sali. Pantagruel zaczyna od tego, że każe wszystkie akta spalić, a następnie ma tak mądrą mowę, że wprawdzie nikt jej nie rozumie, ale całe zgromadzenie udaje, że wybornie pojęło, o co chodzi. Wyrok, który Pantagruel wydaje, taki sam stek słów bez sensu; ale sędziowie przyklaskują mądrymu orzeczeniu, a dwaj przeciwnicy także odchodzą zadowoleni. Więc sława Pantagruela urosła, bo rozstrzygnął jeden z najbardziej zawiłanych procesów, jakie zajmowały paryski trybunał. Ze straszną gwałtownością uderza Rabelais na izbę karną, gdzie siedzą potwory ludzkie w gronostajach; mają pazury, jak harpie, ręce zbroczone krwią, oczy iskrzące się, jak paszcze piekielne. Izbę tę nazwano „chambre ardente“, gdyż kto tam wszedł, został spalony.

Scholastyków wyśmiewa Rabelais w najzabawniejszy sposób, ich mniemaną uczoność, ich łacinę nie podobną do niczego. Gdy Gargantua żąda od Paryża, aby mu wydano dzwony wież tamtejszych, wychodzi ku niemu wysłannik miasta i zaczyna w ten sposób przemawiać do niego: „Ego sic argumentor. Omnis clocha clochabilis in clocherio clochando, clochans clochativo, clochare facit clochabiliter clochantes...“ Biedak nie wie, co dalej powiedzieć, krztusi się, mięsza najrozmaitsze niedorzeczności ze sobą, historję dzwonów z dziejami swego obuwia, a w końcu jest bardzo zadowolony, że się zdobył na tak mądrą oracyę.

Rabelais pisał swoje pierwsze księgi Pantagruela w latach 1530—1540, jeszcze przed koncylium trydenckiem (1545); jeszcze marzył o pogodzeniu nowych idei reformatorskich z zasadami rzymskiego Kościoła, sądził, że jego pisma będą miały rzeczywisty pożytek. Ze swych pobytów w Rzymie nie wy-

niósł dobrych wrażeń; wyzyskiwanie Francji przez Kuryę papieską bardzo go bolało, z niezwykłą śmiałością powstawał przeciw temu w przewybornym opisie podróży Pantagruela do kraju Papimanów, gdzie papieskie dekretalia doszły do boskiej czci. Dekretalia wyciągają z Francji do Rzymu corocznie czterysta dukatów i więcej, Francja stała się jedyną »żywi-
cielką« Kuryi rzymskiej.

Krytyki Rabelais'go jako tako mu uchodziły, dopóki miał możnych protektorów. Sorbona poruszała niebo i ziemię, aby zmiażdżyć niebezpiecznego przeciwnika; zarzucała mu ateizm, herezyę, a gdy wyszła trzecia księga Pantagruela pod pseudonimem Alcofribas'a Nasier, używano wszelkich środków, aby skłonić Franciszka I. do zakazania jej rozpowszechnienia. Król przeczytał inkryminowaną satyrę, a skłonny z natury do żartów i dobrego humoru, nie znalazł tam ani obrazy Boga ani króla, lecz owszem autor urósł wtedy w jego opinii. Zaczęto odtąd zaliczać go do tej plejady protegowanych przez monarchę pisarzy, jak Saint-Gelais, Marot, Ronsard i kilku innych.

Gdy jednak Franciszek I. umarł w marcu 1547, stosunki zupełnie się zmieniły; Rabelais bojąc się, aby go Sorbona na stos nie zaprowadziła, schronił się do Metz, który wtedy znajdował się pod panowaniem cesarskim. Satyryk był w bardzo przykrem położeniu materyalnym, pomimo że tam pełnił obowiązki miejskiego lekarza z płacą stu dwudziestu liwrów rocznie. Niedługo też wytrzymał na cesarskiem terytoryum i narażając życie, powrócił do Francji. Dla ludzi wolnomysłnych nastąpiły złe czasy; władzę objęli za Henryka II. Guizowie, rozumny kardynał de Bellay musiał wynieść się do Rzymu. Rabelais umiał jednak rozbroić przeciwników swoim południowo-francuskim dowcipem i humorem. Kardynał Odet de Chatillon, człowiek, nie należący do skrajnych fanatyków, wziął go pod opiekę, a nawet kardynał de Guise stał się dla dowcipnisia łaskawym. Dzięki protekcyom tych dwóch kardynałów nadano mu probostwo w Meudon, które przynosiło jakiś niewielki dochód, pomimo że nasz lekarz-pasterz zupełnie się o swoje owieczki nie troszczył.

Pisał dalej satyry, a nawet występował ostrzej, jak da-

wniej. Gdy w r. 1552 ukazała się czwarta księga Pantagruela, nieprzyjaciele autora, z Sorboną na czele, zawrzeni gniewem. Sorbona przeparała w parlamencie, że zawieszono sprzedaż tej broszury, dopóki król w tej mierze nie rozstrzygnie. Ale król przeciw nadziejom Sorbony pozwolił książkę sprzedawać. Było to ostatnie zwycięstwo Rabelais'go, bo autor umarł w r. 1553.

Przyjaciolom, którzy go przy śmierci otaczali, miał powiedzieć: »Idę poszukiwać tego wielkiego b y ć m o z e (peut-être), które się znajduje w sroczem gnieździe. Zasuńcie firankę, moje farsy się skończyły«.

III.

Nadzwyczaj charakterystycznym dla epoki przełomu średniowiecza ku Odrodzeniu we Francji jest styl Rabelais'go. Do czasów naszego mnicha-lekarza piśmienny język francuski cechował jeszcze brak giętkości; gruby, niewyroboty, mnóstwa wyrazów brakowało na nowe pojęcia. W porównaniu z językiem włoskim mowa francuska była jeszcze bardzo zafofana, ciążyły na niej średnie wieki. Rabelais to zrozumiał, brał się do tej poprawy często w sposób dziwaczny, ale jak się okazało, bardzo praktyczny. Gruntownie odczytany w starożytnej literaturze, starał się przyswoić mowie ojczystej słowa zastosowane z łaciny i stąd się tłumaczy, że w Gargantui i Pantagruelu spotykamy często na określenie jakiegoś pojęcia niemal cały słowniczek przeróżnych wyrazów, często wziętych z ludowej gwary, częścią przerobionych z łaciny. Dzisiaj zdaje się dziwną ta namiętność niepotrzebnego określenia pojęć w kilkudziesięciu nieraz synonimach, wówczas jednak wymagała tego potrzeba wzbogacenia języka. Rzecz też można, że Rabelais był twórcą nowszego piśmiennego języka francuskiego, który po nim jeszcze został wzbogacony i doprowadzony do wysokiej literackiej doskonałości.

Rabelais był z usposobienia wielkim realistą; ma on coś wspólnego z flamandzkim malarstwem, które nie obawiało się dotykać jak najpospolitszych scen z życia ludu, nie ociągało się wchodzić do zaniedbanych chat, do kuchni, do stajni,

aby tylko oddać życie takim, jakim było w istocie. Nasz lekarz-mnich postępował podobnie; niema wyrazu, któregoby nie wyciągał z najsprośniejszych scen pospolitego ludu, bo żał mu było, aby nawet ta brzydota, która urosła na ojczyściej ziemi, przypadła dla potomności. Zresztą nie godził się z ową tradycją dworskich poetów, którzy już wówczas wpadali w ckliwości i przesady językowe, będące później plagą francuskiej literatury. Chciał im przedstawić rzeczywistą prawdę, życie, jakim jest w istocie. Na dworach Franciszka I. i Henryka II. wyrabiała się już pewna pogarda ludu i tego, co w nim powstało, a nawet uczeni, jak np. Erazm roterdamski, uważali gwarę ludową za język, którego człowiek wyższego wykształcenia bez ujmy dla siebie używać nie powinien. Była to ta sama pogarda dla ludowej mowy, która wstrzymywała przez długi czas Petrarke lub Boccaccia od pisania po włosku. Rabelais pojął całą śmieszność i szkodliwość niewolniczego holdowania łacinie i wydał walkę tym zacofañcom, ośmieszając ich, że zamiast mówić ojczystym językiem, używają jakiejś dzikiej łaciny, którejby nie zrozumiał już nie Cyceron, ale prosty posługacz w kuchni Cezara.

Wogóle Rabelais instynktowo dążył do tego, co zresztą przyświecało wszystkim jasnym umysłom, do nieoddalania się od przyrody, od natury, ale przeciwnie odżywiania się w niej. Jak się już ludzie bardzo zabrudzą sztucznymi pomadami, pudrem i pachnidłami, trzeba, aby się wykąпали w czystej krynicznej wodzie; jak sobie wzrok osłabia patrzeniem na fabryczne kolory, muszą pójść do lasu lub na kwiecistą łąkę, aby oczy wyzdrowiały. Rabelais był lekarzem, więc lepiej, jak kto inny, rozumiał tę prawdę; chce człowieka zbadać do gruntu i nienawidzi wrogów natury, tych, którzy ją chcą sfalszować, przeinaczyć. Średniowieczny ascetyzm przyczynił się niemało do zeszczenia rasy galickiej, osobliwie do zmarnienia kobiet. Dość przypatrzeć się ówczesnym portretom kobiet klas wyższych, zastanowić się nad obrazami Cloueta i jego naśladowców, aby przyjść do przekonania, że wszystkie uniesienia dworskich poetów nad pięknnością kobiet klas wyższych we Francji nie zgadzały się z prawdą. Typ kobiet ucierpiał wskutek zbyt obcisłych gorsetów, bardzo czę-

stych postów, nie pozwalających się rozróżnić ciału w naturalne kształty. Nawet owa wyidealizowana Marya Stuart, urodzona z matki Francuzki, wychowana we Francji, nie była właściwie piękną, ale miała tylko pewien wdzięk w twarzy i miły uśmiech, który jej jednal wielbiciele. Jeżeli porównamy portrety ówczesnych Francuzek z podobiznami pań włoskich, łatwo spostrzeżemy, o ile wyżej co do piękności stały Włoszki. Rozsądek włoski i lepsza znajomość Rzymu nie dały się do tego stopnia rozróżnić szkodliwemu fanatyzmowi, co nad Sekwaną.

U Rabelais'go może jeszcze więcej, jak u włoskich pisarzy Odrodzenia, występuje owa, od starożytnych filozofów przyjęta zasada doprowadzenia harmonii pomiędzy ciałem a duszą i to dążenie stawiało go w przeciwieństwie do średniowiecznych pojęć, których celem było poddać ciało pod zupełne panowanie ducha. Był on tak samo przeciwnikiem teoretycznej religii Kalwina, jak i wrogiem ascetów. Chwilowo nawet, przed rokiem 1534, kiedy Kalwin nie wystąpił jeszcze z całą oschłością i surowością swej nauki, widać było u Rabelais'go pewne sympatyje dla młodego zapaleńca i jego nauki; ale już później lekarz-filozof zupełnie się od niego odwrócił. Rabelais i Kalwin stali na dwóch przeciwnych biegunach, pomimo że autor Pantagruela był szczerym stronnikiem reformy kościoła katolickiego, którą uważał za konieczną. Człowiek praktyczny, obyty w społeczeństwie, nie miał jednak ochoty wchodzić na drogi fanatyzmu i mawiał, że jego nauka tam się kończy, gdzie kat Sorbony grozi narzędziami tortur. Zresztą każdy fanatyzm był mu wstrętnym, bo się sprzeciwiał wolności w życiu. Na wstępie do owego klasztoru, który Rabelais sobie wymyślił, było napisane, że tutaj panuje swoboda.

Piotr Boulanger poświęcił w dziele *„Hippocratis Aphorismorum Paraphrasis poetica (Parisiis 1587) „Rabelais'mu następujące Epitaphium:*

Epitaphe de François Rabelais
Médecin tres-savant et tres-facétieux.

»Pod tym kamieniem spoczywa najznakomitszy facecyonista. Będzie on zagadką dla potomności; każdy ze współczesnych znał tego dowcipnisa, lubiano go powszechnie. Być może, że potomność zechce w nim widzieć błazna, który sypał dowcipami, aby mu dano dobrą wieczerzę. O nie! nie był on ani błaznem ani szarlatanem, ale człowiekiem, który dzięki nadzwyczajnej przenikliwości swego umysłu spostrzegał ludzkie śmieszności.«

CONNETABLE DE MONTMORENCY.

Anne de Montmorency, to jedno z najgłośniejszych nazwisk za Franciszka I., a jeszcze więcej za Henryka II. W dwudziestym dziewiątym roku życia marszałek Francyi, przyjaciel i potężny minister tych dwóch królów, ambasador w Rzymie i w Anglii, wreszcie duc i connetable.

Majątek miał niezmierny, przeszło dwadzieścia lennictw, oprócz tych kluczków, które po ojcu odziedziczył. A przy każdej sposobności nabywał nowe ziemie i zamki, częściej nieuczciwie, jak uczciwie. Jeżeli ktoś z ludzi zamożnych pragnął otrzymać jaki urząd, udawał się do connetabla z workiem pełnym złota lub klejnotów. Sire de Chateaubriant odstąpił Montmorencemu część swoich dóbr za to, że mu tenże wyrobił kolaną do jakiegoś orderu. Ba, nawet chcąc wygrać proces, korzystano z wpływów connetabla. Montmorency nie odznaczał się zresztą ani nadzwyczajnymi talentami, ani nawet był znakomitym wodzem lub dyplomata, wiernie jednak stał przy królu; charakter twardy, despotyczny, narzucał nawet często swą wolę monarsze. Tem się Franciszkowi I. naraził i król go w ostatnich latach swego panowania od siebie odsunął, natomiast connetable zupełnie opanował Henryka II., do czego niemało się przyczyniła Diana de Poitiers. Cała Francya go się bała, bo był gburem, mściwym i niełatwym w pożyciu.

Gdy się zbliżamy do Chantilly, postać tego magnata naj-

wyraźniej się nam rysuje; on wystawił tam całą grupę zamków, z których do dziś dnia część tylko pozostała. A tak był dumnym, że w tamtejszym kościele sam tylko chciał spocząć z rodziną; oficjalistów i służbę chowano w pobliskiej gminie, w Saint-Firmin. Zamek w Chantilly jeszcze mu nie wystarczał; wybudował drugą wspaniałą rezydencję w Écouen, na wzgórzu, panującym nad doliną d'Oise, a w samym Paryżu miał jeszcze cztery hotele w dzielnicy Saint-Antoine.

O książkowe wykształcenie nikt go nie posądzał, ale będąc we Włoszech, wyrobił sobie smak artystyczny, który mu zapewnił pamięć u potomności. Protęgował najznakomitszych współczesnych architektów, malarzy, rzeźbiarzy i zapełnił swe zamki, kościoły okoliczne i paryskie hotele dziełami sztuki. Do artystycznego blasku epoki Walezyuszów niemało się przyczynił, jak wogóle zanadto się pod tym względem podnosi dynastję, podczas gdy prywatne rody, zachęczone prądem artystycznym, idącym z Włoch, służyły za potężne filary Odrodzenia we Francji.

Najznakomitszem dziełem architektonicznym, powstałem pod wpływem connetabla, był zamek w Écouen, w znacznej części istniejący jeszcze do dziś dnia. Jest to duży kwadrat pałaców, oprawiony, że tak powiem, po rogach czterema wspaniałymi pawillonami. W jednym z nich istniała kaplica zamkowa. Budowniczym był Bullant, młody jeszcze artysta, który później stał się głośnym na całą Francję, osobliwie gdy Philibert Delorme wybrał go do pomocy przy budowie Tuileriesów.

Do kaplicy, urządzonej z nadzwyczajnym przepychem, zamówił Montmorency u Marka d'Oggione trochę zmniejszoną kopię wieczerzy Pańskiej Leonarda da Vinci, znajdującą się dzisiaj w Luwrze. Również do skarbów kaplicy należało dwa namię scen męki Pańskiej, skopiowanych z obrazów Alberta Dürera w emalii, przechowanych także w Luwrze. Niepodobna zresztą wyliczać wszystkich skarbów artystycznych, które zdobiły zamek i kaplicę; podnieść tylko trzeba przesłiczne malowidła na szkle, grisailles, które badacze przypisują Bernardowi Palissy w czasach, kiedy słynny garncarz jeszcze się zajmował malowaniem na szkle. Connetable protegował Palis-

sego, poznał się wcześniej na jego talencie, a nawet kosztem Montmorencego miała być w części urządzona pracownia artysty w Saintes. Connetable nienawidził wprawdzie hugenotów; tam jednak, gdzie chodziło o jego korzyść albo o jego artystyczne upodobania, umiał ich protegować.

Montmorency lubił uwieczniać się w obrazach i rzeźbach. Już u wejścia do zamku w Écouen widać postać właściciela na koniu, a w ornamentach wszędzie spotyka się jego emblematy. Najczęściej powtarza się monogram z liter A. M. z mieczem przecinającym literę A. W muzeum w Cluny jeszcze zachowało się do dziś pięknie malowane paneau z tym monogramem we środku.

Może najpiękniejsze dzieło, jakie wyszło z pracowni Leonarda Limousina, zawdzięczamy zamiłowaniu connetabla do uwieczniania się w portretach. Jest to ów przesłiczny portret, w emalii zrobiony w r. 1556, podziwiany w zbiorach Luwru.

Connetable rozmiłował się w ceramice i z tego powodu wyszczególniał Palissego. Będąc za młodu we Włoszech, zamówił dla siebie (1535) serwis w słynnej fabryce fajansów w Urbino, ozdobiony herbami Montmorency; później cenił nadzwyczaj fajanse z Oiron, które przez długi czas nazywano fajansami Henryka II.

Montmorency posiadał zresztą talent zbierania takich dzieł sztuki, które go nic nie kosztowały; ajenci dyplomatyczni Francji, chcąc się przypodobać connetablowi, przysyłali mu obrazy i marmury z Włoch, co niesłychanie wzbogacało jego zbiory. Zdaje się, że tej usłużności dyplomatów zawdzięczał „Niewolników” Michała Anioła, znajdujących się także w Luwrze. Ale nietylko Europa musiała się przyczyniać do wzbogacenia connetabla; Arabowie z Marokku obdarzali go sokolami, które szczególnie umieli zaprawiać do polowania, tudzież przesłicznymi chartami; sułtan Soliman i sławny korsarz Barbarossa darowali mu cenne wschodnie kobierce i wyszukaną broń. Osobliwie w Chantilly miał Montmorency olbrzymi zbiór najrzadszej broni.

Co dziwniejsza, ten człowiek, który niewiele miał wyobrażenia o naukowej działalności swego narodu, z namiętnością zbierał starożytne rękopisy. W tej mierze był mu pomo-

cnym sekretarz d'Ardois, najzupełniej oddany swemu panu, któremu służył także za lektora. Z biblioteki connetabla w Chantilly zachowało się jeszcze cokolwiek dzieł, wyróżniających się wśród innych ówczesnych bibliotecznych zbiorów śliczną oprawą z herbami Montmorency. Idąc za zwyczajem, kazał sobie connetable także ozdobić swój »livre d'heures« cennymi miniaturami.

Laborde w jednym ze swych dzieł¹⁾ opisuje piękny półmisek Leonarda Limousin, który wówczas znajdował się w Anglii. Artysta przedstawił tam według Rafaela »Uctę bogów«. Głowy jednak są zmienione: Jowisz ma rysy Henryka II., w Wenerze poznać można Dianę de Poitiers, a Mars jest portretem connetabla. Ponieważ półmisek był przeznaczony dla Diany, więc przyzwoitość nakazywała, aby się w tym bukietcie znalazła także królowa Katarzyna. Figuruje tam jako Junona.

Zabytek ten sztuki Limousina jest nieocenionym historycznym dokumentem; trójca rządząca wtedy Francją jest w nim zachowana: Henryk II., Diana i connetable. Jego stosunki z Dianą i królewską rodziną były rozliczne. Ojciec connetabla, Guillaume de Montmorency, cieszył się wielkimi łaskami Luizy sabaudzkiej, matki Franciszka I.; connetable ożenił się w r. 1526 z córką bastarda sabaudzkiego, René de Savoie, hrabiego de Villars i Tende. Wogóle wielcy panowie ówczesni mieli sobie za zaszczyt żenić się z nieślubnymi córkami monarchów. Anne de Montmorency żył dobrze z tą żoną i miał z nią liczne potomstwo, pięciu synów i siedm córek, co go może po części zachęcało do ożenienia swego syna z Dianą de France, córką legitymowaną Henryka II. i podobno Diany de Poitiers. To małżeństwo jeszcze bardziej ścieśniało węzły przyjaźni i wzajemnych interesów, jakie łączyły Montmorency z duchessą.

Connetable umarł w r. 1567, odniósłszy kilka ciężkich ran w bitwie pod Saint-Denis. Gdy spowiednik franciszkanin napominał go, aby przykładnie kończył życie, Montmorency z dumą odpowiedział: »Czy sądzisz, że dobrze żyjąc blisko

¹⁾ Notice des emaux du Louvre. 1-re partie p. 190.

ośmdziesiąt lat, nie potrafię tak samo umierać przez kwadrans godziny?»

Ciało connetabla spoczęło w kościele w Montmorency. Wspaniały grobowiec został zniszczony w ciągu wieków i tylko postacie zmarłego i jego żony dłuta Bartłomieja Prieur'a, jednego z najznakomitszych rzeźbiarzy końca XVI. wieku, znajdują się w Luwrze w salach Odrodzenia. Serce connetabla złożone zostało w kościele celestynów w Paryżu obok serca Henryka II.

JEAN GOUJON.

Stojąc w Rouen, w katedrze przed pomnikiem Ludwika i Piotra de Brézé, lub przypatrując się w przepysznie ozdobionej bramie kościoła Saint-Maclou, żal wyjeżdżać z tego zaczerpniętego miasta francuskiej rzeźby. Tam się nabiera sympatii do Diany de Poitiers i odpuszcza się jej wszelakie miłosne grzechy. Rzecz można, że ona swym wyborem takich dwóch mistrzów, jak Philibert Delorme i Jean Goujon, przyczyniła się pośrednio do wielkiego rozwoju francuskiej rzeźby za Walezyszów, a mianowicie za Henryka III.

W Rouen to jeszcze młody Jean Goujon. Tam się urodził około 1510 i tam się jego talent rozwinął. Nazywano go »tailleur de pierre et maçon«, ale niebawem będą o nim pisać jako o rzeźbiarzu wielkiego rozgłosu »sculpteur de grand bruit«. Diana de Poitiers już o nim wiedziała, powierzając mu kompozycję i wykonanie grobowca dla swego męża. Wyszło też dzieło niezmiernego uroku, w którym znać jeszcze wpływ gotyku, ale zwyciężonego już ideami Odrodzenia. Goujon pracował w swem rodzinnem mieście od r. 1540—1541, a zapewne i dawniej. W pomniku Brezego zespolił tę charakterystykę francuskich artystów, bezwzględne zlanie się architektury z rzeźbą. W budowie architektonicznej, już ściśle renesansowej, znalazło się miejsce na wspaniałą postać rycerza w zbroi na koniu i na zmarłego męża Diany. Była to epoka, kiedy

rzeźbiarze ze szczególnem upodobaniem umieszczali na grobowcach żyjącego i zmarłego bohatera, którego pamięć uwiecznić chcieli. Zapewne i Goujonowi, przynajmniej z rysunków, znany był, wykonany już wcześniej Chrystus Holbeina w Bazylei, to arcydzieło naturalistycznej rzeźby. Ciało Ludwika de Brézé nie jest bynajmniej naśladownictwem Holbeina, ale prawie się równa artystyczną wartością z dziełem niemieckiego mistrza.

Ale sława Goujona rozeszła się szybko na całą Francję, bo zawezwano go w r. 1541 do Paryża do współpracownictwa nad tak zwanem »jubé«, pulpitem w kościele Saint-Germain-d'Auxerrois (1541—1544), którego Pierre Lescot był architektem. Kapituła tego kościoła, podobna do wielu innych opiekunów skarbów artystycznych, kazała w XVIII. w. zniszczyć ten pulpit i tylko płaskorzeźby Goujona zostały uratowane i znajdują się teraz w Luwrze. Lescot był już najślawniejszym architektem około nowej siedziby królów francuskich budowy Luwru.

Paryż i zetknięcie się z artystami, jak Rossi i cała szkoła z Fontainebleau, nie została na Goujona bez wpływu.

Nie powiem, żeby Goujon się zwłoszczył, bo na to był za potężnym talentem, ale złagodniał, zatracił w sobie zupełnie tradycje gotyku, stworzył najczystszy francuski renesans w rzeźbie, który miał już wpływ na dalszy rozwój francuskiej sztuki. Niebezpieczeństwo zupełnego poddania się klasycznym wzorom było wielkie. Primaticcio przywiózł w r. 1541 z Rzymu całą kolekcję odlewów rzeźb starożytnych, które się stały bardzo popularnemi pomiędzy rzeźbiarzami. Nawet Palissy się skarżył, że cała Gaskonia i okoliczne miasta są pełne tych figur z terrakoty, które sprzedają na jarmarkach za tanie pieniądze, co bardzo szkodzi rodzimym talentom. Trochę później, w r. 1545 rozpoczął Du Cerceau swe olbrzymie wydawnictwo nietylko rycin i planów, zdjętych z rzymskich budowli, ale nawet szczegółów architektonicznych i rzeźbiarskich, portyków, kolumn, rozmaitych bóstw mitologicznych, faunów, satyrów. Czego nie rozpowszechniły te wzory, to się znalazło w tablicach, które setkami wydawał Lafreri w Rzymie, a na-

stepnie i kilku innych Włochów, gdyż podobne wydawnictwa miały wielki pokup.

Nie dziw też, że i Goujon, przybywszy do Paryża, uległ temu wpływowi, ale zawsze jeszcze zachował dużo oryginalności. Reminiscencye jednak gotyku zupełnie znikły w jego dziełach. W r. 1549, 16. czerwca, miał przybyć Henryk II. do Paryża; główny wówczas paryski architekt Lescot, budowniczy Luwru, polecił Goujonowi, aby ozdobił płaskorzeźbami loggię, rodzaj trybuny, opartej o róg ulicy aux Fers i rue Saint-Denis. Nasz rzeźbiarz poświęcił tę loggię nimfom źródeł i rzek i stosownie do tego ozdobił ją pięcioma postaciami kobiet, niosącemi wazy, z których tryskają strumienie wody. Te nimfy, znane pod nazwą »Fontaines des Innocents«, a w części przechowane w Luwrze, są może najpiękniejszymi i najbardziej francuskimi postaciami, jakie stworzył Goujon. Te smukłe, pełne wdzięku, w swych ruchach skończenie piękne kobiety, były czemś nowem w rzeźbie francuskiej, wprowadziły typ, który, nie powiem, aby zupełnie odpowiadał ówczesnemu typowi Francuzek, ale go nadzwyczaj uszlachetniał. Z Francuzek zrobił Goujon Greczynki, ale dodał im wdzięk kobiet francuskich. Wdzięk tych kobiet pozostał dziedzictwem francuskich artystów, a osobliwie rzeźbiarzy, którzy w późniejszych czasach, modelując postaci kobiet, często w nimfach Goujona szukali dla siebie natchnienia. Nawet Houdon wrócił jeszcze w XVIII. wieku w swej *Dianie* do typu, wprowadzonego do rzeźby francuskiej przez Goujona. *Duchessa de Valentinois*, ozdabiając swój zamek w Anet, zaważała także paryskiego mistrza. Wykonał on tam sławną grupę *Diany*, opartej o leżącego jelenia, przy którym spokojnie dwa psy spoczywają. Owa *Diana* ma o tyle wyższość nad płaskorzeźbami w *fontaine des Innocents*, że przedstawia zupełnie obnażoną postać kobiecą w najwytworniejszych jej kształtach. Goujon spotkał się w Anet z pracami *Benvenuto Celliniego*, a nawet po części przejął się *Dianą* włoskiego mistrza. Przyznać jednak trzeba, że przewyższył Włocha, zbliżył się więcej do natury i pozbył się tej przesady w idealizowaniu kobiecych kształtów, którą spostrzec można tak w *Dianie Celliniego*, jak w jego wiedeńskiej *solniczce*.

Z Anet wrócił Goujon do Luwru, gdzie wykonał mnóstwo płaskorzeźb i owe wielkiej szlachetności karyatydy, zdobiące dzisiaj zbiory Luwru. W ornamentach fryzów, korniszów, podziwiać trzeba jego fantazyę, która mu się nie pozwala powtarzać w motywach, tudzież niesłychany wdzięk w układaniu draperyi szat kobiecych. Karyatydy Luwru są niedoścignionym tego przykładem. Nadzwyczaj poważnem dziełem Goujona jest grobowa statua admirała Chabot, także w Luwrze przechowana.

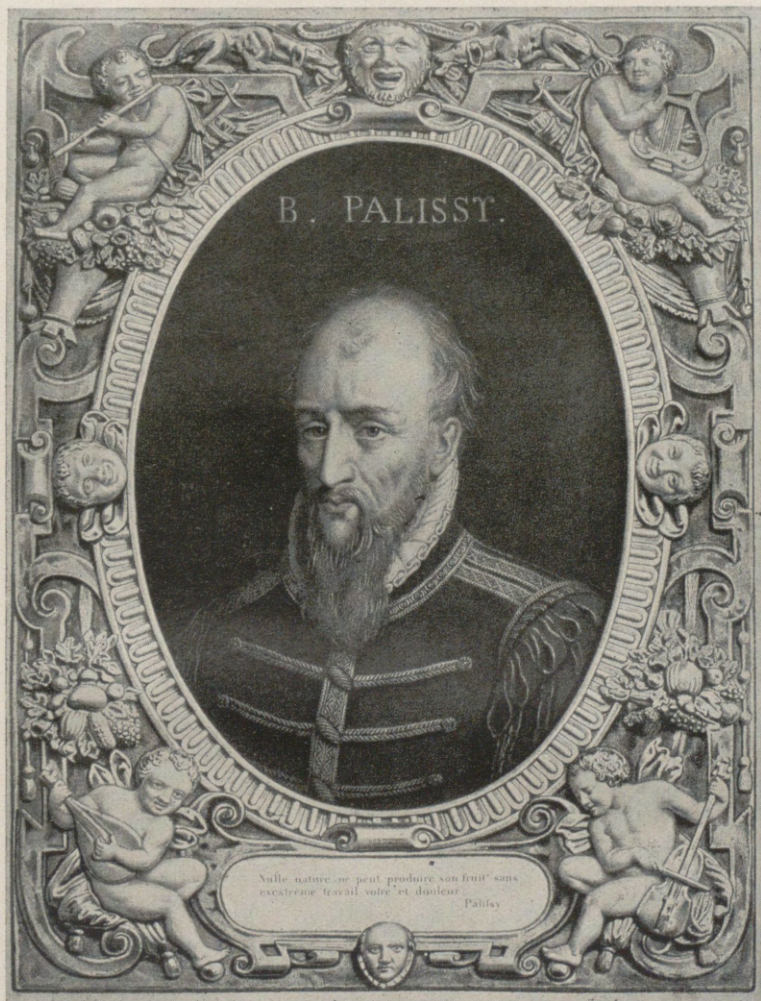
Goujon miał ogromny wpływ na współczesnych rzeźbiarzy francuskich, do których należeli Ponce, Dominik Florentin i Germain Pilou, który wszakże większym od Goujona był realistą.

Nazwisko Goujona łączy się ściśle z nazwiskiem architekty Piotra Lescot'a, któremu Franciszek I. w r. 1546 powierzył przekształcenie Luwru w wielką monarszą siedzibę. Pierre Lescot pochodził z wysoko położonej mieszczańsko-biurokratycznej rodziny w Paryżu, z tak zwanej »noblesse de robe«. Zasiadał w kapitule Notre-Dame de Paris i aż do końca życia prowadził prace wspaniałego pałacu. Po nim objął prace Baptiste Androuet du Cerceau. Ronsard poświęca Lescotowi kilka wierszy, temu artyście, »którego nazwisko aż do gwiazd dochodzi«.

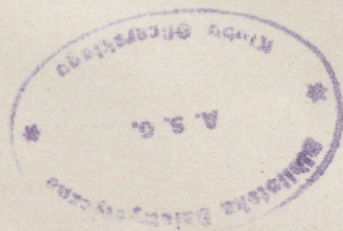
Toi, Lescot, dont le nan jusqu'aux astres vole.

Goujon pomimo swego talentu, pomimo zasług, jakie położył w dekoracyi Luwru i opieki takich potęg, jak Diana de Poitiers i connetable de Montmorency, musiał ulec religijnej nienawiści. Był protestantem. Uwięziono go w r. 1555 w Étampes, skąd znowu powrócił do Luwru, ale ostatecznie w r. 1562 znika jego nazwisko we Francyi; być może, że za nadto otwarcie wyznawał swe religijne zasady. Dopiero później słyszymy o nim w Modenie, gdzie stawał jako świadek w jakimś procesie o herezyę przed trybunałem inkwizycyi. Umarł pomiędzy rokiem 1564 i 1568.

Nieszczęsne walki religijne pozbawiały Francję jej najznakomitszych synów.



Bernard Palissy.



BERNARD PALISSY.

W r. 1588 wrzuciła Liga Bernarda Palissego do więzień w Bastylli, ponieważ nie chciał się wyprzec protestantyzmu. Henryk III., który go znał oddawna i bardzo cenił jako artystę, bo Palissy od lat czterdziestu pięciu pracował dla królowej Katarzyny i jej synów, przyszedł do niego, aby go skłonić do przejścia na katolicyzm, gdyż inaczej będzie nazajutrz spalony na stosie. »Jestem zmuszony oddać cię w ręce moich nieprzyjaciół, jeżeli się nie nawrócisz«. »Sire, odpowiedział starzec, jestem gotów oddać życie za sławę Wszechmocnego. Kilka razy słyszałem z Twoich ust, królu, że masz litość nade mną, a ja się lituję nad tobą, Sire, żeś mógł powiedzieć to słowo: »Jestem zmuszony«. Tak król nie powinien mówić; ci, którzy Ciebie zmuszają, stronnicy Guiza i cały Twój naród, nie mają siły nademną, bo ja umiem umierać«.

To był Palissy, człowiek głębokich przekonań, charakter nieskazitelny, wielki uczoney i artysta. Znakomity pisarz, chemik, fizyk, geolog, który odkrył zasady geologii, mineralogii, a przedewszystkiem hydrostatyki na sto pięćdziesiąt lat pierwej, zanim te nauki były znane, był samoukiem, a gdy któryś z jego przyjaciół zauważył, że nie niema dobrego, czegoby już Rzymianie nie odkryli, odpowiedział Palissy, że jedyne książki, które ceni, to niebo i ziemia. W nich czytał i został jednym z największych przyrodników w czasach Odrodzenia, a jego nazwisko jest nierozdzielnie złączone z nazwiskiem Buffona, Fontenella, Cuviera. Buffon pisał o nim, że tak wielkiego fizyka mogła wykształcić tylko sama przyroda.

Palissy urodził się zapewne w r. 1499 w dyecezyi d'Agen, w skromnej rodzinie mieszczańskiej. Być może, że się uczył w jakiejś wiejskiej szkole, a następnie został geometrą mierzniczym, włączył się po Gaskonii, po Béarn, a podobno bywał i w Niemczech, zanim osiadł w Saintes, gdzie przyjął w r. 1546 naukę Kalwina i odrazu stał się jej bardzo gorącym zwolennikiem. To mu nie przeszkadzało, że gdzie mógł, badał przyrodę, osobliwie zajmowały go pokłady gór w Pireneach,

brzegi oceanu, gdzie zbierał muszle, przyglądał się rybom i życiu morskich potworów. Zajmowało go wszystko, co było w ziemi, a gdy pewnego razu znalazł skorupę z barwnej emaliowanej czary, nie miał już spokoju. Ta emalia i jej barwy stały się prawie jego ideą fixe, aby doprowadzić ceramikę do takiej doskonałości.

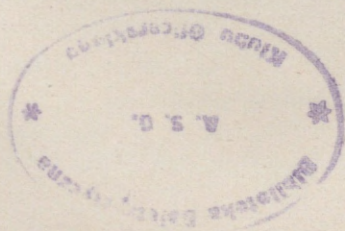
W r. 1539 pojął żonę i bezustannie zajmował się nowym ruchem religijnym; zaczął studyować Pismo święte, a nawet jeden z pierwszych zgromadził około siebie małe kółko przyjaciół, gdzie odczytywano słowo Boże. Ale Sorbona już i w tak małym miasteczku, jak Saintes, czuwała i zamierzała uwięzić Palissego. Czując się niewinnym, poszedł nasz garncarz do sądu, chciał się usprawiedliwić, ale nie znalazłszy tam posłuchu, udał się do duchowieństwa, sądząc, że księża lepiej go zrozumieją. Rezultatem tych zabiegów było, że go uwięziono i oddano świeckiej władzy, co się równało śmierci.

Szczęściem, że się o tem dowiedziała Anna de Parthenay, siostra pana de Soubise, zagorzała hugenotka, która stała na czele protestantów w okolicy. Swemi możnemi wpływami starała się ich ochraniać, ale się jej to nie zawsze udawało, bo już ludność zanadto była na hugenotów rozjątrzona. Katolickie dzieci walczyły po ulicach z dziećmi nowatorów. Prokurator fiskalny kazał uwięzić wszystkich protestantów, a pomiędzy nimi i Palissego. Wtedy Anna de Parthenay i cała rodzina Soubise poruszyła wszystkie sprężyny, aby go uwolnić. Ale sędziowie w Saintes obawiali się ludności; chcąc więc dogodzić możnej rodzinie, a ochronić się przed wzburzonym tłumem, kazali Palissego w nocy odwieźć do Bordeaux, aby tam był sądzony przez parlament. To było wszakże dla Palissego jeszcze większe niebezpieczeństwo, bo parlament w Bordeaux skazywał na śmierć prawie bez wyjątku wszystkich hugenotów.

Na szczęście przybył tam wielki connetable, Anne de Montmorency, którego wszystko zajmowało, co tylko miało ze sztuką jakąkolwiek styczność. Powiedziano mu, że Palissy robi doświadczenia co do polewy fajansów, że maluje nawet obrazy, a przekonawszy się o jego niepospolitym talencie, postanowił go uwolnić ze szponów »sprawiedliwości« i zabrać



Pótmisek Bernarda Palissy.





Waza Bernarda Palissy.



do Paryża, gdzie królową Katarzynę dla niego pozyskał. Wkrótce wyrobił mu brevet »d'inventeur des rustiques figurines du roi«.

Karyera była zrobiona; garnarczowi dano pracownię w Luwrze. Katarzynie bardzo się podobały jego fajanse, zamawiano i kupowano u niego owe półmiski z żabami, węzami i morskiem dziwactwem. Królowa użyła go do ozdobienia grotty w ogrodzie w Tuileries; zwano go powszechnie w Paryżu Bernard de Tuilleries, a ponieważ miał dużo roboty, więc pomagali mu w pracach synowie Nicolas i Mathurin Palissy. Protekcyi Katarzyny zawdzięczał, że uniknął śmierci w nocy św. Bartłomieja; ale gdy później Liga się rozwieliła, wrzucono go już, jako osmdziesięcioletniego starca, do Bastylli, gdzie go Henryk III. w tak niefortunny sposób odwiedził.

Przepowiednię króla o tyle się nie spełniła, że Palissego nie spalono na stosie; ale nie chcąc robić nieprzyjemnego rozgłosu, umorzono go głodem w więzieniu, a ciało wyrzucono na wały Bastylli, gdzie je psy pożarły. To był koniec wielkiego człowieka, jednego z najpotężniejszych umysłów francuskiego Odrodzenia, człowieka spokojnej pracy. Było to w r. 1590. Widocznie wieść o jego śmierci rozeszła się po Paryżu, gdyż w kilka dni później ciotka Palissego poszła do Bastylli zapytać się o jego zdrowie. Naczelnik więzienia szorstko odpowiedział, że jeżeli go chce zobaczyć, niech idzie na wały, gdzie go zobaczy z psami, godnymi siebie towarzyszami.

Do jakiego stopnia zepsucie obyczajów doszło u Walezyszów, przechodzi wszelkie pojęcie; dość powiedzieć, że Henryk III. wysłał raz swego dworzaniina, p. de Maulevoier do dwóch siostr Palissego, bardzo przystojnych kobiet, a równie, jak brat, zagorzałych kalwinistek, z zapewnieniem, że daruje im życie, jeżeli każda z nich jedną noc poświęci królowi. Hugonotki odpowiedziały z oburzeniem, że zostaną męczennicami Boga i swego honoru.

Palissy był więcej znany jako artysta emaliowanych fajansów, ale ma większą jeszcze zasługę, jako uczony. W młodszych jeszcze latach wydał małą broszurę »L'art de terre«, w której opowiada, w jaki sposób w piętnastoletniej pracy doszedł do tych świetnych barw w emalii, jakie z gliny

wydobywał. Dramatyczny to opis wytrwałości człowieka, który powiedział sobie, że musi zbadać istotę gliny i nareszcie dopiął swego celu. Ogłoszono go za dziwaka, wyśmiewano się z niego, rodzina się przeciw niemu buntowała, bo stawiał piec, który po dwa razy nie odpowiadał swemu zadaniu, a nie mając dostatecznego paliwa, wyrywał deski z podłogi, aby utrzymać ciepłość, do jakiej chciał doprowadzić. Nikt nie wierzył, aby mógł wytworzyć swoje emalie, do których chciał dojść z całą zawziętością. Co gorsza, sąsiedzi posądzali go, że robi fałszywe monety; ale Palissy pracował dalej, raz nie osiągnąwszy celu, zabierał się do roboty po raz drugi, trzeci i dziesiąty. A trudności miał niesłychane, bo o chemii, o fizyce, mógł mieć tylko tyle wyobrażenia, ile wyczytał w starożytnych autorach, co go zupełnie nie zadowolało. Trzeba było samemu sobie stworzyć chemię. Wreszcie doszedł do rozmaitych zasad przyrodniczych i, o dziwo, ten nieuk, który zaledwie potrafił z biedą przeczytać starożytne dzieła, ogłosił w Paryżu wykłady, którym jeszcze nie umiano dać naukowego nazwiska. Pomiędzy innymi wskazał na siłę pary i na zastosowanie jej do ludzkich prac. Watt był, choć żył o tyle później, jego uczniem, jego następcą. Palissy wykladał uczonym, którzy się posługują jakimiś tajemniczymi siłami, że żary, tlejące w ziemi, utworzyły góry, skały i kryształy. Dowodził, że w pokładach skał znajdują się skamieniałe szczątki ludzkie, co już obudzało powszechny uśmiech. Pokazywał nawet skamieniałą gruzłę, którą nazywał kamieniem filozoficznym, a była to czaszka ludzka skamieniała. Zapisał ją w testamencie literatowi Piotrowi L'Estoile, który może także niezupełnie wierzył, aby ludzkie kości mogły się przemienić w kamień.

Najgłówniejszą zasadą, którą głosił, była później powszechnie uznana prawda, że przyroda nigdy nie spoczywa, że się w niej wszystko kotłuje, wszystko przeinacza, że materia jest w ciągłym ruchu i ciągle zmienia kształty.

Ten człowiek oburzał się na wojny religijne we Francji; nie mógł pojąć, że ludzie ludzi mordują. Napisał też w r. 1563, w chwili, kiedy się najwięcej krwi przelewało we Francji, książkę pełną miłości do społeczeństwa pod tytułem: *Recette véritable par laquelle tout les hommes de France*

pourront multiplier leurs trésors«. Nie były to rady alchemików, ale zdrowe zasady, aby tej ziemi, dającej życie, nie uważać za pole krwawych walk i zbrodni, ale za źródło szczęścia. Nie radzi rolnikom, aby posyłali synów do miast, gdzie tracą to, co ojcowie zarobili, ale aby umieli cenić rolę: »Zadajecie gwałt ziemi! — wołał — ziemi, która się pomści za głupców i niewdzięczników. Nie wycinajcie lasów, uszanujcie przyrodę«.

»Widziałem dzisiaj z rana w ogrodzie, mówi gdzie indziej, winne latorośle i pędy grochu, które zdawały się mieć świadomość swej nieporadności; nie mogąc się utrzymać, wyciągały swe wątłe ramiona, aby się do czegoś przytulić. A gdym wieczorem tamtędy przechodził, spostrzegłem, że już znalazły podporę i że się jej chwyciły całą siłą. Wszystkiem Opatrzność kieruje«.

Morze mieści w sobie straszną siłę; gdy widzisz jak się miota, jak wraca co dwadzieścia cztery godziny, zdawałoby się, że chce zmiażdżyć i pochłonąć ziemię. Ale przyroda ma te bałwany w swej mocy i nie pozwala im iść dalej, aniżeli to mają przepisane.

Jedną z najbardziej charakterystycznych rozpraw, cechujących kierunek umysłu Palissego, jest jego książka »Discours admirables«, czyli dyalog pomiędzy Teorią a Praktyką, w którym oczywiście Praktyka zwycięża. Palissy znęca się osobliwie nad teoryami, wziętymi ze starożytnych autorów, wykazując zawsze wyższość osobistych doświadczeń, i często powtarza słowa »widziałem« i »istnieje tam a tam«. Z tych faktów wysnuwa ogólne wnioski naukowe, albo praktyczne ich zastosowanie. To też tych praktycznych projektów u niego bez liku, począwszy od polewy i barw fajansów, a skończywszy nawet na budowie fortyfikacyj.

Mimo tej niechęci do starożytności, ulegał czasem Palissy w swych kompozycjach fajansów tak powszechnemu wówczas smakowi, zwracającemu się do Greków i Rzymian, a mitologia starożytna wpływała czasem na niego, osobliwie gdy chodziło o zadowolenie publiczności. Prądy renesansowe były za silne, aby nawet tak niezależny artysta, jak Palissy, nie miał im ulec.

MONTAIGNE.

I.

Zameczek z trzechpiętrową szeroką wieżą w Gaskonii, w okolicy, nie przedstawiającej szczególnego uroku; na pierwszym piętrze pokój sypialny, gdzie właściciel często odpoczywał, aby nie zawsze być w pobliżu swojej małżonki, na drugim piętrze kaplica, a na trzecim biblioteka i pracownia, najmiłsze ustronie, najbardziej oddalone od gospodarskiego gwaru.

Tam kazał sobie Montaigne wymalować na ścianie następujący łaciński napis. Oto tłumaczenie:

„W roku Pańskim 1571, w trzydziestym ósmym roku życia, w wigilię kalend marcowych, w rocznicę moich urodzin, ja, Michał Montaigne, pozbywszy się oddawna niewolnictwa królewskich dworów i publicznych zajęć, odpoczywam w dobrem jeszcze zdrowiu na łonie uczonych Muz. W spokoju i bezpieczeństwie przepędzę tutaj resztę dni mego życia, życząc sobie tylko, aby losy pozwoliły mi przemieszkać w niezależności w tej siedzibie, w tem słodkim ojcowskim schronieniu.

Oto najlepsza charakterystyka Montaigne'a.

W powyższym napisie brakowało tylko, że Montaigne urodził się w r. 1533, pomiędzy godziną jedenastą a południem, ale ten, jak mu się zdawało, ważny fakt gdzie indziej zanotował.

Dodać jeszcze należy, że na jednej ścianie biblioteki wymalowany był herb właściciela, lwia łapa w pośród olbrzymiego łańcucha orderu św. Michała. Tło herbu niebieskie, zasiane złotymi liśćmi koniczyny.

W szafach najwięcej ksiąg i rękopisów łacińskich, bo ojciec Michała nauczył syna po łacinie, jak tylko dzieciak wyszedł z kolebki. Ten ojciec był ciekawym człowiekiem; rodzic jego Ramon Eyquem sprzedawał suszoną rybę i śledzie w Bordeaux i dorobił się na tym handlu znacznego majątku, tak,

że syn Piotr mógł kupić dobra »Montaigne« z zamkiem w Périgord i zaczął się pisać Montaigne. Nazwisko Eyquem przypadło wraz z suszoną rybą.

Wprawdzie Michel Montaigne zauważył, że owe dobra były majątkiem rodowym jego przodków; ale to mogło się tylko odnosić do jego ojca.

Pierre Eyquem, seigneur de Montaigne, chcąc potwierdzić, że mu się należy tytuł rycerski, przywdział stalową zbroję i poszedł z Franciszkiem I. na włoską wyprawę. Wróciwszy stamtąd, ożenił się z Antoinettą de Lopes, pochodzenia hiszpańsko-żydowskiego, bardzo zamożną panną. Był zresztą człowiekiem szanowanym, bo wybrano go nawet mairem miasta Bordeaux. Ale przecież wolał głęboko zakorzenieć się na roli, aniżeli płytko chodzić po bruku. To też starał się o to, aby z wieśniakami żyć w zgodzie i za rodziców chrzestnych Michała wybrał miejscowych chłopów, sąsiadów zamku.

Drugim jego staraniem było zrobić z Michała człowieka wysokiej kultury, a ponieważ wówczas konieczną była do tego łacina, więc staranny ojciec zakazał otoczeniu dziecka używania języka francuskiego. Nauczono matkę, służących i niankę wyrazów łacińskich, potrzebnych do koniecznego rozmówienia się z dzieckiem. W ten sposób mały Montaigne nauczył się tak wybornie po łacinie, że starożytny język uważał za swoją mowę rodzinną. W siódmym roku życia był skończonym łacinnikiem. Co więcej, stary Montaigne chciał wykształcić muzykalne ucho małego chłopca; kazał go budzić ze snu muzyką, co miało także przeszkodzić, aby raptowne przebudzenie malca nie zaszkodziło jego zdrowiu. Pierre Eyquem miał jedenaścioro dzieci, a ostatnie spłodził w sześćdziesiątym czwartym roku życia. Tak był silnym i muskularnym, że w późnym wieku wychodził na piętro swego zamku, biorąc na raz po cztery schody, pomimo, że w ostatnich latach życia cierpiał na kamień w pęcherzu.

Eyquem Montaigne umarł w r. 1568.

Artysta Thomas de Leu pozostawił nam miedziorytowy portret Michała Montaigna w późniejszych już latach. Portret zgadza się z opisami, jakie mamy o jego osobistości. Rozumna lysa głowa, osadzona na dużej kryzie według ówczesnej mody,

spojrzenie łagodne. Ważne miejsce na portrecie zajmuje order św. Michała, zawieszony na grubym, okazałym łańcuchu. Ten order odgrywał wielką rolę w życiu Montaigne'a; nasz właściciel zamku dążył do tego od młodości, aby się ozdobić kolaną św. Michała, odznaką, którą ufundował Ludwik XII. dla wysokiej szlachty. Walezyusze zaczęli zanadto hojnie rozdawać order, tak, że za czasów wojen domowych odznaka ta zupełnie zatraciła swój pierwotny charakter. Głównie przyczynili się do tego Guizowie, którzy pragnąc szlachtę garnąć do swego obozu, wyrabiali jej kolaną św. Michała. Montaigne otrzymał jednak ów order, zanim jeszcze bardzo był rozpowszechniony, co zresztą gniewało Brantôma, członka wielkiego rodu, uważał bowiem Montaigna za niegodnego takiego odznaczenia. Gdy Henryk III. ufundował nowy order św. Ducha (1578), przeznaczony tylko dla ludzi wybranych, zabolalo to nadzwyczaj naszego autora i nieraz dał z tego powodu wyraz swego niezadowolenia.

Michel był małego wzrostu, nie bardzo zdolnym do noszenia rycerskiej zbroi; pomimo to kazała pani Montaigne na grobowcu męża ubrać jego pośmiertną postać w hełm i świętny pancerz. Bolało go bardzo, gdy obcy ludzie, wchodzący do zamku, spotkawszy tego nikłego człowieczka, pytali *«où est Monsieur?»*. Pomimo drobnej postaci miał głos silny, a tak był żywym Gaskończykiem, że łatwo unosił się w rozmowie, gestykulował rękami i nogami, a nawet często w tym zapale język sobie kaleczył. Czasem bardzo rozmowny, to znów melancholijny, były chwile, kiedy lubił towarzystwo, ale częściej jeszcze rozkoszował się samotnością.

Ze swego okna z wieży dawał rozkazy gospodarskie, nie zawsze stosowne, bo więcej się znał na książkach, aniżeli na roli. Powiadają, że nie umiał rozróżnić kapusty od sałaty.

Pożycie Montaigna z żoną było, że tak powiem, poprawne, ale nie wychodziło poza granicę zwykłych związków rozumno-matrymonialnych. Jak się zdaje, żeniąc się, zobowiązał się w poufnych rozmowach zachowywać względną wierność *«une fidélité relative»* swej połowicy; później jednak dziwił się, że bardziej obserwował to prawo małżeńskie, aniżeli się początkowo spodziewał. Przypisać to zapewne trzeba jego

wygodnemu usposobieniu. Miał też pięć córek, z których cztery poumieraly w dzieciństwie, a pozostała tylko jedna, Leonora, wydana w r. 1590 za szlachcica Franciszka de la Tour. Liczba dzieci tak mało go zajmowała, że raz nawet zapomniiał, ile mu córek umarło; był trochę roztrzepany, jak każdy Gaskończyk. Zresztą małe dziecko było dla niego czemś, do czego się przywiązać nie można, kawałek czerwonego ciała, zwykle bardzo brzydki, będący dopiero związkiem na człowieka. Z rodzeństwem, którego było mnogo, trzy siostry i czterech braci, nie zdawał się być w wielkiej zażyłości; każde z nich było dobrze wyposażone. Bliżej znośił się tylko z jednym bratem, z panem na Mattecoulon, który mu nawet raz towarzyszył w podróży do Włoch. Natomiast był Montaigne bardzo przywiązany do ojca, który go dobrze nauczył po łacinie i posyłał, jak się zdaje, na uniwersytet do Tuluzy.

Pragnieniem ojca było, aby Michel odznaczył się w prawniczej służbie publicznej, wystarał się też, że ulubiony ten syn został już w dwudziestym pierwszym roku życia radcą sądu w Périgord, złączonego z parlamentem w Bordeaux. Ta karyera prawnicza nie bardzo przypadła do usposobienia Michała; dopóki ojciec żył, musiał się poddawać jego woli, ale jak tylko miał sposobność chwilowego opuszczenia swego urzędu, wyjeżdżał z sądowej siedziby i szukał innej rozrywki. Osobliwie zniechęciły go do ówczesnego sądownictwa straszne znęcania się nad hugenotami; nie mógł znośić tego pieczenia żywych ludzi na płonących stosach. A ponieważ parlament w Bordeaux należał obok parlamentu w Paryżu do najstraszniejszych prześladowców protestantyzmu, więc i jego humanitarne uczucie było bardzo często narażone na ciężkie próby.

Ze swych urzędowych czasów wyniósł niezwykłą przyjaźń dla swego kolegi, radcy parlamentu w Bordeaux, pana Etienne de la Boétie, któremu ze wszystkim się zwierzał i zachował swe niczem niezamącone uczucia aż do śmierci przyjaciela w r. 1563. Łączyła ich znajomość starożytności, rozczytawanie się w łacińskich pismach, a nadto Montaigne niesłychanie cenił la Boétie i uważał go za największego czło-

wieka swego wieku. Wydał też po śmierci przyjaciela jego dzieła filozoficzne i polityczne w r. 1570.

Może dziwnem się wyda, że Montaigne był gościnnym; lubił ludzi, byle mu nie przeszkadzali w codziennym trybie życia i nie nudzili go. Bramy jego zamku były zatem otwarte, czasami nawet zanadto, gdyż w epoce religijnych rozruchów trzeba było strzec się wojskowej hołoty, która w imię religii chętnie rabowała cudze mienie. Montaigne jednak nie kazał bronić swej siedziby, sądząc, że im więcej się stawia rabusiom trudności, tem większą mają chęć obłowienia się. Raz o mało, że się nie zawiódł na tej zasadzie, gdyż grupa zbrojnych żołnierzy weszła do zamku w chęci rabunku. Montaigne przyjął ich tak dobroduszenie i tak dalece nie zdradzał się z tem, aby ich uważał za ludzi niehonorowych, że ugoszczeni żołnierze poszli dalej szukać szczęścia.

Montaigne niewiele czasu poświęcał swej literackiej pracy; czytając starożytne dzieła, robił nieraz na samej księdze uwagi, które mu później służyły do całego ustępu jego „Essais”. Jakieś zdarzenie współczesne, jakaś rozmowa nasuwała mu temat do obrobienia pewnej kwestyi, którą się starał oprzeć nietylko na własnych spostrzeżeniach, ale i na zdaniach starożytnych autorów. Każdy ustęp w jego rozprawach był dobrze obmyślany, przetrawiony, poddany analizie spokojnej rozwagi; wyszedł więc z pod pióra jako owoc zupełnie dojrzały. Dość powiedzieć, że Montaigne w dziewięciu pierwszych latach od sprowadzenia się do swojej wieży napisał tylko dwie księgi „Essais”.

Autor kładł nacisk na to, że studia są tylko spostrzeżeniem nad jego własnem życiem i jego własnymi czynami. W znacznej części było to prawdą, czasami nawet spowiadał się Montaigne tak szczegółowo i tak szczerze, jak gdyby pisał pamiętnik; z drugiej strony jednak wiele rzeczy zamilczał, wiele rysów charakteru pomijał, tak, że czytelnik, przeczytawszy te Essais, musi przeprowadzić całe kombinacje pomiędzy przytoczonymi w nich spostrzeżeniami i faktami, aby mieć zupełnie jasne wyobrażenie o właścicielu majątku, odziedziczonego „po przodkach”. Zresztą sam Montaigne powiada, że swo-

jej rodzinie o tyle odkrywa swą duszę, o ile to można; tylko przed przyjacielem nie miał nic skrytego, ale Boétie dawno już umarł.

II.

Po niejakiem czasie Montaigne zaczął się nudzić w swej wieży, a nadto trzeba było coś radzić na cierpienie pęcherza. W lekarzy francuskich nie wierzył, zwłaszcza, że im przypisywał przedwczesną śmierć swego przyjaciela, de la Boétie. Śmiesznym mu się wydawał środek, który mu zalecili, aby zażywał krew, upuszczoną białemu kurczęciu z pod lewego skrzydła. Raczej byłby się zgodził na lekarstwa starych bab, na odwar z ziół pirenejskich, bo takie leki mogły polegać na długoletniem doświadczeniu, ale słyszał, że w Niemczech, w Szwajcaryi i we Włoszech istnieją wody mineralne, przynoszące ulgę w jego cierpieniach.

Nowe lekarstwo i nowy świat, to mu dogadzało. Wybrał się więc w daleką podróż, ale konno, bo powozem jeździć nie lubił. Miał ze sobą sekretarza, który pilnie zapisywał w dzienniku podróży, kiedy się znalazło dużo piasku moczowego w nocnem naczyniu. Okazało się jednak, że sekretarz nie prowadził dokładnie owych zajmujących zapisków, więc sam Montaigne zabrał się do układania rejestru, stanowiącego znaczną część wydanej później w r. 1774 jego podróży.

Montaigne leczył się bardzo dokładnie, połykał niezmierną ilość wód mineralnych, tak, że wzbudzał podziwienie w zarządach kąpielowych. W Plombières np. wypijał zrana dziewięć szklanek mineralnej wody, co go jeszcze nie zadawało, gdyż tą samą wodą kazał sobie popołudniu przepłukiwać wnętrzności w sposób, powszechnie wówczas praktykowany. Najchętniej kurował się w Bagni della Villa, w pobliżu Lukki we Włoszech; tamtejsze wody uważał za najskuteczniejsze. Zresztą jeździł po Włoszech rzemiennym dyszlem, wracał tam, gdzie mu się szczególnie podobało i nie śpieszył się, bo ta kuracya z przyjemnościami trwała aż półtora roku. Czuł się zresztą zawsze pomiędzy swoimi, bo towarzyszył mu najmłod-

szy brat, seigneur de Mattacoulon, i seigneur d'Estissac, zdaje się, że brat tej pani, której poświęcił ósmy rozdział drugiej księgi swych *Essays*.

Ruch religijny bardzo go zajmował w podróży; poznał się zatem z niemieckimi teologami, ze stronnikami Lutra i Zwinglego, w Weronie prosił rabina, aby mu wyjaśnił szczegóły izraelskiego kultu, wogóle był człowiekiem pełnym tolerancyi, który wszystko chciał z bezstronnością pojmować. Często trzymał się zasady, że dobrze i Panu Bogu i szatanowi świeczkę zapalić. Pomimo usposobienia w gruncie sceptycznego, ofiarował Madonnie w Loreto srebrną plakietę, przedstawiającą małżeństwo Montaignów z córką, klęczące przed Matką Boską.

Do tego się trzeba w życiu zastosować, co już istnieje, do rządów świeckich i religijnych, które nasi ojcowie za dobre uważali; nad nowościami można się zastanawiać, można o nich rozprawiać, ale w praktyce być konserwatystą. Do rewolucyi nie był skłonny i dlatego w walkach katolików z hugenotami stał na uboczu.

W Rzymie też ucałował pantofel Grzegorza XIV. i był bardzo dumny, że papież, wyróżniając go, podniósł nogę, aby się znakomity pielgrzym, jakim był Montaigne, nie potrzebował zbyt schylać.

Czasami przypominał sobie, nawet w wiecznem mieście, że swojej małżonce ślubował tylko względną wierność. Wieczorem lubił więc towarzystwo pięknych kurtyzan; bolało go tylko, że te panie zaglądały zanadto głęboko do podróżnego trzosa, bo Montaigne był oszczędnym. Pomimo to chciał w swych kąpielach koło Lukki, w Bagni della Villa być popularnym; widocznie dobrze się tam bawił, bo dla wieśniaczek dał bal, po którym nastąpiła kolacya i rozdawania nagród dla najlepszych tanecznic. Panie, należące do towarzystwa naszego podróżnika, pomagały w tem rozdawnictwie pamiątek.

Gdy Montaigne wjeżdżał do Rzymu, odebrano mu na komorze według tamtejszego zwyczaju wszystkie książki, jakie miał ze sobą, a zatem i *Essays*. Po czteromiesięcznym pobycie w papieskiej stolicy zażądał zwrotu swojej podróżnej biblioteki. Ale duchowni cenzorowie musieli dać dowód, że

książki przeczytali, i oczywiście podnieśli zarzuty przeciw piśmom Montaigne'a. Przedewszystkiem obraziło ich, że autor przychylnie się wyraził o Julianie Apostacie i że pochwalił poezje heretyka Teodora de Bèze. Montaigne bronił się bardzo dowcipnie, tak, że dominikanie musieli kapitulować. Maestro del sacro palazzo zwrócił mu »Essays«, zauważywszy z przesadną grzecznością watykańskich urzędników, aby nie zważał na krytyki owych mnichów, bo referat ich zawiera niejedną niedorzeczną uwagę.

Montaigne nie opuścił Rzymu, nie zaspokoiwszy swej próżności, będącej jedną z cech jego charakteru. Pragnął, aby wyjechał jako »civis romanus«, na co papież się zgodził i wystawił mu bulle, największy klejnot, jaki otrzymał w życiu obok kolany orderu św. Michała. Aby nie zapomniano w Rzymie, że słynny Montaigne jakiś czas tam gościł, pozostawił w hotelu, gdzie mieszkał, tarczę ze swoim herbem pięknie wyrzeźbionym.

Zanim jednak powrócił do Francji, spotkał go niespodziewany zaszczyt. Siódmego września 1581 otrzymał wiadomość, że wyborcy miasta Bordeaux mianowali go swoim mairem. Montaigne się zawahał: od lat jedenastu był wolnym człowiekiem, mógł pisać, jeździć, robić co mu się podobało, a mairostwo, chociaż nie natężało ani fizycznie ani umysłowo swoich piastunów, przecież krępowało wolnego człowieka. Mairem w Bordeaux mógł być jednak tylko szlachcic, co potwierdzało niejako rycerskie stanowisko Montaigna, powtóre ten dygnitarz występował podczas wielkich uroczystości konno w ubiorze z czerwonego i białego aksamitu, a poprzedzało go czterdziestu łuczników. Gdy Montaigna zobaczy publiczność w takim orszaku, nikt się złośliwie nie zapyta: A gdzie jest maire?... Próżności naszego uczonego stało się zadość, ale jeszcze się wahał. Gdy jednak nadeszło pismo królewskie, w którym Henryk III. winał Montaignowi nowego zaszczytu, a zarazem polecił mu, aby bezzwłocznie udał się do Bordeaux celem objęcia owego dygnitarstwa, nie można się było cofnąć. Zresztą ten urząd był raczej urzędem honorowym, właściwa administracja miasta: kanały, bruki, mało go obchodziły. Naj-

trudniejszy orzech był jednak do zgryzienia, kwestya naprężonych stosunków pomiędzy katolikami a hugenotami.

Namiestnikiem prowincyi Guyenny był Henryk z Nawarry, heretyk, ale Liga miała tam także bardzo potężnych stronników. Trzeba było prowadzić politykę »huśtawki«, tak jak Katarzyna medycejska. Serce jednak ciągnęło Montaigna do króla Henryka z Nawarry, a nadto usposobienia i pojęcia zbliżały ich do siebie. Bearneńczyk był człowiekiem rozsądnym, patrzył trzeźwo na świat, miał niespożyty humor, a kwestye religijne nie bardzo go rozgrzewały, w duszy był tolerantem. Król Nawarry i rycerz-maire sympatyzowali ze sobą tak dalece, że 19. grudnia 1584 Henryk Bearneńczyk przybył w odwiedzinie do Montaigna, bawił u niego dwa dni, a w dowód wielkiej czci Montaigne ofiarował mu własne łóżko. Król miał ze sobą trzydzieści cztery osób służby, a nadto dziewięciu szlachty, kameryerów i paziów. Montaigne zabawiał go polowaniem w swoich lasach, obydwu dni gonił Henryk za jeleniem.

Maire de Bordeaux był wybierany na dwa lata; Montaigna dwa razy spotkał ten zaszczyt, a gdy 31. lipca 1581 zakończyła się druga kadencya, zdaje się, że mieszkańcy Bordeaux niezbyt martwili się, że tracą Montaigna, a i nasz filozof wracał z wielkiem zadowoleniem do swojej biblioteki. Właśnie kończyło się jego merostwo, gdy w Bordeaux wybuchła straszna zaraza, tak, że od czerwca do grudnia umarło 14.000 osób. Montaigne wyjechał w czasie tej klęski, a gdy po upływie jego merowskiego mandatu trzeba było według zwyczaju przyzwać przy wyborze następcy, nie śpieszył się do Bordeaux i wybór odbył się bez jego udziału.

»Essays« miały wielkie powodzenie; w r. 1588 wychodziło piąte wydanie w trzech księgach, więc Montaigne pojechał odświeżyć się do Paryża, żadnego miasta bowiem tak nie lubił, jak stolicę Francyi, tam się czuł szczęśliwym. Stał się nawet na chwilę pilnym dworzaninem; znajdował się w orszaku królewskim w Chartres i w Rouen i zdaje się, że wtedy poznał pannę de Gourney, wielką swoją wielbicielek.

Ta panna Gourney (ur. 1565), którą zwano la fille d'alliance Montaigna, była rodzajem bas-bleu w towarzystwie dwor-

skiem Henryka III. Pisała wiersze, rozprawy naukowe, tłumaczyła traktaty filozoficzne z obcych języków, a pisma Montaigna uwielbiała, co ją zbliżyło do naszego autora. Panie i mignoni wyśmiewali się z niej; posądżali, że się trudni alchemią, nazywali ją łacinniczką, ponieważ czytała starożytnych autorów, krytyowano jej ubiory, ale i ona nie oszczędzała dworzan i ich obyczajów. Nazywała całe towarzystwo dworskie stekiem głupców, mówiła:

Le monde est une cage a fous;
Gens de cour le sont plus que tous.

Raziły ją intrzygi tych »dworskich lalek«, krytykowała ich zniewieściałą mowę, zarzucała, że psują jędrny język francuski i smarują słowa oliwą, aby łatwiej z ust wychodziły. Według jej przekonań najwyższa hipokryzja panowała w dworskim towarzystwie; dworzanie ze swoją udaną religijnością podobni są do tego dobroczyńcy, który w nocy kradł skóry, a w dzień robił buty dla ubogich i kazał się nazywać szewcem na usługach bożych. W swych filipikach przeciw mignonom wcale ich nie oszczędzała, zarzucała im, że ich zajęciem było tylko pijaństwo i stosunki z kobietami, nazywała ich »cavaliers de bouteille et de cabaret«; nie chciała też iść za mąż, bo pogardzała takimi mężczyznami. Gniewało ją postępowanie księży, że pozwalają na nadużycie spowiedzi. Ci ludzie, którzy często się spowiadają, mówiła, nie obawiają się złe czynić, bo są pewni rozgrzeszenia.

W zapatrywaniach swych zgadzała się zupełnie z Montaignem, tylko że nasz »Essaista« był często dyplomatą w swych pismach i nie wypowiadał tak szczerze swych zapatrywań, jak panna Gournay. Montaigne miał dla niej wiele przyjaźni, odwiedzał ją na wsi, a ona nawzajem jeździła w r. 1592 do Montaigne, pomimo że z powodu rozpasanego żołdactwa tak hugenockiego, jak katolickiego, drogi były niepewne.

Panna Gournay żyła bardzo długo, do roku 1645. W podeszłym wieku musiała mieć bardzo szczupłe dochody; dawni przyjaciele poumierali, uczucia swe skierowała więc do ukochanej kotki. Za rządów Richelieu'go chciała jakiejś od niego

pomocy. Bois-Robert zaprowadził petentkę do kardynała, który powitał ją jakimś starofrancuskim frazesem, ponieważ wiedział, że ona walczyła z nowymi miękkimi wyrazami. »Śmieć się ze staruszki, kardynale, odpowiedziała, taki geniusz może łatwo drwić z drugich«. Kardynał się zmiarkował i przeprosił ją, a zwracając się do sekretarza, powiedział: »Trzeba coś uczynić dla panny de Gournay. Proszę jej zaasygnować 200 talarów pensyi«. — »Ale ona musi jeszcze utrzymywać bardzo przywiązana służącą, pannę Jamyn, bastardkę po Amadissie Jamyn, paziu Ronsarda«, odparł Bois-Robert. — »A więc wyznaczam jej pięćdziesiąt liwów pensyi«. — »Monseigneur! panna Gournay ma jeszcze wielką przyjaciółkę kotkę, kochaną Piaillon«. — »No, więc na utrzymanie kotki wypłacić dwadzieścia liwów pod warunkiem, aby miała zawsze swe flaczki.«. Sekretarz dodał z pewną nieśmiałością, że Piaillon będzie miała wkrótce kocięta. — »A więc jeszcze jedną pistolę dla kociąt«.

Panna Gournay wyszła zadowolona od kardynała. Pobyt Montaigne w Paryżu o mało że się przykro nie skończył; rozpoczynały się właśnie rozruchy, które doprowadziły do dnia barykad i do ucieczki Henryka III. Zdaje się, że członkowie Ligi nie uważali Montaigne za zupełnie »pewnego« katolika, uwięzili go bowiem i wrzucili do Bastylli; szczęściem jednak dowiedziała się o tem królowa Katarzyna i zawiadomiła Guisa, który kazał uczonemu z więzienia uwolnić. Filozof był tylko sześć godzin pozbawiony wolności.

Wkrótce zbierały się stany w Blois, piętnastego października miało nastąpić otwarcie parlamentu. Montaigne chciał być świadkiem tej ważnej chwili; pojechał do Blois i przeżył te straszne dni morderstwa Guisa. Został tam historyka de Thou, którego znał już dawniej, i obydwaj bardzo sceptycznie zapatrywali się na przewodców wielkich stronnictw francuskich. Montaigne wyraził swe przekonanie, że tak królowi Nawarry, jak i Guisowi, chodzi tylko o to, aby przeprowadzić swe osobiste zamiary; gdyby nie to, toby król Nawarry powrócił do religii katolickiej, religii swoich ojców, a książę Guise chętnie zostałby protestantem, gdyby to nie szkodziło

jego interesom. Wszędzie i zawsze u ludzi politycznych przekonanie jest ściśle związane z osobistymi celami.

Morderstwo Guisa wpłynęło także na stosunki w Bordeaux; wydalono stamtąd jezuitów i protestanci zaczęli wolniej oddychać. Śmierć Henryka III. przeraziła Montaigna; ale gdy Henryk de Bourbon został królem francuskim, nasz filozof szczerze się cieszył i wyraził się w liście do monarchy, że się tego oddawna spodziewał. »Z tem większą radością, pisał, będę służył memu księciu, że to się zgadza z mojem przekonaniem i z moim rozumem i że nie mam w tem żadnych prywatnych widoków«. Henryk IV. chciał Montaigna ściągnąć na swój dwór; ale nasz filozof był już ciężko chory i musiał odmówić królewskiemu wezwaniu.

Czując, że ostatnia chwila jego życia się zbliża, napisał karteczkę do żony, bo mówić już nie mógł, aby zaprosiła kilku sąsiadów, z którymi chciał się pożegnać. Gdy przybyli, kazał odprawić mszę w swoim pokoju i gdy kapłan podniósł »corpus domini«, nie miał już sił, aby dalej słuchać nabożeństwa i upadł nieżywy.

III.

W umyśle Rabelais'go zasady Odrodzenia jeszcze się burzą, fermentują; w Montaigne'u już się wyklarował francuski renesans, zespolił swe ideje i swe dążenia. Wprawdzie Montaigne był zanadto spokojnym umysłem, zanadto wielkim pisarzem dyplomatą, aby jasno wypowiedzieć walkę wszystkiemu, co za złe uważał; ale przecież tyle prawd wyjawił w swych »Essays«, że nie było właściwie wątpliwości, do czego dążył i co za dobre uważał.

W jego rozważaniach zawsze jeszcze czuć to scholastyczne »Distinguo«, wyluszczenie wszelkich możliwych argumentów za i przeciw postawionej tezie; ale to już tylko forma dyskusyi, która ma utwierdzić czytelnika w opinii przez autora reprezentowanej. Służy mu do tego cały aparat wiedzy starożytnych pisarzy, aparat częściej nużący, aniżeli szczerze przekonywający czytelnika. Ale to odwoływanie się do

znanych i mniej znanych rzymskich i greckich autorów, to już taki zwyczaj renesansowych pisarzy, którzy jeszcze nie śmiały występować z nowymi ideami, nie potwierdziwszy ich cytataми z całego szeregu starożytnych mędrców.

Najważniejszym, najgłówniejszym dążeniem umysłów Odrodzenia było zdobyć sobie wolność myśli i sumienia. Wszystkie walki religijne XVI. wieku w gruncie rzeczy do tego zdążają, jakakolwiek przybierają formę. We Francji dążył do tego hugenotyzm, a Montaigne, pomimo że wyznawał religię rzymsko-katolicką, był reformatorem. Tylko nasz filozof nienawidził wszelkiej rewolucyi i sądził, że każdy raptowny przewrót, czy to w rzeczach religii, czy w polityce, jest szkodliwy. Każdą ludzką instytucyę należy rozwijać, ulepszać, a nie burzyć. Gdy się zniszczy to, co ludzkość wykształciła wiekową pracą, to się zbuduje coś, co będzie miało tyle braków, tyle niedostatków, że znowu wieki muszą się silić, aby te błędy naprawić. »Jestem chrześcijaninem, powiada Montaigne, na tej samej podstawie, jak jestem Perigordczykiem; swego pochodzenia nie powinien się nikt zapierać. Mogę rozszerzać nowe zapatrywania, ale tylko o tyle, aby mnie na stos nie zaprowadziły«. Montaigne gotów jest, jak powiada, zapalić w razie konieczności jedną świeczkę świętemu Michałowi, a drugą jego wężowi, według rady starych bab. W Polsce przetłumaczono sobie tę radę, żeby jedną świeczkę zapalić Panu Bogu, a drugą szatanowi. Była to dosadnie wyrażona zasada utylitaryzmu, której Montaigne hołdował. Przypatrzywszy się w Bordeaux, jak smażą w ogniu żywego człowieka, nie chciał zadzierać z Sorboną. »W jakikolwiek sposób, mówił, da się uniknąć cięgi, choćby schronieniem się pod wolvą skórę, nie waham się tego uczynić«. Montaigne sądził, że łatwiej być katolikiem, aniżeli protestantem, ponieważ katolicyzm jest religią daleko mniej wymagającą od swego wyznawcy i zadawalnia się tylko zewnętrzną wiernością. Montaigne podobnie, jak wielu ludzi znakomitych Odrodzenia, miał pewien wstręt do Reformy, ponieważ Reforma cofa się do surowych początków Chrześcijaństwa i niedobrze wpływa na cywilizacyę, którą wyrobiła starożytna literatura.

Montaigne szerzył też w swoich pismach tolerancyę, je-

dną z najważniejszych zdobyczy Odrodzenia, i prawdziwy humanizm, nie pozwalający się w imię religii lub polityki znęcać nad przeciwnikiem. »Chcecie go koniecznie zabić, to zabijcie; ale nie męczcie, nie skazujcie na tortury, bo to okrucieństwo«. Litość nad ludźmi przenosi na zwierzęta, nawet na drzewa i rośliny; nie pozwala niszczyć tego, czego niszczyć nie potrzeba. Namiętnie też uderza na mniemanych cywilizatorów w Ameryce, którzy pod pokrywą kultury dopuszczają się w nowym świecie najstraszniejszych zbrodni. Walcząc przeciw torturom, a nawet przeciw karze śmierci, stanął Montaigne w sprzeczności z zasadami, którymi Rzym się kierował i tylko jego dyplomacy w rzeczach religijnych i zachowywaniu wszelkich przepisów Kościoła katolickiego przypisać należy, że nie został uznany za heretyka. Wszak w Rzymie, gdy cenzorzy dominikańscy wyszukali w jego Essays jakieś zdanie, sprzeciwiające się rzekomo zasadom Kościoła, watykański dygnitarz, większy dyplomata, aniżeli zakonnicy, oddał Montaigne'owi rękopis, nie wchodząc bliżej w dominikańskie zarzuty, »gdyż wiemy, że należysz do najlepszych synów stolicy apostolskiej«.

Podobnie, jak wobec religii, Montaigne zachowuje się wobec państwa, wobec rządu. Pomimo że hołduje królowi, przecież ma przekonanie, że rząd popularny jest najlepszy. Z lubością opisuje jakiś kraik Lahontan w Pireneach, który był szczęśliwy, dopóki cywilizacja się nim nie zajęła. Jego wuj był tam proboszczem, lud żył szczęśliwie, nie potrzebował sędziów, adwokatów, notaryuszy, a nawet lekarzy. Wszelkie choroby leczono czosnkiem. Z cywilizacją wkradły się procesy, rozmaite dolegliwości i inne dobrodziejstwa nowomodnych społeczeństw. »Prawa utrzymują się nie dlatego, jakoby były sprawiedliwe, ale ponieważ są prawami«.

Przeciw zabobonom walczy zawzięcie. Gdy winograd zmarł na wsi, proboszcz powiada, że to gniew boży, że stwórca chce ukarać ludzkość. Proboszcz utrzymuje niedorzeczność, bo w sąsiedniej wiosce winograd nie wymarł, pomimo że tam gorsi ludzie. Ale renesansowy filozof nie przekonał w tej mierze ludzkości, bo i w naszych czasach jeszcze się słyszy co chwile, że narody giną w morderczych walkach,

ponieważ elegantki przed wojną nosiły drogie kapelusze. Giną nawet ci, którzy takich kapeluszy nigdy nie widzieli. Wyzwolić myśl z pod utartych przesądów, oprzeć się na doświadczeniu, patrzeć zdrowym okiem na przyrodę, to jedno z haseł Montaigne'a. Z tego powodu jego »Essays« mają taką wartość, ponieważ autorem kierował przedewszystkiem rozsądek.

Co do zasad moralnych, to Montaigne bardzo się oddala od ówczesnej nauki chrześcijańskiej, a z całą energią stara się przywrócić pojęcia tak zwane pogańskie, czyli raczej starożytnego świata. Chrześcijaństwo średniowieczne pracowało nad tem, aby upokorzyć ciało pod panowaniem ducha, co zachwiało równowagę, jaka w człowieku powinna panować. Cały uczyony renesans, a z nim Montaigne we Francyi, wracał do pojęć świata starożytnego, do zasad Epikura, przywiązujących wielką wagę do rozwoju ciała, do fizycznego zdrowia człowieka. Była to wielka zdobycz Odrodzenia, a Montaigne stał się jej szczerym apostołem. Wiek XVII., kiedy z Pascalem na czele powstała reakcja przeciw zasadom moralności starożytnych filozofów, uderzano z tego powodu na Montaigne'a. Pascal oskarżał go, że śmiał uważać zdrowie za wielkie dobro. Oczywiście cały ocean przekonań mógł rozdzielać Montaigne'a od Pascala, jeżeli wogóle ten moralista XVII. wieku był człowiekiem szczerym.

Moralna wygoda Montaigne'a rozciągała się nawet tak daleko, aby nie myśleć o tem, czego zbadać nie potrafimy. Powiada on, że główną chorobą człowieka jest niepoohamowana ciekawość, aby zbadać rzeczy, których wiedzieć nie zdoła. Mniej szkodliwem jest żyć spokojnie w niewiadomości, aniżeli nękać się niepotrzebną ciekawością. Od czasu Montaigne'a dużo tajemnic świata zbadano, co wówczas zbadać zdawało się niepotrzebnem. Dzisiaj możeby nasz filozof przekonanie swoje tylko do pewnych kwestyj ograniczył.

Wpływ Montaigne'a nietylko na literaturę, ale na cały rozwój pojęć filozoficznych był ogromny; można powiedzieć, że on do dziś dnia jest najpopularniejszym z pisarzy francuskich XVI. wieku, a tłumaczony na wszystkie ważniejsze języki, rozchodzi się w niezliczonych wydaniach. Czemu przy-

pisać tę popularność? Rozsądkowi, jaki przebija w każdym wierszu jego pism, zdrowemu zapatrywaniu się na świat, które u ludzi, nie podlegających jakimś chwilowym wpływom religijnym, politycznym lub społecznym, zawsze jest to samo, czy w XVI. czy w XX. wieku; następnie w szczerości, z jaką siebie samego opisuje, w tem, że nie jest literatem, pozującym przed czytelnikiem, ale kiedy niekiedy notuje swoje myśli, dobrze przetrawione. Przyczynia się także do zjednania mu zwolenników sposób pisania. Czytelnik wogóle jest leniwym, nie lubi długich rozpraw o tym samym przedmiocie, niechętnie bierze do ręki książkę, której czytania łatwo przerwać nie może. Studium Montaigne'a do niczego go nie obowiązuje. Wszystkie te rozprawki, pomimo że owiane tym samym duchem doświadczenia, rozsądku i umiarkowania, nie stanowią jakiegś nierozzerwalnej całości. Zresztą każdy ustęp w tych pismach trafia mniej więcej do przekonania rozumnego czytelnika. Każdy sobie powie: »Jakby mi z ust wyjął, nieraz to myślałem!« Skarb własnych zapatrywań.

Możnaby powiedzieć, że książka Montaigna jest biblią ludzi rozsądnych, spokojnie myślących, i to jej zapewnia wieczną trwałość.

BLAISE DE MONTLUC.

I.

Montluc był jedną z najoryginalniejszych postaci czasów walezyuszowskich. Mawiał często, że jak zobaczy nieprzyjaciela, a przede wszystkim hugenota, to mu krew bije do głowy, wzrok mgłą zachodzi, radby go rozszarpać; ale nawzajem miał przekonanie, że gdyby się dostał w ręce swych wrogów, toby z jego ciała nie pozostało większego kawałka, jak palec u ręki. Pięćdziesiąt dwa lat wojował za króla i za wiarę katolicką i odniósł siedm ran od arkebuzów i tyle innych skaleczeń od lanc i szpad, tak, że w końcu życia miał tylko prawe ramię nietknięte od nieprzyjacielskiej broni. Ostatnia rana, którą mu zadano w sześćdziesiątym siódmym

roku życia, była najcięższa, straszna, bo po niej została już tylko połowa Montluca. Pamięć miał jednak nadzwyczajną, przypominał sobie wszystkie nazwiska osób, do których się zbliżał.

Znane jest jego powiedzenie, że w wojnie życie ludzkie nie warte więcej, jak życie kurczęcia. Szafował też tem cudzem życiem beżmiernie, był w tej mierze rozrzutnym.

Prawą ręką, która mu jeszcze pozostała w całości, napisał rodzaj pamiętników, do których pożyczył sobie tytułu od Cezara. Nazwał je »Commentaires«. Nie powiedział w nich nic nowego, coby się przyczyniało do rozświecenia epoki, w której żył, ale dał w nich własny portret wojownika, zapalonej głowy, bo był Gaskończykiem, jak wielu innych znakomych ludzi szesnastego wieku we Francyi. Pomimo że nienawidził sztukę pisarską i wołał całą noc przepędzić okuty w zbroję, aniżeli godzinę z gęsim piórem w rękę, przecież żał mu było nie pozostawić po sobie świadectwa, jak się umiał bić, i nie nauczyć młodych żołnierzy swym przykładem. Przewyciężył się więc i napisał ten pamiętnik, z którego na każdej karcie grubego tomu tryska życie. Twarda to dusza, nieugięta; »gdybym nic po sobie nie pozostawił, pisał, umarłbym, jak zwierzę«.

Montluc urodził się w Candom w r. 1503, a umarł r. 1577. W r. 1521 był już żołnierzem, przeszedł wszystkie stopnie wojskowe od prostego łucznika do gubernatora i marszałka Francyi (1574). Mimo tego marszałkowstwa nigdy nie dowodził większą armią, z wyjątkiem krótkiej, ale bardzo charakterystycznej epoki w jego życiu, gdy bronił Syeny na czele sześciu tysięcy ludzi. Dyplomatą także nie był, nie rozbierał tej kwestyi, za co i dlaczego się bije; ale gotów zawsze do poświęcenia życia dla króla, dążył do wytepienia nieprzyjaciela, którego miał przed sobą, do ostatniego żołnierza. Wojna nie jest dla niego środkiem, ale celem. Nie rozumiał też polityki królowej Katarzyny, tych ciągłych układów z hugenotami; wytepić wszystkich, do ostatniego, to jedyna zdrowa polityka. Marszałkiem mianował go Henryk III.; chwali też tego króla, że się umie poznać na ludziach.

Młodym radzi, aby szli za jego przykładem. Niech się

strzegą gry w kości i wina, a — z kobietami ostrożnie! On zawdzięcza swoje powodzenie wojskowe temu, że w młodości zawiązał do worka wszystkie swoje namiętności i wrzucił je do pieca. Dworzaninem nigdy być nie umiał, bo po pierwsze nie miał na to czasu, a powtóre nosił zawsze na czole to, co było w sercu. Nie cierpiał spokoju, myślał tylko o wojnie, w niej czuł się szczęśliwym. Miał lat siedmnaście, gdy poszedł po raz pierwszy do boju; stracił wtedy w dziesięciu dniach pięć koni. Hasłem jego było: »Nasze życie i mienie należy do króla, dusza do Boga, honor do nas samych, gdyż naszym honorem nawet król rozporządzać nie może«.

Co do rodzajów broni, to najbardziej lubił bić nieprzyjaciela halabardą. »Zawsze ten kij lubiłem« powiada; artylerji musi się używać, bo ją już zaprowadzono, ale to sztuka dyabelska.

Zajęcie żołnierskie uważa za najpiękniejsze w świecie; nie mógł zrozumieć, że dużo młodej szlachty bawi po zamkach. Prawnikami pogardza; najlepiej byłoby, gdyby wszystkie prawa i procedury wrzucono do ognia; tych próżniaków sędziów powinno się ubrać w zbroję, zrobić z nich żołnierzy, »do czegoż może dążyć serce szlachetne, jeżeli nie do broni? Turcy powinni dawać dobry przykład Francuzom; w Turcyi wszyscy są żołnierzami; to ich doprowadziło do potęgi. Taką mogłaby się stać Francya, bogatą i opływającą we wszystko«. Montluc nie był ekonomistą, bogactwo zależało u niego tylko na obdzieraniu nieprzyjaciół.

W r. 1544 armia francuska walczyła w Piemontcie pod wodzą księcia d'Enghien; cesarz i król angielski zawarli przymierze celem podziału Francyi, żołnierze byli głodni i nie mieli wiary w siebie. Duc d'Enghien wyprawił Montluc'a do Francyi, aby jak najprędzej przysłano posiłki i pozwolono na stoczenie walnej bitwy. Podstarzały Franciszek I. zwołał radę, w której brali udział admirał d'Annebault, M. de Saint-Pol, tudzież kilku innych dygnitarzy. Król siedział, inni stali, a nawet młody delfin, późniejszy Henryk II., stał za królewskim fotelem.

Zawołano Montluc'a. Pierwszy przemówił Saint-Pol i był najzupełniej przeciwny bitwie, ponieważ nieprzyjaciel licze-

bnie silniejszy. Inni doradcy potwierdzili to przekonanie. Montluc drżał z niecierpliwości i prawie z gniewu, admirał starał się go uspokoić. Gwałtowne ruchy Montluka pobudzały Franciszka I. do śmiechu, a jeszcze bardziej delfina. Wreszcie kazał król mówić Montlukowi. Żołnierz użył całej swej gaskońskiej swady, mówił grzecznie, ale przekonywająco, a przede wszystkim podniósł, że w armii księcia d'Enghien jest sześć tysięcy Gaskończyków, a jeden Gaskończyk wart sześciu innych Francuzów; nie liczba zwycięża, ale odwaga. Delfin zachęcał swemi minami Montluka, który wpadał w coraz większy ferwor; ale Saint-Pol zwrócił się do króla, że nie trzeba ufać temu waryatowi, któremu chodzi tylko o to, aby się bić. Obrażony Montluc odparł, że jeszcze nie oszalał, ale jest pewnym, że pobije nieprzyjaciela, »bo my jesteśmy pełni otuchy, a nieprzyjacieli w strachu«.

Montluc mówił z takim przekonaniem i z taką werwą, że nawet Saint-Pol zachwiał się, a król zupełnie się przechylił na stronę dzielnego żołnierza i tylko, jak zwykle monarchowie, rad był przecież zrzucić z siebie odpowiedzialność, a przelać ją na Pana Boga. Więc złożył ręce jakby do modlitwy i rzekł: »Mój Boże, błagam Cię, daj mi dobrą radę, co mam czynić, aby zachować moje królestwo i aby wszystko się stało ku Twej czci i sławie«. A gdy admirał zapytał króla o rozkaz, Franciszek I. zwrócił się do Montluka i z pewnem namaszczeniem powiedział: »Bijcie się, bijcie!«

Saint-Pol rad był także zrzucić z siebie odpowiedzialność, że energiczniej nie napierał na króla, aby nie pozwolił na wojnę; więc wychodząc od monarchy, powtarzał jeszcze Montlukowi, że na nim ciąży odpowiedzialność za wszystko, co się stanie. — »Nie obawiaj się, odrzekł Montluc, posłyszycie wkrótce, że z nieprzyjaciół zrobimy pasztet i że go zjemy, jeżeli nam będzie smakował«.

Francuzi zwyciężyli pod Ceresole, Montluc wygrał; ale pomimo swego bohaterstwa w takim był strachu, aby królowi słowa dotrzymał, iż w trzydzieści lat później pisał, że wówczas krew w nim zastygła i gdyby mu nieprzyjacieli zadał był dwie ciężkie rany swem żelazem, toby krew z niego nie była trysnęła.

II.

W jedenaście lat później zdarzyła się znowu wielka sposobność Montlukowi do okazania męstwa.

Rok 1552 był jednym z najfatalniejszych dla rządów Karola V. Panowanie we Włoszech coraz bardziej się cesarzowi z rąk wysuwało; nie mając nigdy dość pieniędzy, aby przeprowadzić swe śmiałe zamiary, musiał sprzedąć Koźmie Medyceuszowi księstwo Piombino za 200.000 skudów, a co gorsza, groziła mu utrata Syeny, najważniejszego oparcia jego wpływu we Włoszech.

Syena była rodzajem rzeczypospolitej pod protekcją cesarstwa; ciągle jednak spory pomiędzy szlachtą a ludem skłoniły partję popolanów prosić cesarza, aby wspierał rząd, świeżo przez nią zaprowadzony. Karol V. wysłał tam więc małą załogę hiszpańskiego wojska pod dowództwem Mendozy, wówczas jeszcze hiszpańskiego ambasadora w Rzymie. Podstępny Hiszpan starał się przekonać popolanów, że do utrzymania władzy koniecznem jest zbudowanie cytadeli. Ale ta forteca miała posłużyć do wzmocnienia wpływów cesarskich, a nie do uszczęśliwienia syeneńskiego ludu. Że zaś Mendoza był człowiekiem twardym, niesprawiedliwym, więc niebawem stosunki pomiędzy rzeczypospolitą a cesarstwem tak się zaostrzyły, że komuna syeneńska, pogodziwszy się ze szlachtą, udała się za pośrednictwem ambasady francuskiej w Rzymie do króla francuskiego, aby jej pomógł do zrzucenia jarzma cesarskiego. Sami zaś Syeneńczycy wyrzucili z miasta hiszpańską załogę i zburzyli aż do fundamentów grożącą im cytadelę. Ten fakt zaalarmował Cosima de'Medici, zwłaszcza, że Francuzi szybko przybyli w pomoc Syenie. Cosimo obawiał się tak bliskiego sąsiedztwa z Francuzami, zwłaszcza, że zawsze pragnął połączyć terytoryum syeneńskie z Florencją. Ponieważ jednak Karol V. zajęty był we Flandryi i nie miał dość wojska, aby przyjść Mendozie z pomocą, więc zręczny Medyceusz oświadczył cesarzowi, że on w jego imieniu zajmie Syenę pod warunkiem, że mu skarb cesarski zwróci później koszta tej wyprawy. Oczywiście Cosimo ani myślał oddać

Syeny Karolowi V., tem bardziej, że znając smutny stan cesarskich finansów, był przekonany, że cesarz zaciągniętych długów nie będzie mógł spłacić.

Cesarz przystał na pomoc Medyceusza, a Cosimo, chcąc zdobyć Syenę, postanowił powierzyć dowództwo swego wojska markizowi di Marignano, którego zwano we Włoszech il Medichino. Henryk II. natomiast mianował wodzem wojska francuskiego Piera Strozzi, jako jednego z największych wrogów Cosima. Piero był synem Filipa Strozzi, który w r. 1537 stanął na czele nieprzyjaciół rodu Medicich, chciał zaprowadzić rządy republikańskie, ale w tej rewolucyi zginął. Okazało się jednak, że wybór tego wodza stał się szkodliwym Francyi. Cosimo bowiem przypuszczał, że jeżeli Strozzi, najzawziętszy wróg jego rodziny, zapanuje nad Syeną, nie poprzestanie na tem zwycięstwie, ale zechce podbić dla siebie całą Toskanię. Nienawiść też do Medyceuszów zaślepiła go; więcej mu chodziło o vendettę, aniżeli o Syeneńczyków. Chciał się na Cosimie zemścić, dopuścił do walnej bitwy z Florentyńczykami, którą przegrał i ciężko ranny, zaledwie uciekł z małym oddziałem swoich żołnierzy.

Tymczasem jednak Syeneńczycy się zbroili, spodziewając się oblężenia, a Montluc, dowódca francuskiej załogi, użył całej energii, aby miasto zabezpieczyć przed napadem Florentyńczyków i w razie danym wytrzymać jak najdłuższe oblężenie. Oblężenie też trwało aż dziesięć miesięcy, w którym Montluc okazał całe swe bohaterstwo i upór niezłomny.

Warto się bliżej przypatrzeć temu żołnierzowi. Właśnie bawił w Agen, dość ciężko chory, gdy przybył kurjer Henryka II. z rozkazem, aby jak najprędzej udał się do Syeny. Lekarze sprzeciwiali się jego wyjazdowi; ale Montluc na nich nie zważał, obwiązano mu przeszło trzydzieści łokci bandażów około ciała i — pojechał.

W Tuluzie chcieli go profesorowie medycyny koniecznie wstrzymać od dalszej podróży. Montluc nie zważał na nich, ale pojechał aż do Montpellier; tam oświadczyli mu lekarze, że żyw nie dojedzie do Marsylii. Żołnierz nie usłuchał ich i przybył zdrow do Marsylii, a stamtąd do Syeny.

Przyjechał w chwili, kiedy Strozzi został przez cesarskich

pobity, a markiz di Marignano z dość silną armią obozował już pod murami miasta. Montluc jednak mógł się jeszcze dostać do Syeny, gdzie objął dowództwo nad wojskiem, złożonym z rozmaitych żywiołów, z Francuzów, Włochów, a nawet Niemców.

Oblężenie trwało dziesięć miesięcy, a Montluc opisał je w trzeciej księdze swych komentarzy. Jest to małe arcydzieło żołnierskiego stylu, stylu zresztą Gaskończyka, który w swych przemowach podtrzymuje humorem siły głodnej ludności i wyczerpanego wojska. Głód był straszny, ufność jednak, że Montluc przetrzyma cesarskich, dodaje otuchy. Ale Gaskończyk zapada na ciężką chorobę, dysenterya i febra go powaliły. Lekarze nie widzą ratunku, księża i panie syeneńskie modlą się za niego. Czując, że życie się kończy, zwołuje radę wojenną, która obraduje nad poddaniem miasta.

Tego umierający Gaskończyk znieść nie może; panowie radni odchodzą, Montluc każe sobie przynieść karmazynowe aksamitne spodnie ze złotymi wyszyciami, pochodzące z czasów, kiedy był zakochany i chciał się podobać swojej bogdanie. Następnie wdziewa koszulę z karmazynowego jedwabiu, również ozdobioną złotym haftem, wkłada na to wspinały pourpoint, zarzuca kołnierz z bawolej skóry, także z herbowymi złoceniami. Głowę przykrywa popielatym, jedwabnym kapeluszem, ozdobionym srebrnym sznurem i egretą z piór. Aby jednak nie wyglądać, jak wystrojony kościotrup, każe sobie przynieść greckiego wina; trochę pije, trochę spożywa w maczanym chlebie, policzki rękami naciera i przygląda się w zwierciadle. Na widok swej wystrojonej postaci śmiech go porywa. Przyprawdzają mu konia; z biedą wsiada na rumaka i jedzie do ratusza, gdzie się dalej odbywają narady, czy miasto poddać nieprzyjacielowi, czy nie.

Zdziwienie! Ten rycerz z tamtego świata zawstydza radnych; otucha wstępuje w zgromadzenie, postanawiają zmniejszyć jeszcze racje chleba, rozdawać końskie mięso i wytrwać. Kobiety idą naprawiać wały; jakaś dziewczyna wdziewa hełm, aby zastąpić swego chorego brata. Montluc staje się hasłem. Aby działać na upadających na duchu, urządza procesyę, każe się modlić, bo post już trwa za długo. Montluc radby jeszcze

pościć, ale Syeneńczycy nie mają już sił. Po dziesięciu miesiącach trzeba było ustąpić, aby ludność z głodu nie wymarła. Ale Montluc nie chciał podpisać kapitulacji; wymógł na nieprzyjacielu, że cała załoga wyszła z rozwiniętymi sztandarami, z bronią i ze swoim mieniem. Montluc jechał na czele na wychudłej szkapie, ale z miną, jak gdyby zdobył Syenę.

To była najpiękniejsza karta w jego życiu. Po powrocie do Francji zastał tam walki religijne.

III.

Widząc przed sobą hugenota, staje się zwierzęciem, dawna religijna nienawiść znów się w nim obudza.

Królowa Katarzyna wysłała go w r. 1562 do Guyenny, gdzie dowódcą był M. de Burie, człowiek uniarkowany, skłaniający się trochę do protestantyzmu, bądź jak bądź, człowiek ugodowy. To gniewało Montluca; onby nietylko przebił pierwszego lepszego hugenota, ale jeszcze po śmierci wydarł mu język i ciało wrzucił do rzeki. Więc odrazu popada w sprzeczność ze swoim przełożonym, łaknie krwi niedowiarków. »Sanguis super nos et super filios nostros!« woła do pana Burie, gdy ten nie chce dopuścić do walki. »Niech wina spada na mnie, dodaje, mam dość silne barki, aby ją znosić; ale ja będę dźwigał honor, a nie hańbę, a raczej legnę z brzuchem do słońca, aniżeli pofolguję nieprzyjaciolom króla i religii«.

Gdy usłyszał, że król nosi się z myślą ułożenia edyktów pacyfikacyjnych, pisze do monarchy, że tylko jeden jest sposób na przywrócenie pokoju »urządzić wielką rzeź, aby postrach odbił się aż o mury Rochelli«. Nie czeka też na pokojowe rozporządzenia, ale gdzie tylko spotka hugenota, każe go wieszac na drzewach koło drogi bez niepotrzebnych procesów i wyroków. Chwali się, że łatwo można poznać, kędy przeszedł, po wisielcach na gałęziach, bo jeden wisielca robi większe wrażenie, aniżeli stu zabitych. Jadąc, ma zawsze przy sobie dwóch katów, których nazywa swymi lokajami. W samej Tuluzie każe wywieszać 3.000 hugenotów i cieszy się, że

nigdy nie widział, aby naraz więcej głów spadło. Przy obaleniu jakiegoś pomniejszego gniazda hugenotów upada ciężko ranny; przybiegają przyjaciele, aby go ratować: »Idźcie, idźcie! woła, okażecie mi największą przyjaźń, jeżeli żaden z hugenotów żywy nie wyjdzie«. Kobiety jednak oszczędzały; ale Hiszpanie, będący w jego szeregach, mordowali wszystkie, mówiąc, że to są przebrani Luteranie. Kobiety też walczyły bez pamięci, rzucały kamienie z murów, zapelniały studnie trupami, aby zwycięzcy katolicy usychali z pragnienia.

Ale strasznym, krwiożerczym był Montluc tylko wobec nieprzyjaciela, z którym mógł walczyć otwarcie; rzezi w nocy św. Bartłomieja nie pochwałał, był zadowolony, że w niej nie musiał brać udziału, zanadto był żołnierzem. »Niech każdy za siebie odpowiada, mówił, ta katastrofa to rzecz króla; na sądzie ostatecznym staną oni obciążeni narzekaniem ładu, jękami wdów i sierot, tam niech się uniewinnią. Moje sumienie spokojne«.

Jednak nie ominęły go wielkie zgryzoty. Z dwóch żon miał dziesięcioro dzieci; córki bez posagów poszły do klasztoru, o żonach nic nie wspomina. Z czterech synów trzech stracił; jeden tylko pozostał, ulubieniec, ale obok niego najbardziej Montluc był przywiązany do swego tureckiego konia, »po dzieciach następował koń«. Niestety, rumak padł w jakiejś bitwie.

Dziwna była miłość do owego syna. Ten ulubieniec wdał się w ojca; odważny, dzielny żołnierz, zwano go kapitanem Peyrot, zebrał kilku towarzyszy i urządził wyprawę do Mozambique, aby tam założyć wojskową kolonię. Ale umarł po drodze, na Maderze. To był dla ojca cios, którego do śmierci nie przeboleał, tem bardziej, że robił sobie wyrzuty, że temu dziecku nigdy nie okazał miłości, którą dlań czuł w sercu. Chciał go zahartować na żołnierza, był więc dla niego surowym tyranem, zimnym, nigdy nie okazywał mu ojcowskiego przywiązania, nigdy nie mówił z nim po przyjacielsku. Syn zeszedł z tego świata w przekonaniu, że go ojciec nie kochał, że nie miał ojca.

To zatrzaśnięto ostatnie chwile starego Montluka.

W pamiętnikach swoich, w tych *Commentaires* zanadto

mówi o sobie, o swoich żołnierskich zasługach, ale wiąże czytelnika energią, sposobem opowiadania barwno-żołnierskim. A co jeszcze przyjemniejszym robi styl Montluka, to, że niema tam żadnych reminiscencyj ze starożytnych pisarzy, bo nasz marszałek nie umiał po łacinie, i jeżeli kiedy co czytał, to tylko po francusku. Nie silił się też na stylistyczne zwroty; rąbał, jak mógł, zbacał w opowiadaniu, gdy mu co innego przyszło do głowy, pisał po żołniersku.

Zanadto ściśle połączenie Opatrzności z mieczem, z żelazem, to jego wiara i hasło. Miał też dewizę:

Deo duce, ferro comite.

Na jego śmierć ułożono też sonet, którego początek tę myśl wyraża:

Créature de Dieu, j'eus Dieu toujours pour guide,
 Enfant de Mars je fus de fer accompagné,
 En cet age de fer où je fus desseigné
 Pour manier un fer, instrument homicide.

BRANTÔME.

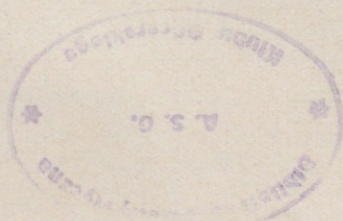
I.

Brantôme zrosł się z epoką Walezyuszów nietylko za życia, ale i po śmierci, swemi pismami. Nagromadził bez liku faktów, tyjących się owej epoki, nie zawsze odznaczających się bezwzględną moralnością, ale w każdym razie charakteryzujących dwór i społeczeństwo Walezyuszów.

Wojna i rozkosze wśród pań i panien ruchomej gwardyi kobiecej Katarzyny medycejskiej, to jego żywioł. Obracał się tam, znał wszystko i wszystkich, a gdy przy końcu dni swoich ciężko się poranił, spadłszy z konia, wracał przy najmniej myślą do królewskich salonów i spisywał swe książki pełne charakterystyk ludzi i anegdot. Dopomagała mu w tej mierze wyborna pamięć.



Brantôme.



Należał on do arystokratycznej rodziny panów de Bourdeille w południowej Francji, w Perigord; był z krwi i kości Gaskończykiem. Ród panów de Bourdeille zawsze się włóczył po świecie, żaden z nich nie mógł usiedzieć w ojcystym zamku. Podróżowali i wojowali, krew szczerze gaskońska w nich płynęła. Ojciec Brantôme, François de Bourdeille, uciekł z rodzicielskiego domu, aby brać udział we włoskiej wojnie i prowadzić awanturniczy żywot. Był to wesoły towarzysz, który przed żadną wielkością nie bił czołem i wobec najwyższych położonych osobistości zachowywał się poufale, jakby wobec równych sobie. To też papież Juliusz II. bardzo go polubił. Razu pewnego grali ze sobą w kości i papież wygrał trzysta talarów, a nadto piękne konie Gaskończyka i jego powozy. Przegrawszy całe podróżne mienie, rozgniewał się François i powiedział Juliuszowi II.: »Chadieu bénit (bo to było jego przysłowie), graj, papieżu, o jedno z moich uszu; jeżeli przegram, to w przeciągu ośmiu dni obetnę je i możesz sobie z niego zrobić pasztet«. Papież się roześmiał i przystał na żądanie, sądząc, że Gaskończyk się odegra. Tak się też stało. François odzyskał przegraną z wyjątkiem wybornego konia kłusaka, małego konia hiszpańskiego i pięknej mulicy. Ale żał mu było konia hiszpańskiego; prosił więc Juliusza II., aby mu odstąpił tego rumaka za pieniądze; kłusaka może sobie zostawić, bo łatwo z niego spaść i kark sobie skrócić, mulica także niebezpieczna, można z niej zsiąć z połamaną nogą. Papież jeszcze bardziej się roześmiał i powiedział Gaskończykowi, że mu odda obydwie konie, ale zatrzyma mulicę i da mu za nią dwie inne pod warunkiem, że François pojedzie z nim do Rzymu i będzie mu przez dwa miesiące towarzyszył. »Nic cię ta podróż nie będzie kosztowała«, dodał Juliusz II. »Chadieu, papieżu, odpowiedział Francuz, gdybyś mi dał swoją mitrę i calotę, nie opuściłbym dla Twojej przyjemności mojego jenerała i moich towarzyszy«.

Juliuszowi tak się podobała ta śmiałość Gaskończyka, że na pożegnanie zapytał go, czem mu się może przysłużyć. »Dyspensą, rzekł François, abym mógł w poście jeść z masłem, bo nie mogę się przyzwyczaić do oliwy i oleju z orzechów«. Papież uczynił zadość jego żądaniu i kazał mu wydać

odpowiednią bullę, która, jak zapewnia Brantôme, jeszcze za jego życia znajdowała się w rodzinnem archiwum.

Brantôme, właściwie Pierre de Bourdeilles, urodził się pomiędzy r. 1539 a 1542, a umarł mając lat 72 albo 75. Już w latach dziecińczych był »dworzaninem«, bo ze swoją babką, zwaną »la sénéchale de Poitou«, bawił na dworze królowej Nawarry. Następnie posłano go do jakiegoś kollegium w Paryżu, a później na uniwersytet w Poitiers. Ponieważ jego brat, kapitan Jean de Bourdeille, zginął przy oblężeniu miasta Chîmay, więc Henryk II. w nagrodę tej rodzinnej waleczności dał mu, jeszcze jako studentowi, opactwo Brantôme, aby miał większe dochody. Odtąd, przynajmniej w aktach oficjalnych, nazywano go »révérend père en Dieu, abbé de Brantôme« i to miano pozostało mu już na zawsze. Opactwo musiało być wydzierżawione, jak to wówczas zwykle się działo, a opat objął je dopiero w r. 1557.

W paryskim Kollegium i na uniwersytecie widocznie nasz student niewiele się nauczył po łacinie i nigdy nie doprowadził do wysokiej wiedzy klasycznej. W tej mierze brak mu też było krytycznego zmysłu; gdy bowiem Marguerita de Valois przemawiała po łacinie do polskich posłów, tak mu się podobała łacina pięknej księżniczki, że wobec jej oracyi wyśmiewał się z biednego Cycerona.

Na dokończenie światowej edukacyi udał się Brantôme na dwór Walezyuszów, gdzie jego siostra Magdalena była już panną honorową królowej Katarzyny, a po śmierci matki w r. 1557 puścił się w świat. Henryk II. dał mu mały fundusz na drogę, pozwolewszy wyrąbać część królewskiego lasu w Saint-Yrieix. Wtedy i królowie nie miewali gotówki.

Oczywiście najprzód udał się do Włoch (1558); ale na sztukach pięknych nic się nie rozumiał, najwięcej go zajmowały piękne kobiety i rzeczy, tyżące się rycerskiego rzemiosła.

W Rzymie też porównywał starożytne ruiny z kobietami, »które z biegiem lat zachowują swą urodę tylko od pasa do stóp«. Tyczyło się to może Kolosseum, które już u góry się rozpadało i tylko dolne piętra były nienaruszone. Chwali sobie florentyńskie kobiety, ale gniewa go, że za platoniczną roz-

mowę każą sobie płacić takie honorarium, jak za »conversation entière«. Zresztą musiał niemało korzystać z tych »konwersacyj«, bo w swych pismach zanotował dużo anegdotek i historyjek, które pochodzą z tego źródła. Bawił we Włoszech półtora roku i wrażenia swoje opisał podobno w autobiografii, która niestety zaginęła.

W Kapui spotkał Francuza, który był trębaczem w wojsku connetabla Bourbona podczas oblężenia Rzymu, a później, nie mając się z trzego utrzymać, został ciceronem i oprowadzał cudzoziemców. Z tym Francuzem pojechał do Neapolu, a w rozmowach z nim najwięcej, jak się zdaje, zajmowały go opisy żołnierskich miłostek z Rzymiankami. Powróciwszy do Rzymu, zastał tam kardynała Franciszka de Lorraine, który przybył na conclave po śmierci Pawła IV. (18. sierpnia 1559). Kardynał przyplłynął do Cività-Vecchia aż w szesnaście galer, w licznej otoczeniu, a ponieważ conclave ciągnęło się w nieskończoność, więc popłynął na krótki czas do Neapolu i zabrał ze sobą także Brantôme.

Zawitawszy do portu w Neapolu, prosił kardynał wicekróla, księcia d'Alcala, o pozwolenie zwiedzenia miasta, a przede wszystkim na pokropienie święconą wodą grobów swych francuskich poprzedników, którzy tam są pochowani. Księżę d'Alcala, grzeczny i pyszny Hiszpan, przysłał po Francuzów sto koni rozmaitych ras, jeden piękniejszy od drugiego, w rzędach z aksamitu, haftowanego złotem i srebrem. Kardynał wsiadł na hiszpańskiego rumaka, który tak pięknie się nosił, tak wspaniale stąpał, że warto się było przypatrzeć temu uczonemu paradyerowi. Kardynał umiał prowadzić Hiszpana, a że był wysokim i zręcznym mężczyzną, więc wspaniale wyglądał, o czem długo mówiono. W licznej towarzystwie neapolitańskich dygnitarzy zajechał Franciszek do Lorraine do wicekrólewskiego pałacu, a księżę d'Alcala przyjmował go wraz z rycerstwem w najgodniejszy sposób, a mógł to uczynić, dodaje Brantôme, bo zarobił na tych odwiedzinach dwadzieścia tysięcy talarów. Otoczenie kardynała zostało pomieszczone w pałacach neapolitańskiej arystokracji.

Działo się tym panom dobrze; zaledwie wyszli zrana ze swych pokoi, a już się ich pytano, jak się chcą zabawiać i ja-

kie robić spacery. Czekwały na nich konie i powozy; każdy spędzał dzień na swój sposób; brakowało im tylko kobiet zacnych a znakomitych, bo innych było dostatecznie. Temu zaradziła markiza del Gouast, prowadząca wielki dom; jednego dnia posłała swego dworzanina do kardynała z zapytaniem, czy jej pleć i zwyczaj francuski pozwala, aby go odwiedzić. Kardynał oczywiście uprzedził ją swą wizytą, pojechał do markizy z dworzanami i był tam przyjęty »con mas gran sosciego«, z największą uprzejmością i powagą. Bywał też u niej codziennie, zwłaszcza że Francuzi spotykali tam panie wyższego towarzystwa. Markiza miała dwie córki, z których jedna bardzo się kardynałowi podobała. Tańczono, śmiano się, bawiono w gry i rozmawiano skromnie i przyzwoicie. Kardynał udawał, że go stara markiza bardzo zajmuje, ale tylko na to, aby się nie zdradzić, że właściwie córka go więcej obchodzi »per adumbrar la cosa«.

Po objęciu rządów przez Piusa IV., (26. grudnia 1559) opuścił Brantôme Włochy i natrafił w drodze z Liworna do Genuy na straszną burzę, której powodem było »błuznierstwo kapitana okrętu«. Grał kapitan z jakimś towarzyszem w kości i ciągle przegrywał; wziął się, żeby mu wyszła czternastka i ze złością zawołał: »Fa quatordici messer Domino Dio, o tu perdi un'anima christiana«, »Daj czternastkę Panie Boże, albo utracisz duszę chrześcijańską«.

Mimo tego wezwania przegrał trzysta talarów, pogniwał się na Pana Boga i wrzucił kości do morza. Wskutek tego powstała owa straszna burza.

We Francyi natrafił Brantôme w lutym 1560 na festyny w królewskim zamku, w Amboise. Pomiędzy innymi zabawami biegano do pierścienia. Wielki przeor-kardynał dosiadł barberyjskiego rumaka i był przebrany za cygankę w masce, w wielkim okrągłym kapeluszu, w suknię aksamitną, a na lewym ramieniu trzymał zamiast niemowlęcia małą małpkę zawiniętą, jakby w pieluchy, z czego się bardzo ubawiono. Ale koń się spłoszył pod tym niezwykłym jeźdźcem i po czwartym biegu musiano małpkę porzucić.

Partner kardynała, M. de Nemours, także w masce, ustroił się za zamożną mieszczańkę, w ubraniu z czarnego

sukna, z wielką torbą u boku i pękiem kluczy na grubym srebrnym łańcuchu.

W czasie pobytu w Amboise bardzo się zbliżył Brantôme do księcia Franciszka de Guise, który sobie umiał pozyskać cały dwór, tak dalece, że po śmierci Franciszka II. dworzanie piechotą odbyli pielgrzymkę do Notre-Dame-de-Lerry, pozostawiając króla Karola IX. prawie samego w zamku, co oczywiście gniewało i króla i Katarzynę.

Wkrótce Katarzyna tak dokuczyła Maryi Stuart, że królowa szkocka postanowiła udać się do swego kraju. Kardynał de Lorraine ją odprowadził, a w jego towarzystwie był i Brantôme.

Oprócz pożegnania się z Maryą Stuart największe wrazenie na Brantôme zrobiło odkrycie w Szkocji czarnych psów rasy de Périgord, które ojciec króla Henryka angielskiego sprowadził był w roku 1520 z Francji.

Po raz drugi był Brantôme w Anglii, towarzysząc w roku 1578 dukowi d'Anjou, którego starania wówczas o rękę królowej Elżbiety bardzo się niefortunnie skończyły.

Następnie brał nasz dworzanin udział w pierwszej wojnie pomiędzy katolikami a hugenotami, wojnie bratobójczej, w której z jednej i z drugiej strony mordowano się i rabowano wszystko, co tylko zabrać było można. W tych walkach brały także udział odważne kobiety, nieraz z małymi dziećmi, zawieszonymi u szyi. Walka religijna rozdarła społeczeństwo, a podzegli ją po większej części wielcy panowie, którzy widzieli w niej własne korzyści. W wojnie o religię zapomniano zupełnie o religii. Magnaci katoliccy rabowali relikwiarze w kościołach i kazali je przetapiać na monety z wizerunkiem Karola IX., a najwięcej korzyści, jak zawsze w tego rodzaju zamieszkach, odnosili lichwiarze. Ale i sam król miał z rabunków po kościołach olbrzymie zyski, gdyż z pozwoleniem papieża sprzedawano relikwie i kosztowności kościelne. Rzym pozwalał, gdyż z tej sprzedaży dostawał pewną część uzyskanej sumy. Francya była jeszcze tak bogata, że cesarz Maksymilian porównywał króla Francji do pasterza trzody o złotym runie, które można było strzyc, kiedy się chciało.

Jeszcze w r. 1569 donosił ambasador wenecki swemu rządowi, że króla francuskiego nazywają królem trzody.

II.

W jakiś czas po bitwie pod Dreux nastąpiła przerwa w bratobójczych walkach. Brantôme stracił dwóch wielkich swych protektorów, księcia de Guise i jego brata, wielkiego przeora, który umarł na zapalenie płuc. A że panował pokój w kraju, więc Gaskończykowi nudziło się, szukał rycerskiego zajęcia. Właśnie przygotowywał Filip II. wyprawę na marokańskie wybrzeże. W Maładze zbierało się rycerstwo, żądne wojowniczych awantur, i żołnierze bez zajęcia. Najwięcej przybyło Włochów, Portugalczyków i maltańskich rycerzy. Brantôme jechał na Portugalie, gdzie otrzymał od króla order »L'Habito de Christo«, z czego był bardzo dumny, a od królowej jakieś ziele na ból zębów, które trzeba było tylko trzymać na dłoni, aby ból zupełnie przeszedł. Chwilowe cierpienie nie przeszkadzało mu wszakże w zawiązywaniu częstych romansów w Portugalii i Hiszpanii, gdzie sobie chwali gorące promienie słońca, gdyż rozpalają namiętności u kobiet, podobnie jak na Wschodzie.

Podczas swego pobytu w Hiszpanii słyszał Brantôme o słynnym espadzie, którego żywot był dowodem, że i tam vendetta głęboko tkwiła w obyczajach ludzi. Ów espada, nazwiskiem Antonio Roques, chciał zostać księdzem; gdy jednak szedł do ołtarza, aby po raz pierwszy mszę odprawić, stanęła mu matka w drodze, wołając: »Nieszczęśliwce, przeklinam cię, bo zamiast pomścić śmierć twego ojca, chcesz mszę odprawiać!« Antonio się zwrócił, położył kielich w zakrystyi i został jednym z najdzielniejszych i najzręczniejszych wojowników.

Zanim Brantôme udał się z Hiszpanii na dalsze wyprawy, brał jeszcze udział w zjeździe w Bayonne, towarzysząc dukowi d'Anjou, gdzie Francuzi wystąpili z niesłychanym zbytkiem. Festyny następowały po festynach, poprzywożono tam najkosztowniejsze meble i sprzęty z zamków królewskich,

ściany obwieszono słynnemi flamandzkimi kobiercami, przedstawiającemi tryumf Scypiona, które swego czasu kupił Franciszek I. za 22.000 talarów. Brantôme opowiada przy tej sposobności o fakcie, malującym nadzwyczajną dumę hiszpańską. Pomiędzy dworzanami królowej Elżbiety znajdowała się wielkiej piękności panna Magdalena de Giron. Otóż ta panna potknęła się podczas procesyi Bożego Ciała i upadła, a jeden ze szlachty francuskiej przyskoczył i starał się ją podnieść. Ale Hiszpanka odepchnęła go gniewnie, mówiąc: »Jaka niegrzeczność francuska!« Hiszpanie mieli się za wyższych w towarzyskiej oglądzie od Francuzów.

Po bajonkich festynach nadarzyła się Brantómowi znowu sposobność do wojennej wyprawy. W r. 1565 udał się Wielki mistrz maltański do książąt chrześcijańskich z prośbą, aby go wsparli pieniędzmi i ludźmi w wojnie przeciw sultanowi Solimanowi. Królowa Katarzyna nie miała ochoty wdawać się w tę awanturę, bo skarb po festynach w Bayonnie był wyczerpany, a nadto istniał alians pomiędzy Francją a Turcją przeciw domowi austriackiemu. Ale wielu Francuzów za nadto lubiło awanturnicze wyprawy, aby się oglądać na politykę państwa. Bez wiedzy więc rządu zebrała się garstka ochotników, która postanowiła pomagać maltańczykom. Należał do niej Brantôme, a nawet Strozzi, którego Francuzi nazywali d'Estrozze. Pomimo swego pokrewieństwa z królową Katarzyną nie opowiedział się Medyceuszce ani królowi, ale postanowił walczyć z niewiernymi. Tym ochotnikom chodziło o rozrywkę; chcieli uniknąć monotonii francuskiego dworu, więc zatrzymywali się to w Medyolanie, to w Rzymie, wszędzie się dobrze bawiąc. Sykstus V. dał każdemu z nich Agnus Dei, mający ich chronić od niebezpieczeństwa. W Neapolu, w Sycylii, przyjmowano ich gościnnie, a Brantôme chwali sobie tę »bonne chère«, o którą mu bardzo chodziło.

W tej francuskiej szlachcie krążyła taka krew awanturnicza, że młody książę Guise zebrał oddział podobnych do siebie młodzieńców i pojechał do Węgier, aby walczyć z Turkami, a znowu inna grupa samych hugenotów, do których należał Villeconnin, naturalny syn Franciszka I., udała się do Konstantynopola szukać przygód.

Podczas swego trzymiesięcznego pobytu na Malcie brał Brantôme kilka razy udział w mniejszych wyprawach aż do Grecyi, co mu się tak podobało, że pisał, iż woli pobyt w tych obcych miejscowościach, aniżeli w ojczyźnie, z usposobienia bowiem jest takim włóczęgą, że mu cudzy dom bardziej się podoba, aniżeli własny. Ale mimo to po owych trzech miesiącach wrócił ze Strozim do Francyi, zatrzymując się w Rzymie, w Medyolanie i w Wenecyi.

W Rzymie o mało że ich nie spotkała przykra przygoda. Nie wiele myśląc, jedli mięso w wigilię święta Wniebowzięcia Matki Boskiej. Na nieszczęście dowiedziała się o tem inkwizycja i oskarżyła ich przed papieżem. Pius V. uniewinnił ich wszakże, sądząc, że jako wojskowi, pędzący światem, nie mogli tak, jak księża, wiedzieć o wszystkich postach. Zamilczeli jednak, że w ich towarzystwie było około pięćdziesięciu hugenotów; bo gdyby inkwizytorowie byli się o tem dowiedzieli, rzecz nie poszłaby tak gładko.

W Medyolanie zatrzymał się Brantôme cały miesiąc, aby brać lekcy fechtunku u sławnego mistrza, zwanego le grand Tappe, który niemało się przyczynił do rozpowszechnienia zarazy pojedynek. Nie było dnia w Medyolanie, aby się na ulicy nie spotkało młodzieży, szukającej zaczepki, z czego zaraz na miejscu wynikały bijatyki i zabójstwa, tak że się widywało mnóstwo umarłych na trotoarach.

W Wenecyi zaszedł Brantôme do wielkiej drukarni i zażądał pięknego wydania dzieł Petrarki, co zdziwiło drukarza, że Francuz wyżej ceni włoskiego poetę, aniżeli swego Ronsarda. »Przecież wasz Ronsard, zauważył Włoch, dwa razy tyle wart, co nasz Petrarka?»

III.

Jednym z głównych powodów awanturniczych wypraw szlachty francuskiej była nadzieja obłowienia się cudzem mieniem, rabunek. W wysokim stopniu kwitło też pomiędzy nimi korsarstwo; zdobywszy się na kilka okręciaków, puszczali się na morze, czyhając osobliwie na ładowne statki holenderskich

kupców lub na hiszpańskie galery, wiozące złoto z Ameryki. Nie pogardzali nawet tem rzemiosłem królowie, a »gouvernante des Pays-Bas« wysłała w r. 1550 flotylę, która miała czyhać na obładowane okręty marszałka Saint-André, płynącego do Anglii celem podpisania pokoju pomiędzy Henrykiem II. a Edwardem VI. Także Wielki przeor, Franciszek de Lorraine, wysłał dwanaście galer na wody lewantyńskie, aby obrabować weneckie okręty; ale wyprawa się nie udała, bo Weneccyanie tak dobrze strzelali, że lieutenant Beaulieu-Chastaigner musiał ze swemi galerami uciekać. Brantómowi także się podobaly te zyskowe wyprawy; więc wynajął kilka okrętów, które na jego rachunek uprawiały korsarstwo na Śródziemnym morzu.

To nie wystarczało jego awanturniczemu duchowi, więc zaciągnął się »dla rozrywki« do armii hiszpańskiej, płynącej pod Lepanto; ale namyślił się wraz ze Strozzi, że korzystniej będzie czatować na hiszpańskie złoto płynące z Peru. Tymczasem jednak nadeszły smutne czasy po rzezi św. Bartłomieja. Brantôme został we Francyi; ale Strozzi nie zaniechał swej wyprawy do Ameryki, wysłał tam swego kapitana Jana Testu; kapitan jednak zginął, atakując Hiszpanów, prowadzących muły z Panamy, obciążone trzema milionami złota. Ta piraterya najznakomitszych dostojników Francyi trwała aż do końca XVII. wieku.

Brantómowi nie zabrakło zresztą sposobności do wojennej rozrywki, albowiem w r. 1567 wybuchła druga wojna domowa, w której brał udział po stronie katolickiej, jako prosty kapitan. Gdy jednak pokój w Chartres, zwany także de Longjumeau (23. marca 1568), został zawarty, a Franciszek Cocqueville ze swym oddziałem, nie mając zajęcia, zaczął rabować Pikardyę, Brantôme znowu walczył w wojsku królewskim, które miało za zadanie zniszczyć tych bandytów. Bryganci zostali pokonani, a trzech przewodców ścięto w Abbeville. Te trzy głowy zawieziono w podarunku królowi do Paryża, który je na własne oczy oglądał, a następnie kazał wystawić na placu de Grève z podpisami, zaznaczającemi z wszelką dokładnością nazwiska i tytuły zbrodniarzy.

Nasz bohater przyjechał z temi trofeami do Paryża i tra-

fił tam na kazanie biskupa Armanda Sorbin, który się wyraził na ambonie, że wolałby po sto razy Turków, niżeli hugenotów. To porównanie oburzyło wielu słuchaczy, a ponieważ Brantôme miał mnóstwo przyjaciół pomiędzy protestantami, ludzi bardzo zacnych, więc niewiele się namyślając, z gniewu na nietoleranckiego biskupa został hugenotem. Wprawdzie znowu później, zdaje się, że z powodu stosunków z dworem, powrócił do katolicyzmu, ale w duchu został już do śmierci na pół protestantem, ponieważ więcej cenił hugenotów, aniżeli katolików. Starał się, podobnie jak wielu innych, nie używać słowa Bóg, ale omijać je, mówiąc »Fortuna« albo »Niebo«; wogóle w pojęciach tych na pół katolików, a na pół protestantów spotyka się najzabawniejsze sprzeczności, jak np. bóstw greckich nie uważali bynajmniej za istoty, stworzone wyobraźnią, lecz zdawało im się, że to były bóstwa z ciała i kości. Przedewszystkiem Wenera, ta »słodka święta«, jak ją Montaigne nazywa, istniała dla Brantôme w rzeczywistości, że zaś bogowie i ziemianie tak jej pożąдали, łatwo wytłumaczyć, bo obok piękności nadzwyczaj się o to starała, aby być ładnie ubraną, a takie miała perfumy, że zdaleka czuć ją było przyjemnie. Przeciwnie, Mars trochę przypominał Henryka Bearneńczyka; zawsze był brudny, zapocony, czarny od kurzu i sadzy i nie uważał za stosowne wymyć się i uperfumować, gdy się zbliżał do łoża Wenery.

Te pojęcia pogańsko-chrześcijańskie jeszcze bardziej były zagmatwane najzabawniejszemi zabobonami, a Brantôme oczywiście wierzył w czarownice, radził się ich nawet w ważnych chwilach życia. Czarownice i wróżbiarki tak były w modzie, że jak utrzymuje L'Estoile, liczono ich w Paryżu aż 30.000. Przed bitwą lub pojedynkiem dawały rycerzom kartki z jakimiś kabalistycznymi znakami, które ich miały strzec od nieszczęść. Brantôme przyznaje się, że do bitwy szedł z pewnym niepokojem; ale znalazłszy się w tłumie wojowników, w rzeczywistym niebezpieczeństwie, zapominał o świecie i był walecznym, jak mniej więcej każdy rycerz francuski. W trzeciej wojnie religijnej nie brakło go także; ale po bitwie pod Jarnac dostał tak strasznej febry, że musiał pojechać do domu i leczyć się przez dziewięć miesięcy.

Nadeszła noc św. Bartłomieja. Brantôme czuł się zadowolonym, aby jak powiada, brać udział w tej rzezi, będącej rzeczą katów, a nie szlacheckich rycerzy. Uważa się on za szczęśliwego, że nie należał do tej tragedii, w której król Karol IX. zbrukał swe ręce. Niektórzy jego towarzysze zarobili na rabunkach w nocy św. Bartłomieja po dziesięć tysięcy talarów; on nie żałuje, że go ominęły te krwawe zyski. Pomimo że chwilowo protestant, znalazł się w królewskim wojsku pod Rochellą.

Podczas tego długotrwałego oblężenia zbliżył się bardzo do księcia de Guise, który mu nawet ofiarował miecz posrebrzany za zasługi wojskowe, a od księcia de Condé otrzymał tarczę, okrytą czarnym aksamitem, jako dowód przyjaźni. Brantôme był bardzo tkliwy na takie podarunki od wielkich panów, więc notował w swych pismach każde odznaczenie. Nawet to mu bardzo pochlebiało, że raz księżę Guise pozwolił mu usiąść przy sobie na murawie i prowadził z nim dłuższą pogadankę. W toku rozmowy przyszli ci urodzeni żołnierze do przekonania, że jeżeli honor lub miłość popycha człowieka do czynu, to nic mu nie zdaje się być niemożliwym. Wtedy znosi z łatwością zimno i gorąco, głód lub pragnienie, rany i bole, podobnie jak szlachecki rumak hiszpański łatwiej znosi wszelkie trudy, aniżeli ciężki koń niemiecki.

Do zawarcia pokoju z Rochellą (6. lipca 1573) przyczyniło się niemało i to, że ajenci francuscy w Polsce wzywali księcia d'Anjou, aby jak najprędzej objął panowanie nad swym nowym królestwem. Duc d'Anjou śpieszył się więc, ale jak Brantôme zauważył, księżę nie znalazłszy »tego migdała w placku, który się w Krakowie spożyć spodziewał«, byłby wolał zostać pod Rochellą, aniżeli w tem »Royaume de Pologne«.

IV.

Duc d'Anjou pojechał do Polski, a Brantôme wrócił do Paryża, gdzie bawił podczas śmierci Karola IX. Gorszyły go spory pomiędzy parlamentem, szlachtą a duchowieństwem

w pochodzie pogrzebowym z Notre-Dame i ten brak miłości i uszanowania dla zmarłego króla. Zaledwie orszak pogrzebowy doszedł do kościoła Saint-Lazare, a już wszyscy dygnitarze, którzy przed chwilą spierali się o pierwszeństwo, rozpierchli się na wszystkie strony i tylko on ze Strozsim i jeszcze z dwoma szlachcicami odprowadzili ciało do Saint-Denis. Ci, którzy Karola IX. nigdy za życia nie chcieli odstąpić, zaraz po śmierci o nim zapomnieli.

Henryk III. mianował Brantôma »gentilhomme de la chambre« (1575) i wskutek tego skończyła się karyera wojskowa naszego Gaskończyka. Towarzyszył dworowi w jego częstych peregrynacjach i tak się wciągnął w to życie, że go najczęściej zajmowały miłosne intrygi, pojedynki, morderstwa, które się za Henryka III. łączyły z życiem dworskiem. Z tej epoki wyniósł znaczną część swych anegdotycznych wspomnień, które stanowiły najważniejszą treść jego pism.

Ponieważ zawsze platonicznie kochał się w królowej Marguericie, więc towarzyszył jej w r. 1578, gdy z Paryża wracała do męża do południowej Francji. Z tej podróży zanotował przede wszystkim, jak pięknie wyglądała Marguerita, przyjmując deputację w Bordeaux, i wielkie wrażenie, jakie wywarła na szlachtę wiadomością, że król ustanowił nowy order du Saint-Éspirit, bo dotychczasowy order świętego Michała tak już był spospolitowany, że go nazywano »Le collier à toutes bêtes«. Osobliwie wysmiewa się Brantôme z postanowienia statutów nowego orderu, że tym rycerzom nie wolno się było pojedynkować, tudzież, że na wielką skalę zaczęto fabrykować drzewa genealogiczne, aby udowodnić, że kandydat do orderu pochodzi z dawnego rodu.

Król dał i jemu order św. Michała; ale gniewało go, że jego sąsiad, taki Michel de Montaigne, dostał tego samego zaszczytu, pomimo że pisał tylko swe »Essais«, a broń Boże, nigdy nie zamienił pióra na miecz.

Brantôme miał różne »dworskie« bole i przykrości. Należał on do tej kategorii królewskich towarzyszy, których zwano »petits compagnons«; pocieszał się jednak związkami ze znakomitemi rodami. Gdy wszakże mimo długiej służby omijały go zaszczyty i większe dochody, zaczął się buntować

i narzekał, że monarchowie nie mogą się obejść bez szlachty, która wspiera armię królewską i zapełnia salony dworskie. »Największa sztuka i zasługa królów, że chcąc się wynieść nad innych śmiertelników, powiedzieli sobie, że nasze życie do nich należy, że się nami posługują jakby złotą lub srebrną monetą, a jak się moneta zużyła, starła, nie troszczą się więcej o nią. Przy tej lub owej sposobności posyłają nas »do dyabła«.

Zupełnie się jednak zniechęcił, gdy Henryk III. przyobiegał mu po śmierci brata, pana de Bourdeille, posadę senechala de Périgord, a obietnicy tej nie dotrzymał. Rozżalony dworzanie rzucił pozłacany klucz od królewskich pokoiów do rzeki i zaprzysiął sobie, że się nie pokaże na królewskich salonach. Postanowił sprzedać swoją posiadłość we Francji i pójść służyć królowi hiszpańskiemu. Ale Liga zaczęła się wzmagać, wewnętrzne niepokoje burzyły całą Francję, nikt nie chciał kupować ziemskich majątków, a bez gotówki nie można było puszczać się do Hiszpanii.

Co gorsza jednak, spadł z konia (1583), który go przewrócił i poszarpał ścięgna. Biedak musiał cztery lata leżeć w łóżku w strasznych bólach, a nie mogąc nic robić, pisał swoje wspomnienia i charakterystyki osób, które lepiej poznał. Temu nieszczęśliwemu dłań wypadkowi zawdzięczamy, że został autorem, który niemało się przyczynił do scharakteryzowania epoki Walezyuszów.

Powstawszy z łoża boleści, na którym więcej wycierpiał, jak »najbiedniejszy kryminalista«, pojechał jeszcze do Paryża; ale przekonawszy się, że stolica lepsza jest do tego, aby w niej żyć, aniżeli, aby tam umierać, powrócił na prowincję, do swego majątku. Stamtąd jeszcze zrobił wycieczkę w r. 1590 do królowej Marguerity, do Usson, a przez resztę życia zajął się spisywaniem i poprawianiem swoich ksiąg, co mu przychodziło z wielką trudnością z powodu połamanej ręki. Nie umiał się jednak pogodzić ze starością i do końca życia żałował swych lat młodych, »wobec których nikną wszelkie cesarstwa i królestwa«. Narzekał też na szczupłe dochody, które nie musiały być tak małe, skoro na kilka lat przed śmiercią wybudował wspaniały zamek w Richemont, na pagórku, poło-

żonym niedaleko od opactwa Brantôme. W zamku znajdowała się kaplica, w której się kazał pochować, ozdobiona od góry do dołu trupiami główkami, przedzielonemi herbami rodu Bourdeille.

Wskutek choroby stał się zgryźliwym; procesował się z krewnymi, z sąsiadami, ze swymi zakonnikami, posądzając ich o niewdzięczność. W testamencie kazał swoim sukcesorom dalej prowadzić zaczęte procesy i nie załatwiać sporów ugodami.

Umarł 5. lipca 1614, a jak przystało dworzaninowi Walezyuszów, pozostawił dużo długów, które przekazał swoim sukcesorom.

W testamencie ważny ustęp zajmują przepisy co do wydawnictwa jego dzieł, co mu widocznie bardzo leżało na sercu. Obawiał się, aby w przyszłości pisma te nie wyszły pod jakim obcym nazwiskiem, aby kto inny z jego sławy nie korzystał. Spadkobiercom nie wolno było objąć dziedzictwa, dopóki nie wydrukowali jego książek. Pierwszy tom miał być pięknie w aksamit oprawny i ofiarowany królowej Marguericie.

Mimo tych zastrzeżeń sukcesorowie nie wydrukowali dzieł swego dobrodzieja, może z obawy skandalu, może z tego powodu, że nie otrzymali potrzebnego od króla przywileju. Pierwszy tom *Les Dames illustres* wyszedł dopiero w roku 1665, w Leyde.

W pismach Brantôme zacierają się zupełnie różnica pomiędzy cnotą a błędem, a nawet występkiem. Nie rozumiał on, podobnie jak wielu jemu współczesnych dworzan, gdzie się kończy cnota, a gdzie się zaczyna zbrodnia. Z tego powodu nie stara się bynajmniej ukrywać brzydot swego społeczeństwa, uważając je za coś zupełnie naturalnego. Wobec kobiet wyższego świata jest wielkim pochlebcą, prawie każda z nich jest piękną, dobrą, szlachetną; nie można więc bezwzględnie ufać jego sądom. Przedewszystkiem stosuje inną skalę moralności do małych szlachcianek i mieszczek, a inną do wielkich pań. Pierwsze powinny być wierne mężom, drugie, prze-

ciwnie, mają rzucać, jak słońce, swe promienie i światłem i ciepłem ogrzewać całe otoczenie. Annę Bretonkę uważa za kobietę mściwą; ale ponieważ jest królową, więc zaraz dodaje, że mściwość nie jest czemś złym, bo przecież zemsta jest słodkim uczuciem. Co go zawsze zachwyca, to energia charakteru, że tak powiem, tężyzna, tudzież namiętność, choćby celem jej była zbrodnia. Tem się tłumaczą jego sympaty do Walezyuszów, jego uwielbienia królowej Katarzyny.

Ze stanowiska literackiego arcyzmu pisma Brantôme niewielką mają wartość; przeskakuje on z przedmiotu na przedmiot, co chwilę schodzi, że tak powiem, na bezdroża, ale te braki pisarskie chętnie mu się przebacza, bo zebrał mnóstwo zajmujących rysów swego społeczeństwa i stworzył prawie encyklopedyę biograficzną współczesnych osobistości.

- Le Signe Agrippa. Theologie des Cerebrs complets.* Paris, A. Lemerre, 1877.
- Bechet. La diplomatie vénétienne.* Paris, 1852.
- Bellifol Louis. Le siècle de la Renaissance.* Paris, Hachette, 1913.
- Baugarten H. Vor der Bartholomäusnacht.* Schwaburg, 1887.
- Bellay Hénric Martin du Meunier.* Edition BUCHON.
- Dieter Marcia.* Kronika.
- Blanchardet Charlotte Eugénie.* Marie Stuart, Königin von Schottland 1542—1587. Komplen und München, 1907.
- Bouchot E.* Catherine de Médicis. Paris, 1891.
- Bouchot Henri.* Les femmes de Bragance. Paris, 1892.
- Brantôme. Œuvres complètes.* Ed. TALANNE, 11 tomsów, 1894 do 1932.
- Cabanis Docteur.* Les morts mystérieuses de l'Histoire. Paris, Albin MICHEL éditeur.
- Chompiere.* Histoire de la caricature sous le Règne de la Ligue. Paris, 1890.
- Chéruel P. A.* Marie Stuart et Catherine de Médicis. Paris, 1878.
- Cholain Jean de.* Mémoires. Collection MICHAUX « CHOLAIN » 4-51.
- Coignet C.* Madame François Ier. Paris, Plon, 1913.
- Gouffé Louis de.* Mémoires.
- Crœmer.* We arigine et rébus galles Palenstria. Leipzig, 1892.
- Devereux Francis.* Anne de Montmorency. Paris, Plon, 1913.

LITERATURA.

Niepodobna mi wymieniać tutaj nadzwyczaj licznych publikacji, dotyczących się epoki Walezyuszów; zamieszczam więc tylko tytuły dzieł mogących posłużyć do orientacji czytelnika. Szczegółową literaturę zamieszcza Louis BATIFOL w swej książce *«Le Siècle de la Renaissance»*, na końcu każdego rozdziału.

Aubigné Agrippa Théodore de. Oeuvres complètes. Paris, A. Lemerre, 1877.

Bachett. La diplomatie vénétienne. Paris, 1862.

Batifol Louis. Le siècle de la Renaissance. Paris, Hachette, 1913.

Baumgarten H. Vor der Bartholomäusnacht. Strassburg, 1882.

Bellay Messire Martin du. Mémoires. Édition BUCHON.

Bielski Marcin. Kronika. Blennerhassett Charlotte Lady. Maria Stuart, Königin von Schottland 1542—1587. Kempten und München. 1907.

Bouchot E. Catherine de Médicis, Paris, 1899.

Bouchot Henri. Les femmes de Brantôme. Paris, 1890.

Brantôme. Oeuvres complètes. edit. LALANNE, 11 tomów, 1864 do 1882.

Cabanès Docteur. Les morts mystérieuses de l'Histoire. Paris, Albin MICHEL éditeur.

Champfleury. Histoire de la caricature sous la Réforme et la Ligue. Paris., 1880.

Chéruel P. A. Marie Stuart et Catherine de Médicis. Paris, 1858.

Choisnin Jean de. Mémoires. Collection MICHAUD. et POUJOU-LAT.

Coignet C. Madame. François I-er. Paris, Plon. 1885.

Condé Louis de. Mémoires.

Cromer. De origine et rebus gestis Polonorum. Bazylea, 1568.

Decrue Francis. Anne de Montmorency. Paris, Plon, 1885.

Dimier L. French painting in the sixteenth century. London, DUCK-WORTH & Co., 1904.

Dimier L. Les primitifs français. — Prasi Libr. Renouard.

Discours merveilleux de la vie, actions et déportements de la reine Catherine de Médicis, mère de François II., Charles IX., Henri III., rois de France. A La Haye, chez Adrian ULACQ 1663.

Fleuranges. Mémoires.

François I-er chez madame de BOISY, publié par M. ROUARD (1863).

Fredro. Gesta populi Poloni sub Henrico Valesio.

Gaillard. Histoire de François I.

Gandy G. Saint-Barthélemy La. Revue des questions historiques, 1866.

Gouse Louis. La sculpture française depuis le XIV. siècle. Paris, QUANTIN 1895.

Gratiani. Vie de Commendon.

Heidenstein. Rerum Polonicarum ab excessu Sigismundi Augusti lib I.

Journal des choses mémorables advenues durant le règne de Henry III. roy de France et de Pologne. Cologne, chez les héritiers de Pierre MARTEAU, 1720.

Journal d'un bourgeois de Paris sous le règne de François I., 1515—1536, édit. L. LALANNE. Société de l'Hist. de France, 1854.

Labanoff Prince A. Recueil de Lettres, Instructions et Mémoires de Marie Stuart, 7 vol. 1844.

Lacombe Bernard de. Catherine de Médicis entre Guise et Condé. Paris, PERRIN, 1899.

La Ferrière. Lettres de Catherine de Médicis. Paris, 1880.

La Ferrière de C-te Hector. Les chasses de François I. racontées par Louis de BREZE. Paris, Auguste Aubry, édit. 1869.

La Ferrière. Le XVI. siècle et les Valois, Paris, 1879.

La Ferrière. Marguerite d'Angoulême, son livre de dépenses. Etude sur ses dernières années. Paris, Aubry, 1862, I. vol in 12°.

La Ferrière Hector. Les deux cours de France et d'Angleterre. Paris, Paul OLLENDORF, 1895.

Lavisse Ernest. Histoire de France. Paris, HACHETTE et Co., 1903.

Lenient. La Satire en France au XVI. siècle. Paris, 1866.

Longnon H. Essai sur Pierre de Ronsard, ses ancêtres, sa jeunesse, 1904.

L'Hospital. Oeuvres de, publiées par DUFEY de l'Yonne. 5 tomów., Paris, 1824—25.

Lebey André. Le connétable de Bourbon. Paris PERRIN & Co., 1904.

L'Estoile Pierre de. Mémoires et Journal. 1572. (publié dans les Variétés historiques et littéraires d'Edouard FOURNIER).

L'Estoile. Journal de Henri III. Edit. La HAYE, 1744.

Lucangeli Nicolò. Successi del Viaggio d'Henrico III. christianissimo Re di Francia e di Polonia, dalla sua partita di Cracovia fino all'arrivo in Turino. Venezia, G. Giolito de'Ferrari 1574.

Magnificentissimi spectaculi a regina regum matre in hortis suburbanis editi etc; Parisiis, ex officina Morelli, 1573. (Opis festynów danych na przyjęcie poselstwa polskiego w r. 1572 z wierszami łacińskimi i francuskimi Ronsard'a, Daurat'a i Jamin'a i z drzeworytami przedstawiającymi skalę srebrną i balet 16-u nimf).

Marguerite de Navarre. L'Heptaméron publiée par la société des Bibliophiles français (Paris, 1853, 3 vol. in 8°).

Marguerite de Navarre. Les dernières poésies, publiées par Abel LEFRANC. Paris Armand COLIN & Co., 1896.

Marguerite de Valois. Mémoires et lettres, publiés par M. GUESARD, 1842.

Merki Charles. La reine Margot et la fin des Valois (1553—1615). Paris. Plon 1905.

Michelet. L'Histoire de France.

Michelet. Guerres de religion.

Millet René. Rabelais. Paris, HACHETTE et Cie. 1892.

Nass Lucien Dr. Catherine de Médicis fut-elle empoisonneuse? — Revue des Etudes historiques (mai-juin 1901).

Noailles, marquis de. Henri de Valois et la Pologne en 1572, Paris, Michel LÉVY frères, 1867.

Palissy Bernard. Monographie par Carle Delange et C. Borneman. Paris, Quai Voltaire Nr. 5, 1862.

Palustre. La Renaissance en France 3 vol. seulement parus de 1879 à 1885.

Paris Gaston. Études sur François Premier. Paris. Leon TECHE-
NER, Libraire, 1885, 2 Vol.

Philippson M. Histoire du règne de Marie Stuart. 3 Vol. Paris, 1891—1892.

Piliński Thaddäus von. Das polnische Interregnum von 1572—1573 und die Königswahl Heinrichs von Valois, Heidelberg, 1861.

Poésies du roi François I-er, de Louisé de Savoie, de Marguerite de Navarre, et correspondance intime de Roi avec Diane de Poitiers et plusieurs autres dames de la cour. Paris, 1847, in 4°.

Potignet. La maladie et la mort de François II. Paris, 1893.

Recueil de diverses pièces servant à l'Histoire de Henri III. Cologne, 1660.

Relazioni degli ambasciatori veneti al Senato, 1839 edit. ALBERT.

Reumont A. de. La jeunesse de Catherine de Médicis. Traduit par Armand Baschet. Paris Henri PLON, 1866.

Rouard. François I. chez madame de Boisy, 1863.

Ruble Alphonse de. Le mariage de Jeanne d'Albert. Paris, LABITTE, 1877, 1 vol. in 8°.

Ruble A. de. La première jeunesse de Marie Stuart. Paris, 1891.

INDEKS.

del Abbate Nicolo, malarz 81.
 Abelard Piotr 8—10.
 Agrippa Cornelius, astrolog 41.
 Agryppowie, astrologowie 137.
 Adryan VI, papież 116.
 z Akwinu Tomasz 12.
 Alamanni, lektor Franciszka I 88.
 Alanus 355.
 de Alava Frances 194, 198.
 Alba książę 212.
 d'Albany duchesse 128.
 d'Albany, książę 121, 122, 133.
 Albert Fryderyk pruski 221.
 d'Alcala książę 409.
 Aldobrandini Sylwester 117.
 Aleksander W. 5, 82.
 Aleksander, niesłubny syn Henryka IV 302.
 Aleksander VI, papież 38.
 d'Alençon duc, zob. Franciszek de Valois.
 d'Alençon ks., zob. Henryk III.
 d'Alençon duchesse, zob. Marguerita d'Angoulême, siostra Franciszka I.
 d'Alençon Charles ks. 41, 49, 63—66, 77.
 d'Amboise Franciszek, kardynał 39.
 d'Amboise George, kardynał 28.
 d'Andelot Franciszek 161, 191.
 Androuet Baptiste du Cerceau 31, 140, 374, 376.

d'Angoulême hr., zob. d'Orléans Charles.
 d'Angoulême Franciszek, zob. Franciszek I.
 d'Angoulême Ludwika, zob. Ludwika sabaudzka.
 d'Angoulême Marguerita, zob. Marguerita, siostra Franciszka I.
 d'Anjou duc, zob. Franciszek de Valois.
 d'Anjou duc, zob. Henryk III.
 d'Anjou René, trubadur 334.
 Anna, córka Maksymiliana II, 177.
 Anna Bretonka, małżonka Ludwika XII 30—32, 34, 36—40, 45, 61, 86, 87, 149, 352, 421.
 Anna de France 36.
 Anna Jagiellonka 218—220, 231, 247.
 d'Annebault, admirał 105, 399.
 Antinati, Florentczyk 256.
 Antoni de Vendôme Bourbon, król * Nawarry 161, 164, 175, 347, 348.
 Antville Jean 11.
 d'Aragon Joanna 53, 155.
 d'Arc Joanna 110, 343.
 d'Arcelles Gandauffle 19.
 d'Ardois, sekretarz Montmorency'ego 372.
 Aretino 145.
 Ariosto L. 4, 115.
 Armagnac, dworzanin nawarski 208.

- Armandina 301.
 of Arran earl 167.
 d'Arras Jan, księgarz 26.
 Arystoteles 7, 89, 241.
 d'Aubigné panna 225.
 d'Aubigné Agrippa Théodore 158,
 210, 255, 261, 269, 270, 289, 300,
 301, 343.
 Aubriac, koniuszy królowej Mar-
 got 292, 293, 344.
 d'Audoins Diana, hr. de Garmont
 287, 288.
 d'Aumale le chevalier 304.
 d'Aumale Karol duc 228.
 d'Aumont pani 47.
 d'Auvergne hrabia 312, 313, 315—
 318.
 d'Auvergne Martial 336.
 Averroes 10—12.
 Avicenna 10.
 Baccio Giovanni, kanonik 310.
 Bacon Robert 10.
 Baif, poeta 183.
 Bajamont 323.
 de Balagny Jan 220, 221.
 de Balzac, zob. d'Entragues.
 Barbarossa, zob. Haireddin.
 Barbe z dworu królowej Margot
 287.
 Bardi Roberto 18.
 Barnaud Nicolas 214.
 Bayard 52.
 Bazile, matematyk 137.
 Bearneńczyk, zob. Henryk IV.
 Beaton, kardynał 153.
 de Beaufort księżna, zob. d'Estrées
 Gab.
 Beaulieu Eustoige, poeta 187.
 Beaulieu-Chastaigner, lieutenant
 415.
 Beauvais-Nangis pan 275.
 de Beauvillers Klaudyna, księżna
 na Montmatre 302, 306.
 Beda 91, 96.
 de Bellay pani, zob. de Clermont L.
 de Bellay Marcin 54.
 Du Bellay Guillaume 360.
 Du Bellay Jan, kardynał 92, 122,
 360, 365.
 Du Bellay Joachim 125, 155, 179.
 Belleau Remi 180.
 Bellegard, w. koniuszy 302.
 la Belle Ferronière 100, 136.
 Bellièvre pan 248, 287, 288.
 Del Bene pan 257.
 Benoise Charles, sekretarz Hen-
 ryka III 282.
 Bernabei Dominik, architekt 83.
 Bernard ś. 8, 9.
 Berquin Ludwik 93, 94, 107.
 de Berri duc 19, 85, 352.
 Besme 207.
 de Bethune panna 286.
 Betti Jan, zob. Just Jan.
 de Beuil Jacqueline 316.
 de Bèze Teodor 164, 181, 389.
 Bibbiena, kardynał 51, 54.
 Biche et Mouche, Lombardzi 19.
 de Birague, kanclerz 160, 196, 229,
 284.
 Biron, marszałek 312, 313, 316, 318.
 Blanche-Fleur 336.
 Boccaccio 1, 12, 18, 20, 36, 41, 145,
 351, 367.
 de la Boétie Etienne 385, 387.
 Boileau 107, 108.
 Bois-Robert 392.
 Boleyn Anna 47, 48.
 Bonnivet, zob. Gouffier G.
 Bontemps Piotr 278.
 Borgia Cezar 38.
 Bossuet 204, 217.
 Bossuet Honorysz 20.
 Boucault Joanna 184.
 Bouchavannes, szpieg Katarzyny
 medycejskiej 204.
 de Bouillon księżę 312.
 Boulanger Piotr 368.
 de Bourbon duchesse 33.

- Bourbon Antoni 103.
 de Bourbon Karol, connetable 41, 52—54, 58, 61—65, 67—70, 409.
 de Bourbon Karol, kardynał-arcy-biskup w Rouen 161, 192, 271.
 de Bourbon Piotr 83.
 de Bourbon Piotr II 61.
 de Bourbon Zuzanna 61.
 de la Bourdaissière panna 310.
 de Bourdeille panna 38.
 de Bourdeille François 407, 419.
 de Bourdeille Madeleine 254.
 de Bourdeille Pierre, zob. Brantôme.
 Bourdichon Jean, malarz 31, 36, 86, 87, 184, 308, 352.
 du Bourg Anne 161.
 Bourghley lord 198.
 Bours, szlachcic 208.
 Boy 226.
 Brandon Karol, ks Suffolk 46, 47, 49.
 Brantôme 58, 62, 79, 104, 109, 125—128, 154, 155, 168, 172, 178, 210, 229, 236, 238, 244, 254, 255, 268, 294, 297, 298, 346, 384, 406, 408—418, 420, 421.
 Bretonka, zob. Anna Bretonka.
 de Brézé Louis 100, 140, 153, 373, 374.
 de Brézé Piotr 373.
 de Brienne hr. 280.
 de Brosse de Bretagne Jan 78.
 Brusquel, blazen 109.
 Budé Jean 87, 88.
 Budé Wilhelm 92, 356.
 Buffon 377.
 Bulland Jean, architekt 278, 352, 370.
 de Burie M. 404.
 Busbek, poseł cesarski 238.
 Bussy d'Amboise, zob. de Clermont Louis.
 Calas, zob. de Lorraine M.
 Calvin, zob. Kalwin.
 du Cambon Robert 293.
 de Canillac markiz 293—295.
 Capet Hugon 88.
 Capilupi 212.
 Cardan 137.
 don Carlos, syn Filipa II 167, 177.
 Castellan, zwany Duchatel'em 88, 89.
 Cavalcanti Guido 12.
 Cavalli Marino 98.
 Cavrina, ambasador tokański 292.
 Cellini Benvenuto 70, 81, 83, 84, 120, 124, 140, 375.
 Du Cerceau, zob. Androuet Baptiste.
 Cezar C. J. 40, 398.
 Cezar, zob. de Vendôme duc.
 Chabot, admirał 376.
 Chabot Guj hr. de Jarnac 102, 104.
 Chailly M. 203.
 Chambiges Pierre, architekt 81.
 de Champeaux Guillaume 10.
 de Chamvillon Harley, koniuszy 283—286.
 Charbonnier Franciszek, poeta 40.
 Charles-Maximilian, syn Henryka II 135.
 Charlotta sabaudzka, małżonka Ludwika XI 40, 191.
 Charlotta, córka Franciszka I 65.
 de Chartres marszałkowa 308, 327.
 de Chartres widam, zob. Vendôme.
 De la Chataigneraie 102, 103.
 de Chateaubriand hr. 48.
 de Chateaubriand Franciszka 52, 58—60.
 Chateaubriand F. R. 215, 217.
 de Chateaubriant sire 369.
 Chateaufort, kochanka Henryka III 208, 219, 256.
 de Chateaufort pan 292.
 Chatelain, poeta 59.
 de Châtillon pani 49, 92.
 Châtillon bracia, zob. d'Andelot F. i de Coligny K.

- de Châtillon Guy 28.
 de Châtillon Guy II 29.
 de Clemeraut sieur 248.
 Chevreul Henri 173.
 Choisinin, sekretarz królowej Mar-
 got 291.
 Choisinin Jan 220, 224.
 Claude de France, małżonka Fran-
 ciszka I 32, 34, 36, 38, 39, 45,
 47, 50, 54, 55, 57, 58, 61, 63—65,
 143, 278.
 Clément Jacques 281, 297, 344.
 de Clermont Antoni 267.
 de Clermont Louis, sieur Bussy
 d'Amboise 266—268.
 de Clermont-Tallart Luiza, ks.
 d'Uzess 124, 125, 148, 261, 264,
 266.
 de Clèves Katarzyna 263.
 de Clèves Marya 29, 243.
 Clouet Franciszek (Janet) 126, 132,
 155, 177, 184, 185, 188, 262, 352,
 367.
 Clouet Jehan (Jehannet, Janet) 184,
 188.
 Coconasse, szlachcic piemoncki
 235, 236.
 Cocqueville Franciszek 415.
 Colart de Laon, malarz 352.
 Coeur Jacques, kupiec 19, 85.
 de Coligny Kasper, admirał 161,
 190, 191, 194—198, 201, 203,
 205—207, 209, 214, 218, 226, 240,
 347.
 Colonna Prosper 52.
 Colonna Vespasiano 118.
 Commines Filip 13.
 Condé, syn Henryka Bourbona 324.
 Condé księżna 231, 255.
 de Condé Ludwik ks. 144, 159, 161,
 163—165, 167, 169, 176, 189, 192,
 210, 228, 417.
 Conrad 4.
 Coqueau Jakób, architekt 78.
 Corbellini 257.
 Corneille de Lyon, malarz 187, 352.
 de Coumont Geoffroi 209.
 de Coust Jean, malarz 185, 186.
 Crillon, maistre de camp 275.
 Cruche mgrs, komedyopisarz 43.
 de Crussol Antoni 125.
 Cuniga, poseł Filipa II 213.
 Cuvier 377.
 Cybo Katarzyna księżna di Came-
 rino 121.
 Cybo Wawrzyniec 120.
 de Cybo-Varano Katarzyna ks. 123.
 Cyceron 298, 367, 408.
 Dale dr., ambasador angielski 235.
 Dallington 17.
 Dante Alighieri 1, 6, 9, 12, 20, 76,
 88, 350.
 Darlem Clary 239.
 Darnley lord 167.
 Date de saint-Julien 321—323.
 Dawid, król żyd. 107.
 Davilla, historyk 200.
 Daurat Jan, poeta 180, 228, 232.
 Defunctis, prefekt kupców 314, 315.
 Delorme Philibert, architekt 138—
 140, 278, 352, 370, 373.
 Dembiński K., referendarz kor.
 251.
 Des Periers Bonawentura 73.
 Deschamps Eustachy 26.
 Desportes, poeta 274.
 Diana, zob. de Poitiers D.
 Diana de France 372.
 Disome, adwokat 43, 45.
 Donat 355.
 Duchatel, zob. Castellan.
 Dudydz Andrzej 248.
 Dujardin 330.
 Duplessis-Mornay, minister 287,
 304, 305.
 Edward VI, król angielski 152, 415.
 Edward-Alexander, syn Henry-
 ka II 136.

- Egmont 194.
 d'Elbene, poseł sabaudzki 211.
 d'Elbeuf markiz 240.
 Eleonora Austryczka, wdowa po królu portug. 66—68, 71, 72, 95, 124, 128, 129, 178.
 Eleonora de Gujenne, królowa franc. 337.
 Elisabeth de France, żona Filipa II, króla hiszp. 133, 135, 141, 153, 177.
 Elżbieta, królowa angielska 156, 168, 169, 219, 220, 234, 265, 284, 289, 411, 413.
 Elżbieta austryczka, królowa franc. 15, 177, 178, 186, 187, 209, 229, 238, 264, 289, 297, 345.
 d'Enghien książę 85, 399, 400.
 d'Entragues pani 308, 310.
 d'Entragues de Balzac Franciszek 186, 307, 309, 314—317.
 d'Entragues Henriette, markiza de Verneuil 186, 306—318, 324, 329—331.
 d'Épernon 261, 272, 289, 329, 330.
 Epikur 396.
 Erazm roterdamski 15, 16, 51, 88, 91, 92, 359, 367.
 Ernest, arcyks. austr. 220, 221, 223.
 d'Escoman, zob. Le Voyer.
 d'Espinac Piotr, arcybiskup lyoński 277.
 des Essards Charlotte 301.
 Estienne Henri 351.
 d'Estissac seigneur 388.
 Estissac, biskup z Maillezais 356.
 L'Estoile Piotr 104, 148, 200, 258—260, 266, 380, 416.
 d'Estoutville Guillaume, kardynał 28.
 d'Estrées madame 303.
 d'Estrées Gabryela 302, 303, 305, 307.
 d'Etampes księżna, zob. Pisseleu.
 Eugeniusz IV, papież 9, 86.
 van Eyck 184.
 Eyquem Piotr 383.
 Eyquem Ramon 382.
 de Duras pani 286.
 Fabius Cunctator 344.
 Facet 355.
 de Faël Noel (Ladulfi) 351.
 Du Faur 161.
 Ferdynand medycejski, W. ks. toskański 275.
 Fernel, dr., lekarz 130.
 Ferrier Ogier 130.
 de la Ferrière Hector 239.
 Filip II, król hiszp. 141, 177, 194—196, 198, 204, 213, 271, 291, 346, 412.
 Filip III 312, 314.
 Filip August, król franc. 80.
 Firlej Jan, marszałek w. k. 242.
 ĩrliej Mikołaj z Dąbrowicy, starosta kazimierski 228.
 Flemiang miss 133, 154.
 Florence 336.
 Floretta, córka ogrodnika 306.
 Fiorentin Dominik 376.
 de Foix Franczka, zob. de Chateaubriand F.
 de Foix Gaston 5, 40, 41.
 de Fontenay pan 148.
 Fontenelle 377.
 Fosseuse, kochanka Henryka IV 283, 284.
 Foucquet Jan, malarz 15, 86, 351.
 Franciszek I, król franc. 29, 32, 34—36, 38, 39, 41, 42—56, 58—69, 71—81, 83—109, 112, 113, 116, 119, 120, 122—124, 127—132, 136, 138, 140, 142, 143, 148, 150, 175, 178, 184, 213, 278, 279, 303, 342, 343, 349, 362, 365, 367, 369, 383, 399, 400, 413.
 Franciszek II, król franc. 36, 65, 71, 127, 131, 135, 137, 153—158, 160, 164—167, 170, 174, 189, 224, 343, 411.

- Franciszek de Valois, ks. d'Alençon, brat Henryka III 252, 253, 264—268, 271, 300.
- Franciszka, siostra żony służącego Franciszka I 42.
- Franco Weronika 252, 253.
- Froissart Jehan 13, 29.
- Fryderyk, palatyn 67.
- Fryderyk, syn palatyna 240.
- Fryderyk II, cesarz 7.
- Fryderyk III, cesarz 13.
- Galen 358.
- Garmont hr., zob. d'Audoins D.
- Du Gast Ludwik de Béranger 263—265, 267, 268, 300.
- Gauric Luc, astronom 130.
- Geulard 210.
- Gilbert Robert 290, 291.
- Giles le Breton, architekt 81.
- Giocondo Fra, architekt 83.
- de Giron Magdalena 413.
- Giustiniani Marino 98.
- Glareau 91.
- Gleichen Karol, dyplomata duński 238.
- Goethe 341.
- Gondi, hr. de Retz 280.
- de Gondi Albert 131, 135, 151, 196, 204, 228.
- Gonzaga Francesco, margr. mantuański 83.
- Gonzaga Fryderyk, ks. Mantuy 118, 252.
- Gonzaga Julia 155.
- del Gouast markiz 410.
- Gouffier Artus, sieur de Boissy 36.
- Gouffier Guillaume, seigneur de Bonnavet 40, 41, 65.
- Goujon Jean, rzeźbiarz 352, 373—376.
- de Gournay panna 390—392.
- Górka Andrzej 231, 233.
- Gratiani 241, 246.
- Gringoire Piotr 112.
- Grzegorz XIII, papież 212.
- Grzegorz XIV, papież 388.
- Gueta Bartłomiej (Gujst), malarz 44.
- Guicciardini Franciszek 121.
- de la Guiche hrabina 289.
- de Guise księżna 128, 344.
- de Guise panna 327.
- de Guise Franciszek 103, 138, 170, 189, 191, 192.
- de Guise Henryk le Balafé 228, 263, 271—277, 279, 295, 344, 392, 393, 411, 417.
- de Guise Karol, arcybisk. w Reims, kardynał de Lorraine 131, 134, 141, 142, 166, 168, 170, 171, 180, 212, 213, 228, 274, 275, 277, 279, 365.
- de Guise Klauyusz 152.
- de Guise Marya, matka Maryi Stuart 123, 152—154.
- Guyst, zob. Gueta B.
- Gwagnin 244.
- Haireddin Barbarossa 124, 371.
- Harley, prezydent trybunału 330.
- d'Helly Anna, zob. de Pisseleu A.
- d'Helly Guillaume 59.
- Heloiza 8.
- Henryk I, ks. lotaryński 228.
- Henryk II, król franc. 16, 80, 90, 101—104, 119, 120, 123, 127—130, 132—136, 138, 140, 141, 144, 151—157, 159, 161, 162, 172, 175, 180, 183, 185, 187, 197, 254, 263, 278, 279, 343, 345, 346, 348, 350, 365, 367, 369, 371—373, 375, 402, 408, 415.
- Henryk III, król franc. i polski 29, 65, 71, 131, 136, 141, 145, 148, 149, 165, 176, 183, 186, 212, 218—231, 233—237, 240, 241, 243, 245—247, 249—262, 264—268, 271—285, 287—289, 293—295, 297, 299—301, 329, 330, 343, 345, 377, 379, 384,

- 389, 391—393, 398, 411, 412, 417—419.
- Henryk IV Burbon, król franc. i Nawarry 104, 137, 185, 186, 193, 199, 200, 201, 233, 263, 264, 266, 270, 271, 280, 281, 283, 284, 287—289, 295, 297, 301—314, 316—319, 321—331, 346—348, 390, 393, 416.
- Henryk VII, król angielski 39.
- Henryk VIII, król angielski 53—56, 61—63, 105, 152.
- Henryk d'Albret, król Nawarry 70—73, 75, 347.
- Henryk de Valois, duc d'Orléans, zob. Henryk II, król franc.
- Henryk de Valois, nieślubny syn Henryka II 133.
- Henryk, syn Filipa III 314.
- Hipokrates 358, 368.
- Holbein 374.
- Homer 82.
- Horacy 5.
- Horn 194.
- Hottman François 170, 215.
- Houdon 375.
- Hugo Wiktor 80, 108, 109.
- d'Humieres pani 187.
- Innocenty IV, papież 9.
- Innocenty VIII, papież 120.
- Isabeau, siostrzenica Aubriaca 292.
- Isabeau d'Albret 73.
- Isabeau Bawarka, małżonka Karola VI 20, 21, 23—25, 352.
- des Isoires Ardier, dworzanin 249.
- Iwan Groźny, car 221.
- Isabella, córka Karola IX 238.
- Isabella de France, matka Walentyny Visconti 20.
- Jacoby dr. 262.
- Jakób III, król szkocki 121.
- Jakób V Stuart, król szkocki 118, 134, 152, 155.
- Jakób Stuart 102.
- Jamyn, panna 392.
- Jamyn Amadis 180, 392.
- Jan III, król szwedzki 221.
- Janet, zob. Clouet Fr.
- Jarnac, zob. Chabot G.
- Jean sans Peur, ks. Burgundyi 26, 27.
- Jeanne d'Albret, zob. Joanna d'A.
- Jeannequin, muzyk 183.
- Joanna d'Albret, królowa Nawarry 198, 199, 343, 346—348.
- Joanna de France 38.
- Jodelle Étienne 180, 350.
- Joscelin 10.
- de Joyeuse pan 261, 263, 287.
- Don Juan d'Austria 264.
- Julian Apostata 389.
- Juliusz II, papież 28, 355, 407.
- Jurieu, protestant 216.
- Just (Betti) Jan 279.
- Kalwin 91, 128, 161, 167, 174, 175, 347, 368, 377.
- Karnkowski Stanisław, biskup kujawski 222, 241, 246.
- Karol W. 110.
- Karol, syn Franciszka I 65, 119.
- Karol V, cesarz 53, 56, 62—64, 66—69, 71, 78, 79, 84, 85, 97, 116, 118, 119, 124, 128—130, 165, 178, 303, 346, 360, 361, 401, 402.
- Karol V le Sage, król franc. 34.
- Karol VI, król franc. 20, 21, 23—27, 342.
- Karol VII, król franc. 28, 58, 336, 343.
- Karol VIII, król franc. 13, 29, 34, 37, 38, 40, 58, 61, 82, 83, 86.
- Karol IX, król franc. 80, 131, 135, 136, 156, 158, 166, 172, 174, 176—178, 180—186, 189, 193, 195—202, 204—206, 208—215, 218—221, 224, 225, 229, 231, 234—239, 246—248, 253, 257, 262—264,

- 266, 270, 296, 297, 299, 300, 306,
309, 343, 345, 348, 353, 411, 417,
418.
- Karol II, ks. lotaryński 233.
- Katarzyna de Bourbon, siostra
Henryka IV 348.
- Katarzyna medycejska, królowa
franc. 79, 97, 102, 104, 114, 115—
123, 125—138, 142—145, 147—154,
156—160, 162, 164—168, 172—177,
183, 185, 187, 189—192, 194—200,
203—205, 207, 209, 211—216,
218—225, 227—231, 233—235,
237—239, 247, 248, 252—256, 259,
261—265, 270, 271, 273—278, 284,
287, 288, 295, 299, 320, 331, 343,
344, 346, 350, 353, 377—379, 390,
392, 398, 404, 406, 408, 411, 413,
421.
- Katarzyna Henryka, nieslubna córka
Henryka IV 302.
- Kiszka Krzysztof 241.
- Klaudia, córka Anny Bretonki,
zob. Claude, małżonka Franciszka I.
- Klaudya, córka Henryka II 135.
- Klemens VII, papież 41, 115, 116,
118—125, 131, 303, 361.
- Knox 167.
- Konarski Adam, biskup poznański
228, 229.
- Kondeusz ks. zob. Condé L.
- Krasowski Jan, karzeł 224, 247.
- Laborde 372.
- Ladulfi, zob. de Faël Noel.
- Lafrieri 374.
- La Mole Bonifacy 200, 234—236.
- Langlas, szlachcic 292.
- Langlois, kapucyn 324.
- de Lanssac 174.
- La Palice 52, 65.
- Larchant, kap. gwardyi 248, 286.
- La Renaudie 162, 169.
- La Rochefoucauld 347.
- La Roche-Foucault, ulubieniec Karola IX 206.
- Latini Brunetto 10.
- Lautrec, marszałek franc. 56—58,
62.
- Le Charron, kupiec paryski 205.
- Le Coq Jeanne 42, 43.
- Leicester książę 234.
- Lenoir Aleksander 279.
- Leon X, papież 53, 87, 115, 116, 119,
120, 126.
- Leonora, zob. Eleonora.
- Leopold II, w. ks. toskański 238.
- de Léran M. 207.
- Le Roux 278.
- Le Roy Etienne, śpiewak 202.
- Lescot Pierre, architekt 278, 352,
374—376.
- Leszczyński Stanisław, król pol. 80.
- de Leu Thomas 383.
- Le Voyer d'Escoman Jacqueline
329, 330.
- L'Hopital 196.
- de Liancourt pan 302.
- de Liancourt pani 304.
- Lignerac 290, 292.
- de Lignerolles pani 350.
- de Limbourg Paul, malarz 352.
- Limousin Leonard 371, 372.
- Lippi Filippino 9.
- Lippomano 16, 17.
- Liwiusz 351.
- Loignac, oficer gwardyi Henryka
III 275, 276.
- de Lopes Antoinette 383.
- de Lorraine, kardynał, zob. de
Guise Karol.
- de Lorraine Franciszek, kardynał
409, 415.
- de Lorraine Krystyna 275.
- de Lorraine Luiza Marguerita, ks.
de Conti 302.
- de Lorraine Mikołaj, hr. de Vaudé-
mont 256, 258.

- de Lorraine Guise Klaudyusz, ks. d'Aumale 134.
- de Lorris Guillaume 338.
- Ludwik nassauski 197.
- Ludwik ks. Orleanu, syn Henryka II 131, 135.
- Ludwik św. 7, 18, 81, 134, 341, 347.
- Ludwik XI, król franc. 13, 15, 40, 58, 191, 294.
- Ludwik XII, król franc. 6, 28—32, 34, 36—39, 45—50, 52, 54, 58, 61, 78, 86, 88, 105, 106, 111, 112, 142, 278, 342, 355, 360, 384.
- Ludwik XIII, król franc. 312, 324, 331.
- Ludwik XIV, król franc. 80, 106, 112, 217.
- Ludwik XV, król franc. 80, 278.
- Ludwik XVIII, król franc. 279.
- Ludwik le Debonnaire 3.
- Ludwika sabaudzka, matka Franciszka I 33—42, 44, 46—49, 51—53, 56, 59—63, 65, 67, 72, 77, 87, 93, 94, 291, 372.
- Luiza de Lorraine, królowa franc. 256, 257, 282, 285, 345.
- Luter 388.
- de Luxembourg Franciszek 256.
- Laski Hieronim 222.
- Laski Jan, arcyb, gnieźn. 222.
- Laski Jan, synowiec Jana, arcyb. gnieźn. 222.
- Laski Olbracht, wojewoda siedzki 222, 223, 226—230, 233.
- Laski Stanisław 66, 222.
- Macchiavelli 13, 343.
- Maciejowski, wojewoda lubelski 245.
- Madelaine, córka Karola d'Orléans 33.
- Magdalena, córka Franciszka I 65, 78.
- Maitland of Lithington 167.
- Maksymilian I, cesarz 62, 83.
- Maksymilian II, cesarz 177, 213, 220, 238, 248, 411.
- Malgorzata austriacka, gubernatorka Niderlandów 53.
- Mantegna Andrea, malarz 83.
- Marcel Claude 205, 260.
- Marco komodor 274.
- de Mareilly Philibert sieur de Simpiere 193.
- Marguerita d'Angoulême, siostra Franciszka I 33, 36, 39, 41, 43, 49—51, 54, 58—60, 62, 64—78, 91—95, 107.
- Marguerite de France 146.
- Margherita de Valois, królowa Nawarry (Margot) 136, 145, 167, 177, 188, 198—201, 205, 207, 208, 229, 230, 233, 236, 239, 253, 262—269, 283—301, 303—306, 309, 318—323, 326, 331, 344—346, 348, 349, 408, 418—420.
- di Marignano markiz oil Medichino 402, 403.
- la Mark dame de Brevel Katarzyna 284.
- de la Mark Robert, ks. de Bouillon, 134.
- Marot Clément, poeta 73, 74, 77, 90, 106—110, 112, 146, 63, 349, 359, 365.
- Marot Jean 106, 108.
- Martini Szymon, malarz 19.
- Marya, siostra Henryka VIII, króla angielskiego 46, 48, 49, 54.
- Marya de' Medici, królowa franc. 310—314, 316—319, 322, 325, 326, 330, 331.
- Marya Stuart, królowa szkocka 120, 133, 152—158, 160, 163, 164—168, 170, 172, 180, 219, 254, 272, 286, 343, 368, 411.
- Marya Teresa, cesarzowa 238.
- Mathys Marya 176.
- Matignon pan 237.

- de Mattacoulon seigneur, młodszy brat Montaigne'a 387, 388.
 Matthieu Pierre 251.
 de Maulevoyer, dworzanin 379.
 Maurevel, factotum Katarzyny medycejskiej 203.
 Maurevert 214.
 de Mayenne duc 279.
 Mazille, lekarz przyboczny Karola IX 237.
 Medyceuszka, zob. Katarzyna medycejska.
 Medyceuszka, zob. Marya de' Medici.
 de Medici Aleksander 116, 118.
 de' Medici Cosimo 401, 402.
 de' Medici Hipolit, kardynał 116, 118, 123, 124.
 de' Medici Laudamina 126.
 de' Medici Lorenzo, ks. Urbinu — 114, 116, 137.
 de' Medici Lorenzo, il Magnifico 114, 115.
 de' Medici Lukrecya 119.
 de' Medici Piero 115.
 de' Medici-Salviati Marya 121, 123.
 Melanchton 73.
 Mendoza 401.
 de Mercoeur panna 324.
 Merlin, duchowny protest. 206.
 de Meung Jean (Plopinel) 338, 340.
 Meynier Jean 89.
 Michał Anioł 1, 116, 361, 371.
 Michieli Giovanni 143, 197, 198, 211, 262.
 Middlemore, ajent królowej ang. Elżbiety 196.
 Miossans baron 208.
 de la Mirande panna 263.
 Miron, lekarz 247, 260.
 Molière 339.
 Molinet Jan, poeta 59.
 Montaigne Leonora 385.
 Montaigne Michał 16, 104, 226, 351, 382—397, 416, 418.
 Montaigu panna 301.
 Montecuculli Sebastyan 129, 135.
 Montgommery hr. 104, 141, 185.
 Montgommery, vidame de Chartres 209.
 de Monlluc Blaise 397—406.
 Montluc Jan, biskup de Valence 196, 220—223, 225—227, 230.
 de Montmorency Anne, connetable 40, 65, 67, 71, 101, 122, 134, 141, 165, 175, 197, 203, 234, 282, 369—372, 376, 378.
 de Montmorency Charlotta Marguerita 318, 324, 325, 330.
 de Montmorency Guillaume 372.
 de Montpensier madame 272, 343.
 de Montpensier pan 194.
 de Montsoreau hrabina 268.
 de Montsoreau hrabia 268.
 de Morat hrabina 316.
 Morel Diana 147.
 Morel Kamilla 147.
 Morel Lukrecya 147.
 Moro Ludwik 119.
 Morosini, poseł wenecki 227.
 Morvilliers 225.
 Muschiat Franciszek 18.
 Muss Nicolas 206.
 de Namours duchesse 311.
 de Nançay M., kapitan gwardyi król. 207.
 Nantouillet, prefekt Paryża 208, 256.
 Nardi Jacopo, historyk 118.
 de Nemours duc 133.
 de Nemours ks. Julian 116.
 de Nemours M. 410.
 Nepyeu Piotr, architekt 78.
 de Neufville Mikołaj 173.
 de Nevers książę 240, 241.
 de Nevers Marya ks. 235, 236, 243.
 de Noirmoutiers markiz 274.
 de Nostredame Michel 130, 136, 137, 219.

- Odet de Chatillon, kardynał 365.
 d'Oggione Marek 370.
 Olivier 4.
 Opaliński, marszałek nadw. 246.
 Orlande, muzyk 183.
 d'Orléans duc, zob. Henryk II.
 Orleanu ks., zob. Franciszek II.
 d'Orléans Charles (bastard) 6, 29,
 33—35, 154, 205, 209.
 d'Orléans Franciszek, malarz 352.
 d'Orléans Gaston 32.
 d'Orléans Ludwik, syn Karola V
 Le Sage 34.
 d'Orléans et de Touraine duc Lu-
 dwik, hr. de Valois 20, 21, 24,
 25, 27, 28, 34, 152.
 Orsini-Medici Alfonsyna 115.
 de Orthe vicomte 211.
 Ostrogska Beata, 2^o Łaska 222.
 Ouin Pierre 326.
 Palissy Bernard 277, 370, 371, 374,
 377—381.
 Palissy Mathurin 379.
 Palissy Nicolas 379.
 Papon Loys, rycerz 296.
 Paré Amboise, chirurg 165, 203.
 de Paroy pani 154.
 de Parthenay Anna 378.
 Pascal 396.
 Pasquier Estienne 190.
 Passel i syn Adme, ogrodnicy arty-
 ści 31.
 da Paula Franciszek 36, 37.
 Paweł III, papież 96, 139.
 Paweł IV, papież 409.
 Pellevé, kardynał 320.
 Perréal Jean 352.
 du Perron, kardynał 149.
 Petit Guillaume 92.
 Petit Jan, franciszkanin 27.
 Petrarka 1, 6, 20, 350, 359, 367, 414.
 Petrucci, ulubieniec Katarzyny me-
 dycejskiej 207.
 Peyrot, kapitan, syn Montluca 405.
 Pibrac de Faur Guy 225, 226, 240,
 241, 246—251.
 Pilou Germain, rzeźbiarz 278, 352,
 376.
 de Pisseuleu Anna, demoiselle
 d'Helly, księżna d'Etampes 41,
 58—60, 72, 76—78, 81, 83, 84, 95,
 96, 101—103, 128, 343, 352.
 Pius IV, papież 410.
 Pius V, papież 414.
 Phonette madame 6.
 Platon 20, 147, 335.
 »Plejada« 1, 180, 183, 350.
 Pliniusz 20.
 Plopinel, zob. de Meung Jean.
 Poggio 36, 145.
 de Poitiers Diana, duchesse de Va-
 lentinois 79, 80, 100—102, 127,
 128, 130, 132—135, 138, 140, 141,
 154, 156, 158, 160, 343, 345, 369,
 372, 373, 375, 376.
 de Poitiers Jan 127.
 Polibiusz 257.
 Polignac Jan 33.
 de Polignac Joanna 33, 35, 43.
 Ponce 376.
 Poncher Etienne, kanclerz 47.
 du Prat, kanclerz 57.
 Prieur Bartłomiej, rzeźbiarz 282,
 373.
 Primaticcio, malarz 81, 139, 184,
 374.
 Prisbadius Wolfgang 226.
 de Puy-Guyon Magdalena 103.
 Pulci Luigi 4, 359.
 Quesnel Franciszek 233.
 Quesnel Mikołaj 282.
 Rabelais Franciszek 35, 72, 92, 100,
 105, 108, 179, 180, 349, 354—368,
 393.
 Radziwiłł 230.
 Rafael 372.
 de Rambouillet markiz 247.

- de Rambouillet Mikołaj 275.
 Ramus Piotr 89, 221.
 Ravailiac François 326—330.
 Régnier de la Planche 170, 171.
 Renata, księżna Ferrary 344.
 de Rendan pani 298.
 René król 34, 85.
 René, perfumer Katarzyny medycejskiej 200, 348.
 Renée de France 34, 38, 67.
 René de Savoye, hr. de Villars i Tende 372.
 de Retz, marszałek 151, 176, 228, 240, 247.
 de Retz pani 350.
 Richelieu 391.
 Ridolfi, kardynał 126.
 Rivol, sekretarz państwa franc. 276.
 della Robbia Girolamo 278.
 Robespierre 175.
 Rohan 347.
 de Rohan, szlachcic bretoński 73.
 de Rohan Françoise 147.
 Rohan de Gié Piotr, marszałek 35, 36.
 Roland 3, 4, 66.
 Romano Giulio 360.
 Ronsard 1, 6, 29, 99, 109, 148, 155, 157, 166, 168, 179, 180—183, 185, 225, 232, 297, 342, 349, 350, 365, 376, 392, 414.
 Roques Antonio, espada 412.
 Rosny 313.
 Rossi Giovanni Battista, malarz 81, 139, 184, 374.
 Roussel Fremyn 278.
 della Rovere Guidobaldo, ks. Urbinu 118.
 Rucellai Palla 121.
 Ruggiero Cosimo 130, 135—137, 235.
 Ruggiero vecchio il Grande 136, 137.
 Rulebeuf, truver 341.
 Ryszard Lwie-serce 21.
 Ryszard III, król angielski 13.
 de Sade Laura 6.
 de Saint-André, marszałek 159, 175, 415.
 de Saint-Gelais Mellin, prałat 90, 146, 147, 183, 359, 365.
 Saint-Germain, duchowny 138.
 Saint-Germain, szlachcic 326.
 Saint-Palaye 337.
 de Saint-Paul hr. 51, 122.
 de Saint-Paul M. 399, 400.
 de Saint-Prix, kamerdyner 276.
 Sainte-Beuve 167.
 Salcede 151.
 Salimbene, kronikarz 18.
 Salviati Jakób, bankier 119.
 Salviati de' Medici Marya 119.
 Sialviati, zob. de Talcy D.
 Samblançay, intendent finansów 57.
 Sardini 135.
 de Sauve Charlotte 235, 252, 253, 266, 285.
 Scaliger Józef 221.
 Scaliger Juliusz Cezar 296.
 Schomberg 240.
 de Ségure pan 289.
 de Seneterre, z domu Laval 148.
 Seredy Katarzyna, żona Olbrachta Łaskiego 222.
 Seurre, rzeźbiarz 30.
 de Sevė Sabina, żona Olbrachta Łaskiego 222, 223.
 Sforza Franciszek 119.
 Sforza Katarzyna 114.
 Sforza Ludwik 53, 83.
 Sforza Maksymilian 52, 53.
 Sillery, kanclerz 310, 327.
 Simeoni Gabryel 140.
 Sisoni, historyk 69.
 Soliman, sultan 91, 97, 371, 413.
 Somerset 152.
 Sorbin Armand, biskup 416.
 Sorbon Robert 10.
 Sordel, trubadur 6.
 Sorel Agnieszka 86, 343.

- de Soubis pan 211.
 Soubise rodzina 378.
 de Sourdis pani 303.
 Souveraine, córka Karola d'Orleans 33.
 Souvray 248, 249.
 Stefan Batory, król polski 221, 246, 252.
 Stewart Robert 156.
 Strozzi Filip 115, 120—123, 126, 402.
 Strozzi Klarysa 115, 117, 133.
 Strozzi Piero, marszałek franc. 118, 126, 127, 135, 402, 413—415, 418.
 Stuart Aleksander 121.
 Stuart lord, przyrodni brat królowej Maryi 167.
 Suffolk ks., zob. Brandon K.
 Sully, minister 303, 308, 309, 313, 314, 316, 319, 325, 327, 332.
 de Surgeres Helena 182, 350.
 Sykstus V, papież 279, 413.
- Tacyt 257.
 de Talcy pan 270.
 de Talcy Salviati Diana 269, 270.
 Tavannes 196, 197.
 de Tays pan 125.
 Tempier Etienne, biskup paryski 11.
 Testu Jan, kapitan 415.
 Tęczyński 244, 245, 248—251.
 Thibaut de Courville 183.
 de Thou, historyk 229, 392.
 Thyard Pontus 180.
 Du Tillet Jean 87.
 de Toledo don Pedro 323.
 de Tonnere hr. 120.
 Touchet Jan 176.
 Touchet Marya 176—178, 186, 296, 317, 343, 345.
 de la Tour Franciszek 385.
 de la Tour-d'Auvergne Anna 121.
- de la Tour-d'Auvergne Magdalena 121.
 de la Tour-d'Auvergne Małgorzata 114.
 de la Tour-Limeuil Isabeau 144.
 de Tourraine duc Ludwik, zob. d'Orleans duc L.
 de Tournon, kardynał 73, 89, 105.
 de Tournon Helena 73.
 de la Tremouille, księżna de Condé, Charlotte 316, 324.
 Triboulet, blazen 108, 109.
 Trissino 183.
 Troben Jan, drukarz 88.
 Turoid, trubadur 4.
 Tycyan, malarz 61.
- d'Urfée, biskup w Saint-Fleur 296.
 d'Urfée Anna 296.
 d'Urfée Honoré 296.
 d'Uzes księżna, zob. de Clermont-Taillet Luiza.
- de Valentinois duchesse, zob. de Poitiers D.
 de Valois Franciszek, zob. Franciszek I.
 de Vaisois Franciszek, zob. Franciszek de Valois, ks. d'Alençon.
 de Valois Karol 49.
 de Valois Karol ks., (bastarde) d'Angoulême 296.
 de Vendôme duchesse 128.
 Varchi Benedetto, historyk 119.
 Vasari Giorgio, malarz 119, 123.
 Vatel Jean 201.
 de Vaudemont Luiza, zob. Luiza de Lorraine.
 de Vendôme duc Cezar 302, 324.
 de Vendôme Franciszek, vidam de Chartres 130, 131, 158.
 de Verdun M. 330.
 Verlaine 109.
 Vermont 321.

- de Verneuill markiza, zob. d'En-
trague H.
de Vicourt pan 260.
de Villars, admiral 149.
Villars, śpiewak 323.
Villecounin, naturalny syn Fran-
ciszka I 413.
Villemur, kanonik 203.
Villeguier 248—250.
Villon François 109 110.
Vincentino Valerio 120.
da Vinci Leonardo 1, 87, 370.
Visconti Walentyna 19—21, 23—29,
31, 52.
Viteaux baron 268.
de Vitry, późn. comtesse Simier
149.
Voisin, greffier 329.
- Walentyna, zob. Visconti Walen-
tyna.
Walezyusze 1, 12, 20, 28, 34, 85,
104, 128, 137, 142, 160, 161, 198,
262, 264, 266, 273, 277, 278, 319,
322, 323, 331, 332, 343, 345, 346,
349, 352, 353, 355, 370, 406, 408,
419—421.
- Walsingham, poseł angielski 198,
219.
Walter-Scott 13.
Wapowski Andrzej 244.
Wergiliusz 4, 20, 351.
Witruwiusz 352.
- Ximenes 92.
- Zamet, bankier 305.
Zborowski Andrzej 223, 246.
Zborowski Jan 230.
Zborowski Krzysztof 246.
Zborowski Piotr, wojewoda san-
domierski 226.
Zborowski Samuel 244—246.
Zuzanna de France 52.
Zwingli 388.
Zygmunt I, król polski 222.
Zygmunt August, król polski 218—
221.

6065



326	Agneska Szoci
327	Bernard Falissy
328	Foinisk Bernard Falissy
329	Waza Bernard Falissy
330	Bratonia

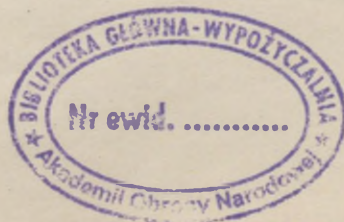
SPIS ROZDZIAŁÓW.

SPIS RYCIN.

	Str.
Franciszek I. w późniejszych latach (<i>przed tytułem</i>).	
Medal z portretem Ludwika XI. (Berlin, königl. Münz-Cabinet) . . .	13
Wjazd królowej Isabeau do Paryża i Froissard w swojej pracowni. (Froissarda rękopis we Wrocławiu)	20
»Bal dzikich« na królewskim dworze w Paryżu za Karola VI. Miniatura w rękopisie Froissarda. (Stadtbibliothek we Wrocławiu)	25
Wielkie wschody w zamku w Blois	29
Jeżozwierz, znak rodu Orleanów w zamku Blois	30
Odrzwia w »Salle des gardes« w zamku Blois	30
Anna Bretonka, miniatura Jana Bourdichon w »Heures d'Anna de Bretagne«	31
Fasada zamku w Blois na placu zamkowym	32
Franciszek I. w 18-tym roku życia z siostrą Margueritą	36
Karol VIII.	37
Anna Bretonka, za młodu, według portretu na drzewie w XV. wieku (Bibliothèque Nationale w Paryżu)	38
Hrabina de Chateaubriant	58
Katarzyna de'Medici	119
Piotr Strozzi	126
»Panneau« nad drzwiami w zamku d'Annet	128
Diana de Poitiers	141
Marie Touchet	176
Gaspard de Coligny	191
Arras, przedstawiający festyn na Sekwanie na cześć ambasady polskiej	233
Henryk III. (Miedzioryt w »Journal des choses memorables advenues durant le regne de Henry III«. Cologne 1720)	260
Marguerite de Valois	262
Henryk IV.	263
Marguerite de Valois	264

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
I. La vielle France	1
II. Franciszek I.	33
III. Katarzyna Medycejska	114
IV. Siostrzenica Guizów	152
V. Karol IX.	172
VI. Orléans	189
VII. Noc św. Bartłomieja	194
VIII. Duc d'Anjou	218
IX. Po odjeździe Henryka III.	234
X. Henryk III.	240
XI. Królowa Margot	283
XII. Wpływ kobiet	333
XIII. Kilka charakterów	354
Lekarz-minoryta	354
Connetable de Montmorency	369
Jean Goujon	373
Palissy	377
Montaigne	382
Blaise de Montluc	397
Brantôme	406
Literatura	423
Indeks	427
Spis rycin	441



Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

22211/III



03-022211-000-0